PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DZIEWIĘTNASTY. — TOM LXXIV.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1902.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1902.

NA LATA PIOTROWE LEONA XIII.

I.

Non videbis annos Petri — tradycyjna przepowiednia sprawdzała się na 262 papieżach; żaden z nich nie siedział na Stolicy św. 25 lat, t. j. tyle, ile Piotr św. Pierwszy wyłom w tej tradycyjnej przepowiedni zrobił wielkiej pamięci Pius IX, rządził lat 32. Aliści i godny następca jego Leon XIII wstępuje w 25 rok rządów Piotrowych. Przypadkowe to może zjawisko, ale nadzwyczajne, a dodajmy, i opatrznościowe — bo też przez te lat blizko 60 wyjątkowa, nadzwyczajna dola Kościoła katolickiego... W czem ta wyjątkowość? W tem, że wszystko spiknęło się przeciw Kościołowi i papiestwu, a nikt nie stanął w jego obronie. Chytra przewrotność masonii i karbonaryzmu, brutalne zuchwalstwo rewolucyi, perfidya dyplomatów i mężów stanu, wszystkie te antychrześcijańskie potęgi, korzystając z niedołęstwa lub słabości panujących, podały sobie ręce, weszły w sojusz na to, aby papieża i Kościół naprzód zubożyć, obedrzeć z świeckiego państwa i majątku kościelnego przyłączeniem ojcowizny Piotra św. do królestwa Włoch zjednoczonych, *Italia unita*, i konfiskatą dóbr duchownych świeckiego i zakonnego kleru. Odarty z majestatu króla, zubożony papież, rozumiano, że straci na zawsze u książąt i ludów ten urok i poszanowanie, jakie korona i majątek daje, a nadto pozbawiony tego,

co jest *nervus rerum,* pieniędzy, zamiast przeprowadzać wielkie, dalekonośne plany papiestwa i popierać piękne, wspaniałe dzieła chrześcijańskiej sztuki i chrześcijańskiego miłosierdzia, zmuszony będzie troszczyć się o byt materyalny, wyciągać rękę do katolików po jałmużnę.

Zubożyć papieża i Kościół — to pierwsze zadanie tego sojuszu antychrześcijańskiego. A potem co?

Usunąć wszelki wpływ papieża z dyplomacyi i międzynarodowej polityki, wyprzeć, wyrugować wpływ Kościoła z prawodawstwa i rządów, z uniwersytetów, akademii, szkoły, z przybytków nauki i z nauki samej, a wreszcie z rodziny, gminy i społeczeństwa. Wszystkoto: dyplomacya i polityka, szkoły i nauka, rodzina i gmina — niech będzie bezwyznaniowe, niech nie zna ani Chrystusa ani jego namiestnika papieża ani Kościoła ani kapłana.

Równocześnie nadęta pychą racyonalistyczna uczoność niemiecka, *die deutsche Gelehrsamkeit,* materyalistyczna filozofia przyrodników Anglii i Francyi uderzyły taranem w dogmatyczną i etyczną naukę Kościoła. Precz z Chrystusem-Bogiem, precz z wszelką objawioną religią, precz z modlitwą i sakramentami — obłęd to i fanatyzm niegodny światłego człowieka. Uczonym rzekomo mistrzom zawtórowało niezliczone grono powieściopisarzy, nowellistów i dziennikarzy, rekrutujących się przeważnie z głów niedouczonych i żydowstwa, a wreszcie teatr i sztuka, w tym zmysłowym i antyreligijnym kierunku pielęgnowane, dokonać miały zachwiania naprzód a potem obalenia dogmatów wiary i zasad moralnych w mózgach i sercach wykształceńszej warstwy katolickich społeczeństw.

Do tej ligi antypapieskiej, antykatolickiej masonii, rewolucyi, bezsumienności rządów, ateuszostwa nauki, sztuki i prasy przyłączyła się — bo jakżeby było inaczej — *avita fraus,* odwieczna chytrość, prawosławnej Rosyi i zadawnione *odium,* nienawiść protestanckich Prus, spadkobierców zdrajczej polityki krzyżackiej.

I oto w latach 1860—78 świat chrześcijański szczególne ujrzał widowisko: po jednej stronie papież, 80-letni Pius IX,

bezbronny sam i nie broniony przez żadnego katolickiego króla, przez żaden rząd, żadne państwo katolickie, — po drugiej stronie liga brutalnej przemocy, jaką krocie tysięcy bagnetów daje, z wyrafinowaną przewrotnością dyplomatów, polityków, uczonych i artystów, publicystyki i wielopotężnego dziennikarstwa.

I w tem właśnie tkwi nadzwyczajność położenia i wyjątkowość. Przedtem, do pontyfikatu Piusa IX zawsze bywało tak, że gdy jeden król lub rząd lub naród uderzał na papieża i Kościół, to bronił go inny król, inne państwo niezawsze nawet katolickie. Kiedy np. 100 lat temu Napoleon I opanował Rzym, wywrócił państwo kościelne, Piusa VII powlókł do więzienia, to cesarze Austryi i Rosyi z królem pruskim stanęli w jego obronie, wprowadzili tryumfalnie do Rzymu, przywrócili władzę świecką i państwo kościelne. Teraz, od pontyfikatu Piusa IX po dziś dzień dzieje się przeciwnie, króle i książęta albo, założywszy za pas ręce, przypatrują się „neutralnie“ atakom wymierzonym na papieża i Kościół, albo go zdradzają, jak Napoleon III, albo, podawszy rękę masonii i rewolucyi i fanatyzmowi antykatolickiemu, razem z niemi uderzają na papieża i Kościół, jak to uczynili Wiktor Emanuel włoski, Wilhelm I pruski, Aleksander II rosyjski — i spełniły się doszczętnie słowa psalmu: „Stanęli wespół królowie ziemscy, a książęta zeszli się w gromadę przeciw Panu, i przeciw Chrystusowi jego“ (II, 2).

W tem więc opuszczeniu i osieroceniu papieża i Kościoła, w tem odarciu ich nie tylko z władzy i państwa, ale z prawa, znaczenia i wpływu, w tem podkopaniu i podminowaniu nauki wiary i zasad Kościoła i to na całej linii publicznego, społecznego i naukowego życia narodów, tkwi wyjątkowość, nadzwyczajność sytuacyi — dlatego Bóg-człowiek Chrystus Jezus, który rządzi tą instytucyą swoją Boską, papiestwem i Kościołem, opatrzył na tę wyjątkową dobę wyjątkowych, nadzwyczajnych talentami umysłu i serca papieży, Piusa i Leona i użyczył im wyjątkowo długich lat panowania, aby częste zmiany papieży nie wstrząsały zaatakowanym ze wszystkich stron naraz Kościołem — obydwaj *viderunt annos Petri.*

II.

Główny zamach wymierzony był na papiestwo i Kościół za 32-letnich rządów wielkiego Piusa IX. Przypominam znane wypadki: potrójny rozbiór kościelnego państwa — zabór Rzymu — rabunek majątku i dóbr papieskich — Piusowi zostawiony Watykan i ogródek i pałac letni w Castelgandolfo, do którego nigdy nie wyjeżdżał, klasztory zrabowane i rozegnane, biskupi i kler parafialny odarci z dawnych fundacyi, w stolicy chrześcijaństwa na Kwirynale, który otworzył sobie wytrychem, rozsiadł się król włoski, Wiktor Emanuel, w pałacu Borghese rozsiadła się W. Loża wolnomularska, w klasztorach rozsiadło się żołdactwo, kryminaliści i wszelkiego rodzaju motłoch, w teatrach, powieściach, nowellach i prasie wyszydzano papieża i księży, szerzono wyuzdaną niemoralność.

To we Włoszech.

W Rosyi pod pozorem stłumienia powstania polskiego 1863 r. rząd rozegnał zakony, zamknął seminarya, powywoził w głąb Rosyi i w Sybir biskupów i setki zacniejszych kapłanów, zabrał i roztrwonił cały majątek i mienie Kościoła, a przez ajenta swego Maindorfa rzucił w twarz papieżowi obelgę: „Kościół to rewolucya“.

W Niemczech pijany zwycięstwem wszechwładny Bismarck, wywiesiwszy sztandar *der Staatsomnipotenz*, wszechwładzy państwa, postanowił zamienić Kościół katolicki w służebnicę nowego cesarstwa protestanckiego; więził, wyganiał biskupów, dziekanów, gorliwszych księży, wywołał z kraju zakony, zamykał kościoły, szkołę zamienił w kasarnię dziatwy.

Wszystkie te gwałty, bezprawia, krzywdy i zniewagi godziły najpierw i przedewszystkiem w dostojną osobę Piusa IX. On zaś sam jeden, bez wojska, bez pieniędzy, bez obcej pomocy, bez tej nawet moralnej, jaką *bona officia* dyplomacyi dają, podniósł się jako olbrzym i potężnym głosem, iż go usłyszał świat cały chrześcijański, zaprotestował przeciw gwałtom i zniewadze, rzucił *anathema* na świętokradczych zaborców Rzymu i kościelnego państwa, dyplomatę rosyjskiego wypędził z Wa-

tykanu, za Polskę duszoną przez Rosyę rozpisał jubileusz po świecie całym, uzurpacyom pruskim przeciwstawił stałe, niezłomne *non possumus,* biskupów-więźniów wezwał do Rzymu, kardynalską zaszczycił godnością i tą śmiałą, wspaniałą postawą swoją obronną zdobył sobie od razu serca milionów katolików. Z Europy, Azyi, Ameryki, Afryki setki biskupów, tysiące kapłanów i krocie tysięcy ludzi różnych stanów pobożną pielgrzymką płynęło rok rocznie do Watykanu, oświadczając się z czcią, uwielbieniem i posłuszeństwem dla Namiestnika Chrystusowego, z dziecięcem przywiązaniem do Ojca chrześcijaństwa, znosząc z poddańczą ofiarnością świętopietrze. Na nic rachuby zubożenia papieża; papież stał się bogatszym, niż kiedykolwiek. Na nic nadzieje pognębienia go w opinii świata; papież stał się potężniejszym, większym, niż za dni Grzegorza VII lub Innocentego III. Pigmejczykiem okazał się obok wielkiego Piusa mizerny włoski królik Wiktor Emanuel; mizerniejszym jeszcze cesarz Aleksander II, którego we własnej stolicy zamordowali właśni poddani, Rosyanie, a już najmizerniejszym dumny Bismark, który po kilkunastu latach swego *kulturkampfu* przekonał się z przerażeniem, że katolicyzm w Niemczech silniejszy i wspanialszy, niż za dni Ferdynanda II, że naród polski, którego on całą duszą nienawidził, na tym katolicyzmie oparty, uświadomił się walką religijną i do nowego zerwał się życia nie tylko w Księstwie Poznańskiem i w Prusach polskich, ale i na Śląsku.

Syt cierpienia i krzywd — *crux de cruce* — ale też syt chwały i uwielbień, jakich żaden papież w nowszych wiekach nie zaznał, zstąpił wielki Pius IX do grobu 7 lutego 1878 r. Zebrało się *conclave* 61 kardynałów 13 lutego t. r. Dziwnem zrządzeniem Bożem, dwory panujące, czyto chcąc okazać swoją tolerancyę, czy też swoje lekceważenie dla Stolicy św., iż ich to nic nie obchodzi, czy i jaki papież na niej zasiądzie, dosyć, że zaniechały wszelkiej intrygi, wszelkiego mieszania się do wyboru. Elekcya odbyła się najwierniej kanonom, przepisom i zwyczajom kościelnym; 21 lutego obrano najgodniejszego, kardynała kamerlengo, 68-letniego Joachima Pecci papieżem.

III.

Istotnie był on najgodniejszym. Spełniło się słowo Boże: „I wzbudzę sobie kapłana wiernego, który według serca mego i wedle duszy mojej czynić będzie“. Kapłan pobożny i mąż uczony: poeta, filozof, teolog, socyolog, polityk i administrator dzielny, wypróbowany w sprawach publicznych jako delegat Grzegorza XVI w Benewencie, Umbryi i Perugii 1838—41, jako nuncyusz w Brukseli 1841, jako arcybiskup Perugii 1849, wreszcie jako kardynał 1853, a w ostatnich latach rządów Piusa kardynał kamerlengo, ochmistrz Watykanu i administrator Kościoła Chrystusowego podczas *interregnum*. Uweseliło się chrześcijaństwo całe tym wyborem, jedno co niepokoiło to wiek późny 68 lat, kompleksya drobna, delikatna, zdrowie wątłe; toć on długo nie pożyje, wnet nas osieroci, toć sił mu nie starczy do spełnienia trudnej misyi. Tymczasem on, *videt annos Petri* i pomimo 92 lat wieku umysł świeży, czynny i pracy żądny.

Pojmował on cel, zadanie i powołanie swoje papieża i papiestwa szeroko i iście po Bożemu, jak ongi Grzegorz VII, jak Innocenty IV, jak św. Pius V. Nie tylko ma ono prowadzić ludzi do zbawienia wiecznego, ale ma ono ludom i narodom wskazać drogę do doczesnej pomyślności, a mianowicie do harmonii i zgody panujących między sobą i z poddanymi, władzy rządzącej z rządzonymi, do harmonii i zgody stanów różnych i warstw różnych społecznych między sobą, a zwłaszcza bogatych z ubogimi, chlebodawców z służbą i robotnikiem; ma ono nieść pochodnię prawdy i przewodniczyć światu uczonemu, naukom wszelakim, przyrodniczym zarówno jak teologicznym, ma ono nadać kierunek rozwojowi sztuk pięknych, przemysłu i handlu i wszelkim godziwym środkom do materyalnego dobrobytu, aby na drogę błędu i występku nie zboczyły; a wreszcie ostrzegać ma i bronić ludy i społeczeństwa przed wielkiemi kłamstwami XIX i XX wieku, które masonia jako wielkie potężne hasła królom, rządom, prawodawcom i uczonym wywiesiła, aby socyalny, polityczny i religijny porządek rzeczy, na chrześcijaństwie oparty, wywrócić, a na to miejsce kult nagiej natury i federacyę bez-

wyznaniowych państw zaprowadzić. Do wykonania wielkiej tej misyi potrzebował Leon XIII spokoju i jeżeli nie poparcia, to przynajmniej nieprzeszkadzania ze strony tronów i rządów.

Pierwszą więc jego troską było nawiązanie układów w celu zawarcia konkordatu z cesarzem Wilhelmem I i z cesarzem Aleksandrem III, ażeby Kościołowi niemieckiemu i polskiemu w Prusiech i Rosyi przywrócić biskupów, seminarya, kościoły i jakątaką swobodę i wolność w duszpasterstwie i nauczaniu wiernych. Nie mógł tego uczynić Pius IX, bo sam osobiście został zaatakowany, pokrzywdzony i znieważony przez wrogów Kościoła; mógł to uczynić Leon XIII i wystąpić jako papież pokoju, bo on osobiście nie był dotknięty, zastał już rozpaczliwy stan Kościoła w Niemczech i w Rosyi, gdy z 30 kilku stolic biskupich 6 tylko miało swych biskupów, inne osierocone; gdy z 30 kilku seminaryów wszystkie zamknięte; gdy w każdej dyecezyi po kilkadziesiąt parafii bez księdza i kościoła; gdy dziatwa kilku tysięcy szkół ludowych i średnich pozbawiona nauki religii i kapłanów. Szkody te naprawiał, powetował na razie zapał wiernych i poświęcenie bez granic, jakie ta wojna religijna z protestantyzmem i schizmą wywołała; ale zapał nie może trwać lat dziesiątkami, a poświęcenie choćby największe nie zastąpi na długo coraz większego braku biskupów, księży, zakładów naukowych; należało więc znaleźć jakiś *modus vivendi*, aby normalne stosunki Kościołowi przywrócić.

Pięć blizko lat trwały układy, bo strona przeciwna, rząd pruski i rosyjski, czuła się na sile, a na prędkiem pognębieniu katolicyzmu zależało jej bardzo, nie śpieszyła więc z układami, o najdrobniejsze targowała się ustępstwo z tego, co zagarnęła przemocą. Wreszcie stanęły konkordaty z cesarzem niemieckim i z cesarzem rosyjskim; osierocone od lat wielu dyecezye otrzymały dzielnych biskupów, seminarya światłych profesorów i alumnów, parafie duszpasterzy. Najmniej dało się odzyskać na polu szkolnem — i właśnie na tem polu toczy się w Prusach teraz zacięta walka religijna i narodowa zarazem.

Podobnież z masońskim rządem republiki francuskiej przez nuncyusza Polaka Czackiego uzyskał Leon XIII i utrzymał wcale

znośne i przyjazne stosunki dla Kościoła i katolików tak, że rozwój zakonów i zakładów wychowawczych pod zarządem księży i zakonów różnej reguły doszedł tam do niebywałych rozmiarów. Przeraziło to masonię francuską, więc na zjeździe wielkich mistrzów Wielkiego Wschodu i Wielkiej Loży francuskiej, tudzież innych Wielkich Wschodów zagranicznych, w lecie 1900 w Paryżu, uchwalono edukacyę szkolną wyrwać z rąk duchowieństwa, a niechcąc się przyznawać otwarcie do tego kroku, ułożono projekt wydalenia z Francyi tych zakonów, które zatwierdzenia rządowego nie miały. Projekt zamienił się w prawo. Jakoż przed dniem 3 października 1901 r. rozwiązano 260 klasztorów różnych reguł, ale przeważnie zajmujących się edukacyą, jak Jezuitów, Braci szkolnych, Augustynianów, Urszulanek, i t. d. Leon XIII pomimo to nie zerwał dyplomatycznych stosunków z Francyą, polecił nuncyuszowi pozostać w Paryżu, na to snadź, aby wyjednać u rządu łagodne wykonanie niesprawiedliwego prawa i zapobiedz dalszym szykanom i gwałtom.

Z tą samą uprzejmością wystąpił wobec innych rządów i królów katolickich i różnowierczych, nawołując ich do przywrócenia dawnych praw Kościoła i wpływów jego na rodzinę i społeczeństwo i domagając się obrony przeciw zamachom anarchii i rewolucyi, gdyż ratując Kościół, podpierają tem samem swe trony i rządy, rzucając Kościół na pastwę anarchii, kopią dół sobie samym — bo sekty radykalne, uporawszy się z Kościołem, rzucą się na obalenie tronów.

Na tę niezrównaną uprzejmość „pokojowo usposobionego“ papieża odpowiedzieli króle i książęta równą uprzejmością, a ich rządy aczkolwiek bezwyznaniowe albo różnowiercze okazały pewną względność dla katolików. Obchodził Leon XIII złoty jubileusz kapłaństwa 1888 i drugi złoty jubileusz biskupstwa 1893 i na obydwa królowie niechrześcijańscy nawet wyprawili do Watykanu swych posłów z życzeniami i podarunkami. Dziękując im za tę gratulacyę i dary, Leon XIII w jednej z najwspanialszych encyklik: *Praeclara gratulationis* 20 czerwca 1894 zaprosił wszystkich monarchów i książąt innowierczych i ich ludy do unii czyli zjednoczenia się z prawdziwym Kościołem

rzymskim — bo jeden Jezus Chrystus, jedna tylko jego prawdziwa wiara, a więc i jeden prawdziwy Kościół, który tę wiarę przechowuje, a jest nim ten, który przez naczelników swych papieży wprost od Apostołów i Chrystusa Pana się wywodzi. Podobne wezwanie do unii uczynił osobno w liście do narodu angielskiego *Satis cognitum* 29 czerwca 1896.

Równocześnie w szeregu znakomitych encyklik Leon XIII wystąpił jako mistrz i nauczyciel nieomylny narodów. Zaznaczywszy w pierwszej swej, jaką wydał do biskupów całego świata, encyklice *Inscrutabili Dei iudicio* z dnia 21 kwietnia 1878, że Kościół katolicki jest matką prawdziwej cywilizacyi, potępił błędne i zgubne doktryny sekt socyalistów czyli komunistów, anarchistów i nihilistów, którzy prawo własności obalają, powagę władzy niszczą i na życie królów godzą, węzeł rodzinny osłabiają i w dzikich stadłach żyją, a do krzewienia swych przewrotnych nauk ewangelii Chrystusowej nadużywają. Tych potępił bullą *Quod apostolici muneris* 28 grudnia 1878; biskupów zaś i księży zachęcił i wezwał do zajęcia się szczerze losem robotników, do zawiązywania towarzystw robotniczych. W tym samym celu wydał bullę *Graves de Communi* 18 stycznia 1901, w jaki sposób rozumieć należy t. zw. demokracyę chrześcijańską i jak rozwinąć i rozciągnąć jej działalność na masy ludu chrześcijańsko-robotniczego. A gdy socyalizm się raźnie wzmagał, w innej encyklice *Rerum novarum* 15 maja 1891 rozwiązał z punktu katolickiego najtrudniejszą kwestyę stosunku robotników do chlebodawców, zawezwał klasy możniejsze i wykształcone do polepszenia moralnej i materyalnej doli klas uboższych i roboczych i stworzył dziś już potężną partyę socyalistów chrześcijańskich, t. j. takich, którzy na wierze katolickiej i przykazaniach bożych oparci, nad poprawą materyalnego dobrobytu robotników zabiegają.

Ponieważ socyalizm wywracał rodzinę i podkopywał wszelką państwową władzę, przeto bullą *Arcanum* z d. 10 lutego 1880 zaznaczył doniosłość rodziny, na sakramencie małżeństwa opartej, wykazał niemoralność i szkodliwość t. zw. ślubów cywilnych

i łatwość rozwodów, a bullą *Diuturnum illud* 29 czerwca 1881 wskazał i pouczył, jak rządy polityczno-państwowe, jakiejkolwiek są one formy, na mądrości i nauce katolickiej opierać się powinny i że tylko takie rządy ludom i królom na pożytek wyjść mogą.

Uporawszy się w ten sposób z socyalizmem, odnowił i obostrzył wyroki poprzedników swoich od 1738 przeciw „sektom masońskim, nie tylko dla Kościoła ale i dla państwa zgubnym", ferowane. Napiętnował jako upadlającą człowieka przysięgę masońską o chowaniu tajemnicy i lożowe niektóre obrzędy, wykrył iście faryzejską obłudę sekty, z jaką pod pozorem wolności i humanizmu szerzy nagi naturalizm i wyrzuca Chrystusa i Kościół i wszelką objawioną religię z państwa, z prawodawstwa, z rządu, ze szkoły i rodziny. Dowodzi, że odchrześcijanienie państwa i społeczeństwa, neopoganizm wyszedł z łona masońskiej Loży i rozwielmożnił się w parlamentach i izbach prawodawczych i w wszelkich subsydyach rządowych.

Więc nową bullą *Immortale Dei* 1 listopada 1885 poucza królów i ludy, jakieto być powinno to chrześcijańskie państwo: rząd monarchiczny czy republikański czy federacyjny sprawiedliwy ma być i ojcowski, opierać się ma na Kościele, zostawić mu jego prawa i pieczę o duchowe dobro i zbawienie poddanych — i popierać go w tem; a znów świecka władza w staraniu się o dobrobyt materyalny popieraną ma być religijnym wpływem Kościoła.

Pouczywszy rządy i królów, zwraca się do rodzin i do obywateli i w dwóch encyklikach *Exeunte iam anno* 25 grudnia 1888 i *Sapientiae christianae* 10 stycznia 1890 wykłada i poucza, co to jest i jaką być ma rodzina chrześcijańska, że na bogobojności a wzajemnym szacunku i miłości oparta; poucza, kto jest obywatelem chrześcijańskim i jakie jego prawa ale i obowiązki.

Przeciw swywoli politycznej i libertynizmowi religijnemu wystąpił bullą *Libertas* 20 czerwca 1888. Dowodzi, że każdy człowiek posiada wolną wolę, ma ją więc i zbiorowy człowiek, społeczeństwo, ale nie z krzywdą praw i wolności Kościoła

i dlatego tolerancya czyli wolność religijna, stawiająca na równi wszystkie religie sprzeczne nawet z sobą, jest niesprawiedliwą.

Także nauka i wiedza, zwłaszcza zaś filozofia nowożytna wyzbyła się wszelkiego hamulca w stawianiu najdowolniejszych, a zawsze wrogich Kościołowi systemów i teoryi, więc bullą *Aeterni Patris* 4 kwietnia 1879 polecił naprawę filozoficznych studyów na podstawie scholastycznego systemu Aristotelesa i św. Tomasza z Akwinu, jak znów kapłanom, kaznodziejom zwłaszcza, polecił bullą *Providentissimus Deus* 18 listopada 1893 kształcenie się w historyi i literaturze ojczystej i pilne rozczytywanie się i studyowanie Pisma św., a równocześnie, on sam, miłośnik nauk, otworzył zamknięte dotąd archiwa watykańskie uczonym badaczom dziejów i historykom wszystkich narodów, iż ich tam codziennie 40—50 znajdziesz, wertujących relacye nuncyuszów i instrukcye papieży i kardynałów sekretarzy stanu.

Słowem, wszystkie te wielkie i otwarte rany, jakie społeczeństwom zadały socyalizm i masonia i połączone z nimi afiliowane przeróżne partye i stowarzyszenia radykalne i rewolucyjne, jakie zadały bezwyznaniowe prawodawstwo i wychowanie, cywilne małżeństwa, wolność bluźnienia Bogu i religii, wolność korupcyi obyczajów przez prasę, teatr, publiczne domy gry i swawoli — wszystkie rany leczył Leon XIII jako mistrz i lekarz nieomylny słowami prawdy ewangelicznej, zaprawionej szeroką, wielką miłością chrześcijańską.

W tym samym czasie wzmacniał i potęgował ducha wiary i pobożności w katolikach, którzy pozostali wierni papiestwu i Kościołowi, a których na 200 milionów i więcej.

Naprzód tedy podniósł kult Najśw. Maryi Panny, wskrzeszając zapomniane już nieco nabożeństwo różańcowe 9 bullami [1]. Osobną bullę *Tamen si futura* 1 listopada 1900 wydał o Zbawi-

[1] *Supremi Apostolatus* 1 września 1883. — *Octobri mense* 22 września 1891. — *Magnae Dei Matris* 8 września 1892. — *Laetitiae sanctae* 8 września 1893. — *Iucunda semper* 8 września 1894. — *Adiutricem populi* 5 września 1895. — *Fidentem piumque* 20 września 1896. — *Augustissimae Virginis* 12 września 1897. — *Diuturni temporis* 5 września 1898.

cielu Panu i dziele zbawienia ludzkości. Inną bullę *Divinum illud* 9 maja 1897 wydał o Duchu św. i sprawach jego w Kościele Bożym i w wiernych. Encykliką *Annum sacrum* 25 maja 1899 poświęcił cały rodzaj ludzki Boskiemu Sercu Jezusowemu. Z powodu jubileuszu 1900 ogłosił trzy encykliki 11 maja, 30 września i 1 listopada 1899.

Nie przepomniał podniesienia kultu Świętych: apostołów Słowian Cyrylla i Metodego bullą *Grande munus* 30 września 1880, św. Franciszka z Assyżu i jego trzeciego zakonu bullą *Auspicato concessum* 17 września 1882; błogosł. Piotra Kanizego w trzechsetny jubileusz jego śmierci, bullą *Militantis Ecclesiae* 1 sierpnia 1897.

Zajął się także gorliwie dziełem misyi katolickich bullą *Sancta Dei civitas* 3 grudnia 1880 i dzięki jego staraniom przybyło Kościołowi 3 miliony wiernych, nawróconych z pogan.

Trzy spore tomy zawierają zbiór tych 35 encyklik do biskupów świata całego, oprócz kilkunastu innych do biskupów Prus i Bawaryi, Francyi (3 listy), Włoch, Austro-Węgier i Węgier samych, Portugalii, Ameryki, Kanady, Szkocyi i Brazylii, które są najpiękniejszym, *aere perennius*, trwalszym nad spiż, pomnikiem ćwierćwiekowego pontyfikatu Leona XIII. Odznaczają się wszystkie pięknym stylem łacińskim, gruntowną nauką i głęboką znajomością świata, ludzi i wypadków, jasnem, logicznem przedstawieniem rzeczy i niezrównaną miłością nawet dla tych, których błędną doktrynę lub czyny niedobre karcą i piętnują.

O Polsce i Polakach czy zapomniał? Wiadomo, że Stolica św. nigdy nie uznała rozbioru Polski, że Pius IX w sławnej onej allokucyi 24 kwietnia 1864 r. zaznaczył najwspanialej jedność naszą narodową pomimo działów politycznych i rozpisał po świecie całym jubileusz „za nieszczęsną Polskę, co się była stała rzezi i krwi bojowiskiem“, więc też i Leon XIII encyklikę z dnia 19 marca 1884 *Caritatis providentiaeque Nostrae* wystosował do wszystkich biskupów polskich w zaborze Austryi, zarówno jak Rosyi i Prus na to, „aby troskliwości Naszej o Was tem wyrazistszy pozostał w Kościele Bożym dokument... My ten naród, różny pochodzeniem (Polska, Ruś, Litwa), mową i obrządkiem, jedną

wielką ogarniamy i przytulamy do serca miłością. Bo obok innych zalet pozostanie wam na zawsze sława onych ojców waszych, którzy Europę, drżącą przed potęgą wrogów chrześcijaństwa (Turków), piersią swą osłoniwszy, w wielu znakomitych bitwach wyswobodzili, a równocześnie wiary i społecznego porządku obrońcami i stróżami byli najwierniejszymi". Do tego rycerskiego narodu biskupów odzywa się Leon XIII — i czegóż chce od nich? Przedewszystkiem niech podtrzymują w tym narodzie wiarę i przywiązanie do Stolicy św., cześć dla rodziny i niech dbają o religijne wychowanie dzieci, bo to podstawy narodowego bytu. A zwracając się z osobna do biskupów pod rządem Rosyi, chwali ich męstwo w wyznawaniu wiary i ufność w Stolicy św., która z rządem rosyjskim zawarła w 1882 r. konkordat, dozwalający między innemi biskupom urządzać seminarya duchowne według kanonów kościelnych. Niech się domagają od rządu dochowania umówionych paktów, w razie trudności niech apelują do niego. Polskim biskupom pod berłem habsburskiem poleca wdzięczność i wierność dla pobożnego, dawnych tradycyi katolickich przestrzegającego cesarza. Niech szczególną mają pieczę o prastarej sławie Akademii krakowskiej i o zakonach, zwłaszcza o wskrzeszonym niedawno zakonie bazyliańskim, a z Rusinami niech starają się utrzymać zgodę i miłość. Polaków w Prusiech pochwala za cześć i uległość dla „łagodnych rządów" arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego i wnioskując z chwilowej życzliwości Wilhelma I, obiecuje im znośniejszą dolę.

Kto te encykliki pisał, kto redagował? Leon XIII. On każdy taki list okólny sam obmyślił i układał, myśli swe powierzał jednemu z młodych prałatów, który je oddawał w klasycznym stylu łacińskim i odczytywał papieżowi. Leon czasem styl pochwalił, często sam zmienił i poprawiał tak długo, aż jego właściwa myśl dokładnie wyrażoną została tak, że listy te w całości i w szczegółach za płód umysłowy Leona XIII uważać należy.

Oto w streszczeniu pontyfikat Leona XIII, rozpoczynający rok 25; da Bóg, że nie ostatni. Na tle dziejów tego pontyfikatu występuje gołębicza postać 92-letniego starca jako „kapłana

iście wiernego, wedle serca i duszy Bożej czyniącego". Wzbudził go Bóg dla chwały swojej, dla dobra Kościoła, ale i dla chluby i pociechy naszej. Leon XIII ideę papiestwa, którą wielki Pius IX ogromem swych cierpień, ale też i ogromem odpornej siły, odwagi i męstwa dźwignął wysoko ponad trony panujących, podniósł jeszcze wyżej i kazał ją szanować nawet innowiercom. Encykliki jego, zwłaszcza *Rerum novarum* o socyalizmie, ogłaszała prasa masońska i żydowsko-liberalna jak *Neue freie Presse* — krytykowała, to prawda, ale zawsze z uznaniem i czcią dla ich autora. Królowie i rządy, świat polityczny i świat uczony przyzwyczaili się powoli do brania udziału papieża we wszystkich sprawach i zagadnieniach, obchodzących ludzkość i wysłuchania jego głosu jako mistrza i nauczyciela z katedry, nieomylnie mówiącego, a my katolicy wśród zamętu najsprzeczniejszych nieraz pojęć i wierzeń, zdań i sądów, który cechą jest obecnej doby i w powszechne zwątpienie jak za czasów pogańskiej Romy przestraja się, wiemy, gdzie prawda, czego się trzymać, jak działać i postępować. Jakże się nie cieszyć takim papieżem i, jeżeli się godzi powiedzieć, jak nie być dumnymi nam dzieciom Kościoła z takiego Ojca chrześcijaństwa.

Więc w chwilę tę uroczystą wielkiego jubileuszu i nasze serca do stóp świętego starca niesiemy.

Ks. St. Załęski.

O LIRYCE RELIGIJNEJ MICKIEWICZA.

(Dokończenie).

V.

„Rozmowa wieczorna“ niezrównana jest w swej głębi i mocy duchowej i w sile swego wyrazu; pod względem wszakże bogactwa treści i cudownej, po prostu niedościgłej w swej klasycznej harmonii piękności formy poetyckiej przewyższa ją niewątpliwie wiersz, zatytułowany „Rozum i wiara“. Jest to przytem najobszerniejszy wytwór liryki religijnej Mickiewicza (złożony z trzynastu zwrotek czterowierszowych); skupia w sobie najzupełniej zasadniczą dążność tego kierunku twórczości poety i zawiera punkt jej kulminacyjny.

Tytuł określa dokładnie przedmiot utworu: jest nim przeciwstawienie rozumu i wiary z uznaniem bezwzględnej wyższości tej ostatniej. To uznanie nie powinno nas dziwić u poety, który od samych początków swego zawodu twórczego, wobec przewagi przekazanego przez wiek poprzedni jednostronnego racyonalizmu, wystąpił jako dzielny obrońca wiary i uczucia, a następnie stał się najpotężniejszym w poezyi nowożytnej rzecznikiem praw ich odwiecznych.

Wszelako myliłby się zasadniczo ktoś, coby w tym lub w jakimkolwiek innym utworze poety chciał widzieć dążność do poniżenia rozumu ludzkiego, do zaprzeczenia na rzecz jakiegoś marzycielstwa uczuciowego słusznych praw jego. W odpowiedzi na to powołaćby się można na tę prawdę niewątpliwą,

dającą się stwierdzić licznymi dowodami, że Mickiewicz był nie tylko największym z naszych poetów, ale też jednym z najrozumniejszych ludzi, jakich ziemia nasza wydała. Trzeźwy, jasny, doskonale wyrobiony i zrównoważony rozum stanowił granitową podwalinę jego geniuszu; na niej wznosił on swe budowle poetyckie, zawdzięczające jej swą trwałość niespożytą. Co więcej powiem, że potężny rozum Mickiewicza nigdy może dobitniej się nie okazał jak w tej dobrowolnej swej abdykacyi u granic sfery, w której nie dano mu jest władać prawowicie. Pewien autor francuski powiedział nie tylko dowcipnie, lecz i trafnie bardzo, że często ludzie na to tylko używają rozumu, aby tem logiczniej go nadużywać.

Któż więcej zawinił w tym względzie od myślicieli abstrakcyjnych, posługujących się z wielką sztuką logiczną rozumem dla rozwiązania nierozwiązalnych dlań zagadnień. Mickiewicz z przedziwną bystrością dostrzegał niekiedy te niewczesne zapędy zaufanych w sobie filozofów i na wskróś przezierał ich głupstwa uczone i przemądrzałe niedorzeczności. Nie mogę tu się powstrzymać od przytoczenia jednego przynajmniej nader charakterystycznego pod tym względem faktu z życia poety. Skoro w r. 1830 znalazł się on przejazdem w Berlinie, poszedł na wykład sławnego wówczas, nie tylko w Niemczech, lecz i w całej Europie, filozofa Hegla. Po wysłuchaniu dwugodzinnych wywodów o wzajemnym stosunku rozumu i rozsądku, poeta wyszedł znudzony i bez ceremonii powiedział do wielbicieli filozofa, że pono sam siebie on nie rozumie i słuchaczom głowy zamąca[1]. Zdanie to uznane było wówczas za dziką herezyę; tymczasem, nie mówię już dzisiaj, ale nawet przed laty dwudziestu lub trzydziestu nie było chyba w Europie wykształconego człowieka, któryby na ten sąd się nie zgodził. Wiedziony swym jasnym rozumem poeta nasz, choć nie znał się na filozofii, przejrzał od razu całą nicość szarlataneryi heglowskiej, która jednak swojego czasu zawracała najtęższe głowy w Europie.

---

[1] Cybulski: „Odczyty w Berlinie o literaturze polskiej", wyd. niem. Poznań 1883. T. I, str. 300.

Zresztą sam on posiadał wyraźną świadomość swych wybitnych uzdolnień rozumowych. Świadczy o tem między innymi drugi zaraz wyraz zajmującego nas tu utworu:

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem.
Pan je wzniósł w niebo, jako tęczy koło
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu,
I gdy mój naród zlęknie się potopu,
Spojrzy na tęczę — i wspomni przymierze.

Panie! Mą pychę duch pokory wzniecił;
Choć górnie błyszczę na niebios błękicie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił:
Mój blask jest słabe Twych ogniów odbicie!

Te trzy wstępne zwrotki w jak uroczystym, majestatycznym spokoju określają stanowisko poety wobec Boga i wobec ludzi. Czy można z większą prostotą a zarazem z większą mocą wyrazić świadomość swej wielkości?

Jest tu takie ogromne skupienie sił i środków poezyi, iż każdy wyraz, powiedziałbym, nieomal każda pauza rytmiczna posiada swą wagę i swe znaczenie, otwiera przed myślą i wyobraźnią naszą niezmierzone widnokręgi. Weźmy np. rozpoczynający poemat obraz pierwszej zwrotki. Czy można sobie wystawić obrazowanie poetyckie, rozwinięte z doskonalszą logiką artystyczną, w wyrazistszych, jaśniejszych zarysach i w żywszem zabarwieniu? A w ślad za niem idą obrazy dwóch następnych zwrotek, w każdym wierszu, nieomal w każdem słowie jedne od drugich wspanialsze i piękniejsze, a wszystkie tak pełne treści.

Z żalem pomijam tu wiele szczegółów godnych uwagi i postępuję dalej w rozbiorze poematu. Następne jego zwrotki dadzą się logicznie ułożyć po trzy w dwóch grupach, oraz cztery w trzeciej i ostatniej. W zwrotkach pierwszej grupy mamy przedziwnie zwięzły i silny (a jak prawdziwy!) obraz odmętu ludzkich dążeń, błędów i omamień:

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem:
Wielkie i mętne — gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne — przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem, o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
Chcieliście mali obejrzeć krąg świata.

— Konieczność! — rzekli — wedle ślepej woli
Panuje światu, jako księżyc morzu,
A drudzy rzekli: — Przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskiem przestworzu.

Co treści w tych dwunastu wierszach! Naprzód dosadna w kilku słowach charakterystyka odwiecznych dążeń umysłowych ludzkości, które „wielkie i mętne“ dla rozumu, bo przedstawiające mu się w olbrzymim zamęcie wewnętrznych swych przeciwieństw, stają się „małe i jasne przed oczyma wiary“, rozjaśnionych światłem promiennej i niezmierzonej jedności Bóstwa. Następuje potem również dosadna i lapidarna charakterystyka zamkniętych w sobie „dumnych badaczy“, oraz ich doktryn przeróżnych, wziętych tu w dwóch krańcowych swych typach: surowego determinizmu i tak wielu dzisiaj szczególnie liczącego zwolenników agnostycyzmu dyletanckiego.

W przeciwstawieniu do tego chaosu racyonalnych na świat poglądów, w następujących trzech zwrotkach kreśli poeta jednolity pogląd wiary, rozwinięty w słowach potężnych, w obrazie poetyckim o niezrównanej plastyce i wyrazistej piękności zarysów:

Jest Pan, co objął oceanu fale
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ciemnego pogrzebu;
Ruchomy wiecznie, ruchem swym nie władnie:
Im wyżej buchnął, tem głębiej upadnie, —
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła, który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, skąd wyszedł, powróci.

Jest to obraz nie tylko plastyczny i malowniczy w najwyższym stopniu, ale, można powiedzieć, nawet realistyczny. Widzimy tu przestwór wzburzonego morza, którego fale w różnobarwnej grze odbijających się od ich powierzchni promieni słonecznych roztrącają się o skały nadbrzeżne. A jednak patrzmy, ten obraz tak rzeczywisty i konkretny jak wiele w przenośnem swem znaczeniu zawiera treści duchowej! Jak żywo uprzytomnia nam niespokojne i daremne wysiłki buchających wciąż i zapadających się w głąb fal rozumu ziemskiego w przeciwieństwie do uroczystego spokoju światła wiary, które z nieba zstępuje, oświeca burzliwe fale życia i do nieba powraca.

Takie potężne uplastycznienie myśli w słowie poetyckiem, takie zespolenie niewidzialnej prawdy ducha z widzialną prawdą sztuki w naszej literaturze przynajmniej wyłączną i niepodzielną jest własnością Mickiewicza.

Pełne, a niemniej malownicze i plastyczne rozwinięcie treści rozważonego powyżej obrazu znajdujemy w czterech ostatnich zwrotkach utworu Mickiewicza, w których zasadnicza myśl jego o przeciwieństwie wiary i rozumu raz jeszcze uprzytomnia się nam jakby w ogólnym, końcowym rzucie oka na całe to wspaniałe a tak uduchowione obrazowanie poetyckie:

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni!
Świat cię niezmiernym zowie oceanem
I chce ku niebu na twej wzlecieć toni.

Zdajesz się tykać brzegów widnokręga:
Daremnie z żaglem nawa leci chyża,
Opływa ziemię, niebios nie dosięga;
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem — tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy
I twe pogodne zwierciadła oświeca —
Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy.

Poprzestając na uwagach poprzednio uczynionych, nie będę się już zatrzymywał na szczegółach treści i formy poetyckiej tych ostatnich zwrotek, choć niejedno jeszcze możnaby o nich powiedzieć; — zwrócę natomiast uwagę na ogólny charakter i układ artystyczny całego utworu.

Zauważmy przedewszystkiem, że pod względem zasadniczego nastroju poetyckiego wiersz „Rozum i wiara“ dość znacznie się różni od „Rozmowy wieczornej“. Różnica ta uwydatnia się już w porównaniach, jakie nastręczały się nam przy rozbiorze obu utworów. Przy rozbiorze pierwszego z nich posługiwaliśmy się porównaniami ze sfery wrażeń muzycznych, przy rozbiorze drugiego widzieliśmy wciąż wyraziste zarysy, barwy i blaski. Pochodzi to stąd, że w tamtym utworze przemaga muzykalny żywioł poezyi, w tym — plastyczny i malowniczy. Ta rozmaitość charakteru artystycznego nie jest przypadkową (w twórczości Mickiewicza, jak w przyrodzie niema przypadków), lecz wynika z natury wewnętrznej dwóch odmiennych objawów twórczego nastroju. „Rozmowa wieczorna“, jak to na właściwem miejscu zaznaczyłem, jest odgłosem niewysłowionej rozmowy duszy z Bogiem. Ten pierwiastek, nie dający się wypowiedzieć, dźwięczy niejako ukryty w słowach i budzi tony pokrewne w duszy słuchacza, potrąconej słowami. „Rozum i wiara“ jest więcej obrazem, niż nastrojem, odbiciem obrazowem w duszy poety zjawisk duchowych świata zewnętrznego. Poeta widzi tu „nizkie ludzkości obszary“, widzi i przeziera na wskróś zamęt jej mniemań, wzburzone fale jej dążeń i to widzenie wewnętrzne maluje nam, uplastycznia w słowie silnem, wyrazistem i barwnem. Ale oczywistem jest, że widzenie owo dalekie jest od czystej przedmiotowości, owszem przenika je nader wyraźny nastrój podmiotowy. Stąd liryczny charakter utworu, uwydatniający się nie tylko w zasadniczym jego nastroju, lecz także w artystycznej jego budowie.

Rozróżniliśmy poprzednio części tej budowy, rozważmy teraz układ ich i stosunek wzajemny.

Pierwsza część wstępna jest czysto podmiotowa, wyraża osobisty nastrój poety wobec przedmiotu. Przedmiotowo-pod-

miotowe widzenie rozwija się w dwóch następnych zwrotkach, z których jedna ukazuje nam obraz zamętu duchowego świata ludzkości, opanowanego przez uroszczenia rozumu ziemskiego, druga — obraz jedności tegoż świata, odniesionego przez wiarę do władnącej nad niem jednej, najwyższej i wszechmocnej potęgi duchowej. W końcowych czterech zwrotkach wreszcie czysto podmiotowy żywioł wiary poety występuje znowu na plan pierwszy w takim zupełnie osobistym zwrocie:

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem.

Ale teraz łączy się on ściśle z przedmiotowym żywiołem zewnętrznego ziemskiego rozumu, ogarnia go w sobie, przezwycięża i naznacza mu właściwe względem siebie stanowisko.

Czy ten wspaniały, tak logiczny i przejrzysty układ pieśni Mickiewicza nie przypomina uderzająco układu chórów greckich? Dwie części jej, następujące po części wstępnej, są to jakby strofa i antystrofa, śpiewane przez dwie połowy chóru, które widzą roztaczający się przed niemi obraz duchowy w dwóch odmiennych a uzupełniających się nawzajem widzeniach; zakończenie pieśni to jakby epodon, w którem obie połowy chóru łączą się ze sobą i głoszą tryumf wiary w zjednoczeniu harmonijnem pragnień i dążeń ducha ludzkiego.

To oczywiście zupełnie mimowolne, wynikające z bezwiednej intuicyi geniuszu zbliżenie lirycznego natchnienia Mickiewicza do najwyższych znanych nam wzorów liryki artystycznej jakże wymownie świadczy o potędze twórczej największego z naszych wieszczów i z naszych artystów!

VI.

Dopełnieniem poniekąd pieśni o „Rozumie i wierze“ jest krótki (zaledwie dwudziesto ośmio wierszowy), ale potężny, zwarty w sobie, pełen ruchu dramatycznego utwór, p. t. „Mędrcy“. Mamy tu rozwinięty w akcyi symbolicznej motyw, wynikający z idei zasadniczej poprzedniego utworu. Widzieliśmy tam wyobrażany przez zuchwalstwo rozumu pierwiastek ziemski, podnoszący się burzliwą, ciemną falą przeciw promieniejącemu w wierze pierwiastkowi Boskiemu — obecnie poeta przedstawia

te dwa czynniki, uosobione symbolicznie, w bezpośredniej między sobą kolizyi, z której wysnuwa się jakby wielki dramat duchowy, rozgrywający się w wewnętrznym świecie dusz ludzkich i uprzytomniony naszej wyobraźni w zarysach czysto idealnych i dalekich od rzeczywistości, nie mniej przeto przedziwnie wyrazistych w swej zwięzłości nadzwyczajnej, a nawet żywych i plastycznych.

Przedmiotem dramatu, źródłem jego kolizyi jest zamach zaufanych w swych orężach, rozumowych mędrców ziemskich na Boga żywego, widomie przebywającego wpośród ludzi, pobudką tego zamachu — złośliwa pycha mędrców, niechcąca uznać żadnej ponad sobą wyższości. Wynikające z tego motywu działanie rozwija się w nader oryginalnej, lapidarnie zwięzłej i symbolicznej oczywiście parafrazie opowieści Ewangelistów o pojmaniu Chrystusa przez Żydów. Oto całkowita jej osnowa:

W nieczułej, ale niespokojnej dumie
Usnęli mędrcy. Wtem odgłos ich budzi,
Że Bóg widomie objawił się w tłumie
I o wieczności przemawia do ludzi.
— Zabić go — rzekli — spokojność nam miesza!
— Lecz zabić we dnię? obroni go rzesza.

Więc mędrcy w nocy lampy zapalali,
I na swych księgach ostrzyli rozumy
Zimne i twarde, jak miecze ze stali,
I wziąwszy z sobą uczniów ślepych tłumy,
Szli łowić Boga. A zdrada na przedzie
Prostą ich drogą, ale zgubną wiedzie.

— Tyś to? — krzyknęli na Maryi syna —
— Jam — odpowiedział — i mędrcy pobladli —
— Ty jesteś? — Jam jest. — Służalców drużyna
Uciekła w trwodze — mędrcy na twarz padli;
Lecz widząc, że Bóg straszy, a nie karze,
Wstali przelękli — więc srożsi zbrodniarze.

I tajemnicze szaty z Boga zwlekli,
I szyderstwami Ciało Jego siekli,
I rozumami serce mu przebodli.
A Bóg ich kocha i za nich się modli! —
Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy, ciemnej jak mogiła.

Spełnili mędrcy na Boga pogrzebie
Kielich swej pychy. Natura w rozruchu
Drżała o Boga — lecz spokój był w niebie:
Bóg żyje — tylko umarł w mędrców duchu.

Co nam poeta daje w przytoczonej co tylko osnowie swego utworu? Daje nam nie same tylko stany i nastroje uczucia, jak w „Rozmowie wieczornej“, ani wywołane przez nie obrazy, jak w pieśni o „Rozumie i wierze“, lecz wynikające ze stanów uczuciowych działanie. Stany owe występują tu nie tyle w swej nastrojowości lirycznej, ile w swem napięciu dramatycznem jako bezpośrednie motory działania, które rozwija się z przedziwną siłą, plastyką i żywością na jakiejś idealnej scenie, rozwierającej się przed wzrokiem naszej wyobraźni.

Oto widzimy naprzód mędrców, zasypiających w „niespokojnej dumie“ i zbudzonych nagle przez wieść groźną o Bogu, przemawiającym do ludzi. Słyszymy potem ich monolog, jakby bezpośrednio przed nami wygłoszony: „Zabić go — spokojność nam miesza“. W następnej zwrotce mędrcy przygotowują się do czynu, ostrząc na księgach rozumy swe „zimne i twarde“ i z tłumem uczniów zaślepionych idą „łowić Boga“. W trzeciej zwrotce przypada kulminacyjny punkt akcyi, rozwijającej się tutaj nieomal widomie przed naszemi oczyma. Dwukrotne zapytanie mędrców i dwukrotna odpowiedź Zbawiciela, wraz z wywołanem przez nią potęgującem się wrażeniem („mędrce pobladli“ — „mędrce na twarz padli“) jakże żywo uprzytomniają nam sytuacyę w całej jej sile i grozie wewnętrznej. Następuje potem pojmanie Boga, znęcanie się mędrców nad Nim, miłującym ich zawsze i modlącym się za nich; wreszcie śmierć i pogrzeb Boga, złożenie Go do grobu, do ciemnej mogiły dusz mędrców. Ostatnia zwrotka stanowi jakby epilog akcyi symbolicznej, epilog potężny i pełen ruchu, w którym pyszna radość mędrców i trwoga w naturze tak żywo się przeciwstawiają uroczystemu spokojowi, panującemu w niebie. Ostatni wiersz niezrównany jest w swej gromowej sile i wzniosłości: Bóg żyje — tylko umarł w mędrców duchu. Cezura, umieszczona tu na niezwykłem miejscu (po trzeciej, zamiast po piątej zgłosce), pod-

nosi jeszcze niesłychaną potęgę dwóch wyrazów, które, jakby głosem z niebios spadającym, oznajmiają wiecznotrwałe istnienie Boga.

Czyż to nie zarys prawdziwego dramatu, uderzający tak żywo naszą wyobraźnię w swej głębokiej i wyrazistej symbolice? Charaktery i postaci nie ukazują się tu oczywiście w kształtach konkretnych i mędrcy przedstawieni są nie indywidualnie, lecz zbiorowo. Ale patrzmy jak żywo i wyraźnie w przeciwieństwie do tej zbiorowości ludzkiej zarysowuje się w naszej wyobraźni samotna postać Boga, pełna nadziemskiej mocy i majestatu, w cichym swym spokoju i nieprzebranej swej dla ludzi miłości; a jak żywo zarysowuje się przytem kontrast między spokojem Bożym, spokojem świadomej siebie potęgi i niepokojem zatrwożonej wewnętrznie, choć zuchwałej na zewnątrz, słabości ludzkiej.

Mickiewicz z genialną intuicyą odczuł tu tkwiący w Ewangelii, a obcy zupełnie ogółowi poetów nowożytnych pierwiastek dramatyczny i wysnuł z niego krótki, lecz potężny zarys misteryum religijnego, pełnego treści duchowej. Gdy się uprzytomni w wyobraźni osnowa tego zarysu, mimowoli trzeba sobie zadać pytanie: Jaki moglibyśmy mieć wspaniały dramat chrześcijański, gdyby nasi nowożytni chrześcijańscy dramaturgowie, podobnie jak Mickiewicz (który z natury nie był dramaturgiem), umieli odczuć i zużytkować artystycznie żywioły dramatyczne, zawarte w Ewangelii? To pytanie wiąże się z innem ogólniejszej treści. Jak żywotną i harmonijną moglibyśmy mieć kulturę, gdyby nowożytne ludy chrześcijańskie, zamiast naśladować dawnych Greków w ich d z i e ł a c h gotowych, naśladowały raczej sposób ich d z i a ł a n i a i tak samo jak oni z własnej tradycyi, z własnej wiary, z własnego uczucia snuły wątek swych pragnień, czynów i dążeń?

Powie kto, że nadto się tu zapędzam i odstępuję od rzeczy. A jednak trudno nie potrącić przynajmniej o takie pytania, gdy się mówi o wielkim geniuszu twórczym, który, jak żaden inny w Europie, odczuł i dał nam odczuć we wszystkich prawie swych dziełach całą moc i wzniosłość zasadniczych czynników naszej

kultury chrześcijańskiej i całą przewrotność, całe małpiarstwo nowożytnego jej rozwoju.

Zwróćmy się jeszcze do wewnętrznej strony przedstawionej w „Mędrcach“ kolizyi. Przypomina ona pewien motyw „Rozmowy wieczornej“, w której poeta przedstawia złe myśli i złe uczynki ludzkie jako przyczyny cierpienia Bożego — w „Mędrcach“ złośliwa pycha ludzka staje się morderczynią Boga, pycha skrybów i faryzeuszów, zabijających Go na własnem swem sercu i w sercach tych, których wpływem swym dosięgnąć zdołali. Zarysowujące się w opowieści ewangelicznej postaci prześladowców, sędziów i katów Chrystusa zamieniają się w utworze Mickiewicza na symboliczne prototypy zagorzałych racyonalistów, którzy, zamknięci w sobie i w siebie tylko wierzący, nie uznają niczego, co nie może być zmierzone miarą ich pojęcia, co się nie mieści w ich formułach oderwanych, nie daje się rozpuścić w wodzie abstrakcyi, służącej za jedyny pokarm ich organizmom duchowym. Wszelkie czynniki ducha, które trzeba odczuć w ich wewnętrznej, nierozpuszczalnej w abstrakcyi treści realnej i prawdzie żywej, wszelkie zatem objawienia się boskości i nadprzyrodzoności w sercu ludzkiem niedostępne są zgoła dla mędrców tego typu i, jako takie, stają się przedmiotem ich nienawiści, tępione są przez nich i zabijane wszędzie, gdzie tylko mogą być dosiągnięte. Dla ścisłości dodać należy, że nie wszyscy oni i nie zawsze posiadają dość siły, aby szczerze nienawidzieć i energicznie zwalczać pierwiastek boskości w sercach ludzkich. Jeśli w wieku XVIII nie brakło Wolterów, głoszących się otwarcie jego wrogami i mordercami, to w naszej epoce nie brak Renanów, którzy, wydając przeciw niemu wyroki zagłady, na wzór Piłata umywają sobie ręce i rozczulają się niekiedy nawet nad swą ofiarą. Tragiczna wzniosłość tej odwiecznej kolizyi dramatycznej między żywiołem racyonalizmu ludzkiego i żywiołem objawienia bożego na tem polega, że ten ostatni żywioł, zwyciężany i zabijany zawsze na pozór, w istocie rzeczy wychodzi zawsze z walki żywy, zwycięski, tryumfujący. Bóg umiera ciągle w duszach zaślepionych mędrców — żyje wciąż w duszy ludzkości. Utwór Mickiewicza daje nam zarys owej

wielkiej tragedyi ducha, nakreślony jednym rzutem genialnym na tle uczuciowego nastroju duszy pełnej wiary i miłości Bożej. Nastrój ten dźwięczy w zasadniczym lirycznym tonie pieśni poety i, wstrząsany w ciągu jej osnowy współbrzmiącymi z nim motywami dramatycznymi, odzywa się pełną swą harmonią w potężnym akordzie końcowym.

VII.

Przedziwna harmonia liryki religijnej Mickiewicza najpełniej i najwspanialej rozbrzmiewa w ostatnim utworze, który pozostaje nam tu do rozważenia, w krótkiej (złożonej z czterech zwrotek sześciowierszowych) pieśni, p. t. „Arcymistrz".

Poeta daje się tu poznać podwójnie jako wielki artysta: przez doskonale piękną formę swej pieśni, oraz przez wyrażone w jej osnowie głębokie i pełne prawdy odczucie samej istoty sztuki, oraz istotnych zadań wybranych jej przedstawicieli. Takim sposobem „Arcymistrz" stanowi bardzo odpowiednie zakończenie całego zajmującego nas tu cyklu lirycznej poezyi Mickiewicza: określając, a raczej ukazując nam z ogromną plastyką stosunek poety do sztuki, wyjaśnia on poniekąd tajemnicę tego niezrównanego artyzmu, który przy rozbiorze wszystkich poprzednich pieśni podziwialiśmy ciągle w sposobie wyrażenia przepotężnych i niewymownie wzniosłych natchnień poety.

Niezależnie od tego stosunek ten zaznacza się w całej twórczości autora „Dziadów" i w historycznem jej znaczeniu tak w naszej jak w ogólno europejskiej literaturze. „Arcymistrz" nie ujawnia nam go dopiero, lecz uprzytomnia z niezmierną siłą i dobitnością. Przypomnijmy sobie, jaki był stan sztuki wogóle, a poezyi w szczególności w chwili wystąpienia Mickiewicza? W treści brakło jej ducha, w formie — naturalnej prostoty, a w tej i w tamtej — prawdy i szczerości. Mickiewicz natchnął ją prawdą ducha i oparł ją na prawdzie natury. Oto w dwóch słowach cała jego wielkość i cała niespożyta jego zasługa. Trzeba to mieć na pamięci, aby zrozumieć należycie głębokie znaczenie następujących strof „Arcymistrza":

Jest Mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wichry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku:
A świat dotychczas nie pojął jej wątku.

Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali;
A świat przez tyle wieków z dzieł tak wiela
Nie pojął jednej myśli Tworzyciela.

Jest Mistrz wymowy, co Bożą potęgę
W niewielu słowach objawił przed ludem,
I całą swoich myśli i dzieł księgę
Sam wytłómaczył głosem, czynem, cudem.
Dotąd Mistrz nazbyt wielkim był dla świata,
Dziś świat nim gardzi — poznawszy w nim brata.

Sztukmistrzu ziemski, czem są twe obrazy,
Czem są twe rzeźby i twoje wyrazy?
A ty się skarżysz, że ktoś w braci tłumie,
Twych myśli i mów i dzieł nie rozumie?
Spojrzyj na Mistrza i cierp, Boży synu,
Nieznany, albo wzgardzony od gminu.

Oto jakie są w przekonaniu Mickiewicza wzory sztuki i jakie jest stanowisko artysty. Wzorami jej nieśmiertelne twory i zjawiska przyrody i brzmiąca odwiecznie harmonia jej głosów, wielkość i wspaniałość niespożytych jej kształtów, przepych niezliczonych barw jej i blasków. A czemże są wszystkie te jej cuda i wspaniałości, te brzmiące harmonie, te widzialne kształty, barwy i blaski? Wszystko to dzieła niewidzialnego Arcymistrza, mówiące o Jego wielkości i potędze, o Jego doskonałości niewysłowionej i dobroci nieprzebranej. A czemże jest słowo ludzkie, ten cudowny organ ducha, jeśli nie darem tegoż Mistrza, który jako Bóg-człowiek uświęcił je w swej nauce boskiej, stwierdził głosem swym, czynem i cudem i przekazał ludzkości w świętej księdze chrześcijaństwa. Takie pojęcie przyrody jako bezmiernego dzieła sztuki Bożej jakże żywo uprzytomnia nam harmonijny jej całokształt i jakże godne jest wielkiego poety-artysty,

który tak żywo umiał odczuwać i odtwarzać całą rzeczywistość jej zjawisk, a duchem wznosił się poza jej obręb w idealne sfery nadprzyrodzoności. Stanowisko to poety nie przynosiło ujmy realnej prawdzie jego obrazów przyrody, owszem potęgowało ją do najwyższego stopnia; przyroda, wzięta sama w sobie, rozważana w mechanizmie swych sił i działań staje się nieodzownie abstrakcyą, a zatem czemś nieskończenie dalekiem od rzeczywistości. Odczuwamy ją rzeczywiście, czyli w pełni jej życia, wtedy tylko, gdy świadomie lub bezwiednie, w ten lub ów sposób przypuszczamy w niej działanie jakiejś siły duchowej. Nie bez słuszności też zauważono, że wszelkie poetyckie, t. j. żywe odtworzenie przyrody przeniknięte jest pewnego rodzaju animizmem, czyli zbliża się do poglądu na nią ludów pierwotnych, uznających obecność duszy w jej tworach i zjawiskach. Taki animizm, takie odczuwanie ducha w przyrodzie możnaby wykazać w wielu mickiewiczowskich jej obrazach, począwszy od toastów filareckich, w których żywioły przyrodzone tak wspaniale zostały uduchownione, aż do różnych opisów w „Panu Tadeuszu", jak np. przy opisie wschodu słońca w księdze II-ej porównanie unoszącej się na niebie białej chmurki do niknących piór anioła stróża, który staje się tu jakby symbolem łączności między przyrodą widzialną i niewidzialną nadprzyrodzonością.

Z drugiej strony jakże energicznie protestuje poeta w IV-ej części „Dziadów" przeciw wszelkim dążeniom do odduchowienia, że się tak wyrażę, przyrody:

> Więc żadnych niema duchów? świat ten jest bez ducha?
> Żyje, lecz żyje jak kościotrup nagi.

Ale jakże daleko oddalił się poeta od tego stanowiska, albo, powiedzmy lepiej, jakże wysoko wzniósł się ponad to stanowisko, na którem odczuwał nieokreśloną jakąś duchowość w przyrodzie, gdy w „Arcymistrzu" nie tylko ją odczuwa, ale uznaje ją też jako dzieło i twór Ducha Bożego, mówiące ludziom o Jego wszechmocy, dobroci i miłości? Jest to najwyższy, a zarazem prawdziwie chrześcijański sposób odczucia przyrody, którego objaw najpełniejszy w poezyi mamy w znamienitym „Hymnie

stworzenia“ św. Franciszka z Assyżu, a który poza obrębem tego natchnionego duchem świętości utworu w niewielu dziełach poezyi objawił się w takiej pełni i wspaniałości jak w mickiewiczowskim „Arcymistrzu“. Konsekwencyą i ostatecznem stwierdzeniem tego chrześcijańsko-artystycznego uznania Ducha Bożego, objawiającego się w przyrodzie, jest uznanie Go w słowie świętej nauki Zbawiciela, pojętej jako objaw najwyższej potęgi i wzniosłości słowa ludzkiego.

W duchu prawdziwie najczyściej chrześcijańskim określone też zostało w ostatniej zwrotce „Arcymistrza“ stanowisko artysty, czyli, jak się poeta wyraża, sztukmistrza ziemskiego wobec Boga i wobec ludzi.

Wielcy poeci nieraz i aż nadto słusznie skarżyli się na nieuznanie i niezrozumienie ich dzieł przez ogół ludzki, który najchętniej utrzymuje się zawsze na poziomie pewnej pośredniości i niezdolny jest wznieść się do szczytów doskonałości prawdziwej. Odczuwając boleśnie obojętność ogółu na dzieła wysokiego artyzmu, twórcy ich rzucali mu nieraz ze swego wyniosłego odosobnienia gniewne lub szydercze słowa.

Sobie śpiewam, nie komu, bo któż jest na ziemi,
Coby serce ucieszyć chciał pieśniami memi.

Tak przemawia Jan Kochanowski na początku swej „Muzy“. Podobnie Puszkin w jednym ze swych utworów przedstawia poetę dla siebie tylko śpiewającego swe pieśni natchnione i z sarkastycznem oburzeniem odtrącającego prośby tłumu o pieśni dlań dostępne i mogące mu przynieść pożytek.

I Mickiewicz wyrażał nieraz to poczucie osamotnienia na wyżynach swych natchnień i swego artyzmu. Że wspomnę tu tylko wymowny wykrzyknik z „Improwizacyi“ Konrada:

Cóż po ludziach? Czym śpiewak dla ludzi?

Wszelako dodać trzeba, że poeta nasz nigdy nie skarżył się na swe osamotnienie, nigdy nie wybuchał gniewem ni sarkazmem przeciw tępej obojętności tłumu. Skoro zaś w epoce wzniosłych natchnień swej liryki religijnej ponad stanowisko samotnego poety-artysty i wieszcza wzniósł się na stanowisko zjednoczonego z Bogiem w wierze piewcy chrześcijańskiego, — w tłumie

ujrzał braci, a nieuznanie i niezrozumienie przez nich swoich dzieł mistrzowskich uznał za nic nieznaczące wobec nieuznania wiekuistych dzieł Arcymistrza.

Ale zniżając wyniosłe swe czoło artysty ziemskiego przed majestatem Artysty Najwyższego, poeta nie zniżył przeto wysokiego stanowiska i znaczenia swej sztuki; owszem wyniósł ją na takie wyżyny, na jakie wyjątkowo chyba ona się wznosiła w pojęciu i odczuciu ludzkiem. Czy można wznioślej określić istotę sztuki, jak przez ukazanie w podobieństwie jej i obrazie niezmierzonego i bezkreśnego tworu przyrody, dzieła Wszechmocy Bożej? i czy można wznioślejsze naznaczyć zadanie artyście, jak kazać mu wraz z Arcymistrzem wszechświata cierpieć niepoznanie, będące tu na ziemi udziałem wszystkich dzieł wielkich, wiekuistych i doskonałych? — A z pewnością żaden z mistrzów sztuki nowożytnej nie był uprawniony więcej od autora „Dziadów“ i „Pana Tadeusza“ do tak wysokiego określenia jej zadań, bo żaden z nich nie wyniósł jej wyżej we własnej swej twórczości tak pod względem mocy i podniosłości natchnienia, jakoteż niezrównanej doskonałości zewnętrznych jego objawów. Świadczą o tem nie tylko wielkie i znane powszechnie arcydzieła poety, ale także liczne mniejsze, mało, o wiele za mało znane i cenione jego utwory, między którymi pierwszorzędne znaczenie posiadają zajmujące nas tu płody liryki religijnej. Określiłem je wyżej jako najdoskonalsze wzory czystego klasycyzmu, pojmując pod tą nazwą idealną harmonię między prawdą natury i prawdą sztuki. Jeżeli teraz najwyższy ideał artystyczny weźmiemy w znaczeniu, jakie nadane mu zostało w „Arcymistrzu,“ to czyż rozważone przez nas pieśni religijne nie będą ściśle mu odpowiadać? Czyż nie są one prawdziwe, proste, potężne, żyjące w organicznem zespoleniu wszystkich swych części, podobnie jak twory przyrodzone, wiekuiste dzieła Mistrza Najwyższego? A czyż duch Jego nie przenika ich i nie ożywia? Czyż nie brzmią one cudowną harmonią w owym bezmiernym chórze duchów, serc i żywiołów, którego odgłos tak potężnie dźwięczy w pierwszej zwrotce „Arcymistrza“?

Ten chór i odzywające się po nim jeszcze w następnych zwrotkach akordy poetyckie to wspaniały finał całej wielogłosowej symfonii mickiewiczowskiej liryki religijnej. Zwróćmy jeszcze uwagę na łączność wewnętrzną poszczególnych jej objawów i na jednolitą ciągłość rozwijającej się w nich dążności duchowej.

VIII.

Rozważyliśmy tu główne choć niezupełnie wszystkie płody liryki religijnej Mickiewicza. Oprócz pochodzącego z dawniejszych czasów „Hymnu na dzień Zwiastowania“ utwory, które braliśmy tu kolejno pod uwagę, należą do tej samej epoki życia poety, do epoki dokonywającego się w jego duszy przełomu i ustalenia się pozytywnej, prawowiernej jego religijności. Nie zostały tu uwzględnione wcale utwory z czasów późniejszych, głównie z czasów towiańszczyzny (jak np. niezrównanie głęboki i piękny utwór p. t. „Słowa Najświętszej Panny“), oraz pewne ustępy liryczno-religijne III-ej części „Dziadów“, które stanowią wprawdzie poniekąd całość i niekiedy łączą się ściśle treścią z zajmującemi nas tu rzeczami (jak np. „Widzenie Ewy“ z „Wierszem do Marceliny Łempickiej“), ale bądź co bądź wchodzą w skład obszerniejszej kompozycyi poetyckiej i tylko w związku z ogólną jej osnową, w oświetleniu przewodniej jej idei mogłyby być zrozumiane i ocenione należycie. Dodać wreszcie trzeba, że pominąłem tu rozmyślnie jeden jeszcze utwór analogicznej treści, wiersz p. t. „Ormusd i Aryman“, który zazwyczaj stawiany bywa przez krytyków obok rozpatrywanych tu pieśni religijnych, jakoż istotnie z tej samej co one pochodzi epoki, zbliża się do nich nastrojem duchowym, ale osnuty jest na motywie raczej moralno-filozoficznym, aniżeli religijnym, a w każdym razie dalekim od religijności prawowiernie chrześcijańskiej, o uwydatnienie której w poezyi Mickiewicza głównie mi tutaj chodziło.

Tak ujęty temat posiada jedność psychologiczną i artystyczną; obejmuje szereg objawów duchowego życia poety, stanowiących najdonioślejszy przewrót, jaki się dokonał w całym

jego rozwoju. Taki przewrót wewnętrzny u Mickiewicza szczególnie konsekwentny musiał mieć przebieg wskutek zaznaczonej poprzednio i nieraz zresztą podnoszonej jedności logicznej jego natury indywidualnej. Jak we wszystkich jej objawach i w owem przeobrażeniu jej, poetycznie odźwierciedlonem w liryce religijnej, można śledzić stopniowe fazy rozwoju w jego logice niewzruszonej i zasadniczej szerokiej prawdzie jego ogólno ludzkiej.

Stąd jedność wewnętrzna tego cyklu lirycznego, rozpoczętego „Wierszem do Marceliny Łempickiej", a zakończonego „Arcymistrzem". Nie jest ona może dostrzegalną na pierwszy rzut oka, ale wyraźnie bardzo występuje przy trochę głębszem w rzecz wniknięciu. Zaznaczyłem ją nieraz, rozbierając poszczególne pieśni, osobliwie w przejściu od jednej z nich do drugiej; obecnie chodzi o to, aby ją uwydatnić w pełnem jej znaczeniu i w stosunku do ujawniającej się w osnowie całego cyklu zasadniczej dążności duchowej. Jest to, jak wiemy, dążność do osiągnięcia doskonałej harmonii religijnych uczuć i wierzeń.

W „Wierszu do Marceliny" objawia się ona jako p r a g n i e n i e czystości duchowej, bez której niemożliwa jest zgoła prawdziwa doskonałość chrześcijańska; w „Rozmowie wieczornej" taż sama dążność występuje jako s k r u c h a, pełna jęków żalu i pełna ufności w Bogu; wreszcie w wierszu „Rozum i wiara" pragnienie osiąga pełne urzeczywistnienie, skrucha osiąga należną nagrodę w uczuciu głębokiej i silnej w i a r y, dającej poecie ufność we własne siły, wsparte Bożą potęgą, świadomość własnego geniuszu, będącego w całej swej świetności odblaskiem nieśmiertelnych ogniów chwały Bożej. Tak więc te trzy natchnione utwory Mickiewicza mogą być określone jako p i e ś ń p r a g n i e n i a, p i e ś ń s k r u c h y i p i e ś ń w i a r y, czyli jako wyrażenia poetyckie trzech zasadniczych stanów duszy ludzkiej, dążącej do udoskonalenia wewnętrznego w duchu prawdy chrześcijańskiej.

Dwa ostatnie ogniwa naszego cyklu lirycznego „Mędrcy" i „Arcymistrz" są rozwinięciem i uzupełnieniem w dwóch różnych a nawet przeciwnych sobie kierunkach zasadniczej idei

trzeciego ogniwa, t. j. pieśni o „Rozumie i wierze“. Widzieliśmy, jak poeta, osiągnąwszy w tej pieśni kulminacyjny punkt swego rozwoju religijnego, z tego stanowiska ogarnął wzrokiem natchnienia, przez wiarę rozświetlonego, ogół zjawisk duchowych życia. W „Mędrcach“ i w „Arcymistrzu“ mamy ujemny i dodatni rozwój tych zjawisk w stosunku do najwyższej prawdy wiary. Dlaczego pierwszy, ujemny kierunek wskazany jest w racyonalnych dążeniach zbuntowanej przeciw Bogu wiedzy, a drugi, dodatni — w intuicyjnych natchnieniach uznającej w Bogu swego arcymistrza sztuki? — na to pytanie nie trudno odpowiedzieć, skoro się zna choćby w najogólniejszym zarysie zasadnicze w tym względzie przekonania poety, jego wstręt do wszelkiego racyonalizmu, jego ufność w prawdę intuicyi, w prawdę „czucia i wiary“. Czy te przekonania, te wstręty i skłonności poety dadzą się usprawiedliwić? — to inne pytanie, nad którem nie mogę się tu bliżej zastanawiać, zbyt daleko bowiem toby mię zaprowadziło. Pozwolę sobie tylko przypomnieć, że właśnie w naszych czasach, po epokach wszechwładnego panowania racyonalizmu spekulatywnego, racyonalizmu pozytywistycznego, racyonalizmu empirycznego i materyalnego, nastąpił w umysłach wielu ludzi bardzo wyraźny zwrot ku nieuznanym dawniej prawom intuicyi. Zresztą dodać trzeba, że i sam Mickiewicz w swoich intuicyjnych przeczuciach i natchnieniach, dotyczących wielkich zagadnień życia i wiedzy, mylił się wprawdzie nieraz co do szczegółów, drobiazgów i praktycznych zastosowań, ale okazywał zdumiewającą bystrość sądu i prorocze iście jasnowidzenie w rzeczach istotnych i zasadniczych.

IX.

Cały powyższy rozbiór dał nam poznać niezmierną tak artystyczną, jak i religijno-moralną doniosłość lirycznych natchnień Mickiewicza. Tak rzadko zdarzające się w poezyi zespolenie harmonijne tych dwóch charakterów w najpełniejszych i najwyższych ich objawach nadaje pieśniom religijnym naszego poety wyjątkowe znaczenie i wznosi je na szczyt doskonałego klasycyzmu, polegającego na zjednoczeniu ścisłem p r a w d y

życia (tym razem życia najbardziej wewnętrznego i duchowego) z prawdą sztuki.

Wymownem stwierdzeniem wielkiej doniosłości stanu duchowego, który tak potężnie, tak prawdziwie i tak artystycznie wyraził się w rozpatrzonym przez nas cyklu lirycznym Mickiewicza, są następujące bezpośrednio po nim fakty z życia i z twórczości poety. Dwa główne jego arcydzieła III część „Dziadów“ i „Pan Tadeusz“ nie wyłącznie wprawdzie z tego stanu wyniknęły, ale niewątpliwie zostały umożliwione przez ów harmonijny, podniosły nastrój ducha, który w nim miał swe źródło istotne. Poprzednio wykazałem, jak w „Improwizacyi“ Konrada ożywiony potęgą wiary religijnej Mickiewicz nieskończenie wyżej wzniósł się w polocie swego natchnienia, aniżeli w analogicznych objawach swej mocy twórczej i duchowej z poprzedniej epoki: w „Odzie do młodości“, w „Pieśni wajdeloty“ i w „Farysie“— obecnie dodać należy, że cały ten przepotężny dramat III-ej części „Dziadów“ ze swym niezrównanym realizmem (ujawniającym się choćby we wprowadzeniu rzeczywistych zdarzeń i rzeczywistych osób pod własnemi nawet ich nazwiskami) i ze swym podniosłym idealizmem rozwija się w promieniach wynikającego z głębokiej, dogmatycznej wiary poety światła nadprzyrodzonego. Stąd owe fenomenalne iście, raz tylko przedtem w „Boskiej komedyi“ urzeczywistnione zjednoczenie w tym dramacie prawdy realnej z prawdą idealną, życia przyrodzonego z życiem nadprzyrodzonem. Było ono następstwem skupienia wszystkich olbrzymich sił czysto ludzkiej i artystycznej natury poety w jedności wiary religijnej i najwyższego ich natężenia w porywie miłości, ogarniającej miliony i przez wiarę ku Bogu zwróconej.

Niemniej doniosły wpływ prawowiernie religijnego usposobienia poety daje się wykazać w „Panu Tadeuszu“. Toż cała ta epopea szlachecka poczęła się niejako z owego ukazanego we wstępie widzenia pól litewskich, widzenia przepojonego taką miłością, z której jako z kłębka cudownego rozwijają się obrazy ziemi rodzinnej, jedne od drugich prawdziwsze i piękniejsze. A skąd poeta wysnuwa ten pierwszy początkowy obraz pól ojczystych? Wysnuwa go z modlitwy do „Panny świętej, co

jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie", co jako królowa polska ponad całą ziemią naszą miłosną swą roztacza opiekę. Czy można sobie wyobrazić „Pana Tadeusza" bez tej inwokacyi do Najświętszej Panny? A czy można sobie wyobrazić ową inwokacyę bez szczerej, głębokiej, serdecznej, ściśle prawowiernej wiary, przenikającej całe jestestwo poety? Zważmy zresztą, że genialny nasz epik nie byłby zdolny odczuć i odtworzyć z taką prawdą nieporównaną życia ojców, gdyby nie odczuwał tego, co stanowiło najszlachetniejszy pierwiastek i najpotężniejszą dźwignię ich życia, co wyrwało z toni upadku Jacka Soplicę i zwróciło go ku heroicznemu poświęceniu, co wśród całego ogółu społecznego podtrzymywało zawsze niewzruszoną wiarę w sprawiedliwość Bożą i w miłosierdzie Boże. Jak w III-ej części „Dziadów" mamy polot wiary mistycznej, wynikającej z najgłębszych otchłani ducha ludzkiego, tak w „Panu Tadeuszu" roztacza się przed nami wiara naiwna i serdeczna, która ozłaca i ożywia szerokie przestwory bytu powszedniego odblaskiem prawdy Bożej, jak słońce ozłaca i ożywia szare niwy ziemskie odblaskiem życiodajnych swych ogni. Jak rozległa musiała być skala życia duchowego, zdolnego przyswoić sobie w jednakiej pełni, sile i szczerości tak krańcowe objawy religijnego nastroju!

Zespolenie tych objawów, począwszy od „sielskiej i anielskiej" wiary dzieciństwa aż do „górnej i chmurnej" wiary Konrada, oraz mistycznej i pokornej wiary księdza Piotra, dokonało się w tem przeobrażeniu duchowem, którego poetyckiem odźwierciedleniem jest najpiękniejsza i najwznioślejsza liryka Mickiewicza. Dalszem następstwem tego przeobrażenia, obok spotęgowania natchnień twórczych poety, całe jego życie późniejsze, promieniejące nie tylko blaskiem geniuszu, lecz otoczone też aureolą wysokiej doskonałości duchowej, nieomal świątobliwości. Nie chcąc wykraczać poza ciasne ramy mego tematu, nie będę tu przytaczać faktów z życia poety, stwierdzających to podniosłe usposobienie jego duszy, nie dotknę też wcale późniejszych objawów jego rozwoju religijnego, które doprowadziły go do towianizmu, gdyż te nader są dalekie od zjawisk duchowych, które nas tu zajmowały; zaznaczę tylko ogólnie, że w epoce, na-

stępującej bezpośrednio po cyklu liryki religijnej, po III-ej części „Dziadów“ i po „Panu Tadeuszu“, między rokiem 1832 i 1840 wywierał Mickiewicz bardzo dodatni wpływ osobisty w kierunku moralnym i religijnym na naszą zdemoralizowaną, rozbitą i kłócącą się wiecznie emigracyę. Nie zdołał jej wprawdzie przywieść do upamiętania, bo zewnętrzne okoliczności życia i wrodzone wady narodowe silniej działały od najpotężniejszych wpływów duchowych, ale niewątpliwie powstrzymał i ograniczył postęp wśród niej rozstroju wewnętrznego, oddziałał uszlachetniająco i pobudzająco na wiele jednostek i grup emigracyjnych i wogóle można powiedzieć, że w tej epoce nie mniej dobrego sprawił swymi czynami, jak swą poezyą.

Nie rozwodząc się dłużej, dla okazania nadzwyczajnej podniosłości ducha Mickiewicza w tej epoce, przytoczę tu na zakończenie ustęp z listu jego, pisanego do Kajsiewicza i Rettla, którzy zawdzięczali mu wyłącznie swoje udoskonalenie duchowe i dlatego pisząc doń, nazwali go m i s t r z e m i n a u c z y c i e l e m. Oto jak poeta odpowiada na to:

„Nie nazywajcie mię, proszę, nauczycielem; jest to tytuł straszny i ciężki na moje barki. Serce nasze potrzebuje kochać i szuka doskonałości, więc ubieracie w doskonałość bliźnich waszych, złocąc ich i zdobiąc promieniami. Strzeżcie się tego, zachowajcie złoto i blask Kościołowi, a dla bliźnich miejcie tylko zawsze dla wszystkich suknię miłosierdzia, aby okryć ich nagość; uszyjcie i dla mnie tę suknię; nic więcej od was nie żądam. Napisano jest: Nie nazywajcie się ani Pawłowi ani Apollowi, ale Chrystusowi. Nie wierzcie ślepo żadnemu z ludzi i moje każde słowo sądźcie, bo dziś mogę prawdę mówić, jutro fałsz, dziś dobrze robić, jutro źle. Jeżeli które słowo z ust moich przyjęło się na sercu waszem, to słowo nie było moje, ale tylko przechowane i przesadzone: poznacie po tem słowo prawdy, że pada cicho i leży długo, a potem powoli wschodzi: owocem jego jest miłość i zgoda. Przeciwnie słowo fałszu, słowo ludzkie wypada z hukiem jak kula, a zostawia zaraz po sobie ranę lub śmierć. Więc kulę wymyślili i zrobili ludzie, ale ziarnka zboża dotąd nie umieją zrobić. Nie jestem tedy nauczycielem... Każdy

z nas nieraz wierzgnie i drugiego zrani! Bo póki człowiek żyje, póty trwa walka. Różne myśli, różne uczucia przewiewają głowę i serce. Podaję wam sposób na rozeznanie dobrych od złych, prawdziwych od fałszywych. Kiedy powezmę jakąś myśl religijną lub polityczną, dochodzę, czy w tym dniu, kiedy ją powziąłem, jestem zgodny z sobą, czy nie zrobiłem czego złego, czy mową lub myślą bardzo nie zgrzeszyłem. Jeżeli rachunki sumienia źle stoją, pewnie wtenczas i w głowie zamęt. Sumienie to żołądek duszy. Nie myślcie, że słowo prawdy uwolni was od tentacyi. Owszem, im żołnierz czujniejszy i tęższy, tem częściej wódz go posyła na niebezpieczeństwa; hultajów i tchórzów zostawia w obozie, ale oni prędzej od mężnych giną. Ciężka to jest walka życie!... Wiem waszą miłość ludzi, ojczyzny, wolności; lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczna światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnątrz. Kraj i człowiek wewnątrz bezładny upada. Ludzie wewnętrzni często, jako sternik wśród burzy, rzucają się do rudla. Patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwo ręką czasem skiną, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednej fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje. Tylko nie myślcie, że to pisząc, mam siebie na widoku; piszę o ludziach, których nam potrzeba, których żebyśmy mieli, toby łódka nasza nie zatonęła".

Ten list nie jest mniej piękny ani mniej głęboki od najpiękniejszych i najgłębszych poezyi Mickiewicza. Aby tak przemawiać, nie dość być wielkim poetą, trzeba być człowiekiem doskonałym i świątobliwym. A czy ten, co taką daje nam poznać w słowach owego listu głąb duszy, nie wyraził najistotniejszej prawdy swej twórczości w owem przewodniem jej haśle:

Dla poety jedna tylko droga:
Z serca, przez miłość do Boga

i czy geniusz jego nie świeci nam tęczą wiary wśród klęsk, walących się ulewą z niebieskiego stropu?...

Walery Gostomski.

NA WZBRONIONYCH SZLAKACH.

Podróż i przygody w Tybecie Henryka S. Landora.

(Ciąg dalszy).

Brzegiem rzeki Kuti, potem okrążając wystającą skałę, dostali się do podnóża Lumpyi. Wejście zrazu było bardzo łagodne, tylko śnieg, w który obładowani ludzie zapadali się powyżej kolan, utrudniał bardzo chodzenie. Trzeba było obejść gleczer dziwnej budowy, gdyż w nim lód, przejrzysty jak szkło, składał się z warstw, zarysowanych w szerz prostemi, regularnemi liniami, podczas gdy inne linie, zielone, równie regularne i proste, przecinały go w kierunku pionowym. Na rycinie robi to wrażenie formalnych kratek. Stąd już góra jest niesłychanie stroma; nie obeszło się też bez przygód: Landor z Wilsonem, puściwszy się naprzód, zmylili drogę, wychodząc o paręset metrów wyżej, niż było potrzeba; dwóch Kulisów stoczyło się w dół z pakunkami; inny chrześcijanin mdlał ze zmęczenia i zimna. Wszystko jednak skończyło się szczęśliwie, poczęli szybko schodzić na tybetańską stronę, gdzie na 5150 metrów rozbili obóz. Ciężki to był dzień i niewesoły nocleg. Nigdzie dokoła nie było śladu drzewa ani krzaka ani mchu ani nawozu: nie było czem ognia rozniecić, a tragarze oświadczyli, że zimne jadło jest na tych wysokościach zabójcze i woleli o głodzie ułożyć się do snu. Mało kto wszakże spać zdołał, bo zimno było przenikające, wicher zrywał kołki namiotów, a nazajutrz,

gdy wstali, sypał im w twarz tumanami piasku i deszczu. Głodni zatem, przeziębli i niewypoczęci, ruszyli w drogę, oglądając się co chwila w obawie napadu krajowców. Niemała była trwoga, gdy Landor, idący przodem, ujrzał na śniegu świeże ślady stóp ludzkich: jawnem było, że ktoś zbliżył się, podpatrując, parękroć położył się twarzą do ziemi, aby podsłuchać, a następnie tą samą oddalił się drogą. Był to oczywiście *daku*, zbój czy też sepoy, wysłany na zwiady przez tybetańskich oficerów z Gyanemy... Biedni tragarze nie mieli siły ani odwagi zajść daleko dnia tego. Wcześnie bardzo zatrzymali się, a że nie było znów czem ognia zapalić, spożyli nieco mąki owsianej. Jeden Czanden-Sing, jako Radżput, wielce dbały o przepisy swej wiary, nie chciał tknąć surowej strawy, aby nie utracić *kasty*. Po dwóch dniach drogi bez jadła zawinął się cicho w derkę i usnął. Z rana było jeszcze gorzej; ludzie oświadczyli, że nie pójdą dalej w kraj, kędy niema paliwa — trudno się było dziwić biedakom. Gdy Landor jednak, wybiegłszy na wzgórek, przyłożył do oczu lunetę, przed którą mieli zabobonny respekt i za jej świadectwem zapowiedział im, iż nieco poniżej znajdzie się czem palić, wzięli napowrót tobołki na plecy i dziwnie żwawo wybiegli. Atoli dopiero po sześciu godzinach sprawdziła się przepowiednia; napotkali zarośle, krzaczki wysokie najwyżej 20 cm, a dosięgające grubości ołówka. Żadne cedry Libanu nie były z taką witane rozkoszą; 60 rąk rzuciło się naraz, aby je wyrywać i wnet gorąca polewka lała się się w zgłodniałe gardła. Znaleźli się na nią i amatorowie przychodni: dwóch biedaków przybłąkało się skądsiś, żebrząc. Domyślono się wnet, że to szpiegi. Landor nakarmił ich i wypytał; oni zaś przyznali, że kazano im wypatrywać za młodym Sahibem, który chce przekroczyć granicę. Że właśnie z owym Sahibem mówili, nie przyszło im na myśl; obaj Anglicy bowiem przywdziali byli turbany i ciemne okulary od śniegu. Podali się za Hindusów, lekarza i tegoż brata, pielgrzymujących ze swoją służbą do świętego jeziora Mansarowar.

Odprawiwszy szpiegów, naradzili się, czy ujść ku dżunglom, czy iść dalej wprost w kraj otwarty. Wilson zawyrokował,

że pozór ucieczki ściągnąłby podejrzenie i pogoń, że zatem lepiej iść jawnie, skoro nie popełnili nic złego. Poszli też na północny wschód, zostawiając na lewo płaskowyż. W Lama Czokden, przejściu obsadzonem załogą, zabiegła im drogę gromada żołnierzy. Każdy miał szablę u pasa i strzelbę z lontem, ale byli obdarci i przychodzili... żebrać. Skarżyli się, że są głodni, niepłatni, pytali znów o młodego Sahiba, mówiąc, iż dowódca z Gyanema otrzymał rozkaz schwytania go. Sami oświadczali, że mu głowę utną, czem Landor był tak rozczulony, że chciał ich obdarować rupiami.

— Nie dawaj pan nic — zawołał Kaczi. — Oni są w zmowie z dakoitami (zbójami) i dadzą im znać, że niesiemy pieniądze, a wtedy na dziś w nocy napad jest gotów.

Wilson potwierdził przezorną radę i Landorowi pozwolono tylko 4 annasy (około 40 fenigów) włożyć w wyciągniętą dłoń oficera. Ten zaś skłonił się nizko: rękami zgiętemi w łokciach i odwróconemi dłonią do góry, a zarazem z wyciągniętym szeroko językiem. Jest to najpokorniejszy *salaam* tybetański.

Podczas gdy Wilson jeszcze z żołnierzami rozmawiał, Landor stał wpatrzony w cudny widok. Na północy mgły od chwili rozprysły się po niebie, odsłaniając w śnieg uwieńczoną, wspaniałą górę Kelas. Podobna pięknemu dachowi świątyni, panuje „święta góra“ wysoko ponad długim, równie śnieżnym u szczytu grzebieniem i zdala opalowemi barwami odbija od ceglastego tonu pomniejszych wzgórz. Kelas przenosi o 600 m najwyższe grzbiety gór Gungri; składające ją prostokątne skały i terasy poprzerzynane są poziomemi wstęgami śniegu, podnoszącemi swoją białością różnorodne barwy kamienia. Kelas jest w mniemaniu Tybetanów, Jumlisów, Nepalczyków, a nawet Hindusów miejscem świętem, przybytkiem wszelkich dobrych duchów, a mianowicie boga Siwy. Wyżłobienie, otaczające górę u jej podnóża, ma być śladem sznurów, za pomocą których Rakas, tj. szatan usiłował tron Siwy wywrócić. Nie dziw, że tragarze Landora na kolanach, z gorącą modlitwą widok „świętej góry“ witali, że każdy biały kamień dołożył do pamiątkowego słupa, których

tu stoi mnóstwo z powiewającemi u szczytu długiemi szmatami i wypisaną na każdej modlitwą.

Przeszedłszy tak spokojnie pierwszą straż, podróżni zagłębili się w kraj, nie spotykając nikogo krom stad dzikich koni czyli *kiangów*, które szły uporczywie za nimi. Trzeba je było kamieniami odpędzać, gdyż są niezmiernie zdradliwe: zbliżają się do człowieka potulnie, a potem naraz chwytają pomiędzy potężne zęby. Widocznie ludzie i zwierzęta równają się szczerością w Tybecie. Zeszedłszy z linii pagórków na zieloną dolinę, ujrzeli przed sobą jezioro Gyanema, a przy niem fort, tj. obszerną, kwadratową turmę i u jej stóp kilka namiotów. Zaledwie się ukazali, wszczął się dokoła fortu ruch, graniczący z popłochem. Żołnierze, zbrojni w długie, drogimi kamieniami wysadzane pałasze, biegali na wszystkie strony, chwytali za strzelby, jakby na widok nieprzyjaciela. Równocześnie tragarze stanęli, dygocąc ze strachu. Wilson, porzuciwszy broń, poszedł naprzód, aby się rozmówić, przez ten czas Landor kazał derki rozesłać na ziemi na dłuższy *palawer*. Istotnie po chwili Tybetanie uspokoili się nieco, a starszyzna z *magpunem*, tj. dowódcą na czele zajęła miejsca na derkach. Anglicy, podając się znów za Hindusów, prosili o pozwolenie odbycia pielgrzymki, *magpun* atoli zapewniał ich, że mu nikogo idącego z Indyi przepuścić nie wolno. W tyle tragarze tulili się w trwodze, Daku, zrzuciwszy zwykły strój tybetański, krył się za stosem pakunków. Tylko wierny Czanden-Sing z drugim Hindusem-braminem i dwaj ochrzczeni słudzy doktora stali odważnie w pogotowiu. Rozmowa toczyła się wkółko, bez celu ni końca, aż dowódca, ośmielony łagodnością przybyszów, podniósł głos, mówiąc, że im raczej głowy poobcinać każe, niż ich przepuści. Na to Landor zerwał się na równe nogi sam gniewny i groźny, Czanden-Sing przyskoczył, mierząc strzelbą w głowę *magpuna*, dwaj chrześcijanie wyciągnęli ogromne noże. Trwało to chwilę, ale już Tybetańczyk cisnął był kapelusz do nóg Landora i, zgięty we dwoje, wołał: — Nie! Nie! Nie! *Salaam! Salaam! Salaam!* — i język wyciągał, wiele go starczyło. Podwładni zaś jego usunęli się

zręcznie i szybko tak, aby ciałem dowódcy siebie zasłonić od strzału.

Pertraktacye rozpoczęły się znowu, tym razem w znacznie przyjaźniejszym tonie i trwały aż do wieczora. *Magpun* prosił gości, aby przenocowali bezpiecznie na miejscu, obiecując dać nazajutrz odpowiedź. Przyjęli, bo nie mieli wyboru, czuli jednak, że dowódca pragnie tylko zyskać na czasie, widzieli gońców, wyprawionych konno w różnych kierunkach. Rozbito namioty, zapalono ogień z przyniesionego wraz z mnóstwem komplementów przez żołnierzy paliwa i Landor jął spokojnie urządzać swój nocleg, gdy Kaczi wpadł wzburzony, mówiąc, iż Tybetańczycy namawiają tragarzy do zdrady. Landor, wyszedłszy, zastał istotnie karawanę w gorączkowym ruchu. Szokasi, Jumlisy i inni wiązali pośpiesznie własne swe rzeczy wraz z zapasami żywności, dzieląc je od rzeczy Anglików. Kilka słów energicznych starczyło chwilowo na zaprowadzenie porządku, zapowiedź kuli w łeb pierwszemu buntującemu się lub dezerterowi przeciwważyła panicznej trwodze, jaką wzbudzał w nich sam widok Tybetańczyków. Rozstawiwszy straże, Landor powrócił do namiotu, gdzie Czanden-Sing czyścił strzelby, a chrześcijanie ostrzyli swe noże, t. zw. *gurkha kikris*, do ostrości brzytwy. Jeden bramin siedział cicho, nie biorąc udziału w przygotowaniach obrony, a zapytany odpowiedział — Bóg jeden może mi odebrać życie i bez Jego woli żadna kula mnie nie dotknie, choćby ze wszystkich strzelb w kraju strzelano. Jeśli zaś jest przeciwnie, to żadne ludzkie starania postanowień Bożych nie przełamią...

Na ten raz fatalizm bramina (mieszczący w sobie daleko więcej prawdy, niż się zdaje po wierzchu) okazał się nieszkodliwym. Magpun, odchodząc, przysiągł był „na słońce i na Trójcę“ (?), że podróżnym włos z głowy nie spadnie i przez noc dotrzymał słowa. Wczas z rana zato, Landor, wyglądając z namiotu, ujrzał zdążający do fortu długi rząd jeźdźców, prowadzących konie juczne, a zbrojnych w dzidy i strzelby. Załoga przyjęła ich z nadzwyczajną czołobitnością: snadź ktoś znakomity przyjechał. Wkrótce potem dano znać, że *tarjum* z Barki pra-

gnie się z podróżnymi rozmówić. Tarjum zaś, to prowincyonalny władca, coś jakby królik pod protektoratem. Znając hardość Tybetan, dającą się niechybnie we znaki, jeśli się z nimi postępuje inaczej jak z niższymi od siebie, Anglicy odpowiedzieli, że są przy śniadaniu i poślą po tarjuma, gdy skończą. Przysposobili tedy przed namiotem koce do siedzenia, Wilson wyciągnął dwa parasole, które przypadkiem zabrał, a które, trzymane nad ich głowami, miały podnosić ich godność; przysposobili swą broń i o 11-tej posłali po jego tarjumską mość. Niebawem pojawił się człowiek, z chińska w zielony jedwab odziany, z chińską czapką na długich włosach i z długim, malachitami zdobnym kolczykiem, a przytem w kontrastujących z tą wytwornością grubych butach, nabijanych gwoździami. Twarz jego bladą i niebrzydką szpeciły oznaki zmysłowości i wyraz niewymownej głupoty: *es war von interessanter Dummheit* — pisze autor. W ręku miał zwitek tybetańskiej tkaniny, którą regularnie ucierał nos za każdym razem, gdy odpowiedź jego wymagała namysłu.

Po nieskończenie długich komplementach, grzecznościach i ogólnej wystawie języków, z których barwy Landor wnioskuje o złym stanie tybetańskich żołądków wskutek nadużycia herbaty, po mnogich zapytaniach o zdrowie każdego możliwego członka rodziny rzekomych pielgrzymów hinduskich, przyczem tarjum mówił w sposób niesmacznie afektowany i oczu nie podnosił z ziemi, przystąpiono nareszcie do sprawy. Niestety nie szło pomyślniej, niż wczoraj; tarjum wił się i kręcił, nie śmiejąc zakazać wprost, lecz używając tysiąca wybiegów. Wkońcu Landor, zniecierpliwiony, skierował lufę strzelby, którą wciąż na kolanach trzymał, prosto w głowę tarjuma i niby przypadkowo spuścił rękę na cyngiel. Spostrzegł to książę i odtąd oczy jego zamiast w ziemię wlepiły się w otwór lufy, głowa pochylała się na różne strony, ale napróżno, bo się strzelba poruszała w ślad za nią; głos przybrał tony najgłębszej pokory. Nareszcie oświadczył, że oficyalnego pozwolenia dać im nie może, ale też nie zabroni, aby w 8 osób, nie z całą karawaną, poszli spełnić swe śluby do jeziora Mansarowar. Chciał się jednak poprzednio na-

radzić jeszcze ze swoją starszyzną. Co wyrzekłszy, obdarzył doktora chustką do nosa, podobną do swojej. W zamian ofiarowano mu Landora ręcznik kąpielowy, którego ostry a misterny materyał podziw w nim wzbudzał. Rozstali się w najlepszej przyjaźni, a pod wieczór przyniesiono wieść, iż tarjum istotnie na pielgrzymkę ośmiu ludzi pozwala. Landor zasnął uradowany. Aliści wśród nocy zbudził go nowy posłaniec, nakazujący cudzoziemcom wracać, skąd przyszli; snadź we własnej ich karawanie znalazł się zdrajca, który Tybetanom oznajmił, iż mniemany pielgrzymujący Hindus jest poszukiwanym Sahibem. Nazajutrz rano o jakie sto kroków przed namiotem stało 30 jeźdźców zbrojnych, mających służyć za konwój. Iść z nimi znaczyło tyle, co pojmanie i śmierć, należało tedy nadrobić miną. Zebrawszy drżącą trzodę Kulisów, Anglicy z Czanden-Singiem stanęli na ich czele i z bronią w ręku wyruszyli w stronę oddziału. Trzeba było widzieć zdumienie magpuna i innych oficerów. Żołnierze jęli zeskakiwać z koni, składając broń na ziemię na znak, że nie myślą o walce; podróżni jednak przeszli mimo, nie zważając na nich. Wtedy magpun pobiegł za nimi i poprosił o chwilę rozmowy.

— Jesteś opalony przez słońce — rzekł przez tłómacza, zwracając się do Landora — masz chore oczy (wnosił to z okularów), ale z rysów twoich znać, żeś z wysokiego rodu. W kraju twoim musisz znaczny piastować urząd. Toż nie chciałbyś, abyśmy byli za ciebie karani. Daj, byśmy się ucieszyli, patrząc, jak kroki twoje obrócisz wstecz. Abyś zaś nóg nie poranił w długiej podróży do twojej ojczyzny, przyjmij odemnie te buty.

Mówiąc to, wyciągnął z pod fałdów odzienia parę pięknie haftowanych sukiennych butów tybetańskiej roboty. Nie było co dalej się spierać; z sercem ciężkiem całą goryczą zawodu biedny Landor wyruszył w drogę odwrotu.

Prócz rozczarowania odczuwał niepokój i gniew, gdyż wkrótce pokazało się, iż nieproszona eskorta tybetańska towarzyszy im wciąż *incognito*, śledząc ich to z przodu, to w tyle: nadto za każdym prawie popasem zjawiali się przy ognisku jacyś żebracy, to znów zabłąkani pasterze, w których na pier-

wszy rzut oka poznawali przebranych żołnierzy. Tragarze coraz mniej wzbudzali zaufania; Daku oświadczył, że ma w pobliżu przyjaciół i pójdzie z nimi się złączyć; na groźbę Landora spokorniał, lecz odtąd zachodziła obawa, że, porozumiawszy się z dawnymi towarzyszami, sprowadzi rozbójniczy napad na niego i jego pieniądze. Za każdym marszem wstecz humor młodego Anglika pogarszał się; w głowie jego roiło się od projektów. Nareszcie, doszedłszy do podnóża Lumpyi, nagle wybuchnął. Ku przerażeniu doktora oświadczył, że pójdzie sam, że zboczy w dżungle i bądź co bądź dotrze do Lhassy. Próżnemi były prośby, próżnemi łzy w poczciwych oczach Wilsona, zaczął z najpotrzebniejszych rzeczy wiązać tobołek dość lekki, aby go módz unieść na plecach. Zamiar snadź objawiony był głośno, bo już po chwili wpadł do namiotu Kaczi-Ram, pytając, czy to prawda, że chce wyruszyć sam jeden. A gdy Landor odpowiedział, że prawda, oświadczył mu, że to jest niemożliwe i że w takim razie on także z nim pójdzie.

— Nie chcę, Kaczi! Zbyt wiele musiałbyś wycierpieć. Wracaj do ojca i matki!

— Nie panie. Gdzie ty pójdziesz, pójdę i ja. Mali ludzie nie cierpią. A jeżeli cierpią, to nic nie znaczy. Tylko wielkich ludzi cierpienia warte są, aby na nie zważano. Co ty cierpisz, chcę cierpieć i ja. Chcę z tobą iść.

Dziwny ten filozof szczerze myślał, co mówił. Był to rezolutny chłopak, zawsze wesół i żwawy, a nadto wywierający pewien protektorat nad pięciu młodymi Szokasami z tejże, co on, pochodzącymi miejscowości. Przyrzekł namówić ich do drogi i wyszedł niezmiernie dumny z paru słów szczerego uznania, które mu Landor objawił. Zaledwie się oddalił, wbiegł z kolei Czanden-Sing, ten, nie wiedząc o propozycyi Kacziego, zawołał z oburzeniem:

— Szokasi są podli i tamci są podli. Pan i ja pójdziemy sobie w dwójkę do Lhassy!

Ten istotnie nie bał się śmierci ani cierpienia, a jak był szczerym w swoich zapewnieniach, miała przyszłość aż nadto pokazać. Był to z natury żołnierz i myśliwy, roboty około jadła

i odzienia nie cierpiał i chętnie spędzał ją na innych. Że zaś trędowaty Man-Sing do tej samej co on należał kasty, więc używał go jako swego sługę. Sprzeczali się bezustannie, ale się kochali jak bracia. Stało się więc, iż pół namową, a na wpół tajemniczo skłonił teraz Man-Singa, by im towarzyszył. Prócz tego szedł Kaczi-Ram, Dola i pięciu Szokasów. Ostatnia ta noc była straszna; wicher tak silny, iż niepodobna było ognia rozpalić. Około północy Landor spędził z trudem swych towarzyszy, płaczących jak dzieci z zimna i trwogi. Wśród ciemności szalała zawierucha, miotając w twarz śnieg z piaskiem; szli omackiem w milczeniu; po kilkuset krokach zatrzymali się, aby pożegnać doktora. Ten raz jeszcze próbował ostrzegać:

— Bądź zdrów — mówił — niech cię Bóg strzeże. Idziesz na takie niebezpieczeństwa, że On jeden przeprowadzić cię zdoła. Idziesz na głód, na zimno, na nędzę — strach mi o ciebie...

Młodzieniec stał rozczulony, ale nieporuszony w zamiarze, aż wierny przyjaciel oddalił się z niedopowiedzianem pożegnaniem na ustach.

III.

Obóz znajdował się na 5150 m wys., stąd do szczytu było jeszcze 600 m, które należało przebyć nocą dla uniknięcia tybetańskich czat. Brnęli więc po śniegu wśród nocy, zaniepokojeni parękroć przeciągłym gwizdem, hasłem szpiegów lub zbójców. Położywszy się nad ranem u szczytu, zbudzili się około 1-ej z południa w mroźnej kąpieli, gdyż słońce stopiło grubą warstwę spadłego na nich śniegu. Wicher dął znów z całej siły; odkąd byli w Tybecie, zauważyli, iż regularnie zrywał się o 1-ej, z wieczora słabł i w nocy ustawał. Ognia palić nie śmieli, by dym ich obecności nie zdradził, więc i gotować nie mogli, a gdy wieczorem Landor namówił swych ludzi, by się choć zimnem pokrzepili jadłem, wraz pożałował swej rady, gdyż wszystkich chwyciły boleści. Wtedy przekonał się, że to, co miał za zabobon, było tylko wynikiem doświadczenia u himalajskich górali. Nowa noc przeszła pod mrozem i śniegiem. Biedny Mang-Sing cierpiał najwięcej, gdyż źle krążąca krew nie dawała mu się rozgrzać pomimo podwójnych koców, w które

go Landor zawijał. Kaczi zadziwiał wciąż dobrym humorem i skwapliwością, z jaką w najdziwaczniejszych chwilach chwytał angielskie wyrazy, kazał je sobie sylabizować i zapisywał w nieodstępnym „notesie". Dopiero drugiego dnia wieczorem mogli spuścić się z góry aż na brzeg rzeki i tu w zacisznem miejscu rozgrzać się przy ognisku i pokrzepić „kilku wiadrami" herbaty.

Teraz trzeba było przebyć ciągnącą się ku wschodowi między wzgórzami wązką, falistą dolinę. Stąd wyszli na płaskowyż, przez który, kierując się następnie brzegiem rzeki Gakkon, prowadzi główny trakt z Gyanemy do Taklakotu. Równina ta leży na 4810 m, rzeka o 170 m niżej. O ile oko przez szkła dosięgnąć mogło — a w jasnem tybetańskiem powietrzu sięga dziwnie daleko — nie było widać żywego ducha; tragarze jednak woleli zejść do skalistego parowu, przerzynającego płaskowyż wzdłuż jednego z licznych tutaj strumieni. Zaledwie atoli Landor nachylił się z nad brzegu, ujrzał w dole obóz tybetański z owcami, jukami i, co gorzej, z żołnierzami, pomiędzy którymi rozpoznał dawnych znajomych z Gyanemy. Musieli więc cichutko przeczekać do nocy, poczem, obszedłszy zdaleka obóz, spuścić się do strumienia w głębię wązkiego jaru. Rozbić jedynego namiotu swego nie było podobna, więc Landor, dostrzegłszy w pół skalistej ścianie parowu rodzaj podłużnej platformy, osłoniętej z góry wystającym głazem, wydrapał się tam, a za nim jego tragarze. Tu mogli wygodnie kryć się poza kamienie, mogli również ukryć pakunki i raz chociaż odpocząć bezpiecznie. Radość jednak była krótka, gdyż, lustrując zapasy żywności, które miały na 10 dni starczyć, przekonał się, że ich mało co zostawało, że mianowicie soli nie było prawie nic. Czy doktór, który się podjął dozorowania przy pakowaniu, w żalu swoim ten ważny szczegół prześlepił, czy Szokasi, nawpół przytomni w chwili wymarszu, zapomnieli wziąć, co im kazano — dość, że żywności nie było. Landorowi zrobiło się dziwnie gorzko na sercu; nowa zapora zdała się niepodobną do przezwyciężenia. Trzeba będzie z niczem powrócić po tylu trudach, po tylu cierpieniach...

Wtedy dopiero poczuł ogromne zmęczenie; od kilku godzin

był przemoczony do nitki, ale o tem zapomniał, aż dreszcz po dreszczu jął wstrząsać jego ciałem. Z dreszczami przyszła gorączka, wśród której myślał, że kona. Zbudziła go myśl nagła, zapewne z gorączki wyrosła, a której dzięki podnieceniu uchwycił się i zamienił ją w czyn. A była to myśl śmiałości szalonej: czterej z jego ludzi, dwaj w postaci handlarzy, dwaj jako żebracy, mieli wybrać się do Taklakotu dla zakupienia żywności. Sprawa była ciężka, bo w razie odkrycia schwytanym groziła niechybna śmierć po najokropniejszych męczarniach. Niemniej przeto Dola i trzech innych zdecydowało się pójść. Dano im na drogę całą resztę zapasów i poszli; pozostałym miały za pożywienie służyć gotowane pokrzywy, których wielka moc rosła w pobliżu.

Ubiegły trzy długie dni, aż w nocy czwartego w jarze dały się słyszeć kroki, potem szelest coraz bliższy kryjówki. — Kto idzie? — zapytał Landor, sposobiąc broń. — Dola! — brzmiała odpowiedź i cztery ciemne postacie rzuciły się do jego nóg, wzdychając i płacząc. Przynosili zapasy, ale i mnóstwo złych wieści. Jong Pen (pan twierdzy) Taklakotu, rozgniewany przesłanemi mu z Garbyangu od Landora wyzywającemi słowami, równie jak i zakazem rządu angielskiego wybierania podatku gruntowego w kraju Szokasów, uwziął się, aby go do Tybetu nie wpuścić. Wprawił w ruch wszystkie załogi, rozkazał dostawić sobie Sahiba trupem czy żywcem, wyznaczając za głowę jego nagrodę 500 rupii, istny majątek dla przeciętnego sepoysa... W ostatnich tygodniach żadnego nie przepuszczono Szokasa, dwóch fakirów, schwytanych na górze Lumpiya, pojmano i osieczono okrutnie. Oni sami zostali aresztowani u wejścia do twierdzy i poddani długiemu śledztwu. Szczęściem kupiec Ceheran, ten sam, który Landora ugościł w Garbyangu, poznał ich i, dostarczywszy im żywności za 40 rupii, ułatwił im zręcznie ucieczkę.

Epilogiem raportu było sowite wynagrodzenie dla każdego z posłańców, ale równocześnie i bunt tragarzy, którzy oświadczyli, że dalej nie postąpią kroku. Gdy Landor odpowiedział groźbą, umilkli i zeszli w jar, gdzie skupili się, rozprawiając półgłosem około małego ogniska. Czanden-Sing położył się i zasnął,

Landor wszakże był niespokojny. Ukrył się za głaz i nasłuchiwał. Urywane wyrazy, które dochodziły go z dołu, podwoiły jego podejrzenie: chciano go się pozbyć, aby się podzielić nagrodą i łupem. Wkońcu widział jak ciągnęli losy, kładąc kolejno ręce na długi kij, aż ten, któremu wypadło położyć dłoń na ostatku, wyciągnął swój nóż i jął go oglądać, a drudzy, zakrywszy głowy derkami, ułożyli się do snu. Wtedy Landor w milczeniu wziął strzelbę i oparł przed sobą na murku tak, iż gdy wybrany losem morderca po długim namyśle wyszedł ostrożnie z nożem swoim pod górę, spotkał się niespodzianie z lufą, dotykającą go w twarz. Strach jego był nie do opisania, wszelako zamiast kuli dostał tylko porządnie kolbą po plecach, zaczem przyznał się do winy i na kolanach błagał przebaczenia.

Reszta nocy przeszła względnie w spokoju. Z rana zaś, gdy sposobiono pakunki do drogi, jeden z Kulisów wystąpił, mówiąc, że znając dokładnie drogę do Mansarowáru, podejmuje się przeprowadzić tamże bez niebezpieczeństwa choćby i w biały dzień. Landora zdziwiła taka nagła gotowość, szedł więc bardzo ostrożnie, aż okazało się jawnie, iż celem nowego przewodnika było wydanie go w ręce żołnierzy. Zaledwie oświadczył, że dalej nie pójdzie, Szokasi cisnęli pakunki swoje na ziemię; wtedy jednak posypał się na nich grad razów, jakiego chyba w życiu nie dostali. Landor bił z przekonania i polityki, Czanden-Sing zaś z upodobaniem i największą oczywiście porcyą darząc grzbiet głównego zdrajcy. Wskutek tej reprymendy spokornieli na nowo i przyrzekli solennie towarzyszyć Landorowi na pół drogi od Mansarowaru do Lhassy. Nastał tedy spokój; w duchu młody Anglik przebaczał im, działali bowiem ze strachu nie tyle przed śmiercią co przed torturami z rąk Tybetańczyków.

Jaką w tych zajściach była rola Kacziego i Man-Singa, autor nie pisze. Przypuścić jednak należy, iż biedak trędowaty był niewinny; skoro bowiem po całym dniu uciążliwej drogi zabrakło go na popasie wieczornym, Landor zaniepokoił się wielce. Przy końcu drogi jęczał pod swojem brzemieniem, potykał się i upadał... Posłano dwóch ludzi za nim, ale go nie znaleźli; noc już zapadła. Poszli jeszcze Czanden-Sing i Dola

i po godzinie przywiedli go, a raczej przynieśli: zemdlał ze znużenia po drodze, a oni przypadkowo w ciemności potknęli się o jego ciało. Teraz atoli trzeba było iść dalej i to pod górę pod burzą deszczu i gradu, więc Czanden-Sing i Landor wzięli pod ramiona chorego; po burzy przyszedł mróz na 11°, przyczem gwiazdy zdały się dziwnie latać po niebie. Trudno było na razie dojść przyczyny tego optycznego złudzenia.

Szli tak już nie dniem, ale nocami z góry na górę i z jaru w jar, wśród śnieżyc na szczytach i wielkich trudów wszędzie, aż wreszcie z wysokości 5350 m ujrzeli dwa wielkie jeziora: Rakastal i Mansarowar — jezioro Dyabelskie i Święte. Teraz oddychał już Landor swobodniej; tu już byli wolni od pościgu tybetańskich straży, byli poza sferą władzy Jong Pena z Taklakotu i magpuna z Gyanemy.

IV.

Noc była czarna, gdy, zeszedłszy z ostatniego wzgórza, znaleźli się u brzegu świętego jeziora. Zdala widzieli *gombę* czyli klasztor lamów z przyległą świątynią i gliniane lepianki wsi Tuker, teraz wśród ulewnego deszczu i gradu dostrzegali tylko od czasu do czasu ogniem błyskawic oświetlone fale jeziora. Błądzili długo w ciemności, aż wkońcu szczekanie psa, naprzód jednego, potem całej psiarni zwiastowało im blizkość osady. Jeden z Szokasów, znający miejscowość z poprzedniej podróży, powiódł ich do budy, zwanej tu serajem, przeznaczonej na przytułek pielgrzymów. Długo stukali napróżno, gospodarz bał się otworzyć, myśląc, że zbójcy, a gdy Czanden-Sing i Dola, chcąc go uspokoić, wzięli się na delikatny sposób wysadzenia drzwi, rad nie rad pozwolił im wprawdzie nieco przy ognisku się ogrzać, ale na resztę nocy wolał ich przezornie wyprawić do innego „seraju“. Tu gospodarzył młody lama nie bardzo zdrów na umyśle, ale mniej bojaźliwy od swego kolegi; ten przyjął życzliwie podróżnych, gotów, z wielkiemi wybuchami śmiechu, spełniać dla nich wszelkie posługi.

Snadź wieść o przybyciu dostojnych gości rozeszła się szybko, zaledwie bowiem z rana otworzyli oczy, począł do izby tłoczyć

się tłum krajowców. Każdy, z jakimś przedmiotem na sprzedaż, usiłował drugich przekrzyczeć i za pomocą szturchańców wydobyć się naprzód. Podobne sceny dzieją się nietylko w Tybecie. Landor bawił się studyowaniem twarzy, ruchów i wyrobów krajowych, zwłaszcza garnków i dzbanów wykonywanych ręcznie, niemal bez narzędzi, wszystko jednak ma swoje granice, więc był rad, gdy targ został przerwany wejściem kilku lamów, zapraszających go do swojej pustelni. Przyjął skwapliwie, podając się znów za pielgrzymującego hinduskiego lekarza.

Czanden-Singowi zaś kazał wziąć strzelbę i towarzyszyć sobie do gomby. Sam był również zbrojny; lamowie bowiem tak byli grzeczni, iż należało się obawiać zasadzki. Wielki, kwadratowy budynek o czerwono pomalowanych murach i ciężkiej, miedzianej kopule wznosił się tuż nad brzegiem jeziora. Z wnętrza dochodził szmer nizkich, ochrypłych głosów, którym od czasu do czasu towarzyszył tętent bębna lub nagłe uderzenie w *gong*, którego dźwięk zdala odbijały fale. Zaledwie Landor i Czanden-Sing stanęli w progu, zawarto za nimi bramę pustelni! Znaleźli się w obszernym dziedzińcu, po którego obu stronach biegły galerye, podparte rzędami kolumn. To był *laprang*, mieszkanie lamów; wprost zaś na podwyższeniu $1^1/_2$ m stał *lakhang* czyli świątynia. Do wielkich drzwi tejże wiodło kilka schodów i znaczne (podobnie jak w wielu kościołach) zagłębienie muru, a w niem po obu bokach nyże, zapełnione — nie posągami, ale żywymi lamami, siedzącymi na posadzce obok wielkich bębnów z książką do nabożeństwa, różańcem i młynkiem czy też kółkiem modlitewnem w ręku. Na widok przybywających przerwali modlitwy i jęli bębnić z pośpiechem. Cała gomba wydała się być w zamieszaniu i podnieceniu ogromnem, młodzi i starzy lamowie wypadali ze swoich cel, ponad galeryami tłoczyła się gromada nowicyuszów w wieku lat od 12—20. Landor zaniepokoił się nieco; wsunąwszy jednak parę srebrnych monet w ręce lamów odźwiernych, wszedł rezolutnie do wnętrza. Wtedy wystąpił Wielki lama, przełożony gomby, skłonił się nizko, zakładając dwa palce jeden na drugi i wywalił szeroko język na znak pochwały za uwagę, z jaką rzekomy pielgrzym przyglądał

się mnogim posągom, ustawionym wzdłuż ścian świątyni. W pośrodku świątyni kolumny, połączone balustradą, tworzą kwadrat, podtrzymujący powałę, obitą fałdowaną tkaniną czerwoną jak suknie lamów. Z opony tej zwiesza się mnóstwo różnokolorowych, podłużnych skrawków wełnianych, jedwabnych lub bawełnianych. Między kolumnami płonie wielka moc lampek, ustawionych na podłodze wśród podłużnych książek, cymbałów i bębnów. O jednym z tych Landor mówi, iż mu się zdał z części ludzkich czaszek złożony. Słyszał śpiewy lamów, wykonywane przy zagłuszającem towarzyszeniu piszczałek, gongu, bębnienia, cymbałów i dzwonków, nie widział jednak okropnych masek, któremi zasłaniają twarz podczas swych obrzędowych tańców. Ceremonie te, w czasie których całymi dniami nie opuszczają świątyni, żywiąc się tylko przynoszoną im w czarach herbatą z masłem i solą, odbywane są na cześć najwyższego bóstwa — Konczoksum. Nazwa Konczoksum oznacza literalnie „trzy klejnoty", którymi są: Budda, nauka wiary i społeczność wiernych, złączone w trójcę. To, co w Indyach, ojczyźnie buddyzmu, było w początkach abstrakcyjnie pojęte, zostało uosobione w Tybecie; cała religia czy też filozofia Buddy nabrała ciała — jego nirwana zamieniła się w niebo pełne radości, jego najznamienitsi czciciele w bogów... Główną cnotą (oczywiście w teoryi) jest miłosierdzie, głównymi grzechami rozpusta, pycha i zazdrość, za które czeka po śmierci kara piekieł wśród ognia i lodu.

— Czy spodziewasz się kiedyś zostać świętym? — zapytał Landor jednego z lamów, mówiącego trochę po hindostańsku.

— O tak, spodziewam się — odrzekł. — Ale aby nim zostać musi duch nieskalany przebyć 500 wcieleń.

Lamowie dzielą się na dwie grupy: starszą, czerwono odzianą, nieco już podupadłą i nowszą, żółtą, dzierżącą wyraźną przewagę. Gomb czyli pustelni jest wiele, a wszystkie są bardzo zamożne, wolne od podatków, wzbogacone przez szczodre datki wiernych, niektóre nawet regularnie wspomagane przez rząd. Prócz ofiar w naturze, składanych bogom, ciągną jeszcze lamowie niemałe poboczne zyski z guseł, leczenia, lichwy i z innych, w porządnych krajach wzbronionych zarobków. Prócz wię-

kszych miast, mieszczących bogatych handlarzy, kraj cały żyje w ubóstwie, wyzyskiwany z jednej strony przez dakoitów, a z drugiej przez kapłanów. Reguła ich zobowiązuje do dwutygodniowej klauzury i milczenia co kwartał, oraz do pewnych dni najsurowszego postu; z twarzy ich wszakże i całej postaci znać dobrobyt, a nawet dogadzanie sobie we wszystkiem. Liczba ich jest bardzo wielka; starają się bowiem o członków z każdej znaczniejszej rodziny dla osiągnięcia tem silniejszego i rozleglejszego wpływu, nie baczą przytem, czy kandydat jest uczciwym człowiekiem, czy zbójem. Co prawda rzadko przyjmują dorosłych; większość przyjętą bywa w 7—9 roku życia i stanowi nowicyat, trwający lat kilka. Młody *szabi*, ogolony już i w szaty mnisze przybrany, powierzony jest jednemu ze starszych, pod którego kierunkiem się uczy, pełniąc przytem grubszą służbę w gombie. W 15 latach otrzymuje drugie „święcenie“ i wstępuje na wyższy stopień t. zw. *getsul*, na którym jednak nie ma jeszcze wszystkich praw ani wszystkich obowiązków istotnego mnicha i dopiero w 5 lat potem zostaje lamą. Sam wyraz *lama* znaczy tyle, co wyższy lub zwierzchnik. Na czele każdej pustelni stoi Wielki lama czyli przełożony, należący do starszyzny kapłańskiej, niezawsze jednak liczący się do „nowowcielonych świętych“, którzy z Dalaj-Lamą na czele stoją u szczytu hierarchii. W tych ostatnich, według wierzeń tybetańskich, żyją od chwil ich poczęcia dusze ubóstwionych świętych, przebywające w ten sposób od wieków na ziemi pod kolejną osłoną różnych ludzkich postaci.

Łatwo sobie wyobrazić, jakiej taki „nowowcielony“ musi wśród ciemnego ludu używać powagi, zwłaszcza przy pomocy sztuczek i guseł, któremi Lamowie wogóle potęgują swą sławę nieomylności.

Wstępując do pustelni, lamowie ślubują bezżenność, niezawsze jednak dotrzymują ślubu. Wogóle moralność ich bardzo wiele do życzenia zostawia. Landor uznaje ich za wielce intelligentnych, ale zarazem nieludzkich, okrutnych i niegodziwych, o czem nauczyło go nie tylko własne doświadczenie, ale i skargi niejednego krajowca, marzącego o zrzuceniu gniotącego jarzma.

Nielepsze od gomb męskich są pustelnie żeńskie, choć niektóre z nich ścisłą na oko zachowują klauzurę; zazwyczaj kobiety te równie są niemoralne jak ich bracia-lamowie, a w najlepszym razie przedstawiają bardzo podły typ ludzkości.

Każda znaczniejsza gomba utrzymuje swoich kamieniarzy, którzy jeżdżą po kraju, aby na szczytach i w najdzikszych miejscach ryć na odłamach skał tajemniczy napis: *Om mani padme hum* — (Om klejnot lotosu, amen). Słowa te odnoszą się do nowego wcielenia apostoła buddyzmu w Tybecie, Oma, czyli Awalokiteszwary, mającego zapewne wyjść z kielicha lotosu, jak niegdyś bóg Brama na początku stworzenia. Niektóre z tych napisów są ogromnej wielkości. Pod kierunkiem lamów również bywają wyrabiane różnorodne młynki i koła modlitewne, małe, ręczne, osadzone na kijku i wielkie, obracane wodą lub wiatrem. Tybetanie są na swój sposób niezmiernie nabożni, więc na młynki nabywców nie braknie; zewsząd też powiewają długie strzępy z wypisaną na nich modlitwą. W namiocie na pierwszem miejscu stoi ołtarzyk z jakąś pozłacaną figurką, przed którą palą się lampki i stawiają ofiary. Mnóstwo też widzi się maleńkich kapliczek, zawierających czasem pamiątki, t. j. książkę, kawałek odzienia lub kości, należącej niegdyś do którego z ich wielkich ludzi, lub też małą urnę z popiołami zmarłego. Zdarza się też, iż z popiołów, zmieszanych z gliną, ulepiają rodzaj medalionu i wyciskają na nim obraz Buddy, palenie ich ciał jest wszakże rzeczą niesłychanie rzadką, jedynie najbogatszym dostępną z powodu ogólnego braku materyału opałowego.

Inny sposób pozbycia się nieboszczyka polega na złamaniu go we dwoje, zaszyciu w worek skórzany i wrzuceniu do rzeki na łaskę prądu. Trzeci jest tak okropny, iż wolimy całą odpowiedzialność za opowiadanie Landorowi zostawić.

— Zwłoki bywają wyniesione na wzgórze, gdzie lamowie odprawiają nad niemi osobne modły i uroki. Następnie obecni obchodzą je siedm razy dokoła, poczem usuwają się na pewną odległość, aby kruki i psy swobodnie zbliżyć się mogły. Szczęśliwą wróżbą dla zmarłego i jego rodziny jest, jeśli ciało jest pożarte li tylko przez ptaki, lamowie bowiem uczą, iż psy lub

dzikie zwierzęta kąsają jedynie ciała grzeszników. W każdym razie przytomni czekają skwapliwie na chwilę, gdzie już większa część ciała niknie pod dzióbem czy zębem, wtedy z lamami na czele powracają na wzgórze, okrążają znów siedmkroć nieboszczyka, wywijając z lewego boku w prawy modlitewnymi młynkami i powtarzając półgłosem zwykłą formułkę: *Om mani padme hum.* Następnie wszyscy siadają w krąg zmarłego — lamowie tuż przy trupie i, wyciągnąwszy noże, krają w kawałki pozostałe szczątki ciała. Pierwszy kęs spożywa Wielki lama, po nim jedzą inni kapłani, mrucząc modlitwy, a wreszcie krewni i przyjaciele rzucają się tłumnie, aby ostatnie odrobiny mięsa zdrapać z kości i chciwie połykać. Straszna ta uczta przeciąga się, dopóki szkielet nie zostanie oczyszczony zupełnie i suchy!

Ale dość o tem. Przejdźmy od pogrzebów do małżeństw, choć i tu pono prospekt niezbyt wesoły. Zasady moralności w Tybecie są tak luźne, iż według miejscowych pojęć niewiadomo, kogoby nazwać niemoralną kobietą. Szczęściem same kobiety lepsze są od swych zasad, posiadają dużo osobistej godności i prostoty w obejściu, wykluczającej wszelkie niesmaczne lub nieuczciwe intencye. Dziewczę obowiązane jest dbać o swą cześć aż do ślubu. Wychodząc za mąż jednak, poślubia nie jednego człowieka, ale prócz niego wszystkich jego młodszych braci. Pan młody również poślubia wraz z żoną młodsze jej siostry. System to niesłychanie zawiły. Jeżeli np. w jednym domu są trzy siostry, a z tych drugą pierwej zażądają w małżeństwo, trzecia idzie z nią wspólnie, jako dodatek do nowego stadła. Najstarsza zaś pozostaje wolną i może obrać małżonka, który musi na jednej poprzestać żonie, chyba że szwagier, ożeniony z obu młodszemi, przeniesie się do tybetańskiego nieba; w takim bowiem razie mąż najstarszej siostry obie młodsze musi przyjąć za swoje. Przynależność dzieci jest też dziwnie postanowiona z góry: gdzie jest np. trzech braci, tam pierwsze dziecko należy prawnie do najstarszego, drugie do młodszego, trzecie do najmłodszego, a czwarte znów do starszego. Jest to zatem nierząd uorganizowany i powiązany taką siecią przepisów,

iż staje się stokroć cięższym od naturalnego porządku chrześcijańskiej rodziny.

Zazdrość w tych dziwnych stadłach jest częstą, a kłótnie i zawiści nie miałyby końca, gdyby nie takt i przezorność kobiet, które widocznie nad rodzajem męskim górują. Taka np., której mąż ma kilku braci, umie zazwyczaj tak się urządzić, iż się nigdy razem nie znajdują w domu. Rozsyła ich to z trzodami w góry, to za sprawami handlowemi; powracający zastępuje odjeżdżającego przy ognisku domowem. Życie podobne musi być niesłychanie męczącem, rozwody wszakże są rzadkie i trudne, bo połączone z tysiącznemi komplikacyami. Prawo zaś jest nieubłagane — tam, gdzie surowością swą może wydusić pieniądze. Tybetańczyk, pragnący się rozwieść, bierze się tedy na sposób: porzuca poprostu swoje małżonki i usuwa się za granicę. Celem systemu tybetańskich zbiorowych małżeństw jest chronienie rodzinnego dobytku przed rozprószeniem a może i czystości krwi przed obcą przymieszką. Tybetańczykom, pasącym trzody po stronie indyjskiej, łatwoby przyszło dostać żony z tamtejszych plemion, gdyby nie byli poniekąd związani w domu małżeństwem starszego brata. Wogóle jednak wielożeństwo istnieje raczej w teoryi, aniżeli w praktyce, dla najlepszych ze wszystkich przyczyn — braku kobiet.

Obok zmateryalizowanego buddyzmu zachowały się w Tybecie szczątki szamanizmu, mianowicie w pojęciu o chorobach. Uważają je zawsze za objaw gniewu lub głodu jakiegoś ducha, którego należy albo zmódz za pośrednictwem silniejszego ducha lub nasycić, ofiarując mu jakieś zwierzę w miejsce chorego człowieka: gdy duch bardzo głodny, nie pyta się, czy krew ludzka, czy psia. Jeżeli choroba skomplikowana, co oznacza działanie kilku duchów naraz, krewni niosą ofiarę na rozstajne drogi i rozrywają żywcem na cztery części, które ciskają na cztery strony świata, by zaspokoić apetyt demonów. Gorszymi jednak od tych są sami lekarze ludowi, coś w rodzaju szalbierzy, zwanych w ziemi jakuckiej „szamanami kłamliwymi“, a praktykujących sztuką lekarską obok czynności lamów. Landor był

świadkiem leczenia, a raczej tortur, z których pacyent, cierpiący na prosty postrzał w plecach, wyszedł konającym. Ma się rozumieć, iż ani smutny wynik guseł ani bezbronne znęcanie się nad chorym nie umniejszyło wiary otoczenia... Landor podaje jeszcze o ludności Tybetu, o jej sposobach żywienia się, strojach, mieszkaniach, i t. d., mnóstwo szczegółów, których brak miejsca nie dozwala tutaj powtórzyć. Szczegóły to po większej części lokalne, które, być może, iż przez pobyt w tybetańskich miastach, a zwłaszcza przez dłuższe zamieszkanie w kraju uległyby niejakim modyfikacyom. Landor był za krótko i nie dość głęboko za Himalajami, można powiedzieć, że z nich prawie nie wyszedł podczas swojej 9-cio miesięcznej wędrówki. Trzeba nadto przyznać, iż w księdze jego (jest bardzo wielka!) więcej pociągający jest opis jego osobistych przygód od strony geograficznej i etnograficznej, choć i te — zwłaszcza ostatnie — bardzo się żywo wśród opowiadania rysują.

(Dok. nast.).

Teresa Wodzicka.

Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne.

(Ciąg dalszy).

Gdyby to życie nadprzyrodzone, o którem poprzednio mówiliśmy [1], wlewał w nas i podtrzymywał Chrystus Pan sam przez się, własnem wyłącznie działaniem, całkiem niezależnem od wpływu i współdziałania Kościoła, byłby On dla dusz naszych siłą ożywczą, tkwiącą nie w samym organizmie kościelnym, ale poza nim i działającą nań z zewnątrz, tak mniej więcej, jak w naturalnym porządku rzeczy Bóg-Stwórca, który, choć wlewa życie w martwe ciała swych stworzeń i ciągle je podtrzymuje, nie staje się jednak wewnętrznym pierwiastkiem ożywczym tych istot, które do życia powołał; albo jak słońce, co pobudzając wzrost i wegetacyę roślin, nie jest jednak wewnętrzną siłą żywotną samego organizmu rośliny, spojoną z nim w jedną żywą, razem współdziałającą całość.

Otóż Chrystus Pan — wedle tego, co w myśl nauki św. Pawła zaznaczyliśmy na początku tej pracy [2] — ma być w stosunku do Kościoła taką właśnie siłą żywotną i organiczną, bijącą w samem wnętrzu kościelnego ustroju, jego granicami zamkniętą, z jego bytem spojoną, od warunków jego istnienia, rozwoju i współdziałania zależną.

Tak jest w istocie.

---

[1] *Przegl. Pow.* luty, 1902, str. 157 i nast.

[2] *Przegl. Powsz.*, luty 1902, str. 166, 174.

Jak byt i cała działalność duszy naszej, chociaż ta dusza z natury swej mogłaby istnieć i działać niezawiśle od ciała, faktycznie jednak jest z tem ciałem sprzęgnięta i od niego ciągle zależy — tak mniej więcej rzecz się ma z Chrystusem i Kościołem. Nadprzyrodzona, ożywcza moc, która w duszach ludzkich życie łaski stwarza i zachowuje, mogłaby bez kwestyi spływać na nas z rąk Bożych i wysług Chrystusowych niezależnie od wszelkich widzialnych warunków i współczynników ziemskich: faktycznie jednak z woli Najwyższego, który taki obecnie ustanowił porządek rzeczy, nie spływa inaczej, jak tylko w obrębie widzialnego Kościoła, i nie inaczej, jak tylko zależnie od pewnych tegoż Kościoła czynności i urządzeń. Takie jest, powtarzamy, z woli Bożej o g ó l n e prawo obecnego porządku rzeczy; czy zaś to prawo w pewnych warunkach dopuszcza jakichś wyjątków, kiedy te wyjątki zachodzą i jakim podlegają prawidłom — tego tu roztrząsać nie mamy potrzeby. W niniejszej rozprawie chodzi nam tylko o tę zwyczajną, jak mawiali Ojcowie, ekonomię Bożą, która wskazaną jest obecnie rodzajowi ludzkiemu jako normalna droga zbawienia, nie zaś o one wyjątkowe drogi Opatrzności, któremi Ona posługiwać się może, kiedy chce, przedewszystkiem w nadzwyczajnych wypadkach.

Otóż wedle tego ogólnego i zwyczajnego porządku rzeczy, który obecnie ma miejsce, podobnie jak dusza ludzka nie wnosi życia w inne części materyi, tylko w te, które już weszły w skład organizmu i przyswojone przezeń zostały; jak dalej to życie do przyswojonej nawet przez organizm materyi nie dochodzi inaczej, jak tylko za pośrednictwem i przy ciągłem współdziałaniu najróżnorodniejszych narządów, dróg i łączników organicznych — tak i w procesie ożywczego uświęcania dusz naszych łaska poświęcająca i inne nadprzyrodzone dary na tych tylko ludzi zstępują, którzy w jakiś, mniej lub więcej ścisły sposób weszli już w skład Kościoła, i nie inaczej zstępuje, jak tylko przez pośredniczące i pomocnicze czynności innych ludzi, będących czyto ściśle wziętymi organami Kościoła, czy też przynajmniej jakiemś chwilowo przybranem przez Kościół narzę-

dziem, w każdym jednak razie działających zawsze z ramienia i władzy Kościoła, w jego imię i po jego myśli.

Tłumaczenie to nie jest żadnym sztucznym i pracowicie skonstruowanym pomysłem: opiera się ono na całym szeregu prawd, zawartych niewątpliwie w nauce katolickiej i powszechnie zresztą znanych. Żeby o najgłówniejsze tylko dowody potrącić, dość przypomnieć naukę, zawsze w Kościele głoszoną, na czwartym soborze Lateraneńskim uroczyście zdefiniowaną, a niedawno temu przypominaną raz po raz z szczególnym naciskiem całemu chrześcijańskiemu społeczeństwu przez Piusa IX, że dla tych, co świadomie i dobrowolnie żyją i umierają poza jednym prawdziwym Kościołem, niema żadnej zgoła nadziei zbawienia. Oto słowa głośnej allokucyi papieskiej z dnia 9 grudnia 1854: „Wierzyć należy, że nikt poza Apostolskim, Rzymskim Kościołem zbawiony być nie może; jest to jedyny korab zbawienia; kto nie wnijdzie do niego, ten zginie w wodach potopu“ [1]. — Dalszym dowodem są różne partye katolickiej nauki o sakramentach. Sakramenta, jak wiadomo, są zwyczajnymi środkami i jakby narzędziami w ręku Bożem do uświęcania dusz. Albo wlewają życie łaski, albo je pomnażają i potęgują. Otóż wszystkie sakramenta, wedle tego, co ciągle głosili wiernym najstarsi już Ojcowie, są drogocenną spuścizną i jakby królewskiem wianem, które przekazał Chrystus Kościołowi, swojej oblubienicy, na jej wyłączną i niepodzielną własność. Piętno przynależności do Kościoła jest więc od sakramentów nieoddzielne; zachowują je zawsze i wszędzie, gdziekolwiek i przez kogokolwiek ważnie administrowane bywają. Heretykom i odszczepieńcom, którzy za czasów św. Augustyna chełpili się z posiadania prawdziwych sakramentów, wyrzucał w dosadnych wyrazach ten wielki Ojciec Kościoła, że śmiesznem jest i bezwstydnem popisywać się obcą własnością, zagarniętą całkiem bezprawnie, drogą prostej grabieży i rabunku z jedynego Chrystusowego Kościoła, zawsze zatem, nawet gdy jest w obcych rękach, należącą do właściwego pana.

---

[1] Denzinger: *Enchiridion*, nr. 1504.

Wiadomo, że wedle katolickiej nauki, większej części sakramentów nikt inny ważnie administrować nie może, tylko ten, kto otrzymał konsekracyę kościelną na kapłana lub biskupa. Jeśli katolicy w pewnych razach uznają ważność Eucharystyi, Bierzmowania, Kapłaństwa u sekt heretyckich lub odszczepieńczych, to tylko dlatego, że w tych oderwanych pseudo-kościołach biskupia i kapłańska ordynacya jest ważną, t. j. że ostatecznie daje się sprowadzić, jako do swego źródła, do konsekracyi, danej kiedyś prawidłowo w obrębie i przez władzę prawdziwego Kościoła; i że następnie przechodziła z pokolenia na pokolenie co do istoty rzeczy w ten sam sposób, w jaki się jej udziela z Chrystusowego ustanowienia w Kościele katolickim.

Nasuwa się tu trudność, że konsekracya kapłańska nie jest potrzebną do ważności wszystkich sakramentów; owszem nie jest wymaganem do tej ważności żadne szczególne ze strony Kościoła posłannictwo, ani nawet jakakolwiek, choćby najluźniejsza przynależność do niego. Wszak sakramentu chrztu, który jest przecie początkiem i podstawą całego życia nadprzyrodzonego, może wedle katolickiej nauki udzielić ważnie każdy, kto ma po temu wolę, choćby to był Żyd, albo poganin, całkiem nawet świadomie i dobrowolnie stojący poza Kościołem, i żadnym szczególnym ze strony Kościoła aktem do tej czynności nie umocowany. — Tak jest bez kwestyi. Ale pamiętać trzeba i o innej, równie wyraźnej katolickiej nauce, że do ważności czyto chrztu, czy któregokolwiek innego sakramentu niezbędnem jest, aby ten, który sakrament sprawuje, chociaż może sam osobiście oddzielony jest od Kościoła, w tym jednak akcie sakramentalnym, który spełnić zamierza, jednoczył się w pewnem rozumieniu z Kościołem myślą i wolą. Musi on koniecznie, jak mówi utarta w teologii dogmatyczna formuła, mieć intencyę, czyli szczerze chcieć czynić to, co chce Chrystus i Jego Kościół[1], choćby zresztą w treść obrzędu, który ma spełnić, nie wierzył, albo jej nawet dokładnie nie rozumiał.

---

[1] „Sacramenta tribus perficiuntur, videlicet: rebus tanquam materia, verbis tanquam forma, et persona ministri, conferentis sacramentum cum

Chrzest, udzielony w ten sposób, zawsze jest ważnym; dozwolonym jednak nie jest, jak tylko z konieczności w wyjątkowych i nadzwyczajnych wypadkach. W zwykłych, normalnych warunkach, gdzie taka konieczność nie zachodzi, prawo udzielania chrztu ma właściwie tylko biskup i proboszcz, każdy w granicach powierzonej sobie owczarni. Za ich zezwoleniem chrzcić może w zwykłych okolicznościach każdy kapłan, a gdyby zachodziła prawnie wystarczająca przyczyna, dyakon. Chrzest zatem, w myśl katolickiej nauki, ile możności udzielanym być winien i faktycznie najczęściej udzielanym bywa przez urzędy i organa kościelne. Ponieważ jednak ten sakrament do zbawienia jest niezbędny i w wielu wypadkach żadnym innym środkiem zastąpiony być nie może, dobroć Boża, która pragnie zbawienia wszystkich, rozszerzyła tu granice, i aby nie ginęły te dusze, którym sakramentu odrodzenia nie może udzielić przedstawiciel kościelnego urzędu, dopuściła, aby chrzest był ważnym, choćby ktokolwiek inny, nawet heretyk, żyd, lub poganin, byle tylko w myśl Kościoła i wedle przepisanej formuły, polał skronie nieodrodzonego jeszcze do życia łaski człowieka wodą zbawienia.

A zauważyć tu warto, że i w tych nawet wypadkach konieczności, w których dla braku pasterza lub kapłana pozwala prawo w razie niebezpieczeństwa życia chrzcić komukolwiek, dodanem jest pewne zastrzeżenie. Mianowicie, jeśli wybór jest możliwy, dyakon wedle myśli Kościoła, wyrażonej w Rytuale Rzymskim, ma mieć pierwszeństwo przed subdyakonem, subdyakon przed klerykiem niższych święceń, ten znów przed osobami świeckiemi, ze świeckich wreszcie osób mężczyzna przed kobietą. Wskazuje przez to Kościół, że naturze Chrystusowych urządzeń i wymaganiom jego mistycznego ciała tem lepiej się odpowiada, im większe jest zbliżenie tych, co chrztu udzielają, do kościelnego i Chrystusowego kapłaństwa. W normalnych warunkach daje się ten sakrament za pośrednictwem i współ-

intentione faciendi, quod facit Ecclesia: quorum si aliquod desit, non perficitur sacramentum". Sobór Florencki, *Decr. pro Armenis* (Denz. *Enchiridion*, nr. 590).

działaniem prawdziwych organów kościelnych; w okolicznościach wyjątkowych udziela go często ten, kto jest przynajmniej członkiem Kościoła; ale i wtedy nawet, kiedy chrzci heretyk albo poganin, w żadnem, najodleglejszem nawet znaczeniu, nie należący do Kościoła, teorya nasza żadnego nie doznaje uszczerbku. Wtedy bowiem Chrystus i Kościół, dwa czynniki, składające się razem na jedno żywe, mistyczne ciało, ogólnym, raz uczynionym i na zawsze trwającym aktem swej woli przybierają sobie tego człowieka chwilowo, do tego tylko jednego aktu, jakby jakieś doraźnie pochwycone narzędzie, niespojone wprawdzie żywotnie z organizmem, ale przejściowo do pewnej funkcyi organicznej z zewnątrz przybrane, chcąc w ten sposób wyjątkowo zastąpić właściwe organa, które na razie funkcyonować nie mogą. Nic zgoła nie cierpi na tem pojęcie mistycznego organizmu Kościoła, podobnie jak pojęcia fizycznego organizmu ludzkiego nie burzy nam fakt, że medycyna zapomocą pewnych środków i narzędzi, sztucznie wprowadzonych w organizm, podtrzymywać może chwilowo niektóre jego funkcye życiowe.

Niema zatem żadnego wyłomu w tłumaczeniu, podanem przez nas powyżej. Cały proces ożywiania i uświęcania dusz, począwszy od pierwszego ich wszczepienia przez chrzest w winną macicę Chrystusa, cały wzrost i rozwój tych dusz w wierze i łasce, rozkwit ich cnót, rodzenie owoców, gromadzenie zasług i ostateczne wreszcie zespolenie się ich z Bogiem przez bezpośrednią intuicyę i miłość — wszystko to dokonywa się obecnie nie tylko czynnem i osobistem działaniem Chrystusa, ale i ciągłem współdziałaniem Kościoła. Nie sam Chrystus rodzi nas Bogu duchownie, ale Chrystus i Kościół; bo w posiadaniu Kościoła jest ona woda odrodzenia, która łaską Chrystusową jest przesiąknięta. Nie sam Chrystus nas oświeca, ale Chrystus i Kościół; bo w ustach Kościoła jest ono słowo zbawienia, którego słuchaniem wiarę nadprzyrodzoną z rąk Chrystusowych się ściąga. Nie sam nawet Chrystus ciałem swojem nas karmi i umacnia, ale Chrystus i Kościół; bo Kościół ma ciało Chrystusa w swojej władzy i mocy: sprowadzenie go na ołtarz, zarówno jak i podanie wiernym zależy od woli i czynności Kościoła. Chrystus

po prostu otoczył się i ograniczył widzialnym swoim Kościołem, jak dusza ciałem, zamknąwszy się jak ona w jego łonie. Prawdziwie więc i rzeczywiście Chrystus i Kościół należą do siebie i zależą od siebie i dopełniają się wzajem, tworząc jedną złożoną, ale ściśle, choć tylko mistycznie, zespoloną całość. I dlatego to mają wspólną jedność życiową i jeden byt mistyczny, tak jak wspólnym bytem fizycznym złączona jest głowa z członkami, dusza z ciałem. Widzialne związki i spojenia kościelnego organizmu, t. j. kościelne urzędy i ich czynności, są jakby materyalnem wiązaniem, podtrzymującem spoistość organizmu, a zarazem jakby jakąś siecią dróg organicznych, roznoszących niewidzialnie żywotny wpływ Chrystusa, nadających mu kierunki, zakreślających granice — owa zaś niewidzialna i ożywcza moc Chrystusowa, przebiegając po tych widomych spojeniach, wszystko, co leży w ich zakresie i sferze ich wpływu, przenika nadprzyrodzoną siłą, ożywia, przerabia, przebóstwia. I stądto w Kościele wszystko jest w Chrystusie, a Chrystus we wszystkiem; stądto z Chrystusa i Kościoła powstaje jakaś cudowna i tajemnicza Bosko-ludzka całość, jeden wielki, nadprzyrodzony organizm, nazwany tak trafnie mistycznem ciałem Syna Bożego. Wszyscy wierni są tego ciała członkami; biskupi i kapłani wiązaniami i organami jego; głową zaś i duszą jest sam Chrystus, „z którego wszystko ciało — jak pięknie powiada św. Paweł — przez spojenia i wiązania zrządzone i spólnie złączone, roście na pomnożenie Boże“ (do Kolos. II. 19).

I w tem dopiero świetle rozumie się w całej pełni i głębokości te wszystkie miejsca Pisma św. i Ojców Kościoła, w których, mając przed oczyma tajemnicze ono współdziałanie Chrystusa i Kościoła w odradzaniu i uświęcaniu dusz, posługują się dla tem lepszego oddania tej tajemnicy drugą jeszcze analogią, analogii mistycznego ciała pokrewną, nazywając Chrystusa oblubieńcem, a Kościół Jego oblubienicą, albo małżonką Baranka, przyobleczoną „w bisior świetny i czysty“ (Ks. Obj. XIX, 8); określając stosunek wzajemny Chrystusa i Kościoła jako mistyczne zaślubiny i tajemnicze, nadprzyrodzone małżeństwo, „sakrament wielki — jak mówi św. Paweł — w Chrystusie i Ko-

ściele" (do Ef. V, 32); mieniąc Boga Ojcem wiernych, a Kościół matką, noszącą syny Boże w swem łonie i karmiącą ich mlekiem swych piersi; zowiąc Chrystusa wtórym Adamem, a Kościół wtórą Ewą, która, podobnie jak pierwsza, stworzoną została z boku Chrystusa, otwartego na krzyżu, aby stać się matką wszystkich, z Chrystusa i w Chrystusie żyjących.

Na dnie tych wszystkich określeń i zwrotów kryje się bez wątpienia ta sama myśl, którąśmy wydobyli powyżej z pojęcia mistycznego ciała Chrystusowego: ścisła jedność Chrystusa z Kościołem, wzajemna ich zależność, czynne wreszcie współuczestnictwo w dziele nadprzyrodzonego rodzenia i ożywiania, karmienia i wychowywania, wzmacniania i uszczęśliwiania dusz, krwią Boga-Człowieka odkupionych.

Nie inaczej pojmował znaczenie obu tych analogii święty Augustyn. Oto jego słowa: „Jedna jakaś staje się osoba z głowy i z ciała, z oblubieńca i oblubienicy... W Chrystusie mówi Kościół i w Kościele Chrystus mówi; ciało w głowie i głowa w ciele... Wątpić nie można, że Chrystus jest głową i ciałem, oblubieńcem i oblubienicą, Synem Bożym i Kościołem... aby syny ludzkie czynił synami Bożymi" [1].

Na tem kończymy pierwszą część naszej rozprawy. Rozwinęliśmy w ogólnikowych zarysach pojęcie mistycznego ciała Chrystusowego, i treść jego tajemniczą staraliśmy się wedle możności uprzystępnić i wedle potrzeby uzasadnić. Jedno i drugie wydawało nam się niezbędnem do zrozumienia dalszych wywodów. Teraz już przejść możemy do samych charakterów sakramentalnych.

(Dok. nast.)

Ks. Wł. Piątkiewicz.

[1] In Ps. 30, Enarrat. 2. (Migne, *P. L.* t. XXXVI, kol. 232, 239).

ŚWIĘTY STANISŁAW BISKUP
W ŚWIETLE ŹRÓDEŁ WCZEŚNIEJSZYCH.

(Dokończenie).

IV Mistrza Wincentego Kronika.

Ogólne uwagi o Kronice Kadłubka. — Dwie części składowe w jego opisie panowania Bolesława II, oraz wyidealizowany obraz króla w przeciwieństwie do wizerunku Gallowego w pierwszej części. — Wpływ kultury zachodniej i rycerskiej poezyi na przeobrażenie postaci Bolesława II w przedstawieniu Kadłubka. — Niezawisłość drugiej części od Galla i autentyczność jej tekstu. — Źródła do drugiej części. — Zarzuty biskupowi czynione i ich wartość. — Cudowność u Kadłubka wobec prawdy dziejowej. — Wnioski.

Czwartem źródłem, do historyi męczeństwa biskupa krakowskiego najważniejszem, jest Kronika Mistrza Wincentego, także Kadłubkiem zwanego [1].

Kadłubek, magister gramatyki z poetyką i retoryki przy szkole katedralnej w Krakowie, nie pisał dzieła ściśle historycznego, ile raczej podręcznik szkólny, w którym historya ojczysta służyła jako nić przewodnia do praktycznego powtórzenia zasad etyki, gramatyki i retoryki. Stądto mnóstwo powiastek, analogii, refleksyi, nauk i wierszy, stąd ta frazeologia napuszysta, stąd ten brak nazwisk i dat historycznych [2]. Jeżeli więc

---

[1] Wojciechowski: „O rocznikach polskich X—XV wieku". Pamiętnik Akad. Umiej. v, str. 168/9, przypisek.

[2] W celu uniknięcia nieporozumienia i *qui pro quo* z późniejszym żywociarzem, także Wincentym zwanym, posługiwać się będziemy może mniej właściwą nazwą „Kadłubek".

z historyi z konieczności zapożycza treść, to zupełnie jest niezawisły od swych źródeł pod względem formy. Forma jest tak niepodzielnie jego dziełem własnem, że trudno poprzez tę formę dopatrzyć się jego źródeł. Bogate rozwinięcie formy ułatwił jeszcze dyalog, którym się w trzech pierwszych księgach posługuje. Dyalog prowadzą biskup krakowski, Mateusz (1143—1165) i arcybiskup gnieźnieński, Jan (1148—1165). Role są w ten sposób rozdzielone, iż objaśnienia historyczne daje Mateusz, Jan zaś do opowiadań Mateusza z dziejów polskich dodaje podobne zdarzenia z historyi starożytnej lub biblii, parabole i uwagi filozoficzne. Dzieło Wincentego przedstawia, zdaniem Zeissberga [1], taką jednolitość stylu i poglądów na życie, iż jakiebykolwiek były źródła, któremi się posiłkował przy opowiadaniu odleglejszych dziejów, dość, że on je samodzielnym przejął duchem i zupełnie sobie przyswoił.

Co do interesującej nas bliżej księgi II Wincentego, zawierającej nowe fakty z życia Bolesława Śmiałego i pierwszy dokładniejszy opis zatargu króla z biskupem krakowskim, to w głównej części swej co do treści dziejowej zapożyczona jest z Galla, choć prawdopodobnie za pośrednictwem jakiegoś streszczenia. Ponieważ jednak w kilku miejscach zanadto widocznie nie zgadza się z Gallem tak, iż niepodobna znowu uważać tej niezgodności za proste skażenie źródła, lub, jak chce Stefczyk, za naiwną lecz niefortunną hipotezę [2], dochodzimy do przekonania, że prócz Galla miał inne jeszcze źródła, o czem zresztą sam Wincenty wyraźnie dwukrotnie wspomina, raz przy Kazimierzu Odnowicielu, drugi raz przy św. Stanisławie właśnie [3].

Ustęp o panowaniu Bolesława Śmiałego [4] jest u Wincentego wyraźnie z dwóch części utworzony. Pierwsza część [5] niewątpliwie zawiera fakty opowiadane u Galla, ale już przekształ-

[1] Zeissberg: „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich". I, 72/3.

[2] „Upadek Bolesława Śmiałego", *Ateneum*. 1885, t. I, 298.

[3] Ks. II, 14 i 20. *M. P. H.* 283 i 298. — Zeissberg: „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich". I, 88.

[4] Ks. II, 16—21, *M. P. H.* 289—300.

[5] II, 16 i 18, *M. P. H.* II, 289—90 i 291—294, w. 18.

cone. Podczas gdy Gall o Bolesławie Śmiałym podał kilka urwanych zdarzeń, niekoniecznie zawsze dobrze świadczących o królu[1], Wincenty podaje obmyślany, systematyczny obraz panowania królewskiego z dwóch połów złożony, w których przeciwstawia „dawnej dzielności" królewskiej jego końcową „tyranię", „dzikość", „podstępność", „świętokradztwo" i „hańbę". W pierwszej połowie bohaterem wyłącznym jest król, w drugiej biskup, w pierwszej wbrew Gallowi — a nie, jak chce Zeissberg i inni, za Gallem — autor czyny królewskie idealizuje i upiększa, w drugiej połowie nie ma dość słów oburzenia na podstępnego tyrana. Pomimo tych kontrastów możnaby mniemać, iż Kadłubek sam tego przekształcenia źródeł dokonał ze względu na cel swojej książki, aby „cnoty przodków zrobić udziałem potomnych", albowiem „wszelkie zacności oznaki z przykładu przodków jakoby z jakich zwierciadeł na jaw wychodzą".

W ten sposób więc „żelazo swych źródeł oczyszczał ze rdzy i żużle wydzielał od złota", iż wypadkom, pozbawionym etycznego momentu, nadawał etyczne ubarwienie. U Galla np. kleryk krzyczy pod ciężarem pieniędzy, danych mu przez króla, wskutek tego *rex fama vivit, ditatus pauper abivit,* biedaczek do końca życia był bogatym[2]; u Wincentego kleryk z chciwości tyle zabrał złota, że, ciężarem pieniędzy przywalony, pada trupem w oczach królewskich[3]. U Galla Bolesław Śmiały każe

---

[1] „Quaedam eum ambitionis vel vanitatis superfluitas agitavit I, 22, suae contumaciae neglegentia non solum castrum non habuit, verum etiam Bohemorum insidias vix evasit, ac Pomoranorum dominium sic amisit". I, 22. Mówiąc o pocałunku Izasława za pieniądze, pisze: „Nec tamen equo descendens, sed barbam eius subridendo divellens, osculum ei satis pretiosum exhibuit". I, 23. — „In eadem hora Boleslaus delusum se dolens (a Bohemis) sibimet ipsi dedignando revertitur". I, 24. — „Collecto nondum exercitu, debuit antecedens inconsulte nimium properare". I, 25. „Boleslaus rex, ut erat ferus, audiens hominem miserabiliter gemuisse, iratus scistitatur". I, 26. W ustępie o zabójstwie św. Stanisława: „non commendat regem vindicantem sic se turpiter". I, 27. „In Boleslao tamen unum adscribendum est vanitati, quod eius pristinae multum obfuit probitati; humilitatem regis mansueti (Wladislai) non respexit, sed in pestiferae fastum superbiae cor erexit — unde magnam invidiam Ungarorum sibi cumulavit". I, 28.

[2] Gall I, 26. [3] II, 16. *M. P. H.* II, 290.

sobie zapłacić za pocałunek tyle grzywien złota, ile kroków zrobi koń na miejsce zgromadzenia[1]; u Wincentego oburzony jest Bolesław, gdy mu Izasław chce talenta złota wedle liczby kroków płacić, albowiem głupstwem jest, aby majestat królewski do szacherki się dał nakłonić[2]. U Galla Bolesław Salomona wypędził, a osadził na tronie Władysława[3], u Wincentego Salomon przed bitwą ofiarował dziesięć tysięcy talentów Bolesławowi za pokój. Na to Bolesław mu oświadcza, iż Polaków nie nęci posiadanie złota, lecz wolą panować nad posiadającymi złoto, iż haniebniej jest uledz przekupstwu, jak raczej uledz w bitwie[4].

Podobnież wymknięcie się Czechów z pułapki polskiej i zwycięstwo nad Pomorzanami jest w korzystniejszem u Wincentego świetle niż u Galla przedstawione. Gall, opisując, jak Bolesław, obszedłszy pozycye Czechów z tyłu, dostał ich w pułapkę, podaje jako przyczynę zwłoki, iż nie od razu na nieprzygotowanego rzucił się nieprzyjaciela, okoliczność, że dzień miał się już ku zachodowi, a rycerstwo polskie było zmęczone pośpiesznym marszem[5]; Wincenty zaś jako przyczynę zwłoki podaje rycerskość króla, który nie chce, by blask jego zwycięstwa był przyćmiony złodziejskim podstępem[6].

Zwycięstwo nad Pomorzanami opisuje Gall w ten sposób, iż król bez dostatecznych sił zbyt nieroztropnie ku nim się pokwapił. Gdy Polacy zoczyli pogan po drugiej stronie rzeki, nie szukając ani mostu ani brodu, rzucili się do wody, chcąc zuchwale w pancerzach wpław ją przebyć. Lecz bardzo wielu śmiałków się potopiło, co widząc reszta, zrzuciła pancerze i odniosła zwycięstwo, choć z wielką szkodą. Od tego czasu Polacy odwykli od noszenia pancerzy[7]. Kadłubek natomiast, opisując ten sam wypadek, opowiada, iż Bolesław, przyskoczywszy na pomorskich rabusi, zoczył ich za rzeką z łupami już w bezpieczeństwie. Wtedy bez namysłu rzucił się król do bardzo rwącego potoku ze słowy: „Miłość ku młodym dzikie zwierzęta rzuca na oszczepy“, na co odpowiada mu drużyna: „Trąd niech spa-

---

[1] I, 23. [2] l. c. 292. [3] I, 24. [4] l. c. 293.
[5] I, 24. [6] II, 18, l. c. 293. [7] I, 25, str. 34.

dnie na tchórzy, dla nas hańbą jest pozostać w tyle!“ Wielu pod ciężarem broni tonie, garść tylko z królem wydostaje się z toni i bezzbrojna odnosi zupełne zwycięstwo nad wrogów tłuszczą [1].

Nie wahalibyśmy się ani chwili przypisać to wyidealizowanie czynów Bolesława Wincentemu, gdyby ten Bolesław nie był zabójcą św. Stanisława. Nie mogę pojąć, jak kronikarz, któremu przecież *laus principum* nie tyle na sercu leży, ile raczej względy „świetnego senatu“, t. j. możnowładztwa [2], jak kronikarz taki, mając przed sobę źródło, przedstawiające zabójcę czczonego przez siebie męczennika w świetle dosyć ujemnem, jakeśmy to wyżej widzieli, może rysy tego księcia idealizować i upiększać z fantazyi.

Inna rzecz, jeżeli znalazł w swych źródłach czyny królewskie, ozdobione przez poezyę „blaskiem złota i połyskiem pereł“, wtedy nie wahał się te „światła boskiego kagańce w zamku królewskim rozwiesić, przekonany, że to nie lalki z gliny, lecz prawdziwe ojców wizerunki z łona niepamięci wydobywa, które z najstarszego trzonu wyrzeźbić mu kazano“ [3]. Widocznie Mistrz Wincenty był dzieckiem swego czasu, które fikcyi i poezyi od prawdy historycznej odróżnić nie umiało, czy nie chciało. Przeobrażenia zaś dzikiego i rubasznego Bolesława u Galla na rycerskiego Bolesława u Wincentego dokonał ten sam prąd cywilizacyjny, który przeobraził w XI i XII wieku zbójów feudalnych na rycerstwo chrześcijańskie, który z marnego naczelnika celtyckiego Artusa zrobił ideał poezyi romantycznej, a z króla Karola i jego palatynów ideały rycerstwa chrześcijańskiego. Stosunki Polski z Francyą północną i południową w XI i XII w. są dosyć ożywione. Dowodem tego taki Gallus, uczony przybysz z południowej Francyi, dowodem cały szereg pielgrzymek do grobu św. Idziego tamże [4], dalej dość liczne poselstwa do Francyi, że wymienimy tylko poselstwa biskupa

[1] II, 18, l. c. str. 294.

[2] Bielowski: *M. P. H.* II, str. 241.

[3] Prolog do pierwszej księgi. *M. P. H.* II, str. 249/250.

[4] *De pincerna ducis Poloniae a morte liberato. M. P. H.* IV, 745—47.

poznańskiego, Franka[1] i krakowskiego, Lamberta[2]. Świadczy nadto o tem kilka klasztorów, jak tyniecki i lubiński, które, przez francuskich lub walońskich przybyszy założone, szerzyły kulturę zachodnią, zwłaszcza w wyższych warstwach naszego społeczeństwa.

Wszak taki Bolesław Krzywousty jest duchem rycersko-chrześcijańskim nawskróś przejęty. Takim duchem też przenikało jego otoczenie. Nie dziw więc, że i u nas brzmi lutnia rycerskiej poezyi na dworach, czego dowodem ów Walgierz Udały, zawleczony do nas gdzieś z nad Renu i od razu w polską szatę ubrany. To polonizowanie obcych przybłędów każe się domyślać, że wyższe warstwy społeczeństwa polskiego XII wieku lubowały się w tej rycerskiej poezyi, lecz zarazem rodzimy nadawały jej charakter. To też cóż łatwiejszego, jak postać tajemniczą a tragiczną awanturniczego i to ostatniego króla, tak podobną do tych Iweinów i Gaweinów, Lanzelotów, opiewanych przez truwerów francuskich, uczynić przedmiotem poetycznym i poetyczną otoczyć aureolą. Ślady tej poezyi średniowiecznej widzimy już u Galla.

Nie bez wpływu zdaje się pieśni łacińskich t. zw. *carmina burana* przedstawiona jest gadka o królu i kleryku wędrującym[3], jak o tem wyraźnie świadczą rymowane leoniny w niej użyte. Inną wersyę tej samej gadki w rymowanych heksametrach podaje Wincenty[4].

Ta szczodrobliwość nader ważna dla wędrujących żaków, tych przedstawicieli kunsztu literackiego w XI i XII wieku, tak występuje na pierwszy plan w pierwszej połowie opowiadania Wincentego o Bolesławie Śmiałym, że wszystkie czyny wojenne, zatem i wyprawa ruska i węgierska, opowiedziane przez Galla, na nutę tej szczodrobliwości królewskiej są nakręcone i o tej szczodrobliwości mają wbrew prawdzie historycznej świadczyć. To, co Wincenty o Bolesławie opowiada, przeszło niewątpliwie przez alembik poezyi kleryków średniowiecznych, którzy u nas

[1] Gall I, 30, str. 39. [2] *M. P. H.* I, 372.
[3] Gall I, 26, str. 35. [4] II, 16, l. c. 290.

w XII wieku zwłaszcza historyczne osobistości ze szczególniejszem upodobaniem traktują. Z tegoto wieku pochodzą przecież poematy łacińskie i o Kazimierzu Mnichu, o Wandzie, Carmen Mauri, o Piotrze Włostowiczu [1]. Dlaczegóżby ktoś z tych wesołych, a zawsze spragnionych włóczęgów XII wieku w księżej sutannie nie miał wyśpiewać panegiryku na cześć szczodrobliwości i junactwa Bolesława na podstawie tego, co w szkole z podręcznika historycznego Galla o nim się dowiedział. Zresztą tak samo, jak rycerstwo niemieckie komponuje wedle Galla pieśni na cześć Bolesława Krzywoustego i śpiewa je wbrew zakazom cesarza [2], tak samo, jak rycerstwo polskie, zdobywszy Kołobrzeg, śpiewa o śledziach solonych, cuchnących, przynoszonych dawniej przez kupców, a o świeżych i skaczących jeszcze, przynoszonych przez synów, o ojcach, polujących na jelenie, dziki i sarny, a o synach, łowiących potwory morskie i skarby morskie [3]; tak też śpiewało ono o junaczej, awanturniczej postaci króla Bolesława i to w XII wieku, kiedy cześć zamordowanego biskupa się nie rozpowszechniła w całej Polsce i nie skompromitowała tyrańskiego króla. Wreszcie godność królewska i imię samo „Bolesław", mile brzmiące w uszach wojowniczego ludu, jako imię najbitniejszych władców, wyzywało piewców czy polskich czy łacińskich XII wieku do upiększania i idealizowania jego czynów. W takiej przeróbce doszła postać ostatniego króla do wiadomości Wincentego i taką wiernie, wbrew prawdzie historycznej przedstawił. Z tego też wynika, że chyba nie Gall, ale jakaś poetyczna przeróbka Gallowej kroniki służyła mu za źródło do II księgi. Także i rzecz o Kazimierzu Mnichu nie z Galla jest zaczerpniętą [4], lecz na innych polega źródłach, prawdopodobnie poetycznych, gdyż i Kazimierza postać u Kadłubka, jak to wykazał prof. Wojciechowski, na po-

---

[1] Wojciechowski: „O Kazimierzu Mnichu". Pam. Akad. Umiej. wydz. fil. hist. v. 23/4.

[2] Gall III, 12, str. 93.

[3] II, 28, str. 65.

[4] Gall I, 18—22, str. 27—32. Wincenty II, 14. *M. P. H.* II, 283/4.

etycznym polega opisie[1]. A że te poetyczne opisy lubił Mistrz Wincenty, dowodzi także fragment z pieśni o Wandzie:

„Wanda mari, Wanda terrae
Äeri Wanda imperet!"

właśnie u Kadłubka przechowany[2].

U Kadłubka jeszcze mniej okazuje się zawisłą od Galla druga połowa[3] panowania Bolesława Śmiałego, zawierająca właśnie opis zajścia tragicznego między królem a biskupem. Przedstawione są tu bunt chłopski i jego stłumienie, dezercya szlachty, wściekłość króla na zbiegów i ich żony, jego okrucieństwa względem winowajców i winowajczyń, interwencya biskupa, jego męczeństwo, cuda po śmierci, translacya ciała, ucieczka króla do Węgier, pycha jego i uprzejmość Władysława węgierskiego, wreszcie zarzuty, czynione biskupowi. Tylko przybycie króla do Węgier, pycha jego i uprzejmość Władysława węgierskiego jest skreślona na podstawie Galla[4]. Ustęp ten jest widocznym wtrętem, gdyż przerywa tok opowiadania o zarzutach królewskich przeciw biskupowi. Mówiąc bowiem o pogrzebie biskupa, o światłach nad grobem i ucieczce króla do Węgier, pisze: Nie upokorzyło go wszakże przeświadczenie złego czynu, ale „owszem zuchwalstwo zbrodni dodało zawziętości".

Z tem jako dopowiedzenie łączy się bezpośrednio to, co podaje Wincenty 23 wierszy niżej po owym wtręcie. „Wszelkie bowiem świętokradztwa podejrzenia umiał ów najchytrzejszy tak dalece od siebie odepchnąć, że u wielu nie tylko nie za świętokradcę, ale owszem za najżarliwszego świętokradztw mściciela uchodził". Poczem następuje bliższe wyszczególnienie zarzutów królewskich, zakończone zwrotem: „A jakkolwiek temi zmyśleniami u nieświadomych rzeczy czas pewien uczyniono

[1] Pamiętnik Akad. Umiej. v, 19—24.

[2] *M. P. H.* II, 258.

[3] W ostatnim ustępie rozdziału II, 18: „Fuit autem hic — flagitio conferendum" i w rozdziale 20, gdyż rozdziały 19 i 21 mieszczą analogie, parabole i uwagi filozoficzne Jana. *M. P. H.* II, 294—295, 296—299.

[4] I, 28, str. 36/7. Cfr. u Kadłubka: „Rege namque Hungariae Wladislao — omni studet illi placere obsequella. *M. P. H.* II, str. 297, wiersz 24 — 298 wiersz 16.

ujmę męczennikowi, jednak nie zdołano zniweczyć powagi i świętości. Częstokroć bowiem i słońce zajdzie obłokiem, ale go obłok nigdy nie zgasi“ [1].

Reszta wypadków, dotyczących zatargu między królem i biskupem, jest skreślona zupełnie niezawiśle od Galla, a mianowicie koniec rozdziału 18-tego i cały prawie rozdział 20-ty drugiej księgi [2]. Ustęp ten, zdaniem niektórych uczonych, jest późniejszym wtrętem [3] i nie pochodził z pod pióra samego Wincentego. Pochop do tego zdania dał Sarnicki, aryanin z XVI wieku, w dziele swem z roku 1587 *Annales Polonorum* [4], w którem między innemi dziwi się, że Kadłubek nic nie wspomina o św. Stanisławie i posądza go o zazdroszczenie sławy św. Stanisławowi [5]. Jest to pomyłka prosta Sarnickiego, który miał przed sobą egzemplarz Mierzwy i uważał go tak, jak wielu ze średniowiecznych pisarzy, np. autor kroniki wielkopolskie za właściwe dzieło Mistrza Wincentego [6]. Autentyczności rzeczonego ustępu, bronionej trafnie także przez Zeissberga [7], dziś już nie kwestyonuje żaden poważniejszy badacz.

Wobec tego nasuwa się teraz pierwszorzędna kwestya, czy Wincenty to, co kreśli, przedstawia na podstawie jakichś źródeł dziś nam nieznanych, czy na podstawie tradycyi ustnej. Zdaje się, że jedno i drugie nie jest wykluczone. Na tradycyę ustną,

---

[1] „His licet pigmentis apud ignaros aliquantisper derogatum sit martyri, non tamen sanctitatis abrogans potuit autoritas. Sub nube namque sol plerumque delitescit, nube unquam exstingnitur“. *M. P. H.* II, 299; wiersz 14—19.

[2] *M. P. H.* II, str. 294 w. 19; str. 295 w. 4; str. 296 i 297 do w. 24, str. 298 od w. 16 do str. 299 w. 23.

[3] Ossoliński: „Wiad. hist. kryt.“ II, str. 436. — Roepell: *Gesch. Pol.* str. 200, przyp. 18. *M. P. H.* II, str. 245 i str. 296. — Bielowski: Bibl. Ossol. Poczet nowy II, 386 i nast.

[4] VI, 9.

[5] „Miror tamen cur Vincentius Cadlubcus, qui non ita multo post vixit temporibus videlicet Krivousti eiusque historiam conscripsit, nec ullam mentionem eius rei fecit, vel si Vincentius, qui episcopus Cracoviensis erat, laudem hanc antecessori suo Stanislao invidebat“.

[6] W. Kętrzyński: „O kronice wielkopolskiej“. Rozpr. Akad. Umiej. wydział hist.-filoz. t. XXXIII, str. 27.

[7] L. c. str. 113.

jako źródło wiadomości o św. Stanisławie, powołuje się wyraźnie jeszcze w połowie XIII wieku przy kanonizacyi bulla Innocentego IV w roku 1252[1], oraz Rocznik kapitulny krakowski pod r. 1254[2]. Jeżeli więc około r. 1250 żyło dwóch ludzi, więcej niż stuletnich[3], którzy na podstawie świadectwa współczesnych biskupowi Szczepanowskiemu opowiadali o jego życiu cnotliwem i cudach, to niewątpliwie takich starców z końcem XII i początkiem XIII wieku było daleko więcej. Z tem wszystkiem wątpić należy, by w społeczeństwie, pilnie uprawiającem historyczno-poetyczne piśmiennictwo, jakeśmy to wyżej widzieli, a zwłaszcza w przodującej cywilizacyą dzielnicy krakowskiej także piśmiennie nie utrwalono tak ważnego zdarzenia, jakiem było zabicie biskupa krakowskiego i wypędzenie króla. Niewątpliwie przy katedrze krakowskiej musiała powstać jakaś kronika polska, która zatarg króla z biskupem i tego ostatniego śmierć w innych przedstawiała barwach, aniżeli opinia dworska.

Poszlaki takiej kroniki znajdujemy nie tylko u samego Wincentego we wstępie do IV księgi, ale całkiem wyraźną wzmiankę w pierwszym znanym nam żywocie św. Stanisława p. t. *Vita minor*[4]. Kronika ta była tak samo jak Kronika Galla i późniejsza Kadłubka podręcznikiem szkolnym, a zawierała, jak to niżej zobaczymy, nie tylko kilka szczegółów z życia św. Stanisława, skądinąd nieznanych, ale i dzieje książąt polskich, a zwłaszcza przyczyny zatargu króla z biskupem, jego męczeństwo, pogrzeb, cuda po śmierci, wreszcie translacyę. Autorem tej kroniki był najprawdopodobniej najgłówniejszy z biskupów krakowskich XII wieku, Mateusz, którego list do św. Bernarda w sprawie nawrócenia Rusi świadczy wymownie, jak wytwornym, retorycznym umiał władać stylem[5].

Onto zapewne skonstruował pierwszy urzędowy kościelny opis męczeństwa swego poprzednika z XI wieku, który stał się

[1] Kod. katedr. krak. I, n. 33.
[2] *M. P. H.* II, 806.
[3] Między nimi wymieniony jest imiennie rycerz Giedko.
[4] *M. P. H.* II, str. 377. Obacz Dodatek I.
[5] *M. P. H.* II, str. 15.

następnie kanonem dla wszystkich późniejszych życiopisarzy. Z niego zaczerpnął głównie wątku do swej opowieści o św. Stanisławie Kadłubek, a pokłosie, opuszczone przez niego z tej kroniki, zebrał i powtórzył pierwszy żywociarz św. Stanisława, Wincenty z Kielc. Przytem mniemam, że Mistrz Wincenty, choć zresztą wcale swobodnie postępuje ze źródłami, dość wiernie trzymał się w tym wypadku swego źródła i skrupulatnie treść z niego wyzyskał, albowiem cześć, jaką ku świętemu żywił, a którejto czci niekłamany daje wyraz w swym opisie, wzbraniała mu czegokolwiek z treści dowolnie przerabiać lub opuszczać. Za tem w każdym razie przemawia i ów wtręt o pysznem zachowaniu się Bolesława II na wygnaniu, zaczerpnięty z Galla, a przerywający opowiadanie o oszczerstwach królewskich. Gdyby bowiem te oszczerstwa królewskie był sam Wincenty na podstawie tradycyi lub Galla skomponował, byłby niewątpliwie lepiej je połączył z opisem pobytu króla na Węgrzech. Ponieważ Mateusz umarł w r. 1165, zatem przed tym czasem prawdopodobnie powstał już opis męczeństwa św. Stanisława, z którego korzystał Kadłubek.

Czy w tym opisie była wzmianka o opinii przeciwnej biskupowi, nie możemy na pewno powiedzieć. Że taka opinia nieprzychylna biskupowi w XII wieku istniała i była rozpowszechniona w Polsce, tego dowodzi nie tylko Kronika Galla, ale daleko wyraźniej Wincentego Kadłubka[1]. Wedle niego „chytry morderca tak umiał od siebie podejrzenie świętokradztwa usunąć, że nie tylko za świętokradcę nie uchodził, lecz uważanym był przez niektórych za świątobliwego mściciela świętokradztw. Bo że niewiasty szlachetne pohańbione są wszeteczeństwem z chłopami, że związek rodzinny tak sprośnie zbeszczeszczony został, że motłoch spiskował przeciw panom, że tyle głów spadło na rusztowaniu, że wreszcie na zgubę królewską się sprzysiężono — to wszystko zwalił na świętego biskupa i jego zrobił sprawcą zdrady *(proditionis originem)*, jego korzeniem wszystkiego złego, to wszystko — mawiał — z owego zatraconego źródła wy-

[1] *M. P. H.* II, str. 298.

płynęło. Zbrodniarz podwójny, wydarłszy mu życie, ponieważ duszy odebrać nie może, usiłuje jego dobre imię skalać i którego nie może więcej czynem prześladować, słowem prześladuje. Trudno nam dalszą igraszkę słów, jaką się Kadłubek następnie posługuje, podać w wiernym przekładzie, dlatego podajemy ją w oryginale: *Potificem illum, non pontificem, pistorem non pastorem vocat, pressulem (a pressura) non praesulem, opiscopum (ab opibus) non episcopum, spiculatorem non speculatorem fuisse et quod pudor dici erubescit e rerum scrutatore, renum scortatorum.* Pijanicą nie arcybiskupem zwał go, piekarzem nie pasterzem, ciemięzcą nie przełożonym, łapigroszem nie biskupem, zbieraczem kłosów nie szperaczem i, co wstyd jest wypowiedzieć, z badacza spraw uczynił lubieżnika lędźwi[1]. Dlatego biskup innym popuszczał cugli lubieżności, ponieważ wśród towarzyszy tej samej zbrodni brak oskarżyciela, krótko mówiąc, całe jego postępowanie było przykładem dla wszystkich. Cóż więc złego stało się, jeżeli hańba królestwa, jeżeli ojczyzny potwór, jeżeli zgorszenie religii jest usunięte, jeżeli oczywista żagiew państwa została stłumiona? Tymi wymysłami wprawdzie wśród nieświadomych sprawy czas pewien uwłaczano męczennikowi, sława jednak świętości nie dała się zaćmić. Za chmurą bowiem często słońce się kryje, chmurą atoli nigdy się nie da zagasić“[2]. Ciekawy ten dla krytyki tradycyi źródłowej o św. Stanisławie ustęp przedstawiliśmy w całej osnowie, albowiem w nim mamy obszerniejsze sformułowanie wszystkich zarzutów, jakie stronnictwo króla w obronie króla przeciw biskupowi wytaczało, znajdujemy w nim interpretacyę tajemniczych słów Galla *traditor* i *peccatum.*

Przedewszystkiem zachodzi kwestya, czy ustęp ten jest wymysłem Kadłubka, sfabrykowanym na podstawie słów Galla

[1] Igraszka słów podobnie brzmiących była ulubionym w średnich wiekach retorycznym efektem czy w literackich produkcyach, czy w kaznodziejstwie, że tylko wspomniemy kazanie na synodzie z końca XIII wieku, wypowiedziane przez Marcina Polaka z Opawy o złych kapłanach, co więcej słuchają Dawidka jak Dawida, bardziej lubią zabawiać się szachem i matem jak Mateuszem, więcej mówią o markach jak o Marku, więcej zajmują się polowaniem i łukiem jak Łukaszem. „Dwie elekcye“. *Ateneum* 1878, t. III, 333.

[2] Tekst łaciński obacz w Dodatku IV.

traditor, czyli też opiera się na rzeczywistych źródłach piśmiennych, lub ustnych. Za pierwszą alternatywą zdają się przemawiać słowa: *illum astruit proditionis originem*, zatem zarzut zdrady, co u Galla, za nią igraszka słów *potifex non pontifex, pistor non pastor* i t. d. Z tem wszystkiem zarzuty te przedstawione są zbyt drastycznie, by je przypisać chętce retorycznego popisu. Świątobliwy duchowny z końca XII wieku, czczący świętego męczennika, nie ważyłby się po prostu wymyślić zarzutu *renum scortator*. Zresztą zarzuty Galla są zbyt wyspecyalizowane, by je na podstawie niejasnych słów *traditor, peccatum* mógł wymyślić. Zarzuca się biskupowi i wywołanie buntu chłopskiego przeciw panom i spisek na życie króla, robi się go pijakiem, ciemiężcą, chciwcem, wszetecznikiem, jednem słowem hańbą królestwa i zgorszeniem wiary i t. d.

Widocznie jeszcze za czasów Wincentego musiała istnieć czy ustna czy piśmienna tradycya, broniąca sławy królewskiej i przedstawiająca biskupa zwyczajem średniowiecznym w najczarniejszych barwach. Przecież w tych samych czasach nie komu innemu tylko Grzegorzowi VII zarzuca się niepohamowaną żądzę wyniesienia, uzurpacyę godności papieskiej, złamanie przysięgi, cudzołożne stosunki z margrabiną Matyldą, zarzuca się, że rządzi światem wedle rad niewieściego senatu, zarzuty te zaś czyni w otwartym liście dnia 24 stycznia 1076 cały prawie episkopat niemiecki, 26 biskupów z metropolitą na czele za poduszczeniem kardynała Hugona[1]. Wszak tego samego Grzegorza zwie Henryk IV w tym samym czasie niszczycielem Kościoła Chrystusowego, zdrajcą rzymskiego państwa, chytrym uzurpatorem, oszukańczym mnichem, zbrodniarzem i t. d.[2] Jaką wartość te przez straszną zaciekłość podyktowane zarzuty posiadały, dawno wykazała historya. Nie inną wartość miały zapewne zarzuty stronnictwa królewskiego. Bo, że spór między biskupem krakowskim nie był tylko sporem osobistym, lecz głęboko poruszył całe społeczeństwo, dowód na to znajdujemy

[1] Martens: *Gregor VII sein Leben und Wirken*, str. 91—94.
[2] Perz: *M. G. Leges* II, 44—46. — Gfrörer l. c. VII, 506—510.

u Galla, który każe przy pogrzebie Mieszka, syna Bolesława Śmiałego, zwłaszcza niższym stanom narzekać, chłopom, ubogim, niewolnikom, sługom [1]. Nie darmo też król bierze w obronę lud przed wypowiadającą mu posłuszeństwo i mszczącą się na rebeliantach szlachtą. Nie darmo mówi: „Czem będzie król po usunięciu pospólstwa“ [2]. Wobec tego nie dziw, że pognębione wraz z królem stronnictwo ludowe, sławiąc swego króla-bohatera, zniesławia zarazem jego przeciwnika, biskupa. Zdaje się, że polemika przeciw biskupowi pochodzi z tego samego panegiryku na cześć króla, z którego Mistrz Wincenty zaczerpnął charakterystykę króla w pierwszej części swego opowiadania o panowaniu Bolesława II.

Obok tego rodzaju jednak opinii regalistów istniała daleko silniejsza opinia wielbicieli biskupa. Opinie te widocznie namiętnie się ze sobą ścierały. Echa tej polemiki ustnej i piśmiennej przechował nam Mistrz Wincenty, przedstawiając w pierwszej części opinię wielbicieli króla, w drugiej opinię wielbicieli biskupa, nie przemilczając jednak zarzutów, czynionych biskupowi przez stronnictwo królewskie. Jakie jednak realne podstawy miały te zarzuty, najlepiej świadczy zestawienie ich ze sobą. Przypuśćmy, że biskup spowodował rebelię ludową przeciw szlachcie, jak w takim razie mógł ze szlachtą na zgubę królewską się sprzysięgać? Albo jedno, albo drugie jest możliwe — oba zarzuty są sprzeczne ze sobą i potępiają się same, jako wymysł stronników królewskich. To, że zdania, uwłaczające czci biskupa Stanisława, przechował Mistrz Wincenty, świadczy o jego wiarogodności; bez tej sumienności echa zaciekłej walki społecznej z XI wieku byłyby przepadły na zawsze w niepamięci fali, bo dziejopisarstwo późniejsze XIII wieku skrupulutnie te echa nieprzyjazne biskupowi usuwa.

Z tem wszystkiem wartość opowieści Wincentego kwestyonuje najpoważniejszy badacz jego kroniki, Zeissberg, twierdząc, że w niej przeważa już cudowność, bajeczność, że Bolesław zupeł-

[1] I, 29, str. 37/8.
[2] Mistrz Wincenty II, 20. *M*, *P. H.* 296.

nie wbrew korzystnemu wizerunkowi księcia, który sam kronikarz co dopiero w ślad za Gallusem nakreślił, przedstawiony został w rozdziale, traktującym o męczeństwie Stanisława, już jako skończony tyran, zaś Stanisław okazuje się w olśniewającym blasku świętości[1]. Jużeśmy wyżej wykazali, że badacz niemiecki gruby błąd popełnił, twierdząc, iż Wincenty w ślad za Gallem korzystny wizerunek króla przedstawił. Myśmy widzieli w pierwszej części właśnie, że wbrew Gallowi Wincenty wyidealizowany obraz królewski nam przedstawia. Popadł niewątpliwie ze sobą w sprzeczność, ale uczynił to dlatego, że sumiennie przechował nam dwie przeciwne opinie i że może w ten sposób nie chciał urazić zbytnio domu panującego, potępiając w czambuł przodka królewskiego, lecz przeciwnie chwalił nawet w superlatywach, co chwalić się dało, by później zgodnie z tradycyą kościelną przedstawić prawdziwy obraz katastrofy. Jednakże ta cudowność identyczna z bajecznością, rzekomo przeważająca u Kadłubka, prawdziwości tradycyi ujmę czyni.

Przedewszystkiem zastrzedz się musimy przeciw identyfikowaniu cudowności z bajecznością. Tego rodzaju ciasne, sekciarskie stanowisko tak samo prawdzie dziejowej jak i prawdzie życiowej ujmę czyni. W ten sposób postępując, musielibyśmy np. cuda w żywocie św. Jadwigi, 25 lat po jej zgonie spisane, nazwać bajecznymi, wogóle wszystkie cuda jako bajki wyeliminować z dziejów, podejrzywać o bajeczność żywot Chrystusa Pana i żywoty świętych, przez Kościół kanonizowanych, czy beatyfikowanych, dlatego, że w nich cudowność się znachodzi. Dalej jako przesadną amplifikacyę odeprzeć musimy twierdzenie, jakoby u Kadłubka cudowność przeważała. Trzy cuda, jakie autor wymienił po śmierci biskupa: pojawienie się orłów, światłość i zrośnięcie się porąbanych członków nie uprawniają jeszcze do sądu, by u Kadłubka cudowność przeważała, do odsądzenia całego opowiadania od wiarogodności i potępienia go jako bajki. Dlatego uznajemy ujemny sąd o wartości tradycyi

[1] „Dziejopisarstwo polskie wieków średnich", t. I, str. 113.

kadłubkowej za płytki i nieuzasadniony. Wobec braku dostatecznego materyału dowodowego, krytyczny historyk nie powinien się kusić o definitywne rozstrzygnięcie tej kwestyi.

Że wogóle w średniowieczu panowała naiwność i łatwowierność, nikt o tem nie wątpi. Mimowoli nawet przypomina się kilka jaskrawych tej łatwowierności objawów. I tak na przykład, mianowany nielegalnie wbrew woli mieszkańców Trewiru arcybiskupem tego miasta Konrad, proboszcz koloński, za sprawą swego potężnego krewniaka Annona, arcybiskupa kolońskiego, zostaje roku 1066 przed miastem przez Trewiran napadnięty, uwięziony, a potem zamordowany. Mordercy zostawili ciało niepogrzebane i tylko chrustem przykryte, mimo to ani ptaki ani dzikie zwierzęta nie uszkodziły go. Po kilku dniach znalezione ciało przez lud okoliczny pochowano w klasztorze Doley, gdzie zasłynęło cudami [1].

Erlembald, przywódca Pataryi medyolańskiej, demagog gregoryański, ginie w początkach maja r. 1075 w walce ulicznej. Ciało leżało przez 3 dni na ulicy niepogrzebane z powodu straży przeciwników. Dopiero trzeciej nocy, ośmieleni daleko błyszczącą światłością niebieską ponad ciałem, niektórzy ciało odnieśli i w sposób przyzwoity w kościele św. Celzusa pochowali, poczem na grobie działy się cuda [2].

Gdy latem w r. 1077 Cencius, syn Stefana, znany z zamachu na Grzegorza VII r. 1075, zamordował prefekta rzymskiego, swego krewniaka również Cenciusza, syna Jana, tedy pochowano ciało żarliwego Gregoryanina u św. Piotra i wnet zauważono na jego grobie cudowne zjawiska [3].

Antypapa Klemens III umiera 1100. Niebawem niektórzy z jego stronników rozpowszechnili wśród gminu wieść, że na grobie jego widzieli światłość Bożą błyszczącą. Dlatego też

---

[1] Lambert z Hersfeldu ed. Hesse. Wattenbach 78. Meyer v. Knonau: *Jahrbücher d. deutschen Reichs im Zeitalter Heinrichs IV u. V.* II, 505—506.

[2] *Bertholdi Annales M. G. SS.* V, 305. Meyer v. Knonau. II 478.—G. Richter: *Annalen des deut. Reichs im Zeitalter Heinrichs IV.* II 1. 192/3.

[3] Gfrörer: *Papst Gregor VII.* VII, 483. — Giesebrecht: *Geschichte der deutschen Kaiserzeit.* III, 453.

papież Paschalis II kazał ciało jego wykopać i do Tybru rzucić [1].

Nie wiem, czy ktokolwiek chciałby dziś autentyczności powyższych cudów bronić, a jednak błędem byłoby stanowczym autorów, podających powyższe wiadomości, o fałsz pomawiać. Jakie zdarzenia lub zjawiska wywołały u tych ludzi subjektywne przekonanie o cudach, my dziś w przeważnej części nie docieczemy; że oni wierzyli w nie, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Naiwna ta wiara nie czyni wszakże tradycyi współczesnej o tych ludziach bajeczną przędzą bez wartości. Przeciwnie, ta cudowność jest do pewnego stopnia pierwszorzędnem świadectwem nie o faktach samych, lecz o opinii, jaką u współczesnych, u swych wielbicieli, ci ludzie, cudowności aureolą otoczeni, posiadali.

Tak w ogólności; bynajmniej jednak na podstawie tej ogólnej naiwności nic określonego nie można twierdzić co do szczegółów, podanych przez Kadłubka. Cudowne fakty same usuwają się przeważnie z pod skalpela krytyki tam, gdzie mamy z osobistością rzeczywiście świętą do czynienia, a nie mamy dostatecznych świadectw, potwierdzających te cuda.

Streszczając nasze wywody zatem możemy przyjąć, że: *a)* kronika Mistrza Wincentego, będąca również podręcznikiem szkolnym, nie ma zwłaszcza w pierwszych dwóch księgach, ogółem licząc, pretensyi do dzieła historycznego. Pomimo że pierwsze dwie księgi są oparte głównie na Gallu, mimo to znachodzą się w nich wiadomości oryginalne i autentyczne; *b)* co do panowania Bolesława Śmiałego to pierwsza część jego u Kadłubka ks. II, 16, 18 [2], oraz koniec rozdziału 20-go [3], zawierający zarzuty królewskie przeciw biskupowi, nie polega bezpośrednio, jak dotąd twierdzono, na Gallu, lecz na panegiryku poetycznym, sporządzonym na podstawie Galla na cześć króla Bolesława II. Stąd też ważnem jest źródłem do opinii regalistów XII wieku

[1] *Annales S. Disibold. M. G. SS.* XVII. 17 przed r. 1099. — G. Richter l. c. 459.

[2] *M. P. H.* II, 289—294, wiersz 18.

[3] *M. P. H.* II, 298, w. 16—30 i 299 w. 1—16.

o ostatnim królu polskim, dla kwestyi św. Stanisława jest bez wartości; *c)* druga część panowania Bolesława Śmiałego [1] jest zupełnie niezawisła od Galla i zawiera urzędowy opis Kościoła krakowskiego o śmierci biskupa, przekazany najprawdopodobniej w nieznanej nam już kronice biskupa Mateusza, a zużytkowanej w Kronice Kadłubka; *d)* tradycya przechowana u Kadłubka, z wyjątkiem dworskiego poglądu o przeniewierstwie biskupa, zgadza się faktycznie z tradycyą u Galla, zwłaszcza zaś zawarte u Kadłubka zarzuty przeciw biskupowi podnoszą wiarogodność jego tradycyi w przeciwieństwie do hagiografów zakonnych XIII wieku, którzy wszelkie echa nieprzyjazne biskupowi starannie przemilczają.

Dr. Kazimierz Krotoski.

[1] Koniec rozdziału XVIII, str. 294 od wiersza 19 do końca, oraz rozdział XX do str. 294 w. 20.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Studya filologiczne nad rozwojem oświaty greckiej w V wieku przed Chrystusem. Napisał *Stanisław Schneider*. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1901 (Str. 109).

W dobie obecnej, w której mnożą się niemal codziennie pisma i artykuły, uderzające na „bezpłodność filologii klasycznej“ i żądające usunięcia jej — a zwłaszcza języka greckiego — ze szkoły średniej, tem większą musimy przyznać zasługę badaniom w rodzaju rozprawy, wymienionej powyżej. W „studyach“ tych przesuwają się znowu przed nami postaci owych myślicieli genialnych, którzy już przed 25 wiekami poruszyli zagadnienia najgłębsze i najbardziej zajmujące do dnia dzisiejszego ludzkość oświeconą. Cała filozofia późniejsza tkwi jakby w zarodku w ich dziełach; trudno sobie wyobrazić, czem bylibyśmy dzisiaj, gdyby ich nie było, — w każdym razie stalibyśmy bez porównania niżej. Niejeden pomysł, imponujący szerokim kołom swoją „oryginalnością“, mógłby zareklamować jako swoją własność pisarz starożytny, nieznany przeważnej części znawców nowszego piśmiennictwa. Tak ma się rzecz np. z nauką Rousseau'a o „kontrakcie społecznym“ i o „powrocie do natury“. Już sofista Antyfont wypowiedział zdanie, że społeczeństwo powstało drogą dobrowolnej umowy, już za czasów Peryklesa zaczęto się zastanawiać nad niezgodnością ustaw istniejących z prawem przyrodzonem. Im lepiej poznajemy literaturę grecką, tem jaśniej pojmujemy, ile jej zawdzięczamy i przestajemy się dziwić filologom, że z taką troskliwością zbierają i analizują najdrobniejsze nawet fragmenty autorów klasycznych. Spisano już wprawdzie całe biblioteki

o tych autorach, a przecież zawsze jeszcze prowadzą nowe badania, poświęcone ich tekstom, do odkryć ciekawych i wzbogacających naszą wiedzę o rozwoju umysłowości ludzkiej.

Otóż i rozprawa prof. Schneidra ukazuje nam postęp oświaty greckiej w nowem oświetleniu. Zastanawia się on najpierw nad „zasadami prawno-państwowemi za czasów Solona", a mianowicie nad ich określeniem przez samego Solona, przez sofistę Antyfonta i innych, dalej nad poglądami Pitagorejczyków, szkoły Hipokratesa, Orfików, Parmenidesa, Empedoklesa, Heraklita, Anaxagorasa, sofistów, cyników i (na końcu) Sokratesa. Stara się on wykryć wszędzie podobieństwo między prądami, jakie dziś panują, a dążeniami filozofów i polityków V wieku i uwydatnić zasługi demokratów i postępowców ówczesnych, a w szczególności Protagorasa, który w jego przedstawieniu wysuwa się na plan pierwszy i wyrasta na duchowego olbrzyma. Sofiści byli, według autora, „humanistami", którzy „zamiast rutyny i mechanizmu, nakręconego z zewnątrz, wnieśli w pojęcie świata", idąc za Heraklitem i Empedoklesem, „własny, wewnętrzny, ludzki, na wskróś podmiotowy probierz" (str. 37). Z Protagorasem na czele wystąpili oni do walki z panującą wówczas jeszcze w Atenach sektą pitagorejską i zwalczali skutecznie jej system edukacyjny, który „zasadzał się na ciągłych, a uciążliwych ćwiczeniach i długoletniem zaprawianiu od dziecka do uległości wobec nakazów, tudzież etycznych przepisów" (str. 39). Protagoras uczył pierwszy prawdziwej „sztuki" wychowawczej, a zarazem „wzniósł się wysoko do teoryi poznania, że człowiek i jego umysł jest probierzem wszechrzeczy" (str. 45). On pierwszy uczył, jak „za pomocą rozwoju sił umysłowych można zamienić słabszą sprawę na sprawę mocniejszą" (str. 57), on był bojownikiem sprawy ludowej przeciw oligarchii (str. 60), on wykazywał, że „między trwożną oświatą a zuchwałą ciemnotą środek zajmują ludzie najtęższi duszą, którzy, choć znają dokładnie grozę i powab życia, jednak nie odwracają się od niebezpieczeństw" (str. 74); wzniosłe jego myśli i zasady przebijają się w słynnej mowie pogrzebowej Peryklesa (str. 79), w jego szkole nauczyli się Ateńczycy „łączności słowa i czynu, zajęć prywatnych i powszechnego dobra w sztuce i cnocie obywatelskiej" (str. 82). Razem z Eschylosem i Sofoklesem „uznawał on organiczny związek człowieka z duchową stroną wszechbytu, skąd „zaczerpnął siły do bojowania w życiu" (str. 84), myśli jego powtarza i Sofokles, on prowadził lud swój do „idealnej krainy i osobistej swobody", do której „gwałt i przemoc bronią wchodu" (str. 89).

Czytając te entuzyastyczne pochwały, nie możemy wyjść ze zdumienia i zadajemy sobie pytanie: gdzie szan. autor wszystko to wyczytał? gdzie dowód na to, że Protagoras, którego prawie wszyscy filozofowie uważali do dnia dzisiejszego za płytkiego sceptyka, którego z tak subtelną ironią wyśmiał Platon w jednym z najlepiej napisanych dyalogów swoich, że ten właśnie sofista był genialnym reformatorem i wodzem duchowym Hellady? Dowodu nie znajdujemy żadnego. Wprawdzie autor może się powołać na kilku wybitnych badaczy nowszych, którzy bronią Protagorasa i innych sofistów przeciw Platonowi i jego następcom. A zwłaszcza dzieło Gomperz'a p. n. *Griechische Denker* i t. d. (tom I wyszedł w Lipsku 1896) i zawarte w niem argumenty przyczyniły się do wytworzenia opinii dla sofistów korzystnej u znacznej części miłośników filozofii. Kto jest sam przekonany (jak właśnie Gomperz), że wszelka metafizyka jest urojeniem, że nigdy nie zdołamy przekroczyć zakresu doświadczenia i dojść do jakiejkolwiek wiedzy o świecie nadzmysłowym, o Bogu, ten musi sympatyzować z Protagorasem i upatrywać wielką mądrość w owych kilku zdaniach sofisty, które przechowały się do naszych czasów.

I tak przyznaje Gomperz wraz z innymi zupełną słuszność słowom, od których zaczynała się księga Protagorasa, spalona na rynku ateńskim, jako głosząca ateizm: „O bogach nie mogę wiedzieć, czy są, czyli ich niema, bo wiele przyczyn stoi na przeszkodzie temu poznaniu, a zwłaszcza niejasność rzeczy i krótkość ludzkiego życia". On nie twierdzi stanowczo, że niema żadnego bóstwa, ale pojmuje, że rozum nasz nie może zbadać, czy wogóle coś istnieje poza zjawiskami, które są doświadczeniu przystępne! Tak zwane dowody istnienia Boga nie są dowodami, bo nie dadzą się sprawdzić drogą eksperymentalną. Rozum wszystkich metafizyków i ludzi wierzących dopuszcza się „paralogizmów", kiedy wnosi istnienie Boga z celowości natury i z innych przesłanek, kiedy w Nim upatruje początek wszechrzeczy, kiedy istnienie Jego uważa za postulat konieczny! A więc trzymajmy się raczej tego, co w duchu Protagorasa napisał Ernest Renan: „Nie wiemy nic; oto wszystko, co można powiedzieć z pewnością o tem, co wychodzi poza obręb skończoności. Nie twierdźmy nic, nie zaprzeczajmy niczemu, spodziewajmy się!" (Gomperz l. c. str. 361).

I drugie osławione zdanie Protagorasa: „Miarą wszech rzeczy jest człowiek, tych, które są, że są, a tych, których niema, że ich niema" — zawiera również, według Gomperz'a (str. 362 sqq), myśl całkiem trafną; nie znaczy ono bowiem, że każda jednostka może uważać

za prawdę, co jej się prawdą wydaje, tylko że my ludzie musimy pozostać w granicach swojej natury; prawda dla nas przystępna musi być granicami temi objęta; to tylko możemy uważać za rzeczywistość, co podlega naszemu spostrzeganiu.

Jeszcze jedno przechowało się wyrażenie Protagorasa, które wywołało zarzuty ciężkie a, zdaniem jego obrońców, nieuzasadnione: on chlubił się tem, że potrafi za pomocą swej sztuki krasomowczej „słabszą mowę (lub sprawę) uczynić mocniejszą“ (τὸν ἥττω λόγον κρείττω ποιεῖν), to znaczy: czyto w procesach sądowych, czy w debatach politycznych dopomódz do zwycięstwa takim argumentom, które same w sobie są gorsze i bronią sprawy niesłusznej. Z tego właśnie powodu rozpowszechniło się zaraz po jego i innych sofistów wystąpieniu niekorzystne mniemanie, że uczą swoich słuchaczy dowodów wykrętnych, zwodniczych (które też nazwano „sofizmatami“), że uczą fałsz przedstawiać jako prawdę. Ale i na ten zarzut znalazł Gomperz odpowiedź (str. 377 sqq): Protagoras uczył tego, czego uczy sam występujący przeciwko niemu Arystoteles, czego uczy cała retoryka starożytna, kiedy wskazuje środki, z których pomocą czyni się na słuchaczach największe wrażenie i które potrafią ich przekonać o słuszności sprawy, bronionej przez mowcę, chociażby ta sprawa była właśnie słabszą i gorszą. W każdej rzeczy można argumentować *pro* i *contra*, a sztuka polega na tem, żeby według potrzeby nadać jednym lub drugim racyom przewagę w oczach słuchaczy.

Cóż więc mamy sądzić o tym sporze? Czy udało się obrońcom sofistyki oczyścić ją z wszystkich zarzutów? Według mego zdania mają oni słuszność o tyle, że sofiści przyczynili się istotnie w znacznej mierze do rozwoju oświaty greckiej. Oni bowiem pierwsi zaczęli zajmować się gramatyką, retoryką i innemi naukami, zaczęli rozróżniać części mowy, synonimy, próbowali określać pojęcia, poruszali kwestye zasadnicze, dotyczące logiki, teoryi poznania, etyki i badań metafizycznych. W polemice, którą z nimi prowadzi Platon, nie można szukać oceny całkiem przedmiotowej ich poglądów i zasług; zresztą i jego Protagoras — jakkolwiek zakrawa poniekąd na karykaturę — okazuje się mężem moralnie nieposzlakowanym i religijnym: wszakże autor wkłada mu w usta mit, w którym od początku do końca jest mowa o bogach i wpływie ich na losy rodu ludzkiego. Nie jest też rzeczą prawdopodobną, żeby Protagoras miał przyznawać się z całą świadomością do zupełnego sceptycyzmu, żeby każdemu pozwalał uważać za prawdę, co mu się prawdą wydaje.

Z drugiej jednak strony niepodobna—mojem zdaniem—przypuścić, żeby to wszystko, co mówią o sofistach Platon i Arystoteles, czyniło im krzywdę i stawiało ich całą działalność w świetle zupełnie fałszywem. Chociażbyśmy nawet zgodzili się na twierdzenie, że Platon niewiele troszczy się o prawdę, kiedy puszcza wodze swej skłonności satyrycznej i wyśmiewa sofistów, wywyższając nad nich Sokratesa, — to trudno przecież uwierzyć, że także Arystoteles powodował się jakąś względem nich niechęcią, że niezgodnie z prawdą charakteryzuje ich zapatrywania i że nikt mu nie zaprzeczył w czasie, kiedy jeszcze pisma ich istniały i były każdemu dostępne. Sam Gomperz uznaje tę trudność (str. 369), ale usiłuje osłabić jej znaczenie, wskazując na sprzeczność, jaka ma zachodzić pomiędzy ustępem metafizyki: 1053*a* 35, a dwoma poprzednimi, które są również zwrócone przeciw Protagorasowi (1007*b* 22 sqq i 1009*f* 6 sqq). Tam zarzuca sofiście Arystoteles, że zdanie jego: „człowiek jest miarą wszystkiego“ (ἄνθρωπον πάντων εἶναι μέτρον) nic właściwie nie mówi, chociaż zdaje się zawierać myśl bardzo wielkiego znaczenia (οὐδὲν δὴ λέγων περριτὸν φαίνεταί τι λέγειν), tu zaś wykazuje mu, że nie można uważać wszystkiego za prawdę, co się komu prawdą wydaje, bo z dwóch sądów, z których jeden to samo twierdzi, czego drugi zaprzecza, może tylko jeden zawierać prawdę: gdyby wolno było o każdej rzeczy coś twierdzić i tego samego zaprzeczać, w takim razie możnaby uważać okręt i ścianę i człowieka za to samo; „jeżeli bowiem komuś człowiek nie wydaje się okrętem, to widocznie nie jest, jeżeli zaś zdanie przeciwne mówi prawdę, to jest okrętem“. Otóż sądzę, że jedno zdanie Arystotelesa nie sprzeciwia się drugiemu, ale w jednem jest mowa o zasadach tożsamości i sprzeczności [1], w drugiem stwierdza autor, że zdanie: „człowiek jest miarą wszystkiego“ nic nas właściwie nie uczy, bo mówi tylko, że człowiek osądza, czy coś jest, czy nie jest, na podstawie tego, co wie lub spostrzega. Zapewne też nie chciał powiedzieć Protagoras, że od naszego zdania zawisło samo istnienie rzeczy, że wcale niema przedmiotów, których nie spostrzegamy.

Wogóle wydaje mi się z tego, co piszą znawcy jego nauki o Protagorasie, rzeczą niewątpliwą, że był to myśliciel wcale niegłęboki,

[1] W ustępach metafizyki, przytoczonych powyżej na drugiem miejscu, nie mówi autor wyraźnie o zdaniu, że „człowiek jest miarą wszystkiego“, ale ma prawdopodobnie na myśli inne powiedzenie Protagorasa (o którem mówi Gomperz na str. 370), że o „każdej rzeczy są dwie mowy, które się sobie sprzeciwiają, t. zn., że każdemu twierdzeniu można zaprzeczyć.

który wypowiadał zdania sceptyczne, ale sam nie pojmował ich doniosłości, który stał na gruncie empirycznym, podobnie jak dzisiejsi pozytywiści i sceptycy, zaprzeczający możliwości poznania początku i końca wszechrzeczy, który prawił o sztuce wychowania i o udoskonaleniu moralnem młodzieży, podobnie jak dzisiejsi pedagodzy „postępowi“, ale nie umiał określić, czem jest właściwie cnota i na czem zasadza się owo „udoskonalenie moralne“.

Ale wróćmy już po tej dygresyi, która wydała mi się konieczną do zrozumienia rzeczy, do rozprawy prof. Schneidra. Przekonany przez Gomperz'a i innych o krzywdzie, jaką wyrządzono Protagorasowi i o genialności tego myśliciela, posunął się autor jeszcze dalej i wyobraził sobie, że sławny Abderyta ludzkości nowe torował drogi. Kiedy jednak argumentacya Gomperz'a opiera się na pewnej podstawie i zawiera w sobie ziarnko prawdy, szukamy daremnie u prof. Schneidra dowodów, przekonywających o prawdziwości jego twierdzeń. Skąd autorowi wiadomo, że to Protagoras był człowiekiem przejętym duchem Prometeusza, że jemu zawdzięcza nawet Sofokles wzniosłe swoje myśli, że „kierunek protagorejski“ przebija się w „Antygonie“ (str. 87)? Wogóle dopatruje się autor takich związków między ideami poetów i filozofów, jakich dotąd nikt się prawdopodobnie nie dopatrzył: Protagoras i cynicy wydają mu się podobnymi do Mickiewicza, oni także walczyli z „gwałtem i przemocą“ (str. 89), — Protagoras, „idąc za Empedoklesem, wskazywał ‚rajską dziedzinę ułudy‘“ (?! str. 56), — Anaxagoras jest podobny do Ismeny, „która się chętnie powołuje w tragedyi Sofoklesa na νοῦς i godzi się raczej przez niedokrewność woli z Kreontem, na wskróś przesiąkniętym pozorną wiedzą, niż z Antygoną „rozumną szałem“ (str. 35). Nauka Protagorasa „radzi zbudować własny wewnętrzny świat myśli i niemal po bajrońsku rozniecać w sobie skrytego ognia zarzewie“ (str. 82). W orfice, u Empedoklesa, Protagorasa i Sofoklesa „zbliża miłość i miłosierdzie boga i ludzi do siebie“ (str. 91). „Leonizm, którego prototypu dopatrzył się nowoczesny myśliciel w nauce Zoroastra, przenika dzieje ateńskie piątego wieku“ (str. 92). Parmenides przypomina hasło romantyczne: „rozumni szałem“ (str. 19), hasło zaś to nazywa autor „dewizą postępową“ (str. 70). Podobne myśli i skojarzenia zdumiewają także w innych ustępach rozprawy. Wogóle lubi autor mieszać rzeczy całkiem różne: cóż ma bowiem wspólnego „rozum“ Anaxagorasa z bojaźliwą „roztropnością“ Ismeny, — co Abderyta, głowa sofistów z „Odą do młodości“?

Do znamion, charakteryzujących filozofię autora, należy także jego

predylekcya do Nietzsche'go, który był, jego zdaniem, „jednym z najgenialniejszych umysłów“ (str. 102) i wywarł widocznie znaczny wpływ na jego poglądy. A przecież filozofia przestałaby chyba być nauką, gdyby miała kiedykolwiek Nietzsche'go zaliczyć do swoich koryfeuszów! Każda umiejętność potrzebuje koniecznie pewnych zasad ogólnych, na których się opiera, z których wnioski swoje wysnuwa, musi według prawideł logicznych odróżniać prawdę od błędu. A tymczasem do zasadniczych aforyzmów wspomnianego „myśliciela“ należy twierdzenie: *Nichts ist wahr!* Jest on więc zwolennikiem sceptycyzmu absolutnego, który odbiera podstawę wszelkim badaniom naukowym i gdyby pisarze tego obozu byli konsekwentni, powinniby wogóle przestać jakichkolwiek wygłaszać zdań, bo pocóż myśleć i pisać, jeżeli wszystko, co nam powiedzą, będzie się mijało z prawdą? Ale sceptycyzm nie jest konsekwentny; on twierdzi, że poznaje prawdę, tylko że według niego prawdziwem będzie albo zapewnienie, iż Boga niema wcale, albo, że przynajmniej trzeba wątpić o istnieniu Boga, albo, że t. zw. prawa moralne są wymysłem ludzkim i nie są od woli naszej niezawisłe i t. p. Tak ma się rzecz i z Nietzschem, który w wielu sprawach najżywotniejszych „poucza“ swoich czytelników, nie próbując nawet aforyzmów swoich dowodzić, który zresztą był już może obłąkanym, kiedy pisał ostatnie swoje dzieło (dawniejsze nie są jeszcze pozbawione wszelkiego związku logicznego). Wychodzi on z założenia, o którego prawdziwości chce nas przekonać, że znajomość prawdy jest nam niepotrzebna, że nie powinniśmy jej szukać: „Poco prawda? — Dlaczego nie raczej nieprawda, niepewność, a nawet nieuctwo?... Czemże zresztą są prawdy człowieka? Są to fałsze człowieka, nie dające się zbijać... Wola, dążąca do prawdy, to utajone pragnienie śmierci... Wypowiedzieć prawdzie posłuszeństwo to wolność ducha... Potęga i wolność ducha płyną z jego siły i nadsiły i ujawniają się w sceptycyzmie“. Każde przekonanie jest, według niego, „więzieniem“, a jednak on sam jest przekonany, czyli raczej wmawia w siebie przekonanie, że wszystko jest fałszem, co rozum i wiara mówią nam o Bogu: „Bóg jest dziełem człowieka i jego obłąkania... Gdyby bogowie istnieli, jakżebym wytrzymał nie być Bogiem? — A zatem niema bogów“ (co za konkluzya!).

Otóż Nietzsche wypowiedział także kilka pomysłów fantastycznych o filozofach greckich, które p. Schneider uznaje za „genialne“. W Sokratesie widzi on nowego Orfeusza, przeciwnika Dyonizosa; nowy ten Orfeusz zmusił przemożnego boga do ucieczki, (?!) chociaż miał być

sam rozdarty przez Menady trybunału ateńskiego *(Die Geburt der Tragödie aus dem Geiste der Musik,* cyt. na str. 103). Muszę jednak dodać, że autor uważa wprawdzie ten pomysł za bardzo głęboki i mądry, ale sam widzi w Sokratesie „zwolennika trackiej orfiki i mistycyzmu“ (str. 102). Zresztą Nietzsche potępia Sokratesa jako „pierwowzór teoretyka optymisty“, jako słabą głowę, a przeciwnie p. Schneider stawia tego filozofa bardzo wysoko jako mesyanistę (?! str. 96), na którego „dajmonion złożyły się cynizm i protagoreizm“ (?! str. 98). Sokrates miał znaleźć w tradycyi o Orfeuszu „niezmierne bogactwo wiedzy, dobytej z serca“ (str. 101) i głosił prawdopodobnie naukę, przypominającą „teorye polskich wieszczów i myślicieli o odrodzeniu się z ducha“ (palingeneza); że „człowiek unieśmiertelnia się i ubóstwia w corazto doskonalszych wcieleniach“ (str. 101—102). Domysły te nie są poparte żadną argumentacyą.

Temu brakowi jasności i dobrego związku w myśleniu odpowiada także w niektórych ustępach rozprawy niedokładność, zawiłość, niepoprawność wyrażeń. Do próbek, przytoczonych powyżej, dodaję słowa: „dosztukowywać i nadsztukowywać przyrodę przez urabianie ciała i duszy“ (str. 40), „ustusunkuje“ (str. 83), „samobytny“ (str. 86), „rozlewność życia“ (str. 99), „więcejrazowe“ (str. 30), „Antyfont wyjaławiał ducha z prywatnej zadumy“ (str. 84 — co to ma znaczyć?). Bardzo często, a niezawsze stosownie używa autor słówek: „tudzież“ i „oraz“ (np. na str. 2, 81, 83, 89).

Ks. dr. Aleksander Pechnik.

Tragedya moskiewska. Szkice historyczne. *Dr. Aleksander Brückner.* W Krakowie 1901.

Nie można się dziwić uczonemu lingwiście i historykowi literatury,. że pisze „szkice historyczne“, ponieważ studya nad literaturą pamiętnikową polską XVII wieku musiały zwrócić uwagę badacza na zagadkową postać Samozwańca. We współczesnem piśmiennictwie polskiem mamy zresztą panegiryki na ślub Dymitra z Maryną Mniszchówną, panegiryki, które nawet sięgają wzrokiem w dal większą i głębszą, aniżeli ją przedstawiało małżeństwo dwóch jednostek ambitnych lub przyszłe splendory domu wojewodzińskiego.

Postać Dymitra Samozwańca pociągała zawsze i historyków i poetów. I jednych i drugich drażniła jej zagadkowość i jej dziwne, awanturniczo-tragiczne losy. Postać to w każdym razie niezwykła, niepospolita, wyprzedzająca znacznie swoje (rosyjskie) społeczeństwo. Do-

dajmy, że od Dymitra poczyna się *smuta, smutnoje wriemia,* epoka krwawych zawikłań i niepokojów w Rosyi, epoka wielkiego upokorzenia, niedoli i epoka wielkiego duchowego podniesienia się narodu rosyjskiego. Z dziejami polskiemi wypadki te ściśle się łączą, więc nie dziw, że dla Polaka tem większe mają znaczenie, tem większą budzą ciekawość.

Prof. Brückner w „Tragedyi" wybiera z całej masy zdarzeń tylko kilka punktów i te dokładnie omawia. W pracy więcej popularnej, niewielkich rozmiarów (stron 89) nie mógł się porywać na dokładne, wszechstronne przedstawienie rzeczy. Nie opowiada więc całego toku dziejowych wypadków, ale zwraca uwagę na znaczenie tego epizodu dziejowego dla Polski i Rosyi; daje niezmiernie interesujący obraz ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego, jego stanu obyczajowego, zwyczajów, poglądów, wierzeń, jego stopnia oświaty; zajmuje się szczegółowo kwestyą, kim był ów Samozwaniec; opowiada udział Polaków w całej awanturze; kreśli charakterystykę Dymitra. Wszystko opowiedziane niezwykle barwnie, żywo, czyta się z rzadkiem zajęciem.

Różne części pracy różną przedstawiają wartość. I tak najmniej nas zadowala psychologiczny portret głównego bohatera. Tem więcej zaś wymagającymi stajemy się wtedy, gdy stajemy na tem samem co autor stanowisku w sprawie osobistości Samozwańca. Był nim Griszka Otriepow, mnich-wywłoka (rozstrzyga — razstriga), to w takim razie niezwykłość postaci staje się tem większą, zagadkowość tem więcej drażniącą, ciekawość nasza tem silniejszą. Bo że na tron carski mógł się wedrzeć bojarzyn starożytnego rodu, piastujący wysokie dygnitarstwa, to w tem niezwyczajności niema nic; krok od stopnia tronu na tron sam do zrobienia był łatwy. Ale, aby zwyczajny mnich, pochodzący z rodu bojarskiego ale zwyczajnego, jakich było setki, na tak niesłychanie śmiałe przedsięwzięcie mógł się porwać, aby taka myśl w jego głowie powstała: do tego trzeba jednakże ducha niecodziennego. Musiał to być człowiek niezwyczajny. Potem jego plany reformatorskie i cywilizacyjne: mógł je — prawda — powziąć w Polsce, pod wpływem ówczesnej polskiej — jeszcze świetnej, jeszcze żyjącej w tradycyach złotego wieku Odrodzenia — kultury, ale już to samo, że je mógł powziąć, rzuca nań światło oryginalne. Wytłumaczenia tych wszystkich zjawisk szukamy przedewszystkiem w duszy bohatera; ta nas pociąga swoją niezwykłością, ta budzi naszą ciekawość w najwyższym stopniu. Pragnęlibyśmy też odpowiedzi na pytanie, jak wogóle w ówczesnem społeczeństwie rosyjskiem taki człowiek mógł powstać,

jak mogła tak potężna indywidualność zrodzić się w tej szarej masie carskich rabów.

Tego niestety w omawianej pracy nie znajdujemy. Ale też chyba autora tak dalece o to winić nie możemy. Postać zagadkowa przestałaby być zagadkową, gdybyśmy poznali tajniki jej duszy i psychiczne sprężyny jej działania. Psychologia Dymitra jest nam nieznaną i chyba nieznaną (we wszystkich szczegółach) pozostanie. Mimo wielkiej obfitości źródeł jest to rzecz niepodobna do wykonania; zresztą właśnie o czasach przed pojawieniem się Dymitra na dworze wojewody wiadomości nasze są najszczuplejsze i najmniej pewne. Sądzę, że w tej niemożności skreślenia duchowego obrazu Samozwańca leży powód pewnego braku wyrazistych charakterystycznych rysów w bohaterze schillerowskiego *Demetriusa*.

Najlepiej wypadła i najwięcej zajmuje ta część rozprawy, która przynosi obraz ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego. Obraz to nader barwny, obfituje w wielką ilość bardzo charakterystycznych szczegółów, a przytem odkrywa przed nami krainę zgoła nam nieznaną. Znajomość dzisiejszej Rosyi jest przecież u nas czemś niesłychanie rzadkiem; tak jest przynajmniej w Galicyi, a jeżeli inaczej za kordonem, to do nas jednakże w tym względzie nic stamtąd nie dochodzi. Cóż dopiero mówić o znajomości społeczeństwa rosyjskiego z początków wieku XVII! Temu brakowi zaradza w dużej mierze szkic prof. Brücknera. Autor sam wyraża się o tem: „Najwięcej zajmie nas pytanie, jak wyglądała ta Moskwa Samozwańca, w jakiem otoczeniu, między jakimi ludźmi, w *dumie* i w obozie, w cerkwi i celi, w Kremlu i na *płoszczadi* (placu), w domu i w podróży, w turmie i w kabaku rozegrała się tragedya Dymitra. Po krótkim przeglądzie źródeł (poseł cesarski Herberstein, Anglik Fletcher, Holender Massa, Francuz Margeret i inni, — także liczne źródła polskie, jak Pielgrzymowski, Niemojewski, Maszkiewicz) i ich ocenie autor opowiada o ówczesnym fanatyzmie religijnym Rosyi przy strasznem w tym względzie nieuctwie; zaznacza, jaka nieufność do obcych, niechęć, niemal nienawiść panowała w ówczesnem rosyjskiem społeczeństwie, a skutkiem tego zamknięcie się przed jakimikolwiek cywilizacyjnymi wpływami i zasklepienie w skostniałych formach kultury bizantyńsko-ruskiej; brak nauki, ogłady towarzyskiej, wady charakteru, jak skłonność do kłamstwa, zakorzeniona bardzo silnie, chełpliwość, podejrzliwość wzajemna i nieufność, grubość obyczajów tak w stosunkach towarzyskich jak domowych, w rozrywkach i zabawach, w stanowisku kobiet: to wszystko jest przez autora

żywo przedstawione: podkreśla wreszcie niewolę rosyjską i stosunki społeczne. Potem dopiero przechodzi do opisu pierwszych aktów tragedyi, do zamordowania carewicza i do pierwszych występów Samozwańca.

Obraz społeczeństwa rosyjskiego owej epoki malowany jest przeważnie ciemnemi barwami. Autor podkreśla głównie jego ujemne strony. Niesłuszną jednakże byłoby rzeczą robić mu z tego zarzut stronniczości lub co gorzej, świadomego przekręcania faktów. Obraz ten ma być tylko tłem, na którem się ponura tragedya Samozwańca odgrywa i ma ją tłómaczyć, ma dać klucz do jej zrozumienia. Są w nim pokazane przyczyny, które fakt pojawienia się Samozwańca wywołały, które mu pomogły do zajęcia tronu carskiego i które spowodowały jego upadek, a z upadkiem Dymitra upadek wpływu polskiego i zachodniego, upadek nadziei króla i papieża. Ostatecznie wszakże należałoby wskazać i na to, że chyba nie sama nienawiść do cudzoziemców i katolików, nie sama ciemnota i zacofanie, nie sama grubość obyczajów dały ludowi rosyjskiemu broń do ręki przeciwko obcym wojskom; należałoby też sięgnąć i do głębszych przyczyn, jak do położenia ekonomicznego, do stosunków socyalnych, do myśli i poglądów politycznych. Bo jednakże jest faktem, że szereg zjawisk, ugrupowany przez autora, całkowicie tragedyi moskiewskiej jeszcze nie tłómaczy.

Mówiąc o udziale Polaków w tym historycznym fakcie, autor notuje tułające się jeszcze zdania historyków obcych, przedewszystkiem rosyjskich, jakoby cała historya z Samozwańcem była uknutą przez Polskę i Jezuitów dla rozszerzenia potęgi polskiej i katolicyzmu — i słusznie podkreśla jego wprost niedorzeczność, niemożliwość tego rodzaju sprawy w ówczesnych warunkach, zaznacza, że „spisek samozwańczy jest wyłącznie sprawką moskiewską; w Moskwie myśl się poczęła, moskiewskimi zasobami głównie ją zasilano i w Moskwie ją ukoronowano. Wina Polski i Ojców leży tylko w tem, że proszeni nie odmawiali skutecznej pomocy: jedni, radzi awanturze, w nadziei zysków doczesnych, wzbogacenia się rychłego, spłacenia olbrzymich długów i t. d., drudzy dla nieba i wiary pracując, łudząc się marą zgnębienia schizmy w samym jej mateczniku“.

Dziełko prof. Brücknera zdobią dwa współczesne portrety z galeryi rodzinnej Mniszchów w Wiśniowcu, obecnie w zbiorach cesarskich w Moskwie, Dymitra i Maryny.

Nie jest praca prof. Brücknera rzeczą pod każdym względem zaokrągloną; aby ją rozumieć we wszystkich szczegółach, należy przyzwać do pomocy wiele innych dzieł. Ale to, co przynosi, jest tak cie-

kawe, tak zajmujące i tak zajmująco przedstawione, że doprawdy czyta się jednym tchem z rosnącem coraz więcej zainteresowaniem; przynosi przytem rzeczy zgoła dla nas nowe, w literaturze naukowej polskiej dotąd całkiem nietknięte. Te słowa — sądzę — określają jego wartość i znaczenie.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Kornel Ujejski (1823—1893). W dodatkach garść listów Ujejskiego, Szajnochy i Bohdana Zaleskiego. *Kazimierz Wróblewski.* Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1902 (Str. 306).

Bez wahania można powiedzieć, że żaden z drugorzędnych polskich poetów XIX wieku nie miał takiego wzięcia u historyków literatury, jak właśnie Ujejski. Żaden z nich, choć wielu stoi od niego wyżej pod względem znaczenia w rozwoju poezyi naszej, nie doczekał się do obecnej chwili tylu opracowań, któreby tyle światła rzuciły na twórczość i rodzaj talentu — ani Zaleski ani Goszczyński, Pol ani autor „Lirenki". Taki stan rzeczy — zdaje się — wypływa z tej przyczyny, że na strunach bardonu Ujejskiego dźwięczała nieustannie nuta patryotyczna, jak u żadnego z tamtych, że dalej przeróżne o jego znaczeniu krążyły wieści, bądź przesadne w pochwałach, bądź też potępiające z góry poetę. Kilka lat bowiem dopiero od zgonu Ujejskiego — a literatura o tym poecie jest bardzo obfita, zwłaszcza w kierunku oceny twórczości, którą zajmował się naprzód w r. 1893 p. Rawita Gawroński w *Świecie* krakowskim, później pan A. Mazanowski, Pini, Janik i prof. Tretiak. Wszystkie te prace rzuciły sporo światła na działalność poetycką śpiewaka „Skarg Jeremiego". Niewątpliwie jednakowoż przerastają prace prof. Tarnowskiego i A. Bądzkiewicza — pierwsza z nich symetryczna, druga analityczna — wymienione wyżej rozprawy, które w znacznej części były okolicznościowe. Obecnie do tych wszystkich przybyła jeszcze jedna, przerastająca tamte obojętnością, z którejto pracy dwa ustępy pojawiły się już dawniej w czasopismach, o „Skargach Jeremiego" w lwowskiem „Iris" i o młodości K. Ujejskiego — w *Tygodniku Narodowym.*

Jaka jest tedy zasługa tej pracy, co ona ze sobą nowego przynosi, jeżeli zechcemy jej wyniki porównać z rezultatami prac dawniejszych? Że zasługa jest i to niemała — zaprzeczyć się nie da żadną miarą. Rozważyć należy, że zostały w tej monografii zebrane niemal wszystkie dawniejsze wiadomości o życiu i utworach Ujejskiego, że nadto przybyła spora ilość nowych faktów, że autor trudził się sporo,

zanim udało mu się dotrzeć do nowych źródeł tak rękopiśmiennych, jak też drukowanych, że nakoniec otrzymaliśmy w tej pracy zarys całego życia i całej twórczości poetyckiej, podczas gdy dotychczasowe prace traktowały o tem wszystkiem bądź fragmentarycznie, bądź niezbyt dokładnie. Zasługa tedy jest niemała i widoczna dla każdego. A przecież — mimo tej wyższości nad tamtemi pracami nie może iść omawiana książka w porównanie pod pewnym względem z pracą Bądzkiewicza. Przewyższa bowiem książka p. Wróblewskiego tamtą pod względem jednolitości w równomiernem traktowaniu życia i poezyi, (podczas gdy Bądzkiewicz oddzielił życie od poezyi), ale nie dorównywa jej — co się tyczy rozbioru utworów i oceny talentu.

Co do strony biograficznej, to przyznać trzeba, że książka omawiana przez nas zawiera tak wielki zasób faktów, jak żadna z dawniejszych prac, że autor uporał wiele, dozierał do pierwszych ulotnych druków utworów Ujejskiego i do rękopiśmiennych materyałów, słowem — nie żałował czasu i trudu, ażeby ona wypadła jak najlepiej. Zarzutów natury poważniejszej stronie tej czynić niepodobna. Szkoda tylko, że autor nie zbadał aktów procesu Ujejskiego, które do niedawna znajdowały się w archiwum sądu karnego lwowskiego, a dziś przeszły do krajowego archiwum aktów grodzkich i ziemskich i podobno mają być niebawem ogłoszone. Wogóle niemal wszystko, co autor napisał w biografii Ujejskiego, jest potrzebne. Wytknąć tylko można balast przypisków, który powstał skutkiem tego, że autor objaśnia szczegółowo rzeczy, nie mające bezpośredniego związku z życiem Ujejskiego, choćbyśmy tylko wymienili przypisek na str. 26, gdzie autor podaje bibliografię ruchów tajnych w Galicyi po roku 1831, lub na str. 49 o Freiligracie, lub na str. 62, 63, gdzie przytoczono cały wiersz Pola do Liszta, choć wiersz ten jest znany tak, że wystarczało zacytować tylko stronę wydania zbiorowego dzieł Pola.

Zupełnie inaczej mają się rzeczy z tą częścią pracy, w której mamy do czynienia z rozbiorem utworów. I tej części monografii przyznajemy chętnie to, co się jej należy, a więc, że geneza utworów została przedstawiona w świetle właściwem, że autor oddał w sposób trafny i właściwy podkład historyczny, na jakim one powstały, że liczył się z wszystkiemi okolicznościami, nawet drobnemi i na pozór nieznacznemi, jeśli tylko one wywarły wpływ na powstanie danego utworu. I w tej części swojej pracy wyzyskał autor, co powiedzieli przed nim inni. Ale to właśnie stało się poniekąd przyczyną pewnego błędu, w jaki popadł autor, powołując się ciągle na innych. Skutkiem tego

bowiem ciągłego posługiwania się obcem zdaniem, obcym sądem, rzadko kiedy zdołał dodać coś od siebie, a to razi niepomiernie, bo wygląda, jak gdyby autor nie miał swojego sądu o danej rzeczy. Cały w ogólności rozbiór poezyi Ujejskiego przeładowany jest cytatami utworów, jako też powtarzaniem zdań innych autorów o twórczości Ujejskiego.

Drugim zarzutem, jaki musimy uczynić tej części pracy, jest nader oględne i ogólnikowe niejednokrotnie wyrażanie się o wadach utworów Ujejskiego i ustawiczna dążność do złagodzenia ich, o ile możności, jak największego lub wreszcie całkowite milczenie o błędach w talencie Ujejskiego. I tak: nie wytknął Ujejskiemu jednego z największych błędów — t. j. frazeologii retorycznej, jaką często grzeszył poeta.

Za najważniejszy wszelako błąd tej pracy uważamy całkowity brak jakiejkolwiek syntezy, któraby nam zebrała rozprószone spostrzeżenia i dała ocenę rodzaju i wartości talentu Ujejskiego, rozpatrzyła części jego składowe, a w końcu oznaczyła stanowisko poety w długim szeregu poetów naszych XIX w. i znaczenie w rozwoju poezyi naszej.

Oto zarzuty, które, jak widzimy, nie przechylają wcale na swą stronę sądu o całości.

Stanisław Zdziarski.

Zarys apologetyki. Napisał *ks. dr. Aleksander Pechnik,* profesor gimn. Lwów 1901 (Str. 131, II).

Szanowny autor uzasadnił w swoim czasie potrzebę wprowadzenia apologetyki do klasy VIII gimnazyów [1], a do ułożenia tej książki zabrał się w nadziei, że prędzej lub później stanie się ona podręcznikiem szkolnym, a, dopóki to nie nastąpi, przynajmniej prywatnie służyć będzie do uzupełnienia wykształcenia średniego.

Dotąd sprzeciwiała się znaczna część ks. katechetów wprowadzeniu apologetyki do szkół średnich z tego głównie powodu, że nie zdawali sobie jasno sprawy z zakresu i rozmiarów tego przedmiotu i obawiali się, że będzie on za trudny nie tylko dla samej młodzieży, ale nawet dla nauczycieli. Podręcznik ks. Pechnika jest dowodem, ile płonne są te obawy. Wszak autor przesuwa tylko po prostu materyał „Dogmatyki ogólnej“ z klasy V i część „Dogmatyki szczegółowej“ z klasy VI do klasy VIII, uwzględniając stopień rozwoju,

[1] Por. referat, odczytany na I-ym zjeździe ks. katechetów, i rozprawę, ogłoszoną w II-im roczniku *Dwutygodnika katechetycznego*, a wydaną w osobnej odbitce w Tarnowie. 1898.

najwyższej klasie właściwy, i wiadomości, których udzielać powinna propedeutyka filozoficzna.

Dziś uzasadnia się rozumowo potrzebę religii, dowodzi się możliwości cudów, istnienia Boga i t. d. już w klasie V, a więc w czasie, kiedy uczniowie nie są jeszcze na tyle rozwinięci, żeby mogli należycie pojąć przytaczane dowody. Takie zaś przedwczesne traktowanie zagadnień, należących do „podstaw wiary", nie tylko nie przynosi spodziewanego pożytku, ale może nawet niejednego na wielką szkodę narazić. W klasie zaś VIII uczniowie już „filozofują", niejedno już słyszeli i czytali, stąd nasuwają się im zarzuty wszelkiego rodzaju przeciw podstawom religii chrześcijańskiej. Czas więc odpowiedni do tego, aby szkoła wtedy im właśnie podawała broń naukową do odpierania krytycznego tych zarzutów. Tak zarzuty, jak naukowe ich odpierania mogą oni wtedy należycie zrozumieć i ocenić, lepiej w każdym razie i gruntowniej, niż kiedy byli w klasie V czy VI.

Pomoc do tego zrozumienia znajdą uczniowie dobrą w podręczniku omawianym, o którym otwarcie powiemy, że jest on jaśniejszy, przystępniejszy, praktyczniejszy, a zwłaszcza ściślejszy i gruntowniejszy od podręczników dogmatyki ogólnej na klasę V. Co przedewszystkiem wyróżnia chlubnie książkę ks. Pechnika od owych podręczników, to to, że znać, iż pisał ją pedagog i dydakta, czego, niestety, nie można bez zastrzeżeń powiedzieć o „dogmatykach" na piątą klasę.

Uważając podręcznik ks. Pechnika za bardzo w swoim rodzaju dobry, z tem większą śmiałością pozwolimy sobie zrobić choć parę drobnych uwag, które możeby dobrze było uwzględnić w następnych, da Bóg, wydaniach. Zarzutów podobnych nie podnosilibyśmy przeciw książce lichej, że zaś je podnosimy, dowodem to jest wysokiego naszego o omawianej książce rozumienia.

Sądzę, że określenie „apologetyki" nie jest dokładne. Odnosiłoby się ono raczej do „apologii". Przez apologetykę rozumie się dziś powszechnie podstawową naukę teologiczną, która ma za zadanie uzasadnić w sposób umiejętny prawdziwość religii chrześcijańskiej katolickiej, nie tylko zaś — jak chce autor — „odeprzeć i uzasadnić zarzuty i wątpliwości, podnoszone z wielu stron przeciw nauce Kościoła".

Nieścisły i niejasny jest wykład o wyobrażeniu i pojęciu i o stosunku wrażenia do wyobrażenia. Pojęcie, równie jak wyobrażenie, nie jest tylko aktem umysłowym, ale jest także pewną intellektualną podobizną przedmiotu, pewnym jakby umysłowym typem, reprezentantem przedmiotu. Tego jednak koniecznego odróżnienia między stroną pod-

miotową a przedmiotową pojęcia nie wyczytaliśmy w wykładzie wspomnianym.

Bardzo już nieściśle i nie w zgodzie z dzisiejszym stanem fizyki wyraża się autor o przebiegach w świecie materyalnym, jakoby wszystkie dawały się sprowadzić do ruchu (str. 17). Określenie siły jest zupełnie niefizyczne, ale całkiem metafizyczne w złem znaczeniu tego wyrazu („Przez siły rozumiemy — powiada autor — nieznane nam bliżej przyczyny albo też warunki zjawisk mniej lub więcej trwałe").

Niedokładne jest określenie religii w znaczeniu przedmiotowem. Religia obejmuje nie tylko „obowiązki nasze względem Boga", lecz również prawdy o Bogu i czci Boga.

Bardzo trafnie postąpił autor, uwalniając swój podręcznik od balastu skrypturystycznego, którym przepełnione są podręczniki na klasę V-tą. Jednak szkoda, że jeszcze nie poszedł o krok dalej i zupełnie nie opuścił dowodów autentyczności i wiarogodności Pisma Starego Zakonu. W apologetyce szkolnej wystarczy — zdaniem naszem — udowodnić ściśle autentyczność i wiarogodność Ewangelii. Na niej się opierając, dowiedzie się Bóstwa Chrystusa i założenia jego Kościoła, a autentyczność, wiarogodność i natchnienie całego już Pisma świętego wyprowadzi się z pozytywnej nauki nieomylnego Kościoła. Obrona zaś autentyczności oddzielnych części Pisma św. wobec zarzutów należy wtedy do apologii, nie do apologetyki.

Na zakończenie jedna jeszcze uwaga. Na końcu książki dano „Dodatek objaśniający dla ks. katechetów". Dobre i pożyteczne są tam rzeczy tak dla nauczycieli apologetyki, jak zwłaszcza dla samego autora książki, uprzedzającego pewne zarzuty. Ale wątpimy, czy taki dodatek na miejscu jest w podręczniku dla młodzieży szkolnej.

Ks. S. Kobyłecki.

Kwestyonaryusz małżeński. *K. Bartoszewicz.* Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1901.

Drobna broszurka w kwestyi bardzo „aktualnej" i doniosłej. Doktor z prowincyi (fikcyjny, albo faktycznie istniejący) napisał do p. Bartoszewicza list z prośbą o wyszukanie mu żony, któraby „nie umiała paplać żadnym obcym językiem, bo to rodzi tylko fumy i chętkę czytania głupich romansów; nie śpiewała, nie malowała i nie grała na fortepianie, bo to strata czasu a często i tortury; nie chodziła na sztuki Ibsena, Maeterlincka, Przybyszewskiego i t. p., bo takie panny za wiele wiedzą i mają przewrócone w głowie; nie nosiła gorsetu, ani

ciasnych bucików, bo nie chcę kaleki; nie rozprawiała o polityce i emancypacyi kobiet, bo to dowodzi zarozumiałości; nie należała do żadnych komitetów; nie czytywała *Życia* ani wogóle wszelkich utworów dekadenckich wierszem lub prozą; nie chodziła na bale publiczne i ślizgawki, bo z tego tylko flirty i romanse; nie uczęszczała na wykłady uniwersyteckie", a natomiast, prócz posiadania miłej powierzchowności, „umiała poprawnie pisać po polsku, znała dobrze literaturę i historyę ojczystą; była biegła w czterech działaniach arytmetycznych; miała jakie takie pojęcie o historyi powszechnej, geografii, naukach przyrodniczych; umiała nieźle gotować, szyć i wogóle prowadzić gospodarstwo domowe; kochała poezyę, lubiła przyrodę i dzieła sztuki; była dobrą patryotką i chrześcijanką". Gdy p. Bartoszewicz ogłosił ten list, posypały się odpowiedzi, odsłaniające różne ujemne strony wychowania dziewcząt współczesnych, posypały się skargi na kierunek umysłowy, nadawany pannom *par force* przez rodziców i wychowawców, posypały się wreszcie mniej i więcej uzasadnione zarzuty przeciw płci brzydkiej. Pan Bartoszewicz odpowiada swym korespondentkom, odpiera jedne zarzuty, drugie uznaje za słuszne i stąd powstaje dyskusya bardzo ciekawa, choć ujęta w lekką, feljetonową formę. Jedna i druga strona — feljetonista i jego korespondentki — wypowiada czasem poglądy, z którymiby się można posprzeczać, ale zasadniczych kwestyi, na któreby się zgodzić nie można, niema. Lepiejby było, gdyby przy żądaniu, by ta „idealna" żona była „dobrą patryotką i chrześcijanką", położono silniejszy nacisk i postawiono ponad wszystkiem konieczność oparcia wychowania kobiet w zasadach religijnych, bo jeśli te zasady przejdą w krew, staną się nierozdzielną cząstką ich duszy, wówczas *eo ipso* zbliżą się one najbardziej do „ideału" żony i matki. Obniżenie poziomu religijności jest główną przyczyną, iż „zawierane małżeństwa nie przynoszą ludziom szczęścia i zadowolenia, które dawały dawniej".

A. S.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters. *Dr. Ludwig Pastor* (III Bd. Innocenz VIII — Julius II). 3 u. 4 Auflage. Freiburg in Breisgau. Herder. 1899.

Książka, którą zamierzamy omówić, jest częścią większego dzieła p. t.: *Geschichte der Päpste seit dem Ausgang des Mittelalters.* Autor, znany

jako gruntowny badacz i znawca historyi i sztuki, tudzież jako stanowczy i wybitny katolik, obrał sobie w tem dziele za zadanie przedstawić wszechstronnie dzieje i stanowisko papiestwa w całej epoce przełomowej między wiekami średnimi a brzaskiem nowej ery. Czasy to bardzo ciekawe i ponętne dla historyka. Porządek, ustrój państw średniowiecznych ma się ku schyłkowi: renesans w sztuce a humanizm w literaturze wskazują nowe kierunki i wyciskają swe piętno na XV-ym i XVI-ym wieku, Kościół i papiestwo zeświecczone potrzebują gwałtownie reformy. Echa Soborów konstancyjskiego i bazylejskiego nie przebrzmiały jeszcze, a na północy Europy gotuje się tymczasem nie reforma i poprawa, ale przewrót i burza dla Kościoła: reformacya. Na tem tle widzimy postacie Aleksandra VI, Juliusza II i Leona X, Cezara Borgii i Savanaroli, Bramantego, Michała Anioła i Rafaela, Eneasza Sylwiusza i Platiny, postacie ciekawe i potężne, interesujące historyka i estetyka, teologa i polityka, a pociągające i laika w tych umiejętnościach.

Epoka ta była też przedmiotem wielu badań i opracowań. Ranke, Gregorovius, Reumont, Roscoe, Burckhardt, Brosch i wielu innych rzuciło wiele światła na te czasy. Ale mimo tego twierdzi Pastor słusznie w swej przemowie, że wiele i to bardzo ważnych źródeł sam odkrył i zużytkował, a przez to nieraz wykrył całkiem nowe szczegóły, a nawet umożliwił nowe poglądy na ludzi i wypadki. Szczególniejsze znaczenie przypisuje autor swym badaniom w archiwum państwowem medyolańskiem i modeńskiem, w bibliotece Angelica w Rzymie, a przedewszystkiem w tajnem papieskiem archiwum, które Leon XIII otworzył dla badań historycznych. Jak wielka jest u tego opatrznościowego męża miłość prawdy i nauki, to świadczy ten szczegół, wiadomy mi z ust samego prof. Pastora. Gdy prof. Pastor, badając archiwa watykańskie, wykrył fakta, bardzo kompromitujące Aleksandra VI i jego dwór, zawahał się, czy godzi się takie rzeczy publicznie ogłaszać i w ten sposób do pewnego stopnia poniżać powagę Stolicy świętej. Leon XIII pozwolił na ogłoszenie tych wszystkich szczegółów, bo słusznie twierdził, że prawda historyczna, choćby najbardziej gorzka, nie może nigdy Kościołowi i prawdzie objawionej zaszkodzić. Wobec swych starannych i wszechstronnych badań, nie waha się Pastor twierdzić, że szczególniej co do epoki Aleksandra VI może chyba stanowcze słowo wypowiedzieć.

Tom III, o którym mamy pomówić, obejmuje panowanie papieży Innocentego VIII, Aleksandra VI, Piusa III i Juliusza II, a więc lata

1484—1513. Jako wstęp daje nam dłuższy pogląd na obyczaje i stan religijny i naukowy Włoch w tym okresie. Nie będąc z zawodu historykiem, nie mogę się wdawać w szczegółową ocenę dzieła, uznanego przez historyków za bardzo cenne, bo gruntowne i bezstronne; zwrócę tylko uwagę na to, co nas laików najwięcej uderza i interesuje, a tem jest nie obraz polityki i walk zewnętrznych papieży — ale charakterystyka czasu, stosunków wewnętrznych, tudzież najwybitniejszych osobistości działających.

Co do stosunków religijnych i etycznych, to nie są one tak okropne, jak je niektórzy historycy przedstawiają, owszem Pastor wykazuje wiele pięknych rysów, prawdziwie chrześcijańskich. Pobożność szczególniej klas niższych, działalność niektórych bractw i zakonów, usiłowania szlachetnych papieży, jak Piusa III, wskazują, że duch chrześcijański nie został nawet w tym czasie zupełnie stłumiony. Świątobliwi biskupi i kardynałowie, jak św. Wawrzyniec Justiniani, Gabryel Sforza, Aleksander i Jan Caraffa, św. Antonin, Bessarion, Carwajal, Albergatti i t. d. wyróżniają się życiem i pracami korzystnie między swymi zeświecczonymi kolegami, a nawet liczny zastęp Świętych i Błogosławionych jaśnieje swemi cnotami daleko poza granice Włoch. Że duch i idea chrześcijaństwa nie wygasła zupełnie, służy i to za dowód, iż nawet ludzie dalecy od Kościoła i bardzo luźnych obyczajów nawracali się bodaj przed śmiercią. Sam humanizm i odrodzenie nie były zasadniczo zwrócone przeciw Kościołowi, owszem przyczyniły się do rozwoju nauki i sztuki chrześcijańskiej. Mimo tych dodatnich rysów nie można jednak zaprzeczyć, że czasy renesansu i humanizmu mają na sobie cechę oziębienia wiary, pewnego odwrócenia się od Kościoła, zwrócenia ku ideałom pogaństwa, a co zatem idzie, niesłychanego rozluźnienia obyczajów. Powody tego widzi Pastor we wzrastającem bogactwie i zbytku, tudzież we wpływie dzieł literatury i sztuki starożytnej. Uwielbienie dla tej literatury i sztuki, przesiąkniętej nawskróś pogaństwem, wyziębiło serca, odwróciło je od religii i Kościoła i choć nie doprowadziło do herezyi ani do zupełnego niedowiarstwa, to stworzyło pewien libertynizm w wierzeniach, a może jeszcze bardziej w życiu praktycznem. Ci zaś, którzy mieli być „solą ziemi i światłością świata“, szli po większej części tą samą drogą. Luksus, zbytek, a co za tem idzie, zeświecczenie i rozwiązłość obyczajów u duchowieństwa doszła do niebywałych granic. Dwór papieski w tych czasach, głównie za Aleksandra VI, był zbiorem duchownych nie tylko duchem świeckim nawskróś przesiąkniętych, ale nawet oddanych zby-

tkom i rozpuście. Nierząd, hazard i kosztowne uczty i łowy odbywały się zupełnie publicznie i przestały nawet gorszyć tych, którzy na to patrzyli. Nic też dziwnego, że w tym czasie zepsucia i rozprzężenia obyczajów występują gorliwi kaznodzieje, którzy, karcąc bezwzględnie i surowo błędy i występki, grożą karami bożemi i przepowiadają blizkie burze dla Kościoła. Savanarola i inni jemu podobni przechodzą nawet granice, rzucają się bezmiernie na najwyższe osobistości w Kościele i państwie, wprowadzają do swych kazań element rewolucyjny i popadają w ton pseudo-proroczy.

W takichto czasach spoczywały rządy Kościoła w rękach Innocentego VIII, Aleksandra VI i Juliusza II. Najmniej interesu przedstawia pierwszy z nich: dobrotliwy, łagodny, ale zarazem słaby i chwiejny, pozostawał pod wpływem potężnego i genialnego kardynała Giuliano della Rovere (późniejszego Juliusza II). Za niego doszło rozprzężenie i zeświecczenie kardynałów i dworu papieskiego do tego stopnia, że po jego śmierci wybrano jawnem przekupstwem najniegodniejszego z kardynałów, Rodrigo Borgia, na stolicę apostolską. Sąd Pastora o Aleksandrze VI jest bardzo surowy, ale sprawiedliwy. Nie widzi on w Borgii potwora, wyzutego ze wszystkich uczuć ludzkich, ja kim go przedstawiali jego wrogowie: owszem uznaje w nim wielkie zdolności, spryt i gorliwość w sprawowaniu rządów i broni go przed niektórymi zarzutami, np. co do zamordowania Jana Borgii, księcia Gandyi. Mimo to wykazuje w charakterze Aleksandra tyle ciemnych stron, wykazuje w nim takie wady i błędy, że prawdopodobnie odtąd zamilkną głosy niefortunnych apologetów tego niegodnego papieża. Dwa błędy wyryły swe piętno na życiu i charakterze Aleksandra: niemoralność i nepotyzm. Niemoralnością i rozwiązłością obyczajów wyróżniał się Aleksander jako kardynał nawet wpośród zepsutego dworu papieskiego swej epoki i zasłużył sobie na publiczną naganę Kaliksta III. Jako papież, nie zaprzestał mimo swej godności i podeszłego wieku (dochodził już sześćdziesiątki) swego zmysłowego i rozwiązłego życia. Było to rzeczą tak dalece ogólnie znaną, że gdy jeden z jego synów, Jan, książę Gandyi, został zamordowany, składali reprezentanci obcych mocarstw, a nawet kollegium kardynałów oficyalną kondolencyę zrozpaczonemu ojcu. Drugą cechą charakteru Aleksandra jest nepotyzm. Nawet w czasach, w których ta wada rozpanoszyła się na dworze papieskim, wzbudzał Aleksander swem postępowaniem zgorszenie. Nie obdarzał on, ale obsypywał swych krewniaków urzędami i beneficyami: nie rozdawał już, ale wprost rozdrapywał państwo kościelne, by niem

zaspokoić coraz bardziej rosnący apetyt Borgiów, a szczególniej swego najukochańszego syna, Cezara. Ten ostatni był, według Pastora, złym duchem Aleksandra, przeszkadzał swym wpływem każdej myśli o poprawie stosunków rzymskich, wzbogacał się i panoszył kosztem dóbr kościelnych. Nawet po śmierci Aleksandra staje się groźnym dla porządku i władzy papieskiej i dopiero żelazna ręka Juliusza II czyni go dla Kościoła i państwa kościelnego nieszkodliwym.

Charakterystyka Juliusza II wypada ogólnie na jego korzyść. Nauczyliśmy się widzieć w Juliuszu tylko żołnierza, polityka i mecenasa sztuk pięknych, który nie znał i nie rozumiał wyższych, duchowych potrzeb Kościoła. Pastor przyznaje, że Juliusz II dalekim był od ideału papieża, jako widomego zastępcy Chrystusa, od ideału Leonów, Grzegorzów lub Innocentego III. W młodości swej nie był wolnym nawet od grubszych wykroczeń przeciw moralności, w polityce nie bardzo przebierał w środkach i zwracał swą uwagę raczej na stosunki zewnętrzne i polityczne, niż na wewnętrzną reformę Kościoła. Czynił to jednak nie ze względów osobistych, lecz dla dobra Kościoła, a głównie, by uzyskać dla papiestwa niezależne i dominujące stanowisko. Zastał on państwo kościelne prawie zupełnie osłabione i zrujnowane przez gospodarkę nepotów i buntowniczych wasalów, a uporządkował je i wzmocnił tak, iż słusznie nazywany bywa jego Odnowicielem. Do tego celu zdążały wszystkie jego prace, nawet jego opieka nad sztuką. Olbrzymi kościół św. Piotra miał być pomnikiem i symbolem wielkości i trwałości papiestwa. Nepotyzmu, w znaczeniu owych czasów, nie znał: zaledwie kilku jego krewnych doszło do wyższych godności i urzędów kościelnych, a żadnemu nie pozwalał rozkradać dóbr kościelnych, ani też wywierać wpływu na swoje rządy. Charakter silny, gwałtowny i nieugięty mimo podeszłego wieku: oto *pontefice terribile* („potężny", a nie „straszny"), podług sądu współczesnych. Wiekopomne zasługi tego papieża dla architektury, rzeźby i malarstwa, jego wpływ na Bramantego, Rafaela, a szczególniej Michała Anioła i prace tych mistrzów omawia autor bardzo gruntownie.

Obok papieży ówczesnych przykuwa naszą uwagę może najwięcej potężna postać florenckiego Dominikanina, Hieronima Savonaroli. Pastor bada sumiennie jego charakter i działalność, gdyż wywarł on potężny wpływ na polityczne i kościelne stosunki Italii, a znalazł bardzo różny sąd u historyków. U niektórych uchodzi za formalnego heretyka i odstępcę od Kościoła katolickiego — to też spotkał go wątpliwy zaszczyt, iż figuruje na pomniku Lutra w Wormacyi, jako jeden z jego

poprzedników. Inni natomiast podnoszą jego czysty charakter, jego gorliwość o dobro i reformą Kościoła i głoszą go nieledwie świętym, niewinnie prześladowanym. Pastor idzie drogą pośrednią. Uznając czysty charakter Savonaroli i jego dobre i szlachetne zamiary (przynajmniej w początkach działalności), a nawet pewne zasługi około chwilowego podniesienia moralności we Florencyi, nie ukrywa bardzo poważnych braków i wad jego charakteru.. Zupełny brak rozwagi i umiarkowania, butna pewność siebie, brak pokory i posłuszeństwa były przyczyną upadku tego reformatora. Nie heretykiem był mnich florencki, ale w praktyce burzył i podkopywał porządek i władzę papiestwa, podszywał się *(bona* czy *mala fide*, trudno dociec) pod powagę bezpośredniego posłannictwa od Boga, nie uznawał (przynajmniej w praktyce) władzy niegodnego wprawdzie, lecz prawowitego papieża; zdziałał też nierównie wiele więcej złego niż dobrego w Kościele. O ile był Savonarola subjektywnie winnym, tego dociec nie można. Wpływ otoczenia, smutne i gorszące stosunki w kościele, charakter bezwzględny i gwałtowny, a nawet wprost nienormalny i chorobliwy, popchnęły go do czynów, które spokojny i bezstronny badacz musi potępić.

Tyle co do treści książki. Jej wielką wartość osądzili już inni fachowi krytycy. Robi ona wielkie wrażenie swą sumiennością i bezstronnością. Autor bada nie tylko dzieła historyków, którzy ten okres opracowali, ale sięga do monografii, do źródeł, nawet do listów osób prywatnych, by z nich wydobyć nowe szczegóły lub nowe światło dla osób i spraw swej epoki. Nie ogranicza się na pisarzach jednego kierunku lub partyi, lecz nie gardzi prawdą, którą znajduje u wroga. Forma łatwa i prosta, czasem tylko nużą pewne powtarzania rzeczy dawniej już powiedzianych.

Co nam jednak najwięcej do serca przemawia, to szczerze katolicki pogląd na historyę i Kościół. Epoka, o której pisze, wyzywa formalnie do krytyki osób i urządzeń kościelnych i daje historykom niekatolickim obfite pole do wycieczek przeciw samej istocie Kościoła i papiestwa; wszak to epoka, która poprzedziła i do pewnego stopnia spowodowała pseudo-reformacyę XVI wieku. Miłość prawdy nie pozwala prof. Pastorowi nie widzieć lub zamilczeć tych błędów: widzi on je i przedstawia jaskrawo, a karci surowo, ale rozróżnia istotę Kościoła i władzę kościelną od błędów jednostek, czy też całej epoki. Nie mogąc zamilczeć grubych błędów i upadku nawet w najwyższych sferach duchowieństwa, nie kuje z nich broni do ataków przeciw papiestwu i Kościołowi; ubolewa nad nimi i stara się je wytłumaczyć

i wyrozumieć z ducha czasu, podobnie jak dobry patryota boleje nad błędami swego narodu, jak dobry syn smuci się wadami swych rodziców. Owszem wykazuje, że Kościół nawet w czasach największego swego zepsucia nie zmienił swej istotnej treści; pierwiastek nadprzyrodzony w Kościele działał i spełniał swą misyę nawet przez ludzi bardzo dalekich od chrześcijańskiej doskonałości. Z tego, iście katolickiego stanowiska gani Savonarolę za to, że nie rozróżniał w papieżu i Kościele wad i niedostatków ludzkich od władzy, nadanej im od Boga i że, gromiąc występki przełożonych w Kościele, doszedł do lekceważenia samej władzy kościelnej. Pastor nie szczędzi słów nagany dla Aleksandra i jemu podobnych, ale przyznaje, że w swych dekretach i rozporządzeniach nie wykroczył nigdzie przeciw nauce i istotnym interesom Kościoła. Bardzo piękne są myśli, któremi kończy swą charakterystykę Aleksandra VI (str. 503): Jako drogi kamień pozostaje drogim i cennym, choć w lichej oprawie, jak złoto ma swą wartość, choćby go skalana dotknęła ręka, tak nie może niegodność człowieka pokalać jego świętego urzędu. Pszenica i kąkol są i będą w Kościele, jak między wiernymi tak i między klerem. Chrystus dopuścił Judasza do godności apostoła, Piotr zaparł się Pana, niejeden jego następca okazał się całkiem niegodnym swego stanowiska, a jednak zawsze prawdziwemi zostaną słowa Leona Wielkiego: „Godność Piotra nie ustaje i w niegodnym jego następcy“ — *Petri dignitas etiam in indigno haerede non deficit.*

Ks. Dr. A. Gerstmann.

Diplomatie und Hochfinanz in der rumänischen Judenfrage. *Dehn Paul.* Berlin W. 35. Verlag von W. Giese. 1901 (Str. 31).

Rzadko naprawdę spotka się czytelnik z książką, któraby na trzydziestu zaledwie stronach zgromadziła tyle materyału, oświetlającego jaskrawo wprawdzie, ale zupełnie słusznie i bezstronnie międzynarodową siłę, agitacyę i znaczenie Żydów. Autor wymienionego dziełka oparł się na poważnej, czterotomowej publikacyi *Aus dem Leben König Karls von Rumänien* (Stuttgart, Cotta) i przez to samo zaręczył nam nie tylko za prawdziwość stawianych twierdzeń i przytaczanych faktów, ale dał też książce swej szerszy podkład, tak, że nabrała ona ogólniejszego znaczenia, rzucając sporo światła nie tylko na Żydów rumuńskich, ale na Żydów wogóle.

W kwietniu 1900 roku rozpoczęła się emigracya Żydów z Rumunii. Gazety żydowskie uderzyły na alarm z powodu rzekomych ofi-

cyalnych wydalań, paryski Rotszyld zagroził wystąpieniem z syndykatu pożyczki, Nordau na londyńskim kongresie Syonistów 13 sierpnia 1900 r. piorunował na prześladowania rumuńskie, utrzymując zarazem, że od czasów inkwizycyi świat podobnej zbrodni nie widział. Tymczasem pokazało się niestety, że cały ruch był zainicyowany zręcznie przez *Alliance Israélite Universelle,* które tym sposobem chciało Rumunię w oczach świata zdyskredytować (stwierdza to między innymi np. *Hamburger Korrespondent* z 13 lipca 1900 r.); o prześladowaniach, o tłumnych wydalaniach mowy być nie mogło. Pod koniec sierpnia 1900 r. wróciło do Rumunii przeszło 4000 wygnańców, przyczem się pokazało, że cichaczem i wielka ilość Żydów węgierskich usiłowała się razem z emigrantami do naddunajskiego kraju dostać — widocznie więc im tam tak źle nie było.

Jakiż jednak bliższy cel miała *Alliance Israélite* w wywołaniu tego ruchu? W konstytucyi rumuńskiej paragraf 7 brzmiał: Tylko chrześcijanie mogą otrzymać obywatelstwo — a co za tem idzie równouprawnienie. Paragraf ten w pierwszej linii odnosił się do Żydów, nie będąc bowiem obywatelami, nie mogli przez to samo nabywać gruntów w Rumunii, piastować wyższych jakichś urzędów i t. d. Od samego też początku wypowiedzieli Żydzi całego świata wojnę temu paragrafowi. Już w roku 1868 przybył do Bukaresztu Cremieux, założyciel *Alliance*'u, by wymódz na księciu Karolu wydanie odpowiedniego rozporządzenia; kiedy nie pomogły ni groźby ni przekupstwo, wrócił do Paryża, agitując po gazetach tak, że umiał nawet dla sprawy żydowskiej zjednać Napoleona III. Żydzi angielscy, austryaccy i inni wysyłali również swych przedstawicieli do rządu rumuńskiego — izba zaś odpowiedziała na to obostrzeniem rzeczonego paragrafu. Cała prasa europejska rozpoczęła teraz walkę przeciwko Rumunii, aż doszło do tego, że rządy prawie wszystkich państw ujęły się za Żydami. W parlamentach np. angielskim i niemieckim wnoszono w tej sprawie interpelacye, a kiedy później chodziło o uznanie niezależności rumuńskiej, postanowiono na kongresie berlińskim 1878, że tylko wtenczas może się Rumunia uznania ze strony mocarstw spodziewać, gdy się zobowiąże nie robić żadnej różnicy między mieszkańcami, innemi słowy, jeżeli Żydom da równouprawnienie. Dziwna rzecz! ale z dokumentów przez autora załączonych widać jasno, że niewiele brakowało, a byłoby uznanie niezawisłości rumuńskiej nie przyszło do skutku jedynie wskutek intryg i parcia żydowskiego. Nawet Bismarck, który pojmował wpra-

wdzie trudność położenia, stanowczo orzekł: warunek ten (równouprawnienie Żydów) musi być wypełniony (str. 24).

Dzisiejszy król był w trudnem położeniu. W kraju lud, wyzyskiwany przez Żydów, burzył się, metropolita jasski groził ekskomuniką każdemu, kto za Żydami w izbie głosować będzie — musiano jednak parciu ulegających Żydom rządów ustąpić i paragraf zmienić. Zmieniono go jednak bardzo dyplomatycznie, a warunki równouprawnienia tak obostrzono, że i dzisiaj Żydzi z niego nie wiele mają pociechy. Dość powiedzieć, że w ostatnich dwudziestu latach tylko około stu Żydów otrzymało prawo obywatelstwa.

To były też główne powody, dla których *Alliance* wzbudziła ruch emigracyjny — chciała na nowo postawić Rumunię przed kwestyą żydowską. Tym razem gwałtowne i zajadłe artykuły i agitacye nie osiągnęły zamierzonego celu, zawsze jednak pokazuje się stąd, jaki wpływ wywierają Żydzi nie tylko na osoby, ale na całe narody, a nawet na rządy, parlamenty i dyplomacyę. Słusznie też mógł twierdzić król Karol, że gdyby chodziło tylko o chrześcijan lub Turków, nikomuby przez myśl nie przeszło robić z tego powodu Rumunii trudności.

Żal tylko, że wobec tak interesujących faktów autor nie umiał należycie przedmiotu sklasyfikować; ten brak jasnego planu utrudnia oryentowanie się czytelnika.

Ks. Wiktor Wiecki.

Four-leaved clover. An Everyday Romance by *Maxwell Gray (M. G. Tultiett).* London. Wiliam Heinemann 1901 (Str. 244).

Świeża, wonna, niemal do zbytku romansowa powiastka, przypominająca dawne utwory angielskie z dodatkiem nowoczesnych bicyklów i t. p. Czytelnik wdzięcznym jest autorowi, że go prowadzi po zwykłej ziemi, wśród zwykłych, przeważnie poczciwych ludzi, bez nadprzyrodzonych demonicznych dodatków. Krytyka naśmiewa się teraz z powieści pisanych „od siekiery“, t. j. pozbawionych męczącej dyssekcyi uczuć, nie analizującej „nastrojów“. A jednak człowiek, czytający lekką książkę wtedy, gdy ją czytać powinien, t. j. dla odpoczynku po pracy, pragnie w niej znaleźć prawdziwy odpoczynek, łagodne odwrócenie myśli od trosk, a nie sposobność do nowego natężenia umysłu. Dlatego *The four-leaved clover* (czterolistna koniczyna), choć do wielkiej sławy rościć pretensyi nie może, przedstawia miłe i odświeżające czytanie. Treść jest następująca: siedmnastoletnia dziewczynka na pierwszem liczniejszem zebraniu na wsi, gdzie jej dozwolono w długiej sukni

potańczyć, poznała pięknego oficera, który z nią rozmawiał poczciwie, a następnie, znalazłszy poczwórny listek koniczyny, darował go jej „na szczęście". Oficer, Hugo Beaumont, odjechał, nie pamiętając twarzy ani prawie nazwiska dziewczęcia; dla niej przeciwnie pozostał obecnym i żywym, jak istny królewicz z bajki. Ubiegły lata, Marya wyrosła na pannę, ale za mąż nie wyszła pomimo urody i paru partyi korzystnych; krewni martwili się, że już jej lat 25 minęło, a ona marnuje życie na podróże, polowania konne i inne rodzaje sportu; gderano, że odpycha konkury kapitana Bormana, bożyszcza jej młodszych kuzynów. Aliści pewnego wieczora, wracając z konnej przejażdżki, ujrzała niespodzianie postać swego ideału — wstrząśnienie musiało być mocne, bo padła zemdlona. Nikt przyczyny nie odgadł, dziwiono się tylko następnie ożywieniu jej i piękności; tylko Borman poczuł zwiększony chłód jej obejścia i urażony w dumie, postanowił ją przemódz. Stało się jednak inaczej. Nazajutrz Marya ujrzała go, bijącego zawzięcie psa, który wpół martwy już i krwawy jęczał żałośnie. W oburzeniu przyskoczyła doń i w mgnieniu oka znalazła się sama pochylona nad biednem zwierzęciem, podczas gdy dostojny kapitan leżał z twarzą zarytą w mule poblizkiego stawku, opadnięty przez stado gęsi, atakujących go z krzykiem uderzaniem skrzydeł i dzióbów. Obecna służba stajenna ryknęła śmiechem; dopiero jeden z kuzynów Maryi, Willoughby, rzucił się na ratunek, mocno zagniewany na pannę. Do obiadu Borman zjawił się wyświeżony i uśmiechnięty; raz tylko zbliżył się do Maryi, aby łagodnym na pozór głosem podziękować za oddaną przysługę, dodając, że nigdy nie zapomni doznanej od niej dobroci. Było to wypowiedzenie wojny.

Zemsta była okrutną i podłą. Tego lata, gdy się ujrzeli znów zgromadzeni u wujostwa Maryi (panny w romansach prawie nigdy matki nie mają), a Hugo Beaumont często przybywał z sąsiedztwa, Borman jął pannę śledzić i odgadł wkrótce, że jest na zabój zakochaną w Beaumoncie, który ją lubi, chętnie z nią muzykuje, ale się nie domyśla niczego. I oto pewnego poranka Marya odebrała list z pismem dla niej nieznanem, zawierający prośbę o jej rękę, ale proszący w razie przyzwolenia o poufną rozmowę w oznaczonem miejscu dla omówienia niektórych szczegółów, zanim się rzecz wyjawi w rodzinie. List nosił podpis: Hugo Beaumont. Marya uszczęśliwiona odpisała na list, w którym pokora i godność i miłość w cudną łączyły się całość. Przywykła do angielskiej swobody, przyzwalała na schadzkę. Nazajutrz rano poszła; pod umówionem drzewem stał Beaumont, ale zakłopotany, sztywny

nieco i smutny. Chwila jeszcze, a biedna dziewczyna dowiedziała się, że list jego był sfałszowany, bo on nigdy o niej nie myślał... Scena ta jest istotnie piękną. Hugo, wzruszony jej bólem, opowiada, że miał serce dotąd pełne innej miłości, której jednak musiał się wyrzec, ofiaruje jej swoją rękę, którą Marya łagodnie odrzuca, mówiąc, że nie żałuje tego, co się stało, nie żałuje, że mu los odkrył długoletnią tajemnicę jej serca, bo choćby się już nigdy spotkać nie mieli, będzie wiedział, że jest ludzka dusza, która za niego codziennie się modli, której całem pragnieniem jest jego szczęście. Pokazuje mu zachowany listek i żegna się jak z przyjacielem ku wielkiemu rozczarowaniu sprawców zasadzki, ukrytych w zieleni. Borman i Willoughby dokonali zemsty, ale jej wnet żałują: Borman pierwszy raz w życiu popełnił podłość, sumienie go gryzie, a nadto przeczuwa, iż czynem swoim zbliżył tych dwoje ludzi, których pragnął rozłączyć. Beaumont istotnie nie przestaje już myśleć o szlachetnej dziewczynie, siłącej się na wesołość, by mu najmniejszego żalu oszczędzić i wkrótce, odjeżdżając po służbie do Indyi, przyjmuje od niej „na szczęście“ zeschły listek koniczyny i chowa wraz z wizerunkiem matki na piersiach. Czas mija znowu, dzienniki głoszą bohaterskie czyny młodego majora, aż naraz przychodzi wieść o jego zgonie. Marya musi żal tłumić, bo nie ma prawa płakać po obcym, ale zwolna zapada na zdrowiu i już się zdaje, że autor oboje pochowa. Niema jednak o co się trwożyć, bo po kilku miesiącach Hugo, miany za umarłego, ucieka z niewoli, o czem pierwszy Borman pośpiesza depeszą zawiadomić Maryę. Wraz z życiem uratował medalion z listkiem koniczyny i ten, splamiony krwią, oddaje wiernej swej wielbicielce, którą oczywiście poślubia.

Temat mógłby posłużyć do ładnej salonowej komedyi; na powieść jest nieco za szczupły, co zmusza autora do przewlekania niektórych rozmów i ładnych, ale nieco monotonnych opisów natury.

T. W.

Z pism czasowych.

Przegląd pięciu roczników „Dwutygodnika katechetyczno-duszpasterskiego“.

Pięć tomów pisma, poświęconego sprawom wychowania i nauczania religijnego, mamy przed sobą. Na pięć roczników innem się już okiem patrzy, niż na numer okazowy lub nawet na kilka zeszytów;

pisma specyalnego wartość trudno ocenić z jednego zeszytu, gdyż pojedynczy numer może być raz uboższy drugi raz bogatszy, tem bardziej że artykuły naukowe i gruntowniej opracowane wychodzą w dalszym ciągu. Pisma specyalne naukowe mają w Galicyi jeszcze tę wielką w swym rozwoju tamę i przeszkodę, że z powodu cenzury nie mogą się dostać do Królestwa, a w samej Galicyi za mało miewają odbiorców. „Ktoby mógł pomyśleć (pisze w ostatnim zeszycie Kronika dyec. przem.) przed laty dziesięciu, że w naszym kraju potrafi istnieć czasopismo katechetyczne?“ Trudną zdawała się ta myśl do urzeczywistnienia wobec naszej charakterystycznej apatyi do czytania i do popierania pożytecznych czasopism czyto groszem, czy też piórem. Profesor seminaryum duchownego i nauczycielskiego w Tarnowie, ks. Walenty Gadowski, śmiało podjął tę trudną myśl w r. 1897 i urzeczywistnił ją z bardzo pomyślnym skutkiem. Założył czasopismo p. t. *Dwutygodnik katechetyczny i duszpasterski*, który pod jego kierunkiem już 6-ty rok coraz pomyślniej się rozwija i dzisiaj, rzec można, w zupełności może nam zastąpić wszelkie niemieckie pedagogiczne czasopisma.

Przejdźmy choć pobieżnie tylko treść pięciu tomów *Dwutygodnika*. W tomie I ks. dr. Dutkiewicz podał nam śliczną i silnemi pobudkami popartą zachętę do studyum Pisma św. Spotykamy tam także artykuły egzegetyczno-apologetyczne z zakresu Biblii Starego Zakonu z pod pióra ks. d-ra J. Bernackiego. Rozprawy tego autora w tym dziale są następujące: „Czy w Biblii mogą się znajdować fałsze?“; „Co w Hexaëmeronie jest spornego?“; „Hexaëmeron a kosmogonia i geogonia“; „Hexaëmeron a teorya ewolucyi“; „Hexaëmeron a teorya polygenizmu“; „Jak raj wyglądał i gdzie był?“; „Jak rozumieć historyę upadku Adama i Ewy?“; „Jak długo żyli pierwsi ludzie?“; „Jak dawno istnieje rodzaj ludzki?“; „O potopie“. Kwestye tego rodzaju w literaturze naszej kościelnej jeszcze są bardzo mało opracowane i nieliczne, a potrzebne katechecie nie tylko w wyższem gimnazyum, ale nawet i w niższem, gdyż zdarzyć się może, że uczeń bystrzejszy lub źle przez kogoś poinformowany trudności lub zarzuty w tej materyi postawi.

W dziale pedagogii spotykamy dłuższe artykuły: w t. III „Wychowanie u Ateńczyków, Chińczyków, Egipcyan i Greków“ Ks. dr. J. Bukowski w t. II pisał o teoryi wychowawczej Russa i o wpływie jej na społeczeństwo polskie. Cenne są też bardzo rozprawy o czterech temperamentach u młodzieży i uwzględnieniu ich w wychowaniu dzieci; o szlachetnej i fałszywej ambicyi przez ś. p. ks. dr. Krukowskiego;

o kształceniu charakteru i sumienia t. I; o znaczeniu Kanta w pedagogice t. I; o wychowaniu dziewcząt.

W t. IV ks. dr. Jeż zastanawia się nad kwestyą, czy nasze dzisiejsze szkolnictwo polskie ma kierunek szczerze narodowy; a nieznany autor poruszył wiele żywotnych i na czasie bieżących spraw w rozprawie p. t.: „Czy warto się zajmować młodzieżą poza szkołą?“ W tym samym dziale, jak również w sprawach szkolnictwa, często zabierał głos wielce zasłużony na tem polu ks. dr. A. Pechnik. Tenże autor prócz wielu innych artykułów apologetycznych umieścił w t. IV jasną rozprawę o różnicy pomiędzy duszą ludzką a zwierzęcą.

W dziedzinie teologii moralnej, pastoralnej i w liturgicznych kwestyach zabierali głos najczęściej: ks. dr. K. Szczeklik, ks. W. Sarna i ks. dr. Wł. Mysor.

Prawie każdy zeszyt *Dwutygodnika* podaje egzortę szkolną lub szkic do kazania. Autorami egzort, których częściej spotykamy, są księża: Walczyński, Górka, Nalepa, Jeż, Wątorek, Ślósarz, Krupiński, Szczypta L. K. Do egzort bogatszych w treść, a rzadziej spotykanych w zbiorach, kazań, zaliczyć możemy następujące: w t. I: O słowie Bożem, O pracy i na uroczystość św. Michała. W t. II: O miłości ojczyzny, O ofiarowaniu szkoły Najsł. Sercu P. J., O wytrwałości i egzorta przy rozpoczęciu roku szkolnego. W t. III O błędach naszego wieku, postępie, materyalizmie i racyonalizmie, o kłamstwie. W t. IV: O liberalizmie, O postępowaniu w dobrem od młodości, O wpływie młodości na całe życie (na urocz. św. Stanisława Kostki). W t. V podano w skróceniu kilka kazań ks. Birkowskiego, Bossueta i Młodzianowskiego, a w nowszych numerach na szczególniejszą uwagę zasługuje szereg egzort o łasce poświęcającej. Prócz tego spotykamy w t. II wspaniałą konferencyę o potrzebie nauki dla kapłanów ks. K. Słonińskiego Z. M.

W tych pięciu tomach znajduje katecheta szczególniej szkół ludowych bardzo obfity i dobrze przygotowany materyał, plany nauk i gotowe katechezy, do czego najwięcej przyłożył pracy ks. W. Sarna. Mniej, powiedziałbym, poświęcono uwag praktyce w nauczaniu religii w klasach gimnazyalnych, choć i pod tym względem praktyczne i cenne znajdujemy artykuły, jak np.: o przygotowaniu się na lekcye w t. V; środki pomocnicze do nauki religii w gimnazyum w t. IV; jak ożywić naukę religii w t. II.

Dwutygodnik czuwa nad młodzieżą i przed grożącem jej niebezpieczeństwem ostrzega wychowawców i kierowników, owszem całe społeczeństwo, poruszając sprawy bieżące, żywotne. I tak w t. II str. 224

na początku roku szkolnego zwraca uwagę rodziców na wybór stancyi dla synów. „Wiadomo bowiem, czytamy tam, że złe stancye najwięcej paraliżują moralny wpływ katechety, odbierają uczniom chęć do nauki, pobudzają do różnych występków i są główną przyczyną, że tak znaczny procent młodzieży marnieje... Budźmyż sumienie rodzicielskie pod tym względem już podczas wakacyi! Wogóle, pisze dalej *Dwutygodnik*, smutne myśli budzi fakt, że wielu rodziców mało informuje się w ciągu roku szkolnego o postępy dzieci... dopiero w ostatnim miesiącu rozpoczynają formalne oblężenie profesorów, żebrzą miłosierdzia i t. p., choć sami winni zaniedbania się chłopca, bo w ciągu roku dbali tylko o jego wyżywienie i odzież, a mało o duszę". Nie możemy się wstrzymać, żeby nie dokończyć tego ustępu: „Z powodu nadchodzących wakacyi prosimy duchowieństwo parafialne o ojcowskie zajęcie się uczniami, powracającymi na ten czas do rodzinnych parafii. Częste i życzliwe zainteresowanie się nimi może najskuteczniej przyczynić się do usunięcia niechęci i uprzedzeń przyszłej intelligencyi względem duchowieństwa i uratować od upadku moralnego". W tomie znowu III na str. 227 czytamy bardzo słuszne i trafne uwagi o teatrach i ich wpływie na młodzież. Na str. 151 t. IV nawołuje *Dwutygodnik* do ściślejszej kontroli nad książkami do czytania w bibliotekach gimnazyalnych i cytuje, co spotkano w nich z podpisem „Odpowiednie dla młodzieży". W artykule p. t. „Radykalizm wśród młodzieży", umieszczonym w V tomie, na str. 315, zwrócono uwagę na czasopisma *Teka* i *Promień* dla młodzieży wydawanych i zgubne dążności tych pism.

Z tego jakby tylko spisu rzeczy, pobieżnego przeglądu i kilku próbek przytoczonych można sobie sąd wyrobić, że *Dwutygodnik* wszelkich sił dokłada około podniesienia wychowania religijno-naukowego młodzieży naszej i w pracy ks. katechetom wielką pomoc przynieść może. Samo nawet powstanie takiego czasopisma świadczy o wielkim kroku naprzód wśród duchowieństwa naszego.

Biednym jest nieraz młody kapłan, wychodzący na parafię ze seminaryum i nie stać go na bibliotekę bogatą, ale 5 tomów *Dwutygodnika* może mu ją w początkach bardzo zastąpić.

Na zakończenie przytaczamy tu odezwę *Dwutygodnika*, umieszczoną w 14 n. z 1899 r., którą dla stosunków naszych i dla dobra Kościoła i kraju uważamy za bardzo ważną, a jej spełnienie za niezbędne dla rozwoju piśmiennictwa religijnego i katolickiego dziennikarstwa: „Łączność między czasopismami katolickiemi w kraju, tak konieczna z wielu względów, pozostawia u nas wiele do życzenia. Pisma liberalne ignorują

nas lub zwalczają (czasem nawet niezbyt szlachetną bronią), siebie zaś reklamują wzajemnie, powtarzając całe artykuły, ogłaszając treść miesięczników i tygodników i t. p. Nawet w naukach ścisłych ignorują liberalni chętnie uczonych katolickich, a wspominają tylko o mężach swego obozu. To też dziś wielu Polaków katolików z politowaniem wyraża się o katolicyzmie, sądząc, że on na polu nauk i literatury znacznie zacofany i t. p. Przyczynia się do tego niestety i taktyka polskich czasopism katolickich, bo kto jedno z nich czytuje, nie dowie się zeń o innych — zwłaszcza fachowych — pismach katolickich polskich i sądzić musi, że pism takich albo wcale niema, albo nie warte wspomnienia dla swej zapewne... lichoty! Co gorsza, pisma nasze zamiast iść zwartą falangą przeciw potężnemu wrogowi, polują formalnie na każdy rzeczywisty lub domniemany usterek wzajemny, powiększają go nieskończenie i piętnują przez całe lata. Czas już doprawdy na zmianę taktyki!"

Dobrego chyba nigdy za wiele być nie może, a w Galicyi mogą istnieć i siać zdrowe ziarno ewangelicznej prawdy i miłości prócz *Gazety Kościelnej* i *Dwutygodnik* i *Przegląd Kościelny*, świeżo z Poznania do nas przybywający. Nie pozostaje nam już nic, jak tylko wyrazić życzenia słowami już na początku wspomnianej Kroniki dyec. przemyskiej: „Jest nadzieja, że, przy większem zainteresowaniu się ze strony kapłanów i przy obfitszej ilości prenumeratorów, będzie mógł *Dwutygodnik* znacznie powiększyć swe rozmiary i — da Bóg — stanie się najpoczytniejszem pismem naszego duchowieństwa".

Ks. T. Bzowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

O naśladowaniu Chrystusa. Tomasza a Kempis, kanonika regularnego św. Augustyna. Ksiąg czworo według wydania w Antwerpii w r. 1643. Przez *Heriberta Ros-Wejda*, Towarzystwa Jezusowego. Przełożył na język polski wierszem *ks. Ksawery Sforski*, Brat Mniejszy Zakonu św. Franciszka z Assyża, byłej Prowincyi Wniebowzięcia N. M. P. S. Teol. Lektor. Warszawa. W drukarni Franciszka Czerwińskiego. 1900 (Str. 312).

Książki, tak znanej i lubianej, mamy kilka dobrych bardzo prozą przekładów i wobec nich zapytać się można, czy warto było wierszem ją znowu tłumaczyć? Przekład jest wierny, a pewna staroświeckość wiersza — polski język prosty a czysty, nadaje mu powagę, z którą do chat wieśniaczych i umysłów prostych łatwiej może trafi, niżeli w wytwornej nawet prozie. Przy obecnem zapotrzebowaniu książek dla ludu i zamiłowaniu umysłów mniej wy-

robionych do form wierszowanych, o czem wiedzieli dawni pedagodzy, prawie każdą naukę w rymach podając, praca ta — może znaleźć zastosowanie. Wiersz w wielu miejscach słaby i niegładki — niektóre rymy same się proszą o poprawę.

Najlepiej względnie wypadły: Ks. I-ej rozdz. VII, Ks. II-ej rozdz. III, i Ks. III-ej rozdz. XIX. Słabo, bo nawet bez wrażenia czyta się najpiękniejszy Ks. II rozdz. XII, choć w prozie tyle bogatych myśli mieści, że ci, którzy całe dzieło o Naśladowaniu złotą książeczką nazywają, miano brylantowego mu dali.

K.

Duch święty i skutki Jego obecności w naszych sercach. Napisał *ks. Ksawery Sforski*, Brat Mniejszy. Na podziękowanie Panu Bogu za przeżycie pięćdziesięciu lat w kapłaństwie, obchodzone przez nabożeństwo dnia 2 czerwca 1900 roku. Warszawa. W drukarni Franciszka Czerwińskiego. 1901 (Str. 32).

Nie dla wzbogacenia poezyi zaiste napisana ta książeczka i żal do niej miarę krytyki przykładać. Starzec 70-kilkoletni, zakonnik, pozbawiony możności czytania rzeczy literackich, szczęśliwy, że przeżył pół wieku w kapłaństwie, słabym i nieudolnym głosem dziękuje Bogu, sławiąc łaski, jakie ludziom w darach Ducha św. zsyła. W głuszy wielkiego, a dziś prawie pustego, klasztoru, w celi, do której starzy towarzysze nie pukają, bo odeszli, a młodzi, coby świeży powiew myśli z sobą przynieść mogli, nie wbiegają, może już ostatni z ostatnich Minorytów w Włocławku, w pokorze służby swoje pełni, a ludziom pamiątkę chce pozostawić w miłej, przełożonej wierszem, książeczce.

K.

La Vie d'intimitè avec le bon Sauveur. *L'abbé F. Maucourent*, prêtre du diocèse de Nevers. Edition à l'usage des personnes du mond. Vingtième mille.

Zbiór medytacyi o dobroci Bożej i o Bożej miłości, a raczej wielki płomień, buchający z ziemi ku niebu i usiłujący wszystko wkoło siebie rozżarzyć. Książeczka prawdziwie przepiękna i odpowiadająca potrzebie niektórych szczęśliwych dusz lub wszystkich dusz w niektórych szczęśliwych chwilach, gdy niebo zda się ku nim nachylać i tylko bojaźń, czy też nieśmiałość przeszkadza w objęcia Zbawiciela się rzucić. Na czas pokusy albo oschłości wydaje się nieco mniej stosowną, bo choć wtedy serce w głębi kochać nie przestaje, przecież nie zdoła dostroić się do tonu radosnego *hosanna*, jakie śpiewa serce autora. Na czasy smutku wszakże mamy inne książki, mamy poważne, przejmujące dźwięki, przykuwające duszę z jej łzawem brzemieniem do stóp bolesnego krzyża; dobrze też czasem posłyszeć echo anielskiego pienia, dobrze posłyszeć to, co nam zbyt często boleść życia zasłania, że Bóg nas kocha i pragnie być przez nas kochanym.

T. W.

Die künstlerische und christlich-apologetische Bedeutung des Romans „Quo vadis". Von *P. Giovanni Semeria*. Übersetzt von *N. Müller*. Köln. 1901.

„Quo vadis?" ukazaniem się swojem narobiło ogromnej wrzawy w świecie literackim. Krocząc w tryumfalnym pochodzie przez świat cały, wszędzie zdobywało sobie uznanie, lubo nie brakło mu i gorących przeciwników, jak Gaetano Negri lub ks. Bremond S. J. Ze wszystkich krytyk i recenzyi najciekawszą jednak jest bezwarunkowo

mowa rekollekcyjna ks. Giowanni'ego Semerii z tego względu, że sławny ten kaznodzieja ocenia powieść Sienkiewicza nie tylko ze strony artystycznej, ale także chrześcijańsko-apologetycznej.

W krótkim wstępie wykazuje autor podobieństwo między artystą, tworzącym potęgą geniuszu, i uczonym, potęgą rozumu dochodzącym do jakiejś prawdy i wykazuje, że idea, która nie zdobędzie duszy artysty, nie zdobędzie i świata, bo uczony buduje, a artysta szerzy, bo *Muor Giove, e l'inno del poeta resta.* Zdanie to w pierwszym rzędzie można zastosować do „Quo vadis?“, gdyż od wieków już ludzkość tak prawdziwie artystycznego dzieła nie oglądała. Nie brak mu wprawdzie wad, boć i ono dziełem człowieka, ale zastanowić się nad niem nam należy tem bardziej, że dziełu temu miana chrześcijańskiego odmówić niepodobna. Od wieków już nikt nie ośmielił się stanąć na tak czysto chrześcijańskim gruncie. Kardynał Wisemann stworzył wprawdzie „Fabiolę“, ale nie wytrzymuje ona porównania z dziełem genialnego Polaka. „Fabiola“, to prezent dla przystępujących do pierwszej Komunii św.; „Quo vadis?“ to powieść, która nawet bezwyznaniowców i indyferentów przekonać potrafi.

Podzielone są zdania co do tego, czy „Quo vadis?“ jest powieścią historyczną czy psychologiczną. W całem tego słowa znaczeniu jest i jedną i drugą. Jest powieścią historyczną, bo nie tylko dzieje tego utworu są osnute na tle historycznem, ale duch w niem panujący jest czysto historyczny. Od Nerona do niewolnika, od Palatynu do chaty na Zatybrzu, wszystko jest rzymskie na wskróś. Sienkiewicz musiał się wżyć w epokę, którą przedstawił do tego stopnia, że nawet *Promessi spossi* Manzoniego nie dadzą się z jego dziełem porównać. Gaetano Negri stawia Sienkiewiczowi zarzut teatralności, nie należy jednak zapominać o tem, że za czasów Nerona Rzym cały, idąc za przykładem cesarza, grał komedyę. Nie zewnętrzne jednak dokładne przedstawienie rzeczy stanowi zaletę „Quo vadis?“ — główną zaletą jest to, że autor pochwycił wybornie ducha czasu. W powieści tej działają nie osoby, nie lalki, ale dusze rzymskie w każdym szczególe. Od najprostszej natury Ursusa do najbardziej skomplikowanej Petroniusza wszystkie są przedstawione jak najwierniej. Zarzucają wprawdzie niektórzy Petroniuszowi za dużo rysów współczesnych, ale ci zapominają widocznie o tem, że kultura rzymskiego cesarstwa i dzisiejsza posiadają bardzo wiele punktów stycznych.

Romansem psychologicznym jest „Quo vadis?“ z tego względu, że przedstawia nam proces psychologiczny, jaki się odbywa w duszach Winicyusza i Ligii. Fabuła „Quo vadis?“ to nie zwykła intryga miłosna, to cały dramat duszy ludzkiej we wszystkich jej fazach. Winicyusz, który nauką Chrystusa z początku gardzi, powoli staje się jej zwolennikiem i wyznawcą. Chrystus, którego przyjął dla Ligii, pod koniec powieści panuje w jego sercu niepodzielnie. Winicyusz, którego z początku fizyczna piękność Ligii oszałamiała, pod koniec kocha tylko jej duszę. Prawda, że Sienkiewicz, nim ukazał nam idealną miłość, kazał nam patrzeć na orgie Nerona, ale z tych kilku dla kontrastu rzuconych jaskrawo obrazów nie można robić zarzutu całej książce. „Quo

vadis?“ nie jest dla dzieci, zakrywajmy więc rzeczy takie przed oczyma niewinnych.

Zastanówmy się z kolei nad tem, czy „Quo vadis?“ jest powieścią tendencyjną? Zaprzeczyć się to nie da, ale autor jego jest apologetą okolicznościowym, t. j. tezy obrony chrześcijaństwa nie postawił sobie z góry, ale podsunęła mu się ona sama przy wgłębianiu się w stosunki rzymskiego cesarstwa. Zadanie apologety nie jest łatwe, gdyż powinien on stać na stanowisku zupełnie bezstronnem. Sienkiewiczowi udało się to w zupełności. Obwinia go wprawdzie Negri o to, że powiększył znaczenie chrześcijaństwa w Rzymie, żeby jednak zbić to zdanie, wystarczy wziąć do ręki Tacyta (*Ann.* XV. 44). Genialny pisarz nie przedstawił ani za pochlebnie chrześcijaństwa, nie zapominając o nurtujących w niem prądach, które apostołowie muszą karcić (Crispus), ani za czarno pogaństwa, dając mu Petroniusza, dając mu nie tylko świat rozpusty, ale i świat piękna i siły, świat, który sceptycyzm nauczył umierać, a chrześcijaństwo miało nauczyć żyć po Bożemu przez zabicie własnego ja, przez zbratanie się warstw, przez ogólną miłość. Winicyusz, reprezentujący młodą, zdrową część świata rzymskiego, uczy się tego i wychodzi zwycięsko, Petroniusz ginie, a z nim i cywilizacya, którą przedstawia.

To, cośmy tu pobieżnie starali się naszkicować, genialny Polak przedstawił w pełnych barwy i tętniących życiem obrazach. Cześć i chwała mu za to, że w obronie wiary śmiało i odważnie, a skuteczniej niż tysiące, stanął do boju.

Oto króciutka treść broszurki. Nie wszyscy jednak katoliccy pisarze, choć to samo żywią uwielbienie dla talentu Sienkiewicza, to samo zajmują w ocenie etycznej strony stanowisko. *W. Rylski.*

Marya Konopnicka. *Ivan Prijatelj.* — *Ljubljanski Zvon.* 1902.

Słoweński miesięcznik *Ljubljanski Zvon* w styczniowym numerze zamieszcza pracę p. Ivana Prijatelja, p. t. „Marya Konopnicka“. Autor ocenia działalność znanej naszej poetki na polu krytyki i poezyi. Podawszy ogólną charakterystykę Konopnickiej i zatrzymawszy się krótko nad jej pracami literackiemi, przechodzi do jej utworów poetyckich, dla których nie ma dość słów zachwytu i podziwu. Mówiąc o „Panu Balcerze“, powiada, że od czasów Mickiewicza i Słowackiego Polska nie miała talentu tej miary. Szczegółowo zaś zatrzymuje się nad „Italią“ i, rozbierając poszczególne jej piękności, illustruje niektóre ustępy własnemi tłumaczeniami. O ile ocena literacka uderza trafnością sądu, o tyle tłumaczenie jest wierne, lekkie i potoczyste, nie ujmujące ani jednego szczegółu ani jednej strony dodatniej oryginałowi. Pan Iv. Prijatelj mimo młodego wieku (liczy dopiero lat dwadzieścia kilka i jest bibliotekarzem slawistycznego seminaryum na uniwersytecie wiedeńskim) swą pracą i talentem potrafił sobie już w literaturze ojczystej zaszczytne zapewnić miejsce. Dotychczas pracował na polu literatury słoweńskiej i rosyjskiej, obecnie zaczął gorąco zajmować się literaturą polską. Pisze w ogólności dosyć popularnie, zawsze illustrując swe prace literackie odpowiednimi przekładami.

Ljubljanski Zvon, którego p. Prijatelj jest stałym współpracownikiem, od kilku lat zamieszcza jego prace. Między innemi ukazały się tam prace

o Czechowie, Gorjkim, Puszkinie, Szczedrynie i Tołstoju, prócz wielu nowell i wierszy oryginalnych.

W. Rylski.

Szkice literackie. *Józef Tretiak.* Serya II. W Krakowie. 1901. Spółka Wydawnicza Polska. (Str. 4 nl., 346 i 1).

Zaczyna się tu serya prac, drukowanych dawniej po czasopismach peryodycznych, rozprawami „O dramacie staroindyjskim“ i „Kalewala, epopeja fińska“. Obydwie skreślone są na podstawie badań obcych, mają charakter czysto informacyjny, sprawozdawczy. Jakkolwiek zbyt mało mamy prac z literatury powszechnej, mimo to niepodobna przyznać, ażeby te przedruki były potrzebne. Pisane przed laty dwudziestu, obecnie już mocno przestarzałe, zawierają wiele rzeczy niezgodnych z obecnym stanem nauki, stąd też czytelnik nie odniesie z nich rzetelnego pożytku. Z kolei następuje sumienna praca, p. t. „Obrazy nieba i ziemi w Panu Tadeuszu“, rzecz wprost niezrównana u nas. „Powieść historyczna“ jest właściwie oceną „Olbrachtowych rycerzy“ Kaczkowskiego i „Veto“ Krechowieckiego. Dopiero przy końcu zastanawia się autor, jaką powinna być powieść historyczna, a jako główną jej zaletę uważa prof. Tretiak prawdę psychiczną. „Dawna pieśń żołnierska“, wydana z rękopisu, pochodzi z XVII wieku, powstała pod wpływem Kochanowskiego „Pieśni świętojańskiej o Sobótce“. Wiele nowych szczegółów przynosi praca p. n. „Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału“, oparta na rękopiśmiennym materyale. „Studyum o Kraszewskim“ jest obszerną recenzyą dzieła p. Chmielowskiego, a „Na jubileusz Asnyka“ próbą syntezy jego poezyi. Do najcenniejszych w tej seryi zaliczamy „Rodzimość i wpływ obcy w literaturze“, oraz „Podział historyi literatury na okresy“.

St. Zdz.

Poezya krakowska z czasów wolnego miasta (ze szczególnem uwzględnieniem Edmunda Wasilewskiego). 1815—1846. *Kazimierz Sosnowski.* (Biblioteka krakowska nr. 20). Kraków. 1901. Nakładem Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa. (Str. 124).

W pracy wymienionej autor przeważnie na podstawie mozolnego szperania w rękopisach i pismach pojedynczych skreślił sylwetki całego szeregu poetów, działających w latach 1815—1846 w Krakowie. Że miasto to, oderwane od ziemi, której było od wieków stolicą, nie mogło wydać w czasach zbyt burzliwych poetów wybitniejszych, to rzecz zupełnie jasna i naturalna. To też widoczny jest w tej zaściankowej poezyi niemal całkowity brak związku z ogólnymi prądami, jakie w tych latach u nas tak potężnie nurtowały, tu z nielicznymi wyjątkami traktowano poezyę jako zabawkę. A skoro zważymy, że bawili się nią ludzie, nie obdarzeni żadnym talentem lub aż nadto miernym, nie trudno będzie zrozumieć, dlaczego wiersze rymopisów krakowskich leżą w pyle zapomnienia, jak niemniej nazwiska ich twórców. Z pomiędzy tych poetów najwykwintniejszymi są Żygliński, Ehrenberg i Wasilewski. O reszcie historya literatury milczy uporczywie. Autor pracowicie starał się zbadać utwory, wydrukował nawet parę wierszy z rękopisów i dał obraz smutnego stanu rzeczy, jaki panował na krakowskim Parnasie.

W uzupełnieniu dodać musimy, że wspomniany przez autora J. K.

Rzesiński ogłosił był dwie rzeczy stokroć ważniejsze od tych, o których wspomina p. Sosnowski. Wydrukowane bowiem w *Pszczółce krakowskiej* z r. 1820, str. 3 „duma narodowa“ p. t. „Sobótki“, oraz „duma z powieści ludu wiejskiego“ p. t. „Obrom i Nida“ (tamże, str. 161) zasługiwały na szczegółowe rozpatrzenie z tego względu, że rzucają one ciekawe światło na fakt, iż nawoływania, jakie w tych latach u nas zaczęły się do wyzyskiwania tworów fantazyi wieśniaczej w poezyi artystycznej, znalazły tutaj silny oddźwięk. Obu tych utworów nie mogłem omówić w pracy p. t. „Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX wieku“, bo zajmowałem się tam poetami — nie rymotwórcami, tu jednak w pracy o rymorobach krakowskich powinna była ta kwestya zostać szerzej rozwiniętą. *St. Zdz.*

Słowniczek czesko-polski (Kapesní slovník česko-polský) **kieszonkowy.** *Fr. A. Hora.* Praga. 1902. Drukiem A. Wienera. Nakładem własnym autora.

Przed laty 8 miał już prof. Hora gotowy słownik czesko-polski. Przez lat 6 szukał nakładcy między ziomkami i między Polakami, ale nikt gotowości nie oświadczył. Otrzymawszy pewien zasiłek od czeskiej akademii nauk, wsparty też materyalnie przez niektóre ofiarniejsze jednostki obu społeczeństw, czeskiego i polskiego (z Warszawy pp. Kryński, E. Majewski, Demby, Kamiński, hr. Ostrowski i inni), przystąpił w roku 1900 do wydawnictwa zeszytami własnym nakładem. Z zeszytem 20-ym, który przed miesiącem wyszedł, ukończone zostało dzieło, 956 stronic małej ósemki obejmujące.

Dotychczas używaliśmy słowników czesko-niemieckich, albo obszernego słownika Ranka lub więcej podręcznego Konečneho, choć ani jeden ani drugi potrzeb zupełnie nie zaspokajał. Rank chciał dać możliwie najdokładniejszy słowozbiór, stąd wiele się u niego znajdzie archaizmów, dziś nieużywanych. Słownik Konecznego ma znowu pisownię staroświecką, że czytając z jego pomocą książkę czeską nową, odtwarzać sobie musimy dawny *pravopis.* Od jednej i drugiej wady wolny jest słownik prof. Hory, nie mówiąc już o tem, że dla Polaka ma nieskończenie większą wartość słownik czesko-polski, niż czesko-niemiecki. Autor włada naszym językiem biegle, wyrażenia i zwroty nawet najrzadsze sobie przyswoił. Znać to po bogactwie frazesów i zestawieniu czechizmów z równoznacznymi polonizmami przy każdym prawie ważniejszym wyrazie. Wobec wartości treściowej niesłychanie jest nizka cena słownika, przystępna dla każdego, bo autor pragnął, aby „to dzieło stało się użytecznym kamieniem w moście, łączącym oba bratnie narody“. Wcale zaś na zysk nie liczył autor, idealista i gorący przyjaciel Polaków, godny rodak p. Černego i druh Jelinka. Z uwielbienia dla naszego piśmiennictwa prof. Horą urządza w Pilznie kursy języka polskiego i wykłady literatury polskiej zupełnie bezpłatnie dla szerokiej publiczności.

Dodajmy wreszcie, że od r. 1883 ma autor słownika i „Wypisy polskie“, które jednak spoczywają jeszcze w rękopisie. Może się teraz przecież znajdzie wreszcie jaki nakładca. Wzmiankujemy też, że prof. Hora już w roku 1890 wydał „Słownik polsko-czeski“, „Gramatykę polską“ dla Czechów i „Rozmówki polsko-

czeskie". Tym zaś, którzyby się chcieli zająć piśmiennictwem czeskiem i poznać bratni język, polecamy gorąco nowy słownik i gramatykę czeską Szasteckiego, bardzo tanią, a bardzo dobrą, która wyszła w wydawnictwach kasy im. Mianowskiego w Warszawie.

Jan Fr. Magiera.

Výlet na Krym. *S. S. Machar.* Praha. 1900.

Machar, młody, bo ledwie czterdziestoletni poeta, po raz pierwszy dał się poznać, występując w roku 1887 z utworem p. t. *Confiteor*. Popularnym jednak zrobiła go dopiero *Tristium Vindobona* (1892), w której gorąco ujął się za warstwami pracującemi — niejedna gorzka prawda wymknęła mu się wtedy z pod pióra. Liryk w całem tego słowa znaczeniu, pracował dalej głównie na polu sonetów, których też od r. 1891—93 wydał cztery tomiki. Wkrótce jednak przerzucił się na pole żurnalistyki (nie zaniedbując przytem poezyi) i wziął czynny udział w gorącej polemice dziennikarskiej między pismem *Naše doba* a *Narodni listy*, która mu zjednała ogromną sławę, szczególniej u młodzieży. Pobudzony powodzeniem, wydał w roku 1897 „Bożych bojowników", złośliwą satyrą polityczną, w której napadał szczególniej na Młodoczechów. Ostatnimi czasy opuściły prasę dwa tomiki jego dzieł, a mianowicie: *Výlet na Krym* 1900 i *Golgotha* 1901 roku. *Výlet na Krym* to opis i wrażenia podróży krymskiej, w poetycką ubrane szatę. Zaczyna się ten tomik wierszem p. t. *Ve vlaku* (w pociągu), w którym zadumany poeta obserwuje jakąś młodą parę, udającą się w podróż poślubną. Młodzi poza sobą nic nie widzą — zdaje się, że wieki całe będą szczęśliwi. Pociąg wjeżdża w granice Galicyi — poeta przebiega okiem nasze łany, chaty, wsie i miasta i z piersi wyrywa mu się westchnienie współczucia. Dwa wiersze szczególniej w tym cyklu uderzają prostotą i smutkiem: o bocianie, który jedyny nie opuszcza naszego chłopa, towarzyszy mu w pracy i dodaje otuchy niejako, że może kiedyś lepiej będzie, że może kiedyś ta bieda się skończy i drugi o kopcu Kościuszki i Unii lubelskiej, o których autor mówi:

Resignovaně se divaji,
Špičate, tiché dvě hlavy,
Dva hroby.. památka... pohádka...
Té staré polské slávy...

Następnie maluje nam kolejno obraz Odessy, Jałty i Krymu, przeplatając opisy refleksyami. Z opisów Krymu wyróżnia się pięć sonetów, zatytułowanych „Sonety krymskie", a skierowanych do Mickiewicza. „Dnes je tu jinak pane Adame!„ — woła poeta na ich początku. — Dziś tu inaczej — ten Krym, któryś nam opisał, zczezł gdzieś i przepadł, powstał inny, cywilizowany, ale czy ładniejszy? — Wreszcie wraca poeta i po drodze spotyka znowu tę młodą parę, która mu towarzyszyła, gdy wyruszył w podróż. Jakże jednak różni dzisiaj: on mówi jej o obowiązkach gospodyni, ona płacze...

Z całego tomiku bije talent liryczny niezaprzeczony, dzięki któremu Machar między współczesnymi poetami czeskimi poczesne zajmuje miejsce, talent, płynący z duszy, ze serca, okraszony jednak sporą dozą realizmu i szczyptą zarozumiałości.

Ostatnimi czasy Machar stracił dużo ze swej poprzedniej popularności, czego dowodem recenzya jego „Golgothy" w *Česká Revue* (grudzień 1901), pisana przez Fr. Sekaninę, w której autor karci go surowo za

brak patryotyzmu, złośliwość i zbytnią pewność siebie.

Na polskie z dzieł Machara przełożoną została „Magdalena“, wydana w roku 1899.

W. Rylski.

Stanisława Orzechowskiego. Opowiadanie upadku przyszłego polskiego z r. 1560. Wydał *Teodor Wierzbowski* (Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w. Zeszyt XVI). Warszawa. 1901. Z zapomogi Kasy im. dr. J. Mianowskiego. (Str. 35).

Traktat ten Orzechowskiego nie był dotychczas nam znany w całej swojej rozciągłości. Znaliśmy go tylko z tytułu, powtarzanego powszechnie za Niesieckim, ale rękopis pozostał w ukryciu. Teraz dopiero, kiedy rękopis dostał się w darze Bibliotece Jagiellońskiej, został zużytkowany przez pracowitego prof. T. Wierzbowskiego, który go ogłosił po raz pierwszy. Co się tyczy głównej osnowy i myśli przewodniej, to należy zaznaczyć, że „Opowiadanie upadku przyszłego polskiego“ jest zupełnie analogiczne z listem Orzechowskiego do Mikołaja Stadnickiego. „Opowiadanie“ jednakże jest pod względem rozmiarów o wiele od tamtego obszerniejsze, a ponadto przynosi fakty i szczegóły takie, jakich napróżnoby kto szukał w wymienionym liście. Do najważniejszych szczegółów trzeba zaliczyć dodatek o pobycie Orzechowskiego w Pińczowie i o jego rozmowie ze znanym reformatorem Janem Łaskim. Obok tego ciekawego przyczynku do charakterystyki Orzechowskiego wydrukował prof. Wierzbowski w omawianym zeszycie po raz pierwszy odpowiedź ministrów dyssydenckich na list Orzechowskiego i wyjątek z jego listu do Missopata. Ponadto trzeba podnieść jeszcze następujące zalety — przypiski i objaśnienia tekstu, zebrane pracowicie i wyczerpująco, jako też słowniczek. Zeszyt ten „Biblioteki“ drukowany jest na znacznie lepszym papierze od poprzednich — i słusznie.

St. Zdz.

Via Crucis by *F. Marion Crawford.* II vol. 1900. (Tauchnitz ed.).

Otwierając tę książkę, czytelnik na pierwszy rzut oka doznaje zawodu, sądząc bowiem z tytułu i nazwiska autora, spodziewał się filozoficzno-religijnego studyum o tajemniczem tle i niezbyt pewnych, ale zaciekawiających konturach, a znajduje konkretną powieść rycerską. Autor, by ją napisać, przeniósł się na grunt czysto katolicki i z tego punktu nakreślił idealnie piękny typ krzyżowego rycerza. Tytuł *Via Crucis* tłumaczy się tem, iż bochater w pacholęcym niemal wieku dotknięty nieszczęściem, druzgocącem jego ognisko domowe, mienie, stosunki i miłość rodzinną, wznosi się powoli przez cierpienie i cnotę do wyżyn duchowej doskonałości i ziemskiej pomyślności i sławy. Dwie główne życia pokusy: chęć zemsty i miłość pięknej królowej Eleonory, żony francuskiego Ludwika, a następnie angielskiego Henryka, zwalcza zwycięsko; oneto na tle drugiej krucyaty stanowią tło powieści. Charakter królowej zda nam się niedość psychologicznie utrzymany: demoniczny w pierwszym tomie, w drugim wyszlachetnia się i wznosi nieco zbyt szybko i niestety wbrew historycznej prawdzie. Za nią jednak z drugiego planu wygląda postać św. Bernarda tak piękna, iż dla niej można wiele autorowi wybaczyć. Wogóle powieść piękna, wiejąca najczystszem

tchnieniem epoki gorącej wiary, wzniosłych zapałów, prostoty serca i wielkich czynów. *T. W.*

Giuseppina Faro par *l'abbé Couturier*. Langres, chez l'auteur.

W Pedara, opodal od Katanii, na stoku Etny, żyła przed trzydziestu laty uboga dziewczyna, której młode życie, wypełnione bogomyślnością i miłosierdziem, promienny ślad po sobie zostawiło. Prostota i posłuszeństwo, wielka miłość Boga i ludzi — to były cechy duszy czystej i cichej, która za swego krótkiego na ziemi pobytu nosiła imię Józefiny Faro. Umarła, mając lat dwadzieścia cztery. Życie jej upłynęło w ukryciu, śmierć dopiero miała rozgłosić jej imię nie po samej tylko ojczyznie św. Agaty i św. Róży, sycylijskich patronek. Zaledwie w Panu zasnęła, aliści cuda jęły się mnożyć za jej przyczyną, cuda iścić przy jej grobie. Niebawem władza duchowna przystąpiła do otworzenia ubożuchnej trumny. Znaleziono dziewicze szczątki, zachowane w całej świeżości, wydające z siebie woń przedziwną. Dziś po latach trzydziestu podwójne to zjawisko się utrwala, a szklane dziewiczej trumienki ściany pozwalają wiernym podziwiać łaskę cudowną, nie dopuszczającą, aby te błogosławione zwłoki kiedykolwiek uległy zepsuciu. Prostaczkowie, którzy zaliczali dziewczynę między swoich, dziś ją szczególną czcią otaczają. Dostojnicy Kościoła sławią jej cnoty, a rozliczne cuda świętość stwierdzają. Arcybiskup Katanii, mgr Dusmet, osobne żywił uczucia rzewnego nabożeństwa do świątobliwej dziewicy. Słusznem było, aby jej imię przekroczyło granice Sycylii. Cudowność bowiem otacza grób Giuseppiny Faro, opromienia jej imię jakby zwycięską odprawą, daną mędrcom swiata, zanurzonego w materyalizmie i pozytywizmie, zaprzeczającego wszelkim objawom, wyłamującym się z więzów przyrodzonego rzeczy porządku. Ks. Couturier, podróżując po Sycylii, zażywał gościnności u mgra Dusmet, arcybiskupa z Katanii. Ten go zawiózł do grobu świętej dziewicy w Pedara. Za powrotem śni się francuskiemu pielgrzymowi, iż posiadł kilka przedmiotów, niegdyś należących do Giuseppiny Faro. Nazajutrz, najniespodziewaniej pewna zakonnica wręcza mu książkę i chusteczkę, własność świętej dziewicy, która jej się we śnie ukazała, wskazując, gdzie i w jakim kościele ma te przedmioty wręczyć spotkanemu tamże księdzu francuskiemu — snadź pragnie ona być znaną we Francyi, dla Francyi wypraszać łaski osobne — tłumaczył arcybiskup z Katanii.

Upłynęło ćwierć wieku. W dyecezyi Langres rozszerzyła się cześć, urosła wdzięczność dla sycylijskiej dziewicy. Za jej przyczyną, za dotknięciem się przedmiotów, które niegdyś były jej własnością, ileż nastąpiło cudownych uzdrowień na przemian ciała i duszy... Tknięty cudownością tych objawów, powodowany wdzięcznością dla świętej panienki, ks. Couturier świeżo napisał jej życiorys, wonny jak kwiat umbryjski, rzewny jak franciszkańska legenda, zachwycający prostotą opowiadania a nadzwyczajnością osnowy.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

JUBILEUSZ PAPIESKI.

Z przedziwnego zrządzenia Boskiej Opatrzności Ojciec święty, pomimo nader wątłego organizmu, szczęśliwie dożył 93 roku życia a 25 roku pontyfikatu. Kościół Powszechny wspaniale powszechność swą zaznaczył, z całego świata, po którym jest rozsiany, ze wszystkich zakątków ziemi oddał jeden olbrzymi hołd uwielbienia i miłości dla Stolicy Apostolskiej. Ci, co berło rządów dzierżą po świecie, ślą do Watykanu swe życzenia przez osobne poselstwa.

Oczywiście jubileusz Ojca całego chrześcijaństwa to nie jakiś jednodniowy jubileusz 25 czy 50-letniej działalności społecznej, literackiej czy artystycznej. Jubileusze takie obchodzi się tylko w tym jednym dniu, który zamyka pewien okrągły okres czasu. Dla obchodów jubileuszowych Ojca świętego i roku zdaje się być za mało na tyle najrozmaitszych pielgrzymek, deputacyi i audyencyi, w których miliony katolików z całego świata radeby wziąć udział. To też obecny jubileusz rozpoczął się z dniem 20 lutego b. r., jako otwierającym 25 rok pontyfikatu, a trwać będzie, da Bóg, aż po dzień 3 marca roku przyszłego, jako 25 rocznicę koronacyi Ojca świętego.

Leon XIII obchodził już dwa jubileusze. W r. 1887, pięć-

dziesiątym kapłaństwa Ojca św., ze wszystkich stron i części kuli ziemskiej napływały do Watykanu niezliczone pielgrzymki, dary i życzenia ku uczczeniu najdostojniejszego i najukochańszego jubilata. W sześć lat później nadszedł pięćdziesięcioletni jubileusz święceń biskupich: wtedy Ojciec święty odbierał hołdy nie tylko od swych wiernych, lecz także od narodów i władców, dla których nie zabłysnęło jeszcze światło ewangelii. Jako kapłan i jako biskup przepracował Ojciec święty w winnicy Pańskiej całą połowę wieku, a u jej schyłku został Najwyższym Pasterzem owiec Chrystusowych. I oto dozwolił mu Bóg obecnie oglądać początek świetnych dni srebrnego jubileuszu tych najwyższych rządów nad Kościołem.

Wezwany na tron papieski w wieku, w którym dla większości śmiertelników już ustaje praca życia, Leon XIII dopiero właśnie wtedy rozpoczyna najświetniejszy okres swego życia, okres pracy najintensywniejszej, ćwierć wieku trwać mający. Historya chwalebnego jego pontyfikatu dowodem jest dla nas, że cała jego poprzednia działalność jako nuncyusza, biskupa dyecezalnego i kardynała była w jego życiu tylko opatrznościowem przygotowaniem do zadania, jakie miał spełnić na Stolicy Piotrowej. Za nadludzką prawie pracę dla dobra Kościoła, jaka charakteryzuje długoletni pontyfikat Leona XIII, Bóg zgotował mu nagrodę w wieczności. Ale my ludzie mamy obowiązek ścisły okazania naszej za tę pracę wdzięczności tak modlitwami za Ojca świętego, jak i zewnętrznymi objawami miłości, hołdu, czci i ofiarności.

OBCHODY JUBILEUSZOWE W RZYMIE.

Rok jubileuszowy rozpoczęty. Rozpoczęły go, jak zawsze w jubileuszach kościelnych i papieskich, obchody w Rzymie samym. Z przebiegu ich krótkie dajemy sprawozdanie.

Dnia 20 lutego, w dwudziestą czwartą rocznicę obioru Ojca świętego a w pierwszy dzień srebrnego jubileuszu pontyfikatu, wystawiono w jednej z kaplic bazyliki św. Piotra Przenajświętszy Sakrament na 7 godzin, od 8 rano do 3 popołudniu. Przez cały ten czas tłumy wiernych jedne po drugich wymieniały się w ci-

chej adoracyi Boga Utajonego i zanosiły do Niego modły dziękczynienia za te wielkie rzeczy, jakie w ostatnich dwudziestu czterech latach zdziałał dla swego Kościoła w osobie Ojca św. Obraz tych rozklęczonych i rozmodlonych przed Przenajświętszym Sakramentem tłumów, w skupieniu i ciszy składających dzięki za okazane zmiłowanie nad Ojcem świętym, a prośby za zachowanie go nadal przy życiu — to może główna cecha tego dnia pamiętnego. O godzinie wpół do czwartej miało się rozpocząć nabożeństwo dziękczynne w bazylice św. Piotra. Na długo przedtem ulice, wiodące do Piazza, roiły się od pojazdów, dorożek i tłumów pieszych, dążących do bazyliki. Po odmówieniu Komplety wyszła z zakrystyi wielka procesya. Trzystu mężczyzn, członków stowarzyszeń katolickich w Rzymie, otwierało pochód. Za nimi szli seminarzyści od św. Piotra, kapituła bazyliki, czterdziestu biskupów i archiprezbyter św. Piotra, kardynał Rampolla, w asystencyi prałatów Pericoli i de Croyes, jako dyakona i subdyakona. Za kardynałem celebransem szli członkowie świętego Kollegium, każdy w *cappa magna* i birecie czerwonym. Procesya przeszła koło ołtarza św. Grzegorza do środka nawy, a stamtąd wokoło Konfessyi przed ołtarz papieski. Kardynałowie zajęli miejsca po stronie ewangelii, członkowie papieskiej *Anticamera,* biskupi i prałaci po stronie epistoły. Po wystawieniu Przenajśw. Sakramentu chór odśpiewał *Oremus pro Pontifice,* poczem celebrans zaintonował *Te Deum.* Uroczystość zakończyło błogosławieństwo Przenajśw. Sakramentem.

Wspaniały widok przedstawia Piazza, kiedy się na nią rozsypią tłumy, wychodzące z bazyliki św. Piotra. I wtedy też, po skończonem owem uroczystem nabożeństwie jubileuszowem, setki ludzi zebrały się na stopniach bazyliki, patrząc z góry na rojącą się od tłumów Piazza. Nagle, jakby na znak komendy wojskowej, stanęły tłumy w miejscu i zwróciły wzrok swój ku oknu pałacu watykańskiego: oto spostrzegły w niem Papieża. Natychmiast kapelusze i białe chustki powiewać ku niemu zaczęły, ale w tejże chwili znikła biała postać w oknie.

Podobnie dziękczynne nabożeństwo odbyło się w bazylice

św. Jana Laterańskiego dnia 2 marca, jako w przeddzień rocznicy koronacyi. W dniu tym przypadają również urodziny Ojca świętego. Ogromna bazylika za szczupłą się okazała: nie mogła pomieścić tych wszystkich tłumów, jakie się zgromadziły na nabożeństwo. Naokoło papieskiego ołtarza wystawiono cztery trybuny: dla świętego Kollegium kardynalskiego, dla członków rodzin panujących, dla ciał dyplomatycznych i posłów nadzwyczajnych i dla arystokracyi rzymskiej. Oprócz kanoników św. Jana asystowały w chórze również kapituły dwu innych bazylik patryarchalnych, jako też arcybiskupi i biskupi. Osobne miejsce przeznaczono dla dworu papieskiego i antikamery i dla komitetu uroczystości jubileuszowych. Celebrował kardynał Sattolli, archiprezbyter bazyliki. Odśpiewano *Oremus pro Pontifice* kompozycyi Gaetano Capocci, następnie *Te Deum* na dwa chóry, ułożone przez tegoż samego kompozytora. Przed błogosławieństwem Najśw. Sakramentem odśpiewano *Tantum Ergo* Hollera.

Kiedy Leon XIII wstępował na tron papieski, restauracya apsydy bazyliki św. Jana była już w toku, a Ojciec święty, pragnąc doczekać się końca tego dzieła, nalegał na budowniczych. Zalecał pośpiech w robocie, mówiąc, że Leonowie nie żyją długo: *I Leoni campani poco.* Dwaj Leonowie, I i III, stanowią wyjątek, bo panowali po 21 lat. Zato suma całkowita liczb lat, jakie razem panowali pozostali dziesięciu Leonowie, wynosi tylko dwadzieścia dziewięć. Obecnie już piętnaście lat od uroczystego otwarcia odrestaurowanej apsydy, a Leon XIII jeszcze wśród nas.

Naczelne rządy państw wysłały do papieża z życzeniami jubileuszowemi posłów nadzwyczajnych. Oto ich nazwiska: z Anglii Earl of Denbigh, z Argentyny Sig. Carlo Calvo, z Austro-Węgier hrabia Mikołaj Szecsen Temerin, z Bawaryi książę Oettingen Oettingen i Oettingen Spielberg, z Belgii hr. Merode-Westerloo, z Brazylii Don Augusto Ferreira de Costa, z Czarnogórza hr. Ludwik Vojnovicz i arcybiskup z Antivaru Milinovicz, z Francyi Mons. Armand Nisard, z Hiszpanii Don Aleksander Pidal y Mor, z Holandyi generał hr. Henryk Du Monceau, z Niemiec generał baron Walter von Loë, z Peru Don G. M. Goye-

neche, z Portugalii Dón Michael Martins d'Antas, z Rosyi Exc. Konstantyn Gubastow, z Saksonii baron Friesen. Inne rządy, jakoto Chili, Kolumbii, Nicaragua, San Domingo, Monaco, nadesłały swe życzenia przez pośrednictwo zwyczajnych swych reprezentantów u Stolicy Apostolskiej. W spisie tym niema oczywiście Włoch. Zamiast życzeń jubileuszowych one gotują potwornie antichrześcijańską ustawę rozwodową.

Kulminacyjny punkt dotychczasowych obchodów jubileuszowych stanowiła uroczysta Msza jubileuszowa w bazylice watykańskiej, odprawiona wobec Ojca świętego dnia 3 marca, w rocznicę jego koronacyi. Liczbę uczestników tej uroczystości podają na 50 tysięcy. Chociaż początek uroczystości zapowiedziano na godzinę 10-tą rano, to jednak już o świcie tłumy ludu oczekiwały przed wielkiemi wrotami bazyliki na ich otwarcie. Od wczesnego rana aż do końca uroczystości, t. j. do godziny drugiej po południu, porządek wzorowy na Piazza utrzymywały wojska królewskie. Przejmująca to do głębi duszy była chwila, kiedy o godzinie trzy kwadranse na jedenastą Ojca świętego wniesiono na *sedia gestatoria* do wnętrza bazyliki. Na entuzyastyczne powitania przez tłum kilkudziesięciotysięczny papież wzruszony odpowiadał błogosławieniem raz po raz na wszystkie strony. Z oklaskami i powitaniami w jedno *unisono* zmieszały się słowa potężnego śpiewu *Tu es Petrus,* wykonanego przez śpiewaków papieskich. Mszę świętą celebrował kardynał Serafin Vanutelli, której Ojciec święty wysłuchał, siedząc na swym tronie. Asystowali celebransowi kanonicy-prałaci Gianuzzi, Bartolini i Cumpoli. Po Mszy odśpiewano uroczyste *Te Deum,* a Ojciec święty silnym jeszcze głosem udzielił apostolskiego błogosławieństwa. Procesyi z Ojcem świętym z powrotem towarzyszyło jeszcze ognistsze uniesienie zebranego tłumu wiernych. Rozlegały się jakby z jednej potężnej piersi okrzyki: *Viva il Papa! Viva il Papa Rè! Viva il Padre degli operaii! Viva il Padre della democrazia christiana!* Ojciec święty rozpromieniony i wzruszony to wyciągał rękę do błogosławienia, to podnosił się cały i zwracał się na wszystkie strony, błogosławiąc lud swój umiłowany.

OKOLNIK DO DUCHOWIEŃSTWA DYECEZYI WILEŃSKIEJ.

Z radością witamy energiczne, pełne apostolskiej żarliwości wystąpienie ks. biskupa Zwierowicza przeciw niebezpieczeństwu, jakie zagraża wiernym jego dyecezyi ze strony szkół elementarnych, zostających pod kierownictwem prawosławnego duchowieństwa. Wystąpienie to zasługuje na najwyższe uznanie i uwielbienie, bo wiadomo, ile do niego trzeba było mieć odwagi, prawie bohaterstwa. Nie mając samego dokumentu pod ręką, podajemy go czytelnikom naszym według *Czasu*, który dotychczas pierwszem i jedynem jest dla nas co do tego listu źródłem.

„Do duchowieństwa dyecezyi wileńskiej.

Obowiązkiem pasterzy i wiernych katolików jest nie tylko otwarte, w słowie i w czynie, wyznawanie swojej wiary, ale i obrona jej od wszelkich na nią zakusów. Wiadome jest każdemu katolikowi, iż wszystkich uchylających się od tego obowiązku wskutek jakichkolwiek bądź względów, obliczeń lub strachu, zarówno Zbawca, jak i Kościół uznają za winnych i grożą im następstwami, wypływającemi z otwartego zaparcia się wiary lub jej odstąpienia. Początki nauk katechetycznych stwierdzają w stopniu dostatecznym bezsprzeczność tego obowiązku chrześcijańskiego. Tymczasem, aczkolwiek nie powszechnie, bywały wypadki jakiejś trwożliwości w wyznawaniu i obronie nietykalności nauki świętej naszego Kościoła ze strony pasterzy i wiernych, trwożliwości niezrozumiałej dla dobrego katolika i niegodnej imienia i godności katolickiej. Trwożliwość ta niektórych z Was, czy też nikczemne tchórzostwo, powodując pożałowania godne zmartwienie sercu Macierzy-Kościoła, zmusza mię do przypomnienia Wam obowiązków Waszych jako chrześcijan w stosunku do tych zjawisk, które w chwili obecnej grożą naszej wierze i naszemu sumieniu.

Komu z Was nie są znane cele i kierunek szkół ludowych najnowszej formacyi, zaprowadzonych powszechnie w czasach ostatnich? — Mam tu na myśli szkoły cerkiewno-parafialne

i szkoły „gramoty“ (nauki czytania), urządzone przez cerkiewno-prawosławny urząd duchowny. Szkoły te, jak widać z ich celu i kierunku, ze sposobu zarządu niemi i z poglądów samych kierowników, mają zadania wrogie względem wiary katolickiej traktują ludność katolicką jako wrogów państwa.

I.

Nie zwracalibyśmy zupełnie uwagi na te szkoły, gdyby one cele swoje urzeczywistniały wpośród ludności prawosławnej, w stosunku do młodego prawosławnego pokolenia, jakby się tego można było spodziewać, sądząc z nazwy tych szkół, i coby było zupełnie słuszne i uprawnione. Któż jednak z nas, pasterzy i wiernych, może pozostawać obojętnym widzem przemocy szkół tych nad dziećmi katolickiemi w obrębie dyecezyi wileńskiej i pod płaszczykiem państwowości? — Szkoły cerkiewno-prawosławne oraz szkoły czytania („gramoty“), urządzone przez duchowieństwo prawosławne nawet w tych miejscowościach, gdzie niema ani jednej rodziny prawosławnej, zmuszają groźbą lub kuszą obietnicami dzieci katolickie do uczęszczania do szkoły, gdzie natrząsają się z religii katolickiej i wpajają w chłopców i dziewczęta, nie znających jeszcze początkowych nawet prawd swojej wiary, zasady i przepisy prawosławia.

Taki sposób postępowania duchowieństwa prawosławnego z katolikami wileńskiej dyecezyi nakazuje pasterzom i katolikom ochraniać środkami legalnymi wiarę swoją w młodem pokoleniu od zamachów duchowieństwa prawosławnego. Cel i dążności szkół cerkiewno-parafialnych i tak zwanych „gramotnosti“ są znane wszystkim i nie stanowią żadnej tajemnicy. „Szkoły cerkiewno-parafialne — jak głosi § 1 ustawy ich — mają na celu utrwalić w narodzie prawosławną naukę wiary i moralności chrześcijańskiej“. A wobec tego wszelki udział pośredni lub bezpośredni katolików w sprawie popierania i rozwoju tych szkół, posyłanie do nich dzieci katolickich równa się zdradzie i odstępstwu od religii rzymsko-katolickiej i od Kościoła. Szkoły powyższe, mając za bezpośrednie zadanie podkopywanie wiary

katolickiej wśród katolickiej ludności, nie mogą ludności tej przynosić korzyści, jaką każda wogóle szkoła daje swym wychowańcom, t. j. oświatę, kształcenie umysłu przez dostarczanie mu wiadomości naukowych, odpowiednio do rozwoju dzieci. Szkoły cerkiewno-parafialne i szkoły „gramoty", stosownie do przeznaczenia, są instytucyami czysto religijnemi, stawiającemi na pierwszym planie nie naukę, a wychowanie w pewnym kierunku i z pewnem zabarwieniem wszystkiego, co się w nich wykłada. „Nie nauczanie stanowić powinno zadanie główne szkoły ludowej, a wychowanie w duchu uległości władzy cerkiewnej i administracyjnej wedle praw Cerkwi prawosławnej", uchwala zjazd kuratorów gubernii charkowskiej. „Kochając świadomie Cerkiew prawosławną, nauczyciel pomaga duchownemu kierownikowi umacniać w sercach uczących się pojmowanie wielkiego znaczenia Cerkwi... Szkoła cerkiewna związana jest nierozłączenie z Cerkwią... (Mowa towarzysza nadprokuratora św. Synodu W. K. Sablera „o znaczeniu szkoły cerkiewnej"). „Szkoły cerkiewno-parafialne są najważniejszym środkiem utrwalenia prawosławia... w kraju Zachodnim... Źródła te oświaty religijno-moralnej zaszczepiają zasady rosyjskiego prawosławnego życia nawet dzieciom innowierców i w ten sposób nieznacznie wprowadzają młode innowiercze pokolenie w ustrój rosyjskiego prawosławnego życia" („Stan prawosławia w zachodnich dyecezyach").

Takie przeznaczenie szkół cerkiewno-parafialnych i taki pogląd na nie ich kierowników czyż nie wskazuje nam z całą oczywistością, że są to szkoły k o n f e s y o n a l n e i jako do takich nie mogą w żaden sposób uczęszczać do nich katolicy bez uszczerbku dla swej wiary? Wobec tego dzieci katolickie, świadomie uczęszczające do tych szkół, jak również rodzice i opiekunowie, świadomie posyłający dzieci do tych szkół konfesyonalnych, świadczą tem samem, iż zdradzają oni swe katolickie przekonania i jako tacy stają się niegodnymi tego, aby Kościół katolicki spełniał względem nich swe obrządki i udzielał im części ze swych skarbów duchownych.

II.

Szkoły cerkiewno-parafialne, oraz szkoły „gramoty", zachowując się wrogo względem Kościoła katolickiego, zapatrują się niemniej wrogo i na nas katolików, jako na fanatycznych nieprzyjaciół naszego państwa, od których wyzwolić się należy drogą zaszczepienia młodemu katolickiemu pokoleniu prawosławia, jako jedynego środka, zdolnego poddać katolików władzy cywilnej. O tej misyi szkół cerkiewno-parafialnych i szkół „gramoty" przekonywają nas kierownicy-zwierzchnicy tych szkół. „Nie pouczenie stanowić powinno zadanie główne szkoły ludowej, a wychowanie w duchu uległości władzy cerkiewnej i cywilnej wedle praw Cerkwi prawosławnej" — czytaliśmy nieco wyżej. Wedle opinii kuratorów tych szkół w gub. Podolskiej, szkoły te mają „spełnić w stosunku do innowierczej katolickiej i roskolnickiej ludności zadanie bardzo trudne, misyonarskie: powrócić ją na łono Cerkwi prawosławnej i połączyć w ten sposób z narodowością rosyjską, nieodłączną od prawosławia". Tak mówią kierownicy szkół cerkiewnych; bez względu jednak na ich przekonanie, my zaznaczamy, iż jesteśmy katolikami, wyznajemy powszechną katolicką wiarę, obejmującą świat cały i mającą wyznawców pomiędzy wszystkimi ludami świata, wiarę, która wszystkim i wszędzie nakazuje w imieniu Boga, nieomylnej powagi Kościoła, kochać swą ojczyznę, być posłusznym swemu monarsze, przelewać krew za niego, za ojczyznę, a jednocześnie wyznawać mocno swoją wiarę i bronić jej w razie potrzeby kosztem własnego życia.

Z uwagi na to, że szkoły cerkiewno-parafialne i szkoły „gramoty", będące pod wyłącznem kierownictwem duchowieństwa prawosławnego, okazują, jak to widać z powyższego, wpływ bezwarunkowo szkodliwy na podrastającą młodzież katolicką, nakazujemy najkategoryczniej całemu duchowieństwu dyecezyi wileńskiej śledzić jak najpilniej za tem, aby dzieci katolickie nie uczęszczały do szkół powyższych; w razie zaś ujawnienia podobnych faktów, o ile nie pomogą perswazye i nauki, nakazujemy nie dawać na spowiedzi rozgrzeszenia zarówno dzieciom,

uczęszczającym do szkoły, jak i rodzicom i opiekunom, posyłającym je do nich (Porównaj: *Theologia Moralis* auctore Augustino Lehmkuhl, ed. septima, Friburgii Brisgoviae, 1893 a., § 658).“

Daj Boże, aby to dzielne wystąpienie gorliwego arcypasterza położyło skuteczną zaporę przed groźnem niebezpieczeństwem.

Ks. S. Kobyłecki.

My i oni.

(Kilka słów o naszym stosunku do innych Słowian).

Nie pomnę dokładnie czasu, ale zdaje mi się, że z okazyi uroczystości Preszernowej w Wiedniu, przez młodzież słowiańską w zeszłym roku urządzonej, krążyły po dziennikach wieści o nieporozumieniach, jakie wyniknęły między zapraszającym komitetem a wydziałem polskiego towarzystwa „Ognisko“. Ci bowiem, jak podawano, mieli wprost odmówić udziału w uroczystości i z oburzeniem odeprzeć, jakoby byli Słowianami, uważając się tylko za Polaków. Lubo wkrótce potem temu zaprzeczono, a w tej uroczystości literackiej „Ognisko“ wzięło udział przez swych delegatów, w sposób zupełnie właściwy zaznaczając swój sposób myślenia, nie przestaje to być przecież charakterystycznem, do jakiego stopnia nie tylko obce narody, ale sami Słowianie uważają Polaków za obcych w rodzinie słowiańskich narodów — a raczej za nieuznających wszelkiej ze Słowianami solidarności.

I nie bez przyczyny. Nie będę dotykał spraw politycznych i stosunków parlamentarnych, jako sobie mało znanych; zwrócę się natomiast w tę dziedzinę, w której na szczęście polityka, jeśli ma jakie słowo do powiedzenia, to chyba ostatnie. Myślę o dziedzinie kultury i literatury.

Jest to niewątpliwie rzeczą dla nas miłą i zaszczytną, że posiadamy za sobą tysiąc lat kultury i przynajmniej pół tysiąca nauki i literatury. Nikt nam tego odmówić nie może, a inni Słowianie uznają, podziwiają i dlatego wysoko nas cenią. Czy nas to jednak upoważnia do wzajemności — przez lekceważenie, a przynajmniej ignorancyę tego wszystkiego, co jest słowiańskie, a polskie nie jest? Mamyż zawsze być „pawiem narodów“, choćbyśmy nawet widzieli, że to nam przynosi oczywistą szkodę? Kogo z nas zajmują dzisiaj kulturalne dążenia Słowian południowych lub zachodnich? ilu mamy między sobą ludzi, ma-

jących jakie takie pojęcie o ich literaturze, sztuce, o ich stosunkach społecznych i o ich ideałach? Komu z nas przyjdzie na myśl, aby książkę jaką polską posłać do biblioteki Muzeum czeskiego w Pradze, do biblioteki słowackiego Towarzystwa muzealnego w Turcz. św. Marcinie lub do Biblioteki uniwersyteckiej w Zagrzebiu? Które towarzystwo literackie lub naukowe utrzymuje żywe stosunki z podobnemi towarzystwami u innych Słowian, a jeśli utrzymuje, czy się nimi interesuje? Na to wszystko byłyby tylko dwa słowa odpowiedzi: „żadne“ i „nic“ — lub bez pessymizmu: „mało“ i „niewiele“. Nie mamy na to czasu, bo nas pochłania zamiłowanie wszystkiego, co idzie z Zachodu; nie mamy ochoty, bo nie widzimy w tem — interesu...

Tymczasem na tem polu pracuje skutecznie kto inny. Niema biblioteki u Słowian południowych i zachodnich, któraby nie miała osobnego, a bardzo obfitego działu rosyjskiego, nie przez kupno, ale z darów powstałego; niema dziennika, któryby nie miał stosunku zamiany przynajmniej z kilku dziennikami petersburskimi, a jaki jest dla Słowian południowych i dla Czechów interes w literaturze rosyjskiej i w społeczeństwie, o tem nie potrzebuję mówić, bo o tem wiemy, ale nas to wcale nie zastanawia. Kto jako Polak wybiega myślą w przyszłość, nie powinien nigdy zapominać o tem, co powiedział Mickiewicz w „Kursach literatury słowiańskiej“ (t. I, str. 458): „Polska i Rosya na pobojowisku europejskiem ukazują się jak dwaj rycerze ze spuszczonemi przyłbicami; nikt nie odkrył jeszcze ani ich godła ani tajemnicy. Niezawodnie los tych mocarstw, wyosobnionych pośród Europy, nie dających pokoju filozofom, wzywanych od reformatorów, rozstrzygnie nie tylko wielkie zagadnienie przewagi w Słowiańszczyźnie, ale razem żywotne kwestye religijne, filozoficzne i socyalne...“ Zdaje się, że myśl tych słów nie potrzebuje objaśnienia.

A gdzieindziej mówi ten sam Mickiewicz (tamże str. 69): „Słowianie nie powinni spodziewać się, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej, albo ponętna obietnica jakiej upodobanej formy rządu; dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka, idea zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość“. Jaka to idea, nie trudno to odgadnąć nam, którzy mamy „Przedświt“, w którym czytamy:

I przez wszechświat ten do Boga
Szła narodów ziemskich droga;
I wciąż Polska moja — przodem
W nieskończoność — z ludzkim rodem
Tam leciała!...

i mamy „Resurrecturis“, w którem nam poeta z nieubłaganą konsekwencyą przepowiada, że na naszej „męki grobie“

Ze zdarzeń powodzi
Ponad klęsk otchłanie
Niezrodzone się narodzi —
Sprawiedliwość wstanie!

Do tej sprawiedliwości dążą dzisiaj wszystkie narody słowiańskie, czy je gniecie jarzmo tyranii, czy nietolerancya innych narodów; o tę sprawiedliwość walczą, dla niej i przez nią budzą się z wiekowego uśpienia nawet małe słowiańskie gromady. Kto je do niej doprowadzi, kto im będzie hetmanił, jeśli nie my, na których spełniono najwyższą niesprawiedliwość!...

Tej idei, przekazanej nam przez wielkie duchy niedawnej przeszłości, nie pozwólmy gasnąć, ale ją z zarzewia rozdmuchajmy w jasny płomień; a będziemy do tego zdolni tylko wtedy, gdy się do innych Słowian zbliżymy, gdy ich poznamy, gdy my i oni nawzajem się zrozumiemy. Nie gardźmy żadnym godziwym środkiem, który do tego wiedzie celu, aby pokolenia przyszłe nie narzekały na nas, żeśmy „przyszłość naszą cofnęli wstecz...“

Właśnie to, co się w ostatnich miesiącach dokonywa wobec nas tu u nas, daje niepłonną nadzieję, że zaczynamy rozumieć nasze zadanie i stawiamy pierwsze kroki do jego urzeczywistnienia.

Powstał w Krakowie „Klub słowiański“. Rzecz to na pozór drobna; ileżto klubów i towarzystw powstaje co roku, więc jedno mniej czy więcej — nie wielki zysk i nie wielka strata. Żyjemy i tak w dobie „hiperprodukcyi“ towarzystw, w których główną rzeczą są dostojeństwa, nie praca, w celu towarzystwa wytknięta. W tym razie jednak nie jest to fakt małej wagi, jeśli się przypomni, jak ten klub powstał. Nie wymieniamy osób, które przedewszystkiem na te tory rzecz skierowały, ale z naciskiem podnosimy fakt, że potrzebę takiego klubu odczuwano żywo w naszem społeczeństwie, że wieść o jego powstaniu powitano z zadowoleniem, że z małego grona osób na pierwszych zebraniach obecnych wytworzyło się obecnie koło poważne, zataczające coraz dalsze kręgi. A co jeszcze ciekawsze — do klubu tego nie tyle garną się młodzi, ile ludzie starsi, którzy należą do najgorliwszych propagatorów idei i do najpilniejszych uczestników zebrań. Słowem — szczęśliwą rękę miał dr. Maryan Zdziechowski, który należał do najgłówniejszych inicyatorów.

Co ten klub zrobił? Na razie się uczy. Tak jest, uczy się od

tych członków, którzy znają stosunki kulturalne i literackie innych Słowian, poznaje duchowe oblicza pobratymców, poczyna ich rozumieć, a to już wiele. Szczęśliwym trafem tak się złożyło, że w gronie członków klubu są znawcy wszystkich narodów słowiańskich z wyjątkiem Bułgarów. Kolejno tedy to o tym, to o owym narodzie, to o jego społecznych, to o kulturalnych mówi się kwestyach i przed oczyma naszemi rozstępuje się ciasny horyzont, a otwierają się nowe światy.

Klub się uczy, członkowie nawzajem się informują; przyjdzie wnet chwila, kiedy z klubu musi wyjść informacya do szerokiej publiczności. Klub będzie powołany w pierwszym rzędzie do tego, aby zapoznawać publiczność z utworami sztuki i literatury, a poniekąd i z językami narodów słowiańskich, a to przez urządzanie jakichś wieczorków muzykalno-deklamacyjnych, przez pośredniczenie w urządzeniu wystawy sztuki czeskiej, chorwackiej i t. d. Niewątpliwie sprowadzenie do Krakowa trupy teatralnej czeskiej czy chorwackiej lub innej i przedstawienie kilku utworów narodowych miałoby wielkie znaczenie, ale podobno tego rodzaju przedsięwzięcia wymagają wielkich kosztów.

Toby wszystko było dla nas, ale cóż dla nich?

Dla nich będzie musiał klub słowiański postarać się o zwięzły, ale przystępnie napisany podręcznik naszych dziejów i naszej literatury. Dziś informują się, o ile mogą, z dzieł niemieckich; a jeśli tam nie znajdą, czego szukają, innego źródła absolutnie niema. Jest w nich odczucie potrzeby takich książek, które wydane równocześnie choćby tylko po czesku, chorwacku, a może i po rosyjsku przyniosłyby niewątpliwie piękny owoc, a może i zysk materyalny. Nakładcy tedy powinni się znaleźć. Na dalszym planie, ale nie w sferze idealnych tylko pragnień, postawić musi klub zbliżenie się do Słowian nawet fizyczne przez organizowanie wycieczek. Ileżto prawdziwych cudów natury spotyka się w kraju czeskim, ile w Chorwacyi i u Słowieńców pod Alpami, ile rzeczy godnych widzenia i poznania, ile z wzajemnego osobistego poznania się miłych wspomnień i pamiątek. Wycieczki, organizowane w niewielkich gromadach, przyniosłyby pewne korzyści wszystkim członkom i zachęciłyby innych Słowian do odpłacenia się nam pięknem za nadobne i poznania osobistego naszego kraju i naszych stosunków.

Nie chcemy iść za daleko i przepisywać prawie celów klubu, wytkniętych w statucie; naszkicowaliśmy rzeczy główne, jak one się przedstawiają ze stanowiska praktycznego i jak w tym skromnym zakresie działalności można uczynić wiele i wynagrodzić dawne zaniedbanie.

Jeszcze jest czas, jeszcze stosowna nie minęła pora; więc ciesząc się początkiem, miejmy co do przyszłego rozwoju klubu jak najlepsze nadzieje.

Roman Zawiliński.

Pogadanka artystyczna o polskiej sztuce stosowanej.

Chłop, niemowa i ślepiec, wymalowany na afiszu, wskazuje drogę do sal Muzeum narodowego w Sukiennicach, gdzie ruchliwe i pełne zapału młodzieńczego Towarzystwo polskiej sztuki stosowanej urządziło wystawę, niezmiernie interesującą, płodów ludowego artyzmu, tudzież przemysłu artystycznego dawnych i obecnych czasów. Przypatrzmy się afiszowi, bo ten „bajecznie kolorowy", powiewny proporzec oznacza zastęp ludzi czynu, poświęceń i najlepszej woli. On znakiem bojowym, w imię którego toczy się walka szlachetna o zdobycie nowych dróg sztuce polskiej przez lud. Ten plakat, który wabi setki ludzi w podwoje muzealne, uderza jednak nie tylko swoją oryginalnością, ale również artystyczną niekonsekwencyą. Na środek rzucił artysta kwadratowy obrazek, na którym przed białą chatą w sadzie stoi, jakby drogowskaz, chłop, przyodziany w czerwony kaftan i białą sukmanę. Obraz zaznaczony jedynie bezkształtnemi plamami barwnemi, a kształt, którego tu niema, ma sobie widz wrysować własną wyobraźnią. Natomiast cała większa część afiszu jest wypełnioną drobnym, ale już widzialnym ornamentem, zaczerpniętym z motywów skrzyń krakowskich okolic. Otóż uniesieni nastrojem chwili, podziwiamy barwne plamy w naturze, ale nigdy nie możemy jednem okiem chwytać równocześnie jednego wrażenia, a drugiem całkiem odmiennego, jednem plam barwnych, drugiem subtelnego rysunku—to dysonans. Widz, szukający nie od dzisiaj w sztuce nowych wrażeń, podniet i rozkoszy estetycznych, przyzna zresztą, że zestawienie kolorystyczne jest wywyborne, tchnie świeżością i pięknem, ale całość pod względem rysunkowym jest niedostrojoną, co artysta wyminąć mógł i powinien. Powinien był również sekretarz Towarzystwa wpłynąć na poprawniejszy układ pod względem językowym ogłoszenia na afiszu — tem łacniej, skoro do grona wydziału zalicza się redaktor *Poradnika językowego.*

Ruch na polu artystycznego przemysłu obudził przed laty wielu ś. p. Włodzimierz Dzieduszycki, członkowie sejmu galicyjskiego i Rada szkolna krajowa przez rozwiniętą działalność, zwróconą ku szkolnictwu

przemysłowemu. Pierwszy jednakże impuls do zwrócenia naszego świata artystycznego ku ludowemu zdobnictwu, jako źródłu ożywczemu nowych natchnień sztuki polskiej, dla wytworzenia i nadania jej piętna narodowego, zatem oryginalnego, wyszedł roku 1886 od malarza, oraz niezwykłych zasług i talentu pisarza, Stanisława Witkiewicza, a pierwszym wreszcie, który zapalną myśl artysty sprowadził w Zakopanem na praktyczne tory, była kobieta, pani Marya Dembowska. Za ich przykładem poszła Róża hr. Raczyńska, malarka p. Andrzejkowiczówna, p. Karol Potkański i inni, którzy zajęli się zastosowaniem form zakopiańskich do sprzętów domowych. Pan Zygmunt Gnatowski stawiał pierwszy willę w stylu zakopiańskim i zyskał licznych naśladowców. To był początek, w górskim zakątku naszym zdobyty. Chodziło teraz, gdy pierwsze przykłady pouczyły o praktyczności i wykonalności myśli artysty, o to, aby zdobyć dla idei społeczeństwo całe, więc zaczęła się walka o zasady, naprzód w samem Zakopanem, gdzie szkoła artystycznego przemysłu pod kierunkiem pp. Neůžilów i Niemców nauczycieli wrogie początkowo zajęła stanowisko wobec ruchu tego, a wprowadzeniem niemieckich wzorów groziła wyrugowaniem pierwiastków sztuki rodzimej z wyrobów góralskich, więc, co zatem by poszło, z chat wieśniaczych. Niebezpieczeństwo było wielkie, ale minęło dzięki zwycięstwu inicyatora i towarzyszy bojowników słusznej sprawy. Po czternastu latach istnienia szkoły trzeba było znów odrabiać i plenić to, co ona zaszczepiła, chronić ją, jeśli tak wyrazić się wolno, od zniemczenia artystycznego, od przykucia jej do rydwanu sztuki niemieckiej. Ruch, poczęty przez Witkiewicza i towarzyszy, doznał silnej podniety wskutek doskonałych badań naukowych nad budownictwem ludowem nieodżałowanej pamięci Władysława Matlakowskiego, był on pierwszy, który rzecz samą ujął w karby wiedzy. Pośmiertne jego dzieło, p. t. „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu“, wydane w roku zeszłym, jest pomnikowej wartości. Gdy nowy dyrektor szkoły zakopiańskiej, p. Edgar Kováts, wniósł do niej nowy sposób pojęcia, zawisło nad szkołą po Neůžilu nowe niebezpieczeństwo, choć nie tak wielkie, bo dyrektor-architekt uznał ważność elementu ludowego, ale sam, pozbawiony duszy artystycznej, polotu intuicyi, zapragnął dyktować szkole nowe prawa. Zamiast zachować stylowość chłopskiego artyzmu w pierwotnej czystości, chciał on wtłoczyć ją w ramy innych stylów, co w zasadzie jest słusznem, bo prawdziwy artysta potrafi motyw ornamentacyjny przekształcić i dostosować do charakterystyki stylowej odmiennej, tego zaś talentu brakło p. Kovátsowi, jego marna pomy-

słowość zasadzała się na prostej, bezładnej komplikacyi ornamentu Podhalan w barokowych lub innych oprawach. Brak daru kompozycyjnego, wrodzonego smaku, uderzający na pierwszy rzut oka w wydanych przez niego wzorach, był tutaj głównym grzechem jego działalności, a stanowisko wpływowe dyrektora było dla szkoły niekorzystne. Na szczęście czy nieszczęście (politechniki lwowskiej), w to nie wchodzę, w każdym razie pomyślnym było faktem dla zakopiańskiej szkoły, że p. Kováts został przeniesiony do Lwowa na posadę profesora architektury. Głośnem echem rozległa się po kraju gorąca walka pp. Warchałowskiego, jako reprezentanta nowo powstałego w Krakowie Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej, oraz Feliksa Jasieńskiego przeciw „Sposobowi zakopiańskiemu" p. Kovátsa. Szczególniej Jasieński w publicznym wykładzie i w dziennikach lwowskich wystąpił z całą gwałtownością i bezwzględnością swego temperamentu z okazyi wystawy, urządzonej przez prof. Kovátsa, a złożonej jedynie z płodów jego niefortunnej muzy. Jednego atoli nie można odmówić prof. Kovátsowi, co w gorącości polemiki nie zostało zupełnie uwzględnione, to najlepsze jego chęci, żywość usiłowań i dobra wola, które mu były ideą przewodnią i za prawdziwą zasługę obywatelską poczytać należy, że zaś one nie szły w parze z talentem, to chyba nie jest jego winą. Szkoła zakopiańska otrzymała teraz nowego sterownika w osobie zdolnego architekta, prof. krak. szkoły przemysłowej, p. Stanisława Barabasza; jakie on zajmie w sprawie dalszego rozwoju szkoły stanowisko i jaki nada jej kierunek, przyszłość okaże. Z publikowanych fragmentów na tle stylu zakopiańskiego w krakowskim *Architekcie* dał on się już poznać z rozumnego pojęcia i zastosowania ornamentów góralskich. Sądzę, że nie popełnię niedyskrecyi, gdy powtórzę, com słyszał od nowego dyrektora przy zwiedzeniu późną jesienią Zakopanego. Otóż p. Barabasz jest w zupełności za utrzymaniem czystości stylowej pod względem zasad, na jakich rozwija się zdobnictwo podhalskie, pragnąłby jednak przedmioty tu wyrabiane, zwłaszcza sprzęt domowy uczynić bardziej wygodnym, odjąć mu jego twardość i ciężkość, o ile to zgodne będzie z zasadniczą przewodnią ideą, jaka w konstrukcyi góralskiej jest jawną i widoczną.

Chwila zerwania artystów polskich z uprzedzeniem, że poświęcenie fantazyi swojej na rzecz zdobnictwa artystycznego czyniłoby ujmę ich zawodowi, wielkiej sztuce — należy do niedawnej jeszcze przeszłości. Już Matejko był w tym względzie chlubnym wyjątkiem, a zarazem pierwszym promotorem idei wzorowania sprzętów naszych na

dawnych zabytkach polskich. Że zaś w tym względzie prawdziwe spoczywają skarby tradycyjnie dziedziczonych form zdobniczych w chatach naszego ludu, które mogą analogicznie jak starożytne pomniki sztuki zasilić w sposób dotąd niebywały oryginalną wytwórczość polską i to wzorami niekiedy prastarymi, o tem ani marzono. Pierwszy Witkiewicz jął się tej zdrowej myśli, z której skutków i znaczenia jasno zdawał sobie sprawę. Stanął on tutaj na tem samem stanowisku co Matejko, jednak stanął przy obfitszym zdroju, przy wzorach zakopiańskich.

Witkiewicz od razu jasno i zrozumiale postawił kwestyę i wypowiedział zasady, na jakich przemysł artystyczny polski winien się oprzeć, aby społeczeństwo, podążając tą drogą, wyniosło stąd praktyczne, bo narodowe i ekonomiczne korzyści. Posłuchajmyż tedy mądrego głosu pisarza-artysty: W artykule o stylu zakopiańskim wywodzi on wymownie i przekonywująco, iż prawie niema narodu znaczniejszego od bieguna aż po równik, na którego wspomnienie nie przychodziłaby nam jednocześnie na myśl jego sztuka ze swemi odrębnemi cechami i to bez względu na to, czy przedstawia wielkie państwo, czy też w granicach etnograficznych rozwija się społecznie. Każdy więc naród wytwarza swoją sztukę i wnosi ją do ogólnego bogactwa ludzkości, zdobywając zarazem dla siebie zaszczytne, indywidualne stanowisko, gdyż, obok zasady samorzutnej twórczości, działa silnie i stale dążność ludów do przenikania i podpatrywania, a zarazem przeszczepiania upodobań i pojęć innych ludów. Paryżanin staje się Japończykiem w swoich artystycznych upodobaniach, jak Japończyk Europejczykiem w obyczajach, pojęciach i formach życia. Na wystawach międzynarodowych stają wszystkie cywilizacye obumarłe i żywe w całym przepychu swoich oryginalności na arenie światowego współzawodnictwa. Sztuka narodowa wzmacnia przeto stanowisko narodowe na zewnątrz, wewnętrznie zaś upodobnienie i zamiłowanie dążności artystycznych w narodowym kierunku jest niezmiernie doniosłym momentem dodatnim dla samowiedzy i bytu narodowego. Wprowadzenie w życie tego elementu nadaje narodowi każdemu większą spójnię i większą odporność wobec asymilacyjnych wpływów i zachceń otoczenia. Wyborne, a godne naśladowania w tym względzie przykłady przedstawiają Niemcy i Rosya, gdzie rozwinęła się gwałtowna dążność do nadania wszystkim formom życia cech szczególnych niemieckich, względnie rosyjskich. I niemal niepodobna przypuścić społeczeństwa, któreby swojej sztuki i swoich upodobań artystycznych w życiu codziennem nie miało. Obowiązkiem

więc jest narodowym poprzeć całą siłą budzący się do życia przemysł artystyczny na podstawach odrębności polskiej, a nie stroić siebie i mieszkań naszych wyłącznie międzynarodową twórczością.

Drugim ważnym argumentem, który wymienia Witkiewicz, celem polskiej sztuki stosowanej jest korzyść, jaka stąd bezpośrednio płynie dla rozwoju ekonomicznych warunków i zapewnienie nowego źródła zarobku. Wyroby przemysłu artystycznego stanowią jeden z najcenniejszych przedmiotów handlu na całej kuli ziemskiej, a jest on istotnie międzynarodowym; Chińczycy, Japończycy czy Finowie lub drobne plemiona na Wschodzie i Południu sprzedają je na targach europejskich, Francuzi, Niemcy, Szwedzi lub Holendrzy wiozą swe wyroby na Wschód daleki. Próba w tym względzie, u nas dokonana, okazała, że hafty srebrne podolskich chłopek, wystawione w Anglii, stały się ozdobą najwspanialszych sukien damskich.

Rzecz jasna, że dla tak przekonywująco sformułowanych zadań społecznych w kołach intelligencyi uzyskał Witkiewicz od razu szersze grono zwolenników. Linią operacyjną było Zakopane ze swojem tyle charakterystycznem budownictwem, oraz wrodzoną zdolnością snycerską zakopiańskich górali. Tutaj, gdzie zjeżdża dla wytchnienia kwiat intelligencyi z całej Polski, gdzie, wolny od zajęć zawodowych, każdy swobodniej i baczniej patrzy na otoczenie, zastanawia się nad pięknością natury i marzy pokrzepiony o lepszej przyszłości, tutaj łatwiej jak gdzieindziej można było przemówić i naocznie przekonać naszą intelligentną warstwę narodu o czekających nas zadaniach w przemyśle artystycznym. Pora, w której cała nasza intelligencya zrozumie doniosły cel dążności przemysłu artystycznego i poczuje się do obowiązku solidarności narodowej, gdy w każdym domu polskim będzie i sprzęt polski, odniesiemy olbrzymie zwycięstwo nad samymi sobą, będzie to zwycięstwo wielkie idei uświadomienia, wspólności narodowej i obowiązków wobec własnej ojczyzny. Walnym teraz krokiem naprzód było powstanie Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej w Krakowie. Potrzeba zespolenia sił w tej walce o wspólne dobro zrodziła myśl utworzenia Towarzystwa, któreby miało na celu krzewić zamiłowanie rodzimej fantazyi, tudzież poprzeć czynnie usiłowania artystów, zasilić pieniężnie i stworzyć pole doświadczalne dla artystycznej fantazyi. Pp. Włodzierz Tetmajer, niezmordowanie czynny sekretarz Towarzystwa, dr. Jerzy Warchałowski, przewodniczący, prof. Karol Potkański i całe grono artystów i uczonych jęło się pracy, poszło dalej, niż Witkiewicz, bo nie ograniczyło się na Zakopanem, lecz zakresem

działania objęło sztukę ludową całej Polski i w przeciągu niewielu miesięcy osiągnęło niebywałe rezultaty. Jeden za drugim konkurs daje świadectwo nie tylko o sile żywotnej Towarzystwa, ale pcha potężnie sprawę naprzód. Konkurs na afisz osiągnął liczbę 30 projektów, a stworzył nowy typ polskiego afisza; o nagrodzonym wypowiedzieć pozwoliłem sobie u wstępu kilka słów krytyki, jest on dziełem zdolnego artysty, p. Józefa Czajkowskiego, inne pociągają również ku sobie oko barwnością, jak projekt, opatrzony godłem „Saș" z tłem polnych maków i bławatków, lub też pomysłowością. W następnym konkursie na łyżkę nadesłano aż 65 projektów, z nich zaś projekt architekta, pana Franciszka Mączyńskiego, oparty o motywa ludowe, zdobył palmę pierwszeństwa, a dodać należy, że bardzo wiele z nieodznaczonych wykazuje cenne zalety, fantazyi bogactwo i rodzimy charakter. Trzeci konkurs przyniósł rozmaite pomysły na półki. Rezultat i tego konkursu można uważać za świetny, wykazał bowiem, że zastosowanie praktyczne każdego ornamentu ludowego, czy jest nim zakopiański, krakowski czy kujawski, będzie zawsze wdzięcznym tematem dla naszych artystów, pięknym i pełnym świeżości. Wprawdzie, czego nie można pominąć milczeniem, sąd konkursowy wynagrodził pomysł p. Tichego, który właśnie najmniej mieści w sobie pierwiastku ludowego, zaś projekt z doskonałem rozwinięciem motywów kujawskich zdobył tylko pierwsze wyróżnienie. Motywu kujawskiego użył też p. Kazimierz Brzozowski niezwykle szczęśliwie przy pomyśle kotary (kat. 204). Drugie wyróżnienie przy konkursie na półki zdobyły misterne półeczki w stylu zakopiańskim. Dalsze konkursa obejmują *ex libris*, t. j. karteczki ozdobne dla oznaczenia właściciela książki lub biblioteki, którą wlepia się na wewnętrznej stronie okładki; dalej rozpisało Towarzystwo konkurs na umeblowanie pokoju, a następnie pójdą konkursa na inne przedmioty użytku powszechnego, z tym samym zawsze celem uszlachetnienia kształtu i użycia tematu zdobniczego, zaczerpniętego ze skarbnicy ludowej.

Zachodzi teraz kwestya, czy Towarzystwo, doprowadziwszy rzecz aż do udałego projektu, choćby nawet wykonanego wzoru, spełniło już wszystko, co spełnić mogło, czy zadanie jego na tem się kończy. Byłoby to idealizmem czysto polskim, gdyby Towarzystwo kończyło sprawę połowicznie i na tem sprawę załatwiało, sądząc, że zbudzenie myśli bez wprowadzenia jej w czyn wystarczy w naszem społeczeństwie tak mało przedsiębiorczem i ospałem w praktycznem życiu. Te wszystkie perły fantazyi tak szczerze polskiej, które artyści nasi jak

skrzętne pszczoły znoszą do ula konkursowego, zaiste szkoda niezmierna, by zmarniały. To nie dosyć, że Towarzystwo powiada, że pragnie pośredniczyć między projektodawcą z jego prawem autorskiem a publicznością, zostawiając tej publiczności dalszą troskę o wykonanie. W innem jak nasze biedne społeczeństwo projekty tak piękne i oryginalne rozebraliby natychmiast przedsiębiorcy: litografowie czy stolarze, złotnicy czy tkacze lub introligatorowie i paktowaliby z artystami o ich prawa, a publiczność z prawem autorskiem nie miałaby już nic do czynienia. U nas inaczej — a że inaczej, zatem inną drogą iść winniśmy. Na cóż więc jeszcze zwalać na nasze nieporadne jednostki ciężar paktowania z autorami, to znaczy uśmiercić i unicestwić najpiękniejsze porywy w samym zarodku. Towarzystwo, jeżeli jest zwolennikiem czynu, musi pójść dalej, musi utworzyć w swem łonie sekcyę techniczno-handlową, złożoną już nie z ludzi pióra i pędzla, ale przedewszystkiem z fachowych praktyków. Sekcya mogłaby mieć na oku li tylko wprowadzenie w życie projektów. Towarzystwo musi przeto samo podjąć rolę pośrednika między artystą, warsztatem i publicznością, musi tego rzemieślnika, który podejmie się roboty, z góry ugodzić, pouczyć i robotę jego nadzorować, rabat, jaki przynależy artyście, umówić, jednem słowem, zawrzeć z nim kontrakt i od razu powiedzieć naszej publiczności polskiej, że sprzęt taki a taki jest do nabycia u tego a tego rzemieślnika za taką a taką cenę. Towarzystwo, jeżeli ma odegrać wielką rolę w rozwoju idei narodowej, nie może nigdy zapominać, że społeczeństwo nasze jest biedne, że musi liczyć się z groszem i z góry chce wiedzieć, co kosztuje sprzęt, który mu się podoba. Pod tym względem panuje ogólna ignorancya i niezrozumienie interesu dość przejść salę wystawy, gdzie w dziale II-gim współczesnej wytwórczości przy żadnym projekcie, a tylko przy sprzętach gotowych i to wyjątkowo znalazłem na bardzo drobnej ilości przedmiotach podaną cenę ich kosztu.

Zarzuci mi ktoś, że celem wystawy jest okazanie bogactwa naszej wytwórczości, a nie ich sprzedaż, jak to było na wystawie gwiazdkowej w budynku pogimnazyalnym nowodworskim, która cieszyła się tak niezwykłem tej zimy powodzeniem. Otóż powtórzę tutaj znów, co poprzednio powiedziałem, że udowodnienie i okazanie istotnej naszej siły twórczej nie może być wystarczającym samym dla siebie celem, jest ono stanowczo środkiem do celu, którym jest wedle postanowień statutu Towarzystwa wprowadzenie tej nowej dźwigni twórczej do przemysłu w celu spolszczenia naszych niemieckich urządzeń domowych.

Jak te urządzenia mogą być piękne, praktyczne, a polskie, wykazuje wystawa. Na ich czoło stawić należy naturalnie pomysł urządzenia jadalni, oryginalny i piękny, dla genialnego pisarza Sienkiewicza do dworu w Oblęgorku. Twórca, Stanisław Witkiewicz, nadał jej wygląd jakby renesansu góralskiego, pełnego miary, harmonii i wdzięku. Do jadalni również w stylu zakopiańskim dali pomysły Kazimierz Brzozowski, Wojciech Brzega. Sypialnię, po krakowsku urządzoną, projektują Włodzimierz Tetmajer i Antoni Procajłowicz, zaś K. Tichy oryginalne, kształtne, choć mniej swojskie urządzenie pokoju dziecinnego. A dalej idą pomysły w odcieniach stylowych zakopiańskim, krakowskim, kujawskim umeblowania, krzesła, stoły, biurka, kredensy, półki, skrzynie, szkatułki, ramy, makaty, kilimy, dywany, koronki, ekrany, lampy, dzbanki i rogi myśliwskie, szachy, okładki na książki, biżuterye, drobiazgi na etażerkę i t. p. różnorodne sprzęty i sprzęciki. Są tutaj wreszcie koliby zakopiańskie, domy, dworce, pawilony drewniane, kaplice z ich urządzeniem, a po raz pierwszy wielce ciekawe projekty murowanych budynków, gdzie motywy sztuki ludowej stwarzają nowy typ architektury polskiej, murowanej, pomysłu p. Franciszka Mączyńskiego. Jest to znakomity krok naprzód, bodaj uwieńczony jak najświetniejszym sukcesem w praktyce.

Nie mogę roztrząsać wartości artystycznej każdego z osobna przedmiotu, przecież nie uchodzi, aby nie poświęcić im kilku uwag ogólniejszej natury. Jako *conditio sine qua non*, żądać musimy od kompozycyi artystycznej, w myśl celów wytkniętych przez Towarzystwo, aby pomysł twórcy oparł się o temat sztuki ludowej, był jego uszlachetnieniem i rozwinięciem, a następnie, żeby przedmiot projektowany posiadał warunki użyteczności, wygody, a wykonanie jego nie przedstawiało znaczniejszych trudności. Najwięcej może pod tymi względami czynią zadosyć wymaganiom powyższym rzucone na papier myśli artystyczne St. Witkiewicza, choć i one niezawsze dopełniają warunków stylowych, bo i doskonałemu artyście zdarzają się chwile, że tworzy rzeczy mniej wartościowe, jak wzór kielicha, chybiony pod względem proporcyi i użytych ornamentów, jak ołtarze zakopiańskie, niedostrojone do jednolitości stylowej i t. p. Co atoli nie przeszkadza, że ten sam Witkiewicz w szczęśliwszej chwili tworzenia daje wprost świetne pomysły rogów myśliwskich, w których niezrównanie wnika w istotę tego samego materyału, z jakiego sporządzone okucie z szlachetnego kruszcu i tworzy rzeczy prześliczne. Każdy artysta ma swoje chwile szczęśliwsze, kiedy z najgłębszych tajników duszy wydobywa arcydzieła

formy, ma i mniej szczęśliwe, gdy wysiłek i napięcie woli nie idzie w parze z natchnieniem. Błędy zresztą popełniają nie tylko jednostki, ale i korporacye, bo ludźmi jesteśmy. Towarzystwo sztuki stosowanej polskiej, mimo że się obwarowało paragrafami statutów, mimo że członek wydziału, p. Edward Trojanowski, w felietonie *Czasu* pisze, że „chcą się oderwać od sztuki zachodniej i uniknąć jej wpływów", gdy przychodzi sądzić projekty, dają się natychmiast porwać właśnie nurtom zachodniej sztuki i niemal jednomyślnie zdradzają swój sztandar, głosując za pięknym projektem p. Tichego, skomponowanym w duchu najnowszych prądów zachodniej secesyi. Otóż dla pięknej formy, nowości i powabnego, dla oka wdzięcznego zestawienia koloru niebieskiego, ożywionego błyszczącym złotym zygzakiem i błyskotliwych złotych gałązek, dalibóg że nie kujawskich, jak mówią na swoje usprawiedliwienie, opuszczają podstawę swej działalności. Pragniemy uszlachetnienia form chłopskiej sztuki, ale przestrzeganie go w projektach artystów niezawsze bywa przeprowadzonem konsekwentnie, dość spojrzeć na malowane skrzynki (kat. 201) przez współczesnych artystów, aby zaniemieć ze zdziwienia, skoro się widzi zamiast uszlachetnienia wprost przeciwne zgubienie form zdobniczych, wziętych ze wzorów chłopskich.

Prawie wierzyć się temu nie chce, że artysta, który poświęcił lata nauce i sztuce, uważa wreszcie wzory malowane przez chłopów za zbyt szlachetne i pogrubia je dowolnie, zatracając ich charakter. To wypaczenie pojęć nie może mieć najmniejszego związku z postępem artystycznego przemysłu. Użycie materyału niezawsze idzie też w parze z motywem i stąd tworzą się dysonanse. Przepyszny jest dywan, wykonany sposobem aplikacyi sukiennej przez p. Bronisławę Rychter-Janowską, bo do przedstawienia zimowego widoku z puszystym śniegiem na dachu chaty, dla okiści na drzewach i innych efektów polskiej zimy wybornie nadawało się sukno. Natomiast pomysły innych dywanów nie liczą się z materyałem. Pomysł okładek książek, wzorowany według skórzanego pasa, p. Edwarda Trojanowskiego, chociaż jest pod względem zdobniczym bardzo trafnie wybranym motywem, to jednak technicznie jest niedostrojonym do dzisiejszych potrzeb, bo nabijane ostre gwoździki i klamry zrujnowałyby na półce książki sąsiadki. W wiekach ubiegłych, gdy książka spoczywała sama jedna jedyna na pulpicie lub stole, miałaby racyę bytu, dziś, gdy i w chacie wieśniaczej spotyka się biblioteczkę na półce, oprawa taka nie odpowiada już celowi, chyba jako oprawa mszału lub albumu. „Nie wszystko, co da się zrobić

w metalu, jest sympatyczne i nadaje się do skóry lub papieru. O ile więc starać się musimy, — mówi trafnie fejletonista *Czasu*, p. Trojanowski — o utrzymanie charakteru w całości, o tyle w zdobieniu przedmiotu powinniśmy uniknąć sposobów nieodpowiednich dla danego materyału". Pomysł artysty, p. Trojanowskiego, może łatwo pozbyć się owej wady, określonej przez fejletonistę, jeżeli sterczące metalowe ozdoby i barwne wyszycia zamieni na wyciski w skórze lub papierze i nada im ten sam efektowny barwny wygląd. Oprawa polska będzie wówczas, rzecz można, sporządzona stylem krakowskim, praktyczna i zadowolni gust choćby najwybredniejszy. Dobrze wybrane i zastosowane są np. dekoracye z krakowskich wysnute motywów, p. Antoniego Procajłowicza, jak afiszów, kart pocztowych, kalendarzy ściennych lub pięknych listew, malowanych z dyskretnem użyciem złoceń.

Przeniesienie pewnej zdobiny drzewnej na metal, mur, kamień i t. d. lub odwrotnie niezawsze bywa szczęśliwem, bo nie odpowiada przymiotom materyału, bo nie wynikł on z istoty jego, a więc sprzeczny z jego własnościami przyrodzonemi. Purytanizm w tym względzie byłby przesadą. Widzimy bowiem od najdawniejszych po dzisiejsze czasy, że pewna technika wywiera znaczny wpływ na drugą, dość przytoczyć wielki i ożywczy wpływ budownictwa drewnianego i snycerstwa na ornamenta architektoniczne kamienne w okresie gotyckim, czego wspaniały przykład daje nam *porta aurea* w Bibliotece Jagiellońskiej, a zdobnictwo ludowe na wystawie dostarcza nam przelicznych okazów, na których widzimy ślady i dowody wzajemnego oddziaływania technik rzeźbiarskiej, tkackiej, złotniczej, malarskiej lub hafciarskiej, zawsze one przecież liczą się z przeznaczeniem i naturą przedmiotu zdobionego. Przejęcie przez p. Fr. Mączyńskiego elementów zakopiańskiego stylu do architektonicznych projektów nie jest dla mnie zdrożnem, owszem uważam ideę za szczęśliwą. Tymczasem przeniesienie żywcem kształtu czerpaków drewnianych z wielką rączką czy uchem w srebro jest dlatego nielogiczne, bo projektodawcy stracili z oczu stosunek ciężaru gatunkowego między jednym a drugim materyałem. Czerpak drewniany nie jest wywrotnym, zaś metalowy, pomyślany jako filiżanka, tym samym zrobiony kształtem i w tych samych proporcyach, będzie kulawem, wywrotnem naczyniem, toż samo będzie z fajansowemi filiżankami. W projektach drewnianych czerpaczków już wymija Witkiewicz błąd popełniony w poprzednich, bo już liczy się z prawem ciężkości. Podobnie rzecz się ma z innymi wyrobami, np. z nożem; brzeszczot noża jest naturalnie ostry, bo przeznaczony do krajania, ale rękojeść jego

nie ma przeznaczenia kaleczenia ręki, więc nie powinna nosić na swej powierzchni ostro wystających zdobin. Między srebrami i biżuteryą naszych złotników są wyroby wszelkiej pochwały godne; pp. Czaplicki z Krakowa, Dedrzeński z Podgórza, Hempl z Warszawy i Piętka wystawili rzeczy wyśmienicie technicznie wykonane, oryginalne i piękne.

Dwa katalogi wystawy polskiej sztuki stosowanej objaśniają o jej treści. Katalog I Wystawy Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej, choć za przykładem afisza uporczywie kaleczy język w tytule, opracowany jest sumiennie przez p. Jerzego Warchałowskiego z Warszawy i ozdobiony ornamentami według oryginalnych wzorów sztuki ludowej, dzieli wystawę na dwie części, na I „Materyał ludowy“ i II „Usiłowania współczesne“. Dział III objęty został osobnym katalogiem, napisanym przez p. Emanuela Świeykowskiego i zawiera materyał historyczny, a więc „Zabytki dawnego polskiego przemysłu artystycznego“. Katalog, opracowany naukowo, daje wyśmienite objaśnienia historyczne tego działu, jest nabytkiem naukowym i pozostanie trwałą pamiątką po wystawie. Jeszcze na żadnej wystawie starożytności nie było zebranej tak licznej kollekcyi oryginalnych pasów polskich. Złożyły się na tę wytworną część wystawy najbogatszy zbiór pasów, jaki istnieje, własności marszałka kraj. Andrzeja hr. Potockiego, wzbogacony pasami pp. Ad. hr. Starzeńskiego, Adama Federowicza, Stan. i Zdzisława hr. Tarnowskich, pani M. Sadowskiej, Jana hr. Mycielskiego, Wł. Tetmajera, tudzież Muzeum narodowego. Dalej jest tu bogaty zbiór starodawnych pasów metalowych, guzów, klamer, łyżek polskich hr. Włodzimierzowej Dzieduszyckiej, następnie porcelana korecka, baranowiecka, fajanse ćmielowskie i szkła urzeckie.

Dział etnograficzny wystawy przedstawia wielką rozmaitość, jakkolwiek daleko mu do wyczerpania przedmiotu. Najpokaźniej przedstawia się przemysł artystyczny ludu krakowskiego, bodaj czy nie pierwszy raz w tak wybornych okazach przedstawiony. Zasługa w tem główna pp. Tetmajera, Udzieli i Warchałowskiego. Są tu rysunki lub okazy ze Śląska, Zakopanego, Sądeckiego, z okolic Ropczyc, Krosna, Łańcuta, Niska, z gub. Piotrowskiej, Lubelskiej, Radomskiej, Siedleckiej, z Kujaw, z Łowickiego, Kurpiów i Litwy. Widzimy na niej chaty polichromowane z ich obrazami, co cechowych przypominają malarzy, zagrody, śpichlerze, kościółki drewniane i kapliczki przydrożne, dalej ubiory ludowe z ich haftami i koronkami, magierki tynieckie, w które Kraków zaopatruje lud wiejski po Rzeszów i Częstochowę, sukmana z przed 100 lat, żupany kobiece granatowe, kabaty, jakby żywcem

skrojone podług szlacheckich XVII w., kaftany czerwone z kenckiego sukna, są dywaniki barwne i kilimy, materye spódnic choć berneńskiego wyrobu, to przecież wzorowane przez przysyłanych tutaj rysowników niemieckich, którzy, przybywszy do Krakowa i zasiadłszy przy ulicy Siennej, podpatrują gusta krakowskich kobiet, wiernie kopiując spódnice i fartuchy, które tyle w sobie mieszczą turecczyzny, oraz wschodnich reminiscencyi. Cały sprzęt ozdobny wiejski drewniany uderza bogatem zdobieniem, więc malowane łóżka, ławy i przedewszystkiem tyle głębokiego interesu przez swoją bogatą barwną ornamentacyę budzące skrzynie, sąsieki wyrzynane i góralskie półki, deseniem okryte łyżniki, parzenice, dzbany, oszczepki, nawet grabie i kijanki, niezwykłe starej formy, bo o romańską potrącają epokę czerpaki i solniczki, a potem gliniane dzbanki i garnki, malowane w ornament, dziwnie przypominający przedhistoryczne czasy.

Na zakończenie powiem nieco o bogatej treści ornamentalnej, która po raz pierwszy rzuca więcej światła na artystyczną twórczość ludową. Sprawa wymagałaby niezaprzeczenie obszerniejszej analizy i naukowej argumentacyi, nie miejsce tutaj po temu, ale godzi się wystąpić przeciw głoszonym błędnym pojęciom o sztuce ludowej choćby w słowach niewielu. Otóż jest zupełnie zrozumiałą rzeczą po tem, co powiedziałem, że zbiór okazów sztuki ludowej może i powinien posłużyć za „fundament przyszłej twórczości“ naszych polskich pomysłów, ale mylnem jest zapatrywanie, podzielane także przez członków Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej, że dla twórczości „siermięgowych artystów niema granic“. Przeciwnie granice te ścisłe, bardzo znamienne istnieją, a gdyby nie istniały, nie byłoby tych silnych charakterystyk, które je odznaczają, a identyfikują się z granicami odłamów szczepowych, są więc etnograficzne. Oryginalność i pomysłowość artystyczna, „tkwiąca w narodzie polskim, jego upodobanie koloru i linii“, są niewątpliwie tradycyjne, ale nie są odwieczne, nie czysto samotwórcze, w to nie uwierzy przedewszystkiem każdy, ktokolwiek pogłębia historyę sztuki i rozpatruje się w stylach i ornamentach wieków dawnych i innych ludów. Nie wytrzyma również krytyki ogólne twierdzenie p. Trojanowskiego, że chłop z większym krytycyzmem przyjmuje i stosuje się do mody, że wytwórczość ludu pod względem kompozycyi motywów zdobniczych jest daleko większa, aniżeli intelligencyi polskiej. Że krytycyzm chłopski nie jest idealnym, dowodem na to rubaszny najczęściej dobór barw krzykliwych ludu na skrzyniach lub ławach i obok znów harmonijnych i pełnych smaku w kolo-

rycie w okolicach Krakowa, dowodem choćby wystrzyganki papierowe, używane przez Łowiczan ku ozdobie stropu, gdzie obok wytwornych ornamentów jedzie banalny pociąg kolei żelaznej, obok tego rozsiada się orzeł państwowy rosyjski, rowerzysta pędzi na swojem kole, uganiają na koniach generałowie rosyjscy, a stara panna wodzi pieski na smyczy. Taki dobór motywów chyba nie świadczy o krytycyzmie, ale mówi najwyraźniej, że jak dawniej lud w kościele parafialnym odbierał swoje wrażenia artystyczne i powtarzał w domowych pieleszach wzory tam widziane, tak samo świat dzisiejszy z obecną kulturą, z którejkolwiek ona strony płynie, powoli składa swój osad na dnie ludowej twórczości. Krytycyzm jest do pewnego stopnia wrodzony, w jednym szczepie silniej zakorzeniony, niż w innym. Silniej objawia się u Podhalan, więcej odosobnionych i mniej wystawionych na ciągłe przemiany wpływów, słabiej u mieszkańców Mazowsza, bardziej narażonych na fluktuacye polityczne i ogranicza się na pewne odziedziczone formy. Motywy zdobnicze wzięte jako takie, same dla siebie, nie są wytworem ludowym, ale objawem zapożyczonym zawsze z wyższej kultury. Wykazanie ich pochodzenia należy do zadań historyka sztuki; jedne sięgają bardzo głębokich czasów wędrówek ludów, inne greckie przypominają wzory, są w nich gotyckie, są renesansowe, ale i barokowe i inne znajdą się reminiscencye, tak, iż można śmiało twierdzić, że niema stylu i epoki, któreby, przepływając falą wpływów przez ziemie polskie, nie wycisnęły znamiennego piętna na ludowej fantazyi. W całej więc tej ornamentyce ludowej ujawnia się wypadkowa wpływów kulturalnych przez całe wieki i na całe szeregi pokoleń. Byłoby z gruntu fałszywem, gdybyśmy twierdzili, że to wszystko, co chłopa otacza, jego zagroda, przyrządy, narzędzia, całe urządzenie domowe z wiejską na niem ozdobnością, jego ubiór i cały świat wierzeń, legend, pieśni i zwyczajów, że to wszystko, powtarzam, wysnuł chłop ze swej prostaczej duszy, że to są zdobycze jego wynalazczego ducha, są pomysłem bezliczebnego szeregu jego przodków. Nie, przewagę olbrzymią mają w nich pierwiastki przyniesionej skądinąd kultury, a tylko w mniejszej części jego twórczości dziełem, drogocenną perłą, której szukamy. Lud chłonie w siebie tylko te elementy ogólno-ludzkiej kultury, które najbardziej odpowiadają jego temperamentowi, które najwięcej harmonizują z jego usposobieniem, przemawiają najłacniej i najponętniej do do jego wyobraźni. Ten właściwy i indywidualny dobór elementów różnorodnych acz obcych stwarza typowość w zdobnictwie ludowem, jego odrębność i narodowy charakter, ściśle zależny od właściwości

rasy. Sztuka przeto zdobnicza, jeśli wynijdzie ze sztuki ludowej, nie będzie czemś wskróś oryginalnem, ale będzie w każdym razie wynikiem kultury polskiej, która wsiąkła w siebie wpływy kulturalne obce, zabarwione rasową właściwością pewnych upodobań wrodzonych i predylekcyi. Przecenianie wartości pierwiastku ludowego w sztuce, przypisywanie mu krytycyzmu niezwykłego i niebywałej subtelności odczucia form nie byłoby zgodne z prawdą, byłoby szkodliwem, boby oznaczało cofanie się wstecz, a nie parcie naprzód ku zdobyczom cywilizacyjnym, byłoby bizantynizmem, zasklepiającym się małostkowo w utartych, prostych i konserwatywnych formach życia ludowego, bez rachuby z tem, co życie niesie i myśl ogólno-ludzka. Równie szkodliwem byłoby nieliczenie się z wartością sztuki ludowej, bo pozbawiłoby nas możności stworzenia naszej własnej narodowej podstawy działania. Niewątpliwie nowy ruch zbliża nas do natury, tego Boskiego pierwowzoru wszelkiego piękna i natchnienia. Witkiewicz nawołuje artystów do studyowania flory karpackiej, do kwiatów skalnych, co rosną na stokach regli i wąwozów. Wyspiański wciela naszych łąk i pól kosaćce i róże polne w najoryginalniejsze swe pomysły. Większa doza subjektywizmu narodowego i porzucenie formuł niemieckiej czy angielskiej w sztuce zdobniczej może rozwinąć dar spostrzegawczy, ducha wynalazczego, obudzić pomysłowość twórczą i dozwolić w sztuce podpatrzeć nowe strony piękna, a z duszy owianej miłością narodu wyrośnie może przecudny i świeży kwiat sztuki polskiej.

Leonard Lepszy.

List do Redakcyi w sprawie „Legend".

Szanowna Redakcyo!

Z powodu zarzutów, podniesionych przeciw mojej firmie o druk „Legend" Niemojewskiego, proszę uprzejmie o miejsce dla kilku słów wyjaśnienia.

Drukarz, pośredniczący mechaniczną pracą pomiędzy autorem a czytelnikiem, nie jest powołany ani upoważniony do wykonywania cenzury na rękopisach, powierzonych mu do druku. Na takie pojęcie pośrednictwa nie zgodziłby się żaden autor na świecie, ani w roli autora, żaden z tych, którzy drukarza współwinnym czynią za to, co drukuje.

Fizycznie zaś możliwość kontroli ścisłej w zakładzie wielkim, wysyłającym w świat corocznie dziesiątki tysięcy tomów, jest po prostu niewykonalną. Na to trzebaby utrzymywać osobne biuro cenzorów, którzyby rękopisy do druku oddawane trutynowali, a czy w tych wa-

runkach choć jeden autor zdecydowałby się powierzyć swój rękopis drukarni — o tem bardzo wątpię.

Ponieważ jednak prasowa ustawa austryacka na równi z autorem i nakładcą czyni za druk odpowiedzialnym drukarza, przeto cenzura taka, w formie, ze względu na słuszną drażliwość autorów, najdelikatniejszej, *de facto* istnieć musi. Ostrożność ta konieczna, bo podyktowana obawą odpowiedzialności karnej, odnosi się jednak przedewszystkiem do dzieł treści politycznej lub społecznej, ale prawie nigdy do utworów belletrystyki, bo te, z natury formy samej, zdają się potrzebę kontroli wykluczać. Przejrzenie zaś rękopisu jest naturalnie zupełnie powierzchowne.

Tak też stało się z „Legendami".

Rękopis, nieillustrowany, miałem w ręku i przerzuciłem kartki. Dokładnie przeczytałem tylko „Majlacha" i byłem tą opowieścią — przyznaję otwarcie — zbudowany. W nawale pracy na czytanie rękopisu dalej czasu nie miałem; odłożyłem czytanie na swobodną chwilę, skoro książka prasę opuści.

Dopiero burza, która się podniosła w dwa miesiące po wyjściu książki, zwróciła moją uwagę na „Legendy", które dotąd czekały swej kolei czytania.

Otóż łatwo jest teraz wydawać sądy czytelnikom, a również tym, którzy wcale książki w ręku nie mieli, skoro krytyka palcem im wskaże, gdzie i czego szukać mają. Ale zupełnie inaczej utwór belletrystyczny przegląda w rękopisie drukarz, nie szukający z wytkniętym zamiarem intencyi autora. A wszakże najbardziej potępiona z tych legend już przed dwoma laty wyszła w druku, a z tej czujnej naszej prasy nikt nawet uwagi na to nie zwrócił! A wszakże przez dwa miesiące książka była w handlu, a ja sam znam ludzi wykształconych i religijnych, co mieli ją w ręku i w dobrej wierze polecali ją dalej. I ci przejrzeli i przeczytali to i owo, ale bez zamiaru cenzurowania dzieła.

Jako drukarz, do krytyki „Legend" ani do roztrząsania zamiarów autora nie jestem powołany. Ale jako Polak i katolik, którego uczucia „Legendy" obrażają głęboko, żałować muszę szczerze, iż przez przeoczenie, choć nieświadomie, do rozpowszechnienia ich przyłożyłem rękę. A że przeoczenie takie było możliwem, to osądzić mogą tylko ci, co rzeczywiście „Legendy" czytali.

Racz przyjąć, Szanowna Redakcyo, wyrazy prawdziwego szacunku.

Wacław Anczyc.

Druk ukończono 26 marca 1902 r.

ZAWODOWA ORGANIZACYA ROLNIKÓW [1].

I.

Od pół wieku istnieje we Francyi instytucya, t. zw. *chambres consultatives,* organizacya, mająca na celu ochronę rolnictwa w każdym departamencie przy udziale prefekta. Nadto zaś od lat 17 istnieją we Francyi t. zw. syndykaty rolnicze, powołane do życia ustawą z 21 marca 1884. Trudnią się one, podobnie jak nasze kółka rolnicze, zakupywaniem środków nawozowych, nasion, maszyn, sprzedażą płodów rolniczych, rozszerzaniem wiadomości z zakresu rolnictwa, zakładaniem Towarzystw zaliczkowych, kas oszczędności, nadto spełniają zadanie moralne i społeczne poprawienia losu małego rolnika i robotnika i uświadomienia poczucia godności stanu. Syndykaty te połączyły się w związek. w dniu 3 marca 1886, mającym na celu popieranie założenia nowych syndykatów, objaśnianie o chwilowym popycie i podaży, udzielanie rad w kwestyach prawnych lub technicznych, ułatwianie syndykatom chemicznego rozbioru ziemi, nawozu i t. d. Syndykaty postawiły sobie za zadanie zbliżenie produkcyi z konsumcyą i uwolnienie w ten sposób Francyi od uciążliwego haraczu, płaconego dotąd handlowi pośredniemu. Ponieważ handel pośredni przy towarach codziennej konsumcyi podwyższa cenę towaru od 200 do 800 %, jak to niedawno badania naukowe we Francyi przeprowadzone wykazały, przeto można sobie wyo-

[1] „Pomoc dla rolników w Austryi“ napisał dr. Leopold Caro. Lwów 1895 Str. 97 i Jan Hupka: „Zawodowe stowarzyszenia rolnicze“. Kraków 1902.

brazić, jak doniosłą w skutkach jest działalność syndykatów agrarnych. Dowożą one do Paryża i sprzedają w halach targowych warzywa i owoce, zakładają targi na wina i rzeźnie, masło i ser wysyłają w pakunkach pocztowych odbiorcom, a nawet podejmują się dostaw dla armii.

We Włoszech, Belgii, w Szwajcaryi świetny rozwój syndykatów, tudzież istniejące we Francyi stowarzyszenia i Izby rolnicze obudziły żywe zainteresowanie i naśladownictwo. W Niemczech od lat 12 na porządku dziennym dyskusyi naukowej stanęła kwestya zaprowadzenia związków rolniczych i przemysłowych. Baron Broich, twórca ruchu, zmierzającego do zakładania towarzystw zarobkowych w duchu chrześcijańskiej reformy socyalnej, w dziele p. t. *Socialreform und Genossenschaftswesen* twierdzi, że jedynym środkiem na wzmagające się obdłużenie własności ziemskiej jest zawodowa organizacya rolników i myśl tę obszernie w dziele tem rozwija.

Na tem samem stanowisku stoi Gustaw Tuch, autor dzieła: *Der erweiterte deutsche Militärstaat in seiner socialen Bedeutung* — i słusznie podnosi, że gdyby związek rolniczy był dobrowolny, nie obejmowałby tych właśnie, którzy, czując, że sami sobie dadzą radę, nie zechcieliby do niego przystąpić, a wskutek tego uboższym wcale nie ułatwiałby ciężkiej walki o byt. Ogół zadań agrarnych spełnić może, zdaniem Tucha, jedynie związek przymusowy, za którym również oświadczył się tajny radca rządowy v. Selchow-Rudnick w referacie „o kolonizacyi wewnętrznej i sprawie robotników rolnych“, umieszczonym w dziele barona Broicha.

W praktyce wyzyskowi ze strony handlu pośredniego przeciwdziałał w Niemczech główny związek rolniczy *(landwirtsch. Genossenschaft)*, założony w dniu 18 stycznia 1891. Związkowi temu chodziło o uczynienie zbędnymi pośredników w handlu wszelkimi płodami rolniczymi, zbożem, bydłem, nierogacizną, a to w drodze zakładania towarzystw okręgowych, któreby wysyłały w większych ilościach płody rolnicze ze stacyi kolejowej do Berlina, gdzie związek główny podejmuje się komisowej ich sprzedaży. Nadto opiekuje się interesami rolniczymi w Prusiech

t. zw. *Landesökonomiekollegium*, a w całych Niemczech rada rolnicza, *Deutscher Landwirtschaftsrath*, wreszcie zaś w r. 1894 utworzono w Prusiech Izby rolnicze, *Landwirtschaftskammern*. Izby rolnicze znajdują się w każdej prowincyi, a zadaniem ich jest przestrzeganie ogółu interesów gospodarstwa rolnego i leśnego, w szczególności mają Izby rolnicze nie tylko wypowiadać na żądanie poglądy swoje na projekta ustawodawcze i administracyjne, które odnosić się mają do ogólnych interesów gospodarstwa rolnego, lecz zarazem winny brać czynny udział we wszystkich przedsięwzięciach, odnoszących się do organizacyi kredytu rolniczego.

Ponadto popierać mają przez stosowne urządzenia techniczny postęp rolnictwa. W tym celu mogą objąć zakłady jako też zobowiązania i cały majątek istniejących towarzystw rolniczych, albo też towarzystwa takie wspierać w pełnieniu ich zadań. Mogą również brać czynny udział w zarządzie giełdy zbożowej i w układaniu cennika giełdowego i targowego. Statut Izby rolniczej oznacza minimalną sumę dochodu katastralnego, upoważniającą do udziału w wyborach, liczbę członków i rozdział na okręgi wyborcze. Czynne prawo wyboru do Izby rolniczej posiadają na obszarach dworskich właściciele gruntu, w gminach miejskich i wiejskich ci właściciele i dzierżawcy gruntów poddanych kulturze rolnej lub leśnej, których własność i dzierżawa w danej gminie zajmuje obszar, wymagający utrzymania inwentarza pociągowego, potrzebnego do gospodarstwa, a gdy grunt oddany jest wyłącznie kulturze leśnej, ci, których dochód czysty przyjęty za podstawę wymiaru podatku gruntowego, wynosi przynajmniej sumę 150 marek rocznie. Prawo biernego wyboru na członków Izby przysługa oprócz osób wyżej wymienionych nadto dzierżawcom dóbr, tworzących samoistne obszary dworskie, osobom zamieszkałym w okręgu Izby, które posiadały dawniej w granicach okręgu wszystkie warunki czynnego lub biernego prawa wyboru, wreszcie osobom zamieszkałym w okręgu Izby, a uprawiającym jeden z tych zawodów, z których wykonywaniem statut łączy prawo biernego wyboru. Do ostatniej kategoryi należą więc weterynarze, oficyaliści prywatni, nauczyciele agro-

nomii. W każdym razie przyjęto za zasadę, że członkowie izby muszą mieć w jej okręgu posiadłość ziemską lub przynajmniej miejsce zamieszkania, aby przystęp do izby mieli tylko tacy członkowie, którzy z blizka i ciągle patrzą na stosunki danego okręgu. Okres wyborczy dla członków Izby rolniczej trwa z reguły lat 6. Co 3 lata atoli wybiera Izba ze swego łona zarząd, złożony znowu z 5 członków i tyluż zastępców, którzy z pomiędzy siebie wybierają dwóch przewodniczących. Koszta połączone z prowadzeniem całego toku czynności rozdziela Izba rolnicza na swoich członków i do wysokości 1% czystego dochodu katastralnego może samodzielnie ustalać wysokość wkładek. Wyższe wkładki pobierać może Izba jedynie za zezwoleniem ministra rolnictwa. Obowiązek uiszczania wkładek na rzecz Izby rolniczej stoi na równi z daninami publicznemi. Nadto zakładać mogą Izby rolnicze filie *(Unterverbände)*, urządzone na wzór Izb rolniczych i mogące pobierać na pokrycie kosztów swych czynności najwyżej $^1/_2$% czystego dochodu katastralnego bez zezwolenia ministerstwa.

W motywach do przedłożenia rząd. powiada pruski minister rolnictwa słusznie, że Towarzystwa rolnicze nie mogą być powołane do należytej reprezentacyi stanu rolniczego, ponieważ obejmują zaledwie małą część ludności rolniczej, a skutkiem tego nie rozporządzają w dostatecznej mierze własnymi funduszami, potrzebnymi do skutecznej inicyatywy w kierunku tworzenia organizacyi, nadto zaś zależą od subwencyi państwa. Na razie jest tak, że mniejszość poświęca swój czas, pracę i siły na rzecz niedbającego o wspólny interes ogółu. Jest rzeczą słuszną, aby wszyscy rolnicy przyczyniali się do kosztów urządzeń publicznego użytku, jeżeli już ich do wspólnej pracy zniewolić nie można. Nadto położenie rolnictwa całego jest nad wyraz smutne, swoboda dzielenia i sprzedaży gruntów wytworzyła najsmutniejsze następstwa i spowodowała taki wzrost obdłużenia, które przy stałem zmniejszaniu się dochodów z roli przybrać może z czasem wszystkie cechy klęski narodowej.

Własność ziemską w Prusiech, przynoszącą czystego dochodu katastralnego około 409 milionów marek rocznie, obciąża

rocznie $10\,^1/_2$ do $11\,^1/_2$ miliardów marek długów hipotecznych. W jedenastu latach od roku 1882 — 1893 urosły one o $1\,^1/_2$ miliarda, zatem o $3\,^1/_2$ razy wziętą sumę czystego dochodu katastralnego. Obciążenie to jest tem dotkliwsze, że występuje przeważnie i głównie w formie hipoteki wypowiedzialnej, lubo ziemia jest z natury rzeczy tylko źródłem renty i zgodnie z tem dopuszcza obciążenia jedynie w formie renty amortyzacyjnej bez prawa wypowiedzenia.

Rząd pruski zamierzył więc stworzyć w Izbach rolniczych organizacyę, któraby przygotowała i wprawiła w ruch środki ustawodawcze i administracyjne, zmierzające do polepszenia kredytu i zaradzenia złemu, wynikającemu z nadmiernego obdłużenia i to w formie wręcz niewłaściwej. Słusznie więc uważa się Izby rolnicze za pierwszy i konieczny krok na drodze, wiodącej do wskazanego celu.

II.

W Austryi od dawna już myślano o czemś podobnem. Mowa tronowa z 11 kwietnia 1891 zapowiada przedłożenie, mające na celu utworzenie zawodowej organizacyi rolników, a znakomity twórca pierwszego przedłożenia rządowego, były minister hr. Falkenhayn dnia 11 lipca 1891 wypowiedział w Izbie poselskiej mowę, w której w ogólnych zarysach myśl swoją przedstawił. Według jego zapatrywania, w każdym powiecie miał się utworzyć związek powiatowy, a w każdym kraju związek krajowy. Związki te miały postawić sobie za zadanie obudzenie i podniesienie poczucia świadomości własnej, tudzież popieranie tego wszystkiego, co dla zawodu rolniczego może być korzystnem. Związek powiatowy ogarnąć miał wszystkie sprawy agrarne, począwszy od spraw kredytowych, urządzać miejsca zbytu dla wszystkich płodów rolniczych, tudzież przedmiotów zapotrzebowania rolniczego, jako to dla nawozu, maszyn rolniczych i t. d., pielęgnować ubezpieczenia, zająć się pośrednictwem pracy, dostarczaniem służby rolniczej i leśnej, słowem, ująć i przeprowadzać wszystko, co rolnika obchodzi i dotyczy jego dobra.

Pierwszy projekt rządowy, przedłożony w jesiennej sesyi

roku 1893 przyoblekł myśl hr. Falkenhayn w kształty ustawy. Według tego projektu celem utworzenia związków jest polepszenie bytu materyalnego i dźwignięcie moralności w sferach rolniczych. Osiągnięcie tego celu nastąpić ma zapomocą tworzenia domów składowych i magazynów dla płodów surowych swych członków, sprzedawania dostarczanych płodów na rachunek i zlecenie tychże członków, zakupywania przedmiotów popytu rolniczego również na ich rachunek i zlecenie, zakładania kas Raiffeisenowskich, pośredniczenia w wyrabianiu członkom długoterminowego kredytu hipotecznego, tworzenia szpitali i domów przytułku, wyszukiwania pracy podupadłym członkom, starania się o kontrolę handlu nasionami, pośredniczenia w zawieraniu kontraktów ubezpieczenia od ognia i gradu, tudzież ubezpieczenia bydła, zakładania i popierania hodowli bydła i t. d.

Widzimy więc, że związki powiatowe spełniać miały według projektu hr. Falkenhayna jeszcze o wiele rozleglejsze zadania niżeli te, jakich podejmowały się syndykaty rolnicze we Francyi. Szczególnie doniosłe znaczenie miała ta sprzedaż hurtowna płodów, dostarczanych przez członków i myśl wzniesienia magazynów składowych. Płody te, dotąd odcięte od wielkiego handlu, o cenach zależnych od przypadku lub samowoli pośredników, miały spływać olbrzymiemi strumieniami na wielkie targi i skorzystać tym sposobem z wszystkich przywilejów służących dotąd wyłącznie handlowi pośredniemu.

Na pokrycie pierwszych wydatków, połączonych z założeniem związków powiatowych i krajowych składać mieli członkowie jednorazowe datki, wysokości nie przekraczającej 1% opłacanego przez nich w danym powiecie państwowego podatku gruntowego. Ponadto wkładki roczne na rzecz związków powiatowych miały nie być wyższe niż 4%, a na rzecz związku krajowego nie przewyższyć 1% państwowego podatku gruntowego, przez nich w powiecie opłacanego, a pobór wkładek następować miał w formie dodatków do gruntowego podatku państwowego za pośrednictwem gmin.

Wysokość tego projektowanego dodatku do podatku miała więc być minimalną i nie zachodziła żadna obawa, ażeby dla ko-

gokolwiek wkładki te mogły się stać uciążliwemi. Podatek gruntowy w Galicyi przyniósł w r. 1893 4 937 479 złr. Gdyby nawet w każdym powiecie sądowym — a było ich wówczas 180 — pobierano od każdego członka, t. j. rolnika samoistnego 1% na rzecz związku krajowego, a 4% na rzecz związku powiatowego, to mając na uwadze, że rolników samoistnych było wówczas 619 561 na obszarze Galicyi 78496·84 □ km, wypadałoby przeciętnie na każdego członka 8 ct. i 32 ct., razem 40 ct. rocznie.

Projekt hr. Falkenhayna spotkał się w naszym kraju z dwoma poważnymi zarzutami. Naprzód z tym, że jest centralistyczny, sprawę bowiem kultury kraj. wyłącza z pod kompetencyi Sejmu a załatwia w Izbie poselskiej, mimo że sprawy kultury kraj. należą wedle statutu krajowego do sejmu; powtóre zaś, że związkowi publicznemu, utrzymywanemu z danin publicznych każe przedsiębrać szereg interesów nie pozbawionych ryzyka, jak np. zakupno lub sprzedaż towarów na wspólny rachunek, dostawę dla wojska i t. p., podczas gdy z istoty związków publicznych wynika, że takie interesy winny być ze zadań związku wyłączone i pozostawione inicyatywie prywatnej.

Towarzystwo rolnicze krakowskie, które już w d. 5 czerwca 1878 r. na wniosek ś. p. Józefa Badeniego oświadczyło się za wprowadzeniem w życie Izby rolniczej dla zachodniej Galicyi powzięło w dniu 12 kwietnia 1894 r. na wniosek prof. d-ra Leo następującą uchwałę: 1) Trwając przy zasadach wypowiedzianych kilkakrotnemi uchwałami swemi, wyraża ogólne zgromadzenie krakowskiego Towarzystwa rolniczego przekonanie, iż celem zapewnienia skuteczniejszej i silniejszej reprezentacyi interesów rolnictwa, zachodzi nieodzowna potrzeba stworzenia w kraju naszym obowiązkowej organizacyi stanu rolniczego za pomocą odpowiednich instytucyi. 2) Organizacyę tę przeprowadzić należy w drodze ustawodawstwa krajowego, by uwzględniała rzeczywiste stosunki i potrzeby naszego kraju, mianowicie też zapewniała nowym tym instytucyom trwałe warunki żywotności i skutecznego w swym zakresie działania. 3) Spełnianie zadań ściśle ekonomicznych, o ileby niemi nie pokierowały rzeczone instytucye, bądź pośrednio, bądź za pomocą swych od-

działów okręgowych, przypaść powinno specyalnym stowarzyszeniom dobrowolnym, zakładanym w miarę możności i potrzeby z inicyatywy i pod opieką wspomnianych instytucyi rolniczych. 4) Zgromadzenie poleca komitetowi, by na zwołać się mającej przez wydział krajowy ankiecie w tej sprawie dążył do osiągnięcia porozumienia z delegatami galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego i w tym celu przeprowadził z komitetem tamtejszym rokowania. W r. 1901 wreszcie wypracował dr. Jan Hupka z polecenia komitetu Towarzystwa rolniczego projekt ustawy o Izbie rolniczej w Krakowie, mało co się różniący od projektu ś. p. Józefa Badeniego, uzasadniając go w stosunku do obecnej dobrowolnej asocyacyi 1) pewnością istnienia i możnością rozwinięcia konsekwentnej, na szereg lat obliczonej akcyi, 2) niezaprzeczonem prawem do reprezentacyi stanu rolniczego, 3) wyższym stopniem odpowiedzialności i poczucia obowiązku tych, którzy z wyboru całego stanu rolniczego wyszli, wreszcie 4) pewnością i stałością środków pieniężnych, potrzebnych do rozwinięcia dodatniej działalności. Tymczasem państwowa rada rolnicza oświadczyła się za ponownem przedłożeniem ustawy o zawodowej organizacyi rolników, co uchwalenie Izb rolniczych uczyniło zbytecznem.

III.

Projekt hr. Falkenhayna, jak wiadomo, nie przyszedł do skutku. Od tego czasu rząd ponawiał przedłożenie swoje 6 razy, dopiero jednak, gdy zastosował się do życzeń kół interesowanych i odpowiednio zmodyfikował swój projekt, uzyskał uchwałę Izby poselskiej i Izby panów, zatwierdzającą z pewnemi zmianami projekt rządowy. Nowa ustawa różni się zasadniczo od poprzednich. W odróżnieniu bowiem od pierwotnego projektu określa tylko ogólne ramy, wykonanie ustawy pozostawia sejmom, nadto zaś wyłącza z zakresu zadań związków zawodowych wszelkie interesy spekulacyjne. Według § 2 ustawy niedawno uchwalonej celem związków jest poprawa moralnych i materyalnych stosunków rolnictwa przez krzewienie ducha wspólności, wzajemne pouczanie i wzajemną pomoc przez podtrzymywanie i podno-

szenie samowiedzy stanu, wreszcie przez zastępowanie zawodowych interesów stowarzyszonych na zewnątrz i popieranie ich interesów gospodarczych.

Związki powiatowe i krajowe mają w tym celu prawo wypowiadania opinii i wniosków we wszystkich sprawach zawodowych i rolniczych zarówno na wezwanie władz, jak i z własnej inicyatywy, a związki krajowe mają nadto prawo zażądania wszelkich wyjaśnień, udzielania aktów i t. d. od wszelkich władz państwowych i gminnych, towarzystw zaliczkowych i gospodarczych, kolei, zakładów ubezpieczeń, oraz poszczególnych rolników w sprawach, należących do zakresu ich działania[1]. A zakres ten jest bardzo rozległy. Należy tu: pośrednictwo w sprzedaży płodów rolniczych, dostarczanych Stowarzyszeniu przez członków związku, pośrednictwo w zakupnie artykułów potrzebnych członkom w ich zawodzie, zachęcanie do zakładania lub popierania stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, rzeźni, piekarni i innych przedsiębiorstw, mających na celu przerabianie i spieniężanie produktów rolniczych, dalej zachęcanie do zakładania i popierania stowarzyszeń, zmierzających do pielęgnowania rolnictwa i leśnictwa, oraz kas Raiffeisenowskich, pośrednictwo w konwersyi pożyczek wysoko oprocentowanych na niżej oprocentowane i wypowiedzialnych na niewypowiedzialne, współudział przy organizacyi giełdy i targów zbożowych w ich zarządzie i normowaniu cen, dalej zachęcanie do zakładania i popierania towarzystw wszelkiego rodzaju, mających za zadanie opiekę nad rolnictwem lub leśnictwem lub wogóle poprawę materyalnych stosunków gospodarstwa rolnego lub właścicieli lasów, starania o przeprowadzenie kontroli nasion, pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy, popieranie nauki rolniczej, urządzanie odczytów i zgromadzeń celem podniesienia wiedzy rolniczej, uprawianie statystyki rolniczej, zachęcanie do komasacyi i popieranie wszelkich melioracyi, drenów, nawodnień i t. d., pośrednictwo w dostarczaniu pomocy prawnej członkom, wreszcie tworzenie Sądu roz-

[1] W razie nieudzielenia odpowiedzi lub żądanych wyjaśnień ustawa nie stanowi żadnej sankcyi karnej. Lukę tę wypełnić ma, zdaniem szefa sekcyi Becka, ustawa krajowa.

jemczego dla sporów między członkami lub między członkami a ich służbą wynikłych.

Rząd chciał, aby związki mogły same zakładać poszczególne Towarzystwa, trudnić się zakupnem lub sprzedażą towarów na rachunek i zlecenie członków; natomiast Izba poselska uchwaliła wyraźnie, że związki trudnić się mogą jedynie pośrednictwem w tych interesach, mogą popierać i zachęcać, ale pieniędzy na to same dawać nie mają prawa, a nawet nie wolno im przez zakupywanie udziałów lub jakąkolwiek porękę finansową przyczyniać się do powstania lub rozwoju takich towarzystw. Chodziło o wykluczenie wszelkiego ryzyka, zapobieżenie możliwej nieuczciwości i położenie głównego nacisku na charakter reprezentacyjny związków.

Związki powiatowe mogą powstawać w każdym powiecie sądowym, a związek krajowy w każdym kraju koronnym, a mogą też tworzyć się związki krajowe tylko dla niektórych części kraju, a związki powiatowe mogą obejmować dwa lub więcej powiatów sądowych.

Członkami powiatowych, a względnie także i gminnych związków rolniczych, bo i utworzenie gminnych lub parafialnych związków jest dopuszczalne, są z reguły właściciele lub użytkowcy posiadłości, położonych w odnośnym powiecie, względnie w odnośnej gminie, nie wpisanych do księgi kolejowej i nie przeznaczonych wyłącznie do przyjemności.

Będzie mogła ustawa krajowa oznaczyć pewne *minimum* obszaru, poniżej którego rolnicy nie będą mogli należeć do związku, a również oznaczyć pewne *maximum*, powyżej którego właściciele będą mieli prawo utworzenia osobnych związków zawodowych rolniczych. Pierwotnie była myśl taka, aby właściciele lasów, oraz właściciele większych kompleksów gruntowych mogli być zupełnie wyłączeni od obowiązku należenia do związku i opłacania wkładek. Myśl ta jednak upadła i pozostało tylko postanowienie wyżej podane.

Większa własność może więc utworzyć na pewnym obszarze osobne stowarzyszenie rolników, a w takim razie należeliby jego członkowie do związku krajowego, mimo, że do związków po-

wiatowych nie należą. Właściciele gruntowi mogą przelać swoje prawa na dzierżawców.

Celem zachęty i rozszerzania związków zawodowych w poszczególnych gminach kraju mogą być ustanowieni mężowie zaufania, jako miejscowe organa związków powiatowych.

W związkach powiatowych i w związkach krajowych może być zastrzeżone prawo reprezentacyi na rzecz Towarzystw rolniczych, leśnych, spółek wodnych, towarzystw kółek rolniczych i t. p. Na członków Wydziału Towarzystwa wybrać wolno i takie osoby, które jako oficyaliści, urzędnicy towarzystw rolniczych, nauczyciele rolniczych zakładów naukowych, weterynarze lub w inny sposób przyczyniają się do rozwoju rolnictwa lub leśnictwa. Jak widzimy, to ostatnie postanowienie wzięte jest z ustawy pruskiej o Izbach rolniczych.

W związku krajowym zasiadać musi reprezentant ministerstwa rolnictwa i politycznej władzy krajowej, a sejm uchwalić może również reprezentacyę Wydziału krajowego, a w związkach powiatowych reprezentacyę Rady powiatowej. W razie istnienia Towarzystw gospodarczych lub rolniczych, jak np. w naszym kraju, ustawa krajowa może ułatwić przekształcenie tych Towarzystw na związki krajowe, ale może je też pozostawić nietkniętemi.

Uwolnione od należytości stemplowych będą potwierdzenia odbioru wkładek związkowych, oraz wpisy hipoteczne, prawa zastawu dla zabezpieczenia tychże, umowy zawierane przez związki zawodowe z innemi towarzystwami, statuty związkowe, oraz podania do władz w postępowaniu pozasądowem, dalej majątek ruchomy związków wolny będzie od ekwiwalentu należytościowego, a majątek nieruchomy podlegać będzie jedynie $1^1/_2$ owej należytości wraz z dodatkiem, nadto zaś zapewne korespondencya związków z członkami i między sobą uwolnioną będzie od porta pocztowego. Sposób wybrania zarządu oznaczy ustawa krajowa; być może, że sięgnie w tej mierze do pierwszego projektu hr. Falkenhayna, wedle którego zarząd wybrany być miał w trzech kuryach, odpowiadających kuryom istniejącym przy wyborach gminnych, z zastrzeżeniem głosu wirylnego w zarządzie

na rzecz właścicieli obszarów dworskich, ze związku gminnego wyłączonych.

Wreszcie wkładki członków.

Na pokrycie wydatków związkowych związki uprawnione będą do nakładania dodatków do państwowego podatku gruntowego. Aż do pewnej stopy procentowej, którą oznaczy ustawa krajowa, dodatki do podatków wolno będzie nakładać bez zezwolenia Wydziału krajowego i przełożonego związku. Przekroczenie tej stopy procentowej zależnem będzie od zezwolenia powyższych władz. Ustawa krajowa również oznaczy stopę procentową państwowego podatku gruntowego, której dodatki wogóle nie będą mogły przekroczyć. Wszystkie wkładki ściągane będą przez te same organa i tymi samymi środkami, co państwowy podatek gruntowy.

IV.

Z powyższego pobieżnego zarysu świeżo uchwalonej ustawy wynika:

1) że ustawodawstwu krajowemu pozostawiona jest szeroka autonomia;

2) że nowa ustawa nie tylko nie uchyla istniejących Towarzystw rolniczych i Towarzystwa Kółek rolniczych, ale owszem na związki zawodowe nakłada obowiązek gorliwego ich popierania;

3) że oprócz właściwych rolników do reprezentacyi Stowarzyszenia powołani być mogą wszyscy ludzie zajmujący się w jakikolwiek sposób rolnictwem lub losem rolnika, a bynajmniej nie rolnicy sami, w każdym atoli razie $^3/_4$ członków wydziału związków, tudzież prezes i jego zastępca muszą być uprawnionymi do wyboru członkami związku.

Wysokość wkładek uchwali sejm, a uchwali je prawdopodobnie w tej samej wysokości, jaką proponował pierwszy projekt rządowy, t. j. w wysokości 1% na rzecz związków krajowych, a 4% na rzecz związków powiatowych. Kwoty z tego tytułu opłacane będą więc minimalne i każdy chętnie będzie je mógł opłacać, jeżeli związki tylko rozwiną tę gorliwą i wszech-

stronną działalność, jaką im ustawa zakreśla. Na koszta urządzenia związków domagał się szereg posłów większej subwencyi rządowej — reprezentant rządu radca min. Ertl tłumaczył, że na koszta kancelaryjne może być potrzebną niewielka kwota, a i tę w krajach, posiadających radę kultury krajowej, ponosi fundusz krajowy.

Prawdopodobnie chałupnicy, posiadający zaledwie mały skrawek gruntu, wyłączeni będą z tej przymusowej organizacyi, a wyłączeni dlatego, że nie utrzymują się właściwie z rolnictwa i że rolnictwo jest dla nich tylko ubocznem zajęciem, głównem zaś rzemiosło lub służba. Jeżeli chodzi o związek rolniczy, to z natury rzeczy wynika, że do niego należeć mogą tylko te osobniki, które w rozwoju rolnictwa osobiście są interesowane. Granicę w tej mierze ustanowi sejm i zapewne ustanowi granicę ku dołowi bardzo daleko idącą, aby większej gromady niezorganizowanych nie zostawić luzem i nie obudzać niezadowolenia i upokorzenia socyalnego, a co za tem idzie, nie ułatwiać przystępu agitacyom socyalistycznym i radykalnym.

Czy i jaka granica będzie ustanowiona u góry, trudno przewidzieć. Czy mianowicie właściciele ziemscy powyż pewnego *maximum* będą chcieli należeć do związków razem z wszystkimi innymi, czy też będą woleli utworzyć osobny związek rolniczy, tudzież czy ustawodawstwo krajowe do takiego żądania się przychyli, trudno dziś przewidzieć. W każdym razie pewnem jest, że czescy więksi właściciele ziemscy wstąpią do związków powiatowych razem z włościanami i nie będą żądali dla siebie żadnych prerogatyw. Poseł dr Grabmayr słusznie zaznaczył w toku dyskusyi, że organizacya rolników bez wielkiej własności byłaby torsem, nadto zaś, że chodzi o przykład z góry i okazanie czynem solidarności bogatszych rolników z uboższymi. Jakkolwiek związki rolnicze trzymać się będą zdala od polityki, to jednak pod względem społecznym mogą bądź wpłynąć na dojrzenie i umiarkowanie opinii swych członków, bądź wtrącić ich w objęcia socyalizmu. Dlatego radykalny poseł Ofner, bojąc się cywilizacyjnego i dodatniego wpływu większej własności, przemawiał na temat rzekomej sprzeczności interesów większej i mniej-

szej własności i żądał, aby większa własność do związków nie należała. Jest to najlepszą wskazówką, jaką drogą wypada iść większej własności ziemskiej.

Nie należy również spuszczać z oka, że usunięcie się większych właścicieli ziemskich odebrałoby od razu podstawę finansową związkom zawodowym i zepchnęłoby ich usiłowania na drogą zupełnej niemocy i bezwładności. Skoro bowiem wkładki uiszczane będą w miarę podatku gruntowego, jasnem jest, że ubyłaby przez usunięcie się większej własności znaczna ilość wkładek, a przez to związek byłby mniej sposobny do wypełnienia różnorodnych swych zadań. Mylnem jest zdanie, jakoby związek powołany był do życia li w interesie mniejszej własności. Każdy większy właściciel, chociażby nie był rolnikiem z zawodu, ma interes w rozwoju rolnictwa, a im większą ma posiadłość, tem większy też ma interes w podniesieniu rentowności ziemi. W sprawie ceł zbożowych, ceł od bydła, podatków, taryf kolejowych interes wszystkich rolników jest identyczny. Jeżeli tworzenie spółek dla zakupna maszyn rolniczych lub zakupna większej ilości artykułów stowarzyszonym potrzebnych albo zakładanie kas Raiffeisenowskich wyjdzie w pierwszym rzędzie na korzyść mniejszej własności ziemskiej, to niewątpliwie sprzedaż rolniczych produktów, zakładanie towarzystw zarobkowych i gospodarczych, urządzanie spółkowych magazynów i śpichrzów [1], pośrednictwo w konwersyi pożyczek, wyszukiwanie i dostarczanie robotników, kontrola nasion, popieranie melioracyi i t. d. wyjdą w równej a może znaczniejszej mierze na korzyść większej własności.

Najważniejszą korzyścią związków zawodowych będzie organizacya stanu rolniczego. Podczas gdy kupcy, przemysłowcy, rzemieślnicy, lekarze, adwokaci, notaryusze mają przymusowe związki zawodowe, jedynie rolnicy nie mieli dotąd podobnej

[1] Istniejące dziś w Niższej Austryi domy składowe płacą o 40 h do 2 K więcej, niż cena giełdowa zboża w tymże dniu wynosi. Istnieje tam 19 domów składowych, obejmujących 1800 wagonów, obrót wynosił od października 1899 r. w ciągu dwóch lat 2985 wag. o wartości 24 432 000 K. (Por. mowa posła Steinera w dyskusyi nad niniejszą ustawą).

reprezentacyi, a przyznać trzeba, że jeżeli gdzie, to tu właśnie zachodzi potrzeba zwartej i silnej organizacyi. Nie tylko dlatego, że wywalczenie jakiejkolwiek korzyści dla jednostki a nawet dla dobrowolnej reprezentacyi jest rzeczą o wiele trudniejszą, nie tylko dlatego, że interesy rolnicze w naszym właśnie kraju pierwszorzędną mają dla całego społeczeństwa doniosłość, ale także i dlatego, że położenie naszego rolnictwa, a dodać wolno rolnictwa całej Europy środkowej jest obecnie wprost opłakane.

Wskutek konkurencyi Argentyny i Ameryki od czasów traktatów handlowych z roku 1890 eksport zboża spadł o 70%. Podczas kiedy w r. 1889 Austrya dostarczała jeszcze 26% pszenicy spotrzebowanej w Niemczech, 5 lat później dostarczała już tylko 2%, a w roku 1898 tylko 0·4%; natomiast Ameryka w tym samym czasie dostarczała 36% całego zapotrzebowania. W 1890 mąkę dostarczała prawie wyłącznie Austrya do Niemiec. W 10 lat później eksport mąki spadł z 96% do 25%. W tym samym czasie rzeczpospolita północno-amerykańska, której eksport jeszcze w r. 1890 wynosił ogółem tylko 78000 kwintali pszenicy, w r. 1896 wywoziła do samych Niemiec 34 000 000, a w r. 1900 eksport do Europy wynosił 16 miliardów kwintali. Eksport świń austryackich wynosił jeszcze w roku 1890 37·8% ogólnego zapotrzebowania Niemiec, w r. 1898 wynosił zaledwie 0·3%, natomiast dziś Niemcy z Rosyi wyłącznie sprowadzają świnie i wieprzowinę.

Jeżeli w przeciągu 10 lat tak ciężka klęska spotkać mogła rolnictwo austryackie, to nie najmniejszą winę w tem ponosi brak organizacyi. Obecna chwila, w której mają przyjść do skutku nowe traktaty handlowe z Niemcami, bardziej niżeli każda inna sposobną jest do tego, aby przez organizacyę stanu rolniczego dostarczyć rządowi silnego oparcia i informacyi w trudnych z rządem niemieckim pertraktacyach. Cały szereg błędów, popełnionych w r. 1890 przy zawieraniu traktatów handlowych, cały szereg krzywd, wyrządzonych wówczas rolnictwu austryackiemu, przypisać należy brakowi informacyi ze strony rządu.

Drugą ogólną europejską klęskę własności ziemskiej stanowi jej niesłychane obdłużenie i rozdrobnienie. Ziemia z na-

tury rzeczy nie może być traktowana na równi z kapitałem ruchomym. Pożyczka hipoteczna, jeżeli nie ma rujnować właściciela, musi być udzielona w formie niewypowiedzialnej. Dochód z ziemi przedstawia rentę i to rentę zmienną. Postanowienie więc, że instytucya finansowa lub wierzyciele prywatni mają prawo żądać w miarę okoliczności zapłacenia całego kapitału, to znaczy stawiać dłużnika w niemożności zapłaty, narazić go na ruinę. Obdłużenie własności ziemskiej wzrasta z dniem każdym, a jeżeli w całej Austryi wynosi ono 6 miliardów koron, rocznie zaś z tego tytułu opłaca się 300 milionów na procent i amortyzacyę kapitału, jak podaje poseł Povše, jeżeli poseł Grabmayer podaje, że w samym Tyrolu obciążenie hipoteczne urosło w 30 latach z 20 na 510 milionów koron i że procenty, opłacane w Tyrolu w kwocie 22·8 milionów koron, przenoszą 3-krotnie cały dochód katastralny 7·6 milionów koron — to stosunki odnośne są o wiele uciążliwsze i smutniejsze u nas w Galicyi, gdzie przymusowe sprzedaże nie tylko większej, ale i mniejszej własności są na porządku dziennym, gdzie obdłużenie wzrasta w o wiele szybszem tempie, aniżeli w innych krajach monarchii, a rozmaite spółki lichwiarskie, związki bankowe, banki komercyalne i zakłady hipoteczne, omotawszy właściciela gruntowego wysokiemi odsetkami i odsetkami zwłoki, doprowadzają do ruiny i wtrącają w przepaść. Dość powiedzieć, że obdłużenie hipoteczne wzrosło od r. 1868 do r. 1892 w Niższej Austryi o 63%, w Czechach o 66·7%, na Śląsku o 86·4%, a w Galicyi o 400%. Przeciętna wartość jednej realności sprzedanej w całej Austryi wynosiła w ostatnich latach 15-tu przy mniejszej własności 1234 złr., w Galicyi 253 złr., kwotę najmniejszą po Bukowinie, co dowodzi bardzo daleko posuniętego rozdrobnienia ziemi. Przeciętna wysokość reszty ceny kupna, pozostającej przy hipotece, wynosi w Galicyi najwięcej ze wszystkich krajów monarchii, bo 2381 złr., co dowodzi, że ludzie kupujący u nas ziemię nie posiadają dostatecznych funduszów. Kasy Raiffeisenowskie, konwersya długów hipotecznych wyżej oprocentowanych na niżej oprocentowane, wypowiedzialnych na niewypowiedzialne, organizacya spólnych przedsiębiorstw, mających na celu uczynienie

zbędnym handlu pośredniego, oto jedyny ratunek, bez którego rolnictwo nasze nader smutna czeka przyszłość.

Bez należytej organizacyi pośrednictwa pracy masowa emigracya pozbawia nas najlepszych sił; nie chodzi o sztuczne zatrzymanie ludności nadliczbowej w kraju, ale o to, aby robotnik, któryby w równie dobrych nieraz warunkach w kraju mógł znaleźć zatrudnienie i pracę, wiedział o niej i mógł do niej się zgłosić, nie potrzebując zapoznania się z niemieckim obyczajem i niemiecką moralnością.

V.

Wypadałoby jeszcze zastanowić się nad zasadą przymusu, przyjętą w ustawie państwowej, która z wielu stron w kraju naszym spotyka się z opozycyą i niechęcią.

Wiadomo powszechnie, na jak wysokim stopniu stoi asocyacya rolnicza w Czechach. Do dwu central. towarzystw rolniczych w Czechach należy 47000 członków, nadto w 517 mniejszych stow. rolniczych zasiada 82000 członków, w 455 klubach, besedach i kasynach rolniczych jest 18840, a w 57 filialnych stowarzyszeniach jest 2700 członków, razem więc jest w całych Czechach około 103 000 członków, z pomiędzy których z pewnością nie więcej jak 100 000 członków należy istotnie do stanu rolniczego. Tymczasem wszystkich samoistnych rolników w Czechach jest 300 000, czyli, że zaledwie 33% należy do związków miejscowych, a 15·6% do związków centralnych. W Niższej Austryi wszystkich członków jest 107 000. Z tego należy do 62 stowarzyszeń powiatowych 10800, do 755 miejscowych towarzystw i kasyn 34800, do 14 innych towarzystw 7417 członków, razem zorganizowanych członków jest więc około 40000, co na 107 000 wszystkich członków czyni około 38% (Daty co do Czech i Niższej Austryi wyjąłem z mowy posła Zedwitza). Otóż gdy będzie przymus, nie będzie należeć do związku 33%, czy 38% rolników, ale wszyscy, wszyscy będą płacić wkładki i nie będą mieli prawa przez wystąpienie z towarzystwa od tego się usuwać. Że w naszym kraju znacznie mniejszy niż gdzieindziej procent ludności bierze udział w dobrowolnej organizacyi rol-

niczej, dowodzić nie potrzeba, zmiana więc na lepsze, jaką organizacya przymusowa zaprowadzi, będzie tem donioślejszą i obfitszą w rezultaty.

Jeżeli zwraca się uwagę na przymus należenia do związku, to rzeczywiście, jak słusznie zauważył minister rolnictwa, Giovanelli, należy kłaść nacisk nie na obowiązek, ale na prawo rolnika, na to prawo, ażeby interesy jego znajdowały skuteczne i wszechstronne zastępstwo. To prawo może rolnik osiągnąć tylko w drodze organizacyi przymusowej. Tylko w ten sposób może powstać reprezentacya moralnych i materyalnych interesów rolniczych, mająca na oku interes publiczny. Szereg najwybitniejszych posłów, jak Grabmayr, Dyk, Skene, Povše, Steiner, Marchet, Baernreither, Licht, Peschka, hr. Zedwitz i inni w grudniu 1901 r. w szeregu donośnych mów stanęli w obronie przymusu ustalonego w ustawie. Niemniej w obronie ustawy przemawiał imieniem Koła polskiego poseł hr. Szeptycki. Ponieważ głos ostatniego zapewne w kraju naszym więcej obudzi zainteresowania, więc pozwolę go sobie streścić.

Poseł Szeptycki uznaje w zupełności potrzebę reprezentacyi interesów rolniczych i silnej organizacyi, zarazem jednak twierdzi, że ogromnie jest trudno o wszczepienie tej myśli w szerszych sferach rolniczych. Rolnik praktyczny tylko takie myśli przyjmuje, które wytrzymują ogniową próbę praktyki i twierdzi, że jeżeli ustawa nasza nie zostanie ściśle zastosowana do stosunków krajowych i nie natrafi na odpowiednich do jej wykonania ludzi, w takim razie postanowienia jej nie wejdą w wykonanie. Ależ wszakże to, czego chce poseł Szeptycki, już się stało, ustawa państwowa zakreśliła tylko ogólne ramy, a każdy kraj koronny może je wedle własnych potrzeb wypełnić i nie zachodziła bynajmniej potrzeba mówienia w Izbie poselskiej o uwzględnieniu stosunków krajowych, skoro ustawa sama już to uczyniła i skoro sam poseł żadnych konkretnych pod tym względem żądań nie stawiał. Z góry już nadto poseł Szeptycki zwrócił uwagę, że sejm galicyjski na wniosek b. posła Wójcika oświadczył się przeciwko założeniu związków zawodowych, mimo że uchwała sejmu, powzięta zresztą bez należytego ocenienia doniosłości analogi-

cznego z projektem rządowym wniosku posła Barwińskiego, zapadła raczej ze względu na niemożność przestudyowania myśli przewodniej wniosku i jego społecznych następstw w krótkim przeciągu czasu, niźli z powodu zasadniczego antagonizmu. Nie wiadomo zresztą, co poseł Szeptycki chciał powiedzieć przez tę reminiscencyę, bo jeśli uchwałą sejmową chciał umotywować niechęć swą dla ustawy, winien był konsekwentnie przeciw niej głosować. Tymczasem całe Koło polskie głosowało przecież za ustawą, a niepodobna przypuścić, aby czyniło tak li ze względu, że chodzi o ustawę ramową, której za wzorem tylu dawniejszych można nie wprowadzać u siebie w domu, co więcej, z góry powziętym zamiarem niedopuszczenia do jej uchwalenia w sejmie — byłoby to bowiem identyczne z posądzeniem naszego Koła o nieszczerość, a zarazem o brak zrozumienia najkardynalniejszych interesów i potrzeb kraju — a tego przecież nawet przypuścić niepodobna. W dalszym toku swego przemówienia poseł Szeptycki wyraził przekonanie, że sejm galicyjski dopiero na podstawie doświadczeń w innych krajach koronnych zebranych, będzie mógł przyjść do przekonania, czy tego rodzaju organizacya jest rzeczywiście z korzyścią dla rolników w naszym kraju. Istotnie pojąć niepodobna, dlaczego w kraju zaniedbanym przez rządy i przez własnych obywateli, a przeto wymagającym tem intenzywniejszej pracy i dźwignięcia w chwili obecnej, praca społeczna, nawet zasadniczo za dodatnią uznana, ma być rozpoczęta dopiero wtedy, gdy już w innych krajach wykonaną będzie, dlaczego sejm i rolnicy galicyjscy mają czekać i próżnować, gdy inni, mniej potrzebujący postępu, pracować będą, dlaczego my zawsze uważamy się za gorszych lub głupszych od innych, kiedy naród nasz ma tyle niespożytych sił żywotnych, tyle cierpliwości i energii, tyle intelligencyi i bystrości, że nawet obcych zmusza do szacunku, którego mu swoi tak nieufnie skąpią. Wreszcie poseł Szeptycki oddał ogromne pochwały organizacyom dobrowolnym, a w szczególności Kółkom rolniczym, którym przeciwstawił słaby rozwój przemysłowych stowarzyszeń, tak jak gdyby inne kraje koronne nie miały stokroć wspanialszego rozwoju stowarzyszeń rolniczych, a jednak nie rwały

się całą duszą do zakładania związków zawodowych. Mowca życzył sobie przygotowania gruntu przez asocyacyę dobrowolną, a dopiero wówczas, gdy stowarzyszenia staną na pewnej wyżynie rozwoju, będzie można, zdaniem jego, zaprowadzić przymusową organizacyę zawodową.

Z powyższych uwag wynikałoby, że poseł Szeptycki jest przeciwny organizacyi przymusowej, ale mowca nie pozostał konsekwentnym, wszak potem bowiem przemawia znowu za związkami przymusowymi, zalecając im popieranie stowarzyszeń dobrowolnych, powstrzymywanie się od interesów ryzykownych i pozostawienie ich Kółkom rolniczym, żądając znacznej subwencyi państwowej dla stworzenia związków zawodowych i pod tym względem stawia za przykład Prusy, subwencyonujące bardzo obficie tamtejsze Izby rolnicze. Ponadto dziwnem było, że poseł Szeptycki, porównywając za przykładem radykalnego posła Ofnera związki zawodowe rolnicze z przymusowemi stowarzyszeniami przemysłowemi, równocześnie wygłosił hymn pochwalny na cześć inicyatywy prywatnej, rzekomo tak skutecznej i dla niej pozostawił zadanie przygotowania gruntu i ludzi do przyszłej organizacyi przymusowej. Jest to oczywiście błąd logiczny. Bo gdybyśmy mieli czekać z utworzeniem związków przymusowych tak długo, aż nam związki dobrowolne przygotują potrzebne siły do pracy, to najważniejsze zadanie związków zawodowych byłoby spełnione. Te same bowiem związki przymusowe za jedno z głównych zadań postawiły sobie krzewienie ducha wspólności, wzajemną pomoc, podnoszenie samowiedzy stanu.

Organizacya stanu rolniczego w związkach zawodowych, jak widać z mowy radykalnego posła Ofnera i socyalisty Seitza, jak również z namiętnych wycieczek manczestrowców po wiedeńskich dziennikach, zamknie raz na zawsze przystęp do wsi mrzonkom socyalistycznym, ograniczy wszelki wyzysk pod jakąkolwiekbądź formą, ograniczy handel pośredni do najmniejszych rozmiarów, wreszcie stanie się pomostem zgody między większą a mniejszą własnością ziemską. Kto w tych warunkach zaleca ostrożność bezczynności i trzeźwość czekania, przeciwstawiając je śmiałości pracy i zapałowi postępu, grzech ciężki wobec spo-

łeczeństwa bierze na swe barki. Słowo „przymus“ tak dla uszu niektórych jest rażące, że najlepsza, najżywotniejsza myśl przestaje im się podobać, gdy je usłyszą. A w gruncie rzeczy czy gmina nie jest związkiem przymusowym wszystkich mieszkańców jednej miejcowości, a państwo takimże związkiem wszystkich poddanych? Czy nie istnieje przymus szkolny, odbycia służby wojskowej, uiszczania ceł i podatków, przymus niejednokrotnie przykry, a jednak w rezultacie i dla ogółu korzystny? Rozchodzi się więc o to jedynie, czy interes publiczny w danej sprawie przymusu wymaga, a pod tym względem nauka wypowiedziała już swoje zdanie.

Nim związki dobrowolne, nie dające zresztą i dziś zbyt energicznych znaków życia i zależne od dobrej woli jednostek, obudzą umysły do wspólnej pracy zawodowej, może być już za późno. Czekać na inicyatywę prywatną w sprawie cały ogół obchodzącej i nagłej — trudno. Spodziewać się po niej, że ona wychowa i wzmocni zastęp ludzi dobrej woli, skoro bez nich sama powstać nie może, znaczy to tworzyć błędne koło, w którem ludzie energiczni i dobrzy gonić będą wciąż za wielkim celem, a nigdy go nie osiągną.

I organizacya przymusowa musi mieć ludzi odpowiednich, ażeby mogła funkcyonować skutecznie, naprzód jednak powstaje wszędzie, więc i tam, gdzie inicyatywa prywatna byłaby za słaba, powtóre budzi, na jaw wyciąga i koło spólnego gromadzi sztandaru ukryte żywioły zewsząd i w ten sposób działa przykładem i emulacyą, podnosząc wszędzie poziom społecznego wychowania i wzmacniając uśpionego ducha solidarności. Czy idea przymusu w związku gminnym ma być mniej trafną dlatego, że w ciągu roku tyle a tyle razy wydarza się fakt rozwiązania rady gminnej i zamianowauia komisarza rządowego? Nadużycie jest nadużyciem, ale temu nie winien przymus, owszem gdyby nie było przymusu, gdyby człowiek miał prawo pamiętać tylko o sobie a nie był arystotelesowskiem Ζῶον πολιτικόν, nadużycia wszelkie byłyby i większe i częstsze. Przymusowa ta solidarność w związku gminnym stała się owszem źródłem wielu ofiar i poświęceń na cele publiczne. Tak samo złe funkcyono-

wanie przymusowych stowarzyszeń przemysłowych na prowincyi nie dowodzi niczego. Przedewszystkiem bowiem analogii niema tu żadnej. Każdy rzemieślnik danego zawodu jest naturalnym konkurentem drugiego — wobec sprzecznych interesów nie może wytworzyć się w stowarzyszeniu przemysłowem prawdziwy duch solidarności. Co innego w związkach rolniczych, bo im który rolnik lepiej sprzeda swe zboże, tem więcej i drugi za swoje dostanie. Urodzaj i nieurodzaj, a raczej giełda zbożowa dla wszystkich zarówno ustanawia ceny, a jeśli mały rolnik mniej jeszcze dostanie od wielkiego za swe produkty, to zysk stąd nie wpływa bynajmniej do kieszeni wielkiego właściciela ale małego pośrednika, skupującego zboże małemi partyami i zmuszonego odsprzedać je znowu z zyskiem wielkiemu handlarzowi. Zresztą być może, że ludzie nie wszędzie do stowarzyszeń przemysłowych dorośli, nie wszędzie rozumieją ich ideę, ale czy to wina prawodawcy, który dobrą obmyślił ustawę, czy też władzy, która nie zawsze z należną sprężystością wykonania jej przestrzega, albo tej *vis inertiae* ludzkiej, która nowych torów niezwyczajna, utartym szlakiem krótkowidzącego samolubstwa prędzej dojść mniema do wytkniętego celu?

Zapewne błądzili Chartyści w Anglii, sądząc, że dobre ustawy same przez się uczynią ludzi szczęśliwymi i raj stworzą na ziemi — ale czy dlatego należy dobre ustawy znieść, bo nie zdołały zmienić ułomności natury ludzkiej? Kto się tego po nich spodziewał, ten oczywiście doznać musi rozczarowania, widząc, że najlepsze ustawy mogą być tylko ramami, które wypełnić zdoła jedynie samo społeczeństwo, żywą przejęte wiarą i miłością bliźniego. Ale kto ustawie właściwy przekazuje zakres, badać będzie jedynie, czy ustawa celowi swemu odpowiada, czy cel ten sam przez się jest moralnym i pożądanym dla społeczeństwa.

Atoli powiadają jeszcze: „w Galicyi niema przysposobionego dostatecznie materyału w ludziach, niema dostatecznej ilości ludzi zdolnych i chętnych do podjęcia i stałego prowadzenia zadań, jakie ustawa przekazuje stowarzyszeniom rolników“. Nie

mamy ludzi — ustawa byłaby dobrą, ale dla innych, nie dla nas, my za biedni, za głupi na to. Czy tak jest w istocie? Zarzut ten odparł już poseł Tollinger w Izbie poselskiej odnośnie do wszystkich krajów koronnych, podnosząc słusznie, że przedewszystkiem są przecie ludzie pracujący w instytucyach dobrowolnych, towarzystwach rolniczych i gospodarskich, Kółkach rolniczych, kasach Raiffeisena i t. d. Ale przyznać trzeba, że pod całą masą względów stoimy znacznie niżej od zachodnich prowincyi monarchii, mamy dotąd około 60% analfabetów wśród ludności wiejskiej, nie bratamy się z rolnikiem małym, nie kochamy go tak, jak w Poznańskiem, przemysł nasz początkujący nie wytrzymuje porównania z przemysłem Królestwa Polskiego, połowę ludności naszej stanowi $2^1/_2$ miliona niechętnych nam Rusinów i blizko milion Żydów, w małej tylko garstce zasymilowanych i krajowi pożytecznych, przytem socyalizm znieczula dla spraw krajowych często najintelligentniejsze i najgorętsze nieraz żywioły. Ale to wszystko, otwierając nam oczy na grozę położenia, tem większą winno nam być podnietą do stworzenia silnej i zwartej organizacyi, do skwapliwszego odnalezienia wśród nas ludzi powołanych do objęcia w niej kierowniczego stanowiska. W tym chaosie stosunków, krzyżujących się zdań, walczących stronnictw, prywaty górującej nieraz, jak i gdzieindziej zresztą, są jednak i u nas ludzie dzielni i zdolni i jest ich daleko więcej, niż wydać się może temu, kto sądzi świat według owych, których fala życia na wierzch wyniosła. Co stworzyło i utrzymuje w kraju ośmset Kółek rolniczych, jeśli nie wiara gorąca i miłość bliźniego? A skąd racya przypuszczać, że wśród korzystnych warunków ziarno rzucone w reszcie gmin galicyjskich nie przyjmie się i plonu nie wyda; jakiem prawem wolno nam twierdzić, że w owych ośmiuset gminach są ludzie dobrzy, a w pięciu tysiącach czterystu sami egoiści i obojętni? Jeśli zaś nie wolno, jeśli i tu i tam są ludzie jednakich potrzeb i pragnień, jednego usposobienia i charakteru, nie źli, ale inicyatywy z zewnątrz i oświecenia wyglądający, więc materyał w ludziach i u nas jest i trzeba tylko umieć go szukać i na jaw wydobyć.

A spojrzyjmy w górę, na tę szlachtę, tylokrotnie lżoną i zniesławianą, na reprezentantów tej szlachty w sejmie, która w istocie dzierży większą część sejmowych mandatów. I cóż zobaczymy? Niepomna rzezi 1846 r. szlachta na sejmie stanowym r. 1848 z uszczerbkiem własnych interesów materyalnych uchwala znieść pańszczyznę bez żadnego wynagrodzenia i zawiadamia o tem rząd w adresie do tronu z dnia 19 marca 1848 r., wręczonym ówczesnemu namiestnikowi hr. Stadionowi. Jeśli uchwała ta nie doczekała się urzeczywistnienia, wina w tem była nie szlachty, ale ówczesnego rządu. I od tej chwili, acz stosunek między dworem a chatą nie wszędzie był taki, jakby tego pragnąć wypadało, przecież reprezentanci szlachty w sejmie stale i statecznie aż do zmiany ustawy o prestacyach szkolnych domagali się corazto nowych ustępstw i ulg na rzecz ludu, coraz nowego obciążenia własnego; ciągłe zaś wnioski w sprawie zmiany ustaw: gminnej i drogowej, nie skądinąd, ale od posłów z większej własności pochodzące, chyba nie o innych świadczą zapatrywaniach. Czy wobec tego seryo twierdzić nam wolno — że nie mamy ludzi?

Zresztą z czasem i my dostroimy się do wyższych wymagań; wielkie myśli — a taką jest w każdym swym przejawie myśl solidarności społecznej — to mają do siebie, że zapomnieć każą jednostkom o własnych swych interesach, a podnosząc indywiduum w wyższą sferę uczuć altruistycznych, zapalają iskrę Bożą na dnie duszy każdego tlejącą. Ale aby to mogło nastąpić, trzeba, aby naprzód myśl owa widome przybrała kształty, aby w szaty ustawy się przyoblekła.

* * *

Z tych wszystkich powodów usilnem naszem dążeniem winno być, by Sejm jak najrychlej wydał ustawę wykonawczą i umożliwił wejście w życie organizacyi zawodowej na razie bodaj dla zachodniej Galicyi, we wschodniej bowiem w myśl rezolucyi Izby poselskiej (wnioskodawca poseł Spinčič) należałoby naprzód na wzór czeskiej Rady kultury krajowej obmyśleć sekcyę polską i ruską związku krajowego.

W końcu podnoszę, że:

1) Główny punkt ciężkości związków spoczywa, wedle intencyi ustawodawcy i mowy sprawozdawcy komisyi rolniczej posła Povšego nie w związku krajowym, ale w związkach powiatowych. Jeżeli chodzi o pomoc kredytową, o konwersyę pożyczek, o pośrednictwo w pracy, nadto zaś o tańsze zakupno i korzystniejszą sprzedaż zbiorową, jest to zupełnie jasne.

2) Związki powiatowe powstaną dopiero wtedy, gdy dobroczynna działalność ustawy będzie w najszerszych kołach znaną. Dlatego pożądanem jest, aby związek krajowy powstał zaraz, aby wszędzie zamianował mężów zaufania i aby ci mężowie zaufania otrzymali ze związku krajowego krótkie objaśnienie o doniosłości niniejszej ustawy, mieli bodaj w każdym powiecie, jeśli nie w każdej gminie, popularne o niej wykłady i zachęcali ludzi do tworzenia związków gminnych, parafialnych i powiatowych [1].

3) Główną rzeczą jest, aby związki powiatowe kosztowały jak najmniej, a co za tem idzie, aby rolnicy na związek jak najmniej płacili. Da się to osiągnąć jedynie w ten sposób, że koszta administracyi będą minimalne.

Socyalistyczny poseł Seitz wyraził obawę, aby organizacyi zawodowej nie wzięli w rękę księża, tak jak już wzięli w wielu parafiach kasy Raiffeisenowskie i trafna uwaga posła Schachingera, aby nie było zbyt wielu urzędników, wywołała odpowiedź posła Seitza, że raczej niech będzie o urzędnika więcej, byle chłopi nie chodzili prosić księdza o wskazówkę. Tymczasem jasnem jest, że, o ile znajdą się księża, mający dość czasu i znajomości rzeczy nabytej może na nowym kursie socyalnym, oni najwięcej przyczynić się mogą do powstania związków rolniczych w powiecie, wiemy bowiem z doświadczenia, że powstanie i rozwój Kółek rolniczych i kas Raiffeisenowskich im w pier-

[1] Poseł Baernreiter w *Neue freie Presse,* a poseł Schreiner w Izbie poselskiej z tego samego powodu domagali się ustanowienia instruktorów rolniczych dla związków zawodowych.

wszym rzędzie mamy do zawdzięczenia [1]. Udział więc duchowieństwa uważam za dalszy warunek powodzenia całej instytucyi.

Na ostatek jak najusilniej zalecić mogę udział w związkach powiatowych większej własności ziemskiej w interesie zarówno jej własnym jak i włościaństwa, którego dobro i przyszłość jest przyszłością i dobrem całego narodu.

Dr. Leopold Caro.

[1] W Niemczech na 4077 kas Raiffeisenowskich, co do których dysponujemy datami, przypadał roczny wydatek 971 000 m, co odpowiada kwocie 238 marek rocznie na jedną kasę (por. mowę posła Baernreithera). Kiedyż my dojdziemy do podobnie idealnych stosunków?!

DZIEŁO WOJCIECHOWSKIEGO O KATEDRZE NA WAWELU.

(Dokończenie).

Romańskich sięga czasów kaplica Wazów. Najstarszy przecież dokument, dotyczący jej, sięga 3 maja 1349 r. Prof. Wojciechowski objaśnia go i tłumaczy, że wyraz *capella* znaczy tyle, co ołtarz (str. 131) i podstawia zatem w akcie Bodzanty, dotyczącym kaplicy, zamiast *capella* wyraz *altare* i snuje hipotezę na tej podstawie, pierwotne dzieje kaplicy, nagina archeologiczną treść do swojej historycznej tezy. Ta dowolność, nieograniczona swoboda w tłumaczeniu wyjątkowej wagi źródeł musi być wytkniętą nawet takiej powadze, jaką reprezentuje autor, inaczej doszlibyśmy do bajecznych wprost rezultatów i zniknęłyby wszelkie szranki fantazyi historycznej. Kaplica obok grobu św. Stanisława to nie jest absolutnie to samo, co ołtarz obok grobu św. Stanisława. Tekst oryginalny wyklucza, aby grób Świętego był pierwotnie w kaplicy śś. Piotra i Pawła, tymczasem prof. Wojciechowski przez podstawienie innego wyrazu, ostatecznie zapełnie sprzecznego z tekstem cytowanego ustępu, stawia grób w samej kaplicy, to kapitalna różnica. Twierdzenie autora, że tekst jest niejasny, zupełnie nie przekonywa i wydaje się w swojem brzmieniu: *Capellam iuxta Tumbam sancti Stanislai ad honorem Omnipotentis Dei et sanctorum Petri et Pauli Apostolorum in predicta ecclesia nostra dudum edificatam et consecratam, decimis nostris frugum in Olchawa et in Pogwizdów villis*

dotamus etc.[1] ponad wszelką wątpliwość jasny i zrozumiały. Prof. Wojciechowski wyjaśnia, że wyraz *tumba,* tłumaczony *(sic)* dotąd jako trumna, rozumieć należy jako grób. To dowodzenie *per longum et latum* o znaczeniu wyrazów powtarza się w dziele na wielu miejscach, jest dowodzeniem i wyjaśnieniem tego, co już dawno dowiedziono i wyjaśniono, o czem pouczyć może każdy słownik archeologiczny, a tutaj tworzy balast i pole praktycznych ćwiczeń. Na uwagę prof. Wojciechowskiego, że przecież jest rzeczą prostą, iż nie kaplica otrzymała dziesięciny, lecz ołtarz, powiem, że jeszcze słuszniej byłoby mniemać z dalszym tokiem wspomnianego nadania, iż nie ołtarz, lecz kapelan kapliczny otrzymywał do rąk owe dziesięciny. Zaś twierdzenie, że nie kaplica, ale tylko ołtarz mógł być konsekrowanym *in honore ss. Petri et Pauli,* należałoby poprzeć dowodami, zapewnienie proste nie wystarcza.

Dziejowe szczegóły męczeństwa św. Stanisława i jego stosunku do Bolesława Śmiałego napotykają wskutek swej wielkiej starożytności na ciemne i historycznie nie wyjaśnione fakty, np. co do historyi zwłok jego. Wiadomości u samego Długosza są tak sprzeczne, iż o oparciu się na nich nie może być mowy bez znajomości dokładnej planu pierwotnej bazyliki. Dowodzi to dalej, że już Długosza bałamuciły różnorodne informacye i nie mógł zdać sobie z nich jasno sprawy. Wyliczył je także prof. Wojciechowski, atoli zastanowił się jedynie nad dwiema wersyami Długosza, które raz mówią, że po translacyi ciała św. Stanisława złożono je „na środku kościoła katedralnego", a drugi raz, że w kaplicy św. Piotra i w obydwóch razach wspomina o grobach na podstawie autopsyi: „widać go do dziśdnia". Już ks. Polkowski[2] wpadł pierwszy na myśl rozwiązania tych sprzeczności przez przyjęcie i podniesienie dawnej zapiski, że pierwotny środek romańskiego kościoła katedralnego znajdował się w miejscu kaplicy śś. Piotra i Pawła. Prof. Wojciechowski, nie cytując w tem miejscu uczonego kanonika, wygłasza to samo zdanie

[1] „Kod. dypl. kat. krak." t. I, str. 238.
[2] „Sprawozdania komisyi historyi sztuki" t. III, str. 27.

i dodaje, że był to środek katedry przedromańskiej (tak?), że środek to kwadrat chórowy przed wielkim ołtarzem i że na tem miejscu chowano wszystkich biskupów poprzedników. Katedry przedromańskiej wyobrazić sobie nie umiem, bo kiedy chrześcijaństwo przyszło do Polski, była już epoka romańska. Przeciw hipotezie naszego uczonego mówi przedewszystkiem sam akt biskupa Bodzanty z r. 1349, który wskazuje na grób św. Stanisława obok kaplicy św. Piotra. Dalej przemawia przeciwko niej trzecia wersya Długosza (Hist. pod r. 1254), którą przemilcza profesor, choć cytuje ją ks. Polkowski, a według której zwłoki św. Stanisława z grobu, znajdującego się przy bramie południowej kościoła krakowskiego, przez biskupów zgromadzonych winem zostały obmyte i podniesione. W wiekach średnich istniał zakaz chowania ciał w kościele, a choć zakaz ten nie był nigdy z całą bezwzględnością przestrzegany, należało przecież w tej ważnej kwestyi o niego potrącić. Tymczasem prof. Wojciechowski z góry uważa za pewnik, że na środku kościoła pochowano także biskupów Poppona, Gompona, Rachelina, Arona i Lamberta I. Otóż niezwykłe gremialne pochowanie zmarłych biskupów na środku kościoła brzmi bardzo nieprawdopodobnie. Gdy św. Stanisław poniósł śmierć w obronie wiary, nie był przez sam fakt męczeństwa uznanym natychmiast przez Kościół za świętego, a więc ostrożniej byłoby przypuścić, że nie od razu został pochowany w kościele, lecz naprzód na cmentarzu kościelnym, a to tem bardziej, że tutaj bądź co bądź były zaangażowane względy dynastyczne, że to wywyższenie zwłok staćby się musiało tuż przy zamku królewskim, wbrew zakazowi kościelnemu i wbrew, co naturalne, woli królewskiej, a w obrębie samego grodu. Wreszcie i niektóre zapiski, jak przytoczona (str. 133) kapitulna z r. 1266, odnosząca się do biskupa Prandoty, która powiada: *sanctus Stanislaus de terra tumuli est exceptus*, lub według kroniki Baszki[1]: *Et ossa ipsius benedicta, quae a die passionis suae usque ad elevationem ipsius in terra iacuerunt*, czy gdzieindziej jest mowa nie o gro-

[1] „Pomniki dziej. Polski“ II, 572.

bowcu, lecz o grobie, z którego podniesiono ciało Świętego. Zresztą ani analiza pierwotnych murów, ani wywody o pierwotnym wyglądzie katedry romańskiej prof. Wojciechowskiego nie dają rękojmi pewności i słuszności jego przypuszczeń.

Długosz widzi w kaplicy śś. Piotra i Pawła grobowiec, gdzie leżały zwłoki św. Stanisława, przeniesione ze Skałki, a gdzie po podniesieniu stąd ciała świętego kazał się pochować Prandota. Prof. Wojciechowski idzie w tym razie za jego głosem, aczkolwiek byłoby może słuszniej i prościej mniemać, że dopiero Prandota zbudował ten grobowiec w miejscu, gdzie leżały pierwotnie zwłoki św. Stanisława i w nim później sam pochować się kazał. Żeby grobowiec w pośrodku kościoła, nakryty złotą blachą, z wyrytymi obrazami męczeństwa i drogimi kamieniami ozdobioną na cześć św. męczennika, jak pisze Długosz, mógł sprawić biskup Lambert — jest niepodobieństwem, anachronizmem i dlatego odrzuca to twierdzenie Długosza zupełnie słusznie prof. Wojciechowski. Odrzuca, ale i przysądza je inicyatorowi literackiemu kanonizacyi św. Stanisława, biskupowi Wincentemu Kadłubkowi. Przypuszczenie to uważam za niedość uzasadnione, a natomiast sądzę, że opisany grobowiec jest fundacyą św. Kingi, prawdopodobnie z okresu, kiedy do Krakowa w r. 1271 przybył na uczczenie grobu św. męczennika Stefan, król węgierski. Rozdział XXII nasuwa jeszcze niejedną wątpliwość, jak np., że okazywano od roku 1253 rękę świętego Stanisława.

W kaplicy św. Piotra znajduje się otwór wejściowy g o t y c k i, przepruty przez ścianę północną, czyli od strony kościoła. Uczucie zdziwienia owłada czytelnikiem, kiedy zastanawia się nad tym ustępem, w którym prof. Wojciechowski dowodzi, że to nie drzwi, ale szafa, *armarium v. locus,* z którego od roku 1253 wystawiano rękę św. Stanisława ludowi; a jest to ustęp jeden z najważniejszych, na którym opiera się hipoteza o pierwotnym kształcie kościoła romańskiego. Ościeże drzwi są przedewszystkiem ostrołukowe, więc nie pochodzą z epoki romańskiej, najprędzej wyprute w okresie, kiedy przyparto do murów katedry nową kaplicę, to jedno, a powtóre mają tak niewątpliwe

cechy drzwi małych, wązkich, bocznych (na jakie już w Sprawozdaniach komisyi sztuki zwrócił ś. p. Łuszczkiewicz uwagę), które ledwo jednej osobie pozwalają przesunąć się przejściem — ale nigdy *armarium*. Fabryka w kaplicy z r. 1634, na którą się prof. Wojciechowski powołuje, najwyraźniej mówi o wszelkich wydatkach na urządzenie wewnętrzne. Te jednak wydatki nie dają dostatecznego powodu do przypuszczania, jakoby się miały także odnosić do onych drzwi. Jak owo *armarium v. locus* wyglądało, powinna była wyjaśnić analogia z kaplicą Hinczy z Rogowa, gdzie w ścianie była lipsanoteka; tylko tutaj musiała leżeć wyżej obok ołtarza, jak np. w Żarnowie. Potwierdza ten nasz domysł jeszcze ta okoliczność, że stolarz robi do niej roku 1634 „gradusy do wstępowania do relikwii". Od strony transeptu było z kaplicy wejście również z epoki gotyckiej, ostrołukowe, zamurowane, które wydobył z ukrycia prof. Odrzywolski. To wejście do transeptu z tej strony, według mego zapatrywania, jest jednym z najważniejszych szczegółów. Dla zdania sobie jasno sprawy z sytuacyi, bada prof. Wojciechowski podziemia kaplicy Prandocińskiej, czyli Wazów i znajduje w ścianie zachodniej wieżowej (bo kaplica nie posiada własnej z tej strony ściany) odrzwia prostokątne, w świetle 2·34 m i 0·81 m, prowadzące do wnętrza podziemia wieży południowej, w którem domniemywa się dawnego kapitularza. Ściana wieży i drzwi, zbudowane z piaskowca, są romańskie. Mur północny podziemia z kamienia wapiennego i na zaprawie wapiennej uważa zasłużony ten historyk za „niewątpliwie romański". Wydaje mi się on już być z epoki gotyckiej i stąd płyną dyametralne na sprawę katedry romańskiej zapatrywania. W ścianie południowej mur okazuje się dwojaki; z lewej strony wzniesiona budowa widocznie z rumowiska, bo wątek jej tworzą kostki i kamienie łamane, wapień, piaskowiec i kawałki cegły; z prawej zaś, t. j. bliżej wieży, mur jednolity z wapienia obrobionego od lica, zalewany czystą zaprawą wapienną. Czcigodny autor uważa to za najstarszą część „ś r o d k a k a t e d r y p r z e d r o m a ń s k i e j z c z a s u o k o ł o r. 1000", ale jakie są owe charakterystyczne cechy, na podstawie których orzekł starożytność wysoką muru,

naukowo przez analogię nie uzasadnił. Dlatego mniemam, że sprawy tej, tak niezmiernie ważnej i doniosłej, nie może rozstrzygać dorywczy sąd historyka, który po raz pierwszy zajął się studyum architektonicznem, ale w tym właśnie wypadku należało zasięgnąć przedewszystkiem orzeczeczenia technicznego z fachowej strony.

Tu miał być, jak autor się wyraża: „oczywiście kwadrat chóru, czyli presbyteryum“ tak zwanej przez prof. Wojciechowskiego katedry przedromańskiej, a wieżę przystawić miano dopiero później przy fabryce romańskiej, bo przedtem od zachodu był dalszy ciąg katedry. Przeciw temu mówi już sam plan podziemia, który nie jest kwadratem, zaś podziemia wieży zdają mi się również być starsze od podziemia kaplicy Prandoty. Na potwierdzenie istnienia absydy romańskiej nie znalazł prof. Wojciechowski ze strony wschodniej naturalnie żadnego jej śladu. Domyśla się, że kaplicę Prandocińską zamykał na linii tej samej, co wschodni mur kaplicy św. Mikołaja, mur prosty, a dopiero poza murem fabryka gotycka zbudowała do kościoła wejście i kruchtę. Rekonstrukcya przez autora planu kaplicy Prandocińskiej jest fantazyjną i nie budzi żadnego interesu. Mury kapliczne były przebudową Wazów ceglane i prof. Wojciechowski słusznie przypuszcza, że wzniósł je biskup Prandota, lubo nie sądzę, by działo się to na fundamencie murów romańskich. Co przedtem tu było — trudno rozstrzygać, ale domyślać się wolno, iż tymczasowa kaplica drewniana lub obszerna kruchta z ołtarzem chroniła miejsce grobu Świętego, zaś z drugiej strony dostęp do grobu wiódł przez wydeptany próg wieży południowej. Że grobu nie ruszano w epoce gotyckiej budowy i chciano zachować przy bramie południowej, więc dla niego załamano transept i w załamaniu pomieszczono wejście południowe do katedry, którego dotąd ślad zamurowany istnieje. Autor sądzi, że w czasie budowy gotyckiej kaplica Prandocińska, już od dawna z murów w górę wyciągnięta, istniała, a architekt, postępując z budową ku zachodowi, nie mógł jej wyminąć, jak również, błąd popełniwszy w rozłożeniu murów planu, na linii transeptu o $1^1/_2$ m zboczył. Na ścianie szczytowej nie załamanej

widzi autor ślad okna, które było znacznie niżej położone od obecnego i mimo to domyśla się tam portalu i że dopiero w trakcie budowy po różnych zamiarach dozwolono architektowi obciąć kaplicę Prandocińską i załamać ścianę szczytową. Tak więc w dziele prof. Wojciechowskiego wszystko znajdujemy wyjaśnione, tylko, że z tą metodą trudno nam się pogodzić, bo tu wszelki domysł staje się zaraz w następnym dowodzie walnym argumentem, tworząc misterny gmach hipotez; autor określa jasno, gdzie stały, jak wyglądały mury katedry romańskiej, kiedy i dlaczego je burzono; nigdy nie jest w kłopocie, jak rzecz z zupełną pewnością zrekonstruować składnie i nadać jej wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Niestety brakuje im najczęściej realnej podstawy.

Na niepewnych kombinacyach konstruuje następnie autor jeszcze głębiej wstecz idące dzieje katedry. Dzieje tak zwanego przez autora „kościoła przedromańskiego“, fundacyi Bolesława Chrobrego i sądzi, że mur w podziemiach kaplicy Prandocińskiej jest jego resztą *(sic)*, że była to w połowie murowana (chór), zamknięta półokrągłą absydą, a w drugiej części (nawa) była drewnianą budową z sobotami, idącą ku zachodowi, po przez stanowisko dzisiejszej wieży *(sic)*. Na pieczęci z XII wieku widzi pewne analogie, a nawet już kaplicę św. Piotra, skonwertowaną z pierwotnego środka katedry Bolesławowskiej. Są to same przypuszczenia dowolne, którym poświęcono zanadto miejsca. Natomiast, przedrukowując znane inwentarze z lat 1101 i 1112, nie zastanawia się żywiej nad tymi dokumentami, jakby to uczynić należało. Uderzającą jest bowiem rzeczą, że niema w nich wymienionych ani infuły ani pastorału. Czyżby biskup krakowski jeszcze stale wówczas rezydował na Skałce, a katedra miała jeszcze wyłącznie charakter kościoła zamkowego? Kwestya, którą rozjaśnić było należało.

W rozdziale XXV mamy opowieść o sklepach grobowych podziemnych, o grzebaniu ciał w średnich wiekach w katedrze, o przyczynach włoskiej struktury w kaplicach, o przeznaczeniu sarkofagów średniowiecznych, o domniemanych resztach murów romańskich, przyczem najczęściej określenia „wiadomo jest“ lub

„trzeba wiedzieć“ starczą za aparat naukowy. Na str. 163 mówi nam autor o niewątpliwym wątku muru romańskiego w podziemiu (D, plan fig. 34), na którym opiera się dalsza rekonstrukcya i budowa hipotetyczna rozprawy. Powtórzyć tu jednak musimy znów ten sam zarzut, co poprzednio, że zamiast dowieść tego szczegółową analizą i przykładami, jak porównawczo widzimy we wzorowej pracy prof. M. Sokołowskiego: „Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy“, zbywa dowód zbyt pochopnie i apodyktycznie określeniem „niewątpliwego“ remanentu romańskiego z warstwami kostkowemi, takiemi samemi, jak na wieży i w komorze E. Tymczasem na str. 145 — 147 udowodnił przedtem, że rdzeń tych warstw jest różny:

„W całej Polsce nie mamy obecnie z okresu sztuki romańskiej nic takiego, coby mogło dorównać powadze krypty św. Leonarda pod względem wieku“ — więc autor poświęca jej rozdział XXVI i tłumaczy swoją oryginalną metodą wyrażenie *ab antiquo* w akcie Bodzanty z roku 1364, dotyczącym ołtarza św. Leonarda „od początku“ i tym sposobem udowadnia jego głęboką starożytność. Ołtarz ów usunięto za bisk. Maciejowskiego, gdy kryptę zamieniono na skład, później w XVII w. na sklep grobowy. Dla objaśnienia dodaję ogólną uwagę, że krypta powstała w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, w czasach gdy zaczęto w Rzymie budować bazyliki nad katakombami. Stąd poszło, że budowano następnie kościoły z kryptą, naśladującą katakomby i jako podziemne kaplice kościołów romańskich.

W r. 1874 przeprowadzono restauracyę krypty i grobów królewskich, które połączono podziemnemi przejściami i wtedy architekt Żebrawski natrafił mimowoli na dawne pierwotne wejście, idące od strony kaplicy św. Piotra, które w czasie budowy gotyckiej zamurowane zostało. Prof. Wojciechowski przypuszcza, że takie samo wejście drugie istniało od strony północnej krypty. Krypta w dzisiejszym swym wyglądzie jest trójnawową, zamkniętą absydą, półkolistą od zachodu. Wykazuje ona pełno nieregularności, tak, że zachodzi kwestya, czy jej plan ogólny był trapezem, jak tego mamy gdzieindziej przykłady, czy też prostokątem. Prof. Wojciechowski rozstrzyga rzecz na korzyść

prostokąta i daje rekonstrukcyę krypty. Wywód jego, lubo z początku niejasny, zasługuje na baczną uwagę ze względu na bardzo ładny rezultat; idąc bowiem widocznie za wskazówką niemieckich archeologów[1], odszukał jednostkę mierniczą, którą posługiwał się architekt naszej romańskiej, najstarszej budowy — jest nią palma starorzymska (= 0·2231 m) — i na tej podstawie wykazał symetryczność budowy, która trzyma się liczby 3, jako podstawy konstrukcyjnej. Krypta św. Leonarda jest zbudowaną na planie kwadratowym, zamkniętym, jak powiedzieliśmy, od zachodu absydą półokrągłą z oknem w pośrodku. Ozdobiona dwoma rzędami po 4 kolumny monolitowe i tyluż pilastrami, skromnie ornamentowanymi, na których wspierają się przęsła krzyżowych sklepień. Ornamentacya wnętrza ogranicza się do kostkowych głowic słupów a szachowanych kapiteli pilastrów i fragmentu rzeźby, przedstawiającej gryfa, którego wydobyto z przejścia zamurowanego w epoce gotyckiej i użytego wówczas jako materyału budowlanego.

Prof. Wojciechowski widział swego czasu, kiedy nie było jeszcze oszklenia od strony wschodów, okroje okna i powiada, że jest ono w formie trójliścia, co uważa jako remanent romański, „najstarszy u nas tego rodzaju pomnik“. Nie widząc kształtu owego trójłucza, które zasklepia okno, nie mogę naturalnie ani przytakiwać ni też przeczyć spostrzeżeniom autora, ale nasuwa się na myśl analogia z gzymsem arkadowym z trójłukową oprawą rzeźb z późniejszego nierównie okresu na licu tej samej ściany zachodniej; więc kto wie, czy mimo nawet przeciwnych zapewnień autora, nie zachodzi tutaj między niemi równoczesność wieku, że mianowicie oprawa okna powstała w tym samym okresie, co rzeźby. Jako główny powód zbudowania krypty na Wawelu uważa autor nierówny teren skalisty góry, że zamiast zasypywania dołu wypełniono go budową podziemną. Nie godzę się z tą nową teoryą prof. Wojciechowskiego i wolę powtórzyć to, com już poprzednio powiedział, że założenie kościoła z kryptą wzorowano na przykładach ówczesnej

[1] Por. Otte: *Handbuch der Kunstarcheologie* I, 108.

konstrukcyi i dlatego kryptę zbudowano. Co do czasu budowy krypty opiera się autor na Kronice Wielkopolskiej, odnosząc ją do czasów Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego i przypuszcza, że około r. 1090 mogła się zacząć fabryka; a skłania go do tego okoliczność, że grubość murów krypty (1·550 m) okazuje się najgrubszą ze znanych kościołów w Polsce. Okoliczność tę tłumaczę ze swej strony inkastelacyą pierwotnego kościoła, potrzebą silnych, odpornych murów w grodzie królewskim zwłaszcza tuż nad samym stokiem góry. Konsekracya nastąpiła r. 1142. Po tej determinacyi zawraca autor powtórnie do analizy szczegółów architektonicznych i na podstawie znanych różnic stylowych między słupami absydalnymi, które na swych bazach mają już szpony czy liście narożne a słupami nawy, które ich nie mają, tudzież różnic w staranniejszem obrobieniu sklepienia nadnawowego a absydalnego stwierdza słusznie, że dwie te części budowy krypty należą do dwóch odmiennych okresów. Lubo autor miał w tym razie dwie daty do dyspozycyi, t. j. rok około 1090, oraz r. 1142, wskazane źródłami historycznemi, wolał je pominąć celem posunięcia się wstecz i twierdzi hipotetycznie, że absyda powstała r. 1090, zaś nawa na jakie 40 lat wcześniej. Że więc ojciec Hermana, Kazimierz Mnich († 1058), którego matkę Richezę wiązało wiele stosunków z Kolonią, podjął wraz z arcybiskupem krak. Aronem († 1059) dzieło budowy katedry murowanej na Wawelu, a sądzi, że Aron wyszedł z klasztoru benedyktyńskiego, zapełnionego szkockimi mnichami i dodany został przez Richezę do boku Kazimierza, aby wraz z nim podjął sprawę restytucyi kościelnej. Dalej domyśla się, że arcybiskup Aron był twórcą i architektem murowanej katedry romańskiej, że pierwotna bazylika miała mieć dwa chóry, wschodni i zachodni, za wzorem kolońskim. Barwnie snuje się tutaj hipoteza za hipotezą, roztacza się jakby ustęp z powieści historycznej, w której fantazya autora wiąże luźne fragmenty historyczne z błędnemi przesłankami i tworzy ponętny obraz z postaciami Bolesława, Richezy, królów Kazimierza Mnicha i Bolesława Śmiałego, biskupów krakowskich i mnichów benedyktyńskich, na tle stosunków Krakowa z Kolonią. To wszystko

wielce ciekawe nie rozstrzyga wprawdzie kwestyi czasu budowy, ale ją porusza. Domysły, aczkolwiek wypowiedziane z całą siłą przekonania, nie przekonywują, bo braknie im bezpośredniego ogniwa, któreby budowę katedry dokumentnie powiązało z imieniem Kazimierza Mnicha i arcybiskupa Arona.

Po tych wywodach następuje sprawa rekonstrukcyi pierwotnej katedry, służą do tego przedewszystkiem dwie średniowieczne kapitulne pieczęcie z wizerunkiem kościoła. O starszej, znanej z odcisku już z r. 1212, przypuszcza autor, jak zwykle śmiało, że została wyrzniętą w r. 1142. Drugiej czas powstania naznacza na r. 1221. Obie przedstawiają widok katedry ze strony południowej. Pierwszą uważa za wierniejszą, bo bardziej odpowiada jego hipotetycznym twierdzeniom, drugą o tyle, o ile zgadza się z jego supozycyami. Objaśnienia zaś nagina do wygłoszonych przedtem opinii. Zdaniem mojem, jeżeli na pieczęciach znajdują się kościoły rzeźbione według wzoru katedry, to wierne będą prawdopodobnie oba, tak wzór pierwszy jak drugi, a wówczas należy objaśnienia oprzeć na rysunku pieczęci w połączeniu z faktycznym remanentem romańskim. Przeto, gdy na XII-wiekowej pieczęci przypiera do wieży budowla nizka, a na podstawie badań architekty wiemy, że z tej strony prowadzi do dziś istniejące przez wieżę wejście romańskie, którego na pieczęci pierwszej nie widać, skądinąd zaś wiemy na pewne, że z południowej strony istnieje wtedy brama do kościoła: zatem przyjąć musimy, że budowla ta jest babińcem, który ukrywa wejście do wieży i do kościoła a nie kaplicą św. Piotra i że do babińca prowadzą odrzwia ze wschodu, które dla swego perspektywicznego skrócenia były dla oka rysownika niewidoczne. Na późniejszej pieczęci z r. 1221 mamy zamiast babińca drzwi wielkie, jeżeli zatem rysunek jest wierny, tedy powiedzieć musimy, że babiniec przed tym czasem został zburzony celem odkrycia wielkiej kościelnej bramy.

Z pomocą uważanych przez siebie za remanenty romańskie istniejących fragmentów budowniczych rekonstruuje prof. Wojciechowski górną część romańskiej katedry, o której sądzi, że była ongi zbudowaną wedle systemu kolegiaty łęczy-

ckiej z r. 1161. Według tego bazylika nasza jest trójnawową bez transeptu o dwóch absydach. Przestrzeń wnętrza dzielą trzy kwadraty, a każdy z nich oświecony dwoma oknami. Z boków stały dwie wieże. Wnętrze na dwóch, jeżeli nie trzech, poziomach, mianowicie środkowa część była wyższą, niż boczne i według skrupulatnego obliczenia autora poziom naw bocznych wznosił się tylko o 1·40 m nad poziom krypty św. Leonarda, nawa zaś środkowa o 4·78 m, tak, iż posadzka nawy głównej miałaby leżeć wyżej o 3·38 m ponad posadzką naw bocznych. Również przypuszcza autor, że cała część wschodnia poziomu bazyliki romańskiej leżała równo z dzisiejszym poziomem grobu Szyszkowskiego, o 2·5 m poniżej zachodniej części, która wznosiła się nad kryptą, tak, iż wnętrze kościoła miało aż 3 główne poziomy. Przestrzeń zachodnia nad kryptą wyglądać miała jakby wyspa, odgrodzona od niższych naw poręczami lub pełnym murem. Absyda wschodnia mogła się rozciągać, według autora, aż do dzisiejszego grobu Oleśnickiego. (!)

Z katedry romańskiej pozostały: kapitel, wmurowany w ścianę zakrystyi, jako materyał budowlany, tudzież nadproże z bazyliszkiem dwunożnym. Z romańskich kościołów, murowanych w Polsce, była katedra krakowska czwartą z rzędu. Naprzód powstała fundacya, oparta na wzorach greckich Dąbrówki na jeziorze Lednicy, potem wzniosła swe mury katedra poznańska, następnie gnieźnieńska (1064—1097), a w końcu krakowska, wszystkie trzy z systemem dwuchórowym. W XII stuleciu pojawił się system z jednym chórem wschodnim i z transeptem o trzech kwadratach (Płock, Kruszwica).

Co się tyczy budowniczego katedry czasów Władysława Hermana, to wybór autora pada na kapelana książęcego, szwabskiego pochodzenia, Ottona, który prowadził później budowę katedry w Spirze. Katedra romańska miała, wedle przypuszczenia prof. Wojciechowskiego, dwie absydy i dwa chóry, a że na pieczęci absyda zachodnia jest większą, więc zwyczajem praktykowanym gdzieindziej wielki ołtarz również z tej strony być musiał. I dla reszty ołtarzy domyśla się autor w tym przypuszczalnym gmachu ich przypuszczalnych ulokowań.

Rozdział XXVIII poświęcony jest historyi budowy gotyckiej. Autor twierdzi, że powodem jej nie był pożar 9 września 1305 r., jak przypisuje tradycya, ale ta okoliczność, że się mury katedry romańskiej ze starości waliły, a następnie, że wyłączna zasługa budowy gotyckiej przypada biskupowi Nankierowi i duchowieństwu, Łokietek nie dał nic, a Kazimierz dorzucił tam trochę na pomalowanie sklepień i na wieżę północną. Autor nie rozporządzał rachunkami fabryki gotyckiej, a skoro ich niema, nie mamy też prawa rozstrzygać o pochodzeniu funduszów budowy, ani negować współudziału w budowie naszych wielkich królów. Nankierowi przypisuje nie tylko wyłączną zasługę dyspozycyi budowy, ale nawet autorstwo planu. *(sic)* Do budowli romańskiej przystawiono od wschodu nowy chór, a wskutek nieumiejętnego wytyczenia osi, o czem powtórnie rozprawia tutaj autor, urosła jej nadmierna krzywizna. Czy na zmianę kierunku osi nie wpłynęły warunki topograficzne, oraz wzgląd na sąsiedztwo budowli zamkowych, nad tem autor wcale się nie zastanawia. Zasady budowy zaczerpnięto ze wzorów, jakich dostarczyła katedra wrocławska. Sprawy przebudowy nawy głównej i wzniesienia transeptu należą już do następców Nankiera na stolicy biskupiej, Grota i Bodzanty. Tutaj też muszą, według przypuszczenia prof. Wojciechowskiego, spoczywać dotąd gdzieś ponad kryptą (tak) szczątki śmiertelne królów i książąt polskich, jako też biskupów krakowskich.

Sumiennem obliczeniem wymiarów i proporcyi dochodzi autor do rezultatu, że architekcie, który robił plan chóru, posłużyła s t o p a p a r y s k a za wymiar jednostki, że, jak wogóle w średniowiecznem budownictwie kościelnem, szerokość chóru była miarą główną i do niej stosował architekt w chórze katedry krak. swe pomiary. Stosunek boków prostokątów chórowych jest jak 3 : 5. Proporcye w stopie paryskiej sięgają tylko do granic transeptu, to jest do miejsca, gdzie budowano rzecz z gruntu nową. W transepcie i nawie liczono się z pozostałościami romańskiemi i tutaj zatracają swe znaczenie. Na 34 pozycyi w 28 wymiarach otrzymał autor zgodne z zasadniczą miarą proporcye. Wysokość chóru (prezbiteryum) wynosi dwie

szerokości, czyli dwie jednostki miernicze. Nawy boczne są tylko $^{8}/_{10}$ jednostki nizkie. Już w ambicie ginie miara paryska i wyłania się nieregularność niewytłumaczona, którą przypisuje autor elementowi innemu, objawiającemu się w filarach przypornych w systemie już lokalnym sklepień, gdzie występuje na jaw użycie stopy miejskiej brunświckiej czy hannowerskiej i staje się zagadką nierozwiązaną. Cegła odgrywa w budowie podrzędną rolę; przeważnie jest tu mur zakryty okładkami lub wskroś ciosowy. Mury zewnętrzne ambitu mają być nasypowe, t. j. ściany ciosowe, a środek wypełniony kamieniem dzikim, zalanym zaprawą wapienną. Cegła układana krakowskim sposobem naprzemian głowa i wozówka w deseń. Powiada prof. Wojciechowski, że kamienia do budowy katedry było poddostatkiem, że zaraz po drugiej stronie Wisły góry krzemioneckie dostarczały przez wieki materyału kamiennego na potrzeby Krakowa. Kwestya ta absolutnie tem powiedzeniem nie wyjaśniona, bo Krzemionki dają tylko wapień, nie zaś piaskowiec, o który w budowie Nankierowskiej i romańskiej chodzi.

W rozdziale XXIX zastanawia się autor nad znaną kwestyą konstrukcyi gotyku krakowskiego. Streszcza więc zapatrywania na tę sprawę Essenweina i Łuszczkiewicza, oraz wyjaśnia, że łuki przyporne, jakie dla wzmocnienia filaru szkarpowego ukryte są pod dachem nawy południowej, są dostawione później, a nie są, jak Łuszczkiewicz sądził, konstrukcyjnym pomysłem pierwotnym, który odpadł przy budowie (nb. wcześniejszej) kościoła Panny Maryi, gdy budowniczy przyszedł do przekonania, że same filary szkarpowe wystarczą do utrzymania sklepień. Użycie filarów przypornych nie jest, zdaniem autora, specyficznie krakowskiem, bo znachodzi dwie jeszcze budowle nad Renem, mianowicie w Oberwesel i Salmansweiler, gdzie zostały zastosowane. W Krakowie najstarszym okazem jest kościół Maryacki, jeżeli nie klasztor dominikański. Twierdzenie swoje osłabia autor wiadomościami o wymienionych kościołach nadreńskich i bardzo pouczającym i pięknym wykładem o konstrukcyi sklepień kościołów krakowskich, o ich arkadach i żebrach, lasko-

waniach okien i ścian rozczłonkowaniach, co wszystko raczej za oryginalnością krakowską przemawia.

Kto budował katedrę? Jest to ostatnie pytanie, które zadaje sobie autor i próbuje rozwiązać. Szuka architekta przedewszystkiem na Śląsku, ale widzi tam odmienne konstrukcye, które nie harmonizują z pomysłami architekty katedralnego. Zatem zwraca się gdzieindziej i szuka go między budowniczymi klasztorów krakowskich i tu największe spotyka prawdopodobieństwo, bo prawie na czas budowy Nankierowskiej ukończyli Dominikanie r. 1321 budowę nawy głównej. Wreszcie poszukuje między murarzami świeckimi bezowocnie. Ostatni rozdział poświęcony jest sprawom obecnej restauracyi katedry.

Na tem kończę moje sprawozdanie o treści dzieła prof. Tadeusza Wojciechowskiego, któremu nie można odmówić aktualności i doniosłości, ale też nie można pominąć, że obok najpiękniejszych rezultatów badań napotyka się w bardzo znacznej liczbie wprost niemożliwe do przyjęcia twierdzenia. Układ pracy jest niejasny, ugrupowanie rozdziałów robi wrażenie, jakby autor początkowo nie był dostatecznie w kwestyach architektury przygotowany, nie opanował przedmiotu, nie zdawał sobie jasno sprawy na początku z wyników następnych badań. Zamiast więc ująć rzecz od razu i zgrupować materyał przejrzyście: opisać naprzód katedrę romańską, potem budowle gotyckie i wreszcie przemiany, jakim uległy w ciągu wieków, wszystko miesza się razem, style i epoki, powtarza się i gubi. Do jasnego przedstawienia nie przyczynia się i język autora, styl nieco ciężki i nużący nowatorstwem wyrazownictwa technicznego, jak kwiecień zamiast utartego kwiatonu, podole zamiast poziomu, drzeworylec zamiast snycerz, kamiennicy zamiast kamieniarze i wiele innych. Ma on w tem wiele wspólnego z nową historyą sztuki, publikowaną przez panią Marrené-Morzkowską. Uderzają też tak częste, co chwila w poważnej tej książce powtarzane, określenia: „trzeba to wiedzieć“, „należy wiedzieć“, „należy rozumieć“, „wiadomo“ i t. p., i to niejednokrotnie w sprawach, o których dotąd wiedzieliśmy zupełnie co innego, lub o których nic nie wiadomo, np. na str. 31: „Należy jednak wiedzieć, że ci picto-

rowie (XIV wieku) to byli głównie pozłotnicy i lakiernicy". Skąd ta pewna wiadomość o lakierze XIV wieku? Czyż jeżeli p. r. 1395 *Iacobus pictor* otrzymał zapłatę *pro crucifixo super quo iuratur*, to miał otrzymać ją koniecznie za wyzłocenie czy pokostowanie? Rozumiem, że otrzymał za malowanie, które mogło być tak samo arcydziełem, jak poślednią robotą. Albo na str. 14, 83, 92 „wiadomo jest" prof. Wojciechowskiemu, że koronacya odbywa się przed trumną św. Stanisława i na tej podstawie snuje hipotezy na str. 92 i 93; tymczasem dotąd było wprost przeciwnie wiadomo, że koronacya odbywa się przed wielkim ołtarzem i o tem mówią nie tylko ceremoniały koronacyjne, ale miniatury — nawet ta sama, którą autor reprodukuje — rysunki i ryciny. Jako znawca sztuki zajmuje autor zupełnie odrębne stanowisko od wszystkich innych — jest oryginalnym — np. kaplica Zygmuntowska nie znajduje u niego łaski, natomiast „kaplica Maryacka jest niewątpliwie ze wszystkich w całej katedrze najpiękniejszą" (str. 25). Albo o ślicznem podniebiu renesansowem pomnika Jagiełły, wykutem przez włoskiego artystę w piaskowcu, wydaje sąd temi słowy: „Około grobowca Władysława Jagiełły część górna, sprawiona przez Zygmunta I stiukowa i renesansowa — wcale nieudatna" (str. 103) i t. p. Praca prof. Wojciechowskiego była przyjętą, jak tego można się było spodziewać, z niebywałem zainteresowaniem. Jeden głos pochwały zabrzmiał na cześć zasłużonego autora. I stał się fakt, że krytyka naukowa nabrała w tej sprawie ogólnie charakteru kultu bezkrytycznego dla osoby, kultu, który nakazał zamknąć oczy na wszelkie usterki dzieła. I co ciekawe, że w nawale sprawozdań ani jeden z recenzentów nie zdobył się na podniesienie rzetelnych zasług prof. Odrzywolskiego, któremu zawdzięczamy najważniejszą część źródłowych odkryć w dziele omawianem. Na każdej karcie publikacyi dostrzegam rezultaty jego badawczej na Wawelu pracy i oneto właśnie głównie nadają książce źródłowy charakter, niespożytą wartość, bez której prof. Wojciechowski nigdy nie byłby w możności napisania swego dzieła.

Leonard Lepszy.

NA WZBRONIONYCH SZLAKACH.

Podróż i przygody w Tybecie Henryka S. Landora.

(Dokończenie).

V.

W czasie swego pobytu nad Mansarowarem Landor przekonał się ostatecznie o konieczności pozbycia się tragarzy, którzy, zamiast pomocy, byli mu teraz ciągłym powodem troski i zawodów. Nawet Kaczi Ram, który mu niedawno tak głośno wychwalał swą wierność, nie był wiele lepszym od innych. Odprawił go tedy z Dolą i trzema jeszcze, powierzając im paczkę rysunków i zdjęć fotograficznych, aby je przez granicę przenieśli. Przy nim pozostali dwaj Hindusi, nadto Bijezing i Nattu (ten sam, co go wśród marszu chciał zdradzić), którzy się zobowiązali odprowadzić go do przejścia Maju na drodze do Lhassy. Doszedłszy razem o 6 km od jeziora, dla zmylenia pozorów obie partye ruszyły z osobna: jedna napowrót do Hindostanu, druga ku Lhassie. Dotąd Landor szedł w kierunku północno-zachodnim, a potem wprost ku północy; teraz, nie opuszczając tybetańskiej strony Himalajów, miał iść na wschód, skręcając wraz z górami a później z Bramaputrą trochę ku południowi, skąd nakoniec należało zwrócić się znów na północ, ku Lhassie. Tymczasem postępowali wciąż przez rude wzgórza, obramione śnieżystymi szczytami. Po drodze rzadko spotykali ludzi i to nigdy prawie pojedynczo, ale wielkiemi gromadami, leżących

obozem lub prowadzących trzody. Landor usiłował do nich się zbliżyć tak dla zakupu żywności, jak i dla badania zwyczajów. Zaciekawiali go ci zbrojni pasterze o twarzach znużonych i oczach niespodzianie błyskających z pod ospałej powieki. Ciągłą jednak zaporą była ich niesłychana trwożliwość, rażąca przy wyniosłym wzroście i odpowiedniej wzrostowi sile; trudno było nawet przyjrzeć się zblizka szczegółom ubioru, gdyż zagadnięty drab cofał się zaraz zmieszany i drżący. Po południu pierwszego dnia wszczęła się ulewa, której nie przerwały zmroki wieczoru. Podróżni, wszedłszy w skalisty parów, stulili się pod dwoma wystającymi głazami: Landor z Hindusami, bronią i przyrządami naukowymi pod jednym, Bijezing i Nattu z pakami zapasów pod drugim. Noc była zimna; młody Anglik, zasnąwszy późno, zbudził się już w biały dzień. Obok niego Hindusi spali snem sprawiedliwego, ale Szokasów nie było. Umknęli, zabierając wszystką żywność okrom mięsnych konserwów.

Dalej poszli już tylko we trójkę: Landor, Czanden-Sing i smutny Man-Sing — trędowaty. Pracę teraz mieli podwójną, ciężką zwłaszcza przy ładowaniu pak na grzbiety jaków, przytem czas był okropny, a droga po łysych wzgórzach jednostajna i nudna, bez śladu życia, bez drzew. Pod wieczór jednak głośny dźwięk dzwonków przerwał tę ciszę; jakiś konny oddział się zbliżał. Podróżni umknęli z drogi i wnet ujrzeli około 150 żołnierzy, widocznie posłanych na zwiady. Zdala przedstawiali malowniczy widok w swych ciemno-czerwonych odzieniach, zbrojni w dzidy, lontowe strzelby i kamieniami wysadzane miecze, siedzący na pięknych siodłach, powyginanych w górę u przodu i tyłu, nakształt siodeł meksykańskich. Wyroby siodlarskie są głównym tybetańskim przemysłem; umieją skóry doprowadzać do dziwnej miękkości, nadając im często barwę czerwoną lub zieloną, strojąc ją w ozdoby żelazne, nabijane srebrem lub złotem. Kruszce te mają u siebie, mało jednak mogą z nich korzystać dla braku opału koniecznego do przetapiania rudy.

Tym razem, pomimo iż wyglądali tak pięknie, Landor był rad, że go nie spostrzegli. Noc na wysokim zrębie przepędził

na czatach. Zaledwie usnął nad ranem, już Czanden-Sing go zbudził.

— Panie! — szepnął — weź strzelbę.

Deszcz ustał, natomiast gęsta, mroźna mgła wznosiła się z doliny, a z pośród mgły poniżej ich wyłaniały się konie i jeźdźcy z dzidami. Snadź mgła była jeszcze zbyt rzadką: po chwili ujrzano ich i kilku jeźdźców z dowódcą na czele, zeszedłszy z koni, zbliżyło się do nich. Zaczęło się od komplementów i wyciągania języków.

— Jesteś wielkim królem — wołał oficer, poczem oświadczył, że tarjum z Tokczymu, dowiedziawszy się o przybyciu dostojnego gościa, posyła mu dary na powitanie. I wraz postawiono przed nimi worki z suszonemi morelami i daktylami, ser, masło, ryż i t. p. Landor poczuł zaraz, iż rzecz jest zbyt piękna, aby nie mieściła zdrady. Jął więc z godnością dziękować, równocześnie podając Tybetanom sumę, przewyższającą wartość przyniesionych zapasów. Rozmowa toczyła się dalej w tonie dyplomatycznym, przyczem Landor trzymał się wiernie przyjętej roli hinduskiego lekarza. Nie zauważył na czas, iż Man-Sing, snadź najbardziej zgłodniały, rzucił się na worki tarjuma i napychał usta masłem i serem. Spostrzegł to natomiast Tybetańczyk i, wnioskując z apetytu kulisa, iż podróżnym doskwiera bieda, podniósł od razu głos, zapraszając ich protekcyonalnie w gościnę tarjuma; gdy zaś Landor stanowczo odmówił, oświadczył hardo, iż w takim razie odbierze napowrót swe dary. Niewczesne to były słowa! Jeszcze ich nie domówił, gdy bryła masła, ręką Anglika rzucona, ugodziła go w piersi, za masłem poszły inne worki, uderzając to w głowę, to w ramiona przelękłych oficerów, podczas gdy kolba Czanden-Singa dudniła po wypchanych kożuchach. Jeden Man-Sing wśród ogólnej burzy zbierał spokojnie cząstki jadła rozlatujące się po ziemi i mruczał, iż to grzech takie dobre rzeczy marnować. Żołnierze tybetańscy, widząc zdala pogrom swojej władzy, umknęli cwałem bez pytania o jej dalsze losy; oficerowie uciekali też ale pieszo, bo im „wiara“ zabrała rumaki i tak biegnąc jedni za drugimi, zniknęli w przestrzeni... Wtedy Landor i Czanden-Sing, uznając mądrość

Man-Singa, jęli za jego przykładem zbierać po ziemi szczątki zdradzieckich darów.

Było to może zabawnem, ale nie wesołem, gdyż widocznie i tu już byli ścigani. Pomimo tego ze świtem ruszyli naprzód, idąc przez czas jakiś wzdłuż rzeki, potem znów krajem nudnym i gołym, wznosząc się aż do wysokości 5300 m pod potokami deszczu lejącego bez końca ni miary. Tu znów spotykali sporo małych jezior, których liczba powiększyła się, gdy zeszli na dość obszerną dolinę. Lało noc całą, trzeba było zwinąć namiocik, bo leżeli w wodzie; nad ranem deszcz zamienił się w grad, a grad w śnieg z wichurą. Dopiero koło południa zabłysło słońce, pośpieszyli tedy rozłożyć rzeczy, by choć trochę wyschły, gdy nagle jeden z nich zauważył, że jaków niema. Zdarzało się już parękroć, że się oddaliły, szukając trawy, teraz atoli Landor, wyszedłszy wyżej, aby je wypatrzyć lunetą, ujrzał 12 zbójów, uprowadzających drogocenne zwierzęta. Pobiegł za nimi, krzycząc i grożąc, ale dakoici odwrócili się, nabijając strzelby; Anglik wtedy, nie czekając ich strzału, wypalił pierwszy raz jeden i drugi, aż dwóch z bandy runęło na ziemię, a reszta złożyła broń, puszczając swą zdobycz. Dr Wilson nie byłby dał Landorowi tak strzelać do ludzi; Wilson jednak był teraz daleko. Nie szukając pomsty za swoich, dakoici spokornieli tak dalece, iż nie tylko dali się Landorowi do siebie zbliżyć, lecz nawet sprzedali mu nieco żywności; poczem podróżni pod nowym deszczem, moczącym świeżo ususzone odzienie, puścili się w dalszą drogę, prowadzącą znów chwilowo pomiędzy szczytami. Landor zdecydował się był przejść bardzo wysokim pasem, wkrótce więc poczęli brnąć w śniegu, lecz i tu również ujrzeli niebawem zjeżdżających ku sobie żołnierzy. Tym razem było ich tylko ośmiu i to niewymownie uprzejmych; skarżyli się na swój los, sypali grzeczności i żarty, ofiarowali gościnność i nie wskórawszy nic, odjechali. Landor wiedział, że się znajduje w pobliżu cudnego jeziora Gunkhyo, nie mógł jednak mimo wszelkich wysileń dojść do punktu, skądby miał nań widok, zawsze jakaś mgła lub wyżyna stawała mu zaporą.

Dziwnem źródłem siły w człowieku jest wola, nawet gdy

się zamienia w upór. Gdyby nie owo źródło, młody Anglik nie byłby chyba zniósł szalonych trudów tej drogi. Po całodziennym pochodzie wśród deszczu, śniegu, wichru i szpiegów, nie mógł nawet kilku godzin wypocząć swobodnie. Tej nocy zbudził się w namiocie z instynktownem uczuciem, że jest ktoś obcy w pobliżu. Wyjrzawszy, dostrzegł jakieś ruchome cienie, zawołał i w tejże chwili jęły z każdego kąta wyłaniać się czarne postacie tak niewyraźne wśród nocy, iż byłoby można wziąć je za senne majaki, gdyby nie stukot butów i kamieni, staczających się corazto prędzej z góry z pod uciekających stóp. Z rana istotnie ujrzeli w oddali około 200 żołnierzy. Przybył też od nich jakiś stary na zwiady, wypytując zręcznie rzekomego Hindusa o Anglika, którego sygnalizowano tybetańskim władzom, jako nieprawnie wkroczył do kraju; gdy zaś Landor wyparł się stanowczo przynależności do tegoż drużyny, mówiąc, że jego celem jest pielgrzymka, stary szpieg ofiarował mu się za przewodnika. Landor przyjął, ale wnet zmiarkował, że cały oddział towarzyszy mu z daleka. Na jego nalegania przewodnik poszedł do swoich i, odprawiwszy ich, wrócił z ośmioma ludźmi, pod których konwojem trzeba już było iść dalej.

Wysoką płaszczyzną a następnie wzgórzami dostali się na zieloną równinę, w głębi której świeci cudne jezioro Gunkhyo, obramione z jednej strony pagórkami a z drugiej śnieżnymi szczytami Gunkri, zdającymi się z fali wyrastać; widok zaprawdę wspaniały, choć niewymownie pustynny i dziki. Rozbili namiot na 5015 m wys., przyczem żołnierze eskorty rzucili się ochoczo do pomocy, gwarząc i klnąc na lamów. Mówili, że służą z biedy, nie widząc nigdy zapłaty innej jak prasowana herbata, masło i koń służbowy, nawet broń ich bywa zazwyczaj własnością rodzinną. Nazajutrz zato pokazało się, że przyjaźń przyjaźnią, ale służba służbą. Tuż w pobliżu było już przejście Majum, kędy żadnego Europejczyka noga dotąd nie dotknęła i snadź mieli rozkaz nie puścić przezeń podejrzanego Hindusa. Odprowadziwszy go kawałek drogi, oświadczyli Landorowi, że mu dalej nie dozwolą ujść kroku, że raczej mu głowę utną lub on im obetnie; na co on odrzekł ze śmiechem, iż bardzo żałuje, ale

nie ma właśnie scyzoryka w kieszeni i ukłoniwszy im się tybetańską modą, t. j. z wyciągniętym językiem, śpiesznie puścił się naprzód. Żołnierze stali chwilkę zmieszani, potem rzucili się na ziemię z głębokim pokłonem.

Przejście Majum znajduje się na 5335 m wys. Góra ta, z której jednem ze swych źródeł wypływa Bramaputra, jest ważnym punktem geograficznym Tybetu, tu bowiem dzielą się ogromne zachodnie prowincye Nari-Chorsum, obejmujące krainę jezior i gór aż po Ladak, od środkowej prowincyi Ju-tsang, ciągnącej się na wschód wzdłuż doliny Bramaputry. Nazwa *Ju* znaczy środek; Ju-tsang zawiera stolicę kraju Lhassę, jest to serce Tybetu — „Ziemia Boża", jak ją zowią krajowcy. Wstęp do tej Ziemi Bożej czczony jest niemniej, jak strzeżony; liczne słupy lub kwadratrowe stosy z białych kamieni świadczą o pobożności wędrowców, powracających z Lhassy, zawieszone na sznurach pomiędzy wysokimi masztami wieńce z „powiewających modlitw" trzepocą się ustawicznie pod wiatrem, olbrzymi napis: *Om mani padme hum* — co chwila przedstawia się oczom.

Przeszedłszy równinę, porosłą dziwną w tej wysokości zielonością, której widok był odpoczynkiem dla oczu zmęczonych blaskiem śniegu lub czerwonawą barwą obnażonych gór, Landor jął zwolna ku pasowi wychodzić. Prawie u szczytu odnalazł gościniec, wiodący z jeziora Bakastal i Mansarowar z Ladaku do Lhassy; dotąd unikał go był z obawy niemiłych spotkań, teraz postanowił go użyć. Niebawem wszakże tymże gościńcem zabiegło mu drogę kilku żołnierzy, oznajmiając, że mu nie wolno iść dalej, ale on, nie zważając na nich, poszedł mimo i jął ze swymi towarzyszami schodzić na drugi skłon góry — na Ziemię Bożą. Żołnierze stali długo u krawędzi skały, patrząc w dół za odchodzącymi; postacie ich rysowały się ostro na jasnem tle nieba, chorągiewki, pozaczepiane u ich strzelb lontowych, igrały w powietrzu. Gdy Landor, zeszedłszy, obejrzał się znowu, już ich nie było u szczytu. Wkrótce też o żołnierzach zapomniał. Strumyczek wązki jak wstążka wił się między kamieniami, spływając w dolinę, kędy doń inne, ze śniegu zrodzone, staczały się strugi: to był początek jednej z największych

rzek świata Bramaputry. Napiwszy się jej wody, szli dalej przez zielone doliny pomiędzy dwoma łańcuchami gór wyniosłych, śniegiem pokrytych od strony południa, a od północy okrąglejszych i mniejszych. Drugi ten grzebień acz mniej majestatyczny ma wielkie geograficzne znaczenie; on bowiem aż do Lhassy zaznacza dział wód Bramaputry. Równina, biegnąca pomiędzy obu równoległymi łańcuchami, jest najgęściej zamieszkałą z całego Tybetu. Na jej bogatych pastwiskach pasą się tysiącami stada owiec i kóz, a mnogie obozowiska rozkładają się nad brzegami „świętej rzeki“ i jej głównych dopływów.

Po różnych przygodach a mianowicie po cudownem niemal przepłynięciu wezbranego potoku z uczepionymi u jego ramion obu Hindusami, którzy, nie umiejąc pływać, ściągali go w głąb, dostał się Landor do jednego z tych wielkich obozów. Przybył mu teraz jeden towarzysz podróży, wielki tybetański pies, który przyszedł snadź z jakimiś ludźmi, całą noc przed jego namiotem ujadał, a potem z rana dał się udobruchać i, tknięty osobliwą sympatyą do osoby Man-Singa, przylgnął do podróżnej drużyny. W obozie miał Landor sposobność przypatrzenia się bliżej życiu, strojom i przemysłowi koczowniczej ludności, to też opisuje obszernie wielkie czarne, murkiem otoczone namioty, żywność obfitą w masło, ser, herbatę i mięso, a bardzo ubogą dla nieurodzajności ziemi w mąkę, ryż i owoce, dalej ubiory tybetańskich elegantek, splatających włosy w mnóstwo warkoczyków, od których wiszą na plecach trzy płaty sukna czerwonego i niebieskiego, złączone u góry i u dołu szeroką wstęgą, ponaszywane mnóstwem srebrnych monet, korali, malachitów i drobnych dzwoneczków: aż głowa boli na myśl takiego ciężaru uczepionego u włosów. Opisuje również tortury, jakie znosić musi każdy, spędzający noc w pobliżu tybetańskich namiotów, bogatych we wszelkie okazy drobnego zwierzęcego rodu, których zapewne Noe nie potrzebował zapraszać do arki, bo się nań bez pytania dostały.

Pobyt podróżnych w tem obozowisku nie trwał długo, gdyż znów zjawiło się 200 żołnierzy, których dowódca zbliżył

się do Landora bez zwykłych form grzeczności i tonem hardym przyobiecał mu darować kozę, jeżeli pójdzie precz:

— A ja to ci daję, abyś poszedł precz! — odparł Anglik i szybkim bokserskim ruchem powalił go o ziemię. Oficer zaczął buczeć jak dziecko i wnet oddalił się ze swoim oddziałem, odtąd jednak rzekomi pielgrzymi bardziej niż kiedykolwiek czuli nad sobą niebezpieczną opiekę tybetańskich władz, czyhającą na każdym kroku. Z tego powodu musieli (o ile można poznać z niebardzo tu jasnego opisu) zboczyć z głównego traktu, a raczej często zeń zbaczać. Szli dolinami wpośród pagórków, z poza których tu i ówdzie wyglądał w dali jakiś wyższy bielejący szczyt. Bramaputra, doszedłszy wcześnie do poważnych rozmiarów, wypuszcza ze swego łona krom głównego koryta kilka pomniejszych odnóg, które łączą się napowrót, tworząc limany lub też giną, zamieniając znaczne szmaty ziemi w nieprzebyte bagna. Trzeba było takowe okrążać, czasem mniej głębokie i wielkie przebywać pod przypiekającem słońcem we dnie i rojami zjadliwych moskitów. W nocy temperatura spadała gwałtownie, niekiedy poniżej zera. Chodzenie wśród tych trzęsawisk było tak ciężkie, iż pewnego dnia biedny Man-Sing, prowadzący na sznurku zakupioną dla mięsa kozę, osłabł nagle i omdlał. Towarzysze nie spostrzegli na razie jego nieobecności; dopiero doszedłszy na suchy grunt, Landor obejrzał się za nim i pełen niepokoju powrócił wstecz. Zastał go leżącego na wznak i nawpół zatopionego w błocie: uratowała go kilkakroć wokoło ręki okręcona linka, u której drugiego końca stała na twardszem miejscu uwiązana koza.

VI.

Szli tak przez dzień jeden, drugi, trzeci. Poczciwi Hindusi nie skarżyli się, ale słabli; zwolna ustały żarty, potem rozmowy, droga zdawała się nie mieć końca, dnie przeciągać się całą wieczność. Raz jeden natknęli się na pasterzy, od których za dobrą zapłatą wymogli kilka kwart mleka, poczem znów trzeba się było wlec naprzód bez jadła, zazdroszcząc jakom, odżywiającym się trawami doliny. Nie doznawali wyraźnego

bólu, tylko brak sił i dziwną pustkę w głowie. Czanden-Sing był tak wyczerpany, iż Landor wziął mu ciężącą strzelbę z ramienia, ale i on wkrótce poczuł, iż wnet przyjdzie im paść na drodze — o kilka dni pochodu od Lhassy.

Wielką była ich radość, gdy ujrzeli czarne namioty wielkiego obozu, a z ponad namiotów długie wstęgi dymu, świadczące o gotującej się strawie. Obóz był gęsto zaludniony — rzekłbyś, ruchome miasteczko. Przyjęto ich gościnnie, przyniesiono podarki wraz z nieodzowną „katą", czyli „szarfą przyjaźni", mającą być rękojmią szczerości dawców[1]. Landor zwykł był za dary hojnie odpłacać, co też i teraz uczynił, rad był wszakże, że dla siebie i towarzyszy znalazł pożywienie obfite, rad też, iż mu obiecano na dalszą drogę zapasy i konie wierzchowe: nogi tak jego, jak Hindusów nie mogły już ponieść ich dalej. Wieczorem miał wizytę dwóch lamów, wracających, jak mówili, z Lhassy, skąd w 4—5 dni z łatwością przybyli; nie było mowy o wkraczającym i ściętym Sahibie. Zasnęli wesoło, marząc o blizkiem już osiągnięciu celu podróży.

Nazajutz istotnie przyniesiono dużo zapasów na sprzedaż i przyprowadzono konie, które Czanden-Sing i Man-Sing — obaj znakomici jeźdźcy pobiegli próbować przed namiot. Poszedł za nimi i Landor, tym razem wyjątkowo bez broni, a za nim gromada ludzi, taka, jaka zwykle się zbiera na każdym punkcie kuli ziemskiej, gdzie się targ odbywa o konia. Rumak był istotnie pyszny, a Czanden-Sing uradowany ze swego wyboru; wszczął się tedy handel przy udziale nieproszonych rad publiczności, gdy nagle rozległ się przeraźliwy świst i w tejże chwili Landor uczuł się pochwyconym z tyłu i rzuconym o ziemię; po trzykroć wyrywał się i wstawał, po trzykroć napowrót upadał — wkońcu zarzucono mu sznur na szyję i z obu końców

[1] Kata jest długą wstęgą z gazy, ozdobioną u obu końców frendzlami. W Tybecie musi podobna szarfa towarzyszyć każdemu darowi, który inaczej nie byłby przyjęty. Podobnie gospodarz domu musi obdarzać nią każdego gościa, który wszakże przed wyjściem oddaje ją — znów jako prezent — pierwotnemu właścicielowi. Gdzie jest kata — tam powinna być wykluczoną zdrada i wszelka zawiść.

ściągnięto. Po chwili był skrępowany, nawpół zdławiony, z rękami związanemi w tył. Równocześnie Czanden-Sing, opadnięty przez kilkunastu Tybetan, bronił się zajadle, wołając na Man-Singa o strzelbę; na Man-Singu zaś siedziało czterech drabów, bijąc go, targając i wiążąc, pomimo że nie stawiał oporu. Gdy Landora postawiono na nogi, ujrzał plac, napełniający się wkoło żołnierzami pod bronią. Zasadzka była dobrze przysposobiona: użyto 500 ludzi do schwytania trzech wygłodniałych i chwilowo bezbronnych wędrowców.

W końcu wszystkich trzech uwiązano za szyję u siodeł i wśród krzyków tryumfu powleczono na majdan obozu, gdzie Landora pod silną strażą zamknięto osobno. W czasie drogi skorzystał ze sposobnej chwili, by towarzyszom zalecić największy spokój wobec krajowców: „Cokolwiek zrobią, nie okazujcie cierpienia!“ Jemu samemu wszakże mocno już dolegały sznury, wpijające się w ciało. Po trzech godzinach wszedł do namiotu jakiś wojskowy i kazał wyprowadzić więźnia, oznajmiając głośno, że będzie ścięty.

— A niech tam! — odpowiedział Anglik ku wielkiemu zdumieniu obecnych, nieprzywykłych do odwagi u siebie i swoich.

Wywleczono go jednak na dwór; tu przed domem z gliny lepionym w głębi majdanu ujrzał wzniesiony naprędce ogromny namiot biały, zdobny w medaliony niebieskie; przednia część była odchylona i odsłaniała liczne postacie czerwonych lamów, poruszające się żywo. O jakie 30 kroków straż zatrzymała się, lecz na to tylko, aby na więźniu sznury mocniej jeszcze zacisnąć, poczem, szturchając i ciągnąc, powiedli go na tyły domu. Odchodząc, widział, jak z innego boku prowadzono Czanden-Singa; po chwili też usłyszał gniewne głosy lamów, przesłuchujących Hindusa i oskarżających go, iż to on Anglika do kraju wprowadził. Następnie doszedł odgłos ciężkich razów, a wraz z nim tłumione jęki; z bijącem sercem liczył uderzenia i naliczył pięćdziesiąt...

Chwilę było cicho, potem wyprowadzono go na plac. Przed namiotem, na wyniosłem krześle siedział Pombo, czyli wielko-

rządca (niemal lenny książę) prowincyi, otoczony lamami i wojskowymi. Odziany był w jaskrawo-żółte szerokie spodnie i kaftan, chińskie buty z farbowanej skóry; na głowie ogolonej, jak na Wielkiego lamę przystało, sterczała wysoko coś jakby tyara sztywna z silną pozłotą. Pod nią widniała twarz młoda, o rysach niemal niewieścich, zdradzających nerwowość, posuniętą aż do histeryi. Zdawał się podnieconym, gniewnym, po wargach rozchylonych — (jak zwykle u Tybetańczyków) — sączyła się piana. Prowadzący więźnia chcieli go zmusić, by ukląkł, on jednak bronił się i na razie dano mu spokój. Pombo zaczął do niego coś mówić, z czego Landor, znając tylko ludową gwarę miejscową, nic nie zrozumiał i poprosił, by się mniej pięknie wyrażał, na co władca mocno urażony wskazał mu już tylko, aby popatrzał w bok. Wtedy szereg żołnierzy, stojący z tej strony, rozsunął się, za nimi przed gromadą kapłanów i oficerów leżał twarzą do ziemi Czanden-Sing, okryty od pasa do stóp krwawemi pręgami. Nad nim stało dwóch silnych lamów, trzymających w ręku wielkie baty rzemienne, obciążone węzłami i gruzłami ołowiu, które w tejże chwili puścili w ruch. Każdy cios odzywał się w sercu Landora; czuł wszakże, iż okazaniem najmniejszego wzruszenia może tylko położenie pogorszyć. Tybetanie pojmali go, ale teraz nie wiedzieli, co z nim począć. Pombo zaś wlepiał w niego wzrok uporczywie i stali tak ze dwie minuty, patrząc sobie oko w oko. Tybetańczyk zdał się zahypnotyzowanym; gdy wreszcie przemówił, głos jego przed chwilą tak gniewny brzmiał mile i łagodnie. Lamowie spojrzeli nań ze zdumieniem i niezadowoleniem, spiesznie też odciągnęli Landora na miejsce, gdzie Czanden-Singa męczono. Wtedy egzekucyę przerwano, a natomiast zaczęło się przedkładanie schwytanych map, notatek i szkiców, oraz przesłuchiwanie Landora. Jeden z lamów, który bił Czanden-Singa, rosły chłop w jedwabnej szacie czerwonej, złotem haftowanej u szyi, zbliżył się doń, namawiając, by zeznał, iż to Hindus przewiódł go przez granicę i że również on sporządził mapy i szkice: „W takim razie — dodał — będziesz tylko wyprowadzony z kraju; służącemu twemu głowę utną, ale tobie nic się nie stanie“.

Łatwo pojąć, jak młody Anglik przyjął podobną propozycyę. Odmowa jego rozgniewała lamów. Jeden z nich uderzył go silnie rękojeścią bata po głowie:

— Jeśli tak, to ciebie i twego sługę będziem bili, aż powiecie to, co każemy.

— Bijcie nas, ile wam się podoba — odparł — ale jeśli nas ukarzecie niesłusznie, sobie tylko wyrządzicie szkodę. Możecie nas ze skóry obedrzeć, ale nie możecie sprawić, abyśmy ból odczuli.

Pomimo tego zapewnienia, razy poczęły znów sypać się na Czanden-Singa. Wreszcie deszcz, którego Tybetanie nie cierpią, położył koniec okropnej scenie. Landora odprowadzono do dawnego więzienia; tu jednak zastał wyższego oficera, *rupuna* (coś jakby wice-generała) w czerwonem odzieniu ze złotym haftem i wyłogami ze skóry lamparciej. Miał miecz przepyszny w srebrnej pochwie, sadzonej koralem i malachitem; twarz jego już niemłoda miała wyraz szlachetnej dobroci. Posadził więźnia przy sobie i, o ile mógł, bez rozwiązania krępujących go sznurów usiłował ulżyć mu na duszy i ciele; po paru godzinach wszakże przyszedł go inny strażnik zastąpić, a wtedy żołnierze zrzucili Landora z siedzenia w najbrudniejszy kąt namiotu, gdzie mu przyszło przepędzić noc. O śnie mowy nie było tak dla niepokoju i bólu z powodu wpijających się więzów, jak i dla mocy robactwa, która wnet oblazła skrępowane ciało. Zresztą nie było ani chwili ciszy. Jeden z żołnierzy w namiocie nie przestawał kręcić młynkiem, powtarzając w głos jedną i tę samą modlitwę, na zewnątrz słychać było nawoływanie straży. Około północy rupun powrócił i przyniósł Landorowi jeść i pić, karmiąc go własnymi palcami, co za przykładem wodza jęli czynić udobruchani chwilowo żołnierze. Palce ich nie były koniecznie czyste, ale w takich warunkach i przy takim głodzie człowiek przestaje być wybrednym. Grzeczność ta jednak złym była zwiastunem; miano litość nad nim, jako nad blizkim śmierci, a gdy pytał o swych Hindusów — milczano. W tej strasznej niepewności przyszło mu kilka godzin przepędzić.

Wkrótce wyprowadzono go do domu w głębi obozu; tu

przez okno zaglądał wygrażający tłum, wśród tłumu jednak Landor ujrzał z radością skrępowanego, ale żywego Man-Singa. W tej chwili jeden z lamów przystąpił doń z najgrzeczniejszym uśmiechem, kazał go wywieść przed dom i sznury na rękach zamienić na ciężkie, żelazne kajdanki, zapewniając przytem uprzejmie, że niedługo będzie je nosił, ale że koń dlań gotów, gdyż Pombo, który odjechał, pragnie raz jeszcze go widzieć. Ledwie z różnemi ostrożnościami dokonano zamiany, motłoch, podniecany przez lamów, rzucił się ku bezbronnemu, plując nań, miotając błotem i obelgami przeciwko Anglikom. Trwało tak, aż rupun, przybywający z żołnierzami, rozparł tłum i wciągnąwszy jeńca napowrót do izby, zawarł za sobą wrota. Smutny był i bardzo blady; na znak współczucia wsparł chwilę czoło o skroń młodzieńca:

— Wszystko stracone — rzekł. — Dziś wieczorem cię zetną. Lamowie są źli, a mnie serce boli jakoby za bratem.

Więcej powiedzieć nie mógł, bo tłum wdarł się do izby i wywlókł więźnia. W tej chwili atoli tenże usłyszał słaby głos, wołający nań po hindostańsku:

— Panie! Panie! Umieram!

I odwróciwszy głowę, ujrzał u drugich drzwi domu wybladłą, do niepoznania cierpieniem zmienioną twarz Czanden-Singa, który z rękami związanemi w tył czołgał się ku niemu. Tego już niepodobna było znieść spokojnie. Rozpychając swą straż ramionami, Landor rzucił się ku wiernemu słudze i nastąpiła chwila ciężkiej walki, ale była to chwila tylko: w parę minut później Czanden-Sing znikł, brutalnie zepchnięty do izby, Anglik zaś, podniesiony w górę, znalazł się na grzbiecie konia. Opodal był Man-Sing też na koniu ze związanemi rękami. Niebawem ruszyli w drogę, otoczeni oddziałem kilkudziesięciu żołnierzy. Koń Landora ognisty był i wspaniały, siodło jednak drewniane, bez żadnego okrycia, nadto opatrzone z tyłu długimi żelaznymi szpicami, które za każdym ruchem krzyże jeźdźca raniły. Koń prowadzony był na lince przez jednego z żołnierzy. Jechali tak kilka mil, aż wreszcie, wyjechawszy na większą wyniosłość, ujrzeli liczną gromadę jeźdźców błyszczą-

cych z poza tumanów kurzu różnymi kolorami tęczy. Zmierzyli spiesznie ku niej i wkrótce Landor ujrzał się wobec świetnej drużyny wojskowych i lamów, na której czele stał Pombo w swej złotej śpiczastej czapie i żółtem odzieniu. Ponad głowami powiewały buńczuki, złożone z różnobarwnych wstęg. Zaledwie się zbliżyli, żołnierz, wiodący konia Anglika, puścił go wolno, zadając mu kilka silnych razów nahajką, pod którymi rumak począł gwałtownie się ciskać i skoczył ku stronie Pomba. W tejże chwili Nerba, pisarz tarjuma z Tokczymu, przykląkł i oparłszy swą niezgrabną strzelbę, wypalił wprost w głowę jeńca. Strzał atoli chybił, dzięki poruszeniu konia, Landor słyszał tylko, jak mu kula świsnęła przy uchu. Wtedy pochwycono wystraszonego rumaka i przywiedziono przed księcia. Nieudanie się zamachu utwierdzało snadź obecnych w mniemaniu, że Anglik posiada jakieś broniące go czary; widział to po zmieszanych ich twarzach, postanowił więc dalej grać swoją rolę i choć plecy jego mocno krwawiły, oświadczył, iż miło mu jest jechać na tak pięknym koniu. Czy polityka jego była mądrą? Trudno powiedzieć. Tybetanie chcieli go zgładzić, a bali się uczynić tego z blizka, więc różne wymyślali fortele. U kajdanków, więżących mu ręce, umocowano długi sznur i kazano trzymać żołnierzowi, drugi, jadąc obok niego, jął batem podniecać konia, wpędzając go w cwał, reszta zaś z hukaniem, krzykiem i łoskotem dzwonków puściła się w pogoń. Trwała ta piekielna jazda — jak się Landorowi zdało — całą wieczność; koń jego szalał, ostrza żelazne coraz boleśniej rozdzierały mu plecy, ogniwa kajdan coraz silniej za każdem szarpnięciem sznura wpijały się dokoła rąk. Żołnierz, trzymający sznur, usiłował widocznie zrzucić go z kulbaki, by poległ, stratowany kopytami pogoni, natomiast za gwałtowniejszym skokiem sznur pękł, a Tybetanin stoczył się na ziemię. Wtedy na chwilę ucichło, pogoń wstrzymała się, spojrzano znów na jeńca z zabobonną trwogą. Trwało to jednak krótko, związano zerwany sznur i popędzono na nowo. Wśród jazdy padła druga kula, tu i ówdzie świsnęła strzała, z blizka bardzo wysłana, wszystkie chybione.

Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy szalony pościg się

wstrzymał. Przed jeźdźcami stał cel podróży, twierdza z obszerną gombą, sterczącą u szczytu bardzo stromego wzgórza, a u podnóża tego kilka namiotów, między którymi namiot Pomba odznaczał się rozmiarami i wystawnością. Landora strącono z konia; wyczerpany bólem i trudem poprosił o chwilę wytchnienia, ale napróżno. Odpowiedziano mu, że zaraz będzie ściętym, zaczem wśród urągań i obelg tłumu pchnięto go na plac egzekucyi po lewej stronie namiotu. W tejże chwili rozległ się przeraźliwy głos trąby, gorgu, cymbałów i bębna, witający przybycie jeńca. Żołnierze powiedli go do leżącej na ziemi belki, obciosanej w trzy kanty; na ostrym kancie, obróconym do góry postawiono mu nogi, które, ciągnąc sznurami z całych sił, rozkraczono i przymocowano do drzewa. Z tyłu stanął Nerba i schwycił go za włosy. Gdy skończyli, Landor rozejrzał się; przed nim stało w rzędzie kilku ohydnych lamów, potrząsających różnemi narzędziami tortury, opodal Pombo, a przy nim na wysokiem naczyniu z rozpalonymi węglami krótka sztaba żelazna z rękojeścią owiniętą czerwonem suknem. Pombo pienił się znowu i rzucał się w podnieceniu nerwowem, odwracając przytem wzrok od oczu jeńca. Lamowie gniew jego podsycali krzykami i giestem, podczas gdy żelazo rozpalało się do czerwoności. Wtedy Pombo pochwycił rękojeść:

— Przyszedłeś tu, aby widzieć — zawołał — więc musisz oślepnąć!

I zbliżył żelazo do twarzy Landora tak, iż mu niemal dotykało nosa. Nieszczęsny poczuł okropny ból, przyczem instynktowo z całej siły zacisnął powieki. Męka, która mu wydała się wiekiem, trwała w istocie może pół minuty. Gdy Pombo odjął żelazo, otworzył powoli oczy. Świat cały zdał mu się w czerwonej mgle skąpany, jednem okiem nie widział nic prawie, przez drugie co chwila przechodził jakoby cień, zasłaniający źrenicę. Naciągnięte mięśnie nóg sprawiały mu ból okrutny, przed nim widniały nowe narzędzia męczarni, „tarum“, t. j. owo żelazo, które dopiero co paliło mu oczy, leżało sycząc, na zroszonej trawie.

— Zabij go strzelbą — ozwał się jakiś głos ochrypły.

Istotnie żołnierz jął natychmiast nabijać strzelbę, sypiąc do niej ogromną moc prochu. Podano ją Pombowi, który przyłożył ją Landorowi do czoła, kierując lufę do góry. Zdawało się, że musi rozsadzić mu głowę. Tymczasem, gdy żołnierz zapalił lont, więzień doznał tylko silnego uderzenia w skroń, strzelba zaś ku ogólnemu zdumieniu wyskoczyła z rąk Pomba. Landor roześmiał się głośno, lamowie zgrzytali ze złości: „Czyż go nawet nie zdołamy zastraszyć?“ — pytali jedni. „Zabij go! Zabij go!“ — krzyczeli inni, podając Pombowi ogromny, dwuręczny miecz. Pombo wahał się chwilę, snadź upatrywał działanie jakiejś wyższej, niewidzialnej mocy, ale tłum krzyczał coraz głośniej, aż i jego na nowo ogarnął gniew. Twarz jego zmieniła się do nie poznania, rzucił się w bok, a w tejże chwili jeden z lamów przystąpił doń szybko i wsunął mu coś do ust, poczem natychmiast zaczęła z nich sączyć się piana. Zbliżył się, podwinął rękawy i podniósłszy miecz, uderzył nim gwałtownie w powietrzu tak, iż ostrze musnęło prawie szyję Landora. Wściekłość i wrzaski tłumu dosiągnęły w tej chwili szczytu, lamowie miotali się jak opętani, podniecając Pomba do czynu. „Dziś jeszcze — pisze autor — słyszę ich dzikie krzyki, widzę okrutny wyraz ich twarzy“. Pombo po raz drugi podniósł miecz i znowu uderzył w powietrze. Jest to — o czem Landor nie wiedział — zwyczaj w Tybecie gwoli przedłużenia męczarni skazańców. Trzeci cios bywa dopiero śmiertelnym. Pombo jednak nie chciał już po raz trzeci uderzyć; jego oczy pełne trwożliwej czci wlepiały się teraz w zbolałe źrenice Anglika. Napróżno już miotali się lamowie; zamiast egzekucyi, nastąpiła narada.

Podczas gdy zwierzchnicy oddalali się, wyprowadzono Man-Singa znużonego i stłuczonego, parękroć bowiem spadał z konia w czasie jazdy. Teraz przywiązano mu nogi do tej samej belki, u której stał Landor; tego zaś posadzono gwałtownie na ziemię, okrywając go derką. Poprzednio powiedziano mu, iż Man-Sing pierwszy będzie ścięty, a potem on, gdy więc z pod nakrycia swego usłyszał ciche jęki trędowatego, a potem już nic, gdy na wołanie żadnej nie dostał odpowiedzi, pewnym już był, że się wszystko dla Man-Singa skończyło. Był to wszakże tylko okrutny

żart lamów. Man-Sing nie mógł odpowiadać, bo go ściśnięto za gardło. Gdy mu odkryto głowę, Landor zażądał jadła, oświadczył, że jeżeli mają dożyć odłożonej do jutra egzekucyi, muszą się obaj pożywić. I wtedy — czy to z obawy, aby tak rzeczywiście nie było, czy też, że strzegący ich obecnie mniej byli od przełożonych srogimi — dość, że nastąpiła w męczarniach przerwa, w czasie której nakarmiono ich potrosze. Ledwie jednak nieco wytchnęli, aliści już wpadł jakiś lama, wydając rozkazy, wskutek których Landora podniesiono na nogi, które szerzej jeszcze rozciągnięto na belce; sznur zaś przewleczony przez kajdanki, spinające mu ręce na plecach, umocowano wysoko w otworze, wydrążonym u pala, stojącego w tyle. Toż samo uczyniono z Man-Singiem; nadto uwiązano im obojgu szyje jednym sznurem tak, aby się wzajemnie ciągnęli. Trudno było o wymyślniejsze tortury: nawpół wiszących przez całą noc zostawiono pod strażą dwóch żołnierzy i dwóch uwiązanych psów.

Słońce już było wysoko na niebie, gdy Pombo zjechał z fortecy ze swoją drużyną i rozpoczął lustracyę schwytanych przy więźniu pak z przyborami naukowymi. Każdy nowy przedmiot wzbudzał zdziwienie lub zabobonną trwogę; klisze fotograficzne, gdy ujrzano, iż żółkniejąc na słońcu, odrzucono daleko i polecono zakopać w ziemię. Najzabawniejsza była scena z kąpielową gąbką, wyschniętą i spłaszczoną pod ciężarem innych rzeczy. Ciśnięta z pogardą na bok, wpadła w małą kałużę, utworzoną przez deszcz nocny opodal od Landora, i — o dziwo! — zaczęła róść. Landor, widząc ogólne zdumienie, jął przemawiać po angielsku do gąbki, która niby pod wpływem jego zaklęcia pęczniała wciąż, przybierając ogromne kształty. Wznieciło to na nowo podejrzenie Tybetańczyków, że mają do czynienia z europejskimi czarami. Bardzo ożywiona narada skończyła się na tem, iż kilku żołnierzy zajęło się odwiązaniem od pala i belki rozciągniętej na nich ofiary. Biedny młodzieniec padł ciężko na ziemię ze skutemi jeszcze rękami; z nóg jego wraz z odejmowanymi powrozami schodziły długie kawałki skóry. Zrazu też nie poczuł ulgi, bo członki długo pozostały sztywne, a gdy krew jęła napowrót krążyć, wszczął się ból niemal równie do-

tkliwy, jak w pierwszych godzinach tortury. Niebawem jednak uwaga jego — zawsze dziwnie żywa — przeniosła się od własnych cierpień na otoczenie zewnętrzne. Pombo, który widocznie działał wciąż pod presyą lamów, wbrew swym osobistym uczuciom, okazywał się teraz wesołym i nawet przyjaznym. Landor ośmielił się poprosić go o nieco żywności — toć już 36 godzin on i Man-Sing nie mieli nic w ustach!

Po chwili przyniesiono herbatę i kociołek z wybornem mięsem duszonem; zgłodniali byliby i dwa takie spożyli, wraz jednak pokazało się, iż Landor nie był w stanie przełykać. Wszystkie muszkuły, żyły i nerwy w jego ciele były tak naciągnięte, iż cały organizm ucierpiał. Po odjeździe Pomba uwiązano go znowu do belki i pala, nie tak mocno jednak, jak wczoraj. Natomiast po jakiej godzinie paru lamów przyszło, częstując go znowu herbatą, która mu, sądząc z ich twarzy, wydała się podejrzaną. Skosztowawszy, nie chciał pić więcej, a już i to snadź było za wiele, gdyż wkrótce silne kurcze wewnętrzne przyłączyły się do dawnych cierpień. Noc minęła bolesna bardzo, ale spokojna; zdawało się, już rzeczą pewną, iż o ścięciu nie będzie mowy. Pombo tak dla osobistych, jak zapewne i politycznych względów pragnął tego gwałtu uniknąć.

Rzeczywiście tegoż dnia jeszcze, włożywszy do kieszeni Landora 160 rupii, wydzielonych z zabranych mu pieniędzy, rozkazał go wraz z Man Singiem wyprowadzić z Tybetu. Powierzywszy ich oddziałowi żołnierzy, którzy, uwiązawszy ich sznurami do swoich siodeł, wiedli ich, a raczej wlekli przez kilka mil drogi, szarpiąc i łając brutalnie, gdy ich zbolałe członki i poranione stopy nie mogły chodowi koni nadążyć. Nawpół żywych przypędzono do Toksem; tu jednak orzeźwili się widokiem Czanden-Singa, który sam radował się niezmiernie, gdyż miał ich już za straconych. On sam przepędził trzy dni i trzy noce, stojąc na swych obitych nogach, przywiązany do słupa, trzy dni bez jedzenia ni picia. Nazajutrz rano, widząc, że ani on ani Landor nie są w stanie iść pieszo, wsadzono ich na grzbiety jaków, zawsze z rękami skutemi do tyłu; biedny Man-Sing musiał nadal biedz uczepiony u konia. Jazda była

straszna, trwająca dziennie po kilkanaście godzin w największym pośpiechu; na noc żołnierze wiązali jeńcom nogi i zostawiali ich na śniegu lub deszczu o chłodzie, a zwłaszcza o głodzie, gdyż im nie codzień udzielano żywności. Dotarli tak do Mansarowaru, gdzie umieszczono ich w tym samym seraju, kędy nocowali za pierwszym pobytem, zmoczeni wprawdzie i bardzo zziębnięci, ale pełni fantazyi, pełni nadziei dotarcia do Lhassy. Dziś powracali w więzach sponiewierani, pokaleczeni, zbici, głodni i przez robactwo toczeni.

Lamowie z nad świętego jeziora wyszli wszyscy na spotkanie jeńców, od nich samych wszakże odwrócili się z twarzą surową i wrócili do gomby, zatrzaskując za sobą bramę. Nie można im się dziwić, skoro w rzekomym hinduskim pielgrzymie odkryli Anglika i według swoich mniemań — szpiega. Landor był jeszcze pilnie strzeżonym; gdziekolwiek szedł, miał stale czterech żołnierzy przy boku; cieszył się jednak, bo mu zdjęto okowy i dozwolono, podobnie jak towarzyszom, obmyć okrywający ich kał, krew i robactwo w zimnych wodach Mansarowaru. Nie dano im wszakże nowego odzienia, wychodząc z wody, musieli napowrót przywdziać swe rojące się od żyjątek łachmany... Man-Sing, którego przez całą drogę pieszo pędzono, był najbardziej zmęczony, miewał napady gorączki, wśród których tracił przytomność. Niemniej przeto dzika wesołość ogarniała biedaków na myśl, że są o dwa dni od granicy, że za dwa dni będą na Lippu, najniższej przełęczy z Tybetu do Indyi. Radość ta powiększyła się jeszcze, gdy, wyruszywszy, na pierwszym popasie spotkali dwóch podróżnych Szokasów, którzy im donieśli, iż dr. Wilson, posłyszawszy, iż ich wszystkich trzech ścięto w Tybecie, udał się o poparcie do indyjskiego urzędnika, t. zw. politycznego peszkara, Charak Singa, że obaj przekroczyli granicę dla sprawdzenia pogłoski i upomnienia się u władz tybetańskich i że obecnie znajdują się w Taklakocie. Landor jął błagać Szokasów, by się wrócili do Wilsona z oznajmieniem, że żyje i dokąd go wiodą. W tej chwili jednak straże wzbroniły dalszej rozmowy; poczęto szykować się do drogi, gdy naraz zjawił się goniec z pismem od Jong Pena, rozkazującem prowadzić jeńców nie

na poblizkie Lippu, ale na Lumpiya, to jest o jakie szesnaście dni dalej. Doszedłszy do śniegów, mieli żołnierze opuścić ich pieszo, nie dając im żywności ani odzienia ni derki; Jong Pen obliczał, iż w ten sposób muszą zginąć w górach, poczem przyjdzie tylko zdać władzom angielskim raport o ich naturalnej śmierci.

Wczoraj jeszcze byłby może Landor wyrokowi się poddał, dziś atoli po elektryzującej wieści o blizkości przyjaciół postanowił się bronić. Umówił się z Hindusami i uszedłszy ze cztery kilometry w nowym kierunku ku Lumpyi, zatrzymali się, oświadczając zgodnie, że ani kroku dalej nie pójdą, iż wolą poledz teraz od kuli lub szabli, niż w górach od głodu i mrozu. Żołnierze zakłopotani zgodzili się na przenocowanie w tem miejscu, a tymczasem posłali po rozkazy do twierdzy. Wśród nocy posłaniec wrócił z nakazem szybkiego pochodu na Lumpiya. Wtedy jeńcy, dobywając ostatnich sił, chwycili za kamienie i jęli z krzykiem ciskać je na Tybetańczyków; ci zaś liczni, silni i zbrojni — uciekli! Uciekli przed trzema nędzarzami ogłodzonymi, uzbrojonymi tylko siłą rozpaczy. Widząc, iż jeńcy zwrócili się z drogi, idąc wprost w stronę Taklakotu, jęli iść za nimi z daleka, nawołując ich i błagając, aby ich nie wystawiali na niechybną karę, ale Landor, nie zważając na nich, szedł dalej.

Szli tak przeszło godzinę, aż z przerażeniem ujrzeli przed sobą znaczny oddział wojska i lamów, którym ani ujść ani się obronić nie było podobna. Landor tedy wziął się na odwagę i poszedł wprost ku dowódcom oddziału, podając im rękę. Byli tam Lapsang, minister Jong Pena i tegoż pierwszy sekretarz, posłani, by dopilnować wykonania rozkazów. Obejście ich było uprzejme, ale wszelkie protesty okazały się płonnymi — trzeba było pod ich eskortą zawrócić znów ku zachodowi. Zajechali aż przed Kardam, gdzie nowy goniec Jong Pena nakazał jeńców odstawić do Taklakotu i po raz czwarty tego dnia zmieniono kierunek drogi. Landor nie pisze już, czy go ucieszyła ta zmiana; spodziewał się zapewne, że lada chwila nowy posłaniec przybędzie i znów ich skieruje na Lumpiyę. Tymczasem przebyli znany już płaskowyż, położony nad rzeką Gakkon i dotarli wieczorem do osady Dagmar. Jong Pen istotnie znów zmienił

zdanie i według pierwotnego planu polecił wieść ich przez Lumpiyę. Położyli się zatem nie w różowym humorze. W nocy atoli powstał w osadzie ruch, ludzie biegali tu i owdzie, nawołując i krzycząc, ziemia tętniała od kopyt przybywających koni. Byli to na czele 150 jezdnych oficerowie z Gyanemy, Kardamu i Barki, przynoszący od tarjuma z Barki (tego samego co Landora zwrócił z Gyanemy) stanowczy zakaz przeprowadzenia Anglika przez jego ziemie, a zatem i przez górę Lumpiya, liczącą się do Gyanemy. Rzecz była zarazem tragiczna i śmieszna, gdyż w ten sposób jeńcy nie mogli wcale wydostać się z Tybetu, skoro Jong Pen bronił drogi na Lippu, a tarjum na Lumpiya!

Oficerowie z rozkazem swoim przyszli wprost do Landora; straż Jong Pena bowiem, widząc się w mniejszości, umknęła przezornie. Landor zatem, któremu chodziło jedynie o wydobycie się z matni, przyjął ich bardzo przyjaźnie, potakując we wszystkiem, a nawet wyrażając zdanie, że w razie upierania się Jong Pena przy swojem postanowieniu powinni mu oprzeć się siłą. Mowa ta spodobała się wysłańcom tarjuma, zapytali, czy w razie walki podjąłby się nad nimi dowództwa. Na to gorąca głowa Anglika zapłonęła wraz, przez resztę nocy przesiedział z nimi, kombinując plany wojenne, a z rana, dosiadłszy przywiedzionego sobie rumaka, puścił się ku Taklakotowi na czele swej różnobarwnej drużyny, Czanden-Sing i Man-Sing też konno mieli mu służyć za adjutantów. Dziwnym musiał być widok tych trzech Aryjczyków w łachmanach, wiodących hufiec pięknie odzianych zbrojnych Mongołów. Zabawa jednak niedługo trwała. Niebawem dał się słyszeć dźwięk mnogich dzwoneczków, zwiastujący zbliżenie się nieprzyjaciela i na sam ich głos niewymowny lęk ogarnął armię Landora. Gdy zaś ludzie Jong Pena naprzeciw stanęli, przedstawił się obraz, jakiego nigdy europejskie nie oglądały oczy: dwa hufce patrzące na siebie z obopólną trwogą. Z obu stron żołnierze śpiesznie złożyli na ziemię strzelby i pałasze i rozpoczęli dysputę, w której każdy usiłował pierwszy przeprosić i pierwszy ustąpić. Byliby tak długo gadali, gdyby nie ostateczny rozkaz Jong Pena odstawienia jeńców do Taklakotu. Rozstano się wtedy ku ogólnemu zadowoleniu — nawet Landor, siedzący teraz

na pięknym rumaku, nie zżymał się, że go z hetmańskiej godności zdegradowano na prostego „cywila".

Jechał znów z żołnierzami Jong Pena ponad gołemi skałami wzdłuż rzeki Gakkonu, napotykając po drodze mnogie *czokdy*, czyli buddyjskie kapliczki, oraz na wielu głazach ogrome napisy: *Om mani padme hum*. Zjechawszy z płaskowyżu, znaleźli się w okolicy gęsto zaludnionej, zasianej domami zbudowanymi z kamienia. Po prawej stronie widniała gomba Sibling, po lewej wielka pustelnia lamów w Delaling, aż wreszcie droga, zakreśliwszy wielki łuk, doprowadziła ich do stóp pięknej góry, kędy u szczytu wznosiły się klasztory i twierdza Taklakot. Tu u podnóża, poza rzeką Gakkon, którą przebyli po drewnianym moście, bieliły się namioty szokajskiego obozu. Na ten widok już nie mogli wytrzymać, Landor i Czanden-Sing puścili się cwałem i chwilę potem znaleźli się między swoimi.

Żaden atoli okrzyk radości nie powitał przybyszów. Szokasi, choć wielu było znajomych, patrzyli na nich zdziwieni, gdy zapytali o d-ra Wilsona, ten wyszedł ku nim, ale ich nie poznał. I nie dziw: pożegnał wytwornego angielskiego młodzieńca i tęgiego żołnierza policyi o dumnej postawie, a znajdował obdartych i brodatych łazarzów, zczerniałych od słońca, wyschniętych od cierpień i głodu. Gdy się domyślił kim byli, ogarnęło go żałosne wzruszenie. Wiedział przecież przez wysłanych mu z pod Mansarowaru Szokasów, w jakiej byli nędzy, on też za poparciem peszkara i pośrednictwem bogatego handlarza z Botha wystraszył na Jong Penie rozkaz wrócenia ich na wolność. Potrzeba było aż pogróżki wkroczenia wojsk angielskich do kraju, by go ostatecznie do ustąpienia przymusić...

Landor, przybywając, tak był zgłodniały, iż, ujrzawszy w namiocie Wilsona zapas lodowatego cukru, począł całe połykać kawały. Już atoli poczciwi Szokasi znosili mnogie podarki, z których kucharz doktora wyśmienity sporządzał obiad, peszkar przynosił nowe odzienie, była bielizna, mydło, kąpiel i brzytwy! Sam Landor przeląkł się, widząc swoją twarz w zwierciedle i czem prędzej usiłował przywrócić ją do ludzkiego wyglądu; czuł się jednak tak niesłychanie szczęśliwym, iż na razie zapo-

mniał o przebytych biedach. W dwa dni potem oddano mu część skonfiskowanych przy pojmaniu przedmiotów, a między nimi dziennik podróży, szkice, zapiski i mapy. Brakowało strzelb, obrączki matczynej i 400 zdjęć fotograficznych...

Powrót do Indyi odbył się szczęśliwie choć nie bez wielkiego zmęczenia. Skutki tortur i trudów dały się uczuć boleśnie, gdy podniecenie nerwów opadło. Jedno oko było stracone, kość pacierzowa nadwerężona, cały organizm wstrząśnięty. Poczciwego, dzielnego Man-Singa zabrać nie mógł — zapewnił mu tylko wygodne stanowisko w ojczyźnie. Ale Man-Singowi było przykro: odprowadził dawnych towarzyszy niedoli na kolej i tu kazał Landorowi przyrzec, że, jeśli się jeszcze kiedy do Tybetu wybierze, weźmie go znowu ze sobą, tylko tym razem musi i on dostać strzelbę!

Wskutek czynionych sobie zarzutów przesady i koloryzowania, Henry Landor dołączył do opisu swych przygód liczne poświadczenia lekarskie i urzędowe. Że mu nie chciano wierzyć, to nie dziw, bo prócz zwykłej podejrzliwości, odznaczającej filistrów wobec opowieści czynów i przygód, o jakich im się nigdy nie śniło, przyznać należy, że i dla dumy angielskiej niemiłą być musiała myśl o obelgach i krzywdach przez współziomka doznanych, a nie pomszczonych. Pana Landora jeden z naszych znajomych widział niedawno w Odessie; zdaje się zatem, iż do względnego zdrowia powrócił i nie wyrzekł się na zawsze podróży. Kto wie? może kiedy jeszcze w wygodniejszych warunkach do Tybetu podąży. Tymczasem jednak wątpić należy, aby postępowanie Europejczyków w Chinach zachęciło Tybetan do otwarcia im swoich granic. Chwalić ich postępowania z Landorem nie można, ale też przyznać trzeba, iż stokroć słusznym jest instynkt półdzikich ludów, broniących się całą siłą przed wkroczeniem w ich ziemie obcej oświaty, która zazwyczaj ich obyczajów nie czyści, a sprowadza im ucisk, wyzysk, a wkońcu zagładę. Gdybyż to sami misyonarze wędrowali w te kraje!

T. Wodzicka.

ŚWIĘTY STANISŁAW BISKUP
W ŚWIETLE ŹRÓDEŁ PÓŹNIEJSZYCH.

V Żywoty mniejszy i większy św. Stanisława, biskupa.

Treść żywota mniejszego w ogólności, oraz ciekawe szczegóły w pierwszym jego rozdziale. — Przedstawienie cnót i przymiotów św. Stanisława w świetle hagiografii kluniackiej. — Cud w Piotrowinie. — Fragmenty zaginionej kroniki XII w. — Zawisłość końcowych ustępów od Kroniki Kadłubka, oraz drobne wyjątki. — Wartość żywota mniejszego — Czas jego powstania. — Autor żywotów mniejszego i większego. — Wnioski.

Jeżeli poprzednie źródła tylko pewne szczegóły z życia biskupa przedstawiły, to cały żywot jego po raz pierwszy kreśli nam *Vita St. Stanislai ep. Cracoviensis* [1], t. zw. *Vita minor*. Zawiera zaś ten żywot w 35 rozdziałach następującą treść: Św. Stanisława pochodzenie (rozdział 1), etymologię nazwy (rozdz. 2), przymioty (rozdz. 3), wykształcenie (4), wybór na kanonika i biskupa (5), zachowanie się na stolicy biskupiej w ogólności (6), względem króla (7), względem kleru (8), względem grzeszników, chorych i na ucztach (9), bezinteresowność w zarządzie dóbr (10), podanie o Piotrowinie (11—16), przykład o św. Maternie (17), przykład o św. Spiridyonie (18), ustęp z kroniki polskiej o przodkach Bolesława Śmiałego (19—24), czyny Bolesława i zabójstwo św. Stanisława (25—35).

Wartość źródłowa przytoczonej treści jest bardzo rozmaita.

[1] *M. P. H.* IV, str. 253—285.

Ciekawy jest przedewszystkiem pierwszy rozdział, gdzie autor, mówiąc o pochodzeniu polskiem i krakowskiem biskupa, powołuje się wyraźnie na jakąś nam nieznaną kronikę polską, w której jednak bliższych szczegółów brakło co do rodziców biskupa; nawet nazwy ich nie było, albowiem to wszystko — zdaniem autora — utonęło z powodu dawności w niepamięci fali [1].

Mówi wszakże tam autor o szlachcie w Rabie i Szczepanowie, którzy się uważają za potomków ojca św. Stanisława i jego przodków, o szczątkach domu św. Stanisława, o kościele pod wezwaniem Maryi Magdaleny, przez niego zbudowanym i konsekrowanym. Kościół ten niewiele lat przed napisaniem żywota niniejszego runął, lecz autor żywota Kościół ten widział i w nim głosił słowo Boże. Wszystkie te szczegóły, widziane przez naocznego świadka lub usłyszane na miejscu od ludzi tamecznych, zasługują bezwarunkowo na wiarę i są drobnym wprawdzie, lecz ciekawym przyczynkiem do jego żywota.

Że zabity biskup był człowiekiem świątobliwym, to potwierdzają od razu współcześni przez uroczystą translacyę w 9 lat po męczeństwie uskutecznioną, którą tylko ludzi, *in odore sanctitatis* zmarłych, Kościół zaszczyca, potwierdzają także świadkowie XIII wieku, jak ów stuletni rycerz Gedko, który znał współczesnych Stanisławowi Szczepanowskiemu i „od nich o jego przykładnem i uczciwem postępowaniu za życia słyszał“ [2].

Świątobliwość życia biskupa wobec tych świadków nie ulega zatem najmniejszej wątpliwości. Ponad ten pewnik ogólnikowy wszakże i w XIII wieku, zdaje się, bliższych szczegółów z życia św. Stanisława już wiele nie znano, a to nie tyle dlatego, aby żywa tradycya o głośnym biskupie z XI wieku zupełnie już wtedy zanikła, lecz dlatego, że hagiografowie, ożywieni duchem reformy kluniackiej [3], od XI—XIII wieku głównie usiłują w sposób ogólnikowy i szablonowy cnoty i pobożną

[1] *M. P. H.* IV, 254.

[2] *M. P. H.* IV, 341 Kod. kat. krak. I, nr. 33.

[3] Wattenbach: *Deutschlands-Geschichtsquellen* II, 127. — Sackur: *Die Cluniacenser in ihrer kirchlichen und allgemeingeschichtlichen Wirksamkeit bis zur Mitte des XI Jahrhts.* Halle 1892—4. I, 124. II, 300.

śmierć swych bohaterów przedstawiać, lekceważą zaś zupełnie szczegóły biograficzne i zewnętrzne okoliczności z życia swych bohaterów. Zatem to, co nam żywociarz w 9 rozdziałach następnych przedstawia, wydaje się być na pierwszy rzut oka tkanką z ogólników złożoną, chrześcijańskim ideałem biskupa i kapłana, na podstawie domysłów i przypuszczeń stworzonym, nie zaś na podstawie realnej tradycyi ustnej czy piśmiennej. Cały szereg rysów w tym wizerunku zawartych przy pobieżnem rozpatrywaniu zdaje się być zaczerpnięty ze stosunków z końca XII lub XIII wieku; z tem wszystkiem przy dokładniejszem badaniu wykazuje autentyczne znamiona XI stulecia.

Tak np. mówi autor, że po śmierci Lamberta, krakowskiego biskupa, „Stanisław kanonicznie i zgodnie na biskupa krakowskiego został wybrany“ [1]. Tymczasem najpoważniejsi znawcy stosunków kościelnych polskich twierdzą, iż pierwsze przykłady kanonicznego obsadzania biskupstw datują się dopiero z początkiem wieku XIII [2]. Pomimo to kanoniczny wybór biskupa Stanisława potwierdza nie tylko późniejsze źródło, jak Kronika wielkopolska [3], ale i współczesne przykłady z XI wieku. Już na synodzie w Reims z roku 1049 zapadła pod przewodnictwem papieża Leona IX uchwała, aby nikt bez wyboru kleru i ludu do rządów kościelnych nie był dopuszczonym. Powtarzają ten sam zakaz synody z r. 1059 i 1063. Jako największą zbrodnię piętnuje nominacyę biskupów przez książąt kardynał Humbert [4], a papież Grzegorz VII ordynacyę biskupa, dokonaną bez wspólnej zgody kleru i ludu, oraz potwierdzenia metropolity, każe uważać za niebyłą [5]. Starochrześcijański zwyczaj, aby duchowieństwo i lud biskupa wybierał, nawet w Niemczech, gdzie Kościół był najwięcej od władzy świeckiej zawisły, nie był prawnie zakazany. Respektują go przynajmniej formalnie nawet najwięcej stanowczy obrońcy władzy

[1] Rozdz. v, str. 256.

[2] Abraham: Organizacya ect. 224.

[3] Cap. 16 *M. P. H.* II, 493: „Nam primitus non soli canonici, sed clerus episcopum dioecesis Cracoviensis eligebat“.

[4] *Libri tres adversus simoniacos* Thaner: *Libelli de lite* I, 45—253. *Lib.* III, cap. 8 i 10.

[5] Martens: *Gregor VII, sein Leben u. Wirken.* Leipzig 1894, I, 316—20.

świeckiej, Henrykowie III, IV, V-ty i niekiedy wybór, dokonany samoistnie przez kler i lud, zatwierdzają. Na zjeździe Paschalisa II z Henrykiem V w Chalons sur Marne z r. 1107 przedstawia arcybiskup trewirski jako reprezentant interesów niemieckiego władcy następujący porządek przy elekcyi biskupa, praktykowany za czasów Wielkiego Grzegorza i innych w imperyum rzymskiem: 1) Porozumienie się z cesarzem przed elekcyą co do osoby elekta, 2) elekcya kanoniczna przez kler na życzenie ludu i za zgodą metropolity[1]. W Czechach dokonał kler i lud wyboru biskupa praskiego r. 1068 wbrew najwyraźniejszej woli księcia czeskiego i pomimo jego silnej opozycyi[2]. Wobec tych przykładów uwaga hagiografa św. Stanisława, że kanonicznie i zgodnie na biskupa wybrany został, nie może być poczytaną za anachronizm, ze stosunków XIII w. zaczerpnięty. Być może, że tylko hipotezą żywociarza — chociaż hipotezą trafną w części — jest twierdzenie, że biskup unikał spotkania się z królem, czy to na „sejmie“ czy przy uczcie z powodu jego niesprawiedliwych praw i ucisku biednych. Jeżeli następnie dodaje: „Potępiał także przeklęty rodzaj rabunku, t. j. wypasania pastwiska i zboża chłopów, co sam król i jego zwolennicy nazywali prawem powszechnem“, tedy prawdopodobnie przegląda z tych słów anathema zjazdu łęczyckiego z r. 1181 przeciw tym nadużyciom[3]. Wszak nawet przepisy górno-niemieckiego pokoju bożego z roku 1094 pozwalają w czasie podróży siano, trawę i drzewo z wyjątkiem budulcowego dowolnie zabierać[4]. Zważywszy atoli, że duchowieństwo lotaryńsko-francuskie już w pierwszej połowie XI wieku z powodu skarg ludu na szkody, wyrządzane w polu przez rycerzy, zwołuje to rycerstwo na synody i każe mu na relikwie święte przysięgać, że nie będzie rabować

[1] Suger: *Vita Ludovici VI. M. G. SS.* XXVI, 50, 51. — G. Richter: *Annalen der deutschen Geschichte im Mittelalter.* III Abtheil. II B. 545.

[2] Cosmas II, 22—24. *Fontes rer. Boh.* II, 95—99.

[3] Mistrz Wincenty IV, 9. *M. P. H.* II, 400: „Qui pauperum annonam aut vi aut quolibet ingenio acceperit, aut accipi iusserit, anathema sit“.

[4] Weiland: *M. G. LL.* Sect. IV, 1, 160, nr. 7. — G. Richter: *Annalen* etc. 430.

duchownych, nie będzie na pastwiskach uprowadzać bydła, nie będzie domów, młynów i winnic uszkadzać[1]; zważywszy, że w Niemczech już około r. 1085 nawet episkopat henrycyański wraz z cesarzem zakazuje napastować chłopów, jeżeli są zajęci oraniem, kopaniem lub koszeniem[2], tedy potępianie tego rodzaju rabunku w Polsce ze strony kulturą zachodnią przejętego biskupa krakowskiego, wychowanka szkół lotaryńskich, między rokiem 1073 a 1079 nieprawdopodobnem chyba nie jest i jako wymysł biografa poczytane być nie może.

Jeżeli dalej sobie uprzytomnimy, że kler krakowski około połowy XI wieku przez lotaryńskich mnichów z Aronem opatem tynieckim na czele został zreformowany w duchu prawie zakonnym[3], tedy niezawodnie wychowanek tego Arona, biskup Stanisław, kazał prowadzić żywot czysty, tedy nie dziwota, że uczeń lotaryńskich reformatorów już w XI wieku *maxime sacerdotum mundiciciam zelabat*[4].

Z przykładów powyższych wynika, iż żywociarz, kreśląc charakterystykę biskupa krakowskiego, używał do tego zgodnie z ówczesną hagiografią ogólnikowych, szablonowych konturów, malował stereotypowymi niemal zwrotami pobożność, zaparcie się siebie samego, odwagę, sumienność w wypełnianiu obowiązków swego bohatera. Autentyczność tego rodzaju charakterystyki nie ulega wątpliwości, albowiem jest i logicznie i psychologicznie uzasadniona. Hagiograf, każąc kroczyć świątobliwemu biskupowi męczennikowi drogą chrześcijańskiej doskonałości, z pewnością się w tem nie myli, o ile chrześcijańska doskonałość, ogółem biorąc, wyciska na ludziach pewne jednolite Chrystusowe piętno, które wszakże indywidualności w życiu nie zaciera. Tej atoli indywidualności żywej autor nie podaje, albowiem nie podają jej widocznie jego źródła, a w tradycyi ustnej już się ta indywidualność wskutek *oblivionis temporum* zatarła.

Z drugiej strony nie brak w tych rozdziałach i zewnętrznych

---

[1] Sackur II, 166.
[2] Weiland: *M. G. LL.* sect. IV, 1, 605. — G. Richter, 366.
[3] Abraham: „Organizacya“ 175.
[4] *Vita minor* 8. *M. P. H.* IV, 257.

szczegółów życiowych, na autentycznych dawnych źródłach opartych i dlatego nie pozbawionych piętna wiarogodności. Być może, iż między innemi na tradycyi autentycznej oparte jest twierdzenie: *Cum iam esset iuvenis adultus digne, fertur ad locum, ubi generale florebat studium convolasse et in facultate liberalium arcium tempus non modicum exegisse.* (Gdy dorósł na młodzieńca sporego, miał pośpieszyć do miejscowości, gdzie kwitnęła wszechnica nauk, i na nauce sztuk wyzwolonych nie mało czasu spędzić).

Żywociarza hipotezą jest bez kwestyi twierdzenie, iż młody Stanisław, jak dowodzą, studyował prawo kanoniczne i boskie, natomiast na dawnych źródłach oparte jest zdanie: *Quia in eadem cronica vir litteratus et in divinis rebus illuminatus dicitur fuisse*[1]. (Ponieważ w tej samej kronice polskiej nazwany jest mężem wykształconym i w rzeczach boskich oświeconym). Także i wiadomość, iż biskup Sula Lambert zrobił go kanonikiem, na jakichś polega zapiskach, prawdopodobnie na Katalogu III bisk. krak.[2].

Ustępy 11—18 zawierają opowieść o cudownem wskrzeszeniu Piotrowina i dwa przykłady, jako illustracyę analogiczną o św. Maternie[3] na podstawie legendy trewirskiej[4] i o córce św. Spiridiona wedle Eusebiusza[5]. Co do cudu wskrzeszenia wielmoży w Piotrowinie, to bez wątpienia musi zastanowić historyka milczenie o tak niezwykłym fakcie najpierw współczesnych rocznikarzy, następnie kronikarzy XII wieku, a przede-

---

[1] Rozdz. IV, *M. P. H.* IV, str. 256.

[2]

„Cuius famam sedulo percunctatus Lampertus Crac. episc. et odore bonae opinionis illius dilectatus, de studio cum honore accersitum fecit eum in ecclesia Cracoviensi fratrem et canonicum.

Vita minor 5. *M. P. H.* IV, 256.

„Hic sanctum Stanislaum accersitum de studio perpendens eius mores ratum et virtuosum fecit et instituit eum canonicum in ecclesia Cracoviensi.

Kat. bisk. krak. III. *M. P. H.* III, 342.

[3] Legendę o św. Maternie uczeni katoliccy, jako nieautentyczną, odrzucają. *Acta SS. Boland.* 29 stycznia; Rettberg: *Kirchengeschichte Deutschlands.* Göttingen 1846. I tom, str. 75.

[4] Rozdział XVII. L. c. str. 265.

[5] Rozdział XVIII. L. c. str. 266.

wszystkiem milczenie Wincentego Kadłubka i komisyi kanonizacyjnej, która między 42 cudami, dokładnie opisanymi, wskrzeszenia Piotrowina ani słowem nie nadmienia. Bulla kanonizacyjna, przez Innocentego IV wydana, wzmiankuje tylko ogólnikowo *mortuos suscitavit.* Wyraźnie i szczegółowo po raz pierwszy dopiero *Vita minor* ten cud uwzględnia, opierając się zapewne na ustnej o nim tradycyi.

Mówią niektórzy, że Piotrowin nigdy nie należał do Kościoła, to jest wszakże błędem. Że Piotrowin należał rzeczywiście kiedyś do biskupstwa krakowskiego i że Kościół tę posiadłość postradał, potwierdza wyraźnie nasz żywociarz, mówiąc: *Qualiter autem villa predicta a iurisdictione ecclesiae sit alienata, non est temporis instantis parabola*[1]. Widocznie sprawa alienacyi włości Piotrowej od Kościoła była znana w chwili pisania żywota duchowieństwu krakowskiemu, dla którego żywot jest pisany, lecz ponieważ ściśle do rzeczy nie należała, autor przechodzi nad nią do porządku dziennego[2].

Dalsze ustępy traktują o przodkach Bolesława Śmiałego, 19 i 20 o Bolesławie Chrobrym, 21 o Mieszku, 22—24 o Kazimierzu. Ustępy o Bolesławie Chrobrym skreślone są, jak kronikarz zeznaje[3], na podstawie *Cronica Polonorum,* tej samej, którą wymienił w rozdziale IV na potwierdzenie wyższego wykształcenia św. Stanisława[4] i w rozdz. I, mówiąc o pochodzeniu św. Stanisława[5]. W ustępach o Bolesławie niewątpliwie widać wpływ Kroniki Galla, daleko większy, niż w Kronice Wincentego Kadłubka[6]. Wydawca obu żywotów św. Stanisława, p. W. Kętrzyński, mniema zatem, że pod ową *Cronica Polonorum* nie należy rozumieć ani jakiejś kroniki zaginionej ani Kroniki Mistrza Wincentego, lecz odrębny kodeks Galla, gdzie przy słowach, traktujących o zabiciu bezimiennego biskupa przez Bolesława

---

[1] Rozdział XV, str. 264.
[2] Ob. dod. III.
[3] Str. 267.
[4] Str. 256. [5] Str. 253.
[6] Dowody przytoczone w przedmowie do *Vita minor. M. P. H.* IV. 246—247.

Śmiałego [1], dodano objaśnienie na marginesie: *Hic fuit Stanislaus, episcopus Cracoviensis, natione Polonus, ex provincia Cracoviensi oriundus, vir litteratus et in divinis rebus illuminatus.* Zdaniem naszem hipoteza powyższa jest sztuczna, nie jest dostatecznie uzasadniona, a sprzeciwia się wprost słowom żywotopisa. Podobne objaśnienie marginesowe do słów *episcopus traditor* jest niemożliwe. Kto był biskup zamordowany przez króla Bolesława Śmiałego, wiedział każdy w Polsce i nie potrzeba było tego objaśniać, a jeżeli kto był przekonany o biskupie Szczepanowskim, iż był w „rzeczach Bożych oświeconym", to do *episcopus traditor* chyba inną glossę napisze. Żaden rękopis Galla zresztą nas do hipotezy p. Kętrzyńskiego nie uprawnia, a ponieważ żywociarz wyraźnie o Kronice polskiej mówi, z której szczegóły z życia św. Stanisława podaje i żywot Bolesława Chrobrego, oparty wprawdzie na Gallu, jednak nie wyłącznie na Gallu [2], więc musimy przyjąć istnienie Kroniki polskiej [3], będącej wyciągiem z Galla, lecz opisującej życie św. Stanisława w odmienny sposób, niż to Gall czyni. Że taka kronika powstała, nie można się dziwić. Kronika Galla była pierwszym podręcznikiem szkolnym, na historyi polskiej opartym. Używaniu tego podręcznika zwłaszcza w krakowskich szkołach w XII wieku stanęła na przeszkodzie nie tylko tendencya jego, ta bezwzględna chwalba książąt, lecz przedewszystkiem stanowisko wrogie biskupowi krakowskiemu. Tem się tłómaczy, dlaczego Galla nam się zaledwie trzy rękopisy zachowały, gdyż rychło wyrugowała go przeróbka podręcznika Gallowego, prawdopodobnie streszczenie, coś w rodzaju streszczenia Mierzwy w XIII wieku, uzupełnione wersyą kościelną o zajściu króla z biskupem Szczepanowskim. Że na tej kronice oparty jest dalszy ciąg opowiadania naszego

---

[1] „Cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit". Gall I, 27, str. 36.

[2] Cfr. str. 268, w. 12—19, gdzie wbrew Gallowi mowa o arcybiskupstwie św. Wojciecha w Gnieźnie na podstawie legendy o św. Wojciechu. *De st. Adalberto ep.*, rozdz. II, *M. P. H.* str. 217.

[3] Wojciechowski: „O Kazimierzu Mnichu". Pam. Akad. Um. V, str. 6.

żywociarza, a mianowicie ustępy o Mieszku II[1] i Kazimierzu Odnowicielu[2], to wykazał już prof. Wojciechowski[3], którego wywody przyjmujemy bez zastrzeżeń. Ustępy powyższe pochodzą z poematu łacińskiego o Kazimierzu Mnichu, z którego zaczerpnęły niezależnie od siebie wątku do opowiadania nadto Kronika wielkopolska[4] i Kronika polska[5]. To, co z „zaginionej" Kroniki polskiej nasz żywociarz nam przekazał, jest przeróbką tego poematu z drugiej i trzeciej ręki, uzupełnioną dodatkiem z Galla o rodzinie Kazimierzowej[6].

Reszta ustępów od 25—35, t. j. do końca, jest dosłownie z małymi wyjątkami zaczerpnięta z Wincentego Kadłubka z ks. II, rozdziały XVI, XVIII, XX, XXI. Wyjątki te są następujące: 1) Wzmianka, iż Bolesław 7 lat pracuje, aby odzyskać granice państwa[7]. 2) Wiadomość o dezercyi szlachty wbrew rozkazom króla[8]. 3) Opis zbrodniczego życia i rozwiązłości, oraz nienaturalnej rozpusty[9]. Na podstawie, zdaje się, ustnej tradycyi, wskutek pomieszania naszego króla z niemieckim królem Henrykiem IV, jak to wykażemy w trzeciej części studyów nad św. Stanisławem, powstała ogólnikowa wzmianka o królewskiej rozpuście, która stała się punktem wyjścia do przypisania królowi najpotworniejszych aberacyi seksualnych.

Wzmianka ta brzmi: *Boleslaus intermisso studio virtutum sentina factus est omnium vitiorum et carnis suae sequens luxuriam, gloriam suam in ignominiam est naturalem usum mutavit in eum usum, qui est contra naturam.* Przedewszystkiem zaznaczyć winniśmy, że biblijny zwrot: *Naturalem usum mutavit in eum usum, qui est contra naturam*[10] oznacza nienaturalny wybryk seksualny. Nie

---

[1] Rozdz. XXI. [2] Rozdz. XXII—XXIV.

[3] „O Kazimierzu Mnichu". Pam. Akad. Um. V, str. 5.

[4] Rozdz. XII. *M. P. H.* II, 484.

[5] *M. P. H.* III, 619—623.

[6] *Vita sti Stanislai,* ustęp 24, l. c. str. 272, wiersz 11—14 i Gall I, 19, str. 30. Wojciechowski l. c., str. 11.

[7] Rozdz. 30, str. 277, wiersz 12—14.

[8] Rozdz. 30, str. 278, wiersz 5—9.

[9] Rozdz. 31, str. 278, wiersz 14—18.

[10] *Epist. beati Pauli ap. ad Romanos.* I, 26.

trudno przypuścić, że taki junak, jak Bolesław II, prawnuk Chrobrego, wnuk Mieszka II, chyba anielską czystością obyczajów i wiernością małżeńską się nie odznaczał. Za tem mogłoby do pewnego stopnia przemawiać nieliczne potomstwo Bolesława, tak odbiegające od płodności pierwszych Piastów.

Znamy tylko jedynaka Bolesławowego, Mieszka, urodzonego już r. 1069, a zresztą ani śladu jakiegokolwiek innego dziecka. Mistrz Wincenty, wspominając o śmierci przedwczesnej jedynaka królewskiego, pisze wyraźnie: *Sic tota Boleslai domus sancto poenas Stanislao exsolvit*[1]. Ci badacze, którzy w słowach królewskich[2]: *Extirpari oportere scortorum scandala, non foveri* chcieliby znaleźć dowód czystości obyczajów królewskich, zapominają o tem, że ludzie, niestety, najczęściej mają dwie miarki, jedną dla ocenienia siebie, a osobną dla sądzenia innych i że człowiek, popełniający gwałty, zwykł je właśnie moralnym pretekstem usprawiedliwiać.

W rozdziale XXXI[3] znajdujemy ciekawy przykład spaczenia tekstu Wincentego Kadłubka, mianowicie kalumnie, wedle Wincentego przez króla na biskupa miotane, zwraca żywociarz przeciw samemu królowi[4]. W opisie męczeństwa dodaje nasz autor, że ono na Skałce w kościele św. Michała miało miejsce podczas mszy św. i że trzy razy draby królewskie daremnie chcą rzucić się na biskupa[5]. W tym samym rozdziale, rozwodząc się nad potwornością zbrodni, dodaje żywociarz cały szereg porównań z Pisma św. i legend[6]: porównywa króla z Dohekiem Idumejczykiem, który rzucił się na Chrystusa, nazywa biskupa dobrym pasterzem, umierającym za swoją trzodę, zwie go prawdziwym Nabotem i t. d. Dalej, mówiąc o posiekaniu członków, zauważył, że je rozprószył dla zwierząt i ptaków na cztery wiatry[7]. W rozdziale XXXIII jest pierwsze zdanie, iż Bóg dla

[1] II, 20. *M. P. H.* II, str. 299, w. 21/2.
[2] Mistrz Wincenty II, 20. *M. P. H.* II, 296, w. 10.
[3] Str. 279 w. 9—14.
[4] Mistrz Wincenty l. c. str. 298, w. 20—28, ob. Dodatek IV.
[5] Rozdz. 32, str. 280, w. 1—3.
[6] Str. 280, wiersz 12—18 i str. 281, w. 1—2.
[7] Str. 281, w. 3.

strzeżenia ciała męczennika niebieskie i ziemskie wybrał stworzenia, uzupełnieniem żywociarza [1]. Na końcu rozdziału podaje on, że biskup pochowany został obok wejścia do bazyliki św. Michała [2]. Rozdział XXXIV jest prawie cały dodatkiem żywociarza, a traktuje o cudach, jakie spowodowały solenną translacyę [3]. Wreszcie sam koniec żywota, zawierający porównania Bolesława Chrobrego z Bolesławem Śmiałym, jest dodatkiem autora. Wszystkie te odmiany są przeważnie tak drobne, że albo mógł je snadnie nawet tak mało samodzielny autor, jakim jest nasz żywociarz, sam dodać na podstawie własnej kombinacyi lub ustej nawet tradycyi, albo, co prawdopodobniejsze, iż żywociarz nasz czerpał z najstarszych rękopisów Kroniki Wincentego, rękopisów z początku XIII wieku, podczas gdy najstarsze nam znane rękopisy sięgają zaledwie wieku XIV. Wyjątek tylko stanowi ów rozdział XXXIV, opisujący przyczyny translacyi ciała św. Stanisława; objaśnia on bowiem tajemnicze słowa u Wincentego: *Unde usque ad translationis diem, cuius causam non ignoras, iugis dictarum splendor lampadum non desiit.* Widocznie Wincenty przeszedł frazesem: *cuius causam non ignoras* nad przyczynami translacyi, t. j. cudami, do porządku dziennego, więc w oryginale Kroniki Kadłubka ani w żadnym jej oryginale o nich mowy być nie mogło. Musiały się one wszakże znajdować w źródle, z którego czerpał Wincenty i musiały być dobrze duchowieństwu krakowskiemu znane, albowiem autor uważa za zbyteczne je powtarzać. Czyni to wszakże nasz żywociarz i podaje nam najstarsze cuda, które jeszcze przed translacyą się wydarzyły. Skąd je posiadą? Prawdopodobnie z tej zaginionej Kroniki polskiej, która, podając wiadomość o pochodzeniu i wykształceniu św. Stanisława, niewątpliwie opisywała jego męczeństwo i cuda, które po śmierci jego się wydarzyły.

Opis ten polegał niezawodnie na urzędowo-kościelnym opisie śmierci św. Stanisława, a z niego czerpał rzecz swą i Kadłubek. Że żywociarz nasz nie tekst Kroniki zaginionej nam

[1] Str. 281. w. 6—8.
[2] Str. 282, w. 6.
[3] Str. 282, w. 7—20 i str. 283, w. 1—2.

podaje, lecz obficie tekst Kadłubka, tłumaczy się tem, że Mistrz Wincenty był wzorem pięknego i modnego wówczas stylu, że stylistycznie mało samodzielny autor żywota wolał przekazać opis śmierci św. Stanisława w eleganckiej szacie mistrza retoryki, niż w prostszej szacie starej Kroniki polskiej.

Wartość żywota mniejszego przedstawia się pod względem historycznym jako niewielka. Albo bowiem podaje autentyczne, co prawda, ale ogólnikowe i mało wyraziste wiadomości o cnotach biskupa, albo czerpie wiadomości o św. Stanisławie ze źródła starszego, nam znanego. Z tem wszystkiem przechował nam kilka cennych szczegółów z życia biskupa, na źródle starszem z XII wieku opartych, powtóre stał się on podstawą dla wszystkich późniejszych przedstawień żywota św. Stanisława.

(Dok. nast.).

Dr. Kazimierz Krotoski.

OKÓLNIK RAMPOLLI

I KATOLICKI RUCH SPOŁECZNY WE WŁOSZECH.

Okólnik o demokracyi chrześcijańskiej, wystosowany na początku bieżącego roku do wszystkich biskupów włoskich przez kardynała Rampollę, jako prefekta Kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw Kościoła, wywołał w całej prasie liberalnej i socyalistycznej we Włoszech i krajach sąsiednich okrzyk radości: Kurya papieska — mówiono z niekłamanym tryumfem — rozbiła jednym zamachem w puch całą demokraoyę chrześcijańską we Włoszech i własną stłumiła ręką potężny ruch ten socyalny i wszelkie na drodze reformy społecznej usiłowania, które sama przez długie lata z taką troskliwością pielęgnowała, popierała i do życia powoływała. Oto dowód najświeższy, szydziły liberalne gazety w Austryi i Niemczech, klerykalnej wolności i wszechwładnej opieki papieskiej. To skutek bezustannie pracującej reakcyi konserwatywnej w Watykanie, woła republikański *Temps* we Francyi. Najwięcej zaś szydziły i tryumfowały gazety socyalistyczne: *Stampa, Gazzeta di Venezia, Secolo, Avanti* a za niemi i bratni ich organ, krakowski *Naprzód.* „Co dopiero — pisze włoski *Naprzód* — wystosowano do biskupów okólnik najwyższej doniosłości politycznej, który niebawem do publicznej będzie podany wiadomości. Dekret ten, który Jezuici wreszcie po długich intrygach przeforsowali, rozwiązuje partyę chrześcijańsko-demokratyczną. Rozporządzenia, w dekrecie przez Watykan wy-

rażone, zabijają samodzielność organizacyi partyi chrześcijańsko-demokratycznej, rozbijając ją w kawały i poddając ją pod władzę biskupów i komitetu *Opera dei Congressi*".

Kto śledził katolicki ruch socyalny za granicą, komu znane są encykliki wielkiego papieża, ten żadnej wątpliwości mieć nie mógł, jakie stanowisko zajmuje Stolica św. wobec partyi chrześcijańsko-demokratycznej. Przecież podniesienie klasy robotniczej pod względem religijnym, moralnym i społecznym na podstawie chrześcijańskiego ideału społecznego to jest ta wielka myśl, to gorące pragnienie, które przebija poprzez cały szereg wspaniałych encyklik, które ożywia encyklikę o socyalizmie (1878) i encykliki o chrześcijańskiej rodzinie (1880) i tajnych stowarzyszeniach (1884), o chrześcijańskim ustroju państwa (1885), o wolności obywatelskiej (1888) i obowiązkach chrześcijańskiego obywatela (1890), które w encyklikach *Rerum novarum* o sprawie robotniczej (1891) i *Graves de communi* o demokracyi chrześcijańskiej (1901) najwspanialszy i programowy w dziedzinie teoryi i praktyki znalazły wyraz. A w dziedzinie życia i pracy społecznej i politycznej czyż Ojciec św. nie okazywał raz po raz niemal przy każdej sposobności stronnictwu chrześcijańsko-demokratycznemu we Francyi i Belgii i Włoszech najwyższej swej przychylności? Czyżby teraz jednem rozporządzeniem Watykan miał ubezwładnić ten ruch we Włoszech tak potężnie i świetnie rozwijający się i najpiękniejsze na przyszłość rokujący nadzieje? Kto mniema, że to możliwe, ten chyba nie zna Watykanu i nieodmiennej konsekwencyi Stolicy św. Komu raz Rzym przyznał prawo do życia i rozwoju, ten żyć będzie, chyba że własną upadnie niemocą. Ale bo też dokument watykański ma wyłącznie na celu skonsolidowanie i spotęgowanie katolickiego ruchu socyalnego we Włoszech. „Instrukcya ta — pisze kard. Rampolla w liście przydanym do dekretu — ma rozwiać wątpliwości i przyczynić się do spotęgowania tego ruchu i jedności, tak pożądanych przez wszystkich i tak bardzo leżących Ojcu św. na sercu".

Dokument ten składa się z dwu części, z właściwych instrukcyi pod tytułem: *Istruzioni della Sacra Congregazione degli*

affari ecclesiastici straordinari sull' azione populare cristiana et democratico-cristiaua in Italia i z szczegółowego programu, normującego działalność komitetu wykonawczego całego ruchu katolickiego we Włoszech: *Comitato per l'opera dei congressi cattolici*, w którego kadry dyecezalne i parafialne została wcielona partya chrześcijańsko-demokratyczna.

Co zawiera instrukcya właściwa?

Rozporządzenia św. Kongregacyi co do istotnej treści swojej sprowadzić można do następujących punktów:

a) organizacya chrześcijańsko-demokratyczna we Włoszech podlegać ma bezpośrednio drugiej sekcyi *Opera dei Congressi*, która przed kilku laty się wytworzyła w celu popierania chrześcijańskiego ruchu ludowego;

b) stowarzyszenia i zgromadzenia chrześcijańsko-demokratyczne mogą się zawiązywać i odbywać tylko za pozwoleniem miejscowego proboszcza, organizacye zaś obejmujące szersze okręgi i prasa mają podlegać jurysdykcyi biskupa dyecezyalnego;

c) wogóle kierownictwo i administracyę demokratycznych stowarzyszeń, spółek i kas mają prowadzić ludzie świeccy; duchowni zaś tylko za pozwoleniem swego biskupa zajmować się mają kierownictwem ruchu.

Chcąc zrozumieć znaczenie i doniosłość tych rozporządzeń potrzeba przypomnieć sobie choćby w najogólniejszych tylko zarysach obraz rozwoju i pracy katolickiego stronnictwa socyalnego we Włoszech.

Po zajęciu Rzymu t. zw. kwestya rzymska i ściśle z nią związana sprawa religii katolickiej z jednej strony a z drugiej ideał jedności politycznej i ideały narodowe ludu włoskiego wstrząsnęły do tego stopnia wszystkich umysłami i sercami, wywołały takie zamieszanie pojęć i poglądów, wytworzyły tyle scysyi pomiędzy katolikami, że dużo potrzeba było czasu, zanim z ogólnego zamętu i zniechęcenia wyrobił się we Włoszech jakiś ruch socyalny, dążący do polepszenia położenia ekonomicznego warstw pogrążonych w ciężkiej pracy i nędzy i do przeobrażenia powolnego stosunków społecznych według zasad chrześcijańskich. Przed dwudziestu laty pole katolickiej pracy socyalnej we Wło-

szech jeszcze prawie zupełnie leżało odłogiem. Dopiero od lat dziesięciu wytworzyła się tam potężna akcya społeczna i ekonomiczna i rozwijała się z taką nieporównaną szybkością i mocą, że podwojoną pracą i rzutką żarliwością swoją odrobili w dwójnasób katolicy włoscy długie lata dawnej ospałości i obojętności. Ruch ten przedstawiał się już w r. 1898 tak potężnie, że wrogi Kościołowi rząd włoski, korzystając z krwawych rozruchów głodowych, usiłował go przemocą stłumić i zniweczyć.

W okólniku włoskiego prezydenta ministrów z 28 maja r. 1898, rozesłanym po pamiętnych zaburzeniach włoskich do prefektów prowincyi celem podjęcia walki z katolikami i stłumienia katolickiego ruchu socyalnego, pisze Rudini: „Statystyka ekonomicznych instytucyi klerykalnych wykazuje, że mamy do czynienia z organizacyą mądrą, która, mając swoje siedziby w komitetach dyecezyalnych, rozciąga swoje korzenie do najmniejszych i najbardziej oddalonych parafii kościelnych, z których każda ma albo powinna mieć własny komitet. W ten sposób powstają w miastach szkoły, ogniska zabaw, stowarzyszenia wychowawcze, komitety w celu zebrania i przygotowania sobie wyborców (dotąd tylko municypalnych); na wsi zakładają się i rozwijają spółki rolnicze, piekarnie ludowe, kuchnie ludowe, spółki spółdzielcze, kasy kredytowe“. Podczas gdy spółki kredytowe (Raiffeisena) — pisze minister — (746 w północnych Włoszech, 188 w środkowych i 29 w południowych) są zarejestrowane ustawowo, to spółki spożywcze i spółdzielcze tylko w części uczyniły to; „spółki te trzymają, o ile możności, swoją działalność w ukryciu, wyzyskując każdą szczerbę w ustawie handlowej się znajdującą, każde słowo wątpliwe w formule ustawowej o spółkach spółdzielczych. Spółki te dobrą rozwinęły działalność, mogą atoli dużo sprawić nieszczęść i dlatego bezzwłocznie należy przeciwko nim wystąpić“.

Prefekci zatem z całą surowością bezwzględną mają zastosować cały rygor prawa tam, gdzie uchylono się od przepisów ustawy. Pod pozorami bowiem podniesienia moralnego i ekonomicznego ludu, kryje się we wszystkich tych stowarzyszeniach niebezpieczna propaganda, zmierzająca do zdobycia władzy po

gminach, miastach i prowincyach i instytucyach pobożnych, a więc postąpić z niemi należy, jak ze stowarzyszeniami, mającemi na celu przewrót państwowy.

Rozwiązano wtedy z prześladowczą surowością setki stowarzyszeń katolickich, zawieszono wydawnictwo wielu gazet katolickich, ale ruchu socyalnego nie stłumiono, akcyi katolików włoskich nie ubezwładniono. Przeciwnie krwawe rozruchy głodowe spotęgowały tylko ruch i pracę katolików na polu reformy socyalnej.

Oto kilka illustracyi statystycznych z tej pracy: Ruch agrarny obejmuje dziś 1300 kas kredytowych *(Casse rurali)*, które pomyślną rozwinęły działalność w północnych i środkowych Włoszech. Parma, Werona i Rzym są ogniskami tego ruchu. Związek w Parmie, najpotężniejszy, liczył już w r. 1898 przeszło 700 kas. Ale bo też tam pracuje niestrudzony ks. Don Cerutti, jeden z najtęższych pracowników na polu socyalnem we Włoszech. Kasy lokalne i związkowe znajdują oparcie finansowe w 40 bankach katolickich, wyłącznie w tym celu założonych, z których niektóre również udzielają kredytu rzemieślnikom i drobnym przekupniom. Obok kas Raiffeisena, które w kwitnącym znajdują się stanie, założyli katolicy włoscy pomiędzy chłopami 200—250 stowarzyszeń rolniczych *(Unioni rurali)*, 500–600 spółek spółdzielczych, przeważnie spożywczych *(cooperative)* i mnóstwo stowarzyszeń asekuracyjnych *(Società di assecurazione)*. Ks. Bonsignori zaś z p. Solari'm rozwijają w północnych Włoszech niestrudzoną propagandę celem upowszechnienia racyonalnej uprawy ziemi.

Katolicki ruch robotniczy obejmuje około 800 stowarzyszeń, liczących 200 000 członków, na północne Włochy przypada 500, na środkowe 200 stowarzyszeń *(Società operaii, Società di mutuo succorso)*. Od lat dwu zaczęto gorliwie zajmować się zakładaniem związków zawodowych *(Unioni professionali)*. W niektórych miastach, jak w Medyolanie, Chiavari już istnieją ogniska organizacyi zawodowej, t. zw. Izby robotnicze *(Camere di lavoro)* z katolickim programem. A 150 stowarzyszeń katolickich kupców *(Unioni di commercianti cattolici)* i resztki prastarych cechów

rzemieślniczych, *Confraternite*, podatny przedstawiają grunt i materyał w ludziach do odbudowania nowej organizacyi zawodowej.

Rozległe pole pracy, na którem bardzo pomyślną i bogatą w owoce rozwinęli działalność katolicy włoscy, stanowią miasta i prowincye. W polityce państwowej nie wolno im ze względów religijnych brać czynnego udziału, polityka administracyjna miast i prowincyi dla nich przystępna. To też ruch reformatorski na tem polu żwawo posuwa się naprzód. Połowa może wszystkich radnych miast włoskich na katolicki pisze się program, a w 1000 miastach z pośród 8000 miast włoskich katolicy decydującą mają większość. W roku 1900 odbył się w Rzymie pierwszy kongres w sprawie polityki gminnej, na którym zgodzono się na pewne zasadnicze punkta programowe.

Troską i opieką nad wychodźtwem ludu podzieliły się trzy stowarzyszenia, z tych dwa stoją pod wyłącznym przewodnictwem biskupów. Wychodźtwem ludu do Ameryki zajmuje się stowarzyszenie *Associazione nazionale di patronato per gli emigranti* w Piacenza, cieszące się szeroką sympatyą i poparciem skutecznem pomiędzy klasami wyższemi. Stowarzyszenie to posiada nawet własną instytucyę, poświęconą pamięci Krzysztofa Kolumba, która wychowuje misyonarzy dla wychodźców amerykańskich. Wychodźtwem ludu roboczego do Europy zajmują się dwa stowarzyszenia, jedno w Cremonie, a drugie w Medyolanie. Ostatnie pod nazwą *Federazione degli consorzi*, składające się przeważnie z księży, wydaje dobrze redagowany tygodnik *l'Emigrante* w Medyolanie.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach statystycznych obraz katolickiej działalności społeczno-ekonomicznej we Włoszech. Najruchliwszą zaś, najżarliwszą działalność rozwinęło stronnictwo chrześcijańsko-demokratyczne. I tu doszliśmy do punktu najważniejszego. Otóż od lat kilku powstały w łonie stronnictwa katolickiego znaczne nieporozumienia, które konsekwentnie doprowadziły do wytworzenia się nowej partyi. Partya wzięła początek z katolickiej ligi dla studyów socyalnych, *Unione cattolica degli studi sociali*, która od r. 1899 stała się gałęzią

rozległego stowarzyszenia naukowego *Società cattolica italiana per gli studi scientifici.*

Podczas gdy niestrudzony apostoł kredytu rolnego, ks. Cerutti, północne Włochy pokrywał siecią spółek kredytowych na modłę kas Raiffeisena, zakłada grono ludzi wielkiego serca i umysłu ligę katolickich uczonych dla studyów socyalnych i rozpoczyna wydawnictwo naukowego miesięcznika socyalnego *Rivista internationale di science sociali e discipline ausiliare.* Był to ruch naukowy, ale ruch ten wyżłobił sobie w jednem dziesięcioleciu (1889—99) głębokie łożysko dla demokratycznych i postępowych prądów społecznych na tle nauki i zasad katolickich pośród intelligencyi i kleru włoskiego. Duszą zaś tego ruchu i jego ojcem duchownym jest prof. Toniolo z Pizy. Chcąc się przekonać o żywotności i doniosłości tego ruchu naukowego, wystarczy tu rzucić okiem na przedmiot obrad kilku kongresów katolickich we Włoszech. Na pierwszym kongresie katolickim, który odbył się w Genui roku 1892, rzuca prof. Toniolo podstawowe zasady programowe, wskazując na prastarą chwałę wieków, geniuszu i potęgi, na opromienioną demokracyę wolnych miast włoskich jako na żywotny pierwiastek odrodzenia ojczyzny. Na kongresie w Padwie r. 1896 roztrząsano umiejętnie i głęboko w świetle zasad katolickich najgłówniejsze piekące niedomagania ekonomiczne we Włoszech: nad wyraz smutne nieporządki agrarne i sprawy podatkowe i gminny system wyborczy. W Medyolanie zgodzono się na program wobec rosnącej z dniem każdym partyi socyalistycznej. Posiew ten myśli reformatorskich i rdzennie swojskich ideałów, opromienionych chwałą dawnych wieków wobec coraz rosnącej nędzy ludu, wobec krwawych rozruchów głodowych, wydał wkrótce obfite plony w postaci młodego i rzutkiego stronnictwa demokratycznego.

W dwu ogniskach, w Rzymie i Medyolanie, skupiło się nowe stronnictwo, rozwijając niezmiernie czynną propagandę. W Medyolanie namiętny trybun ludowy, ks. Albertario i wytrawny taktyk Meda skupili około dziennika *Osservatore Cattolico* cały szereg ludzi młodych, którzy we Włoszech północnych niezmiernie czynną rozwinęli agitacyę wśród chłopów i robotników.

Całe duchowieństwo w północnych Włoszech stoi po ich stronie, w Rzymie ognisty ks. Murri, który przedewszystkiem w kołach młodszego kleru i młodzieży akademickiej wielką cieszy się sympatyą, zjednoczył około dwu wybornie redagowanych pism: *Cultura sociale* i *Domani* zastęp ludzi młodych, zdolnych, którzy na polu praktycznej pracy społecznej i pracy nad politycznem wykształceniem i oświecaniem ludu wielką i skuteczną rozwinęli działalność. Obok natężonej pracy nad organizacyą zawodową robotników i potężnej agitacyi w dziedzinie spraw i polityki gminnej zaczęto wydawać biblioteczkę socyalną, t. zw. *fasci democratici,* zakładać kółka dla studyów socyalnych *circoli di studi sociali,* szkoły socyalne dla robotników i t. d. Szczególnie po ostatniej encyklice o demokracyi chrześcijańskiej rozszerzyło młode stronnictwo swoją bogatą w owoce propagandę socyalną po całych Włoszech, w północnych i środkowych od Monzy aż do Ankony i Tarentu. Jeszcze świeżo w ostatnich miesiącach pisze o demokratach chrześcijańskich liberalny *Corriere della sera:* „najżarliwszą oni rozwinęli propagandę, zakładając po wsiach i miastach izby robotnicze, stowarzyszenia zawodowe, stowarzyszenia wzajemnej pomocy, chłopskie spółki przedsiębiorcze i spółki zakupna, biura robotnicze, domy robotnicze i biura pracy. Większa część półwyspu już pokryła się siecią tych organizacyi, które z tygodnia na tydzień coraz szersze zataczają kręgi. I instytucye te nie są tylko na papierze, na karcie, chrześcijańsko-demokratyczne organizacye żyją i pracują".

Oczywiście tak rozległa i gorączkowa praca i propaganda młodej i postępowej partyi chrześcijańsko-demokratycznej z natury rzeczy musiały wnieść do stronnictwa katolickiego co do przekonań i programu pracy społecznej przeważnie konserwatywnego dużo nieporozumień, wywołać dużo obaw i bezowocnych sporów, sprawić w łonie stronnictwa pewnego rodzaju przesilenie. Sprzeczano się zawzięcie o samą nazwę partyi. W roku 1897 hasłem bojowem było słowo *Democrazia cristiana.* Sprzeczano się o program ekonomiczny. Sfery konserwatywne zbyt wielki kładły nacisk na dobroczynność społeczną i miłość chrześcijańską, podczas gdy partya demokratyczna prowadziła

politykę zbyt jednostronną, występując w obronie warstw tylko pracujących. Spory te programowe przedewszystkiem ostry przybrały charakter w sprawach gminnych, gdzie demokraci bardzo postępowy postawili program na porządku dziennym. Sprzeczano się o samą taktykę i prowadzenie walki. Sfery konserwatywne przechylały się ku partyom „ładu i porządku społecznego", podczas gdy partya demokratyczna, przynajmniej jej skrajno demokratyczny odłam, sympatyzowała wyraźnie i raz po raz w przyjacielskiem była porozumieniu (oczywiście pod względem wyłącznie tylko ekonomicznym) z partyami radykalnemi. A sympatye te odnosiły się przedewszystkiem do partyi najbardziej radykalnych w parlamencie, *Estrema sinistra*, do skrajnej lewicy, która w oczach wielu demokratów chrześcijańskich jest zdrową reakcyą przeciwko rządowi. W dziedzinie polityki sfery konserwatywne trzymały się mocno polityki abstynencyi, tak usilnie zalecanej z powodu kwestyi rzymskiej przez Ojca św., rozszerzając ją samowolnie i do polityki gminnej i dziedziny administracyjnej, podczas gdy skrajna lewica partyi demokratycznej radaby stworzyć wielką partyę polityczną w parlamencie na wzór centrum w Niemczech i całą potęgą swoją wpłynąć na rozwój społeczny i polityczny państwa i rozwiązać kwestyę rzymską. Najzaciętsza zaś toczyła się walka wokoło i w łonie *Opera dei congressi e dei comitati cattolici*, t. j. w komitecie wykonawczym całego stronnictwa katolickiego we Włoszech.

Jeszcze w r. 1874 wytworzył się był w Wenecyi za przyczyną Piusa IX związek religijno-moralny, łączący w jedno stowarzyszenie wszystkie związki parafialne, tamże istniejące, pod nazwą *Opera dei comitati cattolici*. W rok później zlał się związek ten z komitetem centralnym, zajmującym się urządzaniem kongresów katolickich we Włoszech i przybrał nazwę *Opera dei congressi e dei comitati cattolici*. Na czele związku stanął hr. Paganuzzi. W kilka lat później wytworzyła się w ramach związku osobna sekcya dla spraw ludowych i socyalnych, do której wstąpili ludzie, wybitny biorący udział w pracach i rozwoju partyi demokracyjnej, jak profesor Toniolo, Soderini, Rezzara, markiz Bottini. Na czele zaś tej sekcyi stoi od roku

1894 znany z rozległej działalności swojej również w młodej partyi ludowej Stanisław hr. Meldago-Albani, wnuk słynnego hr. de Maistre. I w ręce tejto sekcyi złożyła kongregacya dla nadzwyczajnych spraw Kościoła pod przewodnictwem kardynała Rampolli, mocą dekretu obowiązującego kierownictwo nad partyą chrześcijańsko-demokratyczną i wogóle nad całym ruchem socyalnym we Włoszech. Ona ma być punktem środkowym, ogniskiem, do którego ruch i działalność katolików włoskich ma się odnosić i skąd ruch cały mniej lub więcej ożywcze ma czerpać impulsy. Ze zwyczaju i z życzenia Ojca św. kierownictwo to należało do sekcyi tej już od dawna. W encyklice o demokracyi chrześcijańskiej, *Graves de communi*, przez którą młoda partya demokratyczna uzyskała prawo obywatelstwa, zaznacza to wyraźnie Leon XIII. Ale młoda partya demokratyczna nię kwapiła się pod to kierownictwo, choć najwybitniejsi członkowie sekcyi zaliczają się do jej zwolenników. Teraz zapadła najwyższa uchwała.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, zarządzenie kongregacyi ma w pierwszym rzędzie na celu skonsolidowanie ruchu katolickiego we Włoszech. I pod tym względem jest ono tylko komentarzem do listów Ojca świętego, wysłanych z okazyi kongresu katolickiego (2—6 września 1901 r.) do arcybiskupa w Tarencie i hr. Paganuzzi'ego, prezesa *Opera dei congressi*. Również w odpowiedzi na adres św. Kollegium z dnia 24 grudnia 1901 r. z wielkim naciskiem Leon XIII wskazuje na konieczną potrzebę jedności pomiędzy katolikami, jeżeli walka z socyalizmem ma odnieść pożądany skutek. I wtedy to *Naprzód* krakowski, który zawsze jest wiernem echem swoich „bratnich organów“ za granicą, tak srogo się zżymał na promienną postać wielkiego starca z Watykanu, że c. k. prokuratorya uznała za swój obowiązek poskromić te nikczemne zapędy konfiskatą numeru. Oto słowa Leona XIII, na które nasz organ socyalistyczny tak srogim zapałał ogniem gniewu: „Wzywaliśmy już nieraz przy innych okolicznościach i dziś wzywamy na nowo katolików, żeby, o ile możności, jak największy stawiali opór rozkrzewianiu podburzających zasad socyalizmu. Przedsięwzięcie to atoli tylko

wtedy pewny odniesie skutek, jeżeli będzie pomiędzy wami duch karności i jedność. Potrzeba tedy, żeby wszyscy katolicy karnie i zgodnie pod kierownictwem Kościoła pracowali nad podniesieniem ludu. Jedności i zgody wszystkich ludzi dobrej woli domagamy się.

Młodzi niech zbliżą się do nas, niech żwawo do wspólnej pracy przyniosą swą energię i ognistą działalność właściwą ich wiekowi; ludzie więcej doświadczeni również niech przyłożą ręki do dzieła, niech przyniosą ze sobą prócz wiary wypróbowanej ufność, przezorność i roztropność, które są owocem doświadczenia. Cel nasz jest jeden tylko i wszystkim wspólny: zapał powinien być równy i jednakowo szczery u jednych i drugich. Niech znikną podejrzenia — miejsce ich niech zajmie ufność wzajemna; niech ustaną krytyki i niezgody, a zapanuje cierpliwość chrześcijańska i miłość wzajemna".

Powtóre rosnąca z dniem każdym w znaczenie i potęgę zwłaszcza w roku ostatnim partya chrześcijańsko-demokratyczna stykać się musiała bardzo często wskutek swej ruchliwej propagandy i potężnej pracy organizacyjnej z rządem i z partyą przedewszystkiem socyalistyczną. I te częste stosunki, wyrabiając w niej poczucie własnej potęgi, pchały ją z jednej strony nieuchronnie na niebezpieczne tory zabójczej dla całego Kościoła katolickiego polityki państwowej, a z drugiej do sympatyzowania i robienia jak najszerszych ustępstw socyalistom, aby pozyskać jak najszersze masy ludności dla dobrej sprawy.

Ażeby więc uniemożebnić podobne prądy i kierunki, raz po raz objawiające się w partyi demokratycznej, oraz zamknąć raz na zawsze drogę wszelkim możliwym na przyszłość oportunistycznym zakusom i politycznym zapędom, poddaje dekret kongregacyi całą chrześcijańsko-demokratyczną organizacyę i prasę, jak wogóle całą akcyę socyalną katolików we Włoszech pod jurysdykcyę biskupów. W ten sposób mocą dekretu przesuniętą została cała akcya socyalna i polityczna na pole religijne. We Włoszech bowiem cały katolicki ruch socyalny jest z natury rzeczy równocześnie ruchem religijnym, głęboko i jak najściślej związany z kwestyą rzymską i z ogólno-kościelną

sprawą Kościoła katolickiego i jako taki podlega całkowicie decyzyi Stolicy św.

Tak jest — ruch katolików włoskich związany jest ściśle ze sprawą religii i Kościoła katolickiego. Było to r. 1895, kiedy dom Sabaudzki w Rzymie wobec przedstawicieli rewolucyi i obrońców tych, z których ręki morderczej padł później ofiarą król Humbert, święcił jubileuszowe tryumfy świętokradzkiego zaboru Rzymu. Chwila niezmiernie poważna i smutna. Crispi miał wtedy przy odsłonięciu pomnika Garibaldiego mowę na temat tryumfu masoneryi nad papiestwem, a Ojciec św. w bolesnem odosobnieniu z całym światem katolickim słał błagalne modlitwy do nieba za prześladowców i o tryumf Kościoła. Do Rzymu nadeszło wtedy tysiące i tysiące telegramów, donoszących o uroczystych nabożeństwach, odprawionych dla przeproszenia Boga za zniewagi, wyrządzone najwyższej powadze Kościoła św.... „A ileż z tych telegramów — pisał wtedy *Osservatore Romano* — adresów, podpisanych jest przez związki, stowarzyszenia, łączące setki i tysiące członków. Tak! to jest prawdziwy plebiscyt, katolicki plebiscyt!“...

Cały świat katolicki wypowiedział wtedy swe zdanie i oburzenie — po skończonych orgiach jubileuszowych odzywa się Ojciec św. do świata katolickiego. W liście, wystosowanym do kardynała, sekretarza stanu roztacza Leon XIII swe żale i zakłada uroczysty protest przed forum całego świata cywilizowanego z powodu zniewag i krzywd, wyrządzonych Stolicy apostolskiej i całemu Kościołowi katolickiemu.

Przypominam tu pamiętny list ten, zaczynający się od słów *Le insolite manifestazioni politiche;* jest on czemś więcej, niż zwyczajnym protestem. Jest to dokument wszechświatowego znaczenia, który z niezwyczajną otwartością i potęgą słowa i przekonania tłumaczy nam jasno najwnętrzniejszą racyę i ostateczne cele zajęcia Rzymu. „Ostatni cel zajęcia Rzymu, chociaż nie w duchu wszystkich, którzy brali w niem udział, to jednak w duchu sekt, które do tego zajęcia pierwszy dały impuls, nie polega wyłącznie na uzupełnieniu jedności politycznej. Burząc mury metropolii cywilnej, starano się zadać cios śmiertelny duchowej potędze papieża. Noszono się z myślą: zmienić losy

Rzymu, przekształcić go w duchu pogańskim, przeobrazić go na trzeci Rzym, trzeciej cywilizacyi. Ten cel miały też na oku ostatnie hałaśliwe manifestacye, urządzone przez antyreligijną sektę... Żadna obywatelska ani społeczna instytucya, nic wogóle nie zapewni papiestwu prawdziwej niezależności, dopóki papież pozbawiony będzie terytoryalnej jurysdykcyi. Nasza niezależność, rzekomo zagwarantowana, podlega wyrokom innych, a w ostatnich czasach pojawiają się nawet groźby, że i te gwarancye mogą być zniesione".

Teraz jeszcze słów kilka o tem, jak się znalazła wobec rozporządzenia watykańskiego partya chrześcijańsko-demokratyczna?

W Rzymie, w skrajno-demokratycznym odłamie partyi zjednoczonej, około tygodników: *Cultura sociale* i *Il Domani d'Italia* sprawił dekret watykański pewne zamieszanie. Teraz mocą dekretu — powiedziano sobie — samodzielny rozwój i życie naszych grup demokratycznych są głęboko zachwiane. Za ciasno nam będzie w kadrach związków kościelnych. Zbyt ciężka i skomplikowana ta organizacya rozwój naszej partyi tylko powstrzymywać i żywotną jej propagandę wciąż krępować będzie. Jedna tylko partya odniesie największą z rozporządzenia tego korzyść, t. j. socyalna demokracya. I żale i obawy swe wyraził centralny komitet tej partyi w osobnem *memorandum*, wystosowanem do kardynała Rampolli z prośbą o zmodyfikowanie niektórych rozporządzeń. Potężna zaś partya medyolańska innego w tej mierze jest zdania. Wielki jej organ *Osservatore Cattolico* razem z konserwatywnymi dziennikami watykańskimi: *Osservatore Romano* i *Voce della Verità* stanowczo twierdzą, że instrukcya watykańska żadną miarą nie ma na celu powstrzymania rozwoju partyi demokratycznej, owszem przeciwnie, ona ma dopiero spotęgować jej siły i uchronić ją przed zagrażającemi jej niebezpiecznemi zboczeniami. Idzie tu przedewszystkiem o to — mówi Don Albertario w *Osservatore Cattolico* — żeby chrześcijańsko-demokratyczne stowarzyszenia bez uszczerbku dla swej samodzielności organicznie się połączyły ze stałym komitetem *Opera dei congressi*. Zresztą każdy czy ksiądz czy świecki wolne ma pole dla swoich

przekonań i działalności, oczywiście w granicach objętych dyscypliną kościelną. Nowa instrukcya ma wyłącznie tylko na celu spotęgowanie jedności pomiędzy katolikami. To zaś nastąpi, gdy wytrawne doświadczenie komitetu *Opera dei congressi*, którego organizacya również wskazanym potrzebą czasu uległa zmianom, skojarzy się i zasili żywotnym zapałem i młodzieńczą siłą chrześcijańskiej demokracyi.

Wogóle powiedzieć można, że stronnictwo demokratyczne przyjęło rozporządzenie watykańskie ze spokojem i szlachetną uległością. Wszystkie związki i lokalne i okręgowe z północnych Włoch i środkowych i z dalekiego południa po ogłoszeniu dekretu pośpieszyły ze złożeniem w sekretaryacie św. Kongregacyi swego hołdu i z zapewnieniem swego *inalterabile obbedienza.*

A sekcya socyalna *dell' Opera dei congressi?* Rzecz dziwna, prawie bezpośrednio po rozesłaniu okólnika do biskupów najświetniejsze zbierała tryumfy i owoce swej niestrudzonej pracy. Był to owoc 5-godzinnych obrad, które się odbyły w Bergamie dnia 28 grudnia 1901 r. pod przewodnictwem hr. Medolago. W obradach brali udział prof. Toniolo, Rezzara, Guismini, Cerruti i prof. Mauri. Na wyraźne zaś zaproszenie adwokat Gaetano Ceola, dr. Giuseppe Micheli i notaryusz Carlo Rho. A więc przeważnie znane nam dobrze nazwiska z partyi demokratycznej.

A teraz popatrzmy na owoce tych obrad. One bowiem najlepszą są zapowiedzią na przyszłość i jasne rzucają światło na dalszy rozwój i pracę partyi.

„Pod bogatym w owoce impulsem — pisze poważny miesięcznik *Rivista* z dnia 15 lutego 1902 r. — grupy *dell' Opera dei congressi* — odbyły się w krótkim przeciągu czasu dziesięciu dni trzy kongressy o charakterze ekonomiczno-socyalnym w Medyolanie, Vincenzyi i Parmie, które wymownie cyframi dowodzą, jak obfite plony zebrała niestrudzona propaganda katolicka wydziału *Opera dei congressi* przedewszystkiem w północnych Włoszech. W Medyolanie po południu w ostatnią niedzielę stycznia zebrało się w teatrze Fossati generalne zebranie katolickiego stowarzyszenia zawodowego w północnych Włoszech. Zachwycający był to widok. Przeszło 4 tysiące robotników i chłopów

przedstawiało 108 tysięcy pracowników, mianowicie: 49000 robotników, 38000 chłopów i 16000 kobiet. I to tylko w północnych Włoszech. Zebraniu przewodniczył robotnik Tagliabue w asystencyi dwu chłopów. W zebraniu rozpłomienionem entuzyazmem następowały po sobie referaty, przyjęte burzą oklasków: Terrario mówił o statutach związków chłopskich i lig robotniczych; Scevola o reformie kontraktów rolnych; Arcari przeciwko rozwodom; Mauri o demokracyi chrześcijańskiej. Wymowne słowa mowców oczarowały do tego stopnia jednomyślne zebranie robotników i napełniły je poczuciem własnej potęgi, że pewien robotnik, zgodnie z nastrojem ogółu, na zebraniu potężnym głosem odezwał się w te słowa: „Jeszcze pięć lat, a socyalizm zobaczy, kto będzie panem w Lombardyi i we Włoszech". W Vincenzyi zebrało się około 300 osób, delegatów z 236 stowarzyszeń, liczących 43000 członków. Na zebraniu przewodniczył prof. Rezzara. W Parmie było 80 delegatów z 558 spółek spółdzielczych, liczących 60098 członków. „W ten sposób — mówi *Rivista* — katolicy w zwartych falangach z ufnością w przyszłość idą naprzód w cieniu świętego sztandaru. I dlatego też, ażeby w obronie religii i Kościoła, w szerzeniu oświaty pomiędzy ludem i bronieniu go przed niebezpieczeństwem socyalizmu, w rozpowszechnianiu zasad chrześcijańskich nauki społecznej żadna ich nie odwiodła racya od wzniosłego celu, ogłoszono mądre i na czasie będące „Instrukcye św. Kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw Kościoła w sprawie chrześcijańsko-ludowej czy chrześcijańsko-demokratycznej akcyi we Włoszech". Instrukcya ta wydana jest w celu zjednoczenia sił katolickich i podania ich pod bezpośrednią jurysdykcyę biskupów i kierowników hierarchii kościelnej. Co się tyczy wyboru środków i akcyi samej, życzeniem jest Ojca św., żeby każda partya pracowała zgodnie, żeby wszyscy, którzy występują w obronie religii i społeczeństwa, okazywali sobie miłość braterską i w potrzebie dopomagali sobie radą i czynem. Tak tedy złączone różne stowarzyszenia pod jedną tylko hierarchią i zależne od drugiej sekcyi *dell' Opera dei congressi e comitati cattolici* spotęgują, spodziewać

się należy, swój zapał i razem osiągną łatwiej cel, który sobie wytknęły. Z okazyi tej nowej instrukcyi, którą można nazwać praktycznym komentarzem do listu Leona XIII z powodu kongresu w Taranto, przypomnieć warto słowa tego samego Pasterza Najwyższego: *Uno e commune è lo scopo. Non diffidenze, ma fiducia reciproca; non censure, ma sopportazione cristiana; non discusioni, ma carità scambievole.*

Ks. Leonard Lipke.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z wydawnictw dla młodzieży.

„Arcydzieła polskich i obcych pisarzy“: Tom I. A. Malczewski: „Marya“; tom II. A. Mickiewicz: „Konrad Wallenrod“; tom III. Juliusz Słowacki: „Lilla Weneda“. — „Bóg się rodzi“ przez H. Sł. — „Dwie mogiły“ przez Felicyę Popławską. — „Obrona Częstochowy“ przez S. J. — „Podróż naokoło Warszawy“ przez Władysława Umińskiego. — „Opowiadanie o wojnie chocimskiej“ przez Jerzego Laskarysa.

Mieliśmy już kilka prób wydawnictw arcydzieł naszych i obcych pisarzy. P. Chmielowski w swej „Metodyce historyi literatury polskiej“ (Warszawa. 1899 od str. 56—73) wylicza ich całe mnóstwo. W ostatnich latach specyalnie dla młodzieży poczęło wydawać arcydzieła „Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych“ — ale praca idzie żółwim krokiem i w skromnej jeno mierze czyni zadość rzeczywistej potrzebie. O wiele ruchliwszą okazała się żydowska firma Zukerkandla w Złoczowie: wydawnictwami swemi bez planu, bez doboru, bez krytyki, bez uczciwej korrekty, niejednokrotnie nawet całkiem nieodpowiedniemi dla młodzieży, a obliczanemi tylko na interes — dlatego też bardzo taniemi — firma powyższa wyrządza dobrej sprawie niedźwiedzią przysługę, bo druki jej nie są opatrzone stosownymi komentarzami, więc bynajmniej nie ułatwiają uczniom analizy estetycznej wydawanych utworów. Przed rokiem prof. Doleżan rozpoczął w Tarnowie ogłaszać „Bibliotekę krytyczną arcydzieł literatury polskiej“ (nakład księgarni Jelenia). Celem jej nieść pomoc uczniom w lekturze domowej, podawać charakterystyki wybitniejszych postaci omawianego utworu i jego ana-

lizę krytyczną. Znam tylko Nr. 1, w którym podano rozbiór Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“; dalsze numery miały zawierać komentarze krytyczne do reszty trylogii, do „Quo vadis“ i „Krzyżaków“.

Ale jakoś głucho o nich w świecie bibliograficznym... Dawniej jeszcze, bo koło 1884 roku, zabrał się do podobnej pracy prof. Piotr Parylak i dał nam w swych „Arcydziełach poetów polskich z objaśnieniami“ (Lwów, 1884—5): „Maryę“ Malczewskiego, „Ojca zadżumionych“ Słowackiego i Kochanowskiego „Treny“. Szkoda, że to wydawnictwo upadło, gdyż było ono najlepiej obmyślane: prócz krytycznej edycyi tekstu, podawało biografię twórcy, objaśnienia rzeczowe i wyrazowe, genezy dzieł i rozbiory estetyczne. Dziwna rzecz, jak łacno u nas upadają wszelkie szlachetne usiłowania, a jak bujnie natomiast rozrastają się wszelkie spekulacye, choćby się one zwały szumnie „Biblioteką dzieł wyborowych“... Czy to także jeden ze smutnych objawów osławionej przez Płoszowskiego *l'improductivité slave?*

Ale oto właśnie gdzieś w zapadłym kącie Galicyi, w Brodach, uczciwy jakiś księgarz, p. West, niezrażony dotychczasowem niepowodzeniem, podjął na nowo plan i myśl prof. Parylaka[1]. Nie dajmyż mu upaść, a to tem bardziej, że p. West zadanie swe pojął na seryo i zabrał się do wydawnictwa bardzo umiejętnie. Dał nam już trzy wymienione w napisie tomiki, a zapowiada na przyszłość bardzo ważne w nauce literatury polskiej dzieła, jak Felińskiego „Barbarę“, Krasińskiego „Irydyona“ i „Nieboską komedyę“, Słowackiego „Balladynę“, Fredry „Zemstę“, Kochanowskiego „Treny“, Górnickiego „Dworzanina“ i komentarz do „Pana Tadeusza“. Wybitne siły literackie tak starsze jak młodsze przyrzekły swą pomoc.

W trzech powyższych tomikach i druk i papier i komentarze przedstawiają się bardzo dobrze. Żywot autora, geneza utworu, treść i kompozycya, charakterystyka osób i całego dzieła — oto część pierwsza każdego tomiku; potem tekst zupełny, ile możności podług wymagań

---

[1] „Arcydzieła polskich i obcych pisarzy“: Tom I. A. Malczewski: „Marya“. Powieść ukraińska. Opracował dla użytku szkolnego Wł. Dropiowski, c. k. naucz. gimn. Brody. 1902. Nakładem i druk. Feliksa Westa (Str. 76). — Tom II. A. Mickiewicz: „Konrad Wallenrod“. Powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich. Opracował dla użytku szkolnego Jan Gawlikowski, c. k. naucz. gimn. Brody. 1902. Nakł. Westa (Str. 102). — Tom III. Juliusz Słowacki: „Lilla Weneda“. Tragedya w 5 aktach. Opracował dla użytku szkolnego dr. Piotr Chmielowski. Brody. 1902. Nakładem Westa (Str. 116).

krytyki, z podaniem liczby wierszy; pod koniec „Objaśnienia do tekstu“; słowem, techniczna strona wydawnictwa zupełnie przypomina najlepsze w tym rodzaju wydawnictwa niemieckie, np. Schöningh'a, Freytaga, Graesera.

Chciałbym jednak zaznaczyć, że wydawcy powinni być bardzo oględni przy podawaniu szczegółów biograficznych: naprzód, by nie obarczać bez potrzeby, a potem dlatego, by, po prostu, nie przyzwyczajać młodzieży do grzebania w życiu prywatnem pisarzy, jakoby w śmietniku... Pod tym względem np. prof. Dropiowski w życiorysie Malczewskiego za daleko się posunął... Do zrozumienia melancholijnego nastroju „Maryi“ zupełnieby wystarczyło powiedzieć, że autor jej doznał z własnej winy bolesnych zawodów i rozczarowań w życiu rodzinnem, a nie potrzeba było układać aż całej kroniki skandalicznej! Pod tym względem taki pozytywista jak Chmielowski umiał być bardziej dyskretnym i umiarkowanym w swym komentarzu do „Lilli Wenedy“ i wcale się nie zabawił w „hösickeryę“... Spodziewać się tego można tem bardziej od pedagogów z zawodu.

A wreszcie jeszcze jedno. Wiem dobrze, że fanatyzm literacki, jak każdy inny fanatyzm, jest bardzo despotyczny, ale i... ślepy. Zapewne więc żachnie się na moją propozycyę. Lecz mniejsza o to, powiem, co myślę. Ponieważ wydawnictwa takie jak powyższe są z natury rzeczy przeznaczone dla młodzieży, więc nie powinny jej zdrowia moralnego ani na chwilę z oka spuszczać. A czy to zdrowie umacnia się i wzmaga, jeśli do rąk niedojrzałych jeszcze ludzi, czyto umysłowo czyto moralnie, daje się każde arcydzieło i to w całości, bez żadnych opuszczeń? O tem wyrażają się pedagogowie i dydaktycy, nawet protestanccy, bardzo surowo. Nasze austryackie plany naukowe, np. najnowszy *Lehrplan und Instructionen* (Wien. 1900. p. 105) co do lektury dla młodzieży w ojczystym języku takie samo zajmują stanowisko. *Die Eltern sollten darauf aufmerksam gemacht werden, dass nicht nur Bücher mit sittlich bedenklichem Inhalt, sondern auch solche, welche die Phantasie überzeigen, auf die Entwickelung der Jugend schädlich einwirken* — mówi przytoczony plan nauki w gimnazyach austryackich. Wiemy też z własnego doświadczenia, że i nasza Rada szkolna krajowa przy układaniu „Wypisów polskich“ dla szkół sumiennie tychże zasad się trzymała i trzyma. Na ostatniej ankiecie 31 stycznia i 1 lutego r. b., odbytej we Lwowie w celu zreformowania nauki języka polskiego w naszych gimnazyach, słyszałem takież same głosy rozsądku i dbałości o moralne zdrowie młodzieży, gdy chodzi o lekturę. Czyż

zresztą straci co na piękności swej „Irydyon“ lub „Nieboska komedya“ lub „Dworzanin“ i t. d., jeśli się w takich klasycznych wydaniach opuści scenę lub ustęp, którego absolutnie nie można na głos czytać w klasie?... Tylko zacietrzewiony fanatyk, nie znający przytem wiotkości młodzieńczej woli i charakteru, nie mający pojęcia o sile namiętności, jakie miotają młodocianem sercem i wiodą je w przepaść, gdy się je rozżarza — może dać na to pytanie przeczącą odpowiedź. Nie da jej nigdy ten, co kocha prawdziwie i szczerze dusze młodych pokoleń, ich zdrowie, ich czerstwość, ich nieskazitelność.

Z serca pragniemy, żeby ten głos rozsądku i doświadczenia długoletniego, nie tylko nauczyciela, lecz i kapłana, przemówił do przekonania wydawców i kierowników tej nowej biblioteki arcydzieł. Szczęść im Boże!

Najważniejszy dla ludzkości fakt dziejowy — czas, w którym przeszedł tę ziemię, dobrze czyniąc, w widomej postaci Bóg-człowiek, Jezus Chrystus, stanowi w prześlicznem opowiadaniu historycznem „Bóg się rodzi“ [1] oś, około której obraca się cała fabuła powieści. Barwnie pięknym i czystym jak kryształ stylem, bez zbytecznej erudycyi, ale wiernie i zgodnie z historyczną chwilą i tłem miejscowem, oryentalnem, — kreśli p. Sł. w tej powieści, — zachowując wszystkie dodatnie strony znakomitego angielskiego autora Wallace'a, a wykluczając umiejętnie to wszystko, coby mogło być zanadto modernistyczne, a więc z duchem epoki niezgodne lub nawet błędnie pojęte — na szerokiem tle stosunków politycznych i religijnych Judei jako też życia Boga-Zbawiciela dzieje potężnej, możnej, książęcej rodziny Ben Hurów. W obrazach nader plastycznych z jednej, a dostrojonych ściśle do świadectw Pisma św. z drugiej strony, przesuwają się szybko przed oczyma naszemi i dzieje Boskiego Dzieciątka i życie Jego dalsze i cudowna działalność i nieskończona dobroć Jego Serca i one wszystkie czynniki, które z dopustu Bożego i Bożej miłości ku ludziom odegrały rolę katów w czasie Męki Zbawicielowej. Delikatne, pełne artyzmu ujęcie przedmiotu tak świętego, traktowanie go z pełnym pietyzmem i gorącą miłością wierzącego serca przyczynia się do głębokiego, po-

[1] „Bóg się rodzi“. Opowiadanie historyczne z powieści Wallace'a „Ben Hur“, przerobione przez H. Sł. z przedmową ks. A. Brykczyńskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. Gebethner i Spółka. 1902. (Str. 215).

ważnego nastroju, którym dzieło przeniknięte jest od początku do końca. Nastrój ten wprost czaruje i podbija, budząc najżywsze zajęcie i ułatwiając zrozumienie nieskończonej miłości i ofiary Boga-Zbawcy. A przez przyczynowy związek między działalnością Chrystusa Pana, a losami rodziny Ben Hurów fabuła powieściowa nabiera blasku i zajmuje niepomiernie. Od czasu do czasu rozrzucone obrazy przyrody wschodniej, sylwetki historycznych postaci, rodzajowe obrazki zwyczajów i obyczajów tak mało znanych urozmaicają już skądinąd do najwyższego stopnia zajmujący wątek opowiadania. Sądzimy, że dla tych wielu zalet powieść niniejsza będzie prawdziwą ozdobą każdej biblioteki dla młodzieży, a znaleźć się powinna w każdym chrześcijańskim domu, w każdej katolickiej rodzinie. Wyznam bowiem szczerze, że choć z obowiązku mego dużo podobnych dzieł czytałem i znam, to jednak żadne z nich nie przemówiło do mej duszy tak rzewnie, tak kojąco, tak serdecznie...

Rzecz w opowieści p. Popławskiej[1] dzieje się na Litwie we wsi Białogórze. Wątek jej rozdziera serca, bo to historya, która się na ziemiach polskich w tysiącznych odmianach ciągle powtarza... Ojciec Adasia Bronieckiego umiera, zostawiając mu wielki majątek. Stryjostwo obejmują opiekę nad małoletnim. Biorą go do Warszawy, a majątek oddają dzierżawcy... oczywiście Żydowi. Adaś, ze wsi przeniesiony do syreniego grodu i to w dom stryjenki na wskróś światowej i próżnej, dostaje się pod wpływ zepsutych młodzieńców, Dziunia i Stefana. Odtąd zaczyna się historya szybkiego staczania się w przepaść. Autorka czyni to ręką niezmiernie delikatną a wprawną, budząc najżywsze zajęcie się losami Adasia, a równocześnie bynajmniej nie brudząc czystej wyobraźni młodych czytelników. Z ostatniej rozpaczy ratuje Adasia, którego majątek ma już przejść w ręce wrogów, poświęcenie Walentowej, starej jego niańki i przykład jej syna Janka, dawnego przyjaciela Adasia z lat dziecinnych. Ratunek, udzielony upadającym przedstawicielom sfer zamożnych ręką i sercem i czerstwem zdrowiem moralnem sfer niższych, niemal wydziedziczonych: oto piękna myśl przewodnia tej szlachetnej powieści. Dodajmy i to, że faktura powieści jest bardzo poprawna; język i styl czysty, żywy, barwny (skarciłbym jedynie zwroty takie jak „na cztery oczy“ — „tęsknić do światu“ —

[1] Felicya Popławska: „Dwie mogiły“. Powieść dla starszej młodzieży. Lwów. Nakładem Tow. wyd. 1902.

„wstąpię na przyrodę“ zamiast: na wydział przyrodniczy); życzliwość i ciepło serca iście matczyne, a wyczerpiemy główne zalety książki. Daj nam Boże wiele takich dzieł, a wytrącą one z rąk młodzieży naszej, — pomimo licznych jej wad i słabostek w gruncie serca rwącej się do życia wyższego, idealnego, — ten stek brudów, ohydy i zgnilizny, którym usiłują ją zalać, spaczyć, przepsuć i zgubić pokątne wypożyczalnie kryminalistycznych romansideł i przewrotni spekulanci żydowscy.

Wśród wychowawców i pedagogów, dbałych o zdrowie moralne młodzieży, pewnie niema dwu zdań o tem, czy historyczne powieści wielkiego naszego epika w prozie, H. Sienkiewicza [1], można dawać w całości w ręce wychowanków niedorosłych obojga płci. Nowoczesna *licentia verbi*, zwłaszcza w powieści, ścisły realizm i wierność historyczna w malowaniu tak cnót jak występków czyto przeszłości czy teraźniejszości, stały się niemal zasadą artystycznej twórczości. Zasadzie tej hołduje i Sienkiewicz. Z tego względu potrzebny jest jakiś wybór, jakieś przebrakowanie tego, co bezpiecznie w ręce młodzi dać można, a nawet należy, — od tego, co koniecznie wykluczyć trzeba, by nie skazić młodzieńczego serca, by nie splamić wyobraźni, by nie rozbudzić w umyśle niedoświadczonym i niewyrobionym jeszcze, miasto zamierzonego ukochania ideału piękna i prawdy i cnoty, — instynktów lub popędów złych i przewrotnych. Snadź sam twórca trylogii jest tego zdania, skoro odpowiedniej przeróbki „Krzyżaków“ dla młodzieży pod jego kierunkiem zeszłego roku dokonano.

Taż zasada kierowała wydawcą wymienionego w tytule opowiadania, z tą jeno różnicą, że nie opracował całej epickiej przędzy, jaka tkwi w „Potopie“, lecz wydobył z niego najpiękniejszą tkaninę, samą złotą jego nić — obronę Częstochowy. Zmienił przytem imię Kmicica na Marcina Otrębę. Czy potrzebnie i fortunnie? Ta wspaniała ekspiacyjna postać Kmicica, którą w latach późniejszych młodzian pozna dokładniej, powinna była zatrzymać — zdaniem mojem — swe chrzestne miano, bo warta tego, by ją uszanować i w jej szczytnem poświęceniu ukochać. Zresztą opowiadanie jest wiernem odtworzeniem scen

[1] „Obrona Częstochowy“. Opowiadanie z czasów wojny szwedzkiej, przerobione przez S. J. z powieści p. t. „Potop“ H. Sienkiewicza. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. (bez daty!) Str. 178.

z „Potopu“, prawie temi samemi słowy, wyjąwszy oczywiście to wszystko, coby mogło być w niezgodzie z zamierzonym celem wydawcy. Szkoda, że trochę niedbała interpunkcya i brak illustracyi, o które teraz tak łatwo.

Pan Umiński[1] umie zawsze łączyć pożytek z rozrywką. Powiedział sobie ze starym Fredrą: „Cudze rzeczy znać dobrze jest, ale swoje trzeba“ i dał młodzieży wcale udatne opowiadanie o Stefku, Leonie i Guciu, trzech kolegach, którzy miasto „tłuc bruki“ warszawskie w czasie wakacyi, urządzili sobie piechotą podróż — a to zdrowo i tanio — nie na księżyc, bo to za daleko; nie naokoło ziemi, bo to zawcześnie poznawać „cudze“, zanim się poznało „swoje“, — lecz dokoła swego ojczystego grodu. Mądrzy chłopcy i tędzy — będą z nich pewnie ludzie, zwłaszcza, że Stefek, choć młody, ma już w swym notatniku mnóstwo szczegółowych zapisek, odnoszących się i do dziejów ojczystych (w jedną wkradła się niedokładność, boć konfederaci barscy wykonali zamach na Stanisława Augusta nie 1776 r. lecz 1771) i do naszych pamiątek narodowych; a Leon za szczęśliwie przebytą maturę dostał od ojca aparat fotograficzny i z jego pomocą „zdejmuje“ pomniki zwiedzane i widoki ojczystej ziemicy, zamiast tracić czas na komersach... Opowiadania dziejowe przy sposobności zwiedzania Marymontu, Bielan, Jabłonny, Pragi, Grochowa, Czerniakowa, Wilanowa, Jeziorny, Kalwaryi, Czerska, Raszyna, są bardzo zgrabnie przeplatane spostrzeżeniami i tłumaczeniem różnych zjawisk przyrody, życia zwierząt i roślin, zwyczajów i obyczajów ludu. Słowem książka pożyteczna. Dlatego właśnie pragnęlibyśmy, żeby autor unikał niektórych błędów stylistycznych np. szpetnego rusycyzmu „poszli nie drogą, *a* (zamiast lecz) łąkami“ str. 61 — „poszedłeś do dna“ (zam. na dno) str. 80 — „nie upłynęło dziesięciu minut (wszak to podmiot!) za (zam. *z*) wyjątkiem Gucia wszyscy spali“[2] (str. 143) — „owe (zam. owo) światełko“ i t. p.; z drugiej jednak strony prosimy, żeby się nie wystrzegał tak starannie przysłówka właśnie, zamiast którego ciągle używa akurat. To z pewnością nie wyjdzie na złe jego pożytecznym bardzo dla młodzieży dziełkom.

---

[1] Władysław Umiński: „Podróż naokoło Warszawy“. Warszawa. Nakładem J. Fiszera. 1901. Z 11 rycinami (Str. 165).

[2] Por. ros. за исключеніемъ.

W „Opowiadaniu o wojnie chocimskiej“ [1] podał pan Laskarys młodzieży treść wybornego pamiętnika Jakóba Sobieskiego: *Commentarium chotinensis belli libri tres,* wydanego w Gdańsku roku 1646, tu ówdzie uzupełniając ją, bardzo skąpo, wyrażeniami lub szczegółami z „Wojny chocimskiej“ Wacława z Potoka Potockiego. Sobieski brał udział osobisty w tej „potrzebie“, bo należał do t. zw. komisarzy, a przy układach pokojowych odegrał wybitną rolę. Przebieg wojny opowiedział bardzo jasno, przystępnie i wyczerpująco, okraszając swą opowieść często przemowami, w których dawał upust swej oratorskiej swadzie, podług ówczesnej mody, a natomiast odstępował od ścisłości historycznej. Wojna chocimska, choć to jedna z najpiękniejszych kart dziejowych naszych zapasów z półksiężycem, mało jednak zawiera malowniczości, mało efektowych epizodów. Nie można atoli zaprzeczyć, że prawdziwie epicki talent potrafiłby z niej stworzyć wspaniały obraz dziejowy, gdyby zapanował nad tym tłumem utarczek, wycieczek, harców, podjazdów i drobnych akcyi wojennych, gdyby odnalazł w jej przebiegu jednolitą jakąś akcyę, gdyby z niej wydobył kilka zasadniczych, najbardziej dramatycznych momentów i to wszystko przyodział w barwne, odpowiednie wielkości chwili i orężnych zapasów szaty epickiego stylu i obrazowania. Tego nie dał nam na wielką skalę ani Sobieski ani Potocki ani oczywiście sprawozdawca, aż do przesady wierny swym źródłom, pan Laskarys. To jest największą wadą tej skądinąd bardzo pouczającej i pożytecznej książki.

Aby rzecz uczynić dla młodego wieku bardziej zajmującą, autor wprowadza nauczyciela Zarębę, który codzień opowiada kilku swym pupilom jakiś ustęp z dziejów tej wojny, a dziatki od czasu do czasu wtrącają coś od siebie. Ale i ten pomysł nie ratuje trudnej sytuacyi. Henryś, Zosia i Antoś są widocznie „cudownemi dziećmi“ i nadzwyczaj ugrzecznionemi, bo wcale nie przerywają p. Zarębie, gdy on jednym tchem wypowiada okresy na pół strony druku... i nie żądają wyjaśnień, nie pytają o nic, nawet w najtrudniejszych do zrozumienia miejscach.

Nadto p. Zaręba, jako pedagog, nie jest dość sumienny wobec tej dziatwy, popełnia bowiem w ich obecności liczne błędy przeciw czystości języka. Tak np., obcując ciągle z dziećmi, przyzwyczaił

---

[1] „Opowiadanie o wojnie chocimskiej“ dla młodzieży przez Jerzego Laskarysa, autora „Pamiętników starego szlachcica“ i „Pamiętników Paska“ dla młodzieży. Z 5 rycinami. Warszawa. Nakład i własność Jana Fiszera bez roku!) Str. 280.

się do używania 4-go przyp. zamiast 2-go po czasownikach: udzielić (str. 38 „udzielić zapomogę"), użyć (str. 81 „wódz umiał je (t. j. siły nasze) użyć należycie"; str. 152: „używając do roboty wszystkie oddziały piesze"), zaniechać (str. 167: „zaniechano reperacyę mostu"), nawet wtedy, gdy jest użyty z przeczeniem (str. 177: „chatę... nie zaniedbano też ubezpieczyć"), bronić (str. 227: „broniąc własne okopy"), dotrzymać (str. 253: „dotrzymamy wszystkie warunki"), dokonać (str. 204: „dokonamy rozpoczęte dzieło"). Można się też mocno dziwić, że Henryś zwłaszcza nie zapytał p. Zaręby, co znaczy, że „wodzowie nasi polegli ze śmiechu" (str. 124), patrząc na komiczny atak ciurów obozowych; albo co to było ono podbieranie broni (str. 124 i na wielu innych miejscach: „podebrawszy broń" — подбирать!) na pobojowisku: domyślamy się, że to mowa o zabieraniu czy podjęciu porzuconego oręża...

Razi nas także używanie spójnika *a* zamiast *lecz* po zdaniach zaprzeczonych, np. str. 15: „*nie* przyszło do wojny, *a* skończyło się ugodą" — str. 172: „przywykłem *nie* noc, *a* światło dzienne miewać świadkiem mych zwycięstw" — str. 143: „*nie* odsunęli się od szańców, *a* przeciwnie, znacznie się zbliżyli". Czyż to nie jest po prostu brzydki chwast, z języka rosyjskiego (но!) na nasz grunt przeszczepiony?

I gniewać i gorszyć muszą usterki przeciw składni lub zwroty i formy takie, jak np. str. 7: „Tatarzy trzymali się z Polską i Litwą", str. 10: „porogi Dniepru" (zam. porohy lub progi), str. 32: „Janczary stanowili", str. 65: „oni, raczej część ich, obrawszy sobie na atamana Borodawkę, wałęsała się na Podolu", str. 96: „pod zarębaczami rozumiał", str. 126: przyśliśmy (zam. przyszliśmy), str. 158: „ciągle się znajdywał w tłoku", str. 159: „padło aż trzech rumaków", str. 194: „okopy prawoskrzydłowe", str. 204: „uręczam was", str. 229: „niepodobieństwem jest prowadzić dalej wojny" (zamiast „prowadzić dalej wojnę", bo to jest podmiot w zdaniu, a na podmiot nie wpływa orzeczenie zaprzeczone). Nawet ostatnie piękne zdanie, umieszczone na końcu dzieła, nie jest wolne od tego rodzaju usterki: „Lignica, Chocim i Wiedeń — mówi tam autor, str. 270 — są to trzy najwspanialsze pomniki dziejów naszych, wzniesionych w obronie chrześcijaństwa!".

Zdarzają się i inne śmieszne pomyłki — istne chochliki literackie — jak np., gdy słyszymy o jakimś staroście piperpolskim (str. 71), Denhoffie (u Sobieskiego, str. 43, zowie się on *capitaneus hiperpolensis);* gdy nas dolatuje donośny huk „arkaburów" (str. 56) zam.

arkabuzów (fr. *arquebuse);* gdy mowa o dwu poległych Tatarach naszych, mianowicie Bohdanie Czarowiczu (str. 106. Sobieski, str. 67, zowie ich *Bohdanus et Czarowic);* gdy Sobieskiego *Szoldrscius,* (str. 155), raz nazwany „Szołdarski" (str. 265), a drugi raz „Szołdrski" (str. 268)!

Nie wiem, czy p. Zaręba uczy wychowanków swoich czytać i pisać ortograficznie: pod tym względem bowiem sam zdaje się mieć grube wątpliwości, skoro pozwala niegodziwym zecerom na takie wybryki, jak balda*h*in (str. 252), *ch*ełm (str. 114), *ch*ałastra (str. 229), del*y*a (str. 255), dwóznaczny (str. 250), *T*urek (str. 239) a *p*olak (str. 192) — skąd taka cześć dla sprośnego pohańca!? — *z*cierać, *z*chodząc (str. 199), *z*krzyżowane (str. 258) — ale na urągowisko wszelkiej konsekwencyi: *s*chorzały (str. 200)... Taka sama nielogiczność panuje w interpunkcyach, przez co nieraz bardzo jest utrudnione czytanie i należyte zrozumienie rzeczy.

Dosyć już tych lamentów i narzekań! Ale poco i naco było zapuszczać się aż w takie drobiazgi? Właśnie dlatego, że książkę pana Laskarysa uważam za bardzo pożyteczną dla naszej młodzieży. Rozczytywanie się w dziejach tych olbrzymich a tak idealnych zapasów chrześcijaństwa z pogaństwem, poznawanie owych ludzi tak czerstwych i zdrowych fizycznie i moralnie, podziw dla ich męstwa, cnót i zasług — mogą tylko dodatnio wpływać na rozwój schorzałych, chorobliwie marzycielskich, zdenerwowanych i neurastenicznych młodych pokoleń... Nie czytać, lecz pochłaniać, pożeraćby nawet powinna młodzież dzisiejsza takie książki, które jej niosą zdrowie, siłę, hart, energię — a więc najlepszą receptę na jej zwątlałe nerwy, wyczerpaną wolę, w bezsilnych konwulsyach miotającą się wyobraźnię „jak rozpacz, bez przytułku, bez celu, bez granic".

Ks. R. Koppens.

Mikołaj Rej's „Wizerunek" und dessen Verhältniss zum „Zodiacus Vitae" des Marcellus Palingenius. Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde von der philosophischen Fakultät der Universität Freiburg in der Schweiz, von *Johannes Pyszkowski.* Krakau. 1901.

Jest to praca, która omawia temat dotąd zaledwie dotknięty, a szczegółowo nie omówiony. Że zaś napisana jest wogóle bardzo dobrze, więc dla literatury o Reju jest nabytkiem ważnym i cennym. Ale właśnie dlatego, że rozprawa ta jest jednym krokiem naprzód do pogłębienia i wyjaśnienia owego oryginalnego zjawiska literackiego, jakiem był

Rej, że teraz każdy, kto o Reju zechce pisać, nie zechce i nie będzie jej mógł pominąć, właśnie dlatego należy ją omówić poważnie i nie zamykać oczu na jej niedostatki, zaznaczając oczywiście, co nowe i co dobre.

O „Wizerunku“ wiedzieliśmy, że jest przeróbką czy naśladowaniem poematu łacińskiego (humanistycznego) *Zodiacus Vitae* przez Marcellego Palingeniusa (albo właściwie Pier Angelo Manzolli); jaki był jednak stosunek tych dwóch dzieł, tegośmy nie wiedzieli. Tą zaś kwestyą zajmuje się p. Pyszkowski. A że „Wizerunek“ w działalności literackiej Reja zajmuje miejsce ważne, więc pożądaną jest praca, która jego genezę i jego stosunek do pierwowzoru wyświetla.

Rozdział pierwszy autor poświęca omówieniu poematu łacińskiego. Rzeczy ciekawe, mało znane, przynajmniej u nas. Może tylko należałoby właśnie tutaj podać jego treść — to, o czem autor mówi na str. 27—29, w jednym z późniejszych rozdziałów. Następujące teraz: pogląd ogólny na renesans i krótka charakteryka Reja na tem tle (r. II) zadawalniają najmniej, mogłoby to bez szkody dla pracy nie zajmować w niej miejsca. Rzeczy znane, powtórzone za Burckhardtem i Szujskim (u których zresztą jak inaczej wyglądają!), pojedyncze rysy zebrane niby w całość, jaskrawe i ujemne przeważnie, a obrazu epoki nie dają zgoła. Tutaj praca zanadto robi wrażenie pracy „młodzieńczej“, podczas gdy wszędzie indziej stoi zupełnie na wysokości zadania.

Charakterystyka Reja wydaje się być rzeczą łatwą, a jednak należy do najtrudniejszych zadań historyi literatury XVI wieku. Charakterystyka, którą podaje p. Pyszkowski (str. 23—24), nie będzie ostatnim w tej kwestyi wyrazem. Na zdanie: *Was den Menschen anbetrifft, ist er ein Kind seiner Zeit; was den Dichter und Denker angeht, steht er über derselben* nie zgodzi się chyba nikt, kto się wczytał w Reja i rozważał go w związku z epoką. Psychologiczna geneza jego działalności pisarskiej nie wydaje się trafną (autor nawet wspomina coś o wyrzutach sumienia!). Poważny badacz nie powinien tak ogólnikowo mówić o Reju, że w dzień pił z przyjaciółmi, w nocy pisał; tak samo wprawdzie mówi o nim i prof. Brückner, ale tak samo nietrafnie; obaj autorowie przesadzają tu Trzycieskiego. P. Pyszkowski nadrabia nawet fantazyą: kiedy wszyscy biesiadnicy pospadali pod stół, Rej, jedyny trzeźwy, filozofował! Zapewne, że ludzie ówcześni inaczej się bawili, niż my, ale gdyby się to działo w ten sposób, jak się to czasem przedstawia tu i ówdzie, to chyba naród byłby dawno wymarł, zginął na *delirium tremens!*

Reszta rozprawy poświęcona rozpatrywaniu właściwego tematu. Dochodzi autor do wyników nowych i ciekawych. Rej przerabiał Palingeniusa, ale bardzo swobodnie — trzymał się ogólnych ram poematu łacińskiego, ale w szczegółach odstępował od niego nieraz bardzo daleko, cała np. jedna księga jest oryginalna. Ma też „Wizerunek“ wyższość nad „Zodyakiem“ tę, że jest barwniejszy, że jest w znacznym stopniu obrazem swej epoki, podczas gdy „Zodyak“, jak cała poezya nowołacińska, jest nadzwyczajnie ogólnikowy. Bardzo trafnie autor zaznacza (str. 30), że Palingenius jest rezonerem i doktrynerem, Rej zaś więcej opisuje, opowiada, maluje. Z Palingeniusa Rej wziął swe poglądy i pojęcia filozoficzne, swój platonizm (str. 38 i nast.), naturalnie w odbiciu bardzo dalekiem; stamtąd też pochodzi jego etyka. Zgadza się autor polski z łacińskim w zapatrywaniu na sprawy religijne (str. 40 i nast.), — humanizm i reformacya schodzą się w tym punkcie niejednokrotnie. Przewyższa go zaś w tem, że „Wizerunek“ jest więcej narodowy (str. 43 i nast.), więcej żywy i barwny, wyższy też jest tem, że zwraca uwagę na stosunki socyalne (stanowisko chłopstwa, str. 53—55), czego abstrakcyjny *Zodiacus* nie robi.

Wkońcu autor reasumuje wyniki swego badania i zaznacza wielką wagę „Wizerunku“ i wogóle pism Reja, jako pierwszych dzieł polskich naprawdę i treścią i formą i duchem. W dodatku w tablicach zestawienie miejsc, odpowiadających sobie w obu poematach.

Więc cała praca p. Pyszkowskiego jakże się przedstawia? Wywody i sądy ogólne, obrazy epok, charakterystyki osób: to wszystko udało się autorowi mniej dobrze; zato w badaniu szczegółowem autor był znacznie szczęśliwszy, zbadał rzecz dotąd niezbadaną, doszedł do wniosków nowych i słusznych i znajomość Reja posunął naprzód.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XVII.

Tom powyższy przynosi nowych kilka zdobyczy z dziedziny naszej historyografii. Rozpoczyna go niewielka rozprawa Antoniego Prochaski: „Lenna i maństwa na Rusi i Podolu“. Podnosi w niej autor, że w przeciwieństwie do dziejów czysto-polskich, t. j. Mało- i Wielkopolski, zostających pod wyłącznem panowaniem tylko prawa ziemskiego, na Rusi i Podolu wytwarzało się zwłaszcza przy sposobności nadań królewskich prawo lenne. Za przykładem królów panowie znów obdarzeni lennem królewskiem wytwarzali sobie z drobniejszej szlachty wasalów, czyli,

jak ich w Polsce z niemiecka zwano, manów. Dążenia te wytworzenia systemu lennego spotkały się z oporem Stanów wspomnianych dzielnic. Opór ten odniósł skutek pomyślny, z w. XVI znikają resztki form lennych. Wyniki swych badań, powyżej przedstawionych, poparł autor szeregiem pojedynczych faktów, stwierdzających nadawania dóbr przez królów na prawie lennem; w dalszej części znów opisuje i przytacza autor rezolucye Stanów do króla i inne objawy opozycyi przeciw organizacyi lennej. Materyał źródłowy, wyzyskany umiejętnie, przyczynia się do rozświetlenia i pozwala poznać dokładniej stosunki wewnętrzne pierwszych lat złączenia Rusi z Polską.

Dalej w rozprawce „Volcae Tectosages a Włach Włoch“ rozprawia się Wojciech Kętrzyński z opinią niemieckich uczonych, a przedewszystkiem Müllenhoffa, twierdzących, że nazwa Wołoch, Wałach, Włoch urobione zostały pierwotnie przez Germanów. W szczęśliwie i trafnie przeprowadzonym historycznym wywodzie wykazuje niemieckim autorom, że Germanie z plemieniem celtyckiem Volcae zupełnie się nie zetknęli, że przedtem byli z niem w styczności Słowianie, którzy od nich później wszystkich południowych sąsiadów zaczęli zwać Włachami, Włochami i t. d.

Karol Potkański wraca jeszcze i dorzuca parę uwag do poprzedniej swej rozprawy o restytucyi dóbr. W sprawie restytucyi chodziło duchowieństwu i szlachcie polskiej o prawność zaboru dóbr, jakich dokonywali królowie Łokietek i Kazimierz Wielki. Pokrzywdzeni po śmierci ostatniego, domagali się od Elżbiety i Ludwika utworzenia sądów królewskich dla rozpatrzenia legalności zaborów. Autor stwierdził, że tak w Wielkopolsce naprzód, następnie w Małopolsce sądy takie z ramienia królewskiego powstały. Źródła jednak nie wykazują, jaki ta akcya miała przebieg, a zwłaszcza, czy wydała jaki rezultat pomyślny. Na podstawie historycznych danych autor wątpi o tem: prawdopodobnie sprawa ta ugrzęzła.

Autor cofa się wstecz dla zbadania genezy tej sprawy. Nasuwa mu się pytanie, skąd to pochodzi, że król Kazimierz Wielki, znany z historyi jako pan sprawiedliwy, dopuścić się mógł takiej niesprawiedliwości, jak zabór dóbr swoich poddanych. Przypuszcza, że wchodziły tu w grę różnorodne czynniki politycznej i społecznej natury. Zawikłania powstały w stosunkach własności przez przywileje, eksemcye, zakładanie miast, częste a gwałtowne zmiany panujących. Król Kazimierz z właściwą sobie energią przystąpił do uregulowania tych stosunków, a że, mając na oku względy państwowe, nieraz wkraczał w sferę pry-

watno-prawnych stosunków i zabierał to, co nadali poprzednicy, stąd żądanie restytucyi podnoszone po jego śmierci.

Dr. Stanisław Kutrzeba studyum swem „Sądy ziemskie i grodzkie w wiekach średnich“ wkroczył w obszar bliżej dotąd nie zbadany. To dopiero pierwsza próba, szkielet ustroju sądownictwa polskiego. Przebijając się przez materyał źródłowy surowy, nie uporządkowany, zbyt wiele miał trudności do zwalczenia, by całość pracy wypadła bez zarzutu. Tę cechę przygotowawczą, jaką ma cała praca, widać po ugrupowaniu przedmiotu. Autor przedstawia ustrój sądów każdego województwa z osobna. Stąd wiele powtarzań, którym zaradza autor w ten sposób, że w zakończeniu przedstawienia każdej grupy województw łączy i wykazuje spólności urządzenia lub podnosi cechy charakterystyczne, a odmienne. Grup takich wyróżnia autor trzy: Grupę małopolską z przewagą na sądach żywiołu szlacheckiego i wojewody, wielkopolską z przewagą żywiołu urzędniczego i starosty i pośrednią, w skład której wchodzą województwa: łęczyckie, sieradzkie, kujawskie, inowrocławskie i ziemia wieluńska. W ten sposób przeszedł autor dotąd obok województwa krakowskiego, opracowanego w t. XL rozpraw, wszystkie województwa mało- i wielkopolskie. Podnoszą wartość pracy dokładne wykazy odbytych wieców sądowych, wykazy znanych ksiąg sądowych i kilka uchwał wiecowych, nie ogłoszonych w zbiorze Pawińskiego. Najdokładniej, prawie monograficznie, opracowane jest obok krakowskiego województwo sandomierskie, znać, że autor zawładnął tu materyałem źródłowym. Tego samego o dalszych województwach powiedzieć nie można, widać w opracowaniu wiele luk, kwestyi nie wyjaśnionych, zostawionych dla późniejszych badaczy. Mimo braki te jednak polska nauka winna wdzięczność autorowi, że niewdzięcznego zadania przygotowania terenu dla gruntowniejszych badań podjął się i wykonał, o ile można, najsumiennej.

Wreszcie spotykamy tu obszerną pracę Stanisława Zakrzewskiego p. n.: „Nadania na rzecz Chrystyana“. Treścią jej zbadanie nadań, jakie w okresie lat 1217—1224 otrzymał od Konrada, Leszka Białego, Władysława Odonicza i wojewody Krystyna Chrystyan, biskup pruski. Autor podaje bliższemu rozpatrzeniu treść i rozmiar tych nadań, położenie dóbr odnośnych. W związku pozwala sobie na liczne odstąpienia od tematu, bez wątpienia ze względu na właściwą osnowę pracy systematycznie do niej nie należące, ale mogące wyjaśnić i dopomódz do rozwiązania problematów traktowanych w rozprawie. Do tego rodzaju epizodycznych dygresyi zaliczyć można obszerny traktat o sto-

sunkach posiadania, wpływach i interesach politycznych Konrada, Świętopełka pomorskiego i innych w ziemi chełmińskiej, oświetlenie faktu darowizny Cerkowa przykładami motywów innych darowizn i fundacyi, np. Staniątek, darowizny Mrtisa i t. d., rozdział o uposażeniu grodowem, o osobistym majątku książąt. W tych rozdziałach i ustępach autor rozprasza się w tylu szczegółach ze względu na całość nieistotnych, tyle przytacza źródłowych przykładów, że, choć znajomość każdego z nich dla historyka mogłaby niewątpliwie być interesująca, traci się przez to główny wątek, praca traci przejrzystość i jednolitość. Kończy autor bardzo interesującym ustępem o polityce kuryi papieskiej wobec Prus.

A. Bielecki.

Słowacy. *Dr. Stanisław Grabski.* Warszawa. 1901 (Str. 95).

Wymieniona praca składa się z czterech rozdziałów, z których pierwszy oddzielić trzeba od trzech następnych, nie ze względu jednak na jego treść, lecz ze względu na zasadniczy charakter, zależny od sposobu jego powstania. Zawiera ów rozdział ogólną charakterystykę polityczno-społeczną Słowacyi, zarys dziejów literatury i języka słowackiego, również dzieje odrodzenia Słowaków. Odnośne wiadomości czerpane były z drugiej ręki, stąd tu i ówdzie odnajdujemy sprzeczności i błędy, o których niżej; natomiast rozdziały III—IV nadzwyczaj dodatnie czynią wrażenie. W nich zaznajamia autor czytelnika ze stanem i charakterem rolnictwa, pasterstwa, gospodarstwa mlecznego i domowego (wyrób sukna), dalej mówi o emigracyi Słowaków, o kramarzach, szklarzach, druciarzach, o większych spółkach i przedsięwzięciach handlowo-przemysłowych, o stanie szlacheckim, o „ziemianach“, o ich poziomie umysłowym i moralnym, o renegatach — „odrodilcach“ i o intelligencyi słowackiej, którą stanowią lekarze, nauczyciele ludowi, adwokaci i literaci. Nakoniec opisuje centrum życia umysłowego na Słowacyi — św. Marcina, niewielką stolicę komitatu turczańskiego, wreszcie dzieje „Domu“ (narodowego), Muzeum, fabrykę mebli, narodowy bank „Tatra“ i czasopiśmiennictwo.

Zapewne są i tu pewne luki, ale w opisach tego wszystkiego, co tu autor podaje, a co sam na miejscu zbadał i własnemi oczami oglądał — znajdujemy nader wierną i dokładną charakterystykę. III — IV rozdziały są w całem tego słowa znaczeniu oryginalnymi i przeto właściwie posiadają nieprzemijającą wartość, co na tem miejscu z tem większą przyjemnością podnosimy, iż u nas wszelkie opisy „po-

bratymców" opierają się zwykle na kompilacyach, dokonanych na podstawie książek niemieckich, częstokroć zupełnie nie zasługujących z powodu swej bałamutności na uwagę. Z tego właśnie względu w literaturze naszej wśród prac, opisujących Słowacyę, książka p. Grabskiego jest cennym nabytkiem.

Co się tyczy błędów ważniejszych (z I rozdz.), to zaznaczyć należy, iż fałszywem jest twierdzenie, że oficyalnym językiem za dynastyi Arpadów był „język słoweński" (str. 5). Nawet bowiem narodowcy słowaccy przyznają, iż językiem oficyalnym do końca wieku XIV-go był język łaciński. Myli się również autor, nazywając język szkoły Bernolaka „zesłoweńczoną czeszczyzną" (str. 10), chyba chciał powiedzieć „zczeszczoną słowaczyzną". Co do dostarczania przez Muzeum „Domu" materyałów do opracowań dla miesięcznika *Slovenske Pohľady* (str. 78) — również jest autor w błędzie — należało powiedzieć: dla *Sborníka Časopisu*, wydawanych właśnie przez to Muzeum. O tych jednak wydawnictwach nigdzie słówkiem nie wspomina. Zgromadzenie z r. 1861 odbyło się nie w Turcu (str. 15), lecz w Turczańskim św. Marcinie.

Należałoby też dokładnie wytłumaczyć znaczenie wyrażenia: *uher som* (str. 5), czyli określić różnicę między pojęciami „węgier" i „madjar", — również dlaczego ogół Słowian zowią Słowacy „narodem", a nie przypisywać tego bezpośrednio brakowi poczucia odrębności plemiennej Słowaków. Właśnie liczne wędrówki Słowaków po ziemiach słowiańskich i łatwość porozumiewania się z pobratymczemi plemionami — a język słowacki jako taki zajmuje pod tym względem środkowe położenie — wielce wpływało na wyrobienie owego poczucia wspólności. Niepotrzebnie pisze autor Lipt*awa* (z niem. Liptau) zamiast Lipt*ów* (słowac. Liptov), jak również: „język słoweński" zamiast „język słowacki", wyrażenia bowiem „język słoweński" (też „słowieński") używamy w języku polskim dla oznaczenia języka Słowińców.

O cechach dodatnich omawianej pracy p. Grabskiego już wspominaliśmy, na tem miejscu jeszcze tylko podnieść winniśmy bardzo trafny pogląd autora na Mateusza Trenczyńskiego, a mianowicie, że walczył on nie przeciwko hegemonii madyarskiej, ani też w imię idei słowiańskiej, lecz w imię rodowych pretensyi swoich i praw do korony (str. 6). W literaturze historycznej słowackiej pogląd ten został po raz pierwszy wypowiedziany i uzasadniony dopiero przez Juliusza Botto w rozprawie zamieszczonej w zeszycie marcowym *Slovenských Pohľadov* (z r. 1901, str. 116).

Żałować należy, iż zewnętrzna szata tej pracy nie odpowiada jej wewnętrznej wartości. Roi się w niej od błędów drukarskich, tem dotkliwiej czuć się dających, iż niektóre z nich raz, inne zaś kilka razy, konsekwentnie się powtarzają, np.: Wielka Beruca (str. 15, 19) zamiast Wielka Rewuca, Datner (15) zamiast Daxner, Różambeergu (31) zamiast Różombergu, Zyiliny (26, 35) zamiast Żyliny, Svedczar (86) zamiast Svetozar, Najanskiego (86) zamiast Vajanskiego i wiele innych.

H. Ułaszyn.

Europa środkowo-wschodnia (Mapa fizyczna ziem polskich). *Stanisław Majerski.* Lwów (bez daty, wyd. z r. 1901).

Historya o Apellesie i o szewcu zawiera naukę bardzo trafną. Ale zdarzyć się może, że szewc nie tylko ma prawo, ale nawet obowiązek zabrać głos w kwestyi, na której się nie zna dokładnie, jeżeli widzi, że sprawa jest ważna, a „powołani“ do mówienia o niej milczą.

Te słowa na usprawiedliwienie, że porywam się na zdanie sprawy z mapy.

Robię to zaś dlatego, że dotąd spotkałem zaledwie jedną wzmiankę (dla ogółu przeznaczoną) o rzeczy bardzo ważnej, bardzo sympatycznej i bardzo symptomatycznej. Niech więc mój głos choć w części to zaniedbanie wynagrodzi.

Czy to nie jest dziwne, a nawet bolesne, że dotąd nie mamy polskiej mapy, przedstawiającej dzisiejszy stan ziem polskich? A w związku z tem, że nie mamy geografii, opisującej Polski tej, która dziś istnieje? Zapatrzeni w przeszłość, wydajemy „Geografię historyczną Polski“, wydajemy mapy historyczne Polski, a o teraźniejszości nie myślimy. Jedyna mapa, jaka przedstawia ziemie polskie dzisiaj, jest niemiecka, oczywiście pod tytułem: *Generalkarte vom westlichen Russland nebst Theilen vom deutschen Reich und von Oesterreich-Ungarn.* A znowu w związku z tym ujemnym stanem: jakie są nasze wiadomości o dzisiejszej Polsce? jak możemy sądzić życie i jego objawy w różnych dzielnicach, jeżeli o ich stosunkach realnych, na których się wszystko opiera, mamy pojęcia błędne? Przecież jest to zjawisko nadzwyczajnie częste, że wiemy, ile mieszkańców przypada na jeden kilometr kwadratowy w Belgii, a nie mamy pojęcia o etnograficznej karcie ziem polskich. Przecież my nie znamy granic własnego etnograficznego obszaru. Przecież do wyjątków należy Polak, któryby wiedział, jakie

bogactwa mineralne znajdują się na ziemiach polskich. Przecież o statystyce naszych zasobów materyalnych u nas głucho.

Jest to bardzo dziwne i bardzo przykre. Wina jest po stronie geografów naszych, że nam takich książek nie dają (bo trudno, zajmując się innemi rzeczami, robić źródłowe studya) i po stronie społeczeństwa, że na geografów o takie dzieła nie woła, że się ich nie dopomina, że nie wywiera nacisku, aby je otrzymać.

Dlatego z największą radością należy powitać wymienioną u góry mapę Majerskiego. Jest ona objawem jakiegoś zwrotu na lepsze, jest początkiem naprawy dawnego złego stanu. Co zaś zdaje się być w całej sprawie najlepszem, to, że mapa ta wygląda, jak gdyby początek całej seryi, całego atlasu ziem polskich. Gdyby przypuszczenia nasze były trafne, to p. Majerski miałby zasługę prawdziwie obywatelską i narodową obok ściśle naukowej.

Ale jeżeli autor swoje zrobił, to także kolej na nas. Mapa nie powinna nie zwrócić na siebie wielkiej uwagi, a sądzę, że powinna być w każdym domu polskim, który nie chce się przyznać do powinowactwa z Abderą.

Teraz zaś kilka słów laika o rzeczy samej.

Jest to mapa fizyczna, więc uzmysławiająca układ poziomy i pionowy i hydrografię ziem polskich, czyli po prostu powierzchnię ziemi, podstawę, na której dopiero inne fakty mają się zaznaczyć. Wykonana jest niezwykle starannie. Naprzód zewnętrzny jej wygląd jest zupełnie europejski, co tem bardziej zaznaczyć należy że jest wykonana w krakowskiej litografii. Nadzwyczajnie dokładna i przejrzysta. Dla oznaczenia różnych wysokości autor użył skali barw, złożonej z ośmiu kolorów, a więc uwydatnił nawet bardzo małe różnice. Z prawdziwą przyjemnością w mapę tę się człowiek wpatruje, a cała konfiguracya pionowa ziem polskich uwydatnia się na niej tak doskonale, że zastąpi najdokładniejsze opisy, a kwestye historyczne, związane ze stosunkami geograficznymi, zyskują w umyśle trwalsze podstawy (por. w tym względzie geografię „rozumową“ Nałkowskiego). Bardzo słusznie też autor zrobił, że miejscowości dał stosunkowo mniej, bo na mapie fizycznej przedewszystkiem ziemia powinna być uwzględniona.

Zostawiając specyalistom ocenę, czy w mapie tej nie znajdą się jakieś niedokładności, pozwoliłbym sobie wyrazić dwa życzenia. Pierwsze: należało rzecz doprowadzić do Morza Czarnego, bez względu na to, że granice Polski w r. 1772 do niego nie dochodziły, bo całe zlewisko tego morza (Dniestr, Boh, Dniepr) stanowi przecież jedną ca-

łość — i jaśniej wtedy wystąpi fakt, że część ziem polskich południowowschodnia grawituje ku Morzu Czarnemu, północno-zachodnia ku Bałtyckiemu. Drugie: nie byłoby chyba rzeczą niekorzystną naznaczyć na mapie granic dawnej Polski i granic Śląska, tem bardziej, że dzisiejsza granica trzech państw jest naznaczona.

Tyle miałbym o mapie tej do powiedzenia — poczytałem sobie za obowiązek zwrócić na nią uwagę. Oby „Mapa fizyczna ziem polskich“ stała się początkiem „Atlasu ziem polskich“.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Z piśmiennictw obcych.

Nowe prace o malarzach włoskiego Odrodzenia.

The Central Italian painters of the Renaissance. *Bernhard Berenson.* **The Florentine painters of the Renaissance.** *Tenże.* Second edition revised 1901.

W żadnym może kierunku umysłowości angielskiej nie dokonał się przy końcu ubiegłego stulecia przełom tak stanowczy, jak w dziedzinie artystycznej krytyki. Pod wpływem prerafaelistów z jednej, a teoretycznej i pedagogicznej działalności Ruskina z drugiej strony pozbyła się sztuka angielska wielu cech swej rasowej odrębności, ale rozszerzył się jej horyzont i równocześnie rozbudził się w narodzie angielskim zapał do sztuki wogóle, mnożyć się zaczęły historyczne i krytyczne nad rozwojem sztuki badania — a zagadnienia estetyczne, ich właściwości i pobudki coraz więcej zaprzątają umysłów. Jeszcze lat kilka, a berło artystycznej krytyki, silną dłonią dzierżone dotąd przez Niemców, wyrywane im od czasu do czasu przez Francuzów, przejdzie w ręce angielskich historyków sztuki. Obok znamionującej ich na równi z Niemcami ścisłości, wnoszą oni do artystycznej krytyki właściwy im dar obserwacyi psychologicznej, obniżającej się u niemieckich uczonych w miarę, jak zanika w ich narodzie trzeźwość w sądzeniu samych siebie, a teutońska buta, wdzierająca się nawet w najidealniejsze sfery myśli, nie pozwala odstąpić od pewnych zakorzenionych uprzedzeń

Objawem tego rozbudzonego artystycznego sądu, opartego na historycznych badaniach z jednej, a psychologicznej obserwacyi z drugiej strony, są prace Bernarda Berensona o malarzach włoskiego Odrodzenia. Biorąc te książki do ręki, mimowoli

nasuwa się wątpliwość, czy znajdzie się w nich coś nowego o szkołach i mistrzach, którym najpoważniejsi krytycy i historycy poświęcili długie i mozolne badania, o których napisano setki wyczerpujących monografii, większych i mniejszych rozpraw, o których rok rocznie pojawiają się jeszcze artykuły w różnych literackich i naukowych miesięcznikach?

Istotnie w tych dwóch małych książeczkach, z których jedna liczy właściwie tylko 95, a druga 129 stronic (reszta odpada na spis obrazów i miejscowości, w których się takowe znajdują), nowych i nieznanych nie spotykamy szczegółów. A przecież te książki sprawiają niezwykłe wrażenie. Czytając, oderwać się od nich trudno, skończywszy, otwiera się je znowu i czuje się, że poruszają one szereg myśli, w wielu z nas tkwiących, ale nie skrystalizowanych, że rzucają więcej światła na naturę wrażeń, wywołanych u nas przez dzieła mistrzów, o których mowa, niż niejedna z dokładnie opracowanych monografii.

W czem tajemnica uroku Rafaela lub Leonarda, dlaczego do pewnych pokoleń i ludzi lepiej przemawia ten, niż tamten z mistrzów Odrodzenia, dlaczego niektórzy z nich narzucają się uwielbieniu wszystkich, dlaczego jedni są i pozostaną nieśmiertelnymi, choćby się nawet zmienił charakter naszej europejskiej kultury, a drudzy wydają się typami epoki już zamkniętej? To są pytania żywiej nas może obchodzące, niż koleje życia i historyczny związek utworów największych nawet artystycznych geniuszów.

Prace Bernarda Berensona, jakeśmy już zaznaczyli powyżej, napisane są z punktu widzenia czysto psychologicznego; ten punkt widzenia sprawia, że nie tylko tak żywo uprzytomniają nam odniesione osobiście artystyczne wrażenia, ale nadto poruszają mnóstwo doniosłych, z faktem artystycznego używania powiązanych zagadnień. Bernard Berenson zwraca już od lat kilku uwagę swojemi pięknemi i oryginalnemi pracami; jest on również autorem ciekawego szkicu o Lorenzym Lotto, oraz książki o malarzach weneckich, zdobnej w piękne fotograwiury, która w krótkim czasie już trzeciego doczekała się wydania. Nigdzie jednak wyraźniej nie zarysowało się stanowisko angielskiego krytyka, nigdzie szerszego nie miał pola do rozwinięcia całokształtu swych artystyczno-psychologicznych poglądów, jak w tych dwóch pracach, z których zdajemy sprawę. Oddzielić jednej od drugiej niepodobna. Uzupełniają się one wzajemnie tak, jak w rzeczywistości uzupełniały się owe dwie szkoły włoskie, do których się odnoszą, a z których jedna wydała Rafaela, druga z działalnością Michała Anioła kulminacyjnego dosiągnęła punktu.

Jaką w historyi sztuki Odrodzenia malarze Włoch środkowych odegrali rolę, co ich od szkół innych, mianowicie od we-

neckiej i florenckiej wyróżnia, co im nadaje pewną jednolitość typu, od Duccia począwszy, a skończywszy na Rafaelu, oto pytanie, od którego Berenson pracę swoją zaczyna. Zdarzają się także między nimi malarze, obdarzeni żywem poczuciem kolorytu, jak Gentile da Fabriano, Perugino, Rafael, są tacy, jak Signorelli, którzy nie ustępują malarzom florenckim w rozwiązywaniu największych trudności w kreśleniu kształtów i ruchów, ale wzięci zbiorowo, nie zasłynęli oni w dziejach sztuki ani jako rysownicy ani jako koloryści. „Dzięki czemuż zajęli miejsce jeżeli nie obok najpotężniejszych, to obok najpopularniejszych imion? Malarze Włoch środkowych — odpowiada w dalszym ciągu Berenson — są przedewszystkiem znakomitymi i typowymi illustratorami".

Ażeby tę definicyę autora ocenić, trzeba zrozumieć, jakieto w utworze sztuki plastycznej, a mianowicie w utworze malarskim wyróżnia składniki. Wszelki obraz, uwidoczniony za pomocą linii i barw, ma bez względu na swoją artystyczną wartość i techniczne wykonanie to samo źródło, co wszelkie nasze pamiątkowe obrazy: podrażnienie wyobraźni przez pewne zajścia, odbywające się w świecie zewnętrznym. Zdolność tworzenia obrazów posiada każdy umysł ludzki, ale posiada ją w rozmaitym stopniu: u jednych pamięciowe obrazy są zaledwie cieniem odczutych na razie podrażnień, przyczem większa ich część zaciera się zupełnie, u drugich przybierają wyraźniejsze i trwalsze kształty, u trzecich wreszcie zdolność obrazowania jest tak wybitna, że po upływie dłuższego czasu jakiś fakt, jakaś scena z tą samą przedstawia się im wyrazistością, jak kiedy ją odczuwali na razie. Z chwilą, gdy ta zdolność obrazowania uwidocznia się na zewnątrz za pomocą linii i barw, mamy przed sobą utwór malarski. Gdyby nie istniała zdolność pamięciowego obrazowania, nie mielibyśmy zapewne sztuki — ale gdyby wszystkie umysły posiadały tę zdolność w jednakowo doskonałym stopniu, żaden obraz, utrwalony na zewnątrz, nie sprawiałby im należytej przyjemności. Obraz bowiem każdy ze względu na swoją treść tem głównie uczucie zadowolenia wywołuje, że wyobraźni naszej pewną pomoc a zarazem i podnietę przynosi. Otóż wszystko to, co w utworze artystycznym pociąga nas i zajmuje ze względu na znaczenie swej treści, podciąga autor pod miano illustracyi. Na to jednak, ażeby utwór malarski wywarł na nas prawdziwie artystyczne wrażenie, potrzeba innych jeszcze składników. Oprócz zdolności odtwarzania pamięciowych obrazów potrzeba tego, co bezpośrednio podnieca i zadawalnia naszą dotykową wyobraźnię *(our tactile imagination)*, a co Berenson, w przeciwstawieniu do illustracyi, nazwą dekoracyi oznacza.

Illustracyą są niezaprzeczenie ryciny, zdobiące szpalty cza-

sopisma, ale illustracyą są także freski Rafaela, o ile nie weźmiemy pod uwagę różnicy, zachodzącej między jednem a drugiem pod względem strony dekoracyjnej, to jest jego ściśle artystycznych wartości, jakiemi są kształty, ruch, układ lub koloryt.

Ponieważ zdolność pamięciowego obrazowania pojawia się u wszystkich ludzi i we wszystkich epokach, przeto oczywistą jest rzeczą, że nawet w tych okresach, które zatraciły lub nie wyrobiły w sobie jeszcze poczucia kształtów, ruchów, układu i t. d., nawet w czasach nizkiego wykształcenia technicznego utwór malarski czynił zadość pewnym potrzebom wyobraźni. Podobnież i w epokach najbardziej rozwiniętego poczucia artystycznego znajdą się zawsze ludzie, którzy wartość obrazu upatrują w jego illustracyi, t. j. w tem, co on nam za pomocą linii i barw wyraża.

Z tego punktu widzenia wynika, że jeżeli który składnik w dziele sztuki ulegać może pewnym fluktuacyom pojęć, jeżeli który odźwierciedla ideały, różniące jedno pokolenie od drugiego, to tylko illustracya. Strona dekoracyjna przeciwnie, odpowiadająca pewnym stałym i niezmiennym wymogom wyobraźni dotykowej, pozostaje poza wszelką fluktuacyą kursujących wyobrażeń — obraz, odznaczający się prawdziwie artystyczną wartością, jakakolwiekby była treść jego, nie straci tej wartości, choćby nastała epoka zboczenia smaku estetycznego, jak to miało miejsce za czasów Carracc'ich, Guido Renich i t. p.

Cóż więc znachodzimy w tych czasach, w których brak środków technicznych, brak odpowiedniej metody w traktowaniu kształtów i ruchów nie dozwalał artystom wydoskonalić strony dekoracyjnej utworu, a nigdy nieustająca w pracy swej wyobraźnia siliła się głównie w kierunku uzmysłowienia sobie absorbujących ją ideałów? Oto widzimy, że w takich czasach wszystkie pojawiające się utwory sztuki są przedewszystkiem illustracyami. Jeżeli illustrator obdarzony jest wyjątkową zdolnością pamięciowego obrazowania, jeżeli krążące wśród jego otoczenia pojęcia w jego umyśle, a następnie pod jego ręką wyraźniej i potężniej się odbijają, to pomimo braków, zachodzących w części dekoracyjnej jego utworów, illustrator taki wywoła głębokie wrażenie i pozostanie zawsze ważnym, a nieraz i bardzo pociągającym wyrazem swej epoki.

Otóż cechą wybitną malarzy Włoch środkowych jest to, że są wszyscy przeważnie illustratorami, nie przestaje bowiem być illustratorem i tak genialny jak Rafael artysta, a to z tego powodu, że i dla niego celem wszystkich jego usiłowań jest wyrażenie tkwiącej w nim i w jego otoczeniu idealnej treści.

Takim typowym, a do dziś dnia bardzo jeszcze pociągającym okazem illustratora jest Duccio di Buoninsegna (1283—1339). Wszystko, czego wieki średnie żądały od malarza, to Duccio

doskonale urzeczywistnia. Berenson przechodzi cały cykl jego utworów, przechowywanych dotąd w muzeum sienneńskiem. Zatrzymajmy się przed kilkoma z nich. Ich metaliczny blask, ich złoto, zlewające się z barwą zieloną, nadają im sztuczną wprawdzie, ale niezaprzeczoną cechę wspaniałości. A w oddaniu treści jakaż prostota, jasność i dokładność; co więcej — scenom, które przedstawia, umie Duccio nadać całą tę wartość, całe to znaczenie, jakie w nich genialną swoją wyobraźnią odczuwa, umie w nich dopatrzeć się czegoś więcej ponad to, czegoby w nich zwykła wyobraźnia pochwycić zdołała, a tem samem działa na umysły podniecająco — „podnosi je do wysokości własnego umysłowego poziomu". Oto mamy przed sobą Chrystusa Pana, przemawiającego do swych uczniów przed umyciem nóg. Staje przed nimi pełen majestatu, a oni patrzą na Niego tak, jak gdyby im się teraz dopiero w całym blasku Swej doskonałości odsłonił. Zachwyt i wysilenie duszy, ażeby Go pojąć, ażeby się dźwignąć ku Niemu, wszystko tu uwydatnione i przeprowadzone przez całą skalę indywidualnej expresyi. Idźmy dalej. Nastał dzień Zmartwychwstania. Jutrzenka oblewa swem światłem ściany jaskini. Trzy Marye zbliżają się do grobu i zatrzymują się nagle, olśnione widokiem anioła. Tu już do dramatyczności wyrazów, do głębokości uczucia, do wspaniałości pomysłu, stanowiących główne zalety wielkiej illustracyi, przyłącza się magia oświetlenia. W zdradzie Judasza znachodzimy jeszcze inną zaletę, mianowicie rzadką zdolność artystycznego układu. Niekiedy schodzi Duccio z wyżyn dramatu i wsuwa nieznacznie jakiś wdzięczny rodzajowy obrazek. A jednak pomimo tych wszelkich zalet dlaczego Duccio wydaje się raczej archeologicznym zabytkiem, dlaczego imię jego tak mało znane, podczas gdy współczesny jemu Giotto tak silnie przemawia do naszego artystycznego poczucia, a imię jego już od pięciuset lat nieśmiertelnym jaśnieje blaskiem? Posiadał widocznie Giotto jakiś talizman, jakiś sekret, do którego Duccio nie dotarł. Odpowiedź jest na to krótka: owym talizmanem nieśmiertelności jest ż y c i e s a m o, pulsujące w utworach Giotta. „Jeżeli — powiada Berenson — artysta potrafi zręcznie pochwycić ów pierwiastek życiowy i wcielić go w swoje utwory, natenczas może on być pewnym, że dzieła jego żyć będą wiecznie. Ale owe życiodajne własności nie odnajdują się w samej treści obrazu, czyli w jego illustracyjnym składniku, osięgnąć je można tylko przez właściwe oddanie kształtów, t. j. wartości dotykowych i ruchu".

Wyobraźmy sobie kogoś, przynoszącego nam jakąś nowinę— tłumaczy nam obrazowo autor; — jakakolwiekby była osnowa jego poselstwa, jakiekolwiek sprawiłoby nam ono na razie wrażenie, jeżeli ten, co nam je udzielił, jest prostym tylko posłańcem, myślimy o tem, co nam obwieścił, ale na niego i na spo-

sób, w jaki to wyraził, nie zwracamy nawet uwagi. Niech to będzie jednak interesująca i pociągająca osobistość, a niebawem wiadomość, jaką nam przyniósł, o tyle ma już tylko dla nas znaczenie, o ile się stała zawiązkiem naszej przyjacielskiej zażyłości. To samo dzieje się z nami i w stosunku do artystycznego utworu. Choćbyśmy dawno wyczerpali treść jego, jeżeli posiada wartości dotykowe, jeżeli w nim jest ów pierwiastek życiowy, nie przestaje nas swoim urokiem pociągać, bo podobnie, jak zalety naszego przyjaciela, ma on dar potęgowania i podniecania w nas bezpośrednio objawów życia.

Otóż w utworach Duccia postać ludzka ma znaczenie jako aktor w dramacie, jako szczegół w kompozycyi, ale nigdy nie jest owym czynnikiem, podniecającym naszą wyobraźnię dotykową i poczucie ruchu. Jego ciała nie mają odporności ani wagi, one nie ciężą i nie naciskają, gdy siedzą; pchnięte, możeby się rozwiały jak cienie, draperye nie czynią nigdy wrażenia, jakoby żywe okrywały kształty. Jeżeli wyzyskuje nasuwające mu się kształty i ruchy, to czyni to po dyletancku, nie zdając sobie sprawy z ich właściwej roli — nigdy same przez się nie są dla niego celem, ale środkiem, użytym do podniesienia illustracyi.

Nie jest naszem zadaniem przejść w szczegółach rozwój sztuki Włoch środkowych, chcieliśmy tylko pokazać, w jaki sposób, wyszedłszy z psychologicznego założenia, doszedł Berenson do określenia malarzy tej szkoły jako typowych illustratorów. Zaznaczymy tylko pobieżnie, że jeżeli w Ducci'm przeważa poczucie uroczystości i dramatyczności, to Simone Martini, uczeń Ducci'a, celuje pięknością, gracyą, a przytem świetnością kolorytu, ale i on jest tylko illustratorem własnych i otoczenia swego wyobrażeń. Z dwoma Lorenzetti, Piotrem i Ambrożym, poczucie kształtów, ruchu i kompozycyi schodzi już na ostatni plan, wszystko poświęcone wyrażeniu najbanalniejszych i najłatwiejszych wzruszeń.

Początkiem swej działalności sięgająca czasów, w których techniczne środki i metoda artystyczna nie były się jeszcze wykształciły, a obserwacya nie była się zwróciła w kierunku realnych życiowych objawów — gałąź ta szkoły Włoch środkowych, odcięta dłużej, niż inne, od zewnętrznych wpływów, skostniała z czasem tak dalece, że późniejsze jej okazy czynią już całkiem archeologiczne wrażenie. Upadła szkoła sienneńska, ponieważ jej malarze nigdy nie zwrócili obserwacyi swej tam, skąd mogła zaczerpnąć nieśmiertelny życia pierwiastek, woleli dorabiać ciała do swych marzeń i wywoływać pamięciowe wyobrażenia, pokutujące w ich umysłach.

A tymczasem w koło nich, w niedalekiem sąsiedztwie dokonywał się przełom wyobrażeń. Co przyczyniło się do tej zmiany? Przedewszystkiem ów niespożyty zapas energii, nie po-

zwalający, jak się wyraża autor, spocząć bezczynnie w jakimkolwiek raju, dalej obudzenie się ducha obserwacyi naukowej i fakt nader pomyślny, że znaczny, jeżeli nie przeważny zasób owej rozbudzonej energii zwrócił się pierwej ku sztuce, niż ku umiejętności. Wynikiem tego był naturalizm, który Berenson określa jako umiejętność, spożytkowującą sztukę do swoich celów. Wkrótce wyłoniło się przeświadczenie, że objektywna wartość nie tkwiła w tego rodzaju sztuce, jaką dotychczas uprawiano. Człowiek, obdarzony niezwykłą samodzielnością, jakim był Donatello, oswobodził za jednym zamachem sztukę od całego balastu średniowiecznych wyobrażeń i zwrócił się z niebywałym zapałem do reprodukcyi przedmiotów, jakie mu obserwacya nasuwała. Opanowany żądzą udzielenia jak najwięcej ruchu, ujawnienia jak najwięcej akcyi, wyszczególniał z upodobaniem z pomiędzy niezliczonej ilości narzucających mu się form te, które najlepiej objawiały grę zwinnych i szybkich sił w przyrodzie. Tkwiło w tem poniekąd niebezpieczeństwo, dążność ta za daleko posunięta, utrzymuje Berenson, mogła nadać sztuce impuls, któryby ją był zbliżył więcej do kierunku japońskiego malarstwa, niż do naszego — ale niebezpieczeństwo zostało zażegnane przez Massaccia wprowadzeniem takich kształtów, które potęgują w naszej wyobraźni wrażenie odporności i mocy. Potężnej wreszcie dostarczył umysłom podniety świat starożytny, zmartwychwstający z gruzów i odsłaniający stopniowo swoje poczucie życia i piękna w coraz ciekawszych i coraz liczniejszych fragmentach.

Stworzony przez Donatella i Massaccia, sankcyonowany przez humanistów nowy kanon figury ludzkiej uwidocznił też nowy i niejako wzmocniony typ istoty ludzkiej, lepiej do walki życiowej zaopatrzony, niż poprzedni i typ ten tak długo wyrażać będzie nasz ideał człowieka, dopóki utrzyma się helleński charakter naszej europejskiej kultury. Pod działaniem tych czynników musiał się zmienić charakter wyobraźni — co więcej, po pięciu wiekach ciągłego naśladowania i powtarzania rasa europejska stała się do typu, jaki jej nowy kanon dostarczył, bardziej podobną, niż pokolenia, które go poprzedziły — „jest to bowiem niezaprzeczoną prawdą — dowodzi autor — że sztuka uczy nas nie tylko, jak mamy patrzeć, ale także, jakimi być mamy“.

Z Donatellem i Massacciem zaglądnęliśmy w podwoje florentyńskiej szkoły. Jeżeli przypomnimy sobie składniki, jakie Berenson w utworze artystyczym wyróżnia, to zrozumiemy od razu, dlaczego, zdaniem jego, artyści florenccy w przeciwstawieniu do malarzy Włoch środkowych są przedewszystkiem dekoratorami. Jak dla tamtych treść duchowa najwyższe i niemal wyłączne miała znaczenie, tak dla tych wszystko to, co działa na wyobraźnię dotykową, staje się przedmiotem i celem głównym

wszystkich umysłowych wysileń i wszystkich zmian, wprowadzanych do artystycznej metody, wszystkich udoskonaleń technicznych. Ale że umysł ludzki w rozeznawaniu czynników działających podniecająco na jego wyobraźnię wznosi się od najprostszych do najzawilszych, więc w przebiegu sztuki florenckiej ujrzymy odpowiadające tym etapom rozeznawania także stopniowe opanowywanie dotykowych wartości. Najprostszą, ale też i najpierw na wyobraźnię działającą wartością są kształty; od obserwacyi i reprodukcyi tychże rozpoczyna się działalność tej szkoły, a inicyatorem w tym kierunku, jakeśmy to już nadmienili, był Giotto.

Zanim jednak pójdziemy w ślad za mistrzami florenckimi po coraz wyższych stopniach rozwoju sztuki, przypatrzmy się, o ile w innych ogniskach Włoch środkowych uwidocznia się ów typ illustratorów, który tak wybitnie i niemal wyłącznie odznaczał szkołę sienneńską.

Zdawałoby się, że trzech mistrzów stanowczy w tej tradycyi uczyniło wyłom. Romania i najbardziej na południe wysunięta część Toskanii są ich ojczyzną. Piero dei Franceschi, Luca-Signorelli i Melozzo da Forli to na pierwszy rzut oka godni florenckich mistrzów współzawodnicy. Do tych samych zdają się zmierzać celów, temi samemi kroczyć drogami. Już Piero, mistrz Signorell'ego i Melozza, ma takie poczucie dotykowych wartości i taki dar uwydatnienia siły i ruchu, że nie ustępuje ani Massaccii ani Donatellemu, a jest niezaprzeczenie pierwszym, dla którego efekta światła mają same w sobie urok i znaczenie. Obok tego jest to illustrator pierwszorzędnego znaczenia, illustrator, uprzytomniający nam odrębny świat pojęć, zapatrzony w pełen majestatu ideał i skłonny do uroczystej interpretacyi. Zarzucić mu jednak można, powiada Berenson, że niezawsze utrzymuje się na tej wysokości, że nieraz wydać się może za mało osobistym, nawet obojętnym. Tu następuje w Berensonie pełna ciekawych szczegółów ocena tego, co pod objektywnością (impersonality) w sztuce rozumie. Szczupłe ramy niniejszego sprawozdania nie dozwalają iść w ślad za wszystkimi jego wywodami. Jakkolwiek daleki od akademickiego na sztukę poglądu, jednak w tej ocenie zarysowuje się Berenson jako stanowczy przeciwnik całego impresyonizmu i na bezdroża schodzącego dekadentyzmu. O ile niezbity jest fakt, że żaden artysta nie jest w możności oddania bądź zjawisk życia ludzkiego, bądź krajobrazu takiemi, jakiemi są w istocie, ale tylko takiemi, jakiemi się w jego wyobraźni odbijają, o tyle wystrzegać się powinien pilnie przy odtwarzaniu swoich pamięciowych obrazów zabarwiania ich czysto subjektywnem odczuciem. Redukując rzeczywiste zjawiska do ich najbardziej charakterystycznych

znaków i sił, sprawi to właśnie, że patrzący będzie wobec nich reagować, jak on reagował i czuć tak, jak on czuł.

Spadek po Piotrze dei Franceschi podejmują dwaj genialni uczniowie, a idąc za impulsem własnego temperamentu, każdy na swój sposób wysokiego stopnia doskonałości dosięga. Melozzo ma potężniejszy temperament, Signorelli jest subtelniejszym i głębszym umysłem, w uroczyste kreacye swego mistrza wlewa Melozzo wyjątkową siłę uczucia. U niego figura nigdy nie jest nieczułą, nigdy też sama w sobie nie jest dla niego celem, ale zawsze wcieleniem wielkich wzruszeń. Wzruszenia te nie tylko udzielają się patrzącemu, ale go porywają w jakiś świat wyższy, archanielski, występuje zatem Melozzo w całej swej artystycznej działalności jako genialny illustrator. Signorelli nie pali się tym ogniem, co Melozzo — pisze Berenson — ale i znaczenie treści poetycznym chwyta umysłem i równie dobrze panuje nad kształtami jak Giotto a nad ruchem jak Piero lub Massaccio. Wprawdzie w tym kierunku mistrzem mu był więcej jeszcze Antoni Pollainolo od Piotra. Wielkim artystą byłby się stał Signorelli już z temi zaletami, ale te zalety były mu środkiem do celu, który sobie nad wszystko inne upodobał, a celem tym były nagie kształty — *il nudo*. Dlaczego nagie kształty taką w sztukach plastycznych odgrywają rolę, dlaczego ku nim zwracać się będą uporczywie najgenialniejsi artyści, to nam już wyjaśniono nieraz, to nam jeszcze z psychologicznego punktu widzenia wykłada Berenson w swej pracy o malarzach florenckich. Oddanie nagich kształtów, o ile się uda i należycie było traktowanem, jest ze wszystkich artystycznych tematów najwięcej życia udzielającym i najbardziej życie podniecającym, żaden bowiem przedmiot w takiej mierze nie pozwala uwydatnić i skontrolować wartości dotykowych a szczególnie ruchu. Stąd owa uparta żądza opanowania nagich kształtów, wydarcia im wszystkich życia tajemnic, apoteozowania ich omal, jaką znachodzimy u Michała Anioła. A jednak w tym kierunku współzawodniczy z nim nieraz Signorelli, a jeżeli czasem myli się w swem zrozumieniu nagich kształtów, to dlatego, że i on jest wybitnym illustratorem, że i on jest dzieckiem Włoch środkowych, ale jako taki, Signorelli jest najzrozumialszym dla nas ze wszystkich dotąd omawianych illustratorów. On pierwszy — mówi autor — illustruje nasz własny, nowożytny dom życia.

Ci trzej malarze zależnością swoją od florenckich wpływów, a tradycyonalną skłonnością umysłów z drugiej strony stanowią pomost pomiędzy Florencyą a środkowemi Włochami. Ale czas nam przypatrzeć się wraz z autorem trzeciej tych szkół odnodze, mianowicie wdzięcznym umbryjskim malarzom.

Szkoła umbryjska stoi z początku pod bezpośrednim wpływem sienneńskiej; pozostawiona jakiś czas sobie samej, nie wy-

daje ani jednego utworu, któryby na miano sztuki zasługiwał, ale szczęściem dla niej wchodzi niebawem w bezpośrednie i pośrednie zetknięcie się z Florencyą. Zetknięciu temu zawdzięcza, że mogła wobec Odrodzenia podjąć to samo zadanie, jakie Sienna spełniła wobec wieków średnich: wcielenia i utrwalenia tych wyobrażeń i wizyi, które w danej chwili mogły przynieść najwięcej ukojenia i radości, wytknięcia nowego kierunku aspiracyom serc ludzkich, przelania nowo odczutych piękności w odmłodzone kształty.

„Temu posłannictwu, kapłańskiemu raczej, niż artystycznemu“, Umbrya pozostała wierną. Pierwszym, który ją otrząsł z letargu był Benozzo Gozzoli. Obudziły się do życia uśpione talenty — i odtąd nie przerywał się już nigdy duchowy z Florencyą związek. Z jej obficie tryskającej krynicy czerpać nie przestaną umbryjscy artyści. Już Fiorenzo di Lorenzo wędruje jako młode pacholę do pracowni Pollaiuola i niejednego sekretu uczy się od Signorellego. Skąpany w tych ożywczych wodach, opowiada swym pendzlem cuda św. Bonawentury; czyni to z wdziękiem właściwym Umbryjczykom, a z poczuciem linii i ruchu, jaki cechuje Florentczyków. Ale dłuższe zasiedzenie się w Umbryi wygasza w nim powoli płomień, jaki w nim rozniecila Florencya, wkrótce sława jego niknie, przyćmiona blaskiem, jakim świecą dwaj jego uczniowie: Pintoricchio i Perugino. Wykształcenie artystyczne Pintoricchia jest powierzchowne i wadliwe; odbija się to we wszystkich jego utworach od początku do końca, ale uzdolnienie jego jest tak wielkie, że w Sykstyńskiej kaplicy obok największych mistrzów poczesne zajmuje miejsce, a w S. Maria del Popolo do dziś dnia czaruje nas wdziękiem swych kobiet i romantycznością krajobrazu. Ponad wszystko posiada jedną zaletę, wyróżniającą odtąd malarzy umbryjskich: poczucie przestrzennej kompozycyi. Rzućmy okiem na freski z Libreria del Duomo w Siennie. Z punktu widzenia malarskiego są nieźle namalowane figury, ale pod względem architektonicznej dekoracyi jakież nieporównane mistrzowstwo. Dano mu pokój długi o nieszczególnych proporcyach, ale cóż on z tego nie uczynił pokoju? Wielkie łuki poniżej stropu otwierają się szeroko na rozległy, romantyczny krajobraz. Jesteś pod dachem, a zdaje ci się, że na otwartem powietrzu pełnemi oddychasz płucami. Powietrze to jakieś łagodne, harmonijne, dane ci w mierze, tak, że każde twoje odetchnięcie jest muzyką. Przez ten uroczy krajobraz jak gdyby od niechcenia przeciągają procesye. „Patrzysz na nie wpół senny, jak gdybyś spoglądał na przeciągającą przed twemi oczami bandę muzykantów w piękny wiosenny poranek, gdy wszystkie twe pulsa przyśpieszonem biją tętnem“.

Jednem słowem z Pintoricchim zapisuje Berenson wielki

dla sztuki nabytek: poczucie przestrzennej kompozycyi. Nie możemy przytoczyć całego szeregu uwag angielskiego krytyka o znaczeniu tego tak ważnego a subtelnego w utworach malarskich czynnika. Wykazawszy, że nie można kompozycyi przestrzennej identyfikować ani z kompozycyą wogóle ani z architekturą malarską ani z krajobrazem, że rozwiązanie trudności, jakie ona przedstawia, nie zależy ani od mozolnych studyów nad światłocieniem ani od subtelnego oddania atmosferycznych objawów, że przeciwnie, słabo nawet skądinąd uzdolniony malarz, byleby miał z natury to poczucie, a o dobrą oparł się tradycyę, potrafi dodatnie wywołać efekta — oświadcza wreszcie Berenson, że poczucie to jest czemś, czego żadna wprawa, żadna umiejętność nauczyć nie potrafi — jest to poczucie niektórym malarzom wrodzone. W pojęciu Berensona układ przestrzenny jest w utworze malarskim najsubtelniejszym, najbardziej duchowym, prawie że mistycznym momentem. Onto sprawia, że nas utwór malarski od siebie samych odrywa, a pozwala niejako rozpłynąć się w wyobrażonej nam przestrzeni. Daje nam uczucie — mówi autor — jakobyśmy identyfikowali się z wszechświatem, stawali się jego duszą. Jednem słowem poczucia kompozycyi przestrzennej nie można sobie wystawić bez pewnego uroczystego nastroju, tem poczuciem przestrzeni, tak wysoko u Perugina rozwiniętem, tłumaczy sobie Berenson wrażenie religijne, jakie utwory Perugina sprawiają, pomimo że ten pierwszy nauczyciel Rafaela powszechnie za ateistę uchodził. Poczucie to, zdaniem autora, występuje tak wybitnie w tym artyście, że podobnie jak u Pintoricchia maskowało nam jego artystyczne wady, tak u niego sprawia, że trudno orzec, o ile dodatnie strony jego utworów z innych także wypływają zalet. To pewna jednak, że Perugino jest znowu typem wielkiego illustratora, nie tylko znakomicie odzwierciedlającego wyobrażenia swej epoki, ale umiejącego również odtwarzać i typy swego otoczenia — jest to portrecista, odznaczający się wielką subtelnością a zarazem i podziwienia godną objektywnością. O słodkiej ekspresyi jego Madonn i Świętych mówiono już tyle, że tych szczegółów poruszać nie warto.

Przechodząc stopień po stopniu rozwój sztuki umbryjskiej, zawiódł nas wreszcie Berenson na ową wyniosłą i rozległą platformę, na której niepodzielnie króluje Rafael. Potężniejsi od niego bywali geniusze; on przez całe życie różnorodnym ulegał wpływom, od każdego ze współczesnych mistrzów coś przyjął, czegoś się nauczył, a jednak choć wszystko pochłaniał, w sobie przetapiał, nawet w najświetniejszych swych freskach jako kolorysta nie dorównał Tycyanowi, a w oddaniu kształtów i ruchu mistrzom florenckim. Bo też inne były jego cele i z innego względu przykuwa naszą uwagę. Żaden przed nim, żaden po

nim artysta nie posiadał tak uporządkowanej, a zarazem tak lotnej wyobraźni. W tę nieocenioną uposażony zaletę, zjawia się w epoce już udoskonalonej formy, już ustalonych głównych Odrodzenia ideałów. Filtrując i klarując wszystko, co przez retortę jego umysłu przechodziło, na to, aby uczynić go tem, czem się stał, Rafael zakreśla sobie za zadanie obdarzenia świata nowożytnego całym szeregiem artystycznych kreacyi, uwidoczniających po dziś dzień dla większości oświeconych ludzi całą treść duchową i umysłowe aspiracye nowego pokolenia. Doskonalszego tłumacza starożytności klasycznej sztuka nie wydała nigdy i dopóki za tym światem tęsknić będziem, dopóki będziemy się rozczytywali w greckich i rzymskich autorach, dopóty świat ten będzie nam się przedstawiał takim, jakim go Rafael wyobraził. Z drugiej strony w swych Madonnach i Świętych, w swej dyspucie jest również tłumaczem aspiracyi chrześcijańskich, umie oddać całą głębię uczucia, całą nawet czysto ludzką podniosłość, na jaką tylko pod tchnieniem chrześcijaństwa dusza zdobyć się, może. Wreszcie Rafael odsłania nam nasz własny i dotąd nie wyrugowany ideał piękności, zwłaszcza niewieściej. Co zadziwia, to że ten artysta o temperamencie tak harmonijnym, o skłonnościach nieraz idyllicznych, potrafi być objektywnym, surowym, umie siebie wykluczyć i dlatego portrety jego nie mają sobie równych co do prawdy ani wyższych co do oddania duszy i ciała zarazem.

Ale czy na tem wyczerpało się zasługi Rafaela, czy powiedziało się wszystko o tym geniuszu, przedstawiwszy go jako najdoskonalszego z illustratorów? Wystawmy sobie, że przeżyła się nasza cywilizacya, że na jej miejscu rozpanoszyła się kultura Japonii, czyżby się wtedy utrzymało coś nie z utworów, bo te mogłyby przeżyć, ale z artystycznych zdobyczy Rafaela? A po jakichżeto cechach nowa ta ludzkość odróżniłaby Rafaela od innych artystów? Berenson nie waha się twierdzić, że zaletą, zapewniającą Rafaelowi wszędzie i po wszystkie czasy nieśmiertelność, byłoby jego poczucie kompozycyi przestrzennej!

Rafael — reasumuje wkońcu Berenson — nie był wprawdzie artystą w tem znaczeniu co Leonardo, Michał Anioł, Velasquez, Rembrandt — on był wielkim illustratorem i wielkim kompozytorem przestrzennym. Atoli w tryumfach, jakie święcił, leżał już zaród jego zguby. Ostatnie jego prace noszą, z małymi wyjątkami, cechy pośpiechu. Często dokończają ich uczniowie.

Wraz z Rafaelem dosiągnęła szkoła umbryjska swego zenitu, odtąd szybkim krokiem chyli się do upadku i z czasem wyradza się zupełnie.

Chcąc przedstawić całość poglądów Berensona na sztukę Odrodzenia i jej rozwój, musieliśmy czerpać równocześnie w obydwóch jego pracach. Omawiając w ślad za autorem dzieje szkoły

umbryjskiej, dotknęliśmy niejednokrotnie najważniejszych w rozwoju florenckiego Odrodzenia momentów. Wysunęliśmy naprzód te typy, które jużto przez swoje przeciwieństwo uwydatniają właściwości malarzy Włoch środkowych, jużto te, które wpływem swoim ich dotknęły i do pewnej zmiany, jeżeli nie w kierunku, to w metodzie się przyczyniły.

Mówiąc o Ducciu, jako o prototypie illustratora, przeciwstawia mu Berenson Giotta jako pierwszego dekoratora, jako tego, który inicyuje zwrot ku obserwacyi i odtwarzaniu zjawisk życiowych. Teraz pozostaje nam wykazać, czerpiąc w pracy o malarzach florenckich, jak spełnia się to stopniowe rozeznawanie i odtwarzanie dotykowych wartości. To, co się najpierw naszej obserwacyi i kontroli naszej wyobraźni dotykowej narzuca, to kształty. Oddanie kształtów tak, aby nam czyniło wrażenie rzeczywistości, ażeby nie tylko zadawalniało, ale i podniecało naszą dotykową wyobraźnię, jest myślą przewodnią Giotta i pozostaje naczelnym rysem szkoły florenckiej przez cały ciąg jej rozwoju.

Ażeby ocenić, jak wielki postęp oznacza Giotto w metodzie malowania, potrzeba porównać go z Cimabuem. Typy, które malują, są bardzo podobne, ale podczas gdy u Cimabuego musimy cierpliwie rozeznawać linie i kolory, aby ująć w jeden obraz to, co nam chce przedstawić, wystarczy rzucić okiem na Giotta, ażeby natychmiast zrozumieć, o co mu chodzi, przyczem nasza wyobraźnia nie tylko uczucia zadowolenia, ale i silnej doznaje podniety... Nie rozporządzając jeszcze wydoskonalonymi technicznymi środkami, Giotto ma ten przedziwny takt, że nie porywa się na skomplikowane efekta, ale za pomocą głównie funkcyonujących linii, za pomocą najprostszego rozdziału światła i cieniów oddaje te istotne każdej postaci rysy, które musimy w wyobraźni naszej wydzielić, ażeby sobie postać ową uprzytomnić. Nadto posiada Giotto nie tylko dar pochwycenia kształtów, ale zarazem uwydatnienia duchowych wartości przez wcielanie ich w takie kształty, które najlepiej znaczenie ich uzmysławiają. Jest to właśnie cecha, wyróżniająca głęboki i przekonywujący symbolizm Giotta od wyobrażenia treści duchowej jego poprzedników i współczesnych mu illustratorów.

W sto lat później, wśród zmienionych już wyobrażeń, w nierównie korzystniejszych warunkach podejmuje Massaccio wytknięte przez Giotta zadanie. To Giotto odmłodzony i już w znakomite środki techniczne zasobny. I dla niego oddanie życiowych kształtów jest celem wszystkich wysileń i on ma dar uwydatnienia za pomocą charakterystycznych rysów znaczenia tak materyalnych wartości, jak moralnych właściwości. Wiemy już, jak uzupełnia Donatelli'ego, jak wraz z nim tworzy pierwszy nowożytny kanon ludzkiej postaci.

Pomiędzy Giottem jednak a Massaccim wśród pewnego

zastoju wyszczególniają się dwaj malarze: Orcagna i Fra Angelico. Fra Angelico zwłaszcza, ten artysta, zapatrzony w niebo i wsłuchany w pienia anielskie, to — zdaniem Berensona — typowa postać przełomu. Źródłem jego uczuć wieki średnie, ale sposób, w jaki się temi uczuciami napawa i raduje, jest czysto nowożytny i nowożytnymi są te środki, którymi się w wyrażaniu tych uczuć posługuje.

Massaccio, umierając, zostawia sztukę w rękach dwóch, dla dalszego jej postępu bardzo znaczących osobistości; są niemi Paolo Uccello i Andreo del Castagno. Uccello ma niezaprzeczenie zmysł dotykowych wartości, ale to dla niego jak i dla Andrea środki do podniesienia i illustrowania naukowych zagadnień. Uccello to ojciec naturalizmu w sztuce, tego naturalizmu, który z punktu widzenia artystycznego jest właściwie odstępstwem; wszelako usiłowania tych artystów, a zwłaszcza Pawła, ażeby przedmioty przedstawić takimi, jakimi są, ich studya anatomiczne i perspektywiczne przygotowały grunt dla Leonarda i Michała Anioła. Teraz dopiero stało się możliwem zupełne opanowanie drugiej, bardziej od kształtów skomplikowanej wartości życiowej, jaką jest ruch. Tego, co Giotto i Massaccio spełnili wobec kształtów, dokonywa Pollaiuolo wobec zjawisk ruchu. Metoda jego polega na tem, ażeby pewien szczególny ruch oddać w taki sposób, ażeby wyobraźnia uzupełnić go sobie mogła wszystkimi innymi ruchami, na jakie ta postać zdobyćby się mogła. I tu nowe źródła zadowolenia i podniety dla dotykowej wyobraźni. We wszystkiem, co dotyczy ruchu, Verocchio jest uczniem Pollaiuola, ale w jednym kierunku jest nowatorem, mianowicie w krajobrazie. Jaka jest przyczyna naszego upodobania w krajobrazie i w jaki sposób pojęli swoje zadanie pierwsi florenccy malarze? — zapytuje autor. Ideałem poprzedników była jak najdoskonalsza reprodukcya konturów. Gdyby przyjemność, jaką sprawia krajobraz, przychodziła nam wyłącznie przez oczy, możebyśmy niczego więcej nie żądali, ale w takim razie wszystkie stopniowania tonu powietrza i to, co się rozumie dziś pod wyrazem *plain-air*, byłoby zbytecznem! Zadanie malarza krajobrazów nie polega wyłącznie na oddaniu, o ile być może najdokładniejszem, wartości dotykowych przedmiotów, ale na wywoływaniu w sposób o wiele szybszy, niż to czyni natura, świadomości jakiegoś niezwykłego uczucia upodobania i zadowolenia *de bien être*, jak mówią Francuzi. Dopiero najnowsze malarstwo podjęło na seryo to zadanie i może stoimy — dodaje autor — w przededniu sztuki, która w stosunku do dawniejszych krajobrazów będzie tem, czem jest dzisiejsza muzyka do greckiej. Verocchio jest pierwszym, który czuł, że reprodukcya konturów nie jest jeszcze krajobrazem, że malowanie widoków natury jest czemś odrębnem od malowania figur. Zdawałoby się

nawet, że chwilami śni mu się o czemś, co przypomina nasz *plain-air*.

Wszystko, co Giotto i Massaccio, ci pierwsi dekoratorowie, osiągnęli przez oddanie dotykowych wartości, Fra Angelico przez pochwycenie najsubtelniejszych wzruszeń duszy, Pollaiuolo przez opanowanie tajemnicy ruchu, Verocchio wreszcie w rozkładzie światła i cieniów, to Leonardo bez śladu jakiegoś wahania, jakiegoś widocznego wysiłku nie tylko sobie przyswaja, ale w tem wszystkiem ich przewyższa i prześciga. Leonardo jest jedynym, o którym można powiedzieć, że wszystko, czego się dotknął, zamieniało się w rzecz wieczyście piękną! Powiedziano już o nim wiele, ale całej tajemnicy jego uroku i potęgi nikt jeszcze nie zgłębił; tkwi ona zarówno w artyście, w uczonym i w człowieku. Nie możemy wyśledzić wraz z Berensonem wszystkich drobniejszych zdobyczy w kierunku opanowania corazto subtelniejszych i coraz bardziej skomplikowanych składników życia. Nie możemy zatrzymywać się nad Filipem Lippi i Gozzolem, którzy wprowadzają do sztuki pierwiastek życiowy, jakoby idylliczny, zwykle mianem rodzajowego oznaczony, tylko że u jednego rodzaj ten ma duszę, drugi ciało na celu. Mijamy Fra Bartolomeo i Andrea del Sarto, owego z pomiędzy Florentczyków jedynego może współzawodnika Tycyana i Giorgiona w kolorycie, ale który już zatraca zmysł tego, co jest najważniejsze w sztuce: szczere poczucie dotykowych wartości i poświęca je nieraz dla pozy i draperyi.

Stajemy wreszcie wobec tego, który, nie będąc niczyim uczniem, jest wszystkich spadkobiercą, który czuje głęboko i potężnie to, co u innych było nieokreślonem przeczuciem i znaczenie tego wszystkiego widział i oddał. W nim — mówi Berenson — ostatnim ze swojej rasy, ostatnim z wielkich dekoratorów, urodzonym w warunkach dla sztuki najpomyślniejszych, wszystkie energie duchowe skoncentrowały się niejako; w nim sztuka florencka osiągnęła swoje logiczne streszczenie! Obdarzony wszystkiemi zaletami swych poprzedników, widzi nadto tak jasno, jak nikt przed nim, że narzędziem, pozwalającem najlepiej uwydatnić wartości dotykowe a szczególnie ruch: to nagie kształty — *il nudo!* Nagie kształty stają się same przez się dla niego celem, *il nudo* jest dla niego jak dla greckich rzeźbiarzy synonimem sztuki.

Do tego uczucia materyalnych wartości, do tej potęgi wywoływania ich w sztuce przyłącza Buonarotti ideał piękna i siły, jakieś widzenie doskonalszej ludzkości, z jakiem się już nigdy więcej nie spotkamy. Michał-Anioł uzupełnia to, co zaczęli Massaccio i Donatello: stworzenie typu człowieka, powołanego do zapanowania nad ziemią, „a kto wie, czy nie nad czemś wyższem jeszcze niż ziemia“ — dodaje autor. Niestety, to życie arty-

styczne miało, jak to nieporównanie wykazał Klaczko, swoją wielką tragedyę i z tej tragedyi, z tego szamotania się wewnętrznego, z tych porywów, przechodzących granice najwyższej artystycznej potęgi, wypłynęły jego wady, zarodki jeżeli nie jego jeszcze upadku, to zboczeń tych wszystkich, co go naśladować chcieli.

Na tem zamyka nasz autor studyum swoje o malarzach florenckich; jak w książce o szkołach Włoch środkowych, tak i w tej pracy zarody upadku w kilku tylko zaznaczone rysach, Inaczej zapowiadają się u Rafaela, inaczej u Michała Anioła, ale tak u jednego jak u drugiego dadzą się łatwo wyśledzić. Czyżby więc ci dwaj genialni współzawodnicy mieli ponosić całą odpowiedzialność za upadek sztuki Odrodzenia? Czyżby geneza skrzywienia artystycznych pojęć była tem dostatecznie wyjaśnioną? O taką jednostronność poglądu nie chcemy Berensona posądzać. Gdyby mu przyszło, czego się po nim spodziewamy, omawiać dalsze malarstwa włoskiego koleje, to wciągnąłby w grę inne jeszcze współdziałające czynniki, uwzględniłby również i przyczyny natury dziejowej, a mianowicie ów nagły i tragiczny zwrot, jaki się pod wpływem reformacyi dokonał. Michał Anioł i Rafael mogli nosić w sobie zarody większych jeszcze wad, niż te, które im wytyka autor, a następne pokolenie artystów byłoby zdołało wrócić do równowagi i od tych uwolnić się zboczeń, spaczenie artystycznego smaku nie byłoby się stało tak powszechnem, gdyby nie atmosfera duchowa, która już samego Michała Anioła owiała i nad całem późniejszem zaciężyła pokoleniem. Podmuch to był lodowaty i zabójczy. Zabójczym on był nie tylko dla tego, że odrzucał wszelkie ze strony sztuki usługi, że kult Boży obdzierał ze wszystkiego, co przemawiało do wyobraźni i uczucia, ale zabójczym stał się i przez ducha reakcyi, jakiego w łonie samego katolickiego Kościoła wywołał. Nie czas już było lubować się w harmonijnych i pogodnych wizyach, potrzeba było wstrząsnąć umysłami, stawić im przed oczy w najjaskrawszy sposób wszystko, co Chrystus za niewdzięczną i wiecznie buntującą się ludzkość wycierpiał, trzeba było opamiętać dusze wyobrażeniem sądu ostatecznego i strasznych mąk, jakie je czekały. Odpowiedzialność za upadek sztuki włoskiej spada jeszcze bardziej na reformacyę, niż na Michała Anioła lub na Rafaela.

Reasumując wreszcie ogólne z książek Berensona odniesione wrażenie, dochodzimy do przekonania, że jest to objaw tego psychologiczno-biologicznego kierunku, jaki myśl nowożytna coraz częściej i z coraz większem powodzeniem stosuje do różnych umysłowego życia objawów. Wyszedłszy z punktu widzenia psychologicznego, sztukę pojmuje on jako rozwijający się ciągle organizm, którego funkcye i rozmaite składniki mają

odpowiadające im wartości w organizacyi umysłu ludzkiego z jednej, a w otaczającej nas przyrodzie z drugiej strony.

To, co nam podaje Berenson, to nie tyle dzieje sztuki Odrodzenia, ile psychologiczna analiza rozwoju sztuki wogóle, a włoskiej w szczególności, illustrowana całą galeryą typów, zasadę jej wcielających i udowadniających.

Jako taki, a mało znany dotąd objaw, zasługiwał, aby z nim i polskich czytelników zapoznać.

M. T. S.

Z pism czasowych.

Osvěta, listy pro rozhled v umění, vědě a politice (Oświata, pismo dla przeglądu sztuki, nauki i polityki). Redaktor a vydavatel *Václav Vlček.* Praga. 1901. Rocznik XXXI.

Miesięcznik *Osvěta* jest rodzajem i układem artykułów i prac podobny do naszego *Przeglądu polskiego*, zwłaszcza przez stałą rubrykę końcową, poświęconą przeglądowi dziejów i polityki współczesnej tak krajowej, jak i zagranicznej, europejskiej. Rocznik XXXI zaczyna się pięknym wierszem *Na hranici dvou století.* Twórczynią jego jest pani Eliška Krásnohorská, znana poetka i literatka. Ona też objęła tutaj dział krytyki piśmiennictwa współczesnego i zadanie swe spełnia sumiennie w kilku artykułach. Wyjątki ze swych nowych poezyi *(Kresby a pastely* — rysunki i pastele) pomieścił tu i Vrchlicky. Inna autorka, p. Gabriela Preissowa pisze dla *Osvěty* bardzo ładną nowelkę *Říjnové snění* (Marzenie październikowe). Pani Preissowa znaną jest w piśmiennictwie czeskiem ze swych powieści i obrazków na tle słoweńskiem i słowackiem. Szanowaną też jest w społeczeństwie jako osoba ofiarna i opiekująca się młodzieżą biedniejszą. Stąd też powieści jej wszystkie, nie mniej wspomniana nowelka, dużo mają ciepła i uczucia.

P. Kalal, doskonały znawca stosunków słowackich, poświęcił Słowakom kilka zajmujących ustępów w naszem czasopiśmie, np. *Za Tatrami, Ze světa slovanského, Volby* (wybory) *na Slovensku* lub *Slovenský redaktor,* znany nam z przekładu prof. Zawilińskiego. Inny, znawca literatury rosyjskiej, umieszcza tu znowu 2 rozprawki literackie z tegoż piśmiennictwa, mianowicie obszerne studyum o Gorkim i dramatycznych pracach Czechowa. Obie prace są pióra p. Mikšy. Południowo-słowiańskim zaś literaturom i sprawozdaniu z ich ruchu poświęcił tu swe pióro

znany slawista Štěpan Radić. Dziwna tylko rzecz, że z literatury polskiej niema tu wiadomości żadnych, bo wspomnienia pośmiertne Grabowskiego, Pepłowskiego i Bałuckiego — to zbyt małe i nic prawie.

Wracając jednak do sprawozdania, wymienimy choć kilka ważniejszych rozprawek i artykułów. W *Jak vznikla česká akademie* (jak powstała cz. a.) poświęca dr. A. Braf wiele słów największemu dobroczyńcy tej instytucyi i jej właściwemu założycielowi, Józefowi Hlavce, z powodu 70-letniej rocznicy jego urodzin. Literackie wspomnienie poświęca E. Krasnohorska Juliuszowi Zeyerowi *(Nad hrobem Julia Zeyera)*, gdzie roztrząsa między innemi zdania i spory krytyków czeskich o najlepszy utwór niedawno zmarłego pieśniarza. Jej zdaniem najwierniejszym wyrazem duszy i wyobraźni poety jest jego *Karolinska epopeja*. Podobne wspomnienia i biografie i innych mężów się tutaj znajdują. Wśród nich wyszczególnić trzeba monografię Al. Jiraska (z powodu jego 50 rocznicy urodzin), wspomnienie poświęcone Kaizlowi i Dvořakowi. Więcej literacki jest artykuł o „Apostole piękna i altruizmu“ (Ruskin), naukowym zaś jest wykład ku uczczeniu pamięci duńskiego astronoma z w. XVI, który w Pradze umarł w r. 1601, a którego imię jest *Tyho de Brahe*. P. Vyhlidal, który we *Vlasti* dalej ogłasza swą pracę o Śląsku, zajmuje się i tutaj rodakami, w Śląsku pruskim zamieszkałymi, w artykule *Zapomenutý český kont* (zapomniany czeski kąt). Podobnej treści jest rzecz p. Doubki, p. t. *Čechově v Dolnich Rakousich* (Cz. w Dolnej Austryi).

Z powieści najważniejszą jest tutaj samego redaktora powieść: *V Budueské škole*, osnuta na wspomnieniach z lat młodocianych, stanowiąca wstęp do następnych, jakie się mają ukazać w najbliższym roczniku. Tak przynajmniej autor w uwadze na końcu powieści zapowiada.

Rocznik obejmuje stron 1150 i jest w treść różną bardzo bogaty. Są tu i obszerne sprawozdania teatralne, gospodarskie, społeczne i z zakresu sztuki. Życzylibyśmy sobie tylko, by w dziale literackim nieco więcej było wiadomości z ruchu piśmiennictwa polskiego.

Jan Fr. Magiera.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Kto zwycięży? Powieść przez *Blankę Halicką*. Lwów. 1901 (Str. 268).

Choć treść i zawikłanie zwyczajne i bez pretensyi, to przecie autorka tyle potrafiła wlać prawdy i ciepła w swoich bohaterów, że nie żałuje się, iż się tę książkę przeczytało. Hołd prawdziwej, szczerej, cichej i wybaczającej, a na gruncie katolickim opartej miłości, która zwycięża bezduszną a straszną kokieteryę — oto najpiękniejszy owoc całej tej pracy. Ta czysta i cicha Hania, wyrozumiała dla męża swojego, porwanego szałem ku lwicy salonowej, Laurze, to tryumf cnoty, opartej na zasadach wiary. Niektóre sceny są wprost porywające swą dramatycznością, jak scena w Tatrach i postąpienie sobie Cieszanowskiego z Laurą, swoją żoną. Ludka, przy swym humorze i dzielności, przepyszna. Nie możemy jednak darować błędu psychologicznego, jakiego dopuściła się autorka w odmalowaniu charakteru Hani — Hani, modlącej się o życie dla męża przy jego łożu, a zarazem wzywającej zemsty na swoich wrogów, posuniętej aż do bluźnierstwa — chyba nikt nie pojmie. *H. H.*

Szkice z życia wiejskiego przez *Mieczysława hr. Pinińskiego*. Lwów. Księgarnia H. Altenberga. 1901 (Str. 410).

Autor „Szkiców" sam siebie doskonale zcharakteryzował, pisząc w jednym ze szkiców p. t. „Dziwak" następujące słowa: „być może, iż czytelnik już zauważył, że autor opowiadania tego bywa dość drobiazgowym". Te słowa objaśnić musimy, zaznaczając, że bez potrzeby była ta uwaga, bo czytelnik już od pierwszych stronic „Szkiców" nabrał tego przekonania, że autor nie tylko „dość", ale zbyt jest drobiazgowym i to w dodatku nudno drobiazgowym. O pojedynczych „Szkicach", a jest ich cztery, doprawdy trudno coś dodatniego powiedzieć. W „Szkicu" „O ziemię" niewiadomo o co właściwie autorowi chodzi, bo wątek opowiadania gubi się ciągle w epizodach, szeroko bardzo omawianych. Niewiadomo też, czy autor uczynić chciał swoim bohaterem szlachcica Bolesławskiego, którego działalność skupiła się na zakupieniu kilku par wołów i na ucieczce cichaczem z kawiarni podrzędnej, do której go zaciągnięto, co mu się zresztą chwali; czy też chłopa Mikołę, który w przystępie szału roztrzaskał bratu swemu głowę kołem za to, że mu podpalił domostwo.

Jako tako przedstawia się „Rozbitek", ale zato „Kasper do wszystkiego" wcale się nie udał, a „Dziwak" dotrzymuje mu wiernie miejsca. Niesmakiem wreszcie napełniają czytelnika niby dowcipy niedość przyzwoite i nawpół wymówione dwuznaczne słówka. *H. H.*

Pociągnięcia pędzlem. *Jan Augustynowicz*. Warszawa. 1901 (str. 363).

Co się zaś tyczy autora „Pociągnięć pędzlem", to doprawdy żałujemy bardzo, że autor nie przemienił pióra na pędzel, może przynajmniej zdobyłby się na jaki taki przyzwoity obrazek, bo piórem chyba karyery nie zrobi i „nie sięgnie po laury". Styl nienaturalny, przesa-

dzony, ciężko pisane zdania chyba tylko od obowiązkowego recenzenta mogą domagać się sporej dozy cierpliwości. Sceny niektóre, np. w „Potępieńcu", zbyt podkasane i wprost lubieżne książkę tę powinny wytrącić z rąk uczciwego czytelnika. Wogóle autor lubi, choć gwałtem, potrącić tu i ówdzie o stronę brudnej zmysłowości. *H. H.*

Pas rycerski. Powieść historyczna przez *Stanisława Nałęcz Ostrowskiego.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków — G. Gebethner i Spółka. 1901. Tom I (Str. 280).— Tom II (Str. 301).

Napisać powieść historyczną po „Krzyżakach" i to na tle stosunków XV stulecia, a podobać się i zająć czytelnika, to nie łatwe zadanie. Czy „Pas rycerski" odpowiedział temu zadaniu, odpowiemy na to pokrótce.

Dwa tomy spore powieści czyta się dość gładko, nawet z pewnem zajęciem, a język, jakim rozmawiają między sobą bohaterowie tej powieści, dosyć przypomina dawne czasy, ale poza tem w charakterze bohaterów, ciągnących pod wodzą króla Kazimierza Jagiełły na poskromienie Krzyżaków, nie zawsze i nie wszędzie dopatrzyć się można tej starożytności. Bohater tej powieści, Dzierżek, w swych miłosnych przygodach i uczuciach zanadto jest nowożytny. Trudno też zrozumieć, dlaczego rycerstwo polskie, ciągnące na odsiecz Kaffy wraz z Kaffeńczykami, mimo przykrego zajścia, jakie miało miejsce w gospodzie w Bracławiu, nie porozumiało się z kniaziem i starostą bracławskim, Michałem Czartoryskim, ale ściągnęło na siebie jego pogoń i straszną porażkę, z której jedynie tylko Dzierżek uniósł przypadkiem życie. Trudność staje się jeszcze zawilszą, kiedy sobie czytelnik mimowoli zadaje pytanie, dlaczego Tatarzy zamknęli polskim rycerzom przejście przez Boh i wraz z hufcami starosty bracławskiego wycięli ich do nogi? Czy nasłał ich starosta? czy zjawili się przypadkiem? to dla czytelnika tajemnica przykra. Nie można też zrozumieć zachowania się starosty z Kamieńca, któremu Tatarzy zabrali córkę jedynaczkę. Ten bowiem w pościgu za Tatarami, wyciąwszy prawie w pień ich główną siłę i odbiwszy im liczny jasyr, skoro między uwolnionymi nie znalazł swojej córki — nie tylko, że sam się w dalszą pogoń nie puścił, ale nawet ze swoich nikogo w tym celu nie wyprawił, choć łatwo, jako świadom obyczajów tatarskich, mógł się domyślić, że córkę jego garść Tatarów w stronę Dniestru uprowadziła. Te i inne jeszcze drobniejsze już niejasności osłabiają znacznie dodatnie wrażenie powieści *H. H.*

Na strażnicy. Powieść na tle współczesnem przez *Anatola Krzyżanowskiego.* Kraków. Nakł. księgarni L. Zwolińskiego i Spółki. Odbito w drukarni Narodowej. 1901. Tom I (Str. 206). — Tom II (Str. 198).

Pisząc tę powieść, autor chciał szerszej publiczności uplastycznić to twierdzenie, że stara arystokratyczna szlachta w swych potomkach obecnie jest gałęzią zmurszałą i przeżytą, a odżyć tylko może przez zetknięcie się i zmieszanie rodów swoich ze społeczeństwem klasowo niżej od siebie położonem, ale zato zdrowem fizycznie i moralnie. Pierwszą część swego twierdzenia wypowiada jasno, wkładając w usta starca szlachcica Sławińskiego następujące słowa, odnoszące się do potomka rodziny Dowburtów Konieckich, Zy-

gmunta, swego zięcia: „cherlaki moralne (str. 163, t. II-gi). Do pracy uczciwej nie mają sił, bo je zużywają na chorobliwe fantazye, na egoizm, niegodny prawego człowieka". Takim jest rzeczywiście Zygmunt. Stryj jego, hołdując wzniosłej zasadzie swoich przodków „kochali, cierpieli, ziemi swojej służyli", pracą swoją odzyskał w części utracony majątek rodzinny i przekazał go Zygmuntowi. Ten, nasiąknięty pessymizmem, żeni się nie z miłości, z córką obywatela Sławińskiego, Anną, odrzuciwszy wpierw dziecinnie jeszcze zalotną jej siostrę, Miłę. Anna, to kobieta o szerokiem sercu, niezachwianych zasadach, opartych na wierze świętej, to anioł pokoju. Przy jej boku pędzi Zygmunt lat kilka w spokoju, w pozornej miłości — ale i gnuśnie. Starania Anny, jej poświęcenie się, przykład i dobra rada jego przyjaciela serdecznego, Adama Orzelskiego, nie mogą go zbudzić z tego letargu bezczynności. Wtem do zamku ich w Koniecpolu zjeżdża z Paryża Miła, po ukończeniu tamże studyów malarskich, okryta sławą swego talentu i blaskiem urody. Na widok jej w Zygmuncie zerwała się wściekła burza namiętności, która, nie zażegnana dla braku siły moralnej, opanowuje go zupełnie, pcha go do szalonych kroków i wreszcie do zguby. Bez względu na żonę niesłychanie dobrą i dzieci dwoje, po szalonemu narzuca się Mili; jej narzeczonego, a swego przyjaciela Adama zelżywością publiczną zmusza do pojedynku. Kula kładzie kres jego zapędom. Raniony tylko, żyje na razie, ale organizm, zaatakowany chorobą piersiową, nie może zwalczyć choroby. Umiera na Rivierze, dokąd wyjechał dla poratowania zdrowia. Bezgraniczne poświęcenie się żony, jej tkliwa miłość w czasie choroby przywraca mu świadomość i przywołuje do opamiętania się. Umiera nawrócony — a w ostatnim liście, pisanym do żony, wśród próśb o przebaczenie taki pozostawia jej testament: „Aniu, powierzam ci Koniecpol, wiem, że będzie on dla ciebie placówką, z której nie zejdziesz—s t r a ż n i c ą, którą nietkniętą oddasz w ręce Andrzeja (syna): wiem, że orle to pisklę uzbroisz w taki hart ducha i taką wiarę głęboką we własne posłannictwo, aby, ukochawszy je, celu tego nigdy nie tracił z oczu. Niech więc syn twój, niech myśl o jego przyszłości wiedzie cię po drodze ciernistej, którą ogół nasz cały iść powinien *per aspera ad astra*" (str. 195, t. II). Obok Anny, tego typu kobiety wielkiej, — Polki prawdziwej, prześlicznie zarysowuje się sylwetka jej siostry Miły, bezwinnej i bezwiednej przyczyny całego zawikłania i katastrofy. Ona, według myśli autora, ma przykładem swoim uczyć, jak kobieta może się poświęcić nauce, zdobyć dla siebie i kraju owoce cywilizacyi, a nic nie uronić z uroku kobiecości i hartownej cnoty.

Przepyszne sceny, utkane zwłaszcza z poświęcenia się Anny, głębokie tu i ówdzie myśli, jak i samo opracowanie artystyczne zalecają tę książkę.

H. H.

Nea. Powieść współczesna przez *Abgara Sołtana*. Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie. 1901 (Str. 300).

Rzecz dzieje się w Abbazyi. Opracowanie niezłe. Historya Ney, córki kapitana małego statku, w której zakochał się Poleski, pan galicyjski na Tyrówce i z którą się ożenił, zakrawa na historyę o zaczarowanej księżniczce, nie jest jednak

nieprawdopodobna. Sama Nea wyszła z pod pióra autora tak piękną i dobrą i zacną, że niepodobna, aby nie przypadła do serca czytelnikowi, ale bo też piękność jej moralna, mimo spiętnowanych niebezpieczeństw, w jakich się znajdowała, pełniąc na statku służbę biletynierki, brała swoją siłę nieugiętą w pobożności do Boga i Najśw. Panny, do której cudownego obrazu w Tersato spieszyła często. Poleski dość lekkomyślny, ale o sercu dobrem. Postać obywatela literata Demszyńskiego świetna. Powieść czyta się gładko i z zajęciem, a czystość jej dodaje niemałego uroku. Całość jednak nie wypowiada głębszej myśli.

J. H.

Z minionych dni. Fragmenty powieściowe. Przez *G. Daniłowskiego.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1902 (Str. 285).

Co autor „Z minionych dni" chciał powiedzieć, to doprawdy pozostanie zagadką nierozstrzygniętą. Dziwnie wszystko tajemnicze, straszne. Ignacy, właściciel Klonowa, jakiś człowiek idyotyczny — niby uczony. Brat jego, Wiktor, wesoły z natury i hulaka, przyjeżdża do niego wraz z żoną swoją Marynią i synkiem Ignasiem. Żona jego jakąś tajemnicą okryta, Wiktor pełen zagadek, a klucz do tych tajemnic spoczywa w ręku niejakiego Postańskiego, starca, z zawodu doktora medycyny, a obecnie dziwaka, pracującego na swym kawałku pola. Wiktor nagle wyjeżdża gdzieś, choruje i umiera, żona jego Marynia rozpacza i morduje się sztyletem, w czem jej nie przeszkadza, owszem życzy jej tego Postański, Ignaś, synek ich, topi się w bagnie. Całość tak sklecona niezgrabnie, a pełna wstrętu, że autor lepiej zrobi, jeśli już do ręki pióra nie weźmie.

H. H.

Panny. Powieść. *Alfred Konar.* Petersburg. Nakładem K. Grendeszyńskiego. 1902 (Str. 457).

Potężna to rozmiarami powieść, bo obejmująca aż 457 str. Ta powieść dziwnie wielkie i doniosłe może oddać usługi czytelnikom, ale z pewnem zastrzeżeniem, t. j. tym, którzy cierpią na bezsenność, a zwłaszcza starym kawalerom i starym pannom. Wobec tego radzimy szczerze autorowi, aby dzieło swoje przeniósł z półek księgarskich na półki apteczne i umieścił je tuż przy morfinie, jako najskuteczniejszy lek na bezsenność. Jakieżto głupie gąski te Belcie, Kazie i t. d., romansujące ciągle od ławek szkolnych z głupszymi jeszcze Frankami, Władkami. Szkoda, że autor nie zaczął opisywać swoich mądrych panien i ich kawalerów od kolebki, byłby miał jeszcze szersze pole do zanudzenia na śmierć swoich czytelników ich arcypłytką rozmową i niedorzecznym flirtem. Nędzne to, a i niemoralne gadulstwo ta książka.

H. H.

W szponach. Powieść przez *Wandę Grot-Bęczkowską.* Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1902 (Str. 198).

Cała zaleta tej powieści, to, że jest krótką. Niech czytelnik nie zraża się 198 stronami, bo to już kunszt drukarski i zmyślność autorki, że na tylu stronicach potrafiono stosunkowo niewiele wydrukować. Treść jej, układ, zawikłanie żywo przypominają omawianą przez nas powieść p. t. „Kto zwycięży", tylko z tą różnicą, że tam przeprowadzenie i dekoracya czytelnika zajmują — tu nu-

dzą. Treść jej taka. Jerzy Oporski, adwokat, uczciwy aż do szpiku kości człowiek, żeni się z aniołem dobroci i cierpliwości, Ewą. Jerzy lubi grać w karty. Oto te szpony, w których jęczy. Według jednego szablonu Jerzy znika od czasu do czasu z domu i przepędza noc w klubie. Żona za każdym razem smuci się, płacze, on po powrocie przyrzeka poprawę, ona przebacza. Raz wreszcie wyjeżdża na dłuższy czas z domu, ona ze zmartwienia zachorowała. Wraca, ale zastaje już żonę umierającą. Zostało dziecko. Jerzy przywdziewa habit zakonny no i — pokutując, widuje „na srebrnym promieniu księżyca spływającego ku sobie ducha Ewy“, Jest tam jeszcze i wstrętna kokietka, Leona, siostra Jerzego i potworna jego matka, prowadząca otwarty dom gry i zacna bardzo i dobra panna Ksawera, która zakochała się w suchotniku, przyjacielu swego brata i wyszła za niego.

H. H.

Powstanie i upadek Konstytucyi 3 Maja. *Paweł Popiel.* Kraków. 1901.

Z pewnem zaciekawieniem braliśmy do rąk powyższą broszurę, zwłaszcza, że, obok tytułu na początku przytoczonego, widnieje dodatek: „wedle dokumentów oryginalnych napisał“. Na poparcie tego dodatku przytacza autor kilka listów i depesz króla i osób mu blizkich, jak np Debolego, list Szczęsnego Potockiego w odpowiedzi na list królewski pisany. Materyału historycznego dokumenty te nie zwiększają; po pracach Kalinki i jego następców niewiele się da dorzucić nowego do dziejów sejmu 4-letniego, prawie zupełnie już wyświetlonych. Autor też ambicyi babacza źródłowego nie ma. Jemu chodzi tylko „o wykazanie, z jakich powstała natchnień, prądów i żywiołów, czemu tak silna powstała przeciw niej opozycya, czy w danych okolicznościach miała warunki żywotności na przypadek, gdyby przemoc sąsiadów pomocna złym obywatelom jej nie rozdarła“ (str. 1 *in fine*). Stosownie do tego założenia przedstawia autor skład żywiołów stronnictwa reformy, z jednej strony mężów wykształconych i obeznanych z teoryami politycznemi Zachodu, z drugiej ludzi wyrosłych na gruncie rodzimym, przejętych wielką miłością kraju i zdrowo pojmujących stan jego i potrzebę reformy. To zwolennicy, autorzy i wykonawcy reformy. A z drugiej szary tłum szlachecki, zazdrosny o swe przywileje, podsycany przez klikę zwolenników Rosyi, jak Szczęsny Potocki, lub Ksawery Branicki. Czy była reforma 3 maja uchwalona żywotną, czyby, jeśliby sąsiednie mocarstwa nie wkroczyły, mogła nowe życie dać Rzeczpospolitej? Autor odpowiada twierdząco. Zaletą jej było, że nie burzyła od razu wszystkiego, co zbudowała przeszłość, lecz ogłędnie i z uwzględnieniem istniejących stosunków reformowała, że nie narzuciła od razu z góry wymalowanego ideału.

W ten sposób autor załatwia się z głównemi pytaniami, postawionemi sobie w założeniu. Po drodze niejako zajmuje się roztrząśnieniem kwestyi upadkowych, jak np. stosowności sojuszu z Prusami, oceną króla i partyi reformy.

Wyczerpawszy w mniejszej części broszury pytania, które sobie na wstępie postawił, pyta w dalszym ciągu autor o przyczyny jej upadku. Jako wewnętrzne, tkwiące w samem dziele, przytacza, że twórcom jego brak było przy wszystkich zaletach innych energii czynu, zdolnej reformy przepro-

wadzić w praktyce. A z zewnątrz śmierć Potemkina, agitacya opozycyi, przemoc Rosyi i przeciągnięcie na jej stronę Prus, wreszcie przystąpienie króla do konfederacyi targowickiej zniweczyły wszystko i sprowadziły w następstwie drugi rozbiór.

Całość pracy niniejszej określić można jako syntezę dziejów usiłowań, zmierzających do uzdrowienia stosunków Polski, usiłowań skrystalizowanych w Konstytucyi 3-go Maja. W treść istotną dziełko to nie jest zbyt bogate, wniosków i wskazówek dla następnych pokoleń nie wyprowadza zbyt wiele. To bowiem, co autor w zakończeniu przedstawia jako wynik swych rozmyślań, prawdziwe bezsprzecznie i głęboko pomyślane, nie przedstawia się jako ekstrakt polityczny, jeśli tak wolno się wyrazić, badań Konstytucyi, nie stoi z nią w zupełnym związku.

A. B.

L'Allemagne contemporaine illustrée. Paris. Librairie Larousse avec cartes et plans. 1901 (Str. 300).

Z końcem roku 1901 wyszły ostatnie zeszyty illustracyi Niemiec. W całości wzięte, przedstawiają one obraz i historyę ewolucyi państwa niemieckiego w różnych jego odcieniach i czasach. Fizyognomia tej monarchii w obecnym jej stanie, z olbrzymim wzrostem ludności, militaryzmem do możliwych granic wyśróbowanym i przemysłem, w zestawieniu do dawnego państwa feudalnego robi wrażenie co najmniej imponujące. Bije z tych kart światło rażące dla oka Francyi niegdyś tak potężnej, dziś prawie że nie blizkiej upadku. Tendencya w tych illustracyach widoczna: Francya powinna odczuć wroga swych granic i baczne zwrócić oko nie tyle na Niemcy, ile raczej na siebie, by usunąć niebezpieczeństwo, grożące od Renu i powstrzymać widmo wyludnienia przez zaprowadzenie zdrowej a sprawiedliwej reformy w społeczeństwie, a my jeszcze dodajmy — przez przywrócenie Kościołowi katolickiemu sprawiedliwej wolności i udzielania choćby tej minimalnej opieki, jaką się cieszą inne religie i świeckie stowarzyszenia.

J. M.

Elementares Lehrbuch der Physik nach den neuesten Anschauungen für höhere Schulen und zum Selbstunterricht. Von *Ludwik Dressel S. I.* Zweite, vermehrte und vollständig umgearbeitete Auflage. Zwei Abtheilungen. Mit 589 in den Text gedruckten Figuren. Freiburg. Herder. 1900 (XXIV u. 1026 S.).

Nie zwykł wprawdzie *Przegląd Powszechny* pomieszczać recenzyi z podręczników naukowych, ale dla dzieła pod każdym względem znakomitego wypada zrobić w tej mierze wyjątek. Już po pierwszem ukazaniu się Fizyki ks. Dressla przed 5 laty, przyjęła ją krytyka naukowa, zwłaszcza niemiecka, z powszechnem a wyjątkowem uznaniem, że nie powiem z zapałem. A przecież jeśli gdzie, to w Niemczech nie zbywa wcale na dobrych podręcznikach fizyki, owszem wielka ich ilość utrudnia często wybór. Mimo to powagi naukowe tej właśnie książce przyznały palmę pierwszeństwa; niektórzy nawet nazwali ją dziełem wprost epokowem, według którego trzebaby w gimnazyach i szkołach realnych zreformować wykłady fizyki. Nawet wtedy nie podnosiliśmy naszego głosu. Nowe jednak wydanie tego samego dzieła, znacznie powiększone i zmienione, które spotkało się z jeszcze większemi pochwałami, zasłu-

guje przynajmniej na krótką wzmiankę. Autor chyba przez skromność nazywa swe dzieło: *Elementares Lehrbuch*, w rzeczywistości i bez najmniejszej przesady jest ono dziełem ściśle naukowem, a zarazem wiernym obrazem dzisiejszego stanu nowożytnej fizyki nie tylko doświadczalnej, ale nawet teoretycznej; rzecz tem dziwniejsza i tem trudniejsza do uskutecznienia, że autor prawie wyłącznie posługuje się niższą matematyką; jest więc przystępny nawet dla gimnazyalistów. Nowe wydanie, zwiększone prawie o 300 str. i o 200 rycin. Ryciny po największej części nowe, starannie, dokładnie a czysto wykończone, ułatwiają bardzo zrozumienie trudniejszych partyi. W wyborze materyału okazał autor rzadką biegłość: tylko to, ale i wszystko to, co jest istotnie ważnem, znalazło swe umieszczenie i objaśnienie. Krótki przegląd może o tem przekonać.

Dzieło swe podzielił autor bardzo trafnie na dwie części. W pierwszej zajmuje się mechaniką, tym fundamentem całej fizyki, tak ogólną (str. 7—44), jak i szczegółową (str. 45—256). Pod szczegółową podciągnął Dressel statykę i dynamikę ciał stałych, płynnych, lotnych i elastycznych (tutaj akustyka). Pod koniec części pierwszej jasno a krótko sprawił się z energetyką mechaniczną. Przygotowawszy w ten sposób należycie swego czytelnika i opatrzywszy go we wszystkie potrzebne pojęcia, przechodzi Dressel w drugiej części swej pracy do fizyki szczegółowej, A więc naprzód wykłada mu obszernie i wyczerpująco o cieple (str. 258—434), potem o elektryczności (str. 435—764), wreszcie o zjawiskach promieniowania eterycznego (str. 765—991), przyczem objaśnia także prawa i objawy promieni cieplnych i elektrycznych. Koniec godny całego dzieła. Przedstawiwszy wszystkie nowsze odkrycia, wynalazki, prawa i zjawiska z całej dziedziny fizyki, wyjaśnia nam Dressel trzy zasadnicze poglądy: kinetyczny, energetyczny i dynamiczny, a wspomniawszy o starciach tych trzech kierunków między sobą, żadnemu z nich nie przyznaje wyłącznej słuszności, ale, opierając się na faktach i rozumowych wnioskach, przechyla się do elektrycyzmu fizycznego. Oto w najogólniejszych zarysach plan tego znakomitego ze wszechmiar dzieła, w którem — można to śmiało powiedzieć — autor nie pominął żadnej nowszej teoryi, żadnego ważniejszego odkrycia. Najwspanialej i najobszerniej wypadł dział o elektryczności, ulubionem dziecku autora. Dressel okazał się tutaj wprost prawdziwym mistrzem, że na 330 stronach zdołał systematycznie wystawić piękny gmach obecnej wiedzy o elektryczności. A przecież żadna część nowszej fizyki nie przedstawia tak wielkich trudności i nie stawia tylu żądań autorowi. Trudności te autor pokonał zwycięsko. Nawet słynnemu prawu Thomsona-Kirchhoffa podał dziwnie przystępne wyjaśnienie. Wspominać nie potrzeba, że Dressel nie pominął Roentgena, Marconi'ego, Becquerela, Lenard'a, Tesli i innych im podobnych.

Biorąc to wszystko pod uwagę, nie można nie polecić gorąco tego cennego dzieła wszystkim przyjaciołom nowożytnej fizyki. Zwłaszcza dla profesorów gimnazyalnych i słuchaczów uniwersytetu (którzy się fizyką zajmują jako pobocznym przedmiotem) jest dzieło księdza Dressla wprost niezbędnem. Przy wielkim braku dobrych polskich podręczników fizyki byłoby bardzo pożąda-

nem, aby naszemu językowi pracę ks. Dressla przyswojono. Tłumacz mógłby z pewnością liczyć na wdzięczność społeczeństwa polskiego, a nakładca na licznych odbiorców.

W. S.

Lebensbilder aus der Geschichte der Sternkunde. Für reifere Jugend bearbeitet von *Dr. phil. B. Krembs.* Mit 3 Figuren. Freiburg im Breisgau. 1902. Herdersche Verlagshandlung (XIV + 1785 S.).

Kurze Biographien berühmter Physiker. Zusammengestellt von *C. Musmacher* Oberlehrer. Freiburg im Breisgau. 1902. Herdersche Verlagshandlung (VIII + 280 S.).

Prawie równocześnie ukazały się dwa dziełka, które mają na celu obudzić między młodzieżą większe zamiłowanie do nauk przyrodniczych, głównie zaś dla astronomii i fizyki. Autorowie tych prac, wychodząc z zasady, że bliższa znajomość z mężami nauki, z ich dolą i niedolą, z ich działalnością, towarzyskiem pożyciem i zasługami, uprzyjemni i pogłębi samą naukę, której byli przedstawicielami, a zarazem pobudzi młode pokolenia do gorliwej pracy i do naśladowania — zabrali się do skreślenia krótkich szkiców, w których malują nam życie i zasługi tych luminarzy ludzkości, a zarazem ludzi pracy, którzy na polu astronomii i fizyki wydarli przyrodzie jej tajniki, zbadali jej siły i zaprzęgli je do pracy dla dobra ludzi.

Pierwsza książeczka, mniejsza rozmiarem, ale poważniejsza nastrojem i gruntowniejsza obrobieniem, wskrzesza kolejne przed naszemi oczyma poważne postacie Hipparcha z Rodosu, Klaudyusza Ptolomeusza, Mikołaja Kopernika, Tyhona de Brahe, Jana Kepplera, Galileo Galileusza i Izaaka Newtona (Szkoda, że autor nie uwzględnił najnowszych a słynnych astronomów, takiego np. Bessla, Leverziera, Lecchiegoi innych). Szkice skreślone dosyć potoczyście, obszernie i bezstronnie, jak tego dowodem życiorys np. Kopernika lub Galileusza. Autor nie wahał się wcale zapożyczyć się u źródeł, byle tylko zyskać na jasności i barwności opowiadania; sam przyznaje się do tego w przedmowie do swej pracy; przyznać trzeba, że na tem jego dziełko tylko zyskało.

Druga praca, nieco obszerniejsza, streszcza nam pokrótce i bardzo pobieżnie główne wypadki z życia około stu najwybitniejszych fizyków, począwszy od Arystotelesa, a skończywszy na Hertzu; podaje główne ich zasługi w rozwoju nauk fizycznych; wspomina o odkryciach i wynalazkach przez nich dokonanych. Autor stosunkowo za mało uwzględnił fizyków-teoretyków, a niektórych, ludzi zresztą wielkiej miary, pominął. Mimo to jednak starał się być bezstronnym w ocenie ich naukowej działalności. Za zasługę należy poczytać autorowi, że w swoich szkicach zapoznał nas niekiedy także z religijnymi poglądami tych mężów, których żywoty przed oczy nam stawił. Styl w obydwu dziełkach piękny, opisy żywe i barwne, forma przystępna. Obydwa dziełka zasługują w równej mierze na poparcie i mogą służyć jako nagrody dla derastającej młodzieży, chociaż i dla osób starszych a oddanych nauce nie będą bez korzyści. *W. S.*

Akten des fünften internationalen Kongresses katholischer Gelehrten zu München vom 24 bis 28 Sept. 1900. München. 1901. Kommissionsverlag Herder (Str. 511).

Wiek XIX stworzył żywą apologię Kościoła katolickiego przez

powszechnie znane internacyonalne kongresy katolickich uczonych, które już zrobiły wiele dobrego ku obronie wiary. Dwa pierwsze kongresy odbyły się w Paryżu (1888 i 1891), trzeci w Brukselli (1894), czwarty we Fryburgu szwajcarskim (1897), piąty w Monachium (1900), więc regularnie co trzy lata. Niniejsze dzieło zawiera wszystkie mowy wygłoszone na tym ostatnim wraz z opisem jego świetnego przebiegu. Niepodobna tutaj szczegółowo rozbierać wszystkich prac; zresztą same nazwy dziesięciu sekcyi, na które podzielono całą czynność wiecu, świadczą wymownie o wartości tego wielkiego dzieła. Nie pominięto tam żadnej ważniejszej gałęzi wiedzy i prawie żadnego ważniejszego socyalnego zadania Kościoła. Obok doniosłych zagadnień, dotyczących religii, miały swe oddzielne miejsca: filozofia, historya, prawo, historya naturalna kwestya socyalna, hist. kultury i sztuki, archeologia, epigrafika oryentalna, matematyka, astronomia. Kto chce, może się przeświadczyć, choćby tylko z tego dzieła, że mimo wszystkich zarzutów wiara idzie w parze z wiedzą i postępem nauk, że w jej właśnie ręku są najdzielniejsze środki i najskuteczniejsze lekarstwa na piekące kwestye socyalne i ich rozwiązanie, że nie tylko słudzy ołtarza bojują w obronie wiary Chrystusowej, ale i mnogi zastęp uczonych o światowej sławie współpracuje wiernie i odważnie. *S. N.*

L'origine de l'épiscopat. Par *l'abbé A. Michiels*, professeur de dogme au Séminaire de Malines. 1900. Louvain. J. von van Linthout (Str. XVIII, 428).

W siedmiu obszernych rozdziałach daje Michiels nader wyczerpujący obraz rozwoju hierarchii kościelnej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Mamy tu więc najpierw pogląd historyczno-dogmatyczny na powstanie Kościoła i jego ugruntowanie, dokonane przez Apostołów; dalej spostrzeżenia nad wzajemnym stosunkiem dwóch nazw starochrześcijańskich πρεσβύτεροι i ἐπίσκοποι; wreszcie wyczerpujące wiadomości o organizacyi Kościoła w pierwszych dwóch wiekach, oraz o porządku sukcesyi apostolskiej w 4 głównych ogniskach życia chrześcijańskiego: Rzymie, Antyochii, Aleksandryi i Jerozolimie. Na szczególniejszą uwagę zasługuje druga kwestya o nazwach: πρεσβ. i ἐπίσκ. Autor bowiem przeczy, jakoby za czasów apostolskich istniał już urząd biskupi w ścisłem tego słowa znaczeniu, gdyż apostołowie ustanawiali go dopiero przy swej śmierci. Nadto, zdaniem autora, powodem ustanowienia urzędu biskupiego (ἐπίσκ.) nie była obawa przed ambicyjnemi dążnościami niektórych prezbiterów, jak to nieraz twierdzono, lecz raczej chęć zapobieżenia możliwym niebezpieczeństwom schizmy, na co dowodem mają być słowa św. Hieronima (Comment. in Tit. I, 5). Niewątpliwie oba te zapatrywania Michiels'a napotkają na silne zarzuty ze strony krytyki teologicznej, choćby przez wzgląd na tegoż św. Hieronima (por. ep. 146), wszakże ogólnie rzecz biorąc, cała praca jego może oddać prawdziwą usługę teologom w kwestyi sakramentu kapłaństwa, której luki dogmatyczne i historyczne dotkliwie dotąd odczuwaliśmy. *G. F.*

Handbuch der Pastoralmedizin mit besonderer Berücksichtigung der Hygiene. Von *Dr. August Stöhr*. Vierte Auflage, bearbeitet und herausge-

geben von Dr. Ludwig Rannamüller. 1900. Freiburg. Herdersche Verlagsbuchhandlung (Str. 538).

Dowodem prawdziwej wartości niniejszego podręcznika jest jego czwarte wydanie, uskutecznione nawet nie przez autora samego. Tem większa też zasługa wydawcy, że zmiany i dodatki przez siebie poczynione tak potrafił dostroić do całości, że zgoła dwóch rąk rozpoznać nie można. Bardzo udatnemi są przedewszystkiem świeżo przez d-ra Rannamüllera dodane uwagi o wartości wegetaryanizmu (str. 83), o kuchni postnej i dobrych stronach postu (str. 128, 501), o jeździe na rowerach, które duchowieństwu poleca (str. 191) i o celibacie (str. 272). Zbyt różowo jednak zapatruje się na t. zw. kwestyę *de sectione caesarea,* której niebezpieczeństwo zdaje się nie dosyć oceniać, zaczem i obowiązek poddawania się podobnym operacyom, w razie gdy inne środki lecznicze okażą się bezskutecznymi, zanadto przez wydawcę zdaje się wyśrubowany i rygorystycznie pojęty, skoro zasada moralna *nemo tenetur ad media extraordinaria* zawsze moc swoją zachować powinna. Pomimo tych i innych drobniejszych usterek książce tej niepodobna nie przyznać pierwszorzędnej wartości. *P. K.*

Institutiones philosophiae moralis et socialis, quas in collegio maximo Lovaniensi S. J. tradebat *A. Castelein S. J.* 1899. Bruxellis. Schepens (Str. VI, 662).

Różni różnie przyjęli nowy ten podręcznik filozofii moralnej. Byli tacy, co go chwalili — znaleźli się i surowi cenzorzy. Wyjątkowo można powiedzieć, że oba sądy są zupełnie uzasadnione. Jest w dziełku O. Castelein część bardzo dobra, t. j. dział socyalny, zwłaszcza o ile dotyka kwestyi „służebności" i stosunków ekonomicznych, które objaśnia najświeższymi wykazami statystycznymi i „casusami" (w dodatku). Zupełnie słabo wypadła natomiast część bardziej spekulatywna, jak np. o normie moralności lub o pojęciu i powstaniu państwa. Castelein występuje tu wprawdzie z teoryami wcale prawdopodobnemi (głównie kierując się Suarezem), ale tak je przedstawia i tłumaczy, jak gdyby miał przeciw sobie wszystkie dotychczasowe, nawet katolickie systemy, nawet samego Suareza. Tak pomiędzy innemi zarzuca scholastykom, że w teoryi o normie moralności pomijają stosunek człowieka do Boga, który właśnie jest jedynem i najwyższem objektywnem prawidłem wszelkiego obyczajowego dobra. Tymczasem wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy podręcznik tegoczesnej scholastyki, aby się przekonać, że Boga wyklucza się tylko z pojęcia najbliższej, drugorzędnej i względnej normy; nikomu zaś nie śniło się nawet twierdzić tego samego w stosunku do normy ostatniej, pierwszorzędnej i bezwzględnej.

G. F.

Die Geschichte der kirchlichen Leichenfeier. Gekrönte Preisschrift von *L. Ruland,* Priester der Erzdiöcese München und Freising. Mit oberhirtlicher Druckgenehmigung. 1901. Regensburg. Verlagsanstalt vom. G. I. Manz (Str. VIII, 301).

Z gruntowną znajomością rzeczy i z iście mrówczą pilnością przystąpił L. Ruland do wyświetlenia kwestyi bardzo mało dotychczas znanej o powstaniu i rozwoju zwyczajów i obrzędów pogrzebowych w Kościele. Praca to historyczno-krytyczna. Nie tylko więc znajdujemy

w niej barwny obraz ceremoniałów odwiecznych i obecnie zachowywanych, ale zarazem porównawcze spostrzeżenia o stosunku rytów kościelnych przy pogrzebach do pojęć pogańskich i żydowskich w tejże materyi. Trzeźwo i ze spokojem omówiono tu również stosunek i wpływ władzy świeckiej w rozmaitych czasach na tę część kościelnej działalności. Już i u nas (w *Archiwum teologicznem* ks. Jabczyńskiego, Poznań 1836, r. I, str. 64) próbowano z pewnem powodzeniem zaznajomić bliżej warstwy wykształcone z tą tak dotąd niejasną kartą kościelnej przeszłości. Być więc bardzo może, że studyum ks. Rulanda komuś rzetelną przysługę naukową odda, tem bardziej, że i nowszych odkryć katakombowych w niej nie pominięto.

P. K.

Quo vadis. — Die Kreuzritter. — Die Familie Połaniecki. *Heinrich Sienkiewicz.* Autorisierte Übersetzung von E. u R. Ettlinger.

Z niebywałą szybkością rozchodzą się dzieła Sienkiewicza po całym świecie. Ilość tłumaczeń w około 20 językach obcych dochodzi wprost bajecznych rozmiarów. Ten pochód tryumfalny zaczęło „Quo vadis“ i zdobywszy od razu szturmem obie półkule, zaprzągnęło do swego tryumfalnego rydwanu i pociągnęło za sobą inne powieści Sienkiewicza. Po zapoznaniu się z „Quo vadis“, rzucili się obcy gorączkowo do tłumaczenia trylogii, „Bez dogmatu“, „Rodziny Połanieckich“ i innych utworów naszego pisarza. To wysunęło Sienkiewicza na czoło współczesnych powieściopisarzy. Jak oceniają twórczość Sienkiewicza za granicą, mieli sposobność czytelnicy *Przeglądu* z rozebranej w numerze marcowym mowy Ojca Semmerii, a dodajmy, że to głos nie odosobniony, lecz opinia prawie jednogłośna.

Mamy pod ręką wyszły w zeszłym roku przekład niemiecki powieści „Quo vadis“, „Krzyżaków“ i „Rodziny Połanieckich“, dokonany przez E. i R. Ettlingerów. Przekłady te, o ile wiemy, nie pierwsze w tym języku, a ponoś z dotychczasowych najlepsze. Tłumaczenia powyższe, o ile spełniają swój cel w tym kierunku, że obznajamiają czytającą publiczność niemiecką z dziełami naszego mistrza, zasługują na naszą wdzięczność i uznanie. Jeśli jednak przyłożymy do nich artystyczną miarę i z tego punktu widzenia je oceniać chcemy, niezupełnie tak podniesionym wymaganiom odpowiadają. Tłumaczenie utworu artystycznego powinno podawać nie tylko dokładnie jego osnowę, oddawać pojedyncze wyrazy, ale odbijać dokładnie ducha danego utworu, najdrobniejsze odcienia myśli autora i sposobu przedstawienia. Prawidło to stare, a obowiązujące zawsze tłumaczy. W przekładach, które omawiamy, tłumacze pamiętali i przestrzegali pierwszej części tych zasad, mianowicie wierności tłumaczenia. Żadnych odmian, żadnych zboczeń od oryginału, każde słowo starali się oddać. Lecz czy oddali z artyzmem, z zaletami formy i charakterystycznemi właściwościami oryginału? Słowem, czy przestrzegali dalszej zasady powyżej przytoczonej? Usiłowań i chęci najlepszych zaprzeczyć tłumaczom nie można, lecz mimo to z zadania swego nie wybrnęli zwycięsko.

Weźmy np. przekład „Krzyżaków“. Znane są dostatecznie obok innych zalety tej powieści w utrzymaniu kolorytu historycznego w cha-

rakterystyce osób, przedstawieniu ich zakresu myśli, pojęć, nawet sposobu wyrażania się. Mowa tych osób niby teraźniejszą składnią, doborem wyrazów, obrazowaniem i porównaniami przypomina zabytki piśmienne z tamtych wieków, upodabnia się do nich. Nie tu miejsce i nie nasze zadanie wyjaśniać tę tajemnicę pisarską, tę receptę, jaką autor posługując się, ten rezultat osiągnął; my zajmujemy się przekładem. I te właśnie cechy „Krzyżaków", nadające im piętno historyczności, nie uwydatniają się w przekładzie. Może to wina języka, duchem odmiennego od naszego; w każdym razie osoby „Krzyżaków", szczególnie Polacy, to inni, jacyś więcej spółcześni nam, jeśli ich poznajemy tylko z niemieckiego tłumaczenia. Wady tej nie dostrzegamy w takim stopniu w przekładzie „Quo vadis". Tłumacze mieli tu zadanie łatwiejsze, czasy i tło historyczne więcej im znane, język wyrobiony i ukształtowany licznemi tłumaczeniami klasyków łacińskich, których literatura niemiecka tyle posiada. Ale i tu nie dosiągnęli oryginału. Historyczność, klasyczność tła i osób, podnoszona i uznana przez krytykę zagraniczną, nie uwydatnia się w przekładzie z taką plastyką i wiernością, jak w oryginale. Przekład „Rodziny Połanieckich", najłatwiejszy może do dokonania z omawianych, wykazuje też pewne usterki. Gdzie wchodzą w grę składniki więcej skosmopolityzowane społeczeństwa polskiego, jest tłumaczenie bez zarzutu. Postaci jednak czysto polskie powieści, jak Marynia i Połaniecki, zatracają nieco cech sobie właściwych. I tak ostrość pewna charakteru Połanieckiego, odbijająca się w jego mowie, w przekładzie przechodzi w szorstkość. Marynia znów pokazuje się w rysach, jeśli nam wolno tak się wyrazić, trochę zgrubiałych, uroniła w przekładzie nieco wdzięku i poezyi, w które autor tak ją hojnie przyoblekł. Poza tem przekłady omawiane szwankują w częściach opisowych. Znane, a niezrównane sienkiewiczowskie opisy, np. pożaru Rzymu, pogrzebu Danusi, bitwy pod Grunwaldem uroniły w przekładzie wiele poezyi i nieco plastyczności i prawdziwej sztuki, nabrały tego, co Niemcy nazywają *gekünstelt*. Wierności tłumaczenia tych ustępów nie możemy nic zarzucić: ale właśnie ta zbytnia wierność podziałała tu ujemnie; tłumacze, pamiętając zbyt ściśle o pojedynczych słowach, stracili z oczu i pamięci stronę artystyczną.

Wytknęliśmy ogólnie kilka wad przekładu; wykazywanie ich w szczegółach zbyt wiele zajęłoby miejsca. Wady te, jeśli nie pozwalają omawianym przekładom stać się w całem słowa znaczeniu artystycznymi ani dorównać oryginałom, zbyt wiele wartości im nie ujmują. Dla nas, mogących rozczytywać się w oryginałach, bliższej wartości one nie przedstawiają, zapoznając jednak obcych z mistrzem naszej powieści, zasługują z naszej strony na wysokie uznanie i bodaj kronikarską notatkę. *A. Bielecki.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

RUCH PRZECIWKOŚCIELNY W POLSCE.

Na Zachodzie rzucone hasła rzadko kiedy nie zlecą całej Europy, aż wkońcu odbiją się o słupy graniczne, poza które nie puszcza ich dalej czujna cenzura rosyjska. Łatwo tedy było przewidzieć, że Polska niebawem usłyszy odgłos hasła, którem wezwany Zachód ruszył do przeciwkościelnej roboty.

Mniejsza o źródło, czy z tej czy z owej kuźni pochodzą groty, przygotowane na Kościół, faktem jest, że prąd przeciwkościelny nurtuje u nas, zwłaszcza między ciemną warstwą społeczeństwa, porywa wyrobników i młodzież. W ruchu tym przeziera jedna myśl przewodnia: żeby rozwinąć narodowe siły Polski na podstawie bezwyznaniowej, a nie opierać o Kościół tego rozwoju, który ma odrodzić wewnątrz nasze społeczeństwo i odzyskać wobec świata sławę straconą.

Objawów tego ruchu namnożyło się w ostatnich czasach wiele, dlatego też będzie trzeba niejednokrotnie do nich powrócić. Dziś na jeden tylko wystarczy zwrócić uwagę.

Aby wyzwolić Polskę ze zbytecznych już pętów chrześcijaństwa, uczeni mężowie z kół *Naprzodu*, *Krytyki* i podobnych, urządzają odczyty bądź samoistne, bądź ujmowane w ścisłe pa-

smo wykładów, które pod różnemi nazwami, np. wszechnicy ludowej, szerzą bezwyznaniowe zasady. Niezawsze zdolne to usta głoszą niewiarę wobec słuchaczy, chrzczonych w mniejszej części, w większej niechrzczonych; ale nizki poziom umysłowy tych słuchaczy nie wymaga odczytów profesorskich ani mowców niepoślednich; owszem gawęda czy gadanina, utrzymana w nastroju ramoty, przypada pospólstwu do smaku, kiedy w niem obudza uśpione porywy pogańskie. To smakowite jądro nauki nadgradza nieudatną łupinę słuchaczom z tych warstw, dla których wystarcza sama treść rozrywek po przedmiejskich norach, a zewnętrzny wygląd owych jaskiń nie obchodzi ich wcale. Liczba słuchaczów i słuchaczek na podobnych odczytach nie maleje bynajmniej, a rośnie między pospólstwem liczba pogańskich poglądów na Boga, na początek świata i duszy, na obowiązki wiary i obyczajów. Zarządcy tych wykładów zręcznie powierzyli je ludziom nieraz umysłowo ledwo o kilka klas gimnazyalnych wyższym od słuchacza: więc sposób i tok wywodów nie przedstawiają nic zbyt mądrego dla rozumu prostaczków. Mniej dla nich zrozumiale przemawiają już czasem godniejsi przedstawiciele nauki: choć ci nie umieją równie przystępnie prostaczków przekonywać i już nie zdołają równie bajecznych wymyślać bredni, przecie dodają blasku wykładom przez samą powagę naukowego stanowiska. Więc i tacy ludzie dostają od zarządu owych wszechnic prośbę o odczyt naukowy w duchu bezbożnym i czasem prześcigają ludzi pospolitych rozmiarem nawet bredni, któremi częstują słuchaczy.

NOWO ODKRYTE WE LWOWIE ŹRÓDŁO POTĘGI CHRZEŚCIJAŃSTWA.

Jeden z uczonych uszczęśliwił Lwów nowo odkrytym poglądem na źródło potęgi chrześcijaństwa: mianowicie wynalazł, że „chrześcijaństwo dopiero po stopieniu się z grecką kulturą i przyswojeniu sobie wiele *(sic)* tak form, jak i treści z greckiej mistyki, dokonało przeobrażenia ludzkości. Dzisiaj, jak przed 25 wiekami, znowu staje Apollo, którego broni Sienkiewicz w legendzie ‚Na Olimpie', naprzeciw Dyonizosa, któremu hołduje Przybyszewski. ‚Młoda Polska' przeciwnie zerwała z kultem ‚poety strun' Apol-

lina, a ‚złoty róg' Wernyhory nie zadmie i nie stworzy nowego ‚poety czynu' Prometeusza bez pomocy Ateny, roztropnej i bystrookiej bogini mądrości, której naród ateński za Peryklesa słuchał, jako potężnej ‚sprawczyni wielkich czynów'. Duch grecki i duch chrześcijański muszą się zejść napowrót, jak u kolebki ery, w której żyjemy".

Umysł wrażliwy gotów teraz zapytać się, czy byli to katolicy, co wyrazili uznanie za te głębokie myśli, które wypełniły ów odczyt? Czy może też katolicy, obecni na interesującym wykładzie, uważali za stosowne milczeć, aby nie wywoływać w daremnej sprzeczce zwrotów jeszcze przykrzejszych dla uszów chrześcijańskich?

Ale jakżeż można pytać się o coś podobnego? Co przecie w tym odczycie uwłacza chrześcijaństwu i ubliża jego wyznawcom?

Czy może razi kogo ten sąd, że chrześcijaństwo przeobraziło ludzkość nie swoją mocą własną, ale dopiero siłą przyswojoną z mistyki pogańskiej, z jej form i treści? A cóż w tem koniecznie trzeba widzieć ujemnego dla chrześcijaństwa? Tę jego zdolność do stopienia się z kulturą pogańską? Tę przydatność chrześcijańskiego pierwiastka do spoganienia, aby przez to wytworzyć potęgę zbawczą i bodziec do postępu człowieczeństwa? Nie ujemną stronę, ale bardzo dodatnią znajduje wykład lwowski w tem, że chrześcijaństwo, jako nasienie zdrowe, pod ożywczą rosą misteryów mitologicznych i w promieniach pogańskiego słońca kultury wyrasta w potęgę ożywczą dla świata! Czegóż więcej wymagać od chrześcijaństwa i co przyznać temu zarodkowi, który przyprawi dla chorego człowieczeństwa lekarską miksturę ze Sienkiewiczów na Olimpie, z Przybyszewskich pijanych na cześć Bachusa, z Peryklesów i Wernyhor, ze złotych rogów i ateńskich sów? Czy zamiast podawać ten wytworny bigos, miał odczyt częstować katechizmem? Czyż nawet na odczyty ma leźć katechizm, a nie poprzestanie na zakrystyi, gdzie sobie powtarza, że Kościół odrodził społeczeństwo mocą Boską jedynie i aby tę właśnie przechować w sobie bez skazy potęgę, usiłuje ją chronić przed wszelkim posiewem pogańskiego ducha!

Ale któż mógłby żądać, żeby takiej nauki katechizmowej słuchali Polacy nowożytni? Wszak dla nich musiał odczyt coś ciekawszego niż stary katechizm zapowiedzieć, kiedy zapraszał na opis cywilizacyi greckiej w świetle nowszych wynalazków! W samej rzeczy szanowny prelegent rozwinął podostatkiem sprawę zupełnie nową, kiedy rozwikłał poplątane przez Niemców pojęcia, mianowicie odróżnił panteistyczną wiarę bakchicką od orfickiej wiary w nadprzyrodzony początek ducha ludzkiego i w zaświatowego boga (pisanego przez b małe). Ta różnica stanowi nowinę tak mało znaną, jak mało nas obchodziłaby, gdyby szanowny prelegent nie był jej ogłosił w duchu przeciwkościelnym. Dotychczas znaliśmy tylko cześć Bachusa, wyrażaną zwłaszcza przez wstrętne wybryki pijaństwa, ale przedstawiane nam przez znane do przesytu ustępy klasyków jako jeden z objawów politeizmu, a nie odgadywaliśmy we czci bożyszcz olimpijskich żadnego z objawów panteistycznych. Ale lwowski odczyt pochodził z ust, które gdzieindziej ogłosiły zasadę, że panteizm jest najświetniejszym owocem umysłu i wyobraźni ludzkiej: wypadało tedy na tem arcydziele myśli ludzkiej odbić piętno starożytnej powagi i nagle bożyszcze pijaństwa przedstawiło wykwit myśli panteistycznej.

Również o Orfikach i ich misteryach znaliśmy szczegóły, zebrane w Aglaophamosie Lobeka, w pracy o Orfeuszu i Orfikach Gerharda, w orfickiej teogonii Schustera, w greckiem bałwochwalstwie Gruppego i Kerna i t. d.; słowem wiedział świat więcej, niż usłyszał na lwowskim odczycie. Ale dopiero na tym odczycie dowiedział się, że dotychczas znał tylko niemieckie pojęcia, pogmatwane tak nieszczęśliwie, że można było rozumieć ich treść, a teraz znalazł je rozgmatwane tak pomyślnie, że już nie można rozumieć w nich nic, tylko można widzieć pogardę dla chrześcijańskiej nauki.

Cóż innego słuchacze mieli upatrzeć w słowach o orfickiej wierze w nadprzyrodzony początek ducha ludzkiego i w zaświatowego boga? Dotychczas świat cały widział zarówno materyalistów jak idealistów zgodnych w nauce filozoficznej, że dusza, czyli duch ludzki stanowi składnik całkiem przyrodzony

istoty człowieczej, objawiany na zewnątrz przez sprawy swoje właściwe, więc przez rozum, zdolny poznać prawdę oderwaną i przez samowładną wolę, zdolną panować nad chuciami ciała. Spór cały polega na tem, że materyaliści poczytują ten umysłowy składnik istoty naszej za dalszy rozwój naszych władz zmysłowych, a idealiści zaprzeczają, jakoby poznawcze i pożądliwe władze zmysłowe zdołały na jakimbądź stopniu rozwoju wykonywać sprawy umysłowe, poznawać prawdę nadzmysłową i rządzić swobodnie popędami ciała. Zatem materyaliści przypisywali duszy początek wspólny z zalążkiem świata w pierwotnej mgławicy, zmuszeni przytem stanąć ostatecznie na Du-Bois-Reymondowskiem: *ignorabimus;* a idealiści dochodzą do początku świata widzialnego i duszy ludzkiej w sprawie wszechmocy twórczej. Czy kto przypisywał ten czy ów początek duszy, zawsze w niej widział przyrodzony składnik istoty ludzkiej, a o jej początku nadprzyrodzonym nie wiedział w filozofii nikt.

Ale odczyt pochodził z ust, które głosiły już kiedyindziej filozofię filozofom nieznaną, jakoby np. „nowsze badania wykazały, że pojęcie duszy (w poematach Homera) jest pozostałą resztką pierwotnego jej kultu... Wiara w duszę była najstarszą prahipotezą, przez którą wyjaśniano zjawiska senne, omdlenia i ekstatyczne wizye". Filozofowie od wieków wiedzieli, tak w pogańskich jak chrześcijańskich czasach, że zjawiska senne albo omdlenia spotykają zarówno ludzi jak zwierzęta: i psy przez sen szczekają na przywidziane niebezpieczeństwo i koń pada na trudnej drodze przez chwilę zemdlały; więc nie z tych wypadków prahipotezę o nieśmiertelnej duszy wysnuli, skoro jej dla zwierząt nie wynaleźli, tylko z jej objawów poznali ją w człowieku, zdolnym do oderwanych pojęć i samowładnych postępków. Nowinę tedy w zakresie filozoficznym podał odczyt lwowski tak w tej mierze, jak w wielu innych.

Niejedna tego rodzaju rozprawa, odczytywana albo ogłaszana pismami, szerzy poglądy przeciwkościelne w Polsce. Gdyby tylko jedną jedyną usłyszał Lwów, nie wypadałoby o niej dużo pisać, a może nawet wspominać. Ale ta nie pierwsza i nie ostatnia, tylko jedna z tysiąca wpadła tu pod pióro, aby służyć za

dowód, jak słusznie słuchacze wyrażają uznanie za podobne odczyty, pełne głębokich myśli i poglądów, tak świeżo odkrytych, że nie tylko nie stęchły, ale dojrzeć jeszcze nie zdołały. Powódź takich odczytów i pism zerwała tamy i grozi nam zalewem. Wypadło na okazie pierwszym lepszym, wziętym z brzegu, przedstawić, co za strawę duchową podają prostaczkom szerzyciele ruchu przeciwkościelnego.

Ale przeciwkościelny prąd szepce do niebacznych uszów hasło, że dojrzeliśmy już nie mniej od zachodnich narodów, które nie potrzebują nad sobą żadnej niańki ani opiekunów: więc nam zawadza przestarzały przewodnik rzymski, ze swoimi zastępami, gotowymi nas zawrócić na średniowieczny gościniec. Wszak my nie Azyaci: więc podpisujmy wyraz zgrozy nad ciemnotą warszawskiej cenzury i lwowskiej prokuratoryi, tych strażnic chrześcijańskiego prawa w wieku 20-ym, kiedy zachodni postęp podziwia artyzm w obrazach brudnej dziewki z włosami rozwichrzonymi i strojem zaniedbanym... My nie Chińczycy, więc świata deskami nie zabijajmy przed młodzieżą, a stawmy jej przed oczy wszystko, nawet takie korespondentki, jakiemi zgorszony stary listonosz wiele może o nich powiedzieć z odrazą, ale związany ustawą służbową musi, choć klnie, doręczać je setkami uczniom szkół średnich; a nikt, ani urzędnik w biurze ani młody odbiorca w budynku szkolnym, nikt nie wie, co za ręka zarzuca skrzynki pocztowe bezimiennie tymi okazami sztuki nieumytej, nieuczesanej i nieubranej... My nie Tunguzi: więc nie jak oni swoich lamów, czcijmy swoje duchowieństwo; puśćmy młodzież na wyprawę przeciw kardynałowi rzymskiego Kościoła; zostawiajmy na stole w bawialnym pokoju *Bociana* dla panienek, a *Naprzód* dla chłopczyków i służby; niech młodzież czerpie z dowcipów Icka humorysty etykę wyzwoloną od przesądów, a z przewrotowych pism podrobiony patryotyzm i pogardę dla upadłych księży; więc młodzież coraz mniej karna niech polskiego ducha wzmacnia przez wady narodowe, swawolę i nierząd; więc po wydziałach teologicznych niech dalej ubywa słuchaczy, ostatni rok pokazuje wszędzie niezwykle zmniejszoną część dawnego przyrostu, gdzieniegdzie ledwo dziesiątą. Nie do semi-

naryów niech posyła Polska swoich synów, gdzie trzeba zachować Dziesięciosłów Mojżesza z jego zwłaszcza ustępem szóstym, nie do seminaryów, ale nawet w czasie nauki szkolnej niech puszcza ich do przeróżnych ognisk nie klasycznej oświaty i przybytków ogłady, gdzie czas wesoło płynie albo krzewiciele przewrotu wygłaszają odczyty bardzo ciekawe i pożyteczne; zasady socyalizmu przesiągają szkolną młodzież naszą w sposób zdolny przerazić. Ale czy my gorsi niż Zachód Europy? Czy ma Kościół nam wychowywać w swoim duchu młodzież, kiedy ją Francya woli powierzać w ręce bezwyznaniowe? Czyż płytsze umysły u naszych dzieci, niż na Zachodzie? Pewno nie!... I nawet nasze dziennikarstwo dotrzymuje kroku Europie przez takie ogłoszenia, jakiemi zgorszony(?) *Naprzód* woła, że bezwstyd ma swoje krańce!

Wobec troski *Naprzodu* o dobre obyczaje, nic nam nie grozi; księża mogą opuścić kazalnice, biskupi nie mają co robić, papież zbyteczny, Kościół przeżyty i nam niepotrzebny.

Tam, na Zachodzie, Europa chrześcijańska zdaje sobie sprawę, że Kościół nie przypadkowo doznaje jednej zaczepki po drugiej, że jego wrogowie prowadzą przeciw niemu wojnę według wszelkich prawideł, jedną bitwę po drugiej wydają w stosownej chwili na odpowiedniem polu, każdą rotę i pułk posyłają w ogień według wskazówek zawczasu ułożonych, rozbitków w razie porażki wiedzą gdzie schronić i w razie wygranej wiedzą, czy dać odpoczynek strudzonym zwycięzcom, czy rzucić ich w pogoń za rozprószonym nieprzyjacielem. Taką tam na Zachodzie widzą wojnę i nikogo tam nie może łudzić nadzieja, że obecny ruch przeciwkościelny minie bez następstw poważnych, jako przelotny objaw niechęci czy odrazy do klerykałów.

Ale czy ten pogląd zachodni nie pochodzi tylko ze zbyt podejrzliwej jakiejś gorączki, która przywiduje sobie niebezpieczeństwa, gdzie nic nie grozi?

U nas także powstają głosy przestrogi, że polski ruch przeciwkościelny działa nie na chybi trafi i nie po omacku idzie, ale dąży świadomie do kresu i rzędem chwyta jedną prawdę wiary po drugiej, aby ją wydać na pośmiewisko. Do obrony równie z myślą prowadzonej wzywają nas owe głosy i radzą,

żeby praca kaznodziejska wyznaczyła sobie ścisły porządek wykładów jednego dogmatu po drugim, albo żeby przyjęła sobie za wskazówkę ów pamiętny list o kaznodziejstwie, wydany ze stolicy prymasowskiej; radzą, żeby różnorodne redakcye i wydawnictwa chrześcijańskie zespoliły siły, rozebrały między siebie różne działy pracy i wzajemnie uzupełniały się w walce zasadniczej; radzą, żeby rozsypane związki dobroczynne co rychlej zebrały wspólne zasoby poświęceń i grosza i świadomie działały pod jednym zarządem, któryby zdał sobie sprawę, czemu sto kilkadziesiąt tysięcy koron co roku w Krakowie płynie dla ubogich, a w niczem nie zmniejsza tego zastępu nędzarzy, którzy wołają o przewrót społeczny. Do wspólnej, świadomej, rozłożonej na stosownych ludzi pracy społecznej rzeczone głosy nawołują ludzi dobrej woli, połączonych dziś w różne związki, ale nie ujętych w oddziały jednego wojska, nie rozstawionych po stanowiskach z jedną myślą przewodnią.

Głosy te napotykają przeszkodę główną w odpowiedzi, że u nas jeszcze nie można mówić o jakimś spisku polskich bezwyznaniowców przeciw Kościołowi. Mało kto wierzy, że pora już nam i może ostatnia pora stanąć jednym obozem do dobrze obmyślanej obrony zagrożonych dóbr duszy. Głosy podnoszone na trwogę nie przekonywują ogółu, który spokojnie uważa, że jeszcze u nas nie tak źle, żeby całym zasobem naprężonych sił sypać co żywo wały ochronne przed zalewem bezwyznaniowych zasad; jeszcze na to czas — mówią — a zanim nadejdzie pora na pracę do upadłego, jeszcze wiele może zajść zmian na świecie, które popsują szyki siewcom burzy przeciwkościelnej... wolno im tymczasem działać, wolno korzystać z każdej chwili sposobnej i ze swoich kazalnic rzucać na rolę umysłów ziarno poglądów bezbożnych. Ani tych przeróżnych, i ustnych i pisemnych zaczepek wiary powszechnej nie trzeba brać poważnie; pewno niejeden mowca albo pisarz nie miał złego zamiaru, nie uważał, przypadkiem i nieświadomie zahaczył o katechizm, użył przesadnego zwrotu w zapale, zasługuje na wszelką wymówkę, bo musiał chcieć i myśleć najlepiej.

Ponieważ tak działa spokojniejsza część społeczeństwa,

trzeba rozsądkowi ustąpić, a nie przez czarne szkła spoglądać na wypadki. Wszak nawet najczarniejsze szkła muszą pokazać, że u nas nie tak źle jeszcze, jakby mogło być. Jeszcze u nas kościołów nie podpalają, jak w Hiszpanii, za kapłańskie prace sądownie nie karzą księży zakonnych, jak we Francyi, świeckich księży nie ćwiartują, jak w Chinach, nie rżną nikogo za wiarę, jak Ormian w Turcyi, jeszcze lud pobożny i ofiarny po wsiach, nawet po miastach w przeważnej części żyje w związkach ślubnych, łagodnych wogóle proboszczów słucha, a tylko nieostrożnych w mowie za obrazę honoru pozywa przed sąd, tylko z ciekawości czyta *Naprzód,* ale nie myśli przytem źle. Słowem, jeszcze nie czas u nas na żadne obawy poważne; może dopiero nasze wnuki, albo może już dzieci poczują nóż na gardle, ale poczciwe to pokolenie pewno błogosławić będzie naszą pamięć, iż zostawiliśmy im przykład niezachwianej otuchy, a nie schliśmy marnie z przedwczesnej trwogi albo z pracy bez potrzeby niezbędnej. Tak nasi dziadowie i pradziadowie żyli dobrą otuchą i oswobodzili Wiedeń od Turków: nie trzeba nam rozumu większego od staropolskiej, narodowej fantazyi.

HEJŻE NA POLAKÓW, BO ZA NIMI RZYM!

Wielkopolanie widocznie poniemczeli, potracili polską fantazyę i jakby poprzerażani widmami niebezpieczeństwa, pracują wytężonemi siłami i jakby w Kościele szukali obrony i przewodnictwa, skupili siły koło stolicy Prymasów. Ten ich powrót pod naczelnego wodza z godłem krzyża na piersiach bardzo gniewa wrogie nam żywioły.

Allgem. Luther. Kirchen-Zeitung jawnie wyznaje, za co wszechniemcy godzą w Polaków, mianowicie:

„Polskość, ponieważ zawsze zdoła cofnąć się do warownego obozu w Rzymie, dla tego nie traci ducha i walczy ciągle nieustraszona, zwłaszcza, iż rzymska pomoc nie zawodzi nawet w dziedzinie środków doczesnych. Kiedy prostoduszni ludzie dziwią się, iż Polakom mimo złych czasów jeszcze nie brak wielkich środków pieniężnych, kiedy widzą budowę banków, zakupno ziemi, następnie dzielonej i odstępowanej polskim chłopom, wtedy wiedzą przecież wtajemniczeni, że ten strumień

złoty płynie z majątku Jezuitów, olbrzymiego jak wiadomo, i innych stowarzyszeń ruchomych; oni to łożą wszystko, aby zahamować rozpęd Niemców ku Wschodowi i dotychczas pracowali ze skutkiem, jak niestety nie można zaprzeczyć. Istotnie walka przeciw Polakom — to walka przeciw Rzymowi".

Dobrą otuchą nas napawa sąd ten z ust świadomych: za nami Rzym, a za Hakatą Związek Luterski; wiemy, czyja potęga nie wyczerpie w walce sił do końca świata.

Oburzone tedy przewodnictwem Kościoła nad Polakami, wrogie Rzymowi żywioły uderzyły w Arcypasterza gnieźnieńskiego, jakoby z jego winy Wielkopolska nie szła na pasku germanizatorskiego rządu. W obronie arcybiskupa mężnie wystąpiły katolickie pisma niemieckie, a przy nich dzielnie zabrały głos czeskie *Katolické Listy*. Te ostatnie donoszą, że na ostatnim zjeździe członków *Ostmarkvereinu* pod przewodnictwem posła Raschkena przedstawił radca sądowy Wagner wniosek, żeby przyszli księża w księstwie byli rzetelnymi Niemcami, a skoro arcybiskupia stolica osierocieje, niech ją obejmie mąż niemiecki a sprężysty. Łatwo żądać, ale trudno dostać niemieckich księży do kraju słowiańskiego. Mniej byłoby już zachodu z arcypiskupem: wszak rząd pruski mógłby znaleźć na jedną stolicę gorliwego Niemca. Aby temu albo innemu Niemcowi utorować drogę na Gniezno, Hakata straszy rząd widmem takiego biskupa, jak ks. Arcybiskup obecny, który podług Hakaty niczem nie jest, jak polskim agitatorem. W oszczerstwach miotanych na jego osobę nie ma Hakata miary. Co chwila coś nowego o nim zmyśli, a ledwo prawda wypłynie na wierzch, już kłamstwo niezarumienione wstydem podnosi głos na nową piosnkę. Ten i ów pismak polski naodwrót podjudza swoich czytelników opisami, jak arcybiskup Niemców przedkłada nad Polaków, albo pieprzą jeszcze tę potwarz zarzutem, że za przykładem wodza całe duchowieństwo polskie opuszcza swój naród.

Aby ocenić podstawę tych zarzutów, można tu powtórzyć bezstronny głos wspomnianego dziennika czeskiego, który mówi:

„Arcybiskup Stablewski pracuje iście jak olbrzym. Prócz kilku godzin snu, trwa na nieustannej pracy dniem i nocą.

Prawie całą korespondencyę załatwia sam. W pasterskich listach nieraz już kładł główny nacisk na słowa: Póki człowiek trzyma się swojej wiary, póty trzyma się także króla; jak tylko porzuci wiarę, przepada w socyalnej demokracyi. Wszechniemcy w Czechach a Hakata w Wielkopolsce póki między ludem robotniczym torują sobie drogę, pędzą wodę na młyn niedowiarków i przewrotowców. Gdzie czerwony sztandar zagarnia pod sobą coraz liczniejsze zastępy, jak np. w Galicyi, tam widzimy oczywiście, że robotnik odpadł od wiary. A jeżeli między wielkopolskim ludem socyaliści, pomimo nawet wszelkiej biedy, nie rozgałęziają swoich sieci, tam mamy dowód, że lud trwa szczerze przy wierze przodków: i właśnie to stanowi największą zbrodnię arcybiskupa Stablewskiego w oczach Hakaty. Tu znajdujemy namacalnie błogie owoce wpływów arcybiskupa z jego księżmi. Bez tych księży wypadki wrzesińskie poszłyby torem znacznie gorszym. Przy niezmiernym żalu ludu za krzywdę jego dzieci, mało brakło do czynnej obrazy przedstawiciela władzy; wtedy właśnie ks. Laskowski postąpił ściśle podług woli arcypasterza, napominając ciągle wiernych, aby raczej krzywdę przecierpieli, niżby przekroczyli prawo. Dotychczas przy wszystkich napaściach na polskie dzieci żadnemu hakatyście włos nie spadł z głowy. Świadczy to o nadludzkiej potędze wiary i posłuszeństwie ludu względem księdza. A zasługuje na ten wpływ wielkopolskie duchowieństwo. Jemu to i jego karnej, świadomie prowadzonej pracy zawdzięcza Wielkopolska swój wyraźny zwrot ku lepszemu i rozwój nawet w zakresie potrzeb doczesnych; związki, spółki, towarzystwa przemysłowe, rolnicze, dobroczynne — słowem obywatelskie dzieła chrześcijańskiego ducha rosną pod ręką duchowieństwa; nawet ludowe banki polskie powstają jego zabiegami i obiecują więcej pożytku, niż można oczekiwać po niemieckich. Wielkopolski lud, zarówno jak małopolski, nie byle komu powierza pieniądz zaoszczędzony, ale, dowodnie przekonany o dobrym zarządzie kasy pod dozorem proboszcza, składa w niej swój majątek; stąd urasta kapitał wydatniejszy dla ludu, niż miliony złota, wrzuconego przez Hakatę w niemieckie teatry, domy związkowe, czytelnie i muzea germanizacyi.

„Za swoją pracę dla dobra Wielkopolan księża nie mają nagrody ziemskiej, zadowoleni świadectwem sumienia, że spełniają obowiązek względem bliźniego. A póki tak działać będą, Polska nigdy nie zginie na przekór całemu uciskowi hakatyzmu: stąd w tym obozie tyle gniewu na arcybiskupa z jego duchowieństwem".

Katolické Listy kończą te uwagi przestrogą dla pism czeskich, aby nie oczerniały polskiego duchowieństwa, jakoby ono, w duchu kastowym zajęte własnymi jedynie ideałami, opuściło, zdradziło naród i jego sprawę nawet doczesną.

Tak mówi czeskie pismo... katolickie, więc życzliwe nam..., ale katolickie, więc ślepe, ciemne i głuche... przepowiada, że Polska nie zginęła, póki trwa przy wierze, bo odbierze w pokucie, co jej wzięła kara za grzechy... ale z takimi poglądami i przepowiedniami o niezaginionej Polsce pismo czeskie traci wszelką powagę wobec obozu przeciwkościelnego.

Ks. K. Czaykowski.

„Pan Wołodyjowski"

dramat muzyczny Henryka Skirmuntta, wysnuty z powieści Sienkiewicza.

Na ostatniej stronicy słynnej „trylogii" Sienkiewicza czytamy następujące nader wymowne w swojej prostocie oświadczenie: „Na tem kończy się ten szereg książek, pisanych w niemałym trudzie — dla pokrzepienia serc".

Słowa te, tak dobitnie określające istotne znaczenie tej genialnej epopei w prozie, zapadły widocznie głęboko do serca młodego muzyka-poety, autora wystawionej przed kilku tygodniami (21 marca) we Lwowie opery, a raczej dramatu muzycznego, p. t. „Pan Wołodyjowski".

Głównym tematem tego utworu: poświęcenie dla ojczyzny, będące ostatecznym i najzupełniejszym objawem przenikającego całą trylogię bohaterskiego patryotyzmu, w którym streszcza się ożywiająca ją moc ogromna, zdolna pokrzepić serca nasze, zesłabłe i omdlałe od nadmiaru niedoli. Autor dramatu patryotyczny i bohaterski czyn niezłomnego obrońcy Kamieńca wziął za główny przedmiot swego utworu, przedstawił go jako wynik akcyi dramatycznej, zawartej w sobie, wolnej od

wszelkich epizodów epickich i wysnutej bezpośrednio z uczuć wiary i miłości ojczyzny, które uprzytomnione nam zostały w całej swej pełni i wyrazistości przy współudziale uzupełniających się nawzajem czynników słowa i tonu. Mamy tu zatem nie przeróbkę powieści Sienkiewicza, lecz odtworzenie dramatyczno-muzyczne jednego jej motywu, streszczającego w sobie zasadniczą dążność całej trylogii. Rozwinięty w niej z właściwą stylowi epickiemu szerokością obraz obyczajowy zupełnie z dramatu został usunięty, a zajmujące też w niej niemało miejsca uczucia i sprawy miłosne całkowicie podporządkowane zostały poczuciu świętej względem wiary i ojczyzny powinności.

Odpowiednio do tego ześrodkowania dramatycznego zapożyczonej od Sienkiewicza osnowy i występujące w niej postacie uległy przekształceniu, a raczej skupieniu w objawach religijno-patryotycznego heroizmu. Wskutek tego charakterystyka ich zawarta została w rysach prostszych, mniej urozmaiconych, ale zato wewnętrzna istota ich życia duchowego silniej i bezpośredniej do nas przemawia w rytmicznych słowach poezyi, oraz w melodyach i harmoniach muzyki. W samym Wołodyjowskim nic nie pozostało z małego, nieco komicznego rycerzyka, ale z jaką mocą uwydatniony w nim został rycerz-bohater, bez wahania składający w ofierze Bogu i ojczyźnie życie swe, szczęście i ziemskie swe kochanie.

Drugi bohaterski typ dramatu, Ketling, mniej wyraźnie jest zarysowany. Jego marzycielska, romantyczna uczuciowość wyraża się z porywającą prawdą, ale w swych czynach heroicznych okazuje on za mało samodzielności i niewolniczo nieomal zdaje się wstępować w ślady Wołodyjowskiego. Przeciwieństwem tych dwóch rycerzy powinności, dla których „ponad kochaniem ojczyzna i Bóg", jest dziki, bezdomny rycerz stepu, Azya, którego bogiem jego namiętność, a ojczyzną kraina rozkoszy zmysłowej, odurzająca go w marzeniu lubieżną atmosferą Wschodu.

Najwięcej cech kreacyi sienkiewiczowskiej zachowała główna, a właściwie jedyna postać kobieca dramatu, Basia, chociaż i jej charakterystyka skupioną została całkowicie w obrębie panującego przeważnie ponad osnową dramatyczną motywu heroicznego. Jej werwa zamaszysta, czy to w scenie z posłem w akcie 1-ym, czy w tęsknocie za „wojenką" w akcie 2-gim, czy też w niektórych momentach aktu 3-go objawia się wyłącznie w chęci i gotowości służenia ojczyźnie, a jej miłość dostraja się zawsze do poważnego tonu uczuć bohaterskiego małżonka.

Dwie pozostałe postacie, z powieści do dramatu przeniesione: Krzysia i Zagłoba, wcale nie zostały w nim rozwinięte. Ukazują się tylko w akcie 1-ym, przytem Zagłoba za mało ma werwy, a Krzysia jako charakter nie istnieje wcale, tylko głos jej w duecie słyszymy i postać widzimy na scenie. To dziwne zaniedbanie dwóch tak wybornych postaci, mogących się bardzo przyczynić do urozmaicenia akcyi, wynika z pewnej zasadniczej usterki, całemu dramatowi niemałą przynoszącej ujmę. Porwany przez zasadniczy jego motyw, oddał go poeta z głęboką prawdą i porywającą niekiedy mocą, ale nie uwydatnił należycie realnego tła życia, na którem on występuje. Stąd brak plastyki i urozmaicenia w akcyi, oraz perspektywicznego układu poszczególnych jej sytuacyi. Tak np. w akcie 1-ym rozwija się ona na tle wesela, ale wesela nie widzimy tu prawie wcale, to też poszczególne jego motywy, jak wiwaty i pieśni poza sceną, oraz mazur, tańczony na scenie, zdają się być sztucznie do akcyi wprowadzone. Toż samo możnaby powiedzieć o niejednej scenie lub sytuacyi obu aktów następnych. Wogóle udramatyzowany „Wołodyjowski“ w całości swojej nadto szkicowo nam się przedstawia, ale jest to szkic, który w głównych swych rysach okazuje rękę przyszłego mistrza i niewątpliwie więcej jest wart od niejednego obrazu, wykończonego doskonale przez rękę miernoty.

Taż sama, zaprawna mistrzowstwem szkicowość przebija się też w tekście poetyckim i w muzyce dramatu. Wiersz Skirmuntta często niedość jest wyrobiony rytmicznie, ale odznacza się zwięzłością i siłą męską, tak odpowiadającą głównej heroicznej osnowie akcyi; nagina się też doskonale do wyrażenia uczuć serdecznych i rzewnych w obu duetach miłosnych, tęsknego rozmarzenia Ketlinga, namiętnych szałów Azyi i oryginalnego wdzięku Basi. Poeta posługuje się często przekształconemi tylko nieco rytmicznie słowami Sienkiewicza (np. w duecie Ketlinga z Basią), ale nie wynika to wcale z braku odpowiednich w tym względzie uzdolnień, o których wymownie świadczą liczne ustępy, oryginalnie przez niego napisane. Naczelne miejsce zajmuje między nimi pełna wysokiego natchnienia pieśń, a raczej modlitwa Wołodyjowskiego w akcie III-cim:

Tyś chciał warownią mieć nasz kraj.
Drużynie daj
Wytrwanie!
Daj hart zbroicom dusz
I ducha stwórz
W nas Panie!

W przeciwieństwie do surowej, bohaterskiej męskości, przenikającej słowa i formę poetycką tej zwrotki, jak odmienny ton panuje w modlitwie Basi do Najśw. Panny, pełnej również ducha heroicznego, ale zaprawnej przytem jakimś miękkim wdziękiem niewieścim:

Matko! tam giną moi...
W śnieżystej zbroi.
Wyślij straże anielskie,
Zamiary odwróć zdradliwe
Nieprzyjacielskie...

Wogóle Skirmuntt posiada niezwykły u poetów współczesnych dar zwięzłego wyrażenia uczuć silnych i skupionych w sobie, a przytem umie doskonale przystosować rytmikę wiersza do panującego w nim nastroju. W jego wierszach niema nic literatury ani śladu utoczonych frazesów, sztucznych przenośni lub okresów zaokrąglonych. Panuje w nich wszechwładnie najczystsza, samorodna poezya, prawowita siostrzyca muzyki, w ścisłym z nią związku, zdolna wyrazić najgłębsze poruszenia duszy ludzkiej.

Zobaczmy teraz, jak się ten związek przedstawia w zajmującym nas tu utworze.

Nazywam go tu stale dramatem muzycznym i tak go nazwał sam autor w oddzielnem wydaniu jego tekstu poetyckiego [1], gdy tymczasem na afiszach teatralnych i w sprawozdaniach krytycznych zowie się on zazwyczaj operą. Czy te nazwy są równoznaczne? — czy nie określają żadnej ważnej, istotnej różnicy?

Nie miejsce tu rozwodzić się nad tem pytaniem, powiem tylko ogólnie, że rozróżnienie powyższe stosowane bywa zazwyczaj do formy utworów dramatyczno-muzycznych, a właściwie powinno wynikać z ich istoty wewnętrznej, która zresztą, o ile jest prawdziwie samorodna i oryginalna, uzewnętrznia się zawsze w odpowiedniej formie. Tak uzewnętrzniła się ona u Wagnera, właściwego twórcy dramatu muzycznego. Wzorując się na nim, nowsi kompozytorowie operowi dbają więcej o tekst poetycki swych utworów, o ściślejsze zespolenie go z wyrazem muzycznym i bardziej jednolity układ całości. Ale takie utwory tylko zewnętrznie różnią się od dawnych oper, w istocie rzeczy zupełnie są z niemi identyczne. Prawdziwy dramat muzyczny może być tylko płodem indywidualnego natchnienia, podobnie jak w arcydziełach Wagnera,

[1] W dodatku do *Słowa*. Warszawa. 1900. Wyd. 2-e Lwów, u Gubrynowicza i Schmidta. 1902.

ujawniającego się jednocześnie w słowie, tonie i grze scenicznej. Czyż takie natchnienie może się objawić w utworze, powstałym ze współdziałania dwóch ludzi — librecisty i kompozytora operowego — zazwyczaj zupełnie sobie obcych duchowo? Tylko twórca, będący zarazem poetą i muzykiem, a właściwie dramaturg, władający zarówno środkami muzyki i poezyi, może się na nie zdobyć i wysnuć zeń jednolite dzieło sztuki, jakiem nieodzownie każdy dramat być powinien.

Takim właśnie twórcą jest autor udramatyzowanego „Wołodyjowskiego", dzieła, które, jakkolwiek niedoskonałe i licznym podległe zarzutom, jest pierwszym u nas objawem tego rodzaju twórczości, pierwszym krokiem wielkiego, samorodnego talentu na drodze, wiodącej do prawdziwej sztuki dramatyczno-muzycznej. Widzieliśmy poprzednio, iż osnowa poetycka tego utworu, chociaż zaczerpnięta z powieści, tak głęboko została odczuta, tak zupełnie przyswojona i przekształcona przez autora dramatu, iż może być uważana za wyraz jego osobistego nastroju duchowego, oraz indywidualnych jego natchnień — w wyższym jeszcze stopniu stosuje się to do oryginalnej na wskróś i samorodnej jego muzyki. Nie do mnie należy oceniać ją wyczerpująco pod względem technicznym. Uczynią to prędzej czy później zawodowi znawcy, wolni od tak dosadnie przez La Bruyera scharakteryzowanej przyjemności krytykowania *(le plaisir de la critique)* i umiejący, przy należytem uwzględnieniu słusznych wymagań techniki artystycznej, wznieść się do unoszących się ponad nią i posługujących się nią wiekuiście prawdziwych natchnień twórczych. Tacy znawcy będą umieli odnaleźć je w muzyce Skirmuntta i ocenić w stosunku do środków, za pomocą których zostają one uzewnętrznione — mojem zadaniem jest tylko zdanie sprawy z ogólnego wrażenia, jakie ta muzyka wywiera, oraz z jej stosunku do poetyckiej osnowy dramatu.

Wiemy, że w tej ostatniej panują przemożnie uczucia i czyny bohaterskie; odpowiedni im nastrój duszy przemaga też w muzycznej stronie utworu i wraz z podporządkowanemi mu, pochłoniętemi niejako przezeń poruszeniami serc ludzkich oddany jest muzycznie w wyrazistych motywach charakterystycznych, oraz w przedziwnie pięknych, świeżych, prawdziwie natchnionych melodyach. Uwertura uderza nas naprzód całą mocą rozpoczynającego ją motywu heroicznego, następnie rozbrzmiewa ochoczymi tonami mazura, a w trzeciej swej części wznosi się w nastroju chorału religijnego do nadziemskiej dziedziny wiary, skąd motyw heroiczny powraca w zakończeniu uwertury jakby uświęcony i spotęgowany wzniosłą siłą ducha. Zapełniający środkową część

uwertury mazur w przeciwieństwie do jej motywów bohatersko-religijnych oddaje butę i ochoczą werwę czysto ziemskiej dzielności. Sam przez się bardzo ładny i charakterystyczny, nadto jednak odstaje od całości kompozycyi i z powodu dość słabej instrumentacyi wydaje się zbyt wątłym i nikłym. Niezależnie od przejawiającej się w tem usterki techniki artystycznej, czy nie spotykamy tu tej samej właściwości naszego muzyka-poety, wskutek której wszystkie realno-życiowe strony w jego dramacie niedość silnie i wyraziście zostały uwydatnione?

Niedostateczne rozwinięcie odpowiadającego im nastroju daje się też odczuć w muzyce aktu I. Mazur brzmi tu jeszcze wątlej, aniżeli w uwerturze, a w piosnce Zagłoby niema dość werwy humorystycznej; chóry weselne poza sceną przechodzą prawie niepostrzeżone; zazdrość Azyi ma silne akcenty muzyczne, ale nie uwydatniające się dosyć w śpiewie i głuszone przez orkiestrę. Natomiast wszystkie idealne motywy osnowy poetyckiej wyrażone zostały w muzyce nader szczęśliwie, niekiedy z porywającą siłą natchnienia. Zaraz na początku jak pięknie rozbrzmiewa poezya letniego wieczoru w ustępie orkiestralnym sceny 1-ej. Dalej mamy wyborną modlitwę Azyi, osnutą na motywie wschodnim i piękną pieśń Ketlinga (Zanim się poleje krew), w zakończeniu której poezya natury tak doskonale zlewa się z poezyą serca ludzkiego. Ta ostatnia dźwięczy całą mocą uczucia w melodyach obu duetów miłosnych, pełna rzewnej prostoty i uroczystej powagi w pierwszym z nich (Wołodyjowskiego z Basią), nastrojona na ton marzycielski w drugim (Ketlinga z Krzysią), odzywająca się stłumionem echem wspomnień we wtrąconym między nie, niedość z nimi zespolonym śpiewie Zagłoby. Najliczniejsze wszakże i najoryginalniejsze piękności znajdujemy w muzyce, oddającej zasadniczy heroiczny motyw dramatu: w scenie z posłem hetmańskim, rozwijającej się na tle marsza wojennego, w odpowiedzi danej mu przez Basię (Powiedz asan hetmanowi), w następującym potem chórze rycerzy (Bracia! już nam na wojenkę czas), a nadewszystko w pełnym natchnienia ustępie, głoszącym wyższość obowiązków względem Boga i ojczyzny ponad ziemskiem kochaniem.

Dość ubogi pod względem dramatycznym akt II-gi zawiera wiele pierwszorzędnych piękności muzycznych. Żałować tylko należy, że melodyjne, rozbrzmiewające odgłosem stepowej tęsknoty chóry żołnierzy i pełen charakteru chór Tatarów w znacznej części przepadają wskutek tego, że są słyszane tylko z poza sceny. Doskonale natomiast uwydatnia się w swoim nieporównanym wdzięku rozwinięta na tle dochodzą-

cych z oddali odgłosów trąb wojennych, urozmaicona wielce w nastroju, rytmie i modulacyach pieśń Basi, tęskniącej za „wojenką", a nader dramatyczna scena jej z Azyą oddana została dosadnie w muzyce, wyrażającej przeciwieństwo namiętnych pragnień dzikiego Tatara i religijnego uniesienia bohaterskiej kobiety.

W akcie III-im panuje, jak wiemy, wszechwładnie nastrój heroiczno-religijny. Już we wstępie muzycznym do tego aktu słyszymy odgłosy walki; w pierwszych jego scenach mamy kilka krótkich, urywkowych, ale pełnych siły dyalogów dramatyczno-muzycznych. Następują potem ustępy, przeniknięte głębokim liryzmem: niewymownie rzewna pieśń Ketlinga do jutrzenki, pełna mocy wewnętrznej, podniosła modlitwa Wołodyjowskiego (Tyś chciał warownią mieć nasz kraj) i nad wyraz piękny, będący koroną całej kompozycyi pożegnalny jego duet z Basią. W tych dwu ostatnich ustępach swego dzieła autor wznosi się do szczytu muzycznego natchnienia i przedziwnie wyraża w podniosłych i rzewnych melodyach nastrój dusz bohaterskich, pełnych szlachetnej prostoty i niepokalanie czystych. Wreszcie powracający w zakończeniu dramatu heroiczny motyw uwertury w potężnych akordach orkiestralnych wyraża całą wzniosłość dopełnionego czynu poświęcenia.

Zaznaczyłem tu w krótkim, na ogólnych wrażeniach opartym przeglądzie liczne piękności i siłę wyrazu dramatycznego w muzyce Skirmuntta. Z góry, jako pozbawiony odpowiedniej kompetencyi, wyrzekłem się oceny strony jej technicznej, tem mniej mogę wdawać się w wykazywanie jej usterek technicznych, bardzo przesadnie pono uwydatnionych przez zbyt surowych lub uprzedzonych krytyków, którzy, powodowani „przyjemnością krytykowania", dobrowolnie pozbawiają się przyjemności odczuwania rzeczy pięknych i natchnionych. Niemniej przeto pewne ich zarzuty uzasadnione są niewątpliwie, a przedewszystkiem zarzut dotyczący zbyt słabej, nie odpowiadającej dzisiejszym wymaganiom sztuki instrumentacyi. Ten brak pozostaje w związku z pewną zasadniczą, zaznaczoną powyżej kilkakrotnie usterką całego dzieła: z brakiem wykończenia, szkicowością. Ale szkicowość owa nie świadczy wcale przeciw talentowi autora, być może, za nim nawet przemawia. Znakomity pisarz francuski, Ernest Hello, szczególnie głęboko i wzniośle pojmujący zadania sztuki, tak mówi o istocie jej arcydzieł:

„Każde arcydzieło jest szkicem. Niedokończenie jego jest znamieniem geniuszu, który wielkimi rysami rzuca swe pomysły, nie licząc się z możnością wykończenia ich. To jest jego znamię, jego przywilej, jego potępienie, jego wielkość".

Hello ma tu na myśli nieskończoność dążeń twórczych, nie dających się zawrzeć w skończonem dziele sztuki pomimo wyczerpania wszelkich jej środków po temu użytych. Nie myślę oczywiście twierdzić, aby szkicowość w utworze naszego młodego dramaturga była wynikiem takiego zatrzymania się u kresu sztuki, wyczerpania wszelkich jej środków, owszem widzieliśmy, że wynika ona w znacznej części z niedostatecznego tych środków użycia. Niemniej przeto sądzę, że jest w niej inny jeszcze pierwiastek, z pełni natchnienia twórczego pochodzący, a stwierdzony przez ogromne jego bogactwo, przez jego śmiały polot, a przedewszystkiem przez ścisły związek, łączący je z wewnętrznem, czysto ludzkiem życiem artysty. Artysta, któremu obcy jest ten związek, który całą swoją ambicyę zakłada tylko na osiągnięciu możliwie największego mistrzowstwa we władaniu środkami swej sztuki, może tworzyć rzeczy piękne, skończone, w swoim zakresie doskonałe, ale nie stworzy nigdy arcydzieła, przeniknętego ową nieskończonością dążeń, w której Hello widzi znamię geniuszu. Stworzy je tylko artysta, który taką dążność łączy z wrodzonem uzdolnieniem twórczem, a zarazem po mistrzowsku włada wszelkimi środkami sztuki.

Sądzę, że udramatyzowany „Wołodyjowski“ świadczy o istnieniu u swego twórcy dwóch pierwszych czynników, będących darem Bożym, chodzi o zdobycie trzeciego, który tylko przez wytrwałą pracę może być osiągnięty. Chodzi o to, aby pełen natchnienia artysta stał się też mistrzem w swej sztuce, a wtedy da nam może dzieło, które będzie także szkicem, ale szkicem, w którem sztuka, jako realny objaw twórczości ludzkiej, kres swój osiąga, a tkwiący w niej ideał nieskończonych dążeń ducha ludzkiego zarysuje się przed naszą wyobraźnią w pełni życia i prawdy.

Walery Gostomski.

†

Ś. p. O. ANTONI LANGER T. J.

Wspomnienie pośmiertne.

Przypada nam w udziale smutny obowiązek pożegnania jednego z najdawniejszych i najgorliwszych współpracowników, który pismo nasze zasilał od początku jego istnienia stale przez lat 8 (1884—1892).

Dawniejsi czytelnicy *Przeglądu* pamiętają dobrze apologetyczne artykuły ks. Langera. Wiemy, że czytywano je chętnie, wyczekiwano ciągu dalszego z ciekawością i naprężeniem, a kiedy wreszcie — niedługo przed opuszczeniem Krakowa na czas dłuższy — pisywać już przestał do *Przeglądu,* wspominano o nich z uznaniem. Ze sfer bardzo poważnych winszowano mu tych jego artykułów, lecz on z właściwą sobie prostotą pośpieszał z wyjaśnieniem, że polszczyzna w tych pracach nie należy do niego: pisywał bowiem po niemiecku i dawał do tłumaczenia uczniom swoim. Czuł to i z żalem wspominał, że nie mógł sobie nigdy dobrze przyswoić naszego języka, choć biegle władał włoskim i francuskim. Pragnął jednak z całego serca służyć społeczeństwu, wśród którego spędził większą część życia, i służył jak umiał.

Urodził się ś. p. ks. Langer w Nissie na Śląsku pruskim (8 września 1833 r.) z niezamożnej rodziny mieszczańskiej. Straciwszy ojca już w pierwszych latach studyów gimnazyalnych,

musiał udzielaniem lekcyi zamożniejszym kolegom zarabiać na utrzymanie. Już wtedy odznaczał się zapałem do wszystkiego co dobre i piękne, i prawdziwie niemiecką pracowitością. Towarzysz jego lat młodzieńczych, a później i w zakonie, ks. Titz, opowiada, że nieboszczyk był najlepszym w klasie matematykiem, a przytem oddawał się z zapałem lekturze mowców i poetów klasycznych. Stąd w późniejszem życiu jako profesor i kaznodzieja umiał zawsze łączyć ścisłość i jasność z prawdziwie młodzieńczym zapałem.

Pod koniec studyów gimnazyalnych miał sposobność poznania kilku naszych Ojców (między nimi OO. Antoniewicza, Józefa i Maksa Klinghofstroemów), którzy zjechali do Nissy w celu dawania misyi. Do nich zgłosił się młody Langer wraz ze swym przyjacielem Titzem i młodym kapelanem ś. p. ks. Merklem o przyjęcie do zakonu. Stanowili oni po dyspersyi naszej prowincyi (1848) świeży nowicyat w Starejwsi (1852—1854). Po roku retoryki w Baumgartenbergu (Austrya Wyższa) wysłali go przełożeni na dalsze studya, filozoficzne i teologiczne, do Rzymu, gdzie spędził w jednym ciągu lat 8. Znany astronom O. Secchi przybrał go do pomocy i pragnął po skończeniu studyów zatrzymać przy sobie. Szczególniejszy jednak wpływ na cały kierunek wykształcenia i późniejszych prac ks. Langera wywarł O. Franzelin, późniejszy kardynał, a podówczas profesor teologii dogmatycznej w uniwersytecie gregoryańskim. Wyraz czci i pietyzmu dla swego ukochanego profesora dał nieboszczyk w serdecznie skreślonem wspomnieniu pośmiertnem [1].

Za powrotem do Galicyi uczył przez lat 5 filozofii w Starejwsi (1863—1868) i przez 4 lata teologii dogmatycznej w Krakowie [2]. W r. 1872 był krótki czas przełożonym rezydencyi w Rudzie (Śląsk pruski), skąd wyrok banicyjny na Jezuitów zaprowadził go do Francyi, gdzie w kollegium *La Valle* uczył przez rok teologii. Potem już bez przerwy od r. 1874—1893 był znowu profesorem w Krakowie, a równocześnie rektorem kollegium na

[1] „Kardynał Jan Chrzciciel Franzelin i jego znaczenie w katolickiej nauce". *Przegląd Powsz.* 1888. T. XVIII i XIX.

[2] Wtedy też miewał kazania niemieckie w kościele św. Barbary.

Wesołej przez 12 lat, w których rozwinął szlachetną, gorliwą i pożyteczną działalność w wielu kierunkach: przy wykładach pisywał do *Przeglądu*, a wakacye obracał na dawanie rekolekcyi duchowieństwu i zgromadzeniom zakonnym na Śląsku. A wśród tych prac umiał zawsze znaleźć czas na wszystko. Z rana po Mszy św. gotował się do wykładu, a po wykładzie zasiadał do pisania wśród stosu książek i papierów. Przytem, jako przełożony, załatwiał korespondencye i bieżące sprawy, gotów w każdej chwili przerwać choćby najważniejszą pracę, kiedy chodziło o danie rady i wskazówki. Ceniono go bardzo jako kierownika sumienia dla jego znajomości duszy ludzkiej, trafności i łatwości decyzyi. W codziennem pożyciu cechowała go przystępność, wyrozumiałość, dowcip dobroduszny, prostota i szczerość w wypowiadaniu swych wrażeń — słowem owa sławna niemiecka *Gemüthlichkeit* w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Nawet kiedy wśród wykładu, a najczęściej wśród dysputy, wpadł w chwilowy zapał i porywał siłą swej wymowy, wracał wkrótce potem do tonu spokojnego i dobrodusznego, w którym przebijał nierzadko wykwintny i bystry dowcip.

Dla *Przeglądu* obierał przeważnie tematy z apologetyki, które nigdy nie tracą na aktualności: o istnieniu Boga, religii, wierze i jej rozwoju, wewnętrznych i zewnętrznych kryteryach objawienia i zadaniach nowszej apologetyki. Nadto w myśl encykliki *Aeterni Patris* (z 4 sierpnia 1879) traktował o stosunku dzisiejszej filozofii do św. Tomasza z Akwinu. Wkońcu podał obszerniejsze studyum o dzisiejszym socyalizmie. Prace te cechuje jasność i gruntowność wykładu, a przytem sumienność — bez pretensyi do oryginalności naukowej.

Po wyjeździe z Krakowa pracował ś. p. ks. Langer lat kilka jako kaznodzieja i misyonarz na Śląsku austryackim, sprawując równocześnie urząd superyora rezydencyi (w Zuckmantlu i Opawie). Wśród natężonej pracy uległ wkrótce atakowi apoplektycznemu, z którego się dźwignął na razie, ale do sił dawnych już więcej nie wrócił.

Po śmierci O. Badeniego mianowany prowincyałem, przebył na tym urzędzie nie więcej nad dwa lata. Coraz większa utrata

sił kazała mu prosić generała zakonu o zwolnienie z pełnego odpowiedzialności stanowiska. Odtąd gotował się do śmierci, której wyczekiwał bez obawy. „Wiem — mówił jednemu z Ojców — że jako paralityk mogę każdej chwili nagle skończyć; ale nie boję się śmierci, bo wedle sił moich pracowałem całe życie“. Nie umarł jednak nagle; ale po dłuższej chorobie, w której budował wszystkich cierpliwością i pobożnością, dnia 8 kwietnia, opatrzony poprzednio św. Sakramentami, poszedł, jak ufamy, po dobrze zasłużoną nagrodę.

Ks. Eugeniusz Hełczyński.

Druk ukończono 29 kwietnia 1902 r.

Z ILIADY.

(PIEŚŃ XXIV).

MARYI KONOPNICKIEJ W JEJ ROKU JUBILEUSZOWYM
POŚWIĘCA TŁUMACZ.

I koło się rozprzęgło, a na chyże nawy
Lud począł się rozchodzić do wieczornej strawy
I na słodkie wywczasy. Achil o tej porze
Płakał spomniawszy druha; ani go nie może
Ogarnąć sen wszechwładny, który wszystko zmaga.
Z boku na bok się rzucał — a hart i odwaga (5)
Patroklowa w pamięci stały mu przytomne
I społem przewalczone potrzeby ogromne,
Niepogody przetrwane na mórz fali gniewnej
Co gdy spominał, płacz go wciąż zalewał rzewny.
Kładł się na boki, na wznak i twarzą do łoża, (10)
Aż zerwał się i wstawszy chodził brzegiem morza
Patrzał, jako Jutrzenka ponad morskie tonie
I nad wybrzeża wstaje. Zaczem rącze konie
Do wozu duchem zaprzągł i uwiązał wtyle
Hektora, by go włóczył za wasągiem w pyle. (15)
A kiedy go utarzał trzechkrotnym obrotem
Wkoło grobu Patrokla — usiadł pod namiotem,
Onego zaś poniechał, ku ziemi obliczem
W prochu porzuconego. A wszelako w niczem
Obrazy nie dopuścił Apollo na ciało,
By i na skórze najmniej szwanku nie doznało;
Który dla bohatera litością ruszone
Serce mając, trupowi jeszcze dał ochronę

Z Egidy swojej złotej, iż nietknięte prawie
Zostało, aczci tamten włóczył je w kurzawie.
— Kiedy tak nad boskiego Hektora zawłokiem
Pastwił się rozjuszony — żałościwem okiem
Pozierali z wysoka szczęśliwi bogowie:
Bystrowidz Argobójca, po zgodnej umowie,
Miał być posłan, by wykradł ciało bohatera;
Ale białoramienna oparła się Hera,
I Posejdon i Dziewka Zeusa złotobrewa,
Bo je obiedwie dawna zajadłość rozgrzewa
Na zatratę świętego Ilionskiego grodu
I Priama i ludu. A to dla powodu
Alexandra, co lekce ważył sobie obgi
Dwie boginie, gdy przyszły ku niemu do stragi,
A tę poczcił, co chuć w nim nieszczęsną zażegła.
— Gdy dwunasta jutrzenka na niebo wybiegła,
Tak się do Nieśmiertelnych Apollon ozowie:
— „Straszni a bezlitośni jesteście bogowie!
Zali wam Hektor skąpo wołowe kawalce
I koźle uda palił? A gdy ubit w walce,
Ochronić go nie chcecie! Niechby mu się żona
Napatrzyła i synek i macierz rodzona
I rodzic Priam z ludem. Ci zasię bez zwłoki
Spaliliby i godnie pogrzebliby zwłoki;
Lecz wy bogowie zawżdy pomagać gotowi
Owemu z nieczłowieczą duszą Achillowi,
Który snać nie ma w piersiach nijakiego serca
Jako ten lew, patrzący drapieży krwiożerca,
Co dufny w moc i gnany zuchwalstwem — na stada
Rzuca się i tak ludziom żywność ich wykrada.
Tak Achil zbył litości a wstydu. Choć szkodzi
Ludziom wstyd zły, lecz dobry na dobre wychodzi;
Toć inszym żałośniejsza przydarza się strata:
Kto syna, kto postrada rodzonego brata —
Wypłacza się, wyżali, zaczem i ustaje,
Cierpliwy bowiem umysł Dola człeku daje.

Ten nie dość — Hektorowi że wziął żywot miły,
Jeszcze go końmi włóczy dokoła mogiły
Druha! — Zaliż to godnie? Zali to przystoi?
Mężnyć on, ale pomsty niech się naszej boi
Za ten proch martwy, ręką jego zbezczeszczony!
Rzekła mu gniewnie Hera z białemi ramiony:
— „Co, Srebrnołuki?! Tego jeszczeby nie stało,
By Hektor Achillowi miał być równien chwałą,
Wszak piersi ssał kobiece, śmiertelnik jest rodem,
Kiedy Achilles owszem bogini jest płodem:
Tę wychowawszy, dałam Pelejowi w stadło,
Bo k' niemu serce niebian łaskawie przypadło.
Nie byliżeście wszyscy na ślubnej biesiedzie?
Tyś przecie też godował i z lutnią na przedzie
Sam stałeś, fałeszniku kłamny w każdem słowie!“
Na to jej Zeus pochmurny w te słowa odpowie:
— „Nie bądź, Hero, do swaru z bogami tak skora!
Im obu cześć nierówna, wszelako Hektora
Umiłowali bogi nad inne ziemiany
W Ilionie. Mnie bo nigdy objaty wybranej
Nie chybił, ni przy uczcie ofiarnej ołtarzy
Niepokropionych winem i bez wonnej skwarzy
Nie zostawił, cześć zawżdy dając mi osobną.
Lecz zwłok porywać niecham, boć i niepodobno,
By Achilles nie postrzegł, skoro ku pomocy
Wciąż matka za nim stoi, we dnie, jako w nocy.
Raczej niech które z niebian bieży wezwać ku mnie
Tetydę, ja zaś do niej przemówię rozumnie:
Że Achil przyjmie okup — to sprawi Tetyda
I że ciało Hektora Priamowi wyda“.
Rzekł. Wichronoga Iris z wieścią mknęła w pędzie;
Między Samos a Imbry urwiste krawędzie
Ciska się w mroczne morze, aż nurt zawrzał siny:
Tak ołowiana kula zapada w głębiny,
Wprawiona w kawał rogu wolego przy wędce,
Która żarłocznym rybom śmierć przynosi wprędce.

I zastała Tetydę w sklepistej jaskini,
Wodnice tam siedziały wokoł, a bogini
Płakała na los syna wielkiego niechybny,
Że zginie od ojczyzny zdala, w Troi skibnej.
A szybkonoga Iris, zbliżywszy się, gada:
— „Pójdź Tetydo, Zeus woła, co niezłomnie włada".
Zaczem, odpowiadając, ozwała się do niej
Tetis, co srebrną nogą mknie po słonej toni:
—„Przecz mnie bóg ten ogromny wzywa? Mnie nieraźnie
Między nieśmiertelników pójść, gdy w duszy kaźnie
Cierpię niewymówione. Alem iść gotowa,
By nie były daremne — które wyrzekł — słowa".
To rzekłszy, giezło na się żałobne przywdziewa,
Czarniejsza być nie mogła żadna przyodziewa;
Jęła iść — wichrostopa Iris szła w powody,
Rozstępowały się im z przed nóg morskie wody,
Aż do brzegu dotarły; zaczem w niebo idą,
Kędy przed wszechwidzącym stanęły Kronidą.
Wokoł szczęśliwych niebian siedziała gromada,
Ona zaś wedle Zeusa-Rodzica zasiada,
Atene ustąpiła jej swego siedziska,
Hera do rąk jej piękny złoty puhar wciska
I do picia zachęca w mowie najuczciwszej;
Tetis jej zasię puhar oddała, wypiwszy
Zaczem się Rodzic bogów i ludzi odzywa:
— „Przyszłaś na Olimp, chocia srodze frasobliwa
I choć na sercu tobie ciężka leży troska —
Sam ci ja to uznawam, o Tetydo boska!
Atoli powiem przecz cię zawezwałem właśnie:
Oto dni dziewięć wrą już pośród niebian waśnie
O Achilla zdobywcę grodów i o zwłoki
Hektorowe. I miał być posłan bystrooki
Argobójca, by wykradł — z wolą bogów — ciało,
Ale ja chcę, by Achil sam je wydał z chwałą,
Bo dla cię poważanie i chęć mam życzliwą.
Ty przeto do obozu pośpieszaj co żywo,

Mów synowi, że bogi gniewne a najgorzej
Z wszystkich ja sam, gdyż sercem okrutnem się sroży:
Podle naw krzywodzióbych trupa ma w niewoli (115)
A wydać go nie myśli. Może też mnie k'woli
Wyda go przecie... Ja zaś poselstwo Irydzie
Zlecę, niech do Priama wspaniałego idzie,
By za miłego syna pomiędzy okręty
Poniósł okup i dary, które jad zawzięty
W sercu Achillesowem ułagodzić mogą!"
— Rzekł; Tetis, co po morzu srebrną chadza nogą, (120)
Nie przeciwiła mu się. Z Olimpu wysoczy
Zstępowała i w namiot syna swego kroczy.
Nalazła jęczącego w głos; druhowie mili
Krzątając się skwapliwie, wraz dlań gotowili
Śniadanie: był w namiecie skop, kudłacz nielada, (125)
Sprawiony. Więc się macierz dostojna przysiada
I do syna się ozwie a dłonią go pieści:
„I pókiż, dziecię moje, w żalu i w boleści
Będziesz się tak żarł w sercu, nie pomnąc na jadło
Ni łoże; toć z niewiastą miećby ci wypadło (130)
Spólność w miłości. Żyć już niedługo ci dano:
Śmierć tuż za tobą stoi z Dolą niezbłaganą!
Lecz ucha nakłoń pilno, boć niosę posłanie
Od Zeusa: oznajmuje ci on, że niebianie
Gniewni na cię — ze wszystkie on zasię najgorzej
Za to, że się twe serce nad Hektorem sroży; (135)
Podle naw krzywodzióbych trupa masz w niewoli
A wydać go nie myślisz. Wydaj go a k'woli
Zwłok zmarłego, w zamian weźmiesz okup drogi!"
Odrzekł jej na to, mówiąc Achil wiatronogi:
— „Zgoda! kto złoży okup, niech zabierze zwłoki,
Skoro takie są Zeusa niezmienne wyroki". (140)
Tak tedy u korabiów, co w przystani leżą
Długo lotnemi słowy gadał syn z macierzą.
A Zeus na święty Ilion pchnął Irydę w posły:
„Pędem leć, chyża Iri, a Olimp wyniosły

Rzuciwszy, dostojnego Priama zawiadom
W Ilionie, by się zebrał, posłuszny mym radom,
I za miłego syna okup — jak mu każę —
Złożył i do korabiów skarby zaniósł w darze,
Które w sercu Achilla jad złagodzić mogą.
Sam niechaj idzie, z Trojan nie biorąc nikogo:
Woźny który, co starszy, niech z nim jedzie społy,
Iżby muły kierował i wóz pięknokoły,
I poległego nazad do miasta odstawił,
Którego boski Achil żywota pozbawił.
Niech go śmierć ni przygoda lękiem nie przenika,
Argobójcę mu bowiem dam za przewodnika,
A ten go przeprowadzi, wziąwszy pod swą wodzę,
I przed Achillem stawi. A niech Priam w trwodze
Nie będzie, u Achilla stanąwszy w namiecie:
On sam go nie tknie, drugich precz odeń odmiecie,
Bo rozwaga, baczenie i ludzkość w nim żywie,
Błagającego przeto przyjmie on uczciwie".
Rzekł — wichronoga Iris z wieścią mknęła w pędzie
Do Priama. Zastała jęk i lament wszędzie:
Synowie w krąg obsiedli ojca na podwórzu,
Łzami odzież maczając; między nimi w kurzu
Starzec, płaszczem obciśle zakutany cały.
Pełno brudu na karku i na głowie białej
Miał starzec biedny, sam się tarzając po ziemi
I proch na się zgarniając rękoma własnemi.
A dziewki zawodziły doma i synowe,
Rozpominając mnogie bohatery owe,
Co z rąk argejskich ległszy, dusze potracili.
Tedy posłanka Zeusa przymknie się po chwili
Do Priama i rzecze w przyciszonej mowie:
— Jemu zasię po członkach przeleciało mrowie —
— „Nabierz serca Priamie, potomku Dardana,
Nie trwoż się! Nie przychodzęć tu niechęcią gnana,
Jeno w przyjaznej myśli: posłankam ja boska
Od Zeusa, który o cię żałosny się troska.

On wykupić boskiego Hektora ci każe
I Achillowi zanieść skarby drogie w darze,
Które jad w sercu jego ułagodzić mogą.
Wszelako sam idź, z Trojan nie biorąc nikogo.
Woźny, co starszy niechaj z tobą jedzie społy,
Iżby muły kierował i wóz pięknokoły,
A poległego nazad do miasta odstawił,
Którego boski Achil żywota pozbawił.
Niech ci śmierć ni przygoda serca nie przenika,
Argobójcę ci bowiem da za przewodnika,
A ten cię przeprowadzi, wziąwszy pod swą wodzę,
I przed Achillem stawi. Ty w nijakiej trwodze
Nie bądź, u Achillesa stanąwszy w namiecie;
Sam cię nie tknie i drugich precz od cię odmiecie,
Bo rozwaga, baczenie i ludzkość w nim żywie,
Błagającego przeto przyjmie cię uczciwie".
W lot wichronoga Iris — rzekłszy to — uchodzi.
Zaczem Priam zładować rozkazał swej młodzi
Mulny wóz pięknokoły i wasąg dać spory,
A sam szedł do pachnącej, cedrowej komory
Wysokozrębnej: skarbów siła się w niej chowa;
Przyzwał żonę, Hekabę, i rzekł jej te słowa:
— „Słysz biedna, Zeus przez posły z Olimpu mi każe,
Iżbym syna wykupił, Achillowi w darze
Skarby zaniósł, co jad w nim ułagodzić mogą;
Mów, jakoć to się widzi w głowie twej, niebogo?
Mnie bo iść tam okrutna żądza w duchu bierze
Do naw, kędy achajskie przestrone są leże!"
Tak mówił; na to jękła niewiasta i rzecze:
— „Gorze mi, kędyż ano stradałeś człowiecze
On rozum swój, z którego sławiły cię wprzódy
I cudze i żyjące pod twą władzą ludy!?
Jakoż to sam chcesz między achajskie pójść nawy
I do oczu mężowi leźć, co łupiec krwawy
Z tylu twych zdarł pobitych, bohaterskich dzieci!
Snadź masz serce żelazne! On ci w twarz zaświeci,

Oczyma i spojrzeniem ciebie w ziemię wkopie
Ten mąż bez czci i wiary, co świeżą krew żłopie,
Lecz ani się nie skruszy, ani nie użali;
Raczej nam, w domu siedząc, opłakiwać z dali
Nieszczęsnika, któremu Dola przeraźliwa
W dniu urodzin wysnuła ze swego przędziwa (210)
Tę nić: że go rozedrą chyże psy — z daleka
Od rodziców, u tego srogiego człowieka.
Bogdajbych jemu w trzewa wżarła się — krwie głodna,
Tożby za dziecię moje pomsta była godna!
Nie tchórza przecie zabił, co cześć swoją plami:
Hektor się zastawował własnemi piersiami
Za Trojan i Trojanki nisko przepasane, (215)
Nie znał, co to ucieczka, nie krył się za ścianę!"
Odrzekł jej Priam, bogom podobny z urody:
— „Gdy ja chcę pójść, nie tobie czynić mi przeszkody;
Ty mi ptakiem złowróżbnym nie bądź w moim domu:
Z ziemian ktoby mi kolwiek odradzał — nikomu (220)
Nie dam wiary, choćby mi widuny, kapłani
I wróże złowieszczyli — odejdą wyśmiani;
Fałsz im zadam i wróżby odrzucę zwodnicze!
Boski-m głos słyszał, boskie-m oglądał oblicze,
Przeto pójdę! Nie czekam, aż widzenie ono
Drugi raz się powtórzy... Jeśli mi znaczono
Zginąć tam, gdzie pancernych Achajów są nawy, (225)
To i tak chcę! I niech mnie Achil zarźnie krwawy,
Bylem w skonaniu syna rękoma obłapił
I spragniony, łez własnych do syta się napił!"
To wyrzekłszy, otwierał wieka skrzyń wzorzystych
I wyjął z nich dwanaście odziew powłóczystych,
Opończ zwykłych dwanaście i kobierców równie, (230)
W takiejże liczbie płaszcze i piękne nasuwnie;
Złota wziął dziesięć grzywien, odważywszy w miarę,
Cztery kotliki wybrał i błyszczących parę
Trójnogów i kruż cudnem zdziałany rzemiosłem,
Trakowie mu go dali, gdy był u nich posłem:

Istny skarb! Ale starzec w domu go nie szczędzi
Byle syna wykupił. — Więc z podcienia pędzi
Wszystkich Trojan i słowy sromotnemi łaje:
— „Precz stąd, zabierać mi się bezecni hultaje!
Zali u siebie doma żalu macie mało,
Żeście mnie przyszli nękać? Nie dość wam się zdało
Boleści, którą cierpię z Kronionowej ręki,
Żem najtęższego syna postradał przezdzięki!?“
Tak rzekł i męże berłem rozganiał po drodze,
Zaczem pierzchli przed starcem. Więc rozsierdzon srodze,
Sfukał synów. A byli: Parys z Helenosem,
Boski Agathon, Pammon, Polit gromki głosem,
Antifon, Hippothoos i Dios wspaniały,
I Deifob. Te jeno syny mu zostały;
Na nich dziewięci swarząc, rozkaz im kładł w słuchy:
— „Spieszcie mi się, wyrodki, sromotne piecuchy!
Miast jednego Hektora wam to wszystkim razem
Było raczej u szybkich naw poledz żelazem!
Gorze mi nieszczęsnemu! Wprawdziem krzepkie syny
Zrodził w szerokiej Troi, lecz ani jedyny
Snać z nich nie ostał: brakło boskiego Mestora
I Troila woźnicy, nie masz i Hektora,
Który pośrodku ludzi jak bóg młody chodził,
Rzekłbyś, iż go nie człowiek, a bóg jaki spłodził!
Onych Ares wytracił — natomiast ostało
To wszystko, co jest hańbą moją i zakałą:
Kłamcy, skoczki, do tanów zuchowie nielada,
Łotry, co grabią cudze kóz i owiec stada...
Nie zaprzężecież wozu i nie zładujecie
Wszystkiego, abym w drogę wybrał się raz przecie!?“
Tak rzekł, a ci poswarki zląkłszy się ojcowej,
Mulny wóz wytoczyli pięknokoły, nowy,
I wasąg zładowali. Zaczem zdjęli z kołka
Mulne jarzmo z bukszpanu, które u wierzchołka
Miało kabłąk i kółka do wódz przewleczenia;
Więc do jarzma przynieśli wiązadło z rzemienia

Długie na dziewięć łokci. Rzemień w jednej chwili
Spiąwszy na przodku dyszla, pierścień założyli
Na kaczkę; u kabłąka trzechkrotnym oplotem
Okręcili wiązadło z obu stron, a potem
Pod trzpieniem przywiązali rzemienia ostatki.
Z komory zaś wynieśli i na wóz — na gładki
Ładowali ów okup ogromny za głowę
Hektorową. Do wozu tedy zaprzęgowe
Założyli wnet muły z krzepkiemi kopyty:
Miał je Priam od Myzów jako dar sowity.
Więc dla Priama konie wiedli, które sobie
Starzec był wyhodował sam przy gładkim żłobie.
Priam z woźnym rumaki na dworcu wysokiem
Wprzęgali, ciężkich myśli stroskani natłokiem;
A wtem z żałosną duszą Hekabe podchodzi
Z bliska do nich i wino, co frasunki słodzi,
Niosła dla nich, w prawicy złotą dzierżąc czarę,
By na odjezdnem bogom lali na ofiarę.
Stanęła naprost koni i tak się ozowie:
— „Naści, ojcu Zeusowi zlej prze swoje zdrowie
Na objatę i błagaj go żarliwą modłą,
Byś w dom wrócił od wrogów, gdy cię już podwiodło
Serce na to, że do naw jedziesz wbrew mej chęci.
Ty przeto na ofiarę ulej: niech się święci
Chmurnemu Kronionowi Idajskiemu, który
Całą ziemię Trojańską opatruje z góry!
Niech ptaka pośle gońcem, chyżego skrzydlacza,
Co lot najpotężniejszy ze wszystkich roztacza.
Jemu zaś jest nad insze ptaki ulubiony:
Ten niechby tobie z prawej polatywał strony,
Abyś widząc na oczy znak ten niewątpliwy,
Do naw z otuchą między jezdne szedł Achiwy.
Lecz jeśli wszechwidzący Zeus tobie na drogę
Nie wyśle gońca swego, to ja ci przestrogę
Daję, ani nie radzę jechać do korabi
Argejskich, acz chęć ku nim żarliwa cię wabi!“

Bogom podobny Priam rzekł jej taką mową:
— „Nie odrzucam ja rady twojej, białagłowo,
Bowiem rzecz to przystojna, by ręce podnosić
Do Zeusa i u niego zmiłowania prosić".
Tak rzekł starzec i przyzwał szafarkę ku sobie,
By czystą wodą ręce polała mu obie;
Wnet ku niemu służebna przystąpiła dziewka,
A w ręku jej miednica była i nalewka:
Umył się, zatem czarę wziął od swojej żony
I pośrodku dziedzińca stanął rozmodlony,
Podniósł oczy do nieba, winem ołtarz rosił,
Zaczem i przemówiwszy, one słowa głosił:
— „Ojcze Zeusie Idajski, ogromny, potężny,
Daj mi cało w Achillów namiot zajść orężny
I zmiękczyć go. A gońcem poszlij mi skrzydlacza,
Co lot najpotężniejszy ze wszystkich roztacza,
Tobie zaś jest nad insze ptaki ulubiony:
Ten niechby mi od prawej polatywał strony,
Abym widząc na oczy znak ten niewątpliwy,
Do naw z otuchą między jezdne szedł Achiwy!"
Tak rzekł, a modły przyjął Zeus, rad mądrych dawca,
I orła, najszybszego posłał mu latawca,
Łowcę cisego, co się mogilnikiem zowie;
Jako w wysokozrębnej bogacza alkowie
Zaworzyste wierzeje na ścieżaj rozwarte,
Tak były skrzydła jego dwubocz rozpostarte;
Mknąc nad miastem, po prawej zjawił się im stronie,
Więc radośnie im serca uderzyły w łonie.
Wnet na swój wóz dwukoły siadł starzec z pośpiechem
I pędem gnał ku bramie, w sień dudniącą echem.
Przodem jechał czworokół w mulice zaprzężny:
Temi zręcznie Idajos powodował mężny;
A pozad konie biegły, które w cwał do chodu
Starzec gnał biczem, jadąc przez ulice grodu.
W tropy za nim zdążało całe rodowisko,
Zawodząc w głos, jakgdyby na śmierć jechał bliską.

Dopiero kiedy z miasta zjechali na błonie,
Tamci nazad wrócili do domu w Ilionie:
I syny i zięciowie. Z tych, co na równinie
Pojawili się — oczu nie zdejmował ninie
Zeus wszechwidzący. Jakoż wejźrał litościwo
Na starca, żalem zmiękczon — a potem co żywo
Do Hermesa, miłego syna swego rzecze:
— „Wszak rad Hermesie, ludzi bierzesz pod swą pieczę
I gdy masz wolę — posłuch dajesz mi łaskawy.
Idźże i wiedź Priama między krągłe nawy
Achajskie: nikt z Danaów niech go nie postrzeże
Ni pozna — do Pelidy aż przyjdzie na leże".
Rzekł. Goniec Argobójca dał posłuch wesoły,
Stopy sobie wnet opiął w niebieskie postoły
Złotolite: onemi ponad wód rozlewem
I nad lądów ogromem buja z wiatru wiewem;
Wziął zarazem i posoch, którym ludzkie oczy
Czyje chce — ze snu budzi, albo snem omroczy.
Dzierżąc go, Argobójca sunął śmigłym lotem.
Do Troi nad Hellespont przyleciał — a potem
Szedł, podobę młodego wziąwszy królewica,
Któremu pierwszy puszek omszył wdzięczne lica.
Przemknąwszy mimo wielkiej Ilosa mogiły,
Tamci muły i konie — iżby w rzece piły —
Zawściągnęli, bo ziemia zachodziła mrokiem.
Wtem woźny ujźrał zbliska i rozeznał wzrokiem
Hermesa i tak rzekąc, Priamowi gada:
— „Daj baczność, Dardanicu, bo roztropna rada
Potrzebna: jakowegoś męża widzę bowiem
I sądzę, że nam przyjdzie wnet nałożyć zdrowiem.
Raźno! ucieczmy końmi, lub za podkolania
Obłapiwszy go, żebrać będziem zmiłowania".
Tak rzekł; a starzec wezdrgnął, pomieszany srodze,
Strach go przeraził, włosy zjeżyły się w trwodze,
Stał, członkami dygocąc, osłupion bezwładnie.
Przymknął się Dobroczyńca, na ręku mu kładnie

Dłoń swą — i przemówiwszy, pytanie zadawa:
— „Dokąd wam, ojcze, z końmi a mułmi przeprawa
W noc bożą, co śmiertelnych koi słodką ciszą?
Nie strach li wam Achajów, którzy mordem dyszą?
Wdyć oni do upadu na was rozjuszeni! (365)
Niechby was który dostrzegł śród pierzchliwych cieni
Nocy czarnej, że mienia taką moc wieziecie...
Cóżbyście poradzili!? Wy nie w młodem lecie,
I który z wami jedzie — za stary, by snadnie
Odpór dać lada komu, kto pierwszy napadnie.
Ja was nie skrzywdzę, owszem, przed każdym obronię, (370)
Bo mi się przy was miły rodzic przypomionie!“
Bogom podobny, Priam sędziwy odpowie:
—„W rzeczy tak jest, mój chłopcze, jakoś rzekł w swej mowie,
Lecz mnie ręką bóg jakiś osłania widomie,
Skoro w drodze takiego śle przewójcę po mię (375)
Na szczęśliwe spotkanie: bowiem nad podziwy
Krasą lic a postawą jesteś urodziwy
I mądry. Szczęśni — wierę — są twoi ojcowie!“
A goniec Argobójca na to się ozowie:
— „Zaiste, wszystko, starcze, po prawdzie rzekliście,
Lecz mi jeszcze odpowiedź dajcie wyraziście, (380)
Czy tak mnogą majętność i taką bogatą
Do cudzoziemskich ludzi wywozicie na to,
Iżby wam w cale mienia zostało potrochu?
Wszyscyż to święty Ilion rzucacie w popłochu
Przeto, że śmiercią poległ rycerz nad rycerze,
Twój syn, który każdemu placu dotrwał w mierze,
Ilekroć szli na ostre Achajscy mężowie!“ (385)
Priam sędziwy, bogom podobny, odpowie:
— „Ktoś zacz, o najmilejszy, jaka twa rodzina?
Godnie mi sławisz dzieje nieszczęsnego syna!“
A goniec Argobójca na to mu odrzecze:
— „Badasz mnie chyba prze to, sędziwy człowiecze, (390)
Żeś o boskim Hektorze usłyszeć ciekawy:
Na własne oczy, w boju, kędy żniwo sławy,

Nieraz go widywałem, jak biegł na okręty
I w pień rąbiąc Argiwy, śpiżem siekł, zawzięty;
Myśmy stali a z dala patrzyli w podziwie,
Bo walczyć Achil nie dał, odkąd się zjadliwie
Z Atrydą zwadził. Pod nim służę w tej wyprawie,
W jednej tu z nim budownej przypłynąwszy nawie.
Jam z Myrmidonów, memu rodzicowi zasię
Dzieją Poliktor: możny i dostatnio ma się
Lecz już stary, jak oto i wy. Ze sześcioma
Synami on pozostał: jam był siódmy doma.
Z braćmi losy ciągnąłem i na mnie udziałem
Padło jechać w te strony. Teraz się wybrałem
Na błonia od korabiów. Równo z jutrznią raną
Bystroocy Achaje do walki powstaną
Przeciwko miastu, bowiem siedzieć po próżnicy
Ckliwo im: tak do boju rwą się wojennicy,
Że już ich nie zawściągną Achajscy królowie".
Priam sędziwy, bogom podobny, odpowie:
— „Skoroś ty u Pelidy Achilla w drużynie
Tedy mi bez ogródek prawdę powiedz ninie:
Jest-li jeszcze u statków syn mój, czy w kawały
Pociąwszy, Achil psiarni cisnął go zgłodniałej?"
Na to mu Argobójca goniec odpowiada:
— „Psy go nie zżarły, starcze, ani ptaków stada;
W Achillowym namiocie, wciąż podle okrętu
Tak samo jeszcze leży od jutrzni dziewiątu.
Ale ciało nie gnije, ani go robastwo
Nie toczy, dla którego mężowie są pastwą,
Gdy ich Ares ubije. Wprawdzie go przezdzięki
Wkoło mogiły druha o wschodzie jutrzenki
Włóczy co dzień, lecz zewłok nie pokaził zgoła.
Zdumiałbyś się, ujźrawszy, jak ze krwie dokoła
Omyty rosą rzeźwą, leży nieskalany;
Zamknęły mu się nawet wszystkie owe rany,
Które odniósł: bo wielu śpiżem go podarło.
Takto nad synem twoim, nawet nad umarłą

Zawłoką jego, pieczę mają szczęsne bogi,
Przeto, że on ich sercu był nad miarę drogi!“
Tak rzekł; a rozradowan odpowiedział stary:
— „Płuży to, dziecię moje, nieść należne dary (425)
Nieśmiertelnikom! Syn mój nigdy, jako żywo,
Nie przepomionął doma z objatą uczciwą
O bogach mieszkających na Olimpie — za co
Oni też, w śmierci nawet, pamięcią mu płacą.
Naści, oto ode mnie dzban ten weźmij drogi
A chroń mię pod swą pieczą i — jeżeli bogi
Z nami będą — przeprowadź ty mnie przed Pelidę (430)
Póki cało do jego namiotu nie wnidę“.
A goniec Argobójca na to mu odrzecze:
— „Mnie, młodzika, doświadczasz, sędziwy człowiecze;
Nie skusisz mnie namową, bym dar za plecyma
Achilla brał od ciebie. Przed nim strach mnie ima
I w sercu wstyd mi bardzo oszukać go kłamnie, (435)
By snać potem co złego nie spadło stąd na mnie.
Wszelako przeprowadzić chętnie ciebie mogę
Choćby do Argos nawet — i rad z tobą w drogę
Ruszę w chyżej-li nawie, pieszo-li po suszy —
Wbrew takiemu przewójcy nikt ciebie nie ruszy!“
To rzekłszy, dobroczyńca na zaprzężny końmi (440)
Wóz — w okamgnieniu skoczył i krzepkimi dłońmi
Bicz i wodze natychmiast z rąk Priama złapał
I wnet w konie i w muły tchnął ognisty zapał.

(C. d. n.).

Lucyan Rydel.

OBJAŚNIENIA.

Uwaga: Cyfry oznaczające ilość wierszy przekładu biegną po lewej stronie stronic, na początku wierszy. Na końcach wierszy, po prawej stronie umieszczone liczby oznaczają ilość wierszy greckiego oryginału.

Wiersz 1: I koło się rozprzęgło...

Pieśń XXIII opiewała pogrzebowy obrzęd Patroklosa i rycerskie igrzyska na jego cześć urządzone w obozie achajskim. Wojsko greckie przypatrywało się zapasom, rozsiadłszy się w krąg na ziemi. W dawnej

polszczyźnie wyraz koło oznacza zgromadzonych ludzi: koło rycerskie, koło senatorskie. Patrz Krasicki: *Zbiór potrzebnych wiadomości:* „Koło oznacza zjazd obywatelów rycerskiego stanu czylito na sejmikach w miejscu obrad, czyli na sejmie w izbie poselskiej".

Wiersz 37—39:

Alexandra, co lekce ważył sobie ongi
Dwie boginie, gdy przyszły ku niemu do strągi,
A tę poczcił, co chuć w nim nieszczęsną zażegła.

Aleksander (= Parys) na górze Idzie „poczcił" Afrodytę, oddając jej jabłko złote a „lekce sobie ważył Herę i Atenę" „Dziewkę Zeusa Złotobrewą", stąd obie wzgardzone pałają zemstą przeciw całej Troi. Stręga, wyrażenie tatrzańskich górali, oznaczające koszar, czyli zagrodzenie dla bydła lub owiec na halach.

Wiersz 55—56:

. . . . . choć szkodzi
Ludziom wstyd zły, lecz dobry na dobre wychodzi.

U Hezyoda w poemacie *Dni i noce* znajduje się ta sama maksyma o złym i dobrym wstydzie (wiersz 316) dosłownie w te wyrazy ujęta jak w Iliadzie. Wstyd zły wstrzymuje ludzi od dobrych czynów, dobry jest hamulcem złych popędów; tak objaśniają ten wiersz aleksandryjscy komentatorowie Homera.

Wiersz 70 i 71:

Kiedy Achilles owszem bogini jest płodem:
Tę wychowawszy, dałam Pelejowi w stadło...

Bogini, matka Achillesa, to Thetis, córka morskiego boga Nereusa, wydana za Peleusa, króla Myrmidonów, który panował we Fthyi.

Wiersz 75: Fałeszniku...

Fałesznik, to samo co fałszywiec. Wyraz używany przez Reya i innych pisarzy XVI wieku.

Wiersz 92: Między Samos a Imbry urwiste krawędzie,
Samos i Imbra, wyspy na morza Trackiem.

Wiersz 94—95:

Tak ołowiana kula zapada w głębiny,
Wprawiona w kawał rogu wolego przy wędce.

Na końcu wędki przymocowany był kawałek rogu a w jego wydrążenie zakładało się przynętę na haczyku. Wewnątrz rogu umieszczona była ołowiana kulka, przeznaczona na to, aby swoim ciężarem wędkę obciągała na dół.

Wiersz 99—100:

Płakała na los syna wielkiego niechybny,
Że zginie od ojczyzny z dala, w Troi skibnej.

Thetis wie o przepowiedni, według której Achilles nie miał już z pod Troi wrócić do ojczystej swojej Fthyi.

Wiersz 131: Bo dla cię poważanie i chęć mam życzliwą.

Poważanie i chęć życzliwa Zeusa dla Thetydy nie są bez powodu. Syn jej Achilles, w I Pieśni Iliady (wiersz 401—406) przypomina matce, iż ocaliła Zeusa w czasie buntu bogów:

. . . . . gdy niebian gromada
Chciała go spętać: Hera, Posejdon, Pallada,
Wonczas tyś, boska, przyszła i więzy skruszyła
Sturamiennego w pomoc wziąwszy dziwosiła
(Bryareusem bogowie, ludzie go nazwali
Egeonem, a moc ma taką, że powali
Ojca swego). Ten usiadł Kronidzie o boku,
Dufny potęgą. Z bogów żaden ani kroku
Nie ważył się postąpić, więc go nie zakuto...

Wiersz 221—222:

Zaczem Priam zładować rozkazał swej młodzi
Mulny wóz pięknokoły i waząg dać spory.

Zładować wóz, bo w wozowni rozbierano wozy na części składowe. W V Pieśni (wiersz 722—723) Hebe zakłada koła do wozu Hery, bo były odjęte.

Wiersz 239: Łupiec, wszystko to, co jest złupione z kogo, zwłaszcza zbroja zdarta z poległego przeciwnika.

Wiersz 254: Nie znał, co to ucieczka, nie krył się za ścianę.

Hektor osobliwie w Pieśni XXII, bezpośrednio przed swoim śmiertelnym pojedynkiem z Achillesem, odrzuca od siebie z pogardą myśl schronienia się za murami Troi.

Wiersz 253 i 264:

. . . . . Nie czekam, aż widzenie ono
Drugi raz się powtórzy . . . . . .

Priam tak jest głęboko przekonany o tem, co mu Iris powiedziała i o prawdziwości jej zjawienia, że wierzy, iż widzenie musiałoby powtórzyć się drugi raz, gdyby za pierwszym nie usłuchał głosu bogini.

Wiersz 272: W takiejże liczbie płaszcze i piękne nasuwnie.

Nasuwień, „suknia, którą się na wierzch nasuwa". Linde: *Słownik.* Wyrazu tego używa Piotr Kochanowski w *Gofredzie,* Otwinowski w *Przekładzie Owidyusza.*

Wiersz 288: Żem najtęższego syna postradał przezdzięki.

Przezdzięki znaczy w dawnej polszczyźnie — z musu, gwałtownie, gwałtownym sposobem.

Wiersz 291—294: Z pięćdziesięciu synów, których miał przed oblężeniem Troi, stracił Priam czterdziestu jednego, skoro tylko dziewięciu mu pozostało.

Wiersz 301—302:

. . . . . brakło boskiego Mestora

I Troila woźnicy . . . . . .

Zarówno Mestor jak i Troilos w całej Iliadzie raz tylko jedyny na tem właśnie miejscu wspomniani.

Wiersz 315—321: Opis zaprzęgania wozu potrzebuje paru wyjaśnień: jarzmo na parę mułów było z jednego kawałka drzewa, który w środku, pomiędzy karkami zwierząt miał kabłąkowatą krzywiznę, od której na obie strony rozchodziły się dwa proste ramiona. Do tych ramion przymocowane były „kółka do wódz przewleczenia", a u środkowej krzywizny wisiał metalowy pierścień, w który wchodził koniec dyszla. Aby dyszel nie suwał się naprzód ani w tył, nawdziewano pierścień od jarzma na gwóźdź wbity poziomo w koniec dyszla i wystający jednym końcem w górę, drugim w dół. Podobny gwóźdź na końcu dyszla znajduje się u dzisiejszych wozów a lud w Krakowskiem zowie go „kaczką", gdyż dolna jego część pod spodem dyszla zagięta jest nakształt kaczego dzióba. Dla tem silniejszego umocowania jarzma na dyszlu, przywiązywano je do dyszla rzemiennem wiązadłem, które się trzy razy okręcało, a jego końce związywało się na węzeł „pod trzpieniem", czyli pod kaczką.

Wiersz 326: Miał je Priam od Myzów . . . . .

Myzowie, lud osiadły nad Dunajem. Plemię to rozkrzewiło się także w Azyi Mniejszej, gdzie zamieszkiwało okolice pomiędzy Aisopem a Olimpem. Do tych właśnie małoazyatyckich Myzów posłował niegdyś Priam.

Wiersz 341: Chmurnemu Kronionowi Idajskiemu . . .

Zeus miał świątynię swoją na Gargarze, czyli na południowym szczycie góry Ida. Z Gargaru roztacza się widok na całą Troadę.

Wiersz 364: . . . . . winem ołtarz rosił.

W oryginale greckim niema wprawdzie wyrazu „ołtarz", ale Priam umyślnie idzie na środek dziedzińca, bo na tem właśnie miejscu — według tradycyi poetów greckich — był ołtarz Zeusa. Po zdobyciu Troi Priam zginął na stopniach tego ołtarza w pośrodku dziedzińca, a nie — jak podaje Vergilius w Eneidzie — u ołtarza Penatów, wewnątrz domu. Ołtarz Penatów w Eneidzie jest anachronizmem, Homerowi bowiem rzecz to zgoła nieznana. (Pierron: *Adnotacye do Iliady* wyd. z r. 1869).

Wiersz 365: Ojcze Zeusie Idajski, ogromny, potężny
Ten wiersz powtórzony dosłownie z III Pieśni Iliady, wiersz 276.

Wiersz 374—375:

I orła, najszybszego posłał mu latawca,
Łowcę cisego, co się mogilnikiem zowie...

Cisy albo cisawy znaczy ciemno-brunatny — w oryginale wyraz μόρφνος. Już za czasów aleksandryjskich wyraz ten był przedmiotem sporu, bo nie wiedziano dokładnie, co oznacza, ani od czego pochodzi. Według jednych jest on złożony z wyrazów μόρος i φόνος i znaczyłby: mordercę. Inni wywodzą znaczenie tego słowa od ὄρφνη, ciemność

i tłumaczą przez ciemny. Według trzecich zaś komentatorów pochodzi on od czasownika μάρπτω, porywać i oznacza drapieżnika. Apollonios wreszcie wywodził μόρφνος od μορφή, kształt i tłumaczył przez kształtny. Nowożytni tłumacze i filologowie rozumieją go w znaczeniu drugiem i oddają przez ciemny, czarny i t. d. W przekładzie Vossa wyraz ten oddany jest przez: *Wohnend im Thal und Gesümpf,* choć orzeł wysłany przez Zeusa ze szczytów Idy nie może należeć do gatunku orłów bagiennych. (Porównaj Pierron: „Adnotacye").

Idąc za większością uczonych tłumaczów, pojąłem ten wyraz jako oznaczenie ciemnej barwy upierzenia i oddałem przez „cisy", żaden bowiem z europejskich orłów nie jest zupełnie czarny, wszystkie zaś mniej lub więcej brunatne mają pierze.

Niemniej trudny do przetłumaczenia jest wyraz πέρκνος, który oddałem przez „mogilnik". Πέρκνος znaczy dosłownie: czarniawy — tu jednak przymiotnik ten — zdaniem Pierrona — użyty jest rzeczownikowo jako nazwa gatunku. Istnieje wprawdzie gatunek czarnoskrzydłego sępa zwany *Vultur Perknopteros,* ale o nim tu nie może być mowy, bo Zeus wyraźnie orła posyła. Należało zatem oznaczyć gatunek orła, któryby odpowiadał określeniu πέρκνος. Na podstawie *Ornitologii* Tyzenhauza i Taczanowskiego stwierdziłem, że z większych orłów (o małych jak Myszołów, Białozor i t. p. nie może tu być mowy) żyją w Grecyi dwa tylko gatunki: *Aquila Nobilis,* Orzeł Przedni i *Aquila Imperialis,* Orzeł Cesarski. Oba odpowiadają nieźle rysom podanym przez Homera, odznaczają się szybkością lotu, żyją na skałach, więc mogłyby być zesłane ze szczytów Idy, oba wreszcie są „łowcami" czyli, że nie tykają padliny, ale żyją z łupu. Korzystając ze zbiorów zoologicznych Akademii Umiejętności i z uprzejmie udzielonych mi wskazówek prof. Władysława Kulczyńskiego, porównałem na wypchanych okazach oba te gatunki orła i przekonałem się, że *Aquila Imperialis* jest znacznie większy i ciemniejszy od *Aquila Nobilis* Jeśli zatem wyraz μόρφνος ma znaczyć ciemny, cisawy, to określenie to bardziej przypada do Orła Cesarskiego niż do Przedniego.

Naukowa nazwa Orzeł Cesarski była jednak nie do użycia w przekładzie Iliady. Ptak ten ma i nazwę ludową: Mogilnik, bo na Ukrainie gnieździ się *Aquila Imperialis* na mogiłach, jako na najwyższych punktach wśród stepu. Ostatecznie więc πέρκνος oddałem przez Mogilnik.

Wiersz 378: Zaworzyste wierzeje . . . . . .

Pierwszy z tych wyrazów odpowiada greckiemu ἐῢ κληῖσ' ἀραρυῖα, co znaczyłoby zamczysty; z wyrazami takimi jak zamczysty, zamek łączy się jednak pojęcie metalowego okucia drzwi, pojęcie ślusarskiego wyrobu, gdy przeciwnie drzwi homeryckie zamykały się na drewnianą zaworę (porównaj wiersze 535—540 w tej pieśni) urządzoną zupełnie podobnie tak, jak zawory czyli skuble używane dotąd w starszych domach chłopskich w Krakowskiem i na Podhalu. Najlepiej odpowiada więc tutaj przymiotnik zaworzysty, pochodzący od zawory.

Wierzeje. w starej polszczyźnie skrzydła drzwi.

Wiersz 389: Dopiero kiedy z miasta zjechali na błonie...

Troja jest zbudowana na wzgórzu, na błonie zatem okalające miasto zjeżdża się na dół.

Wiersz 402—407: Wiersze te odnajdują się dosłownie w Odyssei, Pieśń V, w. 43—48. Powtórzyłem je tedy z nieznacznemi zmianami z przekładu Odyssei Lucyana Siemieńskiego.

Wiersz 405: Wziął zarazem i posoch.

Posoch czyli laska; mowa tu o kaducensie, skrzydlatej, wężami okręconej lasce Hermesa.

Wiersz 411: Przemknąwszy mimo wielkiej Ilosa mogiły...

Ilos, był synem Trosa i Kallirrohe, a ojcem Laomedona. Założył miasto Ilion. Mogiła jego leżała nieopodal od brodu na rzece Skamandrze, którędy przejeżdżał Priam z Idajosem. Dojeżdżając do Skamandru, musieli minąć mogiłę Ilosa, zostawiając ją po lewej stronie za sobą. (Pierron).

Wiersz 424: Przymknął się Dobroczyńca

Dobroczyńca, Ἐριούνιος, przydomek Hermesa.

Wiersz 466—467.

. . . . . memu rodzicowi zasię
Dzieją Polyktor . . . . . .

Dzieją mu, wyrażenie ludowe, znaczy tyle, co nazywają go; Polyktor, zdaniem Pierrona, imię zmyślone na prędce przez Hermesa.

Wiersz 511—514: Słowa Hermesa będą zupełnie jasne, gdy się zważy, iż każdy z wojennej drużyny był obowiązany zdobycz wszelką złożyć wodzom do wspólnego podziału. W I Pieśni sam Achilles mówi do Agamemnona:

. . . . . Skądże tobie świeżą
Zdobycz wezmą Achaje? Wszak łupy nie leżą
Zesypane na kupę: plon wojenny cały
Z osad zdobytych dawno poszedł już na działy,
To zaś, by swoje części wszyscy nazad znieśli,
Nie może być . . .

Jeśli nawet Achilles otrzymał część swoją z łupów zniesionych na kupę, z której wydzielano każdemu, tem bardziej prostemu wojownikowi, za jakiego podaje się Hermes, nie uszłoby bezkarnie przyjmowanie podarków poza plecyma starszyzny.

Początek tej Pieśni do w. 188, był umieszczony w *Epitafium Sewera.*

ZASADNICZY CHARAKTER ETYKI JAKO NAUKI.

1. Znaczenie etyki.

Wobec pomieszania pojęć, jakie w naszych czasach panuje na polu najwyższych zagadnień wiedzy ludzkiej, a w szczególności w zakresie zasad moralności, nie można dość często ani dość energicznie nawoływać każdego myślącego, aby zdał sobie sumienną sprawę ze swych poglądów na świat i życie, a nie ulegał ślepo tym lub owym prądom, które przypadkowo na niego oddziaływają. Przecież nietrudno zrozumieć, że bezpośrednia dążność do urzeczywistnienia celów życiowych, przy największym nawet wysiłku, nie może odnieść pożądanego skutku, uszczęśliwić człowieka, gdy nie ma za sobą prawdy, nie opiera się na zrozumieniu istotnego porządku świata, lecz wypływa bądź z mętnych bądź z błędnych poglądów na świat i nasz stosunek do niego. Prawda jedynie wskazuje nam drogę do wyzwolenia się z pod panowania złego, w najrozmaitszem znaczeniu tego słowa. Lecz prawda staje się naszym udziałem tylko przy pomocy sumiennej pracy myśli, rozważającej wszechstronnie narzucające się nam poglądy ze stanowiska niewątpliwych danych nauki i doświadczenia życiowego. A chociaż i najsumienniejsza praca myśli nie poręcza nieomylności naszych wywodów, to jednak wynosi nas przynajmniej ponad gołosłowne powtarzanie obcych haseł, wyjaśnia ostateczne zasady naszych własnych poglądów i przez to zbliża nas do prawdy, o ile okazuje się dostępną dla naszych dociekań.

Do prawd najdonioślejszych w życiu ludzkiem, określających bezpośrednio warunki zadowolenia człowieka z samego siebie, a więc i jego prawdziwego, bo wewnętrznego szczęścia, należą niewątpliwie prawdy moralne, stanowiące przedmiot nauki, zwanej etyką. Prawdy te dotyczą postępowania człowieka, jego działalności życiowej. Wyjaśniają tedy zarówno zasoby, jak motywy i cele tego postępowania wśród rozlicznych warunków życia. Przy pomocy tych prawd działanie człowieka przestaje być wynikiem bezpośrednich, instynktowych popędów, a staje się objawem jasnej przewodniej myśli, pewnych kierowniczych ideałów, dążących do praktycznego urzeczywistnienia swej treści. Jeżeli życie ludzkie nie jest czczą, bezmyślną igraszką, lecz posiada wartość jakąkolwiek, to wartość ta zależy przedewszystkiem od owych ideałów praktycznej działalności i od ich urzeczywistnienia w życiu. Dlatego właśnie rozpatrzenie zasadniczych danych etyki, a w szczególności i jej odrębnego charakteru, jako nauki, jest jednem z najpoważniejszych zadań myślącego człowieka; obowiązkiem każdego, kto nie chce działać w życiu bezmyślnie lub pod wpływem obcych wskazówek, lecz pragnie dojść do jasnej świadomości celów swego działania i do ich samodzielnego wprowadzenia w życie.

2. Etyka jako nauka rozumowa.

Wiadomo, że Kant pierwszy rozróżnił jasno wiedzę doświadczalną, empiryczną od rozumowej, racyonalnej, wykazując, że ta ostatnia doprowadza do zasad powszechnych i niezmiennych; podczas gdy wiedza empiryczna ma zawsze charakter szczegółowy, a wywody na niej oparte podlegają ciągłej zmianie. Różnica ta wypływa w sposób naturalny z tej okoliczności, że zasady racyonalne tkwią w organizacyi naszego umysłu, która stanowi stałą podstawę naszej działalności rozumowej, a więc ma dla nas niezmienną siłę obowiązującą wszędzie i zawsze, gdy tymczasem wiedza empiryczna zależy od zasobów naszego doświadczenia i z ich postępem zmienia treść swoją. Każde nowe odkrycie podkopać może poprzednie nasze wywody z danych doświadczenia; gdy przeciwnie zasady rozumowe samej

nawet wiedzy empirycznej pozostają jedne i też same bez względu na zmienny materyał, do którego je stosujemy. Stąd to pochodzi, że nauki doświadczalne nabierają charakteru nauk ścisłych tylko o tyle, o ile swe dane wyjaśniają przy pomocy zasad rozumowych. Dlatego też każda z nich łączy się z matematyką i szuka w niej odpowiedniego wyrazu dla sformułowania swych zasad i praw.

Metoda, przy której pomocy dochodzimy do wykrycia i określenia współczynników organizacyi umysłu, a więc i jej treści rozumowej, może być bardzo rozmaitą. Należy jednak przyznać, że obejść się nie może bez obserwacyi umysłowego życia człowieka na różnych polach jego działalności, bez skrzętnego zebrania danych, dotyczących jego rozwoju i faktycznych objawów. Ale najbardziej empiryczna w tym względzie metoda nie zmienia zaznaczonego powyżej charakteru prawd rozumowych, o ile one w istocie tkwią w organizacyi umysłu i sprowadzają się do praw zasadniczych tej organizacyi.

Jako nauka, mająca za przedmiot postępowanie człowieka, jego działalność życiową, etyka z natury rzeczy nie może być nauką czysto rozumową, oderwaną, jak np. matematyka, lecz musi koniecznie przyjąć pod uwagę dane warunki, wśród których człowiek żyje i działa. Pomimo to nie jest bynajmniej nauką empiryczną, czerpiącą swą treść zasadniczą z danych doświadczenia, lecz, mając na oku przedewszystkiem zasady kierownicze ludzkiego postępowania, wyprowadza je z organizacyi umysłu, a więc z rozumu i stosuje je dopiero następnie do życia i jego potrzeb. To zastosowanie zasad etycznych domaga się naturalnie uwzględnienia faktycznych danych życia; ale same zasady wypływają bezpośrednio z umysłowego ustroju człowieka i dochodzą do jego świadomości przy pomocy refleksyjnego przejęcia się treścią tego ustroju, jak to ma miejsce i na polu matematyki i logiki. W tem właśnie uwydatnia się zasadniczy charakter etyki jako nauki. Jest ona z istoty swojej nauką r o z u m o w ą, niezależną co do swej treści zasadniczej od faktycznych danych, lecz opartą na wymaganiach rozumu, jako

bezpośredniego wyrazu życia umysłowego człowieka i ocenia wszelki materyał faktyczny ze stanowiska tych wymagań.

Pod wpływem tendencyi naturalistycznych chciano w nowszych czasach niejednokrotnie nadać etyce charakter nauki empirycznej. Ale wszelkie tego rodzaju usiłowania nie przyczyniały się do dalszego rozwoju etyki, lecz doprowadzały ostatecznie zawsze tylko do zaprzeczenia etyki, jako samodzielnej nauki, a więc dawały tylko dowód, że na empirycznych podstawach etyki zbudować nie można. Przekonać się o tem nietrudno.

W celu empirycznego obrobienia etyki w duchu nowoczesnego naturalizmu zbierano przedewszystkiem skrzętnie materyał, dotyczący faktycznego postępowania ludzi w najrozliczniejszych warunkach, mianowicie życia zbiorowego, a więc opisywano zwyczaje i obyczaje rozlicznych narodów, z szczególnem zamiłowaniem zaś ludów pierwotnych, barbarzyńskich, badano ich poglądy na cele życia i moralność, na stosunki i zadania społeczne i z wszystkich tych empirycznych danych wyprowadzano następnie wnioski etyczne. Główną jednak tendencyą tych naturalistycznych poszukiwań było i jest udowodnienie zdania, że niema zgoła żadnych powszechnych, niezmiennych zasad etycznych o charakterze rozumowym, bezwzględnie obowiązującym. Przeciwnie, zasady etyczne przedstawiono jako względne zupełnie, zależne od stanu kultury i rozlicznych warunków zewnętrznych. Co jedne narody uznają za dobre, to u innych uchodzi za złe; co w jednym czasie przedstawia się jako ideał doskonałości, to w innych czasach potępiano jako objawy barbarzyństwa i zacofania. Gdzież tu odnaleźć zasady powszechne, niezmienne, obowiązujące wszystkich, zawsze i wszędzie?

Te wnioski atoli etyki naturalistycznej wypływają z całego szeregu nieporozumień, domagających się bliższego wyjaśnienia.

Przedewszystkiem rozróżnić należy ściśle dwie różne nauki, mające wprawdzie jeden i ten sam przedmiot, t. j. postępowanie ludzkie, ale rozpatrujące ten wspólny przedmiot z dwóch

różnych zupełnie punktów widzenia. Naukami temi są etnologia i etyka. Pierwsza bada faktyczne przejawy działalności życiowej człowieka, t. j. przedstawia tę działalność tak, jak się nam narzuca w rzeczywistości. Druga przeciwnie określa zasady prawidłowego postępowania, t. j. określa prawidła, normy postępowania ludzkiego, jakiem ono być powinno, niezależnie od tego, jakiem jest faktycznie. Ścisłe rozróżnienie tych dwóch nauk jest konieczne dla należytego zrozumienia charakteru naukowego jednej i drugiej.

Człowieka myślącego zajmuje nie tylko to, co jest, lecz i to, co, według jego widzenia rzeczy, być powinno. Myślą naszą obejmujemy nie tylko przeszłość i chwilę teraźniejszą, lecz i przyszłość. Taki zaś pogląd na to, co być powinno i zarazem na lepszą przyszłość, w porównaniu z teraźniejszością i przeszłością, stanowi zasadniczą podstawę działalności życiowej człowieka, gdyż dotyczy celów tej działalności. Z tym poglądem łączy się bezpośrednio spełnienie przez człowieka owych zadań życiowych, od których zależy jego dobrobyt materyalny i moralny. Ograniczenie myśli ludzkiej na tem tak doniosłem polu działalności praktycznej do samych tylko faktycznych danych, bez rozbioru racyonalnego pytania: jak człowiek żyć i działać powinien, aby osiągnął cele swego życia? na czem cele te polegają i jak je urzeczywistnić należy? — równałoby się gwałtownemu przerwaniu normalnego rozwoju człowieka, samowolnemu skazaniu na bezczynność, a więc po prostu uśmierceniu jednej z najwspanialszych zdolności umysłu ludzkiego, zdolności krytycznej oceny tego, co jest, ze stanowiska zasad rozumowych, ze stanowiska tego, co być powinno i ukształtowania własnej swej przyszłości według tych zasad.

W imię faktycznych danych naturalizm występuje przeciwko etyce, jako nauce rozumowej o zasadach prawidłowego działania człowieka i sprowadza ją w gruncie rzeczy do samej tylko etnologii, a to równa się zupełnemu zaprzeczeniu etyki wogóle, jako samodzielnej nauki. To też jeden z głównych przedstawicieli tego kierunku u nas tak w tym przedmiocie mówi: „Jedną z zasadniczych cech każdej nauki jest to, że z jej

twierdzeń wyłączone są wszelkie nakazy i zakazy, które właśnie stanowią główną treść etyki". A więc etyka nie zasługuje na miano nauki. Przytem jednak nie zauważono wcale, że istnieje faktycznie cały szereg nauk rozumowych, których rysem charakterystycznym jest to, że nie zależą w swej treści od danych doświadczenia, lecz, przeciwnie, określają prawidła normy dla szczegółowych objawów, odstępujących w doświadczeniu często od tych ścisłych norm. Nauki np. o trójkącie geometrya nie czerpie bynajmniej z rzeczywistych trójkątów, lecz opiera ją na konstrukcyi rozumowej trójkąta, która daje się zastosować do rzeczywistości, jako prawidło, norma, pomimo faktycznych odstępstw rzeczywistych trójkątów od tej normy. Jeszcze bardziej uwydatnia się ten charakter prawidłowości rozumowej w różnicy od faktycznych danych na polu logiki, która przecież nie przestaje być nauką dlatego, że zawiera nakazy, jak myśleć należy prawidłowo, oraz zakazy niepopełniania błędów logicznych.

Według zaznaczonej metodologii naturalizmu, uznającej wyłącznie faktyczne dane, z zaprzeczeniem doniosłości rozumu i jego samodzielnych zasad, logika, jako nauka, miałaby za przedmiot jedynie rzeczywiste objawy myśli ludzkiej, szczególniej zaś u narodów pierwotnych, a ograniczając się owemi faktycznemi danemi, nie posiadałaby nawet prawa zająć się rozbiorem pytania: na czem polega prawidłowość myślenia? Jakiem ono być powinno, aby mogło służyć za narzędzie istotnego poznania rzeczy? Przeciwnie, wszelkie faktyczne błędy logiczne, wszelkie sofizmata pierwotnych i niepierwotnych ludzi byłyby z tego stanowiska obowiązującym materyałem dla logiki, jako nauki i dowodziłyby, że niema wogóle żadnych powszechnych i ogólnie obowiązujących praw logicznych, że każdy naród i każde pokolenie myśli odmiennie, według zmiennych warunków swego bytu i rozwoju.

Do takich sprzeczności nie tylko ze zdrowym rozsądkiem, ale i z żywym postępem prawdziwej nauki doprowadzają doktryny sensualistycznego dogmatyzmu, ufającego bardziej świadectwu zmysłów, aniżeli jasnym wymaganiom rozumu, ściśle związanym z organizacyą naszego umysłu i z jego czynnościami,

Etyka, podobnie jak i logika, wcale się nie krępuje faktycznemi odstępstwami człowieka od wymagań prawidłowego działania, a więc od wymagań rozumu. Ona bada te wymagania, wnika w organizacyę umysłu ludzkiego, zdaje sobie sprawę z zasad rozumowych, określających prawidłowość działalności życiowej, z jej zasobów, pobudek i celów i tą drogą doprowadza człowieka do jasnej świadomości swych zadań, swego przeznaczenia w życiu, oraz warunków jego urzeczywistnienia dla osiągnięcia możliwej doskonałości.

Z powyższego wynika, że etyka nie jest nauką o postępowaniu ludzkiem wogóle, lecz jest nauką o p r a w i d ł o w e m, r o z u m n e m postępowaniu człowieka. Tą dążnością do określenia prawidłowości norm działania odróżnia się etyka od etnologii. Jej bezpośrednim przedmiotem nie są f a k t y c z n e objawy działalności życiowej, odstępujące zbyt często od wymagań rozumu, lecz objawy normalnej, prawidłowej działalności, doprowadzającej człowieka do urzeczywistnienia właściwych celów jego bytu i życia. Pod tym względem etyka ma zupełnie ten sam charakter naukowy co i logika, która również nie bierze za podstawę licznych faktycznych odstępstw od wymagań prawidłowego rozwoju myśli, lecz bada i określa właśnie tę prawidłowość. Logika ma za przedmiot prawidłowość myślenia; etyka zaś prawidłowość ludzkiego działania.

3. Ideał etyczny człowieka.

Mając za przedmiot nie faktyczne dane postępowania ludzkiego, lecz zasady rozumowe jego prawidłowego rozwoju, etyka oprzeć się musi na ścisłem określeniu ostatecznego, a więc i najwyższego celu. Cel ten nazywamy i d e a ł e m e t y c z n y m. Określenie tego ideału doprowadza do bliższego wyjaśnienia zaznaczonego charakteru rozumowego etyki, jako nauki. Nadto cała szczegółowa treść etyki zależy w zupełności od ścisłego pojęcia tego ideału[1]. Z tego powodu musimy mu poświęcić tutaj szereg uwag.

---

[1] Co do tej szczegółowej treści etyki, zob. mój artykuł: „Etyka“

Ścisłe określenie ideału etycznego, jako ostatecznego i najwyższego celu prawidłowej działalności człowieka, nie jest zadaniem łatwem. Pomimo to daje się rozwiązać w sposób prosty, gdy za podstawę dla odnośnych badań bierzemy organizacyę umysłu ludzkiego i jej normalne potrzeby i dążności. W tej organizacyi tkwi bezpośrednio ideał etyczny, jako wskazówka normalnego, a więc prawidłowego rozwoju człowieka w życiu. Nie może tu być mowy o żadnej treści z zewnątrz człowiekowi narzuconej, bo wszelka tego rodzaju treść może być zrozumianą i przyjętą przez człowieka tylko o tyle, o ile znajduje oddźwięk i uznanie w nim samym, a więc właśnie w organizacyi jego umysłu. Ona tylko określa, czem człowiek być p o w i n i e n, jak się ma rozwijać i jak działać, aby się stał tem, czem jest z istoty swojej, aby zadowolił wszechstronnie i prawidłowo wymagania tej swojej istoty i osiągnął przez to możliwą dla siebie doskonałość wśród danych warunków życia. Zobaczmy tedy, co stanowi istotę organizacyi umysłu ludzkiego i jaki z niej wypływa ostateczny i najwyższy cel działalności człowieka, a więc jaki jest ideał etyczny tej działalności, nadający etyce charakter nauki rozumowej.

Organizacya umysłu ludzkiego w działaniu swojem ujawnia powszechne prawa ustroju żywego i domaga się uwzględnienia tych praw w samodzielnem postępowaniu człowieka. Stąd wynika potrzeba zdania sobie jasnej sprawy z natury wszelkiego wogóle ustroju.

W skład każdego ustroju wchodzą najrozliczniejsze czynniki, tak do siebie dostrojone, że razem wytwarzają jedną organiczną całość. Normalny przebieg w czynnościach ustroju, jego rozwój prawidłowy, jego zdrowie i dobrobyt zależą od spełnienia właściwej funkcyi przez każdy z owych czynników składowych i od wzajemnego dopełnienia się wszystkich tych szczegółowych funkcyi na korzyść całości. Najmniejsze odstępstwo od normalnej czynności ze strony któregokolwiek ze skła-

w „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej", t. 20-ty, 1897, str. 678 i nast., oraz „Wstęp krytyczny do filozofi, wyd. 2-gie, 1898, str. 451 i nast. (wyd. 3-cie pod prasą, str. 465 i nast.).

dowych czynników, czyli organów, pociąga za sobą zaburzenia, szkodliwe zarówno dla samego organu, jak i dla całości. Zaburzenia te w ustrojach cielesnych mają za skutek rozliczne objawy chorobowe, które stanowią na tem polu przedmiot osobnej nauki, patologii, w różnicy od fizyologii, badającej normalny przebieg spraw życiowych.

Ideałem każdego ustroju jest jego zdrowie, t. j. normalne funkcyonowanie wszystkich jego organów. Zdrowie, jako stan normalny ustroju, jest koniecznym warunkiem jego prawidłowej działalności na zewnątrz, jego normalnych przejawów wśród danego otoczenia. Ustrój sam w sobie chorowity, wątły, słaby nie może się przejawiać w sposób normalny, gdyż nie posiada ani niezbędnej odporności na szkodliwe wpływy zewnętrzne ani odpowiedniego zasobu sił żywotnych do zaspokojenia swych potrzeb i wogóle do urzeczywistnienia swych celów w świecie zewnętrznym.

Jasne pojęcie ustroju i jego zdrowia ma znaczenie podstawowe nie tylko w biologii, nauce o życiu, naturalistycznie pojmowanej, ale i na polu etyki rozumowej, określającej zasady prawidłowego rozwoju życia umysłowego. Ideał etyczny człowieka wypływa z całą swą treścią z tego pojęcia ustroju i jego zdrowia.

Człowiek bowiem jest ustrojem nie tylko pod względem fizycznym, ale i psychicznym. I duchowo stanowi on harmonijną w sobie całość, w której najrozliczniejsze czynności szczegółowe ze sobą się jednoczą i wzajemnie dopełniają. Uczucie odgrywa tu rolę serca, podtrzymującego ciepłem swojem czynności żywotne ustroju psychicznego w najodleglejszych jego zakątkach. Świadomość natomiast i jasna myśl, spełniają funkcyę centralnego systematu nerwowego, w szczególności mózgu, ześrodkowując wszystkie czynności psychiczne i służąc za podstawę do ich wzajemnego skojarzenia i wyrównania. Wola wreszcie obejmuje kierownictwo nad systematem motorycznym, nad ruchami ciała i urzeczywistnia przy ich udziale swoje cele, jako zjednoczone objawy uczucia i myśli danego osobnika.

Stosownie do tego, co się powyżej powiedziało, zdrowie

ustroju psychicznego zależy od normalnego funkcyonowania każdego z zaznaczonych współczynników życia umysłowego, jak i od ich równomiernego rozwoju i wzajemnego dopełnienia. Wszelka wewnętrzna sprzeczność umysłu, czy to w zakresie samych uczuć, czy w zakresie samej myśli, czy pomiędzy uczuciami i myślami, czy wreszcie pomiędzy działaniem energii osobistej woli, a uczuciem i myślą, jest *złem*, naruszającem normalny przebieg czynności umysłowych, pociągającem za sobą coraz większy rozstrój psychiczny. Z nim łączy się bezpośrednio nie tylko niezadowolenie człowieka z samego siebie, ale i nieudolność do wytrwałego i prawidłowego działania w kierunku zasadniczych celów życia. Stąd to też pochodzi, że ustrój psychiczny, zupełnie tak samo jak organizm fizyczny, sam przez się, z natury swojej reaguje przeciwko wszelkiej wewnętrznej sprzeczności i domaga się jej przezwyciężenia w imię własnego dobra, w imię zdrowia już nie tylko fizycznego, ale i moralnego. To, co nazywamy *sumieniem*, z istoty swej nie jest niczem innem, jak taką bezpośrednią reakcyą zdrowych czynników ustroju psychicznego przeciwko wszelkim nienormalnym zboczeniom.

Cały szereg objawów życia umysłowego, dostępnych dla obserwacyi wewnętrznej, może służyć za potwierdzenie zaznaczonego powyżej stanu rzeczy. Ponieważ etyka ma za przedmiot *działanie* ludzkie, przeto najdonioślejsze znaczenie dla niej mają sprzeczności bądź różnych działań pomiędzy sobą, bądź działania z uczuciami i myślami człowieka. I w samej rzeczy jakże często widzimy, że ludzie działają pod wpływem chwilowych podniet, w sprzeczności z właściwem ich uczuciem lub z ich ustalonym poglądem na zadania i cele życia!

W chwilach umysłowego spokoju i wszechstronnego zastanowienia się nad sobą i swym stosukiem do otoczenia każdy człowiek myślący dochodzi zazwyczaj do świadomości pewnych ogólnych zasad rozumowych swego postępowania i czuje się w obowiązku zastosować swe życie do tych zasad. A jednak w praktyce napotyka w tym względzie często na wielkie przeszkody. Lada pokusa wewnętrzna, lada zewnętrzna podnieta lub namowa

mogą wywołać działanie sprzeczne z owemi zasadami, uznanemi przez osobnika za obowiązujące. Stądto pochodzi taka częsta sprzeczność w czynach jednego i tegoż samego osobnika. Stąd też pochodzi ów brak charakterów, nad którym ubolewamy, gdy oceniamy dany czas lub dany naród ze stanowiska etycznego. Bo zasadniczym objawem charakteru jest właśnie wewnętrzna ciągłość czynów, stała jednorodność działania, postępująca drogą prostą i wytrwale ku urzeczywistnieniu raz podjętych celów, nie dając się ani zachwiać w swych zamiarach, opartych na dojrzałej rozwadze ani odprowadzić od ich wykonania.

Wyłączenie sprzeczności, a więc wewnętrzna ciągłość i konsekwencya nie jest tylko wymaganiem naszej myśli, znajdującem swój wyraz w odnośnem prawie logicznem, lecz jest prawem zasadniczem organizacyi umysłu, rozumu wogóle, a więc i wymaganiem rozumowem na polu ludzkiej działalności, na polu etyki. Niczego bardziej nie potępiamy w samych sobie i w innych, jak działania sprzecznego z własnem lepszem przekonaniem, jak czynnego odstępstwa od samego siebie, od tego, co się samemu uznaje za właściwe i dobre. Takie odstępstwo sprowadza człowieka z drogi prawidłowego rozwoju, pociąga za sobą rozstrój wewnętrzny i podkopuje nie tylko jego zadowolenie z samego siebie i z życia, ale czyni go nadto niezdolnym do wszelkiej zdrowej i normalnej działalności.

Z tych uwag wypływa pierwszy zasadniczy rys ideału etycznego. Polega on na wewnętrznej zgodności człowieka z samym sobą, z własną swoją rozumową istotą, oraz na zgodności jego postępowania z jego własnym, rozumowo uzasadnionym poglądem na zadania i cele życia. Więcej nad tę zgodność od człowieka wymagać nie mamy prawa; więcej sami od siebie nie wymagamy i wymagać nie możemy.

Ten zasadniczy rys ideału etycznego wykazuje też zarazem, że wymagania etyczne, wiążąc się bezpośrednio z organizacyą umysłu ludzkiego, z rozumem w niej działającym, mają charakter bezwzględnie obowiązujący i bynajmniej nie zależą od zmiennych danych doświadczenia zewnętrznego. Okazuje się bowiem, że zaznaczone wymaganie, składające się na pierwszy

zasadniczy czynnik ideału etycznego, stosuje się zarówno do pierwotnego człowieka, jak i do człowieka, stojącego na wysokości naszej kultury; zarówno do prostaczka, działającego pod wpływem ograniczonego zasobu pojęć, jak i do mędrca, zdającego sobie krytyczną sprawę ze swych zadań życiowych. Wszyscy oni p o w i n n i żyć i działać w zgodności z samymi sobą; wszyscy oni podlegają naturalnej dążności do tej zgodności, odczuwają ją jako potrzebę swego ustroju psychicznego i rozumu, obowiązują samych siebie do zaspokojenia tej wewnętrznej potrzeby i oceniają wskutek tego samych siebie i swoje czyny z tego punktu widzenia. Więc mamy tu zasadę powszechną, niezmienną co do swej treści zasadniczej, obowiązującą wszystkich zawsze i wszędzie; zasadę, z której nikt wymówić się nie może, bo mu się wewnętrznie narzuca, jako współczynnik jego własnego poczucia życiowego, jako niezbędny warunek jego własnego zdrowia i dobrobytu duchowego.

Wobec tej zasady sprowadzają się do zera wszystkie dane etnologii, przytaczane przez zwolenników naturalizmu dla podkopania rozumowego charakteru etyki, a tem samem etyki wogóle. Wiemy dobrze, że Hotentoci inaczej patrzą na życie, niż my; co jedni ludzie uznają za dobre, to inni mają za złe. Ale te sprzeczności nie dotyczą bynajmniej zaznaczonej zasady etycznej, lecz zależą wyłącznie od rozwoju myślowego odnośnych jednostek, od ich p o g l ą d ó w na życie. Te same niestety bardzo różne, a nawet sprzeczne wśród ludzi. Nie jest to jednak winą etyki, lecz wynika z ograniczoności i słabości m y ś l i ludzkiej. Ta nie określa zawsze z należytą trafnością swych zadań życiowych. Ale ta różność, lub nawet sprzeczność myślowa wśród ludzi nie narusza bynajmniej poszczególnych i niezmiennych zasad organizacyi umysłu ludzkiego i jej życiowych wymagań. Przeciwnie, wszelki postęp, wszelka kultura i na polu myśli możliwą jest jedynie na podstawie tych zasad. To też, pomimo wszelkiej różności p o g l ą d ó w na życie i jego zadania, wszyscy ludzie poczuwają się do obowiązku wewnętrznej zgodności z samymi sobą, a szczególniej do zgodności swego działania z własnym najlepszym poglądem na życie i jego zadania,

a więc z poglądem możliwie doskonałym przy danych zasobach rozwoju umysłowego i wiedzy.

Nietrudno tedy jedną w sobie, powszechną i niezmienną zasadę etyczną: zgodność działania z przekonaniem odróżnić jasno od zmiennych form, w których się ta zasada faktycznie ujawnia. Naturaliści zmienności tej formy używają za argument przeciwko samej zasadzie, bo nie zdają sobie wcale sprawy z jej właściwej treści, powtarzającej się zawsze i wszędzie według niezmiennych rozumowych wymagań organizacyi umysłu ludzkiego i jej życiowego rozwoju. Przecież i w zakresie ustroju cielesnego reakcya organizmu przeciwko wszelkim szkodliwościom jest stałym objawem jego żywotności, bez względu na rozmaitość i zmienność owych czynników, które tak często naruszają normalny przebieg czynności organicznych.

Pojęcie atoli ustroju nie stosuje się tylko do pojedynczego osobnika. On sam jest cząstką, albo właściwiej organem całego szeregu dalszych ustrojów: rodziny, społeczeństwa, narodu, państwa, ludzkości, przyrody, wszechświata. Są to wszystko coraz rozleglejsze całości, w których skład osobnik wchodzi, z których czerpie niezbędne zasoby dla swego własnego bytu i rozwoju, ale względem których spełnia też zarazem pewne funkcye, wypływające z jego stanowiska w całokształcie tych szerszych całości. Związek jego z tymi wyższemi ustrojami tak jest ścisły, organiczny, że, zdając sobie sprawę z własnego bytu, dochodząc do świadomości samego siebie, człowiek przejmuje się zarazem tą swoją bezpośrednią przynależnością do szerszych zakresów istnienia, odczuwa swą łączność z nimi, żyje ich życiem i rozwija własne swoje indywidualne jestestwo przy pomocy czynników ogólnych, stanowiących istotę owych szerszych form życia zbiorowego.

Przy bliższem rozpatrzeniu zasadniczych typów życia zbiorowego, do których każda jednostka z natury swojej należy, możemy je sprowadzić do trzech najwydatniejszych, jakimi są: rodzina, społeczność (życie towarzyskie, naród, państwo, ludzkość) i wszechświat. Dwa pierwsze z tych czynników są zrozumiałe same przez się i znajdują swój wyraz w uczuciach i potrzebach

rodzinnych i społecznych, działających z większą lub mniejszą wyrazistością w każdej jednostce. Trzeci zaś wśród tych czynników życia zbiorowego, wszechświat, domaga się bliższych wyjaśnień.

Zastanawiając się nad własnem istnieniem i jego przebiegiem, człowiek odczuwa głęboko zależność swoją od przedmiotowego porządku świata i dąży bezpośrednio do bliższego określenia swego osobistego stosunku do tego porządku, a w szczególności do jego ostatecznej i najwyższej zasady. Poglądy na tę zasadę są naturalnie znowu najrozmaitsze, stosownie do stanu kultury i stopnia umysłowego rozwoju człowieka. Ale wszyscy ludzie zawsze i wszędzie, dochodząc do świadomości swego istnienia, jako cząstki bytu powszechnego, przejmują się tym swoim tajemniczym związkiem z istotą wszechbytu i nadają temu związkowi odpowiedni wyraz. Jest nim r e l i g i a. Jak poczucie rodzinne łączy jednostkę z pierwotną formą uspołecznienia, z rodziną, jak poczucie społeczne (towarzyskie, patryotyczne, humanitarne) jednoczy osobnika z różnymi ustrojami życia zbiorowego wśród ludzi: tak poczucie religijne uwydatnia faktyczną łączność człowieka z całym pozostałym wszechbytem, a przedewszystkiem z jego najwyższą Istotą, tak lub inaczej pojmowaną. Widzimy tedy tutaj objaw jednorodny z resztą objawów przynależności człowieka do szerszych form życia zbiorowego, z tą tylko różnicą, że wśród naturalnej hierarchii tych form religia dotyczy formy najwyższej, bo Istoty wszechświata, obejmującej w sobie wszystkie inne, bardziej szczegółowe objawy życia zbiorowego.

Z natury rzeczy wynika, że zaznaczony związek osobnika z coraz szerszemi i wyższemi formacyami życia powszechnego rozszerza bezpośrednio zakres jego działalności życiowej i dodaje do ideału etycznego nowe rysy, pozostające jednak w ścisłej łączności z owym rysem zasadniczym, o którym mówiliśmy powyżej, t. j. z wymaganiem zgodności człowieka z samym sobą, oraz zgodności jego postępowania z własnym rozumowym poglądem na zadania życia.

Nie będąc jednostką odosobnioną, żyjącą jedynie w sobie

i dla siebie, lecz będąc z istoty swojej zarazem członkiem owych szerszych całości, człowiek odczuwa bezpośrednio potrzeby, wypływające z jego stanowiska wśród otoczenia i w normalnym swym rozwoju, przy rozumowym rozbiorze swej istoty nie znajduje pełnego wewnętrznego zadowolenia, gdy tych szerszych potrzeb swego jestestwa nie zaspakaja na równi z potrzebami ciasnej swej indywidualności. Prawda, że wymagania rozumowe, odzywające się w jednostce z powodu jej łączności z szerszymi ustrojami życia powszechnego, powodują nieraz poważne kolizye z pożądaniami, albo nawet wprost z dobrobytem jednostki. Ale wobec zasadniczego prawa etycznego, domagającego się zgodności osobnika z samym sobą, kolizye te muszą być przezwyciężone w taki sposób, aby osobnik osiągnął ostatecznie ową wymaganą zgodność.

To też jednym z najwybitniejszych objawów moralnego życia człowieka jest dążność do wyrównania swych czysto indywidualnych potrzeb z potrzebami, odzywającemi się również w nim samym, ale dotyczącemi owych szerszych kół, do których jednostka z istoty swojej należy. I ta dążność w normalnym swym rozwoju nie jest wypływem żadnych zewnętrznych nakazów, narzucanych jednostce wbrew jej własnym intencyom, lecz jest wyrazem bezpośredniego poczucia solidarności jednostki z życiem zbiorowem, jako części z całością, jako organu w związku z organizmem.

O charakterze rozumowym i przyrodzonym tego poczucia solidarności wątpliwości być nie może, gdyż tkwi ono jako zarodek w samej organizacyi umysłu ludzkiego i występuje na jaw w dziejowym rozwoju człowieka w pierwszych już zawiązkach rodziny, uspołecznienia i religii. Na to godzą się już dzisiaj nawet tacy naturalistyczni przedstawiciele ewolucyi etycznej, jak Spencer. Dowodzi on, że uczucia społeczne, altruistyczne, dzięki kulturze, odziedziczonej po przodkach, mają charakter przyrodzony dla człowieka naszej epoki. Więc faktu samego przez się nie można poddawać w wątpliwość; jego wywód zaś nie z istoty umysłowego ustroju człowieka, lecz z wszechwładnego r o z w o j u świadczy tylko o jakiemś mitologicznem

pojęciu tego rozwoju. Bo w rzeczywistości, w naturze rozwój np. dębu z żołędzi, lub żyjątka z komórki nie jest stworzeniem czegoś nowego, niebywałego, lecz ujawnieniem jedynie tego, co tkwi w samym rozwijającym się zawiązku. Więc i pod względem jego poczucia solidarności z szerszymi objawami życia rozwój ujawnia tylko to, co jest i co działa w samej rozwijającej się istocie, a nie wytwarza nowych czynników, sprzecznych z pierwotnymi zawiązkami tej istoty.

I w samej rzeczy, gdyby owo poczucie łączności osobnika z szerszymi ustrojami życia nie działało od pierwszych początków jego rozwoju, nie ujawniało się w rozwoju jako czynnik przyrodzony, natenczas i w dalszym przebiegu owego rozwoju nie istniałyby wogóle dla jednostek inne cele nad czysto indywidualne i egoistyczne. Uspołecznienie jednostek w takim razie nigdyby się nie było uskuteczniło; zawsze i jednostki zachowałyby się wrogo względem siebie w duchu doktryny: *homo homini lupus*. W takim bowiem razie ani rozkazujący t. j. przedstawiciele życia zbiorowego, sami nie poczuwaliby się do działania na jego korzyść, ani też nie znaleźliby nigdy odgłosu, a tem mniej poparcia dla swego działania w większości innych jednostek. Istniałyby w takim razie jedynie konglomeraty atomistyczne wśród ludzi, podobne do brył nieforemnych, nieorganicznych, pozbawionych wszelkiej spójności wewnętrznej. Tymczasem faktycznie napotykamy i na tem polu formacye organiczne, ustroje zbiorowe, które mogły powstać, a następnie rozwijać się i żyć jedynie wskutek bezpośredniego poczucia solidarności, łączącego jednostki ze sobą. Jest to niezbędny warunek wszelkiej między niemi spójności organicznej, zupełnie niezależnie od tej lub owej szczegółowej formy, w jakiej się ta spójność ujawnia faktycznie.

Ideał etyczny zgodności człowieka z samym sobą, oraz zgodności działania z przekonaniem obejmuje tedy zarazem potrzeby i dążności rodzinne, społeczne i religijne osobnika. Człowiek, w całej pełni swego rozwoju, staje się sobą, urzeczywistnia wszechstronnie swoje jestestwo, dosięga dostępnej dla siebie doskonałości nie wtedy, gdy żyje i działa jako jednostka

oderwana od związku z pozostałym światem, lecz wtedy tylko, gdy uosabia w sobie szersze czynniki bytu powszechnego, gdy rozwija w sobie te czynniki i dokonywa należycie swych funkcyi w stosunku do tego bytu powszechnego, do rodziny, społeczności i Istoty wszechbytu. Im jednostka bardziej się rozwija w tym kierunku i im się głębiej przejmuje owymi wyższymi czynnikami swego własnego jestestwa, im je w sobie zgodniej jednoczy i wszechstronniej urzeczywistnia za pośrednictwem swego życia i działania, tem się wznosi na wyższy szczebel kultury etycznej, tem bardziej się zbliża do doskonałości, bo tem ściślej spełnia swe zadanie i przeznaczenie w całokształcie istnienia.

Oto ideał etyczny, wypływający z organizacyi umysłu ludzkiego i jej łączności wewnętrznej z pozostałym bytem. Ideał ten od pierwszych zaczątków życia dziejowego aż po chwilę obecną przyświeca człowiekowi, jako istocie rozumowej, myślącej, zastanawiającej się nad sobą i światem; więc wszystkim jednostkom, wszystkim narodom we wszystkich fazach ich rozwoju, bo jest przyrodzonym celem tego rozwoju, bezpośrednim wyrazem samego ruchu życiowego. Ścisłe sformułowanie tego ideału nie ujawnia się wprawdzie zawsze i wszędzie z należytą jasnością. Zależy ono od teoretycznego wyrobienia umysłów i od zdolności odszukania myśli przewodniej dziejów w chaosie ich faktycznego materyału. Z tem wszystkiem ideał etyczny stanowi niewidzialną sprężynę postępu dziejowego ludzkości; podobnie jak niezależnie od wszelkich teoryi fizyologicznych każdy organizm z natury swojej dążył i dąży do zdrowia. To też, mając na oku dzieje ludzkości i śledząc krytycznie za ich pochodem, nietrudno spostrzedz, że rozwój etyczny, a więc rozwój umoralnienia i uspołecznienia człowieka, oraz rozwój jego życia religijnego dokonywa się jak najwyraźniej w kierunku, zaznaczonym przez ów ideał.

Wskutek tego ideału, pojmowanego z większą lub mniejszą jasnością, lecz działającego bezpośrednio w duchu każdego człowieka, jednostka nie jest i nie może być zadowoloną z samej siebie, gdy się egoistycznie ogranicza samą sobą; ona sama przyznaje sobie i swemu działaniu pewną wartość tylko o tyle,

o ile staje się cząstką szerszych ustrojów, o ile się wewnętrznie jednoczy z ich wyższymi czynnikami, z rodziną, społecznością i Istotą wszechbytu i spełnia względem nich prawidłowo pewne funkcye, szukając w nich zaspokojenia coraz głębiej odczuwanych potrzeb swego jestestwa. Wszelkie walki i dążności społeczne i religijne zarówno dawnych czasów, jak i chwili obecnej, stają się zrozumiałemi jedynie ze stanowiska tego ideału etycznego. Na nim opiera się wszelka ocena etyczna działań ludzkich; a wiara w jego stopniowe, ale niewątpliwe urzeczywistnienie jest jednym z najbardziej zasadniczych warunków prawdziwego postępu ludzkości na drodze ku lepszej przyszłości. Gdzie brak tej wiary, tam brak zdrowej energii życiowej, tam czynniki rozstroju biorą górę i doprowadzają tak jednostki, jak i całe społeczeństwa do upadku, do śmierci moralnej.

(Dok. nast.)

Henryk Struve.

KONWENT LIP TRZYNASTU.

W roku 1878 ukazała się epopeja Webera[1] pod niewiele obiecującym tytułem *Dreizehnlinden*. Epos to, mimo swego wybitnie katolickiego charakteru, doznało u wszystkich, katolików i niekatolików, gorącego przyjęcia; przetłumaczono je na język angielski i francuski, rok rocznie pojawiało się parę wydań, a liczba ich dzisiaj już przekroczyła setkę. To ogromne powodzenie musiało mieć oczywiście swoją ostateczną i najgłębszą przyczynę tylko w artystycznej wartości i głębokiej treści utworu. Weberowi w rzeczywistości udało się stworzyć dzieło, mogące uchodzić za klasyczny wzór epiczno-lirycznego przedstawienia. Tak świeżo i barwnie, tak silnie i niekłamanie, z takim podźwiękiem narodowego tonu szumi w niem strumień poetycznego opowiadania, iż przy ostatniej pieśni z niechęcią odkłada się książkę. I nieraz później czuje w sobie człowiek nieprzepartą chęć ujęcia jej napowrót, aby się na nowo orzeźwić aromatyczną wonią tego wspaniałego kwiatu.

[1] Fryderyk Wilhelm Weber urodził się w Alhausen w Westfalii w 1813 roku. Początkowo studyował filologię i germanistykę, później medycynę. W roku 1842 rozpoczął zawód lekarza. Od roku 1861 był posłem do sejmu i członkiem centrum. W r. 1878 ukazało się jego epos „Lip trzynaście" (w r. 1901 102 wyd.), w r. 1882 wyszły wiersze liryczne (obecnie już w 25 wyd.), w 1892 większa epiczna powieść „Goliat" (obecnie wyd. 20), a po jego śmierci (1894) znaleziono wiersze „Jesienne liście", które się także 12-go wydania doczekały. Bliższe szczegóły o jego życiu i poezyi znaleźć można w wyczerpującem dziele Juliusza Szweringa: „Fr. W. Weber. Jego żywot i dzieła". Padeborn, 1900.

Zanim przystąpimy do oceny i estetycznej analizy dzieła, konieczną jest rzeczą, ze względu na nieznajomość tego utworu u nas, podać obszerniejszą jego treść. Spełnimy w ten sposób podwójny nasz zamiar — najpierw pośredniczenie w dokładniejszej znajomości tego poety w szerszych kołach, następnie zapoznanie czytelników z nowym, dotąd niedrukowanym polskim przekładem, z pod innego pióra pochodzącym.

I.

Zdarzenia opiewane w epopei odgrywają się mniej więcej około roku 822, za czasów Ludwika Pobożnego; widownią akcyi Saksonia, okręg Nety.

W przyrodzie wiosna. Z lirycznego ustępu eposu odczuwa się ją, jakoby była obecną.

Jak rozkosznie z tchnieniem wiosny
Kij pielgrzymi ująć w dłonie
I w ogrodzie bożym krocząc,
Świeżym kwieciem wieńczyć skronie.

W górze płyną białe chmury,
Dołem modrych wód strumienie,
Pięknie błyszczą w nowej szacie
Wzgórza leśne, łąk przestrzenie.

Dziewczę w słońcu bieli płótno,
Które w zimie pilnie tkało,
W gaju ptaszę opowiada,
Co wśród śniegów przedumało.

Chociaż są to stare pieśni,
Już znajome, zaufane,
Chętnie dziewczę się wsłuchuje
W dźwięki słodkie, ukochane;

W dźwięki słodkie, ukochane,
Co brzmią w dole i na górze —
Słucha węglarz, pasterz słucha,
By z innymi śpiewać w chórze;

Śpiewać raźno i wesoło
Po zimowej długiej głuszy:
Zapomniane nawpół pieśni
Już się budzą w ludzkiej duszy.

Z pośród świeżą zielenią świecących wierzchołków jodeł strzelały w niebo wieże i szczyty klasztoru, konwentem „Lip trzynastu“ zwanego, który przed niedawnym czasem założyli obcy mnisi benedyktyńscy. Wśród niestrudzonej działalności wybudowali dom i kościół, przetrzebili dookoła dziewiczy las i otoczyli wałem i płotem zbożorodną ziemię. Nieokiełznaną rzekę poskromili wałami; ale jeszcze inna rola pozostała im do uprawy; serca młodych Sasów trzeba było nawracać na chrystyanizm, do jedynie prawdziwego Boga. Co za olbrzymia praca przyswoić tym młodym niedźwiedziom ogładę, kulturę i światło

Bożej prawdy. Najtrudniej było opowiadać łagodne posłannictwo krzyża, głosić służalcom bożków nowe idee w języku, posiadającym wprawdzie analogie i oddźwięki chrześcijańskich nauk i tajemnic, lecz kryjącym w sobie zarazem niebezpieczeństwo przelania pogańskich idei w nową naukę. Podczas gdy jedna część zakonników mozoliła się, by młode pokolenie bohaterów saskich zaznajomić z nauką i tajemnicami chrześcijańskiej religii, rozwijała druga część na korzyść misyi gorliwą działalność kulturalną lub przepędzała dnie i noce przy stole, aby potomnym przekazać skarby starożytnej mądrości. Lecz i rzemiosło wojenne nie było im obce; zręcznie umieli oni władać łukiem i lancą, gdy chodziło o odpędzenie wroga lub o odparcie zgrai rabusiów. W ten sposób wykonywali dzieło pokoju i obowiązki walki. Ich praca zmieniała się kolejno z modlitwą, błagającą Boga o wstęp do nieba dla nich i dla synów saskich.

Położywszy w ten sposób w dwóch pierwszych pieśniach podwalinę swego opowiadania i przedstawiwszy w ogólnych zarysach działalność chrześcijaństwa w podbitej Saksonii, rozpoczyna teraz poeta właściwą epiczną opowieść.

Elmar, pan na Jastrzębowie, powraca właśnie z polowania z ubitym myśliwskim łupem, potężnym niedźwiedziem. Dziki mruk zasłużył w jego oczach na śmierć, zamykając niedawno Hildegundzie, córce naczelnika okręgu, Bodinlethorpe, powrót do domu. Władcy leśnemu byłby jeszcze przepuścił, lecz tamującego drogi dziewczęciu oszczędzać nie mógł.

O, zaprawdę, króla puszczy
Byłbym puścił znów do lasa,
Lecz zbójowi pchnąłem w serce
Całe ostrze kordelasa.

Niechby z psami się borykał,
Niechby z męże zapas wodził;
Lecz niedźwiedzią to chimerą
Gdy w dziewczątko młode godził.

Chce przeto córce posłać także futro z niedźwiedzia. Chętnieby przesłał dziewicy frankońskiej coś więcej jeszcze ponad tę skórą, gdyż ponure milczenie otacza go w sali ojców. Ani ojciec ani matka nie wita go przy wyziębłem ognisku, on jest ostatnią latoroślą rodu Sokołów. Od prastarych czasów rezydowali na Jastrzębowie z ojca na syna Sokoły, uprawiając nieustannie zagon, zaprawiając się w rzucaniu pocisków i godzeniu

lancą i służąc wiernie starym bogom, aż wreszcie zapłonęła nad Renem pochodnia wojny i nieszczęsny pożar przewalił się wśród zniszczenia po wioskach saskich. Karol wyruszył hen ze swymi Frankami i po 30-letnich krwawych zapasach zniknęła wolność dla dzielnych Sasów. I Afryk, ojciec Elmara, wyruszył do walki, lecz wrócił do domu z głębokiemi ranami i gorzkim bólem. Wprawdzie miała Irmintruda, jego wierna małżonka, na jego rany pełne pociechy słowa i przynoszące ulgę leki, lecz najgłębsza nieuleczalna rana tkwiła w sercu dzielnego Sasa, bo:

Sasów opór był złamany,
Śmiało jako dzika flanki
Wskróś przeszyte ostrzem włóczni.
Gniotły Sasów butne Franki.

Afryk umarł. Wcześnie osierocony młody Elmar wychowywał się przy matce; głęboko w młode serce wpoiła ona wstręt do nowości, do panowania Franków i do wiary Franków; nie wysłała go na dalsze wychowanie do Paderbornu, do biskupa Badurada, swego brata, lecz do kraju Fryzów, do starego kapłana Wodana, Thiatgrima. Tu poznał i pokochał chłopczyna północnych bogów i bohaterskie podania; tu przedewszystkiem zapuściła nienawiść do ciemiężców jego ojczyzny i do frankońskiego Boga swoje najgłębsze korzenie. Tu wyrósł Elmar; z chłopczyny o jasnych włosach wybujał silny i piękny młodzian. Marząc, siadywał często na wybrzeżu morskiem; dumał o swojej matce, siedzącej samotnie i pogrążonej w smutku przy pustem ognisku i o Hildegundzie, małem dziewczęciu frankońskiem, które on ongi jako chłopiec z narażeniem własnego życia z wilgotnego grobu sadzawki wyratował i które podówczas:

...z łzami i uśmiechem
Całowało jego lice
I błagało cicho, rzewnie:
„Strzeż Elmarze tajemnicę".

Jego usta są zamknięte
Pocałunkiem ust anioła,
Ale w sercu, w serca głębi
„Hildegundo" ciągle woła.

Thiatgrim, chcąc rozerwać marzącego Elmara, wysłał go do Normanów, sposobiących się właśnie na wyprawę Wikingów do kraju Franków. Żwawo uwijał się młody bohater saski w mściwej walce z nieprzyjacielem kraju, gdy go nagle wezwał poseł

do łoża chorej matki; powróciwszy do ojczyzny, ujrzał już tylko zwłoki. Samotnie siedzi więc teraz w ojcowskim domu, posępne są jego myśli i często zatapia wzrok w chmury. W jego piersi rodzi się rozdwojenie, walka. Jakże inaczej wygląda teraz w jego ojczyźnie! Bóg Franków, któremu on zaprzysiągł płomienną nienawiść, przeszedł w zwycięskim pochodzie przez okręgi saskie; nowa chrześcijańska nauka zapuściła już głębokie korzenie i przyniosła nową kulturę do kraju. Stare, święte podania zanikają; stara wiara w bóstwa, uważana przezeń za niezniszczalną, z którą wszystkie jego porywy i pragnienia złączone były, upada. A do wszystkich zmartwień dołącza się jeszcze głęboka rana sercowa, tkliwa miłość do Hildegundy, córki chrześcijańskiego naczelnika okręgu, Body. Teraz dopiero odczuwa niedającą się prawie zapełnić przepaść, jaka go, pogańskiego Sasa, od chrześcijańskiej dziewicy oddziela. Tej sprzeczności w duszy swojej nie może rozwiązać; gryzie się wewnątrz i pieni się na swój los. Cóż ma począć nieszczęsny?

Czy ma jako wół w zaprzęgu
Szyję ugiąć w jarzmo wroga
I przed krzyżem chyląc czoło,
Chrześcijańskiego uznać Boga?

Czy ma może w saskich siołach
Nienawiści iskrę budzić,
By z Frankami bój odnowić
I w krwi wroga zemstę studzić?

Kędy spojrzę — nocne cienie!
Ręce, nogi mi uwiędły,
Omotane losu siecią,
Którą gniewne Norny[1] przędły.

Tylko Wodan[2] wszechwiedzący
Może wskazać kędy droga,
Lecz on milczy, bogi milczą,
A mnie rozpacz chwyta sroga!

Wtem zjawia się śpiewak z dalekiej północy z zaproszeniem Elmara do wojennej mściwej wyprawy przeciwko jednemu z północnych królów. Już Elmar okazuje gotowość, gdy oto Diethelm, wierny ojca przyjaciel i rządca, budzi w młodzieńcu uczucie miłości ojczyzny i przypomina mu obowiązki względem ludu. Słowa posiwiałego starca robią na Elmarze głębokie wrażenie i przykuwają go do ojczyzny. Raz go widzimy przy świętym ofiarnym kamieniu, gdzie w późną noc, podeszła wiekiem

[1] Norny, trzy losów boginie, dziewice, rządzące losami.

[2] Wodan albo Odin, ojciec bogów i ludzi i najwyższy władca nieba i ziemi.

kapłanka Swanahilda obchodzi rocznicę śmierci Raldersa — to znowu w Bodinlethorpe, u naczelnika okręgu, Body; jest tam również wielu innych gości, biorących udział w uroczystości dożynków. Między zaproszonymi gośćmi znajdował się także Gero, żółtowłosy Frank, świeżo przybyły jako poseł królewski, celem ściągnięcia nowych opłat i dziesięcin. Gero skierował oko na powabną córkę Body, Hildegundę i stara się pochlebstwem pozyskać jej serce. Daremny trud, gdyż dziewczyna już wybrała, a tym wybrańcem jest — wkrótce to spostrzegł Gero — Elmar, pan na Jastrzębowie. Postanawia przeto swego rywala usunąć. Rozpoczął też wkrótce od urągań pogańskiej wierze, co Elmar zniósł cierpliwie, aż gdy tknął pamięć jego matki, Sas zawrzał oburzeniem:

„Marny chłystku! Strutą strzałą
Mnie trafiłeś: znieść nie mogę;
Bóstw bluźnierstwo mszczą bogowie,
Ludzie słysząc — czują trwogę.

Lecz o tej, po której płaczę,
Której czyn, choć najciemniejszy,
Jaśniej świeci od cnót Franków,
Zamilcz Franku najpodlejszy!

Zamilcz o niej, bo tym mieczem
Zaraz trupem cię położę,
Niech tak Wodan wszechpotężny,
Niech tak Donar mi pomoże".

Zerwał się i stał wyniosły
Sas olbrzymi i pleczysty,
A na Franku spoczął jego
Ciemno gniewny wzrok ognisty.

Cisza grobowa zapanowała w sali; wszyscy zdrętwieli, tylko naczelnik podniósł się z godnością i zakazał młodemu Sasowi za złamanie domowego spokoju przekraczać na przyszłość próg swego domu. Elmar wyszedł, lecz z nim zniknęła wesołość i innych gości.

Długo w noc błąkał się dotknięty do żywego Elmar w poblizkim lesie, przyciskał płonące lica do zimnych pni bukowych, aż wreszcie z jękiem, jak ranione zwierzę, rzucił się na trawę. Wtem budzi nagle samotnego marzyciela przeraźliwy krzyk z domu hrabiego. Zrywa się i widzi dwór, stojący w płomieniach. W jednej chwili rzuca się naprzód, biegnie poprzez pół zwęglone stopnie w środek żaru, aby ratować naczelnika i jego córkę. Silnem ramieniem i pewnym krokiem unosi oboje w zwojach płaszcza poprzez dym i żar aż do lipiny. Wkrótce dom zapadł się z łoskotem.

Losy jednak Elmara coraz bardziej się wikłają. Gero zarzuca mu publicznie zbrodnię podpalenia, urządza nań następnie skrytobójczy napad, a gdy skończyło się tylko na ranie długokrwawiącej od zatrutej strzały, poprzysięga mu publiczną skargę i walkę na śmierć i życie. I dotrzymał słowa rudowłosy, podstępny Gero. W porze jesiennej, gdy liście opadać poczynały, odbył się pod przewodnictwem naczelnika okręgu publiczny sąd. Tu oskarżał Elmara Gero o trzy przewinienia: o oddawanie czci bożkom, o podłożenie ognia i o skrytobójczy napad na posłańca królewskiego. Każda z tych zbrodni według frankońskiego prawa pociąga za sobą śmierć. Elmar broni się w wspaniałej i potężnej mowie i zwala wszystkie zarzuty na głowę krzywoprzysięzcy Franka; wszelako środków dowodowych, t. j. świadków, podać nie może; a gdy naczelnik okręgu, Bodo, wzywa z pośród gromady saskiej szlachty 6 pomocników przysięgi, którzyby wraz z Elmarem na dowód jego niewinności przysięgę złożyli i oczyścili go w ten sposób od oskarżenia, znajduje szlachetny Sas tylko jedynego, posiwiałego Kruka z Jesionowa. Wprawdzie wieśniacy chcą złożyć przysięgę, ale honor chłopski nie może dla szlachcica stanowić rękojmi; to też Elmar zostaje uznanym winnym zdrady i zasądzony. Wyrok jest surowy. Wolny Sas zostaje ogłoszony za wyjętego z pod prawa, a majątek jego przyznany Geronowi. Zanim trzykrotnie słońce się schowa, ma on na koniu opuścić granice kraju. Elmar roześmiał się gorzko na tak łaskawy wyrok, a powołując się na swoją niewinność, pokłada ufność w bogach.

„Mej przeszłości ciemne losy
Ufnie w bogów składam dłonie".

Zbladł i blednąc coraz bardziej,
Chwyta, chwiejąc się, za ranę
A z ust jego wypływają
Krwi strumienie nieprzerwane.
Na murawę krwi strumienie.
Pękłoż serce w długiej męce?
Cicho zsunął się banita
Na wiernego Kruka[1] ręce.

Następnego dnia wyruszył Elmar na swoim najwierniejszym koniu do Fulkona, kowala i prosi go o ostatnią przy-

[1] Rab von Eschenburg.

sługę, o przybicie jego koniowi z błogosławieństwem nowych, silnych podków na daleką podróż.

Milcząc smutnie, patrzał kowal
Na banitę, to na zwierzę,
Potem w kuźni żar roznieca
I narzędzie do rąk bierze.

I razami gwałtownymi
Wali, że kowadło jęka,
Wali, że aż gra powała,
I fundament głucho stęka.

Płomień bucha, iskry sypie,
Gniewny kowal mocniej bije;
Roztoczona sztaba spiżu
Jak wąż skręca się i wije.

Wtem opada ręka mistrza,
Rzuca sztabę do ogniska
I porwany dzikim bólem,
W kąt obcęgi i młot ciska.

„Nie Elmarze, ja nie mogę;
Nie, my odejść ci nie damy".

I wzywa gniewny, potężny majster w gorących słowach do stawienia się na czele towarzyszy z okręgu i do wypędzenia znienawidzonego wroga z granic Saksonii. Lecz Elmar patrzy dalej niż dzielny stary kowal. On zna szlachtę lepiej; dopiero wczoraj miał sposobność wypróbowania ich odwagi przed sądem. Mógłby wprawdzie aż po kolana brodzić we krwi Franków i walczyć na śmierć i życie, lecz już za wiele szlachetnej krwi popłynęło, za często już obce rumaki tratowały role; jeszcze raz ważyć się na walkę, byłoby to przy przewadze wroga nieopatrznem zuchwalstwem:

„Pozwól odejść! w dniu rozstania,
Nic z ojczyzny nie wynoszę
Prócz tej garstki świętej ziemi,
Co na sercu mojem noszę.

Fulko rób, com ci polecił".

Poczem żegna się ze swoim wiernym rządcą i przesyła ostatnie pozdrowienie Hildegundzie, przekazując jej zarazem swój miecz i pierścień; miecz celem przechowania, jeżeli mu jakie bóstwo wrócić pozwoli, a pierścień na pamiątkę, i wyjęty z pod prawa odjeżdża. Ciche modły towarzyszą mu, gdyż:

Gdzie pod lasem ciemne jodły
Chylą szczyty nad doliną,
Stało dziewczę osłonione
Paprociami i jerzyną;

Założywszy na krzyż ręce,
Stało ciche, zadumane;
Zimne krople dżdżu spadały
Na jej białe szaty lniane.

Wtem zadrżała, a na ustach
Zamarł krótki jęk dziewicy.

Koło kuźni nawał ludzi.
Jeden konia trzymał wodze,
Drugi wziął je i pomału
Na wzgórzystej jechał drodze
Ku lasowi; ona widząc,
Że go skryły leśne cienie,
Z palcem koło ust, milcząco
Śle ostatnie pozdrowienie.

Następnie wzniosła swe ręce ku górze i modliła się cicho za wyjętym z pod prawa:

Usłysz Matko Przenajświętsza,
Ty, coś zawsze pomódz rada,
Gdy stroskane serce Tobie
Z swej boleści się spowiada.
Niebios Pani! U stóp twoich
Błagam z płaczem: „Niech dò celu
W szczęściu jedzie, ten co jedzie
Tajny druh mój od lat wielu!“

Banita tymczasem skierował swoje kroki w głąb lasu, znużenie opanowywało nim coraz bardziej, cicho spływała krew w ciężkich kroplach z rany; aż wkońcu w pobliżu konwentu „Lip trzynastu“ padł omdlały na ziemię. Znajduje go Brat klasztorny i zabiera do konwentu. Długo leżał znużony pielgrzym w klasztornej celi jak bez życia, aż wreszcie martwe omdlenie wyrodziło się w dziką, rozszalałą febrę. Straszliwe widziadła majaczą w jego duszy, cała przeszłość przesuwa się przed mętną wyobraźnią, raz ugania się na poczerniałych statkach Thorkela z ludem Wikingów na rozległej północy, to znowu zrywa kwiaty w ogrodzie i bawi się w towarzystwie dziewicy, innym razem walczy z Frankami. Wszelkie zabiegi mądrego O. Bedy, lekarza klasztornego, nic nie pomagają; nie można usunąć febry, gdyż w krwi Elmara krąży trucizna jeszcze od strzały rudowłosego Gerona. Dopiero zioła druidy Swanahildy przynoszą ulgę i zdrowie.

Elmar uratowany; powoli wracają sterane siły i ze zmartwychwstaniem wiosny wstaje on również do nowego życia. Chętnie doprowadziłby do zdrowia podeszły i doświadczony starzec i jego duszę i radby dać Elmarowi zakosztować szczęścia chrześcijańskiej prawdy. W mądrych słowach ukazuje uważnie słuchającemu młodzieńcowi próżność i znikomość wszystkiego, co ziemskie, zwraca jego wzrok na wyższy cel, na wieczność, tłumaczy mu następnie z łagodnością i uprzejmością ważne pytanie o prawdzie, o Bogu, wierze, o początku i celu człowieka, o Chrystusie i jego posłannictwie. Pod wrażeniem

tych przekonywujących nowych myśli poczyna powoli tajać lód jego duszy. Jeszcze Elmar się nie nawrócił, lecz pogaństwo na blasku straciło, a tak znienawidzona religia chrześcijańska budzi w nim coraz bardziej podziw:

Na obłocznych szarych tronach
Żadne bogi nie królują,
Żadne, albo twardoskalne,
Co nie cierpią, ni współczują.

Ta prawda jest mu jasną, a jednak wewnętrznego spokoju znaleźć nie może. Dręczące wątpliwości srożą się w jego duszy, przychodzi mu coraz zaciętsze walki staczać ze sobą, trudności gromadzą się coraz większe, zdaje się mu już, iż w tej walce ulegnie:

Ach, napróżno ciągle pytam
Bez pociechy, bez pomocy,
I strwożone oko patrzy
W próżń odwieczną, w ciemność nocy.

Tylko jedno życzenie, jedno pragnienie żywi — znaleźć spokój; dlatego woła pełen zwątpienia:

Twe nauki, cny przeorze,
W mej pamięci przechowałem,
Choć się skarżysz, że leniwie
Li uszyma cię słuchałem.

W głębi serca je zważyłem
I pojąłem co do treści,
Lecz przeorze, miast pociechy
Ty przyniosłeś mi boleści.

Zamiast wiary, jad zwątpienia,
Zamiast miru, niepokoje,
Wciąż pytając, uganiając,
Błędnie krążą myśli moje.

Jak gołębie, co w orkanie
Nad przestworzem mórz latają
I daleko od ojczyzny
Nadaremnie wysp szukają.

Lecz bezbrzeżne jest powietrze,
Jam bezradny, pełen znoju,
Pragnę, szukam, o, nie szczęścia,
Lecz spokoju, ach spokoju.

Potężnie przyciąga go do siebie chrześcijaństwo, szczególnie gotowa do ofiar chrześcijańska miłość, jaką zakonnicy okazują wrogowi chrześcijaństwa, banicie. Lecz w tej decydującej chwili napierają też nań i pokusy z podwójną siłą. Chce odejść, iść precz do nauczyciela swojej młodości, do pogańskiego kapłana Thiatgrima, do Frygii, by tam zasięgnąć rady. Gotów do

drogi, wchodzi do celi opata Warina, aby mu podziękować za opiekę i miłość i pożegnać się z nim. Ale znawca dusz, posiwiały opat, odgadnął wewnętrzną tego kroku przyczynę. On wie, co go do tego pełnego zwątpienia postanowienia skłoniło, rzecze doń przeto: „Elmarze, zostań chrześcijaninem! W duchu jużeś nim dawno“. Jeszcze raz stawia Sas opór:

Elmar chwilę stał milczący,
Sztywny, z okiem nieruchomem,
Nagle, runął do stóp starca,
Jakby tknięty został gromem.

Na kolanach — w modrem oku
Z łzą rozpaczy i błaganiem
Złożył ręce i wyjęknął:
„Pobłogosław przed rozstaniem!“

„Błogosławię cię, lecz odejść
Od nas nie śmiesz, chłopcze dumny;
Chodź, pójdziemy do przeora,
On jest zbożny i rozumny.

I obydwom nam poradzi,
Powie nam o bohaterze,
Co zwyciężył po upadku
Gdy w Damaszku szedł rubieże“.

I Elmar usłuchał — wiara zwyciężyła. To też uklęknął wkrótce jako nowochrzczeniec u stóp ołtarza; oczyściwszy się wodą chrztu, prosi nawet zakonników, aby mógł u nich jako brat do posług pozostać. Wszelako tej wspaniałomyślnej ofiary, dowodzącej najlepiej prawdziwości nawrócenia, nie przyjęto.

Tymczasem w Bodinlethorpe dziwne rzeczy się działy. Gero, poseł królewski, nie cieszył się już tak podle wydartem mieniem Elmara. Ręce kobiece pomściły się na nim, wypędzając go poza granice okręgu. Naczelnik wybudował sobie wprawdzie dom, ale dusza jego posępna i smutna. Chodzi złamany i pogrążony w smutku, bo wyrok wydany na Elmara nie wydaje się mu już tak słusznym. Dawna wesołość Hildegundy ustąpiła także miejsca głębokiemu bólowi i zmartwieniu. Wkrótce przekonywa się naczelnik zupełnie o słuszności swego przeczucia. Eggi, chłopiec kowalski, dzikim kotem przezwany, wesoły hultaj, którego po wszystkich kątach pełno, zeznał z wdzięczności za podarek Hildegundy, iż sam na własne oczy widział, jak Grinbart, parobek naczelnika, podpalił dwór i jak Gero zatruty, morderczy pocisk na Elmara z łuku wypuścił. Powodem, dla którego tego wcześniej nie powiedział, była złość na Elmara za chłostę:

Miałem paplać? Czyż z miłości
Dla was panie? dla Elmara
Za ohydną jego chłostę?
O, to była straszna kara!

Posłuchajcie! Chcąc urządzić
Jaką psotę, raz krążyłem
W Jastrzębowie i na biedę
Stado gęsi zobaczyłem.

Ot z pustoty koło płota
Pojedynczo je chwytałem
I pałeczki jak paluszki
W koniec dzióba im wtykałem.

Panie, było to zabawnie,
Gdy skrzywione główki miały:
Jednem okiem zyzem w górę,
Drugiem zyzem w dół patrzały.

Więc się śmiałem, lecz niedługo
Elmar zjawił się za krzakiem
I wnet wjechał na me plecy
Jak spiż twardym swym kułakiem.

Boże, chroń przed jego wzrokiem,
Boże, chroń przed ręką jego!
O, nie głaskał, ale kropił
Należycie, mnie biednego.

Chłopców psoty i batogi
Pono zawsze w parze chodzą;
Te com dostał, niebywały
Odkąd brzozy rózgi rodzą.

Panie, odkąd rosną kije,
Tak nikogo nie grzmociły;
Nie wiem ja, czy krzewią dobr
Lecz miłości nie wzbudziły.

Ja go dotąd nienawidzę!
Niechby znosił swe wygnanie
Za mą krzywdę; gdym przemówił,
Rzecby można: dla was, panie!

Że Eggi prawdę mówił, przekonał się naczelnik wkr[illegible]e, gdyż Grimbart, sprawca pożaru, wyznał mu wszystko na [illegible]u śmierci. Posępno i ponuro zrobiło się na sercu naczelnik[illegible]. Poleca wprawdzie wiernemu rządcy Diethelmowi Jastrzębo[illegible] dla Elmara zatrzymać, lecz przywołać banity do ojczyzny [illegible] jest w stanie, to może tylko król Franków uczynić. Na jeg[illegible] usilną prośbę udaje się Kruk na Jesionowie, który już w sądzi[illegible] świadczył za niewinnością Elmara, w drogę do Akwizgranu i uzyskuje od Ludwika Pobożnego nie tylko odwołanie z banicyi, lecz nawet mianowanie szlachetnego Saksończyka naczelnikiem okręgu po śmierci Body. Uradowany jedzie pan na Jesionowie do konwentu pod „Trzynastu lipami“, dzieli się z Elmarem wesołem poselstwem i obydwaj puszczają się jak najśpieszniej w drogę, aby śmiertelnie chorego naczelnika zastać jeszcze przy życiu. Bodo już skonał. Jeszcze przed swoją śmiercią polecił biskupowi, który w ostatniej i najcięższej chwili stał przy jego łożu, by Elmara prosił o przebaczenie i najdroższy

swój klejnot, Hildegundę, oddał mu z ojcowskiem błogosławieństwem. Tak więc nareszcie wypróbowany, a obecnie i oczyszczony Sas, jako naczelnik okręgu prowadzi szlachetną i wierną Hildegundę do domu; dla Sasów rozpoczyna się nowa epoka spokoju, szczęścia i dobrobytu.

Taką jest pokrótce treść *Dreizehnlinden.*

Ks. Maksymilian Kohlsdorfer.

ŁACIŃSKI STRONNIK TEOLOGII GRECKIEJ.

Od kilku lat zajął teologów zachodnio-europejskich ten najpoetyczniejszy z pozytywistów i najrealniejszy idealista, ks. Teodor de Régnon, który uderzał wszystkich dziwnym wyrazem zamarzonych oczu, dziwną słodyczą w stosunkach towarzyskich i dziwnym rodzajem teologicznej pracy w kilkudziesięciu rozprawach o Tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, wydanej między latami 1892—1898 pod nagłówkiem *Études de theologie positive*[1].

Rozprawy te stanowiły coś zupełnie odrębnego w teologicznem piśmiennictwie: osnute na tle wiedzy patrologicznej, na tle całych bibliotek, zebranych w Dyonizym Pétau, w Migne'u i w dotychczasowem wydawnictwie patrologii berlińskiej, rozprawy księdza de Régnon nie obrabiały tej treści sposobem znanym we Francyi, odkąd Karol Wielki zakładał w niej szkoły chrześcijańskie. Zamiast ścisłego języka naukowej rozprawy albo twardego toku wykładów w teologicznym podręczniku, zamiast nawet swobodnej pogawędki o prawdach wiary w rodzaju Gaume'a, ks. de Régnon obrał za tłumacza swoich myśli polotne pióro poety, który wprawdzie rymów i rytmu nie używa, ale natchniony zapałem unosi czytelnika w dziedzinę najpiękniejszych prawd wiary i rozrzuca przed jego oczyma przedziwne skarby wzniosłych poglądów.

[1] Première Série: *Exposé du dogme* 1892, w 8-ce, str. XI—594. Deuxième Série: *Théories scholastiques* 1893, w 8-ce, str. XI—584. Troisième Série: *Théories grecques des processions divines* 1898, w 8-ce, dwa tomy. Paris, Rétaut.

Taki rodzaj wykładów teologii zwrócił na samodzielnego pisarza oczy sprawozdawców, ale nie mógł z ich ust usłyszeć sądu zgodnego. Dla zwykłych prawideł oceny, nieprzydatnej tym razem, coś nieuchwytnego tkwi w osnowie i w wątku i w układzie rozpraw, którym autor dał mniej określoną nazwę studyów, bo swoich obrazów poetycznej teologii nie umiał oprawić w żadne ramy tytułu czy napisu dokładnego. Tem mniej umieli sprawozdawcy znaleźć dla mnóstwa zalet i mnóstwa wad tego dzieła stosowną stopę pomiaru. Zjawisko w przyrodzie niezwykłe wywołuje sprzeczne wykłady u znawców, a najpoważniejsi najdłużej milczą: tak dzieło księdza de Régnon wywołało sądy przeróżne; katolickie czasopisma o zakroju mniej zawodowo-teologicznym mówią o niem niewiele, albo niektóre np. *Civiltà Cattolica, Correspondant* albo *Hist. pol. Blätter* milczą... choć skłonne do sądu o niepowszednich plonach pracy umysłowej w Kościele, nie uprzedzają teraz sądu pism zawodowych, które najmniej śpieszą się ze swojemi uwagami.

Inni sprawozdawcy zabrali głos w swoich pismach i mimo ogromnej różnicy poglądów i przeciwieństwa w sądach, przecie wogóle przypisują pracy autora zasługę niezwykłą dla teologii. Najsurowszy sędzia, ks. Chryst. Pesch, dopiero po długim namyśle zabrał głos w ostatnich miesiącach [1]. Ten niezapalny pisarz mówi jednak bez ogródki, że ks. de Régnon (już nieboszczyk) zostawił w swojem dziele skarb, którym zobowiązał sobie świat teologiczny do wiecznej wdzięczności [2]. Powściągliwy w słowach sprawozdawca *Polybiblionu* [3], Lamoureux, wyznaje

[1] *Theologische Zeitfragen.* Zweite Folge. Freiburg. Herder. 1901. — Pierwsza część tego dzieła, omówiona w *Przeglądzie Powszechnym* t. LXX, str. 119, daje dostateczne pojęcie o zaletach części drugiej, bo jak w tamtej tak i w tej ks. Pesch ściśle i bardzo przystępnie bierze pod rozwagę najnowsze błędy tak zwanego amerykanizmu, a mianowicie teraz roztrząsa niepoczesne jego pomysły o grzechu śmiertelnym i o stanie potępieńca po śmierci; może ta druga część przewyższa pierwszą pod względem przejrzystego wykładu tajemnic bardzo zawiłych. Nadto ks. Pesch obszernie tu rozbiera pracę ks. de Régnon i wypowiada o nim kilka uwag, przytoczonych poniżej.

[2] Tamże str. 4.

[3] Tom LXXI, str. 54.

otwarcie, że uważa tę pracę za znakomitą zasługę wobec teologii. Nie tai także ujemnych stron dzieła ani zarzutów nie szczędzi w miesięczniku *Études*[1] ks. Le Bachelet, jednak w dłuższym ustępie bardzo dobitnie i pochwalnie określa odrębny rodzaj pisarstwa, co do którego mało kto pójdzie w zawody z księdzem de Régnon. Mianowicie można tu powtórzyć za rzeczonym sprawozdawcą jego słowa: „Ksiądz de Régnon sam podawał się ze pędziwiatra, co po krainie prawdy urządza wycieczki na chybi trafi, a gdzie spotka ładne widoki, tam staje popasem. Temu jego świadectwu o sobie samym nie można odmawiać prawdy, ale trzeba dodać, że w tym pędziwietrze krainę prawdy obiegał artysta... artysta o wyobraźni płomiennej, tęczowej, o umyśle bystrym i giętkim, a ochoczy do pióra, którem władał wytwornie. Zachwycony pięknym widokiem, napawa nim myśl, a jak umie jego odcienia uwypuklić w umyśle czytelnika, oblać barwami półświatła, ustawić w obrazy żywe i pełne podobieństwa!

„A co za bogactwo w tym pochodzie trzydziestu studyów odmiennych jedno od drugiego w całej osnowie, każde na inny wzorzec lite z odrębnej treści, ze złota tkanego perłami. Tu powaga dogmatu ścisłego, jak w zasadniczych pojęciach pierwszego tomu, a tam, jak nieomal w całym tomie drugim, scholastyka z okiem zatopionem w głębinie prawdy, chociaż jej nie przenika na wskróś w toniach bezdennych, ale podpatruje ją i czerpie z niej nieustannie pełnemi garściami, chwyta ją w pojęcia przystosowane do prawd widzialnych, aby ją jak w zwierciedle czytelnikom pokazać. Znowu gdzieindziej księga dziejów otwarta: to dzieje teologii, jak w 2-m i 3-m studyum nad pracą rozumu, który ujmował dogmat w kanoniczne wyroki i budował z nich świątynię, albo znów dzieje piśmiennictwa kościelnego, jak w 13-m i 14-m studyum nad Ojcami greckimi i ich układem dogmatyki. A tam filozofia z przenikliwym rzutem oka na wewnętrzną treść istoty człowieczeństwa i istoty bóstwa, a tu znowu filologia ze swoim przyczynkiem do skarbca wspólnego,

[1] Tom LXXXII, str. 553.

jak w 7-m studyum nad Θεός albo w 16-m, szczególnie udatnem, nad Ἀγέννητος.

„A od czasu do czasu przed tymi postaciami, co wspaniałym i wzniosłym ruchem obalają dla zdumionych oczu zaporę w ich drodze ku nieskończonej prawdzie, w hołdzie przyklęka wypadłe z piersi pisarza słowo jakby natchnionej modlitwy albo wyraz zadumy nad obowiązkami, które z tych prawd płyną dla wygnańca, stęsknionego za ojczyzną w niebie. Takie odblaski żaru z serca padają na ustępy o cnotach człowieczych w Chrystusie[1] albo o Słowie Ojca i jego oddźwięku, który obficie wypełnia nieustanny bieg wieków i obszar niezmierzonego przestworu.

„Ale nietylko powyższa treść zaleca dzieło owego p ę d z i w i a t r a, u którego w każdej żyłce tętni krew artysty. Cztery jego tomy stanowią pracę rzadkiej zasługi przez trud włożony, aby najszerszym kołom czytelników utorować drogę do krainy myśli niedościgłych, do których zwykły pisarz z żadnej strony nie znajdzie dostępu. Ileż rozwagi i wysiłku trzeba było, żeby dobrać dla najzawilszych pojęć zwrotów języka zawsze potoczystego i łatwego a dokładnego!

„Tylko mistrz stworzy taki sposób, w jaki autor wprowadza pojęcia i ustawia je na widowni przed okiem duszy, tak utrzyma uwagę czytelnika, zaciekawionego poglądami świeżymi i obrotem wywodów nieznanym dotychczas, tak odkryje odwieczną prawdę na tle nowożytnem...

„Że taki rodzaj pisarstwa teologicznego naraża na niebezpieczeństwo, że musi poprzestać tylko na stosownem dla artysty, więc jednostronnem i nawet ciasnem stanowisku, z którego można używać pięknego widoku: to prawda niezaprzeczona. Słusznie ks. de Régnon przyznaje, że w takiej podróży na chybi trafi bardzo to możebne — zajść czasem na bezdroża...“

O tymto teologu-poecie, nieznanym w Polsce, można dla naszego społeczeństwa nakreślić niniejszą wzmiankę, szczególniej z tego powodu, że w jego dziełach znajdujemy przystępnie

[1] Tom III, str. 177 do 182.

wyłożoną sprawę, która żywiej zająć może nas, niż inne narody, mniej blizko związane z wyznawcami Cerkwi greckiej.

Sprawa to dla ogółu jeszcze mało znana, choć ją w zawodowych pracach już obrobili dla teologów kard. Franzellin, ks. Schwan i inni. Jest to tak zwany spór lingwistyczny o pochodzeniu Ducha świętego. Nie pierwszym ani nie najwybitniejszym przedstawicielem tego sporu był ks. de Régnon, ale w niebywały między łacinnikami sposób zabrał głos w tej sprawie i przedstawił ją wcale przystępnie dla światłego ogółu. Za jego tedy przewodnictwem może zechce polski czytelnik zajść w krainę teologii: nie między jej warowne zamki, gdzie w rękach obrońców błyska ostrze zimnych, stalowych dowodów, ale w krainę myśli teologicznych, swobodnie uzbieranych przez ks. de Régnon, jak kto inny zbiera kwiaty na łące.

Takiego zakroju umysł nie mógł znaleźć całej uciechy dla rozumu, a zwłaszcza dla wyobraźni i szlachetnego serca, w wiedzy teologicznej, którą z powodów praktycznych wkuwają w zimny posąg o klasycznych rysach i poważnej postawie zasłużone szkoły zachodnich myślicieli. Księdza de Régnon wabić musiała do swojej szkoły na dalekim Wschodzie ta Aleksandrya, co prawdę Chrystusową opowiadała językiem pełnym uroku, z porywem niezrównanym, jakby cała tchnęła dziewiczym zapałem tej Katarzyny, która dla umiłowanej nauki podbiła liczny hufiec filozofów pogańskich, aby wezwać ich i poprowadzić za sobą na mękę za tajemnice wiary. Początkowy teolog łatwo traci wątek myśli w wartkim potoku wschodniej wymowy u Ojców ze szkoły aleksandryjskiej: umysł, nie wprawiony w pracę nad oderwanemi pojęciami, woli do niej wskazówek szukać u ścisłych teologów ze szkoły łacińskiej, niż we wspaniałych, jak świątynie, wykładach, którymi suchą prawdę okraszają greccy Ojcowie; ale te wykłady wstrząsnęły duszą księdza de Régnon, przemówiły do niej ponętniej, niż dyalektyczna forma łacińskich mistrzów i zniewoliły ją, żeby badała prawdę w przepysznych obrazach, kreślonych pendzlami artystów.

Ksiądz de Régnon, uniesiony słusznym zachwytem dla bogactwa chrześcijańskiej wymowy u wspaniałych Greków, nie-

słusznie stracił serce dla łacinników, jakby w nich widział tylko zeschłe kościotrupy, co wbijają w głowy uczniom suchy szkielet teologii. Stąd wypłynęły u znakomitego pisarza w liczbie wcale niepożądanej wyroki dla łacinników bardzo surowe i pogłębiają przeciwieństwa między starożytnymi Ojcami greckimi a średniowieczną szkołą teologii łacińskiej w szczegółach niepośledniej wagi. Ale w rzeczy najważniejszej autor świetnie użył darów dowcipu i potęgi pióra: przedstawił spór o pochodzeniu Ducha świętego w świetle, które może ułatwić zgodę między poróżnionymi Kościołami. Autor bardzo umiejętnie objaśnia, że pierwotne źródło tego sporu, dogmatycznego obecnie, polega na filologicznych rozprawach, toczonych między Grekami na setki lat przed podziałem Kościoła Powszechnego na prawosławie wschodnie i katolicyzm zachodni.

Aby streścić wywody księdza de Régnon trzeba z nim sięgnąć trochę do gramatykalnych szczegółów: do składni niektórych czasowników z przyimkami, — i uwydatnić można tę sprawę z pomocą języka polskiego.

Nie mamy w polskim języku ani Rzymianie nie mieli w łacinie dwojakich wyrazów, któreby — zgodnie z mową pospolitą — w teologii wyrażały stosunek Ducha świętego do Ojca inaczej, niż stosunek do Syna. Dopiero wykład szerszy objaśnia, że pierworodnym początkiem całej Trójcy świętej jest Ojciec i tylko Ojciec. Nietylko Ojciec jest Bogiem, nie On jeden wszechwieczny, wszechmądry i wszechpełen przymiotów Boskich: każda Osoba równo posiada Bóstwo z wszystkimi jego przymiotami. Ale każda Osoba osobistą własność swoją posiada wyłącznie; otóż być pierwotnym początkiem całej Trójcy stanowi osobistą własność Ojca, który jej nie daje innym Osobom: sam ze siebie wykonywa tę sprawę żywotną Bóstwa, jako jej źródło pierwotne. Ojciec wydaje ze siebie Syna, ale osobistej własności rzeczonej nie daje Synowi. Choć wszystko prócz tej własności wspólnie ma Ojciec z Synem, ale Syn nie jest pierwotnym początkiem żadnej Osoby w Trójcy.

Syn ma drugą własność osobistą, której nie ma inna Osoba: jest pochodnym od Ojca uczestnikiem tej sprawy żywotnej Bó-

stwa, z której Ojciec wydaje Ducha świętego; ma z Ojca wszystko, co nie stanowi osobistej własności Ojca: więc z Ojca to ma, że należy do rzeczonej sprawy, jako przewód, przez który źródło wydaje wodę.

Więc Duch święty, jakoby w zawiązku swojego bytu wiekuistego, wynika tylko z Ojca, jako z pierwotnego początku: podobnie jak dzienne światło ze słońca; a jak słońce nie bez promieni świeci, bo nieodłączne od słońca jego promienie z niem stanowią źródło dziennego światła na ziemi, podobnie Ojciec bez Syna ma swoją własność osobistą, ale nie bez Syna ma Bóstwo i jego sprawę żywotną, z której wydaje Ducha świętego: czyli od Ojca i od Syna nieodłącznego w Bóstwie zależy Duch święty w swoim bycie; nie w niejednakowym stosunku jest z Ojcem, jako z pierwotnym początkiem swoim, i z Synem, jako z pochodnym uczestnikiem swojego początku, ale w swoim bycie występuje przedwiecznie wydany przez Syna z Ojca. Otóż, co długo opisujemy w orzeczeniu: pierwotnie wynika tylko z Ojca, jako pierwotnego początku, ale wydany z Ojca przez Syna, jako przez nieodłącznego uczestnika w żywocie Boskim Ojca, to bez różnicy wyrażamy krótko: pochodzi z Ojca przez Syna albo od Ojca i Syna. Ale greccy pisarze używali odrębnych słów, które krótko wyrażały myśl dokładnie: wynikać jako z pierwotnego początku znaczyło u nich ἐκπορεύεσθαι, a ogólnie *pochodzić* znaczyło ἐξιέναι albo προιέναι. Nadto wyrażali pojęcie pierwotnego początku jednem słowem αἴτιος, a ogólnie przyczynę i początek nazywali αἰτία. Więc jak nie możemy powiedzieć, że Duch święty pierwotnie wynika ze Syna, jako z niepochodnego początku, tak Grecy nie mogli powiedzieć, — jeżeli dbali o wyrazy dokładne, — że Duch święty ἐκπορεύεται ze Syna, albo pochodzi ze Syna jako z αἴτιος. Otóż właśnie Rzymianom brakuje drugiego czasownika, dobitniejszego niż *procedit*, nadto brak w łacinie różnicy między przyimkami, odróżnianymi po grecku i także po polsku. Czujemy dobrze, że poprawnie po polsku powie np. macocha o swoim posierbie: mam to dziecko *od* mojego męża *z* jego pierwszej żony, a nie: *z* mojego męża *od* jego żony, bo

ten ostatni zwrot brzmiałby niebardzo zrozumiale. Również ściśle odróżniali Grecy odcienie przyimków ἐξ, ἀπό, διά, παρά, przeciwnie Rzymianie w łacinie pospolitej rozumieli zarówno zwroty z *ex*, jak z *de* albo *ab* i *per*. Stąd Rzymianie używali w łacinie jednego i tego samego przyimka *ex*, kiedy mówili o pierwotnym początku Ducha świętego *z* Ojca i o względnym (albo pochodnym) początku Ducha świętego *od* Syna; i romańskie ludy odziedziczyły po łacinie przyimki bez owych głębszych odcieni, np. Francuzi mówią: *procède **du** Père et **du** Fils*, a doborem przyimków nie uwydatniają dwoistego stosunku.

Grecy przy tajemnicy Trójcy świętej tę samą różnicę mieli na oku, jaką widzimy po polsku między zwrotami: „wiersz ułożony *przez* poetę“, albo „wysnuty *z* jego głowy“, i odróżniamy zwroty: „przez kogoś doznać krzywdy“, albo doznać jej „od kogoś“. Niechby np. dworzanina skrzywdził król, ale skutkiem narady z królową, wtedy poprawnie wyrazimy przygodę słowami: dworzanin doznał krzywdy *od* króla *przez* królowę, bo krzywda pochodzi *z* gniewu królewskiego, jako *z* pierwotnej przyczyny, a *przez* królowę doszła do skutku, jako *przez* doradczynię. Otóż greccy Ojcowie czuli w swojem ἐξ ten szczególny odcień stosunku między bytem pochodnym a pierwotną przyczyną, którego nie uwydatnia łacińskie *ex*, mianowicie jak ks. Pesch[1] wyraża tę sprawę ze względu na niemiecki język: *Sie sehen (das) Verhältniss des principlosen Princips ausgedruckt in der Präposition* ἐκ, *wie wenn wir im Deutschen sagen wollten: Der Heilige Geist kommt vom Sohne, aber aus dem Vater, um durch das Wort aus jenes Princip zu bezeichnen, über welches hinaus es kein anderes mehr giebt.*

Zauważyć tu trzeba, że ten sam język z biegiem wieków zmienia znaczenie swoich przyimków i zastępuje jedne drugimi; np. polszczyzna dawna i ludowa dziś u Górali używa często tam przyimka *ku*, gdzie teraz mówimy *do*, albo dawniej pisano: „*od* rzemieślnika zrobiony przyrząd“, dziś: *przez* rzemieślnika i t. d. Tem bardziej ten sam pierwiastek zmienia odcień myśli

[1] Jak wyżej str. 30.

w różnych językach, choć pokrewnych. Więc nie dziw, że dzieje literatury greckich Ojców późniejszych wykazują u nich syntaksę nieraz odmienną od literatury starożytnej, albo że Grecy inaczej używają ἐξ, niż Rzymianie *ex*, chociaż oba te przyimki mają jeden początek.

Otóż dzięki nowoczesnemu rozwojowi literatury greckiej z doby Ojców, ks de Régnon mógł na bardzo licznych przykładach sprawdzić uwagę Franzellina i innych o owych odcieniach myśli, do których greccy pisarze naginali swój język, a nie przypadkiem używali tych przyimków zamiast owych. Z tych świadectw widzimy, że bezbarwnemu *ex* w łacinie odpowiada greckie nie ἐξ tylko παρὰ przy rozprawach o Trójcy świętej późniejszych, np. u św. Epifaniosa[1]. Dawniejszy od niego św. Cyryl nie odróżnia jeszcze doborem przyimków ἐκ i διά odcienia swoich myśli[2]. Św. Bazyli już tę różnicę zna, ale jako wprowadzoną wbrew dawniejszemu zwyczajowi, według którego ἐκ i διά równie dobrze służyły w różnych zwrotach[3], przecie sam woli używać zwrotu dobitniejszego, że Boska Przyroda *z* Ojca *przez* Syna *w* Duchu przebywa[4]. Św. Maksym już o tej różnicy mówi, jako zupełnie utartej w VII-em stuleciu, i świadczy, że wrażliwi na nią Grecy wytykają już jej brak u Rzymian, którzy zamiast powiedzieć *procedit ex Patre per Filium* albo *a Filio*, bezbarwnym dodatkiem *Filioque* zacierają odcień myśli. Otóż św. Maksym znał osobiście Rzymian, bo przed monotelitami z Grecyi uciekł był pod opiekę Stolicy apostolskiej, więc z ustnych rozmów z Rzymianami znał ich naukę i uspokajał Greków, że łacińscy pisarze tylko w krótkim zwrocie *ex Patre Filioque* wyrażają myśl mniej dobitnie, ale przy szerszym wykładzie stanowczo zaprzeczają, jakoby myśleli, że Syn jest

---

[1] Migne: *P. G.* XLIII, 30, 138: τὸ παρ' ἀμφοτέρων Πνεῦμα, φῶς τρίτον παρὰ Πατρὸς καὶ Υἱοῦ.

[2] Migne: *P. G.* LXXVI, 308: τὸ ἐξ αὐτοῦ (Υἱοῦ) καὶ οὐσιωδῶς ἐμπεφυκὸς αὐτῷ Πνεῦμα ἅγιον, 1408: πρόεισι δι' ἀμφοῖν, LXVIII, 148: οὐσιωδῶς ἐξ ἀμφοῖν, LXXV, 558: πρόεισι καὶ ἐκ Πατρὸς καὶ Υἱοῦ.

[3] Migne: *P. G.* XXXII, 77.

[4] Migne XXXII, 153: ἐχ Πασρὸς δι' Υἱοῦ ἐν Πνεύματι διήκει.

αἴτιος, czyli pierwotnym początkiem Ducha świętego, bo wiedzą, że tylko Ojciec jest αἴτιος i Syna i Ducha św., a Syn, jako równy Ojcu we wszystkiem prócz Ojcowstwa, należy do sprawy Bóstwa, z której Ojciec wydaje Ducha św.; z Ojcem Syn tę sprawę wykonywa nie jako pierwotny początek, tylko jako początek względny albo pochodny odwiecznie; jednak Rzymianie, jak w potocznej mowie nie rozróżniają zwrotów: *ex te hoc rescivi*, albo *per te...*, tak samo bez różnicy używają albo krótszego słowa *ex Patre Filioque*, albo *ex Patre per Filium*. Św. Jan Damascen w następnem stuleciu [1] już nie chce słyszeć zwrotu ἐξ Υἱοῦ, tylko wyraża prawdę słowami: Duch Syna *z* Ojca, jak mówimy o „dziennem świetle promieni *ze* słońca", a nie, że „słońce *ze* siebie *i* swoich promieni wydaje światło dzienne"; gramatycznie wykłada św. Jan swoją zasadę, że ἐξ wyraża stosunek przyczynowy do αἴτιος, czyli początku niepochodnego, więc Duch św. jest Duchem Syna, nie jakoby wynikły *ze* Syna, ale wydany *przez* Syna *z* Ojca, a αἴτιος i Ducha i Syna jest tylko Ojciec.

Może kogo ta gramatyka w teologii dziwi, jakoby nie przydatna do żadnych wniosków dogmatycznych. Ale często nawet w codziennej mowie musimy dbać o tę różnicę, np. nie powiemy, że Bolesław Śmiały pochodził *od* Ruryka *i* matki swojej, księżniczki kijowskiej, ale że pochodził *od* Ruryka *przez* matkę. W tym wypadku musimy zachować tę różnicę: Damascen o tę samą różnicę dbał w swoim przedmiocie.

Wspomniany poprzednio Maksym dodał w rozmowie z Grekami ten szczegół, że kiedy pojął dobrą myśl, niedobitnie wyrażoną przez łacińskie *Filioque*, wtedy prosił ich, żeby trochę dokładniej wyrażali swoją naukę, bo różnica wyrazów między Grekami a Rzymianami naraża nieraz na niebezpieczeństwa: *ex male intellectis haeresis*.

Obawa świętego biskupa nie okazała się płonną: filozoficzna rozprawa między pisarzami, czczonymi przez cały Kościół Chrystusowy na Wschodzie i Zachodzie, odkryta dopiero przez no-

[1] Migne; *P. G.* XCIV, 832, 849.

wszych pisarzy, wyjaśnia ważny szczegół w biegu wypadków, które rozszczepiły Wschód i Zachód.

Szczegół ten zrozumialej wygląda, jeżeli pamiętamy ze świętym Augustynem [1] i świętym Tomaszem [2], że schyzma — odszczepieństwo — w Kościele polega na grzechu przeciwko miłości, a nie przeciwko wierze, bo ten drugi grzech stanowi herezyę. To też dzieje Kościoła nie o odszczepieństwie Nestorego, Ariusza albo Lutra mówią, tylko o ich herezyi, a mówią o odszczepieństwie, schizmie, kiedy zatarg podzielił Kościół na przeciwne obozy wskutek osobistej urazy Donata, Henryka VIII-go albo Janseniusza, czy to z powodu kary nałożonej za przestępstwa czy z powodu odmówionego rozwodu albo urzędu kościelnego i t. d.; a kiedy uraza przestaje boleć i Duch miłości połączy nienawistnie usposobione serca, wtedy odszczepieństwo ustaje. Żeby heretyka nawrócić, trzeba wnieść światło do rozumu oślepłego w uporze; żeby na Unii Florenckiej pogodzić Wschód i Zachód, trzeba było rzewnej przemowy kijowskiego metropolity Izydora o zgodzie między członkami Ciała Chrystusowego, bo rozumowe wywody nie poruszyły uczestników soboru, nieskorych do ustępstw.

Z nieszczęsnego sporu między Carogrodem a Rzymem zdaje sprawę ks. de Régnon w sposób najgodniejszy uwagi, pełen rzadkiej miłości dla Greków, zdolnej ich ująć, — i, jak wszyscy sprawozdawcy przyznają bądź na jego pochwałę, bądź z naganą:— łacinnik, dla swojej łaciny zimny jak lód, a przejęty żarem dla greckiej teologii Ojców starożytnych, wykopał z niej spór filologiczny i wyjaśnił pytanie, dotychczas ciemne dla psychologów.

Skąd u Focyusza znienacka powstała myśl o herezyi Papieża co do pochodzenia Ducha świętego? Wszak sami dziejopisowie greccy dokładnie opowiadają, że Focyusz w ciągu długoletnich stosunków z Papieżem wychodził z tego samego stanowiska, na jakiem stał Wschód względem Zachodu od początku chrześcijaństwa: wszystkie biskupstwa i patryarchaty tworzyły

---

[1] Lib. I: *De Serm. Domini*, cap. V.

[2] 2-a 2-a q. *de schismati.*

jeden Kościół. A wszedł Focyusz w te stosunki z Papieżem, aby od niego uzyskać wyrok przeciw patryarsze Ignacemu, otaczanemu do dziś dnia czcią świętego przez łaciński i grecki Kościół. Na jego stolicy osiadł na chwilę Focyusz, ale Papież, poparty przez carogrodzkiego cesarza, przywrócił stolicę świętemu Ignacemu. Że Focyusz uznawał w Papieżu władzę Piotra apostoła nad patryarchatem carogrodzkim, póki usiłował zająć miejsce Ignacemu, a że tej władzy nie uznał, odkąd musiał ustąpić przed Ignacym: to zrozumiałe następstwo psychologiczne i logika żalu za straconą nadzieją. Ale po tyloletnich stosunkach Focyusza z Papieżem, niezawsze serdecznych, ale zawsze opartych na zasadzie jednej Wiary Powszechnej, nagle gotowa przepaść takich rozmiarów, jak zarzut herezyi, ciśniony w oczy Rzymowi i przerwane wszelkie drogi z Carogrodu do Rzymu: to zbyt nagłe widowisko, aby pojąć je zaraz.

I jak nagle powstał, tak nagle znika ten zarzut; po Focyuszu Wschód ze Zachodem znowu tworzą jeden Kościół Powszechny przez dwieście lat aż do Michała Kerulariosa, który wysłał do Leona Papieża prośbę o nazwę ekumenicznego patryarchy; zganiony za prośbę przeciwną zwyczajom, skinął i w mgnieniu oka przepaść niezgłębiona znowu zieje między Rzymem a Carogrodem; zarzut herezyi papieskiej na podorędziu czekał, gotów do usług.

Tak na poczekaniu, na znak palcem dany przez jednego patryarchę, nie mogą ze setek stolic biskupich i cel mnisich na Wschodzie i katedr scholastycznych na Zachodzie wybiegać zastępy teologów, gotowych zaraz poważną liczbę starożytnych ksiąg przytaczać, jako świadków i obrońców nauki, że albo słowa: *ex Patre Filioque procedit* wypowiadają starą myśl apostolską, albo tylko słowa ἐκ Πατρὸς (bez dodatku Υἱοῦτε) ἐκπορεύεται wyrażają oddawna myśl prawowierną. Znamiennie to wygląda, bo migiem nie mogła w księgach Wschodnich powstać przeważna liczba świadectw, które starannie unikają zwrotu, odpowiedniego dosłownie łacińskiemu *ex Filio*, ani ten łaciński dodatek nie w jednej chwili napełnił mnóstwo starożytnych ksiąg. Aby wyjaśnić to zjawisko, zaczęli jedni drugich podejrzewać o umyślną

przeróbkę świadectw pierwotnych. Ale nie dość podejrzewać: trzeba dowieść zarzutu: a dowody bardzo rzadko przemawiały stanowczo. Na wiązankę greckich zarzutów, że Rzymianie spaczyli dawne świadectwa, odpowiada bardzo przystępnie ks. de Régnon i umiejętnie zbija słabe istotnie zarzuty. Przeciwko greckim księgom — niepodejrzany świadek — kardynał Bessarion mógł tylko zarzucić, że w kilku rękopisach po celach mniszych znalazł wytarte słowa świętego Bazylego i jeszcze któregoś Ojca: ἐξ Υἱοῦ; oczywiście całej Cerkwi Wschodniej nie można zarzucać winy, iż ten i ów mnich pousuwał ze swojego rękopisu słowa, o których w dobie zatargów usłyszał sąd złośliwy; może i sam, prosty człowiek, nie zawinił, iż dobrodusznie uwierzył przesądom w tej mierze. Ale na setkach innych rękopisów tak Grecy jak Rzymianie nie dostrzegli śladu przeróbek: więc mogli z dobrą wiarą znosić gotowe dowody, które ostatecznie wyświecają gramatycznie literaturę staro-chrześcijańską, ale nie dogmat. Dopiero myśl w tych zwrotach, zbadana w Lugdunie i Florencyi przez spokojnych znawców, potwierdziła wspólną naukę prastarą. Zbyt jasno dowiódł Wschód swojego zmysłu zachowawczego, aby pozwolił wątpić, że nie odstąpiłby po upadku Focyusza i przy Soborach od zarzutu papieskiej herezyi, gdyby nie znalazł papieskiej nauki u Ojców.

Czy Focyusz sam zdawał sobie sprawę, że z zasad filologicznych o syntaksie przyimka ἐξ z wyrazem Υἱός po czasowniku ἐκπορεύεσθαι wysnuł sprawę dogmatyczną? Czy przeciwnie, zaprzątnięty nieszczęsną wyprawą na stolicę świętego Ignacego i rozdrażniony na Papieża za pomoc, udzieloną świętemu, spojrzał pobieżnie na dzieła Ojców i z tych zwrotów gramatycznych w pośpiechu wysnuł dowód teologiczny? Zwolennicy jego, dziejopisarze świadczą, że myśl o papieskiej herezyi znienacka wypadła z pod jego pióra w ciągu walki o stolicę świętego Ignacego. Taka chwila, ma się rozumieć, nie uspokaja sądu o każdym zarzucie, którym uraza godzi w przeciwnika. Mógł Focyusz w tej mierze, zapalony walką, ukuć pocisk, któremu właściwie ostrza brakuje. Tem bardziej mógł tym pociskiem walczyć Kerularios, ani nauką ani doborem zarzutów ani dowcipem nie

równy Focyuszowi. A w biegu dalszej walki i obrońcy Papieża i zwolennicy Kerulariosa, teolodzy nie filolodzy zwykle, szukali u Ojców Kościoła teologii i badali ich dogmat, o ich syntaksie nie rozmyślali. Na to trzeba było czekać pomocy, której najnowszym teologom udzielił Migne przez zbiór Ojców greckich. Pole to znęciło nie tylko poważnego Franzellina, ale także jedynego w swoim rodzaju „pędziwiatra", jak chce się nazywać ks. de Régnon, żeby podróżować po literaturze starochrześcijańskiej i w wycieczkach na chybił trafił z tajemnic Wiary spaść na tajniki przyimka ἐξ.

Całą treść powyższych wywodów rozwinął ks. de Régnon znakomicie w 3-ej części swojego dzieła, jak przyznaje surowy ks. Pesch, który też poczytuje tę część dzieła za nietykalną żadnym zarzutem. Ale nim ks. de Régnon mógł wejść w jądro sprawy, musiał poruszyć wiele pojęć wstępnych i prawd przygotowawczych; również w dalszym ciągu, po streszczonej tu sprawie filologicznej, przechodzi na wycieczki dość swobodne do prawd spokrewnionych. Na tle tych rozpraw przeziera ciągła troska, czy nie lepiejby wyrzucić z łacińskich dzieł teologicznych wszystko, o czem milczą Grecy; ta troska dotyczy naprzód słów, ale czasem sięga rozmiarów bardzo pierworodnych. Np. pobożni chrześcijanie na Zachodzie, aby uczcić Trójcę świętą, wspominają trzy Boskie Osoby także przy nabożeństwach, nie związanych ściśle i dogmatycznie z tajemnicą Trójcy, więc np. przy wzmiance o trzech szczególnie doniosłych dziełach Boskich: o Stworzeniu, Odkupieniu i uświęceniu wymieniają Boskie Osoby, czyli przywłaszczają każdej z nich jedno z tych dzieł, chociaż wierzą, że w każdem dziele Boskiem na zewnątrz wszystkie trzy Osoby bez różnicy działają. Otóż, jak różne w łacińskim Kościele zwroty mowy albo objawy nabożeństwa odrębne, tak i powyższe przywłaszczanie, *appropriatio*, znajduje przeciwnika w księdzu de Régnon, który wprawdzie swój pogląd wyraża ze wstydem: *je le répète à ma honte*, ale wątpi, czy nie wypadałoby odrzucić tego nabożeństwa, bo nie znajduje dla niego podstawy w literaturze greckiego Kościoła! Zarzuty podobne w ustach teologa wymownego i nader bystrego

wyglądają na wyrok, że łacinnicy zanieczyszczają Wiarę bezpodstawnymi dodatkami. Nie zamyślał oczywiście ks. de Régnon potakiwać Grekom w ich przesądach przeciw Zachodowi: jego zapęd i bardzo śmiałe skoki w ich stronę pochodzą tylko z gorącej chęci, żeby szczerze przyłożyć ręki do dzieła, nad którem Chrystus pracuje: aby wszyscy byli jedno, jako On z Ojcem.

W takich wycieczkach na chybi trafi ks. de Régnon trafił czasem na grzązkie drogi, ale każdy owoc rodzi swojego robaka i każdy rodzaj umysłów, zwłaszcza wybitnych i śmiałych, roni łatwo pomysły niedojrzałe. Ksiądz de Régnon sam w jednym z listów do przyjaciela wyznaje, że byłby bardzo dużo zmienił albo wyjaśnił, gdyby układał swoje dzieło nie na ustroniu, bez rady niczyjej, natchnięty polotem myśli chwilowej. W rozprawach później wydawanych korzystał chętnie z uwag o usterkach poprzednich i poglądom, zawsze niepohamowanie samodzielnym, zaczął nadawać tok podobniejszy do utartego. Ale nie w całej przędzy tysiącznych pomysłów przebrał złote nici i liche włókna; nie mógł... a to z powodu wypadku, w którym jego postać, zawsze miła i zamarzona, dostaje blasku dziwnego. Już kończył ostatni rozdział, w którym zapowiedział, że naprzód opisze błogi wpływ Ducha św. na duszę w tym żywocie, a potem w szczęściu wiekuistem. Gdy przechodził na tę drugą myśl, wszedł do jego pokoju gość i zastał pisarza przy stoliku, z głową opartą na ręku, z piórem nieruchomem w środku zaczętego zdania: „nie na tem zjednoczeniu z Duchem świętym już koniec...“

Na tem był koniec. Nim dopisał całą myśl o zjednoczeniu z Bogiem, zatopiony w niej, oddał ducha.

Ks. K. Czaykowski.

ŚWIĘTY STANISŁAW BISKUP
W ŚWIETLE ŹRÓDEŁ PÓŹNIEJSZYCH.

(Dokończenie).

Żywot mniejszy pisany był wedle wydawcy p. W. Kętrzyńskiego około roku 1230, a to na podstawie wzmianki o kościele wystawionym przez św. Stanisława, który wówczas „przed niewielu laty ze starości się zawalił“ [1]. Ponieważ Dominikanin Wincenty, autor Żywota większego o św. Stanisławie [2], ustęp ten z Żywota mniejszego objaśnił dodatkiem, „który niedawno za czasów księdza Iwona, ś. p. biskupa krakowskiego, ze starości się zapadł“ [3], biskup zaś Iwo zarządzał dyecezyą w latach 1218—1229, zatem w tym czasie kościół runąć musiał, a nie wiele później, a więc około 1230 żywot niniejszy napisany być musiał. Zdaniem naszem, żywot napisany był nieco później. Lata około r. 1230 są zawichrzone podwójną walką o tron książęcy i o tron biskupi, nie nadawały się chyba do szerzenia kultu św. Stanisława, a taki cel ma niezawodnie dzieło tego rodzaju jak żywot. Ani nawet czas rządów biskupa Wisława od 1231—42 nie był sposobną chwilą do takiego dzieła z powodu, iż oziębły

[1] „Que nuper ante paucos annos pre vetustate corruit“. Rozdz. I, l. c. str. 254.

[2] *M. P. H.* IV, 362—438.

[3] „Que nuper tempore domini Ivonis bone memorie crac. episcopi pre vetustate corruit“. I, 4, l. c. str. 367.

realista i sensat Wisław wobec kanonizacyi biskupa Stanisława zachował się obojętnie [1].

Wstąpienie na tron biskupi gorliwego czciciela św. Stanisława, Prandoty z Białoczowa, dopiero dało asumpt do szerzenia kultu męczennika. Wtedy też, prawdopodobnie r. 1243 dokonano podniesienia zwłok ś. p. biskupa, wtedyto zaczęto spisywać cuda przy grobie wydarzone i robić starania o kanonizacyę, wtedyto musiał powstać Żywot mniejszy jako jeden z kroków przygotowawczych do tej kanonizacyi. Z zapatrywaniem mojem nie stoi w sprzeczności wzmianka żywociarza o kościele w Szczepanowie, *que nuper (tempore domini Ivonis) ante paucos annos pre vetustate corruit.* Od śmierci Iwona upłynęło do r. 1242 zaledwie 13 lat, choćby kościół nawet kilka lat wcześniej był runął, to przestrzeń czasu 13 do 20 w porównaniu do 150 lat, które liczył zapewne ów stary kościół, fundowany w Szczepanowie przez biskupa męczennika, wydawać się musiała niewielką i dlatego słusznie pisze żywociarz o zapadnięciu się kościoła jako o wypadku niedawnym. Wszak nawet autor Żywota większego, Dominikanin Wincenty, piszący jakie 18 lat później, powtarzając za Żywotem mniejszym wiadomość o zawaleniu się kościoła, pisze: *que nuper pre vetustate corruit,* zamiast jednak nietrafnego już w r. 1260 zwrotu *ante paucos annos,* pisze *tempore d. Ivonis b. m. episcopi Crac.*

Charakterystyczna ta zmiana świadczy również, że Dominikanin Wincenty, korzystając z *Vita minor,* bynajmniej tak niewolniczo się nie trzyma swego źródła, jak twierdzi p. Kętrzyński [2], i że dlatego słów dalszych, zaczerpniętych z *Vita minor: Nos quoque eandem ecclesiam vidimus et in ea verbum Dei populo predicavimus* — nie mógł zaczerpnąć bezmyślnie do swego dzieła, lecz, że one rzeczywiście do niego się odnoszą, t. z., że Dominikanin Wincenty jest zarówno autorem Żywota większego, jak i mniejszego. Trafne wywody p. Kę-

---

[1] Łaguna: „Dwie elekcye", *Ateneum* 1878, t. II, str. 6—8 i *Miracula sti Stanislai* art. XXXV, *M. P. H.* IV, 311.

[2] *M. P. H.* IV, 346.

trzyńskiego[1] wykazały, że Żywot większy napisał Dominikanin Wincenty w roku 1260—61, że napisał tylko brulion i odumarł dzieło. Z żywota samego wiemy, że autorem był członek krakowskiego konwentu i że biskup Prandota i kapituła krakowska proszą go o napisanie dzieła[2].

Pan Kętrzyński sam przypuszcza, że był to człowiek znany ze swych zdolności, światły i posiadający powszechne zaufanie, skoro biskup i kapituła jemu właśnie, a nie któremuś z kanoników polecają napisanie żywota św. Stanisława. I nie mogło być inaczej. Ten brat Wincenty, który opowiada przy kościele św. Trójcy pod kolumną naprzeciw grobu św. Jacka, a któremu pobożni, jak ów garbarz ze Sławkowa, donoszą o cudownych wizyach św. Stanisława, ba, co więcej, donoszą o sześciu świętych i wysłańcach bożych w Polsce, równych zasługami błogosławionemu Stanisławowi[3], to osobistość nielada w ziemi krakowskiej i w Polsce. Widocznie zajmował się wiele św. Stanisławem i innymi świętymi w Polsce, widocznie musiał dowody dać, że umie pisać, skoro do niego biskup i kapituła cała się zwraca. Autor, który, jak sam powiada, cośkolwiek otrzymał z talentów Bożych[4], nie bez obawy zabiera się do dzieła i na podstawie różnych świadków, własnej obserwacyi tworzy co?... Lichą kompilacyę z cudzych źródeł, jak chce pan Kętrzyński, a zwłaszcza z *Vita minor,* którą dosłownie prawie wcielił do dzieła swego, a własnej swej pracy zaledwie rozdziałów kilka-

---

[1] *M. P. H.* IV, 333/4.

[2] „Ego frater Vincentius Vincencius de ordine fratrum ordinis predicatorum rogatu venerabilis patris domini Prandote Cracoviensis episcopi et capituli sui ad honorem Dei gloriosique martiris et pontificis Stanislai ea, que ex relacione fidedignorum, qui a suis antecessoribus, qui facie ad faciem beatum Stanislaum noverant, audierunt et ei familiares existentes facta eius intellexerunt, ea quoque, que sub oculis meis vel vidi vel auditu comperi, alia vere bona, que ipsum a Deo per humanum studium et temporis incrementum sicut et nos in nobis accepisse perpendimus, brevi et humili stilo perstringere curavi et huic opusculo Domino favente, prout potui, inserui. *Prologus in vitam sti Stanislai. M. P. H.* IV, 363/4.

[3] *Vita maior* III, 54. *M. P. H.* IV, 433.

[4] *Prolog.* str. 363.

naście [1]. Czemże więc usprawiedliwił to wysokie mniemanie całej ówczesnej intelligencyi w Polsce o sobie? Jeżeli za p. Kętrzyńskim przyjmiemy, że *Vita minor* jest dziełem innego autora — niczem. Zrobił kompletne fiasko.

A jednak to dzieło staje się najpoczytniejszą księgą drugiej połowy XIII i XIV wieku. Wspominać będą te *Vincenciana cronica* jeszcze źródła XV wieku [2]. Czy to znaczenie, jakie dzieło Dominikanina Wincentego uzyskało, czy sława, jaką się cieszył u biskupa i kapituły, były możliwe, jeżeli praca jego wyłącznie prawie polegała na kompilacyi, ba, nawet na plagiacie dzieła innego Dominikanina, jak chce p. Kętrzyński? [3] Mojem zdaniem, są to rzeczy niemożliwe nawet w średnich wiekach i niema innej rady, jak uznać, że *Vita minor* i *maior* pisała jedna i ta sama osoba, tylko pierwszą około r. 1243, drugą około 1260. Wtedy zrozumiałe będzie także, dlaczego kapituła i biskup do Wincentego się zwraca o napisanie dzieła o św. Stanisławie. Napisał on już żywot ziemski św. Stanisława; niewątpliwie, jakeśmy wyżej widzieli, ten żywot odgrywał ważną rolę przy kanonizacyi; żywot ten jednak w r. 1260 nie wystarczał, brakło w nim opisu kanonizacyi i cudów, przez św. biskupa zdziałanych, a przez Stolicę Apostolską uznanych. O uzupełnienie pierwszej pracy, o drugie jej rozszerzone wydanie proszą tedy sędziwego autora biskup i kapituła, a takiej pracy bez trudności dokonał gorliwy czciciel św. Stanisława, który w dziele kanonizacyi *magna pars horum fuit* [4].

Cały szereg uczonych, jak Żegota Pauli, August Bielowski,

---

[1] *M. P. H.* IV, str. 244, str. 341.

[2] *Translatio sti Floriani* III. *M. P. H.* IV, str. 761.

[3] *M. P. H.* IV, 245.

[4] Katal. bisk. krak. IV, *M. P. H.* III, str. 359. „Prandotha... misit in curiam Romanam dominum Iacobum de Skorzeschow cum nonnulis fratribus de ordine minorum et predicatorum, qui tribus annis continue laborantes, magno acervo miraculorum per beatum Stanislaum factorum obtinuerunt canonisationem eiusdem beati Stanislai". Było to w r. 1251. Cfr. Rocz. kap. krak. *M. P. H.* II, str. 805. Dokładny opis uroczystości kanonizacyjnej w Assyżu zdaje się przemawiać za tem, że Wincenty Dominikanin jako naoczny świadek uczestniczył w tym akcie. *Vita maior* III, 56. *M. P. H.* IV, str. 437.

Zeissberg [1], oraz prof. Wojciechowski [2] twierdzą, że autor żywota św. Stanisława jest identycznym z głośnym w tych czasach Wincentym Kieleckim. Prof. Wojciechowski jest zdania, że rzeczywisty Wincenty Kielecki był pierwotnie kanonikiem krakowskim, wykazał dalej, że jako taki sprowadził r. 1237 zwłoki biskupa Iwona do Polski wraz z dominikańskim prowincyałem Marcinem, następnie wstąpił do zakonu Dominikanów, w r. 1246 znajduje się w klasztorze raciborskim, a w r. 1258 nawet jest tamże przeorem i nie jest nim już w roku 1260, lecz jeszcze w Raciborzu przebywa. Przeciwko temu występuje w przedmowie do Żywota większego p. W. Kętrzyński, twierdząc [3], że identyfikowanie Wincentego, Dominikanina z Krakowa, z Wincentym Kieleckim polega tylko na Długoszu [4], który niewiele więcej wiedział o Wincentym i tylko na podstawie Katalogu IV biskupów krakowskich [5] i własnej kombinacyi przyszedł do przekonania, że Wincenty Kielecki jest autorem żywota o św. Stanisławie. Pan Kętrzyński nie przeczy, by Wincenty Kielecki, żyjący około r. 1237, nie mógł być jedną i tą samą osobą z Wincentym Dominikaninem z r. 1160, twierdzi tylko, że na to nie mamy żadnych dowodów, aby Wincenty, kanonik krakowski z r. 1234, drugi Wincenty Dominikanin z r. 1237, były przeor dominikański w Raciborzu i Wincenty, autor żywota o św. Sta-

[1] „Dziejopisarstwo polskie“ I, 120.

[2] „O życiu i pismach Wincentego z Kielc“. Pam. Akad. Umiej. V, str. 30—36.

[3] *Mon. Pol. Hist.* IV, str. 331/2.

[4] *Liber beneficiorum* III, str. 447/8. „Sed et frater Vincentius de Kelcze de ordine praedicatorum nullatenus negligendus, sed praesenti scripto et memoriae inserendus est, qui martire b. Stanislao canonisato et vitae illius historiam et ad singulas horas nocturnas et diurnas in honorem eius ab ecclesia explendas legendas et canticas suavi et spectabili modulatione cocinnaque ac diserta descriptione primus composuit et descripsit et altissimis cantibus et praeconiis suis suapte stupendam atque admirandam insigniter nobilitavit, proprium decus cuilibet officio, cuilibet responsorio et antiphonae divino, ut reor, spiritu inspiratus adiecit adeo, ut non tantum nobis ex Polonorum genere satis, et qui sanctum Dei magno cultu, magna veneratione ultra caeteros obligamur extollere, sed etiam exteris sit in admiratione“.

[5] *M. P. H.* III, str. 357.

nisławie byli jedną i tą samą osobą. Zdaniem zasłużonego wydawcy żywota o św. Stanisławie, Wincenty Kueloiensis na dokumencie raciborskim z roku 1260 nie mógł być żadną miarą autorem Żywota większego, który pisał 1260—61 w Krakowie [1]. Nie chcemy przesądzać, czy rzeczywiście Kueloiensis, jak mniema p. Wojciechowski, znaczy Kielecki, twierdzimy jednak, że pobyt rzekomego Wincentego Kieleckiego w Raciborzu w r. 1260 nie sprzeciwia się bynajmniej faktowi, aby tenże zakonnik nie mógł w tym samym roku pisać żywota w Krakowie.

Proszę sobie uprzytomnić sytuacyę! Autor żywota musiał bawić w r. 1257 w Krakowie, skoro, jak z wizyi garbarza ze Sławkowa dowiadujemy się, spowiadał pod słupem naprzeciw grobu brata Jacka, zmarłego 4 sierpnia 1257 [2]; mógł w końcu roku 1257 zostać przeorem raciborskim, skoro słyszymy o przeorze tego imienia w r. 1258, a w końcu 1260 mógł już nie być przeorem, lecz prostym zakonnikiem w Raciborzu, skoro przeorat trwa tylko 3 lata u Dominikanów i innych zakonników i mógł jeszcze w końcu tegoż roku wrócić do Krakowa i rozpocząć pisać dzieło o św. Stanisławie, które wedle p. Kętrzyńskiego pisał w r. 1260 i 1261 [3].

Wobec tego i odwodowe twierdzenia p. W. Kętrzyńskiego nie mają matematycznej pewności. W każdym razie niczem nie dowiódł, jakoby Długoszowe twierdzenie o Wincentym z Kielc, jako autorze „Żywota św. Stanisława“ było tylko z palca wyssane. Przyznajemy, że nie mamy absolutnej pewności o tem, czy Wincenty, autor żywota o św. Stanisławie, a Wincenty Kielecki są identycznymi.

Godzimy się na to, że identyczność obu Wincentych nie ma wcześniejszego poświadczenia aż dopiero u Długosza [4]. Mniemamy wszakże za prof. Wojciechowskim, że wątpliwość w tym przedmiocie byłaby zbytkiem skrupulatności krytycznej. Przyznajemy bowiem, że Wincentych mogło u Dominikanów być więcej

[1] *M. P. H.* IV, str. 332, przypisek 2-gi.
[2] *De vita et miraculis st Iacconis. M. P. H.* IV, 863.
[3] *M. P. H.* IV, str. 334.
[4] *Lib. Ben.* III, 447.

w czasie między r. 1230 a 1260, nie uważamy za prawdopodobne, aby wybitnych właśnie Wincentych było więcej. Taką wybitną niewątpliwie osobą był Wincenty z Kielc, kiedy katalog biskupów krakowskich wspomina o jego podróży do Modeny i przywiezieniu przez niego zwłok biskupa Iwona do Krakowa, kiedy później nekrolog dominikański na podstawie starszych źródeł zakonnych z r. 1615 wspomina o nim wśród zmarłych znakomitości dominikańskich[1]. Niemniej wybitną osobistością jest, jakeśmy to widzieli, autor naszego żywota. Że w XV wieku była to osobistość znana, najlepiej dowodzi żywot przez niego pisany, wspominany w translacyi św. Floryana[2] pod nazwą Kroniki Wincentego i to pomimo istnienia drugiej kroniki Mistrza Wincentego, którą w tym samym kodeksie także zwano *Vincenciana*[3]. Czyżby to było możliwe, gdyby o Wincentym Dominikaninie wtedy nic nie wiedziano? Autor dzieła, z którego przeważnie korzysta historyografia XIII i XIV wieku, chyba w XV w. nie utonął jeszcze w zapomnienia fali, a Długosz nasz wiadomości o autorze żywota św. Stanisława, o autorze liturgii i pieśni na cześć św. Stanisława w Krakowie, gdzie kult świętego Patrona był tak wielki, zainteresowanie się nim tak żywe, chyba nie z kombinacyi potrzebował czerpać, lecz z żywej tradycyi lub co najmniej autentycznych źródeł.

Streszczając nasze badania nad Żywotem mniejszym, przychodzimy do następujących wniosków:

1) Z wyjątkiem kilku drobnych szczegółów, na tradycyi żywej lub kronikarskiej opartych, reszta biografii św. Stanisława w pierwszych dziesięciu rozdziałach zawartej, jest idealnym wizerunkiem biskupa, zwyczajem ówczesnych hagiografów skreślonym autentycznymi prawdopodobnie, lecz bardzo ogólnikowymi, mało wyrazistymi rysami.

2) W następnych 8-miu rozdziałach (11—18)

[1] Zeissberg: „Dziejopisarstwo polskie". I, str. 124.
[2] *M. P. H.* IV, str. 761.
[3] *De magna strage a 1410. M. P. H.* IV, str. 45

opisany cud wskrzeszenia Piotrowina jest pierwszą znaną nam redakcyą tradycyi średniowiecznej.

3) Reszta żywota, traktująca od 19—35 ustępu o przodkach i przymiotach Bolesława Śmiałego oraz o katastrofie biskupa, jest skreślona nie tylko na podstawie kroniki Mistrza Wincentego, lecz także na podstawie innych źródeł, a zwłaszcza nieznanej nam kroniki z XII wieku, z której prawdopodobnie także i Mistrz Wincenty czerpał swe wiadomości o św. Stanisławie.

4) Żywot mniejszy pisany był nie około roku 1230, lecz najprawdopodobniej w r. 1243 z przyczyny podniesienia zwłok biskupa męczennika.

5) Autorem Żywota mniejszego jak i większego z r. 1260 był jeden i ten sam autor, Dominikanin Wincenty, który najprawdopodobniej jest identyczny z Wincentym Kieleckim.

6) Żywot większy jest tylko drugą redakcyą Żywota mniejszego, rozszerzony opisem cudów, przed kanonizacyą i po niej wydarzonych, oraz opisem samej kanonizacyi.

VI Źródła pochodnie późniejsze.

Kronika Mierzwy. — Roczniki późniejsze. — Kronika wielkopolska. — Katalogi biskupów krakowskich IV i V. — Kroniki śląskie.

Żywot mniejszy i większy stały się źródłem dla wszystkich późniejszych kronikarzy i rocznikarzy, traktujących o św. Stanisławie i dlatego wszystkie te opisy późniejsze od połowy XIII w., jako źródła pochodnie, dla wypadków z XI wieku nie mają szczególnego znaczenia. Co najwięcej są one wraz z *Vita minor* i *maior* ciekawym dowodem, jak podanie o św. Stanisławie przyjmuje charakter coraz więcej królowi nieżyczliwy. Celem wszakże uzupełnienia naszego przeglądu źródeł, traktujących o św. Stanisławie, wymieniamy je po kolei, o ile powtarzają wiadomości

ze źródeł dawniejszych zaczerpnięte, nie wdając się już z małymi wyjątkami w ich krytyczny rozbiór.

Ślady Żywota mniejszego i większego widzimy w t. zw. Kronice Mierzwy, pochodzącej z początku XIV wieku[1]. Ponieważ jednak Mierzwa właśnie opis katastrofy biskupa, z powodu że się znajduje w żywocie św. Męczennika[2], opuszcza, dlatego tem mniejsze dla dziejów św. Stanisława ma znaczenie.

Z żywotów pochodzi niezawodnie dłuższa zapiska w Roczniku kapitulnym, która wyrugowała lakoniczną zapiskę pierwotną źródła Rocznika kapitulnego[3]. Z Żywota mniejszego czerpał swe zapiski o św. Stanisławie Rocznik świętokrzyski młodszy, około 1399 zredagowany[4]. Rocznik ten, mianowicie kodeksy I—VIII wiedzą już dokładnie, że to Jastrzębce i Strzemieńczyki ręce i nogi biskupa z rozkazu króla ucięli i że za ich też sprawą, wskutek ich oszczerstwa miał król biskupa zabić. Rękopis zaś IX tego rocznika, opisując znęcanie się króla nad niewiernemi małżonkami, dodaje: *Equam quoque non racione sceleris, sed in contemptum earum (mulierum) sub purpura post se ducere semper iubebat*[5].

W kodeksach I—VIII tego rocznika znajduje się też najobszerniejsza wiadomość o interdykcie, rzuconym na Polskę z powodu zamordowania biskupa, oraz o warunkach, pod jakimi papież się zgodził z wielką trudnością na prośby możnych na zniesienie interdyktu; mianowicie wszystkie beneficya królewskie w Krakowie, Wiślicy, Sandomierzu, Wojniczu, Sączu, Bieczu i t. d. miały przejść odtąd na rzecz kuryi rzymskiej. Nadto

[1] Kętrzyński: „O Kronice wielkopolskiej". Rozpr. Akademii Umiej. t. XXXIII, str. 49. — Mierzwa. *M. P. H.* II, 291/2. — *Vita minor* r. XXVI, Mierzwa, str. 289. — *Vita minor* r. XXV, Mierzwa str. 293. — *Vita minor* r. XXVII, Mierzwa 294. — *Vita minor* XXVII, XXVIII, M. 294. — *Vita minor* XXIX, M. 297. — *Vita minor* XXXV, M. 300. — *Vita maior* II, 26. *M. P. H.* IV, 391.

[2] *M. P. H.* II, str. 294.

[3] *M. P. H.* II, str. 795/6. Cfr. Rocznik poznański *M. P. H.* V, str. 880 i uwagi p. W. Kętrzyńskiego w przedmowie do tego rocznika, str. 876.

[4] Kętrzyński: „O rocznikach polskich" l. c. str. 277 i 280. Przedmowa do *Vita minor*. *M. P. H.* IV, str. 251 i *M. P. H.* III, str. 66.

[5] *M. P. H.* III, str. 66/7.

beneficya, jakie miały do rozdawania owe dwa shańbione współudziałem w mordzie biskupa rody Jastrzębców i Strzemieńczyków, miały na przyszłość należeć do biskupstwa krakowskiego. Na jakiej podstawie ta baśń powstała, trudno odgadnąć.

Z żywotów pochodzi dokładna lokalizacya męczeństwa *In ecclesia st Michaelis in Rupella*[1] w Roczniku Sędziwoja, zredagowanym około roku 1325[2]. Powtarza się ona w różnych redakcyach Rocznika małopolskiego, powstałego około r. 1350[3].

Panowanie Bolesława Śmiałego a zwłaszcza męczeństwo św. Stanisława podaje Kronika wielkopolska, napisana około roku 1365—70 głównie na podstawie Żywota większego[4].

Dodatkiem kronikarza jest w rozdz. XIV ustęp: *In tantumque cultum detestabatur faemineum, quod, loco uxoris iumentum purpura et bysso decoratum ad omne iter, quo ibat, secum duci faciebat. Aiunt quoque quidam, quod versus in sensum reprobum abutebatur eodem. Quaedam autem scripturae, quibus standum est, verius asserunt, quod non; sed in detestationem sceleris, per mulieres nobiles in suorum maritorum absentia perpetrati hoc se facere demonsrabat.* Przyczynę zaś wściekłości Bolesława Pysznego upatruje kronikarz za żywotami w tem, iż dezercya szlachty udaremniła plan królewski, aby przywrócić Polsce dawne granice. Z *Vita maior* również kronikarz zaczerpnął wiadomość o pogwałceniu łoża małżeńskiego przez króla[5].

Ślady żywotów widzimy także w IV i V katalogu biskupów, z połowy wieku XV pochodzącym, mianowicie wieść o zbrodniczych czynach królewskich, za które biskup króla strofował, dalej wzmianki o zamordowaniu biskupa w kościele św. Michała, o posiekaniu ciała w kawałki. O liczbie tych kawałków 72, o nazwie rodziców św. Stanisława i jego herbie, oraz o interdykcie

---

[1] *M. P. H.* II, str. 874.

[2] Kętrzyński: „O rocznikach polskich“ str. 289.

[3] *M. P. H.* III, str. 149. Kętrzyński: „O rocznikach polskich“ str. 313—328.

[4] Kronika wielkopolska 11—14. *M. P. H.* II, str. 482—489. *Vita maior* II, 13—17. *M. P. H.* IV, str. 382—386. Kętrzyński: „O Kronice wielkopolskiej“. Rozpr. Akad. Umiej., t. XXXIII, str. 45—47 i 52.

[5] *M. P. H.* II, str. 488.

4-letnim po śmierci biskupa była już wyżej mowa [1]. Wszystko to są wiadomości wytworzone już w XV wieku [2].

Kronika śląska, około 1300 spisana, oraz Kronika książąt polskich z r. 1385, powtarzająca dosłownie prawie [3] w pierwszej części, która traktuje o męczeństwie biskupa, tekst poprzedniej, mieści w sobie echa naszego żywota, ale chyba tylko z drugiej ręki [4].

Autor Kroniki polskiej widocznie głównie korzystał z Kroniki Mistrza Wincentego, mówiąc o oszczerstwach rzuconych na biskupa przez króla, któreto zarzuty żywoty pominęły milczeniem; natomiast zbrodnia bestyalności, przypisana królowi przez autora *(flagiciosus cum equa contra naturam effectus)*, jest niezawodnie skombinowana, czy przez kronikarza śląskiego czy kogo innego, w to nie wchodzimy na podstawie słów żywota św. Stanisława [5]. *Boleslaus sentina factus est omnium uiciorum et carnis sue sequens luxuriam, gloriam suam in ignominiam et naturalem usum mutavit in eum usum qui est contra naturam.* Z ostatniego zwrotu wydedukowała Kronika śląska, a za nią Rocznik świętokrzyski, zwłaszcza Długosz, wieść o sodomii i bestyalności, której się król miał oddawać. Kronikę Piotra Własta, która bezpośrednio czerpie z *Vita maior*, chociaż zapożycza także i z Rocznika świętokrzyskiego wiadomość o odcinaniu rąk i nóg biskupa, o strasznym interdykcie, możemy tem snadziej pominąć milczeniem, o ile ona jest dziełem w początku XVI wieku powstałem [6].

Dr. K. Krotoski.

---

[1] Obacz rozdział III.

[2] *M. P. H.* III, str. 343/344. Cfr. Kętrzyński: Przedmowa do *Vita maior*. *M. P. H.* IV, str. 345.

[3] *M. P. H.* III, str. 448, rozdział XII.

[4] Kętrzyński: Przedmowa do *Vita maior*. *M. P. H.* IV, str. 335.

[5] *Vita minor* 31. *M. P. H.* IV, str. 278.

[6] *M. P. H.* III, 764. Cfr. Kętrzyński. *M. P. H.* IV, str. 346.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Antoni Van Dyck * 1599 † 1641. *Dr. Jerzy Mycielski,* prof. Uniw. Jagiell. Z 20 illustracyami. Kraków. 1900 (Str. 264, nl. 5).

Piękną książkę o brabanckim mistrzu, Antonim Van Dycku, najznakomitszym uczniu genialnego Rubensa, poświęcił prof. hr. J. Mycielski Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w pięćsetną jego rocznicę odnowienia wiekopomnej fundacyi. Lwów posiada dwóch pilnych pracowników, którzy badania swoje głównie poświęcili dziejom obcego malarstwa, prof. Bołoz Antoniewicza, znanego ze swoich rozpraw o pomnikach włoskiego malarstwa i Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który popularyzuje dzieje malarstwa, przedtem włoskiego, a w roku jubileuszowym drukował w *Przewodniku naukowym i literackim* krótką „Historyę malarstwa na Północy i w Hiszpanii". W Krakowie oprócz świetnego pióra Juliana Klaczki, kreślącego dzieło o włoskim renesansie, mamy d-ra K. M. Górskiego, który feljętonami, ogłaszanymi w *Czasie* z sierpnia 1898 r., opisującymi „Galeryę Kunes w Antwerpii", dał się poznać jako poważny znawca mistrzów flamandzkich i holenderskich i doskonale odczuwający całą wartość i znaczenie sztuki w Żuławach. Najpracowitszym na tej niwie naukowej działalności jest bezsprzecznie prof. Jerzy Mycielski, który po wielkiem dziele „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce" nową przynosi pracę o Van Dycku, z obszernym opisem dzieł artysty, ich rozbiorem, który objaśnia wpływy, jakie działały na wykształcenie artystyczne flamandzkiego mistrza i wykazuje znaczenie, jakie artysta posiadł w rozwoju malarstwa Północy.

Monografia prof. Mycielskiego jest poważnem dziełem i przyniosła

nam szereg świeżych spostrzeżeń, które prawdziwy stanowić będą dorobek naukowy na przyszłość. Po przedmowie i wstępie, traktującym o wystawach dzieł Rubensa, Vorstermanna a wreszcie Van Dycka, urządzonej w Antwerpii r. 1899, opowiedział autor młodość artysty, jego naukę w ojczyźnie, pobyt we Włoszech, powrót do Flandryi i czasy działalności jego w Anglii przy dworze króla Karola I, a wreszcie o jego uczniach i naśladowcach. Prof. Mycielski wybrał w opracowaniu dzieła system chronologiczny i opowiadając pokrótce życie znakomitego na swe czasy malarza, illustruje je obszernie dziełami pendzla, omawiając ich rysy charakterystyczne i prostując błędne wiadomości.

Antwerpia jest miastem jego rodzinnem, był synem malarza na szkle, Franciszka Van Dycka, a uczniem naprzód Henryka van Balen, potem Pawła Rubensa, który po włoskiej podróży osiadł w Antwerpii i zażywał już rozgłośnej sławy. Wpływ Rubensa na ucznia był przemagający i jakkolwiek eklektyczny umysł Van Dycka szybko przejmował corazto nowe wrażenia w swych podróżach i studyach, przecież to pierwiastkowe wykształcenie artystyczne stanowiło główny podkład jego talentu. W r. 1620 opuścił bogatą Antwerpię, by na czas kilkomiesięczny zawitać do Londynu i tu próbować szczęścia. Niezadługo jednak wrócił na krótki pobyt do Flandryi, poczem opuścił ją i udał się na Południe; 20 listopada 1621 r. przybił do brzegów włoskich i kolejno robił obszerne studya i malował mnóstwo obrazów i portretów w Rzymie, Wenecyi, Mantui, Genui i Palermo. Kolorysta Tycyan najsilniejsze wycisnął piętno na malarzu brabanckim, ale tak widok dzieł Corregia jak Guido Reniego nie pozostały nań bez wpływu. Najświetniejsze pole popisu artystycznego stanowiła w okresie włoskim artysty Genua, gdzie arystokratyczne rodziny obsypywały go licznymi obstalunkami, gdzie do dziś dnia najświetniejsze, jakkolwiek niektóre z nich przemalowane, dochowały się Van Dycka portrety. Co odznacza głównie i wysuwa na czoło artystycznej działalności portrety genueńskie, to w porównaniu do późniejszych największa stosunkowo w nich siła malowniczości i oryginalna obserwacya natury, a tak pod względem kolorytu, jakoteż wytwornego układu niezwykła równowaga. Gdym przed laty zwiedzał skarby vandyckowskiej muzy w pałacach genueńskich, pozostawiły one na mnie niezatarte wspomnienie najświetniejszych jego portretów i dlatego sam osobiście byłbym skłonnym postawić je na pierwszem miejscu przed innemi jego dziełami. W książce prof. Jerzego Mycielskiego, w ustępie o portretach w pałacu Durazzo-

Pallavicini znajduje się tu rozdzielenie nazwy, stąd mowa jakoby o dwóch pałacach, Durazzo, oraz Pallavicini, pominięty też portret trojga dzieci z psem, tudzież obraz młodego Tobiasza. Oprócz portretów tworzył Van Dyck w tym okresie również obrazy treści religijnej i mitologicznej, w Polsce nie posiadamy wprawdzie oryginału, ale replikę z obrazu „Ucieczka do Egiptu", znajdującego się we florenckiej galeryi Pitti; posiada ją zbiór hr. Andrzeja Potockiego w Krakowie. Jest on o tyle ciekawy, że skupia w sobie poszczególne reminiscencye Rubensa, Tycyana, Corregia i pierwszego nauczyciela artysty Van Balena. W roku 1627 artysta wraca do rodzinnego kraju, wioząc ze sobą obfite teki szkiców, których waryanty stanowią podstawę rozwinięcia jego fantazyi, między tymi szkicami znalazł się jeden, który jest kopią portretu Rafaela w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. Nowy okres pobytu flandryjskiego znaczy się prawdziwym strumieniem zamówień portretów i obrazów religijnych, z pośród których zasługuje na osobne wspomnienie obraz wotywny ku uczczeniu pamięci zmarłego ojca, malowany do kościoła Dominikanek w Antwerpii, bo płaci nim artysta dług wdzięczności zakonnicom, które pielęgnowały jego ojca w chorobie. Płótna treści religijnej dowodzą, że Van Dyck nie był nigdy wielkim malarzem religijnym, ale jedynie świetnym dekoratorem nowych barokowych kościołów Flandryi. Oryginalnym nie jest; w „Ukrzyżowaniach" czerpie wzory z Rubensa, w „Złożeniach do grobu" szuka natchnienia w tycyanowskich dziełach, a między niemi najszlachetniej odzwierciedlił się wpływ weneckiego mistrza w obrazie, przechowywanym w Muzeum antwerpskiem, przejmującym wskroś pobożnym sentymentem. O nim pisze prof. Mycielski, że gdy zwiedzał wystawę w towarzystwie przyjaciół i dwojga dziatwy, przed tym właśnie i jedynie obrazem pobożne dzieci polskie poruszone wrażeniem religijnem od razu uklękły.

Pod koniec r. 1629 zaczęły się były pertraktacye między dworem Karola I a Antwerpią, by Van Dycka do Anglii na stałe sprowadzić, które dopiero 1632 r. ostatecznem przesiedleniem się artysty do Londynu zakończyły. Tymczasem we Flandryi artysta zbliżył się do dworu, o czem mówią wyraźnie portrety arcyksiężnej wdowy Izabelli, książąt orańskich i nassauskich, tudzież otrzymanie tytułu malarza nadwornego z pensyą roczną 250 fl. Malując obrazy religijne do licznych kościołów, zetknął się bliżej z klasztorami, a przedewszystkiem musiał wejść w blizki stosunek z Jezuitami, których słynny kościół w Antwerpii przedtem wraz z Rubensem dekorował, a z którymi mistrz

jego w najzażylszej był przyjaźni. Już w r. 1628 przystąpił do założonego przez Jezuitów w Antwerpii głośnego „Bractwa nieżonatych mężczyzn i niezamężnych kobiet“ i malował do ich kaplicy dwa obrazy ołtarzowe. Również malował piękny bardzo portret Jezuitów: uczonego geometry Jana Karola della Faille i słynnego rektora kolegium S. J. Karola Scribani. Pracownia artysty miała wyglądać wówczas, zdaniem autora, skromnie, ani śladu tego zbytku, którym otoczył się Rubens lub nawet Van Dyck później w Londynie, niemniej zwiedza ją r. 1631 królowa francuska, Marya Medici. Ze światem artystycznym żyje Van Dyck w szczerej zażyłości, z Rubensem utrzymuje zawsze serdeczne stosunki, styka się z całą plejadą malarzy i rzeźbiarzy, Franciszkiem Snydersem, M. Pepyną, Ryckaertem, Crayerem, Seghersem i t. d. i t. d., których portrety pozostawił w swej „Ikonografii“ i na rozlicznych płótnach. Nie zapomniał przekazać potomności i własnego wizerunku w kilku egzemplarzach, z których ostatni z późniejszego okresu ze słonecznikiem jest najciekawszy i tutaj reprodukowany.

Wreszcie r. 1632 przeniósł się Van Dyck do Anglii na dwór Karola I, gdzie rozwija niesłychaną gorączkową działalność, maluje króla, królowę, rodzinę królewską, panów, świat kobiecy i ludzi wybitnych, artystów i poetów, w niezliczonych portretach. Otacza się przepychem; królewski architekt, Inigo Jones, buduje mu pałacyk na przedmieściu Blackfrias, gdzie artysta osiada i pędzi szalenie zbytkowne życie. Prace jego bywają przepłacane, zatrudnia wielu uczniów, którzy spieszą do niego z Niderlandów i Anglii, utrzymuje liczną służbę, momodeli i modelki, trzyma powozy, konie, muzykantów, śpiewaków i błaznów w celu urządzania zabaw, które przyciągały pierwszorzędne osobistości, damy i kawalerów, ci zaś odwiedzali go ciągle z żądaniami, by malował ich portrety. A podczas gdy oni bawili się już wyśmienicie, przygotowywano dla nich nadto wspaniałą ucztę, malarz bowiem wydawał 30 talarów dziennie na swój stół. Te i inne szczegóły opowiada nam autor o pracowni artysty, które oświetlają charakterystycznie jego niezwykłą, niemal fabryczną produkcyę. Artysta był bardzo przystojnym mężczyzną, bezżennym i pędził życie niezupełnie moralne, autor odsłania nam również i tę stronę życia zmysłowego malarza i daje nam go bliżej poznać jako człowieka. Najważniejszą i najwybitniejszą częścią twórczości Van Dycka, tak poprzedniej jak i na dworze angielskim, jest portret i to męski. W kobiecych wizerunkach był nieszczerym, idealizował je, odbiegał od pierwowzoru niejednokrotnie na daleką metę. Natomiast wirtuozem był artysta w oddawaniu postaci

dzieci, zwłaszcza w genueńskich i flandryjskich portretach; autor sądzi, że tej techniki w malowaniu dzieci, pełnej świeżości i prawdy, wyuczył się artysta od Rubensa, że np. dzieci Karola I „stać mogą w tej mierze śmiało przy brzydkich, bladych i wymokłych małych infantkach Velasqueza, a wdzięk ich dziecinnych wyrazów i ruchów jest stanowczo takim, że oprzeć mu się trudno i że od najpiękniejszego portretu dzieci Karola I oderwać się po prostu nie można". Prof. Mycielski roztrząsa i wyjaśnia nam, w czem i dlaczego portrety kobiece Van Dycka, ogółem wziąwszy, nie mogą dorównać jego wizerunkom mężczyzn, których wyróżnia indywidualizmu pełen charakter, czy to liguryjskich poważnych polityków, albo zalotnych elegantów z włoskiej „riviery", flamandzkich książąt i hrabiów, mieszczan i artystów, dyplomatów, wreszcie lordów, kawalerów i oficerów angielskich w przeddzień wybuchu „rebelii". Malarz kładł w nie więcej prawdy i charakteru, skupienia, był w nich szczerszy, więcej samoistny, zapewne mniej krępowany względami znanej swej galanteryi i wyrafinowanej słynnej grzeczności. Wady jego w portretach kobiecych zwiększają się z latami, modele swe corazto więcej upiększa i częstokroć wprost nieprawdzie hołduje, co autor wymownymi udowadnia przykładami. Przy końcu życia począł artysta uprawiać nadto portret heroiczny, allegoryczny, którego pierwowzoru szukać należy w rubensowskich utworach w pałacu Luksemburskim. Duszy osoby w nim doszukać się już wtedy trudno, gdyż chodziło mu już jedynie o dworską pompę i wspaniałość, albo o dworackie pochlebstwo. Portrety dekoracyjne o czczym tonie dworskim zbliżają nas już do corazto bliższej epoki stylu Ludwika XIV. Niebywały był pośpiech w opracowaniu portretu w ostatnich latach życia mistrza, dawał on najczęściej szkic pobieżny, zaznaczony ledwo pozą, ruchem, narysowaną głową, a uczniowie malowali portrety farbami na płótnie; potem wykończał je i uzupełniał. Tu leży przyczyna nierównomierności i podejrzanej autentyczności portretów. Stąd pochodzi również zmiana kolorytu, karnacye nadto białe i nadto czerwone, bez tonów przejściowych. Uczniowie malowali ubrania na manekinach, więc wychodzą na jaw błędy w proporcyach figur, martwota w odnóżach, wreszcie ręce to już nie portretowanych osób, ale modeli, więc obce.

Z powodu coraz zbytkowniejszego życia, wybryków ciągle trwających i miłostek, artysta podkopał zdrowie; wycieńczony, zapadł na chorobę piersiową. Król wybrał mu żonę ze swego otoczenia, Maryę Ruthwen, dwudziestoletnią piękną szlachciankę szkocką. Jeszcze raz opuścił Anglię, na której horyzont polityczny nadciągała burza wojny

domowej, odwiedził rodzinną Flandryę, Paryż i dogorywający wrócił do swego pałacyku londyńskiego, by jeszcze ujrzeć nowonarodzoną córkę i w dni kilka, t. j. 9 grudnia 1641 roku, rozstać się z tym światem.

Ostatni rozdział poświęca autor uczniom i naśladowcom Van Dycka w dziedzinie portretu. Ciągłość jego wpływów rozszerza się nieprzerwanym łańcuchem aż po wiek XIX i objawia się jeszcze widocznie u naszych artystów w Kaplińskim i Rodakowskim.

Bardzo interesującym szczegółem w dziele prof. J. Mycielskiego jest powiązanie monografii artysty z dziełami pendzla Van Dycka lub jego replikami, znajdującemi się w Polsce. Z młodzieńczych jego utworów mamy w Podhorcach „Miłosiernego Samarytanina". W warszawskiem Muzeum sztuk pięknych przysądza autor obraz św. Hieronima, uchodzący dotąd za utwór Rubensa, Van Dyckowi. Czy czyni słusznie, nie wypowiadam osobistego zdania, bo kwestyą tą nie zajmowałem się, jednak co do tej atrybucyi wytknąć muszę autorowi, iż nie uwzględnił wiadomości o dziełach Van Dycka i Rubensa w Polsce roku 1780 w „Sprawozdaniach komisyi historyi sztuki" (t. V, str. 127), gdzie wyraźnie obraz św. Hieronima jako Rubensa dzieło jest uważany. W zbiorach dzikowskich hr. Tarnowskiego „Zaślubiny mistyczne św. Katarzyny" przypisuje autor malarzowi flamandzkiemu, Coques'owi Gonzales, zaś piękny portret Maryi Villiers, księżniczki Buckingham, za replikę, sporządzoną przez Van Dycka z portretu Katarzyny Buckingham z dziećmi w zbiorach po bar. Hirschu w Paryżu. Muzeum XX. Czartoryskich posiada portret lady Pembrock, którego artystyczną genezę przejrzyście i bardzo interesująco wyjaśnia autor i illustracyami wybornemi udowadnia, a następnie wizerunek żony burmistrza antwerpskiego Rockoxa. Oprócz wymienionych obrazów znajduje się w Przeworsku „Wyjazd syna marnotrawnego" przez ucznia Van Dycka, Gierarda van Zyl. Wreszcie zasługuje na uwagę rycina roboty Gerarda Seghersa, według flamandzkiego mistrza portrecisty, z podpisem Godfryd Chodkiewicz, książę Moskwy *(sic)*, której istotne znaczenie dotąd nie zostało wyjaśnione, a którą po raz pierwszy autor omówił i opublikował.

Wogóle o dziele prof. J. Mycielskiego wydanem ozdobnie, z przepysznemi illustracyami, powiedzieć musimy, że jest rezultatem wielkiej i sumiennej pracy, że autor nie szczędził ni kosztów, ni trudu, by rzecz uczynić poważną i przysłużyć się wielce nauce. Czy książka jest bez zarzutu, na to pytanie odpowiemy, że jakkolwiek cieszą nas rzetelne zdobycze naukowe w niej pomieszczone, nie możemy wypo-

wiedzieć tego samego uznania co do samej formy, przedewszystkiem co do rozwlekłego, nużącego stylu, który spotrzebowuje dwa razy więcej miejsca i czasu, aniżeli to nieodzownie potrzebne. Nagromadzenie i przeładowanie zdań równoznacznymi wyrazami niemile razi czytelnika. Autor np. z reguły, a zupełnie bezpotrzebnie dodaje wszystkim postaciom historycznym jakieś epiteta, jeżeli to szlachcic, to ma co najmniej swoje nieuniknione „pan", jeżeli magnat, to koniecznie „wielki pan", a najczęściej „w każdym calu". Roi się też od „przecudnych niewiast", od „wyjątkowo świetnych i wytwornych książąt", od „potentatów barwy" i t. p., chodzą po świecie „cuda prawdziwe" lub „zupełne"; jak w bajce, tyle tam „elegancyi", „splendoru", „morbidezzy" i „grandezzy" wyszukanej, że aż się ckliwo robi. Nie zachowuje też autor estetycznej miary w swych sądach, przesadza w ocenianiu kobiecych piękności, jest to najwidoczniej słaba strona autora, którąby koniecznie przezwyciężyć należało. Wyraz „cudny" powtarza się po kilkakroć na każdej karcie grubego tomu, wskutek tego czytelnik znajduje się w ciągłej z autorem rozterce, bo sąd autora nie przemawia do jego pojęcia o stopniowaniu w piękności. Ale nie tylko wobec kobiet jest prof. J. Mycielski tak skłonnym do galanteryi i dla płci męskiej jest bardzo względny, skoro nawet brzydkiego handlarza Jabacha (str. 200) nazywa pięknym mężczyzną. Tego za wiele.

Zestawiając wrażenia, uznać należy, że dzieło mieści w sobie wielki zasób wiadomości, bardzo wiele rzeczy nowych, skądinąd zupełnie nieznanych, rzucających światło nie tylko na malarza i jego dzieła, ale również i na epokę całą, która stanowi barwne tło obrazu.

Leonard Lepszy.

Stanisław Wyspiański. Studyum literackie. Napisał *Antoni Potocki.* Lwów. 1902.

Stanisław Wyspiański przez *Piotra Chmielowskiego.* Lwów i Warszawa. 1902 („Wiedza i życie", R. II, t. 7 Charakterystyki literackie, str. 103—180).

„Myśl o Wyspiańskim przyprowadza mię nieuchronnie do entuzyazmu": mówi Potocki. „Przy całej szczerości uznania dla nadzwyczajnego talentu, a nawet dla genialności niektórych pomysłów Wyspiańskiego, nie zdołałem dotąd dojrzeć w nim geniusza, a tem bardziej wieszcza, jeżeli te wyrazy we właściwem, istotnem ich znaczeniu pojmować zechcemy": słowa Chmielowskiego. Te dwa wcale różne poglądy są punktem wyjścia dla dwóch studyów o Wyspiańskim. Na

brak studyów o swych dziełach Wyspiański skarżyć się nie może; przed „Weselem“ mniej, po „Weselu“, które „szturmem wzięło publiczność“, cały szereg rozpraw mniej lub więcej szczegółowych, mniej lub więcej krytycznych, z tych jedne poświęcone poszczególnym pismom (zwłaszcza oczywiście „Weselu“), drugie całej dotychczasowej działalności poety. Otóż z tych ostatnich, całą twórczość Wyspiańskiego omawiających, gdy pominiemy takie, które nicość treści pokrywają bombastycznym stylem, dziwacznymi obrazami i superlatywami, dwa wyżej wymienione uważamy przedewszystkiem za godne uwagi.

Naprzód dla ich wewnętrznej wartości: w obu jest poważne, sumienne i naukowe traktowanie sprawy. Są różne, z różnych wychodzą założeń, pod innymi kątami widzenia patrzą na przedmiot, dochodzą też do nieco różnych wyników, oba jednakże są nabytkiem dla polskiej krytyki literackiej. Obydwie te prace wzajemnie się uzupełniają i razem, ale tylko razem, tworzą komentarz do dzieł Wyspiańskiego. Że ten komentarz jeszcze nas niezupełnie zadawalnia, że jeszcze pragnęlibyśmy w tym lub owym szczególe wyjaśnienia, że na to lub owo zgodzić się nie możemy, to już rzecz inna i to postaramy się pokazać w dalszym ciągu recenzyi.

Powtóre są te dwa studya bardzo zajmujące przez to, że wyobrażają jakby dwa pokolenia krytyki literackiej polskiej. Potocki jest stanowczo krytykiem „młodym“, widać to w całym sposobie traktowania przedmiotu (choć nie nowym, a jednakże u nas nowym), widać w entuzyazmie, do którego nieuchronnie doprowadza go myśl o Wyspiańskim, widać choćby z tych przygodnych uwag o „augurach na wysiedzianych fotelach“, o „czcigodnych brodach artystyczno-literackich“, o „sercach, profesyonalnie uprawiających zawiść czy nienawiść“, o „paralitykach myśli“. Książka jego jest pod tym względem dużo podobna do „Dusz współczesnych“ Stena, gdzie superlatywy i własne rojenia na tle przeczytanych dzieł zastępują tych dzieł ocenę; w bezkrytycznym entuzyazmie podobna, choć o całe niebo wyższa od tych krytyk krytyków z „Młodej Polski“, kiedy piszą o sobie i o „swoich“, tworząc towarzystwo wzajemnej adoracyi. Chmielowski natomiast po tylu latach pracy na polu naukowem poglądów swoich ani swojej metody nie zmienia. Więc choć bardzo czujnie śledzi wszystkie nowe objawy w literaturze, choć się każdem nowem dziełem, każdą nową myślą interesuje żywo, sądzi je tak, jak sądził inne przed laty dwudziestu na przykład. Chmielowski jako krytyk w istocie swej się nie zmienił, stąd jego studyum o Wyspiańskim należy duchem do epoki

dawniejszej, należy do niej także metodą. Z tego względu obie te prace stają się bardzo interesujące.

Dzieło sztuki o tyle ma wartość, o ile jest szczerem i prawdziwem odbiciem duszy twórcy; im większą potęga tej duszy, tem potężniejsze dzieło. Ale między duszą a jej dziełem jest olbrzymia przeszkoda do pokonania, materyał, forma, w które to dzieło ubrać należy. Nie wystarczy mieć potężną duszę, należy mieć także potężne ręce. Otóż jedno i drugie jest w Wyspiańskim. Ale znowu nie od razu, nie w jednej chwili duch twórczy znajduje godny siebie wyraz; dochodzi do niego ciężką pracą, a ta praca stanowi jego rozwój. Wniknąć najpierw w istotę duszy twórczej, a następnie pokazać jej rozwijanie się, jej koleje, jej łamanie się z materyałem: to najwyższe, najwdzięczniejsze i najtrudniejsze zadanie krytyka. Tutaj jego praca przekracza już dziedzinę nauki, a staje się sama twórczą, staje się po części sztuką. Taką pracą jest studyum Potockiego; przez tę zdolność wżycia się w duszę poety, przez zrozumienie jej dróg, przez świetne przedstawienie.

Każde sprawozdanie z książki powinno być istotnie sprawozdaniem, nietylko polemiką; tak pojmuję zadanie recenzenta. Ze względów praktycznych trzeba jednak nieraz tę lub ową część zadania usunąć w głąb, inną wysunąć na pierwszy plan. Tak i w niniejszem sprawozdaniu. Jak Potocki przedstawia talent Wyspiańskiego i jego koleje, jak kreśli jego rozwój od „Legendy“ do „Wesela“, nad tem szczegółowo zastanawiać się nie będziemy, naprzód dlatego, że przedstawienie uważamy za zupełnie trafne, a powtóre, że każdy, kto się interesuje Wyspiańskim, z pewnością uda się do Potockiego i tam, nie w recenzyi, szukać będzie do jego dzieł komentarzy i objaśnień. Z tego powodu dalszy ciąg recenzyi poświęcamy tym punktom, na które się inaczej niż autor zapatrujemy; słowa, wypowiedziane poprzednio o studyum Potockiego, świadczą chyba wyraźnie, jaką do niego przywiązujemy wagę i jakie mamy wyobrażenie o jego wartości.

„Myśl o Wyspiańskim przyprowadza mię nieuchronnie do entuzyazmu“; nie myślimy brać tego entuzyazmu za złe, godząc się z autorem na to, że „na ogół na zbytek jego nie cierpimy“, a dodajmy jeszcze, że bardzo często umieszczamy go na fałszywem miejscu. A Wyspiański wart entuzyazmu. Tylko — tylko ten entuzyazm nie powinien być ślepy, nie powinien mieć oczu zamkniętych; wtedy nie tylko nic ze swej szlachetności nie utraci, ale stanie się jeszcze szlachetniejszym, jeszcze piękniejszym, bo będzie prawdziwszy, będzie szczerszy (a w prawdzie i w szczerości są całe kopalnie piękna), a na-

dewszystko będzie rozumniejszy. Otóż entuzyazmowi Potockiego brak tego otwarcia oczu. Nieszlachetny on nie jest, jest bardzo szczery, bardzo rzetelny, ale z tem wszystkiem trudno mu zawsze i wszędzie przyznać racyę. Według Potockiego w Wyspiańskim wszystko jest potężne, wszystko piękne, wszystko doskonałe. Tymczasem tak nie jest. Nawet Homer zasypia.

Potocki staje mianowicie wobec zjawiska literackiego wyłącznie w roli obserwatora i badacza, który to zjawisko rozkłada na jego części składowe (mniejsza o to, czy te części leżą obok siebie w przestrzeni, czy też następują po sobie w czasie), aby przez powtórne ich złożenie dojść do zrozumienia całości. Metoda to stara w gruncie rzeczy i jedynie prawdziwa. To samo ostatecznie robi i Chmielowski. Ale do tego punktu gdy doszli, drogi ich się stąd rozchodzą. Potocki tutaj kończy swą pracę. Bo kiedy doszedł do wytłumaczenia i wyjaśnienia twórczości Wyspiańskiego, zadanie swoje uważa za spełnione. Chmielowski zaś, wytłumaczywszy na swój znowu sposób poetę, odbywa jeszcze nad nim sąd, pokazuje, co—jego zdaniem—jest w tej twórczości dobrego, a co złego.

Kto ma słuszność? Z pewnością nie Potocki; z pewnością ma ją Chmielowski.

Wchodzimy tu na pole ogólnych zagadnień krytyki literackiej, które rozwijać przekraczałoby miarę recenzyi. Ale kilku słowami musimy powyższe zdanie uzasadnić. Zjawisko literackie można wprawdzie nazwać zjawiskiem przyrody, jak wszystkie zjawiska na świecie, — boć i dusza ludzka należy do „przyrody“, jeżeli nazwą „przyroda“ określimy to samo, co „świat“. Ale jest chyba czemś innem, aniżeli zjawisko przyrody właściwej, czemś innem, aniżeli deszcz, aniżeli utlenianie się węgla, aniżeli rozwój naczyń krwionośnych. Wytwory duszy ludzkiej inaczej muszą być rozpatrywane, aniżeli rzeczy od człowieka, jego myśli i woli niezależne, istniejące nie w nim i z niego, lecz poza nim; stosunek duszy do nich jest inny. O tych zjawiskach, które wyszły z niego, duch ludzki czuje nieprzepartą, konieczną potrzebę wydawania sądu, bo odczuwa je inaczej, jak najbardziej subjektywnie; więc czuje się niejako dotknięty osobiście, urażony, gdy napotka coś, co mu nie odpowiada, zachwycony i ujęty w razie przeciwnym. W każdym razie sądzi i sądzić musi, bo to jest jedna z jego najistotniejszych właściwości, bo to jest dla niego prawem przyrody. Pogwałcenie tego prawa mści się. Pomściło się też i na studyum Potockiego: zrobiło je jednostronnem, przez to niezupełnem.

Skąd pochodzi taka jednostronność wogóle? Gdy napotkam krytykę tego rodzaju, przypuszczam trzy rzeczy: albo niewyrobienie się krytyka, brak zdolności należytego sądzenia; albo pewnego rodzaju olśnienie, którego powody mogą być różne: krytyk, zachwycony tem, że w dziele znalazł to, czego pragnął, widzi tylko tę dobrą stronę i na inne nie potrafi zwrócić uwagi, — czy też sympatyzowanie z kierunkiem omawianego autora, zwłaszcza gdy się do tego zwykłą rzeczy koleją dołączy antypatya do kierunków innych; albo wreszcie nieszczerość, której pobudki są już mniej szlachetne. U Potockiego nie można przypuścić ani pierwszej ani trzeciej przyczyny, na to jest zanadto wyrobiony i zanadto szczery. Jedynem wyjaśnieniem jest przyczyna druga, sympatya, uwielbienie dla Wyspiańskiego i jego kierunku. Ta sympatya, nie pozbawiona cechy wojowniczej wobec kierunków innych, zaślepiła autora (zupełnie tak samo, jak antypatya zaślepiła Spasowicza, zob. jego artykuł o „Weselu“ w *Kraju*), kazała mu w Wyspiańskim widzieć wcieloną doskonałość; ona też podyktowała mu owe uwagi we wstępie, niegodne poważnego studyum, o owych augurach na wysiedzianych fotelach, o czcigodnych brodach artystyczno-literackich, i t. p. Dobre to do *Chimery* lub zgasłego *Życia*, ale nie do studyum literackiego: a przytem wartoby mieć w pamięci, że „wiecznie ta sama płynie zjawisk fala i wciąż obrazy odnawia te same“ i za lat 20—30 te same epitety dostać się mogą autorowi studyum.

Jednostronność jest najważniejszym defektem studyum Potockiego i jego wartość czyni mniejszą. Dobry i piękny jest entuzyazm, ale nie jest dobrem zaślepienie, choćby najszczersze i z najszlachetniejszych płynące pobudek. Świadczy ono o pewnem przytępieniu zmysłu krytycznego. Na usprawiedliwienie autora należy dodać, że jest to zjawisko nadzwyczajnie częste, gdy w grę wchodzą rzeczy współczesne, wszystkich żywo poruszające, wśród których żyjemy i obracamy się; krytyka literatury współczesnej jest zwykle jednostronna. Ale też tem wdzięczniejsze, tem wznioślejsze dla poważnego krytyka zadanie, wzbić się ponad drobne marności codziennych wpływów, a spojrzeć na rzecz z góry; o ileż bezstronniejszym będzie wtedy nasz sąd, o ileż więcej będzie miał w sobie pierwiastków trwałości!

Jest drugie niebezpieczeństwo, zagrażające studyom napisanym taką metodą, jaką się posługuje Potocki. Przy całem subtelnem a głębokiem wniknięciu w duszę twórcy, przy całej piękności w jej przedstawieniu, nie widzimy stosunku tego twórcy do innych, brak jakiejś proporcyi, brak perspektywy. Potocki pokazał nam, że Wyspiański jest

poetą niepospolitym; ale jak? w jakiej mierze? tego nie pokazał. Wspomina wprawdzie na początku książki wielu współczesnych poetów i powieściopisarzy, mówiąc o „orce dusz", jaką Polska obecna przechodzi; sięga i do dawniejszej epoki, do romantyzmu, kiedy chce określić różnicę Wyspiańskiego od tamtych. Ale nie widzimy tego ustosunkowania i tego zestawienia, któreby nam po przeczytaniu książki pozwoliło odpowiedzieć sobie na pytanie: wiemy, czem jest Wyspiański sam w sobie, ale czem jest w porównaniu z innymi? Poeci nie są co prawda żołnierzami w szeregu, aby skrupulatnie odmierzać wzrost każdego, ten większy, ten mniejszy; ale jakieś porównanie być musi, bo inaczej obraz tego poety będzie w umyśle naszym oderwany od innych, nie będzie miał pewnej podstawy. Czuł to Klaczko, kiedy z Michałem Aniołem zestawił Dantego; a jednak i u niego ten defekt, ten brak związku z całą resztą życia cokolwiek razi.

Na dziwactwa Wyspiańskiego, na karkołomne skoki czy myśli czy formy Potocki nie zwraca najmniejszej uwagi, one dla niego nie istnieją. Owszem odnosi się wrażenie, jakoby te dziwactwa uważał za ozdoby. Nie chodzi nam bynajmniej o to, aby starannie wyszukiwać plam na słońcu, aby na nie kłaść główny nacisk; nie! ale — jeżeli ktoś opisuje słońce, powinien opisać i plamy.

Rozprawa Chmielowskiego przeciwnie przeniknięta jest od początku do końca zmysłem krytycznym, który każe autorowi zwracać uwagę nawet na drobne usterki i skazy; ona nawet ma ten punkt wyjścia: chęć przeciwstawienia entuzyastycznym okrzykom uwielbienia pracy poważnej, bezstronnej, równo rozdzielającej światła i cienie. Ale kto z takim zamiarem do pracy przystępuje, naraża się na niebezpieczeństwo przesady w drugą stronę; dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy się ma na myśli rozprawę, z którą należy tu i ówdzie polemizować. Chmielowski jest wogóle wobec Wyspiańskiego bardzo sprawiedliwy, ale braki jego metody krytycznej doprowadzają go może dalej, niż sam chciał. Mówi on o Wyspiańskim zwykle w ten sposób, że podnosi i podkreśla jakąś świetną dodatnią właściwość jego talentu; ale równocześnie, zaraz po tem, przedstawia niedostatki. Kreślenie tych ostatnich jest może łatwiejsze, więcej się o nich da powiedzieć. Stąd zaś skutek taki, że w umyśle czytelnika zaciera się nieco pochwała, a tem jaskrawiej rysuje się w nim nagana — i ogólne wrażenie pozostaje raczej ujemne, czego nie poprawią uwagi końcowe, bardzo pochlebne. Te wyniki i ten skutek rozprawy Chmielowskiego nie pochodzą z założenia — ich matką jest metoda. Chmielowski nie ma w krytyce

daru twórczego, tylko analityczny; nie potrafi świateł i cieni ugrupować tak, aby powstał obraz zupełny, skończony, — jedne i drugie idą sobie luzem. Stąd tylko przypadek rozstrzyga, które z nich silniej utrwalą się w głowie czytelnika. Przypomnieć warto, że np. rozbiór trylogii Sienkiewicza, dokonany przez Chmielowskiego, ma te same wady.

Powiedzieliśmy wyżej, że Chmielowski nie ma daru twórczego w krytyce, tylko analityczny. To widać doskonale na całem jego studyum o Wyspiańskim. Gdy Potocki rozważa poetę jako całość, a badając części, zawsze ma oko zwrócone na całość, Chmielowski według pewnych formułek z góry poetę pokrajał, każdą cząstkę ogląda z osobna, dokładnie, starannie, ale tymczasem inne leżą sobie zupełnie osobno, nietknięte, na prosekcyjnym stole krytyka. Kiedy tak wszystkie części obejrzał z osobna, ponaklejał etykiety [1], chciałby teraz na nowo złożyć je w całość; niestety, to się nie udaje. Tukaj, jak był, tak zostaje pocięty, nie ożyje. Chmielowski przystępuje do rozbioru Wyspiańskiego z formułką: „geniusz łączy w sobie wyobraźnię, uczucie i rozum w najwyższem rozwinięciu lub napięciu“, poczem rozważa osobno wyobraźnię Wyspiańskiego, osobno uczucie, osobno rozum. A ta wiwisekcya w końcu nie daje pełnego obrazu.

Pod tym względem studyum Chmielowskiego jest od Potockiego bezwzględnie niższe. Stąd wobec Chmielowskiego pozostaje się chłodnym, czyta się go uważnie, rejestruje jego poglądy, zgadza się z nimi lub nie, ale się nie rozgrzewa, nie unosi. Potockiego, przeciwnie, spokojnie czytać nie można; czytelnik śledzi gorączkowo tok myśli autora, zapala się głębokością i oryginalnością jego poglądów, irytuje z powodu jego jednostronności, niekiedy przesady, obwinia czasem o nieszczerość, ale ogląda studyum jako dzieło już nie wyłącznie naukowe, ale jakby utwór artystyczny i stąd przejmuje się niem żywo. Chmielowski jest chłodnym anatomem, Potocki rzeźbiarzem.

Tak obydwie książki razem składają się na wizerunek jednej z najbardziej interesujących postaci naszej najnowszej literatury i oświetlają jej dotychczasową drogę. Postać to w każdym razie niezwykła, oryginalna, ogromnie „swoja“. Znaczeniu Wyspiańskiego i temu ferworowi, jaki zrobił, rzucając w społeczeństwo polskie swoje dzieła,

[1] Chmielowski nie może się obejść bez tego, aby każdego utworu Wyspiańskiego nie wsunąć do pewnej kategoryi, do szufladki — inaczej ich nie pojmuje: „Legenda“ to epiczno-liryczny wyraz marzenia poety, „Meleager“ to tragedya w duchu starogreckim, „Protesilas i Laodamia“ to scena liryczna, „Warszawianka“ to sytuacya“, „Lelewel“ to dysputa i t. p.

odpowiada ten fakt, że gdy żaden z naszych współczesnych pisarzy nie ma poświęconej sobie monografii, któraby omawiała całość jego działalności [1], Wyspiański ma ich dwie dobre.

Nie zwróciłem uwagi na szczegół może najważniejszy. Nie zgadzam się na takie pojęcie „ludowości" Wyspiańskiego, jakie jest u Potockiego i Chmielowskiego; nie zgadzam się też w tym względzie z samym poetą. Ale to jest przedmiot na całą rozprawę, nie do recenzyi, więc może kiedyś, później.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce. *Adam Szelągowski.* Lwów. 1902.

Kilka miesięcy zaledwie temu ukazała się na półkach księgarskich książka pod powyższym tytułem, zajmująca się gałęzią wiedzy, w piśmiennictwie bardzo słabo reprezentowanej. Zajmuje się tu autor jednym z działów historyi gospodarstwa społecznego, jak to zresztą tytuł dzieła wskazuje. W pracy przebijać się musiał samoistnie przez duży materyał źródłowy, przeważnie surowy, opracowywać go i wyciągać zeń wnioski potrzebne. W oświetleniu autora znajdujemy wyjaśnienie wielu kwestyi dotąd dla nas niezrozumiałych, np. wyjaśnienie ekonomiczne zakazu wywozu towarów z kraju; niektóre znów wypadki z dziejów politycznych uzyskują większe wypuklenie, stają się nam zrozumialsze, gdy pod przewodem autora poznajemy ukrytą sprężynę ekonomiczną, nimi kierującą. Autor zgodnie z założeniem przedstawia nam dzieje fluktuacyi cen pieniądza z jednej strony, a obniżania kolejnego stopy jego z drugiej; dalej dzieje przewrotu ceny wszystkich prawie towarów tem spowodowanych. To osnowa główna dzieła. A obok tego w związku z zagadnieniem podstawowem nasuwają się autorowi szeregi kwestyi innych, które w braku opracowań innych zmuszony jest przedstawić. Tu należy obszerny rozdział (III), przedstawiający stanowisko handlowe i kierunek handlu Polski, tudzież następny (IV), opisujący stanowisko władzy państwowej wobec gospodarstwa społecznego, krótko, historyę polityki ekonomicznej polskiej.

Przejdźmy teraz do szczegółów. Podaje ich autor tak wiele i tak interesujących, że warto z nimi bliżej się zapoznać.

Przesilenie pieniężne i handlowe, przez jakie Polska w okresie

[1] Studya prof. Tarnowskiego i Chmielowskiego o Sienkiewiczu sa zebraniem w całość recenzyi, pisanych w różnych czasach.

przez autora przedstawionym przechodziła, ma główną przyczynę w niezdecydowanym systemie monetarnym i w braku floty, mogącej bronić interesów handlu Polski. Że ogół po części przynajmniej z doniosłości tych kwestyi zdawał sobie sprawę, dowodzi obfita literatura ekonomiczna, obszernie przez autora nam przedstawiona, dowodzi ustawodawstwo owoczesne, nie pomijające również milczeniem tych zagadnień. Objawem przesilenia pieniężnego był w tym okresie spadek ceny, ustawicznie się powtarzający pieniędzy drobnych w porównaniu z ceną talarów i dukatów przeważnie stale jednakową. Autorowie ówcześni zajmują się tą kwestyą bardzo pilnie, podają różne sposoby wyjścia. Ustawodawstwo, widząc jedną z przyczyn tego stanu w zasypywaniu Polski przez zagranicę monetą drobną, fałszywą, wydaje zakazy przyjmowania jej, zagraża fałszerzom karami, wreszcie zaczynają od Zygmunta Starego wychodzić zakazy jeżdżenia kupców polskich z towarami za granicę, naprzód na Śląsk i do Marchii, skąd najwięcej fałszywej monety przychodziło do Polski, następnie rozszerza się r. 1565 zakaz ten do całego wywozu zagranicznego. Zakaz ten wyjaśnia autor nie zawiścią warstwy rządzącej do miast, lecz właśnie pieczołowitością jej dla rozwoju ekonomicznego. Z zagranicy napływał do kraju pieniądz gorszy. By temu zapobiedz, podobnie jak Ludwik XI we Francyi, zakazano jeździć kupcom polskim za granicę, gdzie musieli wydawać swój pieniądz dobry, natomiast otrzymywali za swe towary gorszy. Ściągać więc należało kupców obcych na targi krajowe, przez coby się mogły wzmagać i rozwijać miasta. Środek ten zbyt radykalny, niemożliwy do przeprowadzenia, z drugiej strony wedle naszych pojęć bezcelowy i nieuzasadniony, wedle ówczesnych pojęć miał być najlepszem lekarstwem na poparcie handlu i wstrzymanie odpływu dobrego pieniądza. Że tak nie było, że środek ten zawiódł, wykazują późniejsze dzieje. W związku z tem zostaje zmniejszanie ciągłe stopy pieniądza, naprzód jak u nas do Jana Kazimierza legalne, oparte na założeniu dotąd ciągle w kwestyi waluty aktualnem, stosunku wartości złota do srebra, następnie też praktykowane na wielką skalę przez panujących nawet fałszowanie pieniądza. Widzieliśmy, jak się ustawodawstwo polskie broniło przeciw temu, ale niestety bezskutecznie. Wreszcie sama Polska za Jana Kazimierza chwyta się w celu podwyższenia dochodów fałszerstwa monety; zapisuje wtedy historya smutne nazwiska dzierżawców mennic Boratyniega i Tynfa.

Wypływem obniżenia się ceny pieniądza drobnego było ciągłe podwyższanie się cen towarów. Stąd ciągłe kwasy z królem i nawo-

ływania do reformy monetarnej, obwinianie panujących o fałszowanie monety, niechęć do miast i przypisywanie im dowolnego podwyższania cen, ustanawianie taks na towary. Szlachta nie zdawała sobie sprawy z istoty objawu, brała skutek za przyczynę.

Tak przedstawia autor historyę kwestyi pieniężnej. Obok tego daje on nam obraz handlu Polski w XVI i XVII wieku. Ogniskiem całego handlu polskiego był po odkryciu Ameryki i objęciu hegemonii handlowej przez Holendrów Gdańsk. To też stanowisku handlowemu Gdańska poświęca autor wiele miejsca. Wyjaśnia na tej podstawie wojnę Gdańska z Stefanem Batorym, antagonizm jego z Elblągiem i kompanią handlową angielską, tam osiadłą. Walka o Gdańsk i Bałtyk wogóle była jedną z przyczyn wojen z Szwecyą. Królowie, a i naród, co prawda bardzo platonicznie, dążyli do stworzenia floty na Bałtyku, celem ochrony handlu polskiego, zwłaszcza wobec polityki celnej Danii.

Błąd największy, jaki wytyka autor całej polityce ekonomicznej polskiej, błąd, niweczący wszystkie powyżej naszkicowane za autorem usiłowania do ochrony pieniądza i handlu polskiego, polegał na braku ochrony i popierania przemysłu.

Mielibyśmy jeszcze ochotę przedstawić opinie pisarzy ekonomicznych o powyższych zagadnieniach od Kopernika do Starowolskiego i broszur bezimiennych wieku XVII, ale szczupłość miejsca, z którem sprawozdawca liczyć się musi, nie pozwala na to.

A. Bielecki.

W mroku gwiazd: Kolosseum, Orland szalony, Lucifer, Kain, Król w Ossyaku, Noce polarne, Minotaur, Zatoka tęcz. Poezye *Tadeusza Micińskiego*. Kraków. 1902 (Str. 155).

Są utwory, przy których krytyka ze skromnością w tył cofnąć się musi. Niech poeta sam opiewa sławę swego geniuszu:

Osły w koronach zasiedli na trawie —
świetlaki różę całują polną —
a śmierć odmiga się w stawie
i gra piosenkę swawolną.
Efemerydy,
lećcie w tan —
o kwiaty jezior, nereidy!
na multankach w dąbrowie gra Pan.
Efemerydy,
lećcie w tan,
lećcie w tan —

miłosnym splotem
objęci,
wieczyście młodzi
i święci —
śmiertelnym grotem
przeszyci.

Z wielu innych natchnionych ustępów przytoczmy jeszcze jeden:

Kiedy odejdę w dal,
Zostanie po mnie żal —
Daremny będzie żal,
Gdy płynąć muszę w dal.
Lecz tak się łączy żal
Z moją tęsknotą w dal —
Że patrzę w moją dal —
Jako w bezbrzeżny żal.

Zupełnie tak, jak w jednej piosnce ludowej:

Dudni woda, dudni,
W cembrowanej studni;
A dlaczego dudni?
Bo jest woda w studni!

Bo jest woda w studni...

St. Zdziarski.

Z piśmiennictw obcych.

Monique. Les Gestes. Reconnaissance. Trois récits de guerre. *Paul Bourget.* Paris. Librairie Plon (Str. 328).

Pierwsza z wymienionych powiastek pisana w styczniu i lutym — ostatnia w październiku 1901 r.; są to zatem najświeższe prace autora. Najświeższe, a przecież blade, zdają się padać jak liście jesienne z pnia potężnego talentu. Żal zawsze, gdy pisarz, który pełnię swych sił żywotnych poświęcił analizie ludzkich zdrożności, dopiero resztki, rzekłbyś ostatnie tchnienie swego geniuszu poświęca dobru i pięknu. Szkoda, bo stąd rodzi się w świecie mniemanie, że zło jest życiem i siłą, a cnota słabością i nudą. Tych ostatnich wyrazów nie można jeszcze do nowego dzieła Bourgeta przyczepić; powiastki jego mają swój urok subtelny choć blady, trzeba, chcąc je ocenić, mieć wielką prostotę duszy lub wyrobiony smak literacki. W pierwszym, tytułowym utworze *Monique,*

treść byłaby niemal pospolitą, gdyby nie tło śliczne a nowe, gdyby nie delikatnie wyrzeźbiona postać starego snycerza, pracującego nie nad wyrobem nowych ale nad ratowaniem od zniszczenia starożytnych mebli. Wpół rzemieślnik a nawpół artysta kocha się w swej sztuce, uwielbia dawnych mistrzów i dawną epokę, gdzie arystokraci duchem i krwią umieli czcić i mistrzów tych i ich dzieła. Szczęśliwy los wprowadza pod jego dach podrzucone dziewczątko, ową Monikę, która między jego wieśniaczą żoną i ordynarną córką wyrasta jako wykwit jego artystycznych marzeń, wykwintna, estetyczna i słodka. Ona jedna w domu go rozumie, ona jedna zapały jego podziela, albowiem Michał, jego siostrzeniec i najlepszy uczeń, sprzeniewierzył się drzewu i kształci się na zwykłego rzeźbiarza. Michał pokochał Monikę, ale ta miłość sprowadza na nią nieszczęście, bo córka snycerza, pragnąc przez zazdrość ją zgubić, ściąga na nią podejrzenie kradzieży. Prawda wychodzi na jaw dzięki surowej uczciwości matki; stary, który był wypędził dziewczynę, idzie uszczęśliwiony przeprosić ją i do serca przytulić. Monika jednak nie chce do domu jego powrócić inaczej, jak ze ślubnym pierścionkiem na ręku, a czeladnicy kiwają głowami, mówiąc, że majster sam sobie biedy napytał, skoro z szlachetnem drzewem, jakiem była Monika, tak się był obszedł, jak ze zwykłym materyałem ciesielskim.

Druga powiastka, *Les Gestes,* bardzo psychologicznie ciekawa. *Les Gestes,* o których mowa, nie są ruchami ciała, lecz zewnętrznemi poruszeniami duszy, ustawiczną pozą, zmieniającą się co chwila wedle potrzeby. Istota, obdarzona tym fatalnym talentem, posiada ledwie cień serca, cień myśli i cień uczucia, ale natomiast zmysł intuicyi wskazujący jej, jaką ma przybrać postać wobec każdego człowieka, jaką myśl, jakie uczucie objawić w każdej chwili. Czynność ta, zrazu niemal bezwiedna, zamienia się z czasem w świadomą obłudę, w miarę, jak wzmaga się różnica między objawioną, piękną powłoką duszy a jej rzeczywistym stanem. Powłoka pozostaje wciąż piękną, tylko dusza szpetnieje. W powieści matka, która szczęściem całego życia przypłaciła pomyłkę w poślubieniu łotra, pozującego na cnotę przed światem i przed sobą, widzi z przerażeniem podobną dwulicowość w córce, w dzieciństwie instynktową i nieświadomą, potem coraz wyraźniej rysują się na tle próżności i oschłości serca. Boleść jej wzmaga się, gdy szlachetny, czysty a płomienny młodzieniec daje się uwieść odegranej przed nim komedyi. Przeczuwa, że biedak padnie ofiarą tak, jak ona niegdyś padła i zwalczywszy macierzyńskie skrupuły, odkrywa mu prawdę, zmu-

szając go do podsłuchania rozmowy, w której córka jej odsłania swe istotne uczucia i myśli.

Trzeci obrazek, *Reconnaissance*, jest szkicem, charakteryzującym jedną z odmian typu amerykańskiego na europejskim lądzie. Autor dziwi się tym ludziom, że, podnosząc pod niebiosa swój kraj rodzinny, a wyrażając pogardę dla starego świata, przecież tylko w tym starym świecie umieją żyć i używać. Szuka przyczyny tego, zapominając o najprostszej, jaką jest — atawizm rasowy. Mało który Yankes ma za sobą więcej jak jedną lub dwie generacye Amerykanów; dajmy, że ich jest trzy lub najwyżej cztery, że przybyły do Ameryki dziad albo pradziad był gwałtownie wyrwany z przyrodzonego otoczenia, obyczajów, tradycyi i że nie można się dziwić, że własną tęsknotę przelał w krew swoich dzieci. Dla większości ich Ameryka jest warsztatem, gdzie kują swoją fortunę; Europa zaś salonem, biblioteką, ogrodem, gdzie używają owocu swej pracy. Drzewo wyrwane z ojczystej kniei potrzebuje niemało czasu, aby się w obcej ziemi, pod obcem niebem rozwinąć. Dlatego Amerykanin, jak słusznie podnosi autor, lgnie tak namiętnie do starych wspomnień, do pomników dziejowych, do starej europejskiej sztuki, dlatego, pomimo swej demokratycznej powłoki, jest w gruncie najzacofańszym z arystokratów.

Trois récits de guerre malują nam trzy epizody z ostatnich wojen francuskich; rzecz ładna, wytworna w analizie pięknych uczuć, spokojna i jasna. Wogóle w całym tomie żaden ustęp nie wywołuje silnego wrażenia, koloryt trzymany w półtonach, bardzo czysty i dokładny w rysunku — pytanie, czy Bourget osłabł, czy nam smak się zepsuł?

T. W.

Contes chrétiens. Par *T. de Wyzewa*. Paris. 1902.

Ubolewać przychodzi, iż za dni naszych w pościgu za nowymi efektami i wrażeniami, w żądzy wyzyskiwania niewyczerpanej dotąd kopalni, coraz liczniejsi pisarze za przedmiot dla słownych igraszek i literackich ćwiczeń obrali najdelikatniejsze, najzawilsze problematy życia duchowego, że sięgnęli do ksiąg świętych, aby je przykroić do miary nowoczesnego dyletantyzmu i samą Ewangelię przerabiać próbują na obraz i podobieństwo swoje. Prąd ten wszędzie się dziś przejawia. A podczas gdy u nas osławione „Legendy“ wprost bluźnierczy ton przybrały, w książce, której tytuł wypisujemy powyżej, znaczy się chęć zniżenia ewangelicznego opowiadania do rzędu gadek, baśni czy powiastek. Tento bowiem kierunek najczęściej prześwieca w utworach

tego rodzaju: zamiast granitu prawdy, o któreby nam się oprzeć przystało, pisarze, uprawiający tę dziedzinę, dążą do ukołysania myśli a rozbujania fantazyi, do zatonięcia w fali niepewności. Należą oni do szkoły Renana i renanizm u nich całkiem chrystyanizm zastąpił. Stąd też tytuł zbiorku p. Wyzewy grzeszy nierzetelnością: zamiast *Contes chrètiens* należałoby te opowiadania nazwać „Gadkami Renanowemi", bo tu autor najwidoczniej nie tyle Ewangelię miał przed oczyma, ile raczej pisma dwóch mistrzów, dwóch apostołów przeczenia, Renana i Anatola France. Jeden rozwiewał wszystkie duszne pewniki, drugi szydzi i burzy z wolterowskim na ustach śmiechem. Hołdując jakiemuś mętnemu neochrystyanizmowi, piszący po francusku pisarz słowiański nie zamierzał bluźnić, ale stworzył rzecz zawiłą, luźną, pozbawioną wiary i oryginalności literackiej, a w najwyższym stopniu niesmaczną.

Jak wielu innych spółczesnych autorów, mniema on, że poprawia tekst Ksiąg świętych i upiększa Ewangelię, mnożąc drastyczne szczegóły, impresyonistyczne opisy, malownicze zboczenia i nawiasy. Jedno z dłuższych opowiadań poświęcone jest synowi wdowy z Naim Poznawszy rodzaj przez p. Wyzewę obrany, spodziewaliśmy się romansu wskrzeszonego młodzieńca z córką Jaira. Zawiodło nas to oczekiwanie. W „gadce" tej p. Wyzewa zda się dowodzić, że Zbawiciel wrócił wprawdzie życie ciała umarłemu synowi wdowy, nie wrócił życia duszy, którą dopiero w Atenach piękno greckie rozbudza! Próbka to wymowna kierunku tych opowieści. W innej, zatytułowanej „Chrzest Jezusa", znajduje się opis wieczornej zabawy i tańców po rannem kazaniu Chrzciciela. Cztery rozdziały, pełne dziwolągów, złożyły się w całość niemniej dziwaczną, w której występuje niejaki Ruben Pompeliusz, dyskutujący z Chrystusem w sposób pobłażliwy i pełen wyrozumienia, rzekłbyś, Renanowej epoki. Odnajdujemy go i w Kleofasie z „Uczniów z Emaus", który sypie sofizmatami wystylizowanymi na modłę wykwintnych peryodów Renana, tak dalece, że niemal żywcem zaczerpnięte z „Życia Jezusa" ustępy rozpoznać przychodzi w opowiadaniach p. Wyzewy. Acz przejęty wzorami, które tak wiernie naśladuje tu i owdzie, autor jakoby chciał na innym stanąć gruncie i zbijać Renana, ale czyni to w sposób tak płytki, że skutek nie wieńczy zgoła zamiaru, zwłaszcza, iż nawet gdy potępia hiperkrytycyzm mistrza, stylizuje wedle jego metody. Zupełny brak talentu powieściowego zaciężył nad osnową tych „gadek", które próbują nas udarzyć zmodernizowaną i poprawianą Ewangelią. Chorobliwy to wyskok fantazyi, przed którym ostrzegać tylko można. *M.*

L'Angoisse et autres nouvelles. *Maxime Gorkij.* Traduites par *S. Kirina* et *P. G. la Chesnais.* Paris Sociète du Mereuse de France. 1902 (Str. 247).

Dziwna rzecz, iż utwory, w sąsiadującej z nami Rosyi poczęte, najczęściej we francuskiej do nas przybywają szacie, jak to wino rumuńskie, które wprzód nad Sekwanę jedzie i dopiero z francuską przyprawą powraca. Imię, a raczej pseudonim Gorkija, zasłynęło niedawno, zwłaszcza uczynioną mu przez Akademię petersburską obelgą (można nie świadczyć ludziom niezasługującym honoru, ale raz dawszy, odbierać go bez nowej racyi nie trzeba), zasłynęło też talentem, który teraz bodaj czy nie jedyny w młodszem pokoleniu literatury rosyjskiej zaświecił. Że talent ten Gorkij posiada, zaprzeczyć nie można, że zaś obraca się z nim w najniższych sferach społeczeństwa, „temu winną" — mógłby nam autor powiedzieć

Była jeno młodość moja
Obdarta i bosa.

Jest w nim bowiem pierwiastek wyższy, jest płomień, usiłujący przez błoto i chmury przedrzeć się ku niebu. Niektóre z urywków zawartych w obszernym tomie nie nadają się wcale do recenzyi, a przecież w każdym jest pewna myśl, jest wyraz szczerego i silnego uczucia. Pierwszy *L'Angoisse* — „Kartka z życia młynarza" — przedstawia obrazek chwycony żywcem z usposobień i zwyczajów tego dziwnego rosyjskiego ludu, tem dziwniejszego, im go się bliżej ogląda. Młynarz w interesach kręty, w rzemiośle i życiu rodzinnem szczęśliwy, trafia przypadkiem w mieście na pogrzeb chudego literata, nad którego trumną przemawia w nowoczesnym, ognistym stylu kolega. Młynarz niewiele rozumie, tylko wezwania mowcy, aby pamiętać o duszy i oswobodzić ją z pod tłumiącego brzemienia materyalnych trosk, wzbudzają w nim nagły niepokój. Dusza, wieczność, grzech, konieczność wyzwolenia się z półzwierzęcego życia poczynają kotłować mu w głowie, budzą w niej nieznany mu dotąd prąd mistycyzmu. Szczęście jego zepsute, sen zamącony, znikąd pomocy ni rady, bo pop, o którym przez chwilę pomyślał, woli brać dzięgi, niż światła użyczać. Próbuje iść do nauczyciela wiejskiego, ale ten niedawno opisał jakąś sprawkę jego w gazecie i teraz myśląc, że młynarz przybywa się mścić, wszczyna z nim kłótnię, wśród której toną niewypowiedziane metafizyczne kwestye. Niepokój wszakże pozostał, więc młynarz, chcąc go strząsnąć, jedzie do miasta; tu w szynku spotyka „kompanię", od której w zamian za fundowaną obficie wódkę żąda uciechy. Ale rzecz dziwna! tu znowu mi-

stycy, którzy przy gorzałce gadają o duszy, śpiewają chórem pieśni stepowe namiętne a rzewne, pod których falą serce biednego młynarza rozpływa się we łzach. Atoli w ślad za mistycyzmem i łzami przychodzi hulanka i młynarz przez całe cztery dni zapomina o duszy. Zato po otrzeźwieniu, gdy w zimną noc powraca do domu, chwyta go znowu niepokój i myśl tęskna o przytłumionej duszy i wstyd...

Drugi obrazek, *La sartie* (wyjście), jest opisem okropnej sceny „wyświecania“ ze wsi kijem i batem niewiernej małżonki. Podobną egzekucyę autor widział sam na wsi i mówi, iż nierzadko w południowych guberniach się zdarza pod obojętnem okiem zwierzchności. Dwie nowelki, *Par ennui* i *Vaska le rouge,* do czytania wstrętne, mają dowieść, że wśród najgorszego kału zepsucia może serce ludzkie zabić uczuciem czystszem i albo umrzeć ze wstydu, albo wybić się do uczciwego życia. Nie wyliczając wszystkich, należy przecież zaznaczyć ostatnią: *Le lecteur*, „Czytelnik“; w jej kilku kartkach bowiem więcej jest myśli, niż w niejednym tomie. Młody autor, dumny z powodzenia swego pierwszego utworu, wracając nocą do siebie, spotyka po drodze w ludzkiej postaci — własne sumienie. Po długich wahaniach i targach decyduje się wysłuchać nieproszonego cenzora, zapytującego wprzód ironicznie a potem surowo, jakiem prawem on, pisząc, zamierza ludzkość nauczać? Czegóż ją nauczy, kiedy sam nie ma stałych zasad, nie wie, kto lub co jest jego bogiem, nie ma potężnego głosu dawnych mistrzów, nie ma nienawiści do złego, które chce zwalczać, ni czci dla cnoty, którą ma popierać; gdy na wzór tylu innych umie tylko odtwarzać wzorki z powszednich, miernych ludzi i powszednich wypadków, malując zwykle blademi barwami tylko ujemne strony ludzkości! Toż człowiek, czytając, przyzwyczaja się do swego portretu, rezygnuje się na własną szpetność i zniechęcony do życia traci godność ludzką, by żyć coraz bardziej jak zwierzę. Wyraz: ideał — już śmiech tylko w nim wzbudza, ale nie śmiech zdrowy, uczciwy, bo i ta cecha człowieczeństwa znika ze świata, a literatura już jej nawet wzniecić nie umie. Budzić ludzi z materyalistycznego letargu, leczyć ich obrazami cnót, podnieść ich do bohaterstwa i szlachetności nawoływaniem, natchnieniem, karcić surowo zło, ale karcić z miłością, z głęboką wiarą w to, co się im głosi i jasną świadomością celu, do którego się dąży — oto, co, zdaniem autora, jest obowiązkiem każdego, co pisze; inaczej — lepiej, ażeby nie pisał... Istotnie szkoda tego szkicu Gorkija, schowanego poza innymi, od których bezsprzecznie jest wyższy. Nam wolno tylko życzyć autorowi, aby własnemi zasadami się przejął. *T. W.*

De la Haine à l'Amour. *Ernest Daudet.* Paris. Felix Juven éditeur (Str. 356).

Autor nie umieścił daty na okładce, jest to wszakże, o ile nam wiadomo, ostatnia jego praca [1]. Stanowi ona gwałtowny kontrast z większością tegoczesnych utworów: gdyby nie treść, krążąca około epizodu z wojny francusko-pruskiej, możnaby mniemać, że ją przedrukowano z *Journal des dames et des demoiselles* z r. 1850. Podobno publiczność francuska, znużona jaskrawym stylem i chorobliwością psychologii autorów z końca XIX wieku, lubuje się teraz w takich opowieściach spokojnych, miękkich, niemal bezbarwnych, tak jak człowiek przesycony truflami i winem lubi czasem dla zmiany filiżankę ciepłego mleka z kwiatem pomarańczowym. Uczciwe to, dobre, cnotliwe, nawet bardzo nabożne ale — poniekąd nudne, a cnotę w nudny sposób przedstawić jest w skutkach gorszym błędem, niż przedstawić występek. Stało się to wszelako bez intencyi autora, który usiłował przeciwnie opowiadanie swoje dramatycznem uczynić: przedstawił szlachecką rodzinę francuską, rozszczepioną w czasie walk religijnych na dwie połowy: katolicką, pozostałą w kraju i hugenocką, przeniesioną na obczyznę. W tej ostatniej tradycya, nie poparta dokumentami, niesie, iż ongi brat katolik zamordował brata protestanta, którego żona z dzieckiem tylko uciec zdołała. Odtąd zapomnieli o sobie i dopiero na polu walki w r. 1870 dwaj potomkowie spotykają się naprzeciw siebie, jeden w mundurze pruskim, drugi francuskim. Kardynalnym błędem autora jest, że Prusak nie jest już istotnym Jorance'm, tylko synem ostatniej z rodu, a więc prawdziwie Niemcem i z obowiązku powinienby Niemcem pozostać. Zwie się hr. Königsdal, wie jednak dobrze o przeszłości rodziny matczynej, bo mu podobnie jak każdemu z niej z kolei kazano zaprzysiądz, że pomści śmierć przodka, zamordowanego w XVII wieku. Tymczasem Königsdal, ranny śmiertelnie nie w bitwie, ale skrytobójczym strzałem dziewczyny z ludu, mszczącej poległego oblubieńca, poniesiony jest do zamku rodziny Jorance'ów francuskich. Tu dzieje się rzecz przewidziana, bo tysiąc razy wyzyskana w powieściach, zakochuje się w pielęgnującej go pannie, przyznaje się jej w tajemnicy do pokrewieństwa, a gdy ta pomimo tego nie chce wyjść za Prusaka i protestanta, decyduje się na zmianę religii i kraju. Nawrócenie przeprowadzone jest dobrze, bo prócz miłości działa atawizm i różne świeże wrażenia.

[1] Na okładce książki wymienione są jeszcze trzy tomy: *La princesse de Lerne, Les deux Evêques* i *Fléau qui passe.*

Z drugorzędnych postaci jedna tylko stara eks-aktorka (zawsze bardzo cnotliwa!) nakreślona jest z humorem i życiem.

Wogóle Ernest Daudet jest dość słabym autorem, gasnącym w cieniu przy sławie starszego brata Alfonsa, a nawet przy talencie synowca Leona, objawionego jednorazowym ale bardzo silnym błyskiem w powieści a raczej paszkwilu: *Les Morticoles*. Jest to satyra na francuskich lekarzy, a wraz z nimi na społeczeństwo, usiłujące rządzić się bez Boga. Okręt, zbłąkany wśród burzy, rzucony jest na wybrzeże kraju Mortikolów, gdzie jedynem bóstwem jest Materya, gdzie dyplom lekarski jest niezbędnym warunkiem do osiągnięcia jakiegokolwiek urzędu, gdzie społeczeństwo dzieli się poniewolnie na dwie kasty: chorych bogatych i chorych ubogich. Stan zdrowotny nie jest gorszy, niż w innych państwach, ale wszyscy leczyć się muszą, jedni z wolnością wyboru lekarza i środków, drudzy poniewoli, z urzędu. Następuje szczegółowy opis instytucyi między innemi wykwintnej szkoły dla samobójców i domu waryatów, gdzie zamknięci bywają poeci i artyści; egzaminów doktorskich, przy których literalne lizanie nóg profesorów stanowi o dobrym postępie kandydata; szpitalów, gdzie autor, przechodząc w roli posługacza z sali do sali, wykazuje jaskrawo okropność losu biedaków cierpiących i konających bez religijnej pociechy, a zarazem różnicę sal, gdzie dowodzi lekarz chrześcijanin. Jest ich dwóch czy trzech w całej rzeczypospolitej, ale zostają wypędzeni sromotnie: jeden, bo nie mógł ukryć wzburzenia na widok umyślnie, dla celów naukowych zaszczepionej choroby, drudzy, bo wśród zarazy usiłowali chorych ratować. Obraz tej zarazy jest pełen grozy; wybuchła wskutek umyślnego rozbicia przez zawiedzionego ucznia słojów z zarazkami, przechowywanymi w czyjemś laboratoryum; rząd wstrzymuje ją, wywożąc wszystkich chorych i „podejrzanych“ za miasto i paląc ich w piecach chemicznych. Społeczeństwo u Mortikolów postanowiło żyć bez Boga, za pomocą jedynej wiedzy i z wyłącznym kultem materyi; ani się spostrzega atoli, że wiedza z czasem znika z pola i ustępuje miejsca potędze złota, a wtedy lud, pozbawiony moralnych pobudek, uciśniony i głodny, burzy się i tarza w błocie złociste bożyszcze materyi W końcu opowiadania nieszczęśni Europejczycy dorywają się jakiegoś statku i uciekają z tego ziemskiego piekła: przed nimi na widnokręgu wstaje jasne słońce i opromienia krzyż na ich białej żagli rozpięty. Teza piękna, prawdy i nauki wiele, jędrność i żywość stylu ogromna, a jednak — niepodobna książki tej w uczciwym domu zostawić na stole, autor bowiem, nie licząc już przesady, w którą wprawia nagromadzenie faktów

choćby z osobna prawdziwych, pisze cynicznie, brudno, bez najmniejszego uszanowania dla czytelnika i dla siebie samego. Różni różnym przyczynom przypisują powstanie paszkwilu, wydanego w r. 1895, pod postaciami opisanych lekarzy kładą nazwiska istniejących osób — może niesłusznie. Nam żal, że, co mogło być bardzo pięknem, jest zeszpeconem, że do prawdy w syntezie książki błyszczącej trzeba dochodzić przez błoto. Sama gwałtowność ataku musiała autorowi ściągnąć niemałą burzę na głowę, odtąd bowiem nie słychać o jego literackiej czynności. Pod względem zdolności jednak stoi daleko wyżej od stryja, którego talent zda się być cichym i jasnym strumykiem płynącym obok potoku.

T. W.

Le Brasseur d'affaires. *Georges Ohnet.* 14-me édition. Paris. Société d'éditions litteraires et artistiques. Librairie Paul Ollendorff. 1901 (Str. 416).

Nowa powieść Ohneta należy do obszernego cyklu, zatytułowanego *Les batailles de la vie,* w którym mieszczą się wśród wielu innych sławne utwory tego samego autora *Serge Panine, Le maitre des forges* (prototyp nadużywanego „cnotliwego inżyniera), *Le droit de l'enfant* i śliczne *Le curè de Favières.*

Obecne dzieło ma właściwie tylko pozór powieści: jest to raczej rozprawa społeczno-polityczna z uosobieniem różnych odcieni stronnictw w postaci bohaterów romansu. Początek wydaje się nieco ciężkim i nudnym, w miarę czytania jednak typy zaokrąglają się i stają się bardziej wypukłe, dyskusye nabierają siły i znaczenia, akcya sprężystości i życia. Nieraz napotyka się myśl głębszą, aforyzm wykwintny a trafny. Najlepiej nakreśloną jest postać samego *brasseur d'affaires,* spekulanta, obdarzonego obok gorącej krwi i szalonego polotu wyobraźni genialną bystrością i energią. To nie cichy wyrobnik giełdowy, to wielki kondottier, zdobywający kraje i druzgocący po drodze zapory. O sumienie u takich ludzi pytać trudno — dopóki nie dosiągnęli szczytu. Dartigues zaś zaczął od spodu; pierwsze jego spekulacye przywiodły do nędzy żonę jego i dziecko, więc nawspół ze swym kolegą a zarazem złym duchem, Klaudyuszem Brun, postanowił opuścić Europę. Brun, odepchnięty przez żonę Dartigues'a, Francinę, oczernił ją przed mężem; stąd w stadle niesnaski, poniewieranie Franciny przez męża i jej odmowa towarzyszenia mu za morze. Rozwód, którego czytelnik tylko się domyśla, utrwala to rozłączenie, poczem Francina zostaje żoną

młodego lekarza, wznoszącego się szybko do majątku i sławy. Ten dr. Appel jest jedną z głównych figur w powieści, gdzie stanowi typ bardzo cnotliwego stoika, zastępującego religię filantropią gorącą a czynną, potrzebaby mu tylko trochę miłości Bożej, aby zostać świętym. Syna żony, Piotra, wychowuje w swoich zasadach, pod swojem nazwiskiem — mówiąc między nami, mógłby go pod względem moralności trochę lepszych obyczajów nauczyć.

Po dwudziestu latach Dartigues wraca miliarderem, ożeniony z wdową jakiegoś prezydenta Boliwii czy Argentyny i z tejże córką piękną a skromną. Dartigues chce teraz karyerę polityczną rozpocząć, marzy o pchnięciu Francyi na nowe tory, urzeczywistnienie najśmielszych jego przemysłowych zamiarów pozwala mu tworzyć fantastyczne plany, łączące wielkość kraju z jego własną wielkością. On jednak, choć wyszły z ludu, przedstawia obecnie kapitał i na liście wyborczej spotyka naprzeciw siebie kandydaturę potężnego wodza socyalistów, adwokata Des Barres. I ot znów wybitny typ w opowiadaniu: ideolog, ateusz, ale uczciwy i nawet szlachetny, gardzący obecnym rządem, który zmonopolizował na korzyść jednej koteryi korzyści, jakie z Kommuny miały wypłynąć dla ludu; wróg kapitału, praw dziedzictwa, solidarności rodzinnej, nie dostrzegający, iż wygłaszane przezeń teorye, powiększone w ustach jego stronników, stają się zbrodniczemi, gdy są obrócone w czyn. Jest on przyjacielem Appela i Piotr służy mu piórem w socyalistycznych dziennikach. Poznanie ojca z synem dokonywa się na tle walki wyborczej. Odtąd jednak biedny Piotr nie ma chwili spokoju, miotany między miłością dla matki i dla ojczyma, a nowem uczuciem dla ojca, który go olśniewa i nęci, zakochany w pięknej tegoż pasierbicy, budzi się dopiero, gdy Klaudyusz Brun, który na stare lata zapragnął jej ręki i nie mógł jej od Dartigues'a otrzymać, chce się nań zemścić, wyjawiając ciemne sprawy z dawnych lat, z początków jego zawodu.

Piękną tu bardzo jest rola Franciny, gdyż widząc, że syn wykupił dokumenty, mogące zgubić ojca, każe mu je bez przeczytania wrzucić do ognia; piękne też postępowanie starego Des Barres. Brun ma jeszcze inne dowody i te, gdy pierwsza jego kombinacya chybiła, idzie ofiarować dowódcy partyi katolickiej, Markizowi de Coutras. Ten zamierza ich użyć w Izbie, by zadać cios rządowi skompromitowanemu wraz z oskarżonym Dartigues w sprawie jakiegoś afrykańskiego kanału; mowa jego wystarczy dla pogrążenia kandydatury milionera. Wybór Des Barres'a jest pewnym; on jednak na prośbę Piotra, na

którego hańba ojca spaśćby musiała, poświęca się i sam idzie prosić Markiza, aby swej mowy zaniechał, na co tenże się zgadza, nie chcąc być narzędziem podłej intrygi. Rozmowa obu wrogów politycznych jest wyborna; wyborniejszą jeszcze scena, gdzie Piotr żąda od ojca, by przez wdzięczność dla Des Barres'a od kandydatury odstąpił. Dartigues broni się, utrzymując, że mu nic nie winien, wywodzi szumne frazesy i brzmiące sofizmy, pozując przed synem i przed samym sobą i ustępuje dopiero, widząc, jak nizko upadł w oczach swego dziecka, jedynej swej miłości prawdziwej. Pięknym jest również ustęp, gdzie Francina spotyka dawnego męża w samotnym kościele i skruszonemu przebacza; mniej udaną, bo naciągniętą, historya śmierci Dartigues'a, dosięgniętego zemstą Bruna w chwili, gdy mniema, że go całkowicie przejednał. Miliony przechodzą do rąk Piotra, który, acz nie chciał pieniędzy ojca dotknąć za życia, bierze je bez skrupułu po śmierci, aby je według nauk Appela użyć ku dobru bliźniego.

Taką jest mniej więcej treść powieści, wyjęta z obciążającego ją balastu rozumowań; rozumowania z drugiej strony tracą na ciągłem przerywaniu przez akcyę. Jest to modą teraz (u starzejących się autorów) czynić poważną książkę z romansu, a romans z poważnej rozprawy — wolelibyśmy obie rzeczy osobno.

T. W.

Jack Raymond by *E. L. Voynich.* London. Wiliam Heinemann. 1901 (Str. 300).

Jeżeli pisma Balzac'a i jego naśladowców spowodowały swojego czasu we Francyi i innych krajach epidemię „niepoznanych kobiet", *les femmes incomprises,* to w Anglii w naszych czasach powinnaby panować podobna epidemia wśród dzieci. Temat „niepoznanego", nierozumianego przez starszych dziecka, chłopca czy dziewczyny, powtarza się na wszystkie tony, jak np. w *Misunderstood, Trown together, Donovan, Home influence* i w wielu innych aż do *Mighty Atom* Maryi Corelli i najnowszej powieści: *Jack Raymond.* Czy ta uporność autorów w obrabianiu jednego przedmiotu wywołana jest istotną potrzebą ratowania młodego pokolenia przed skutkami egoizmu lub zaślepienia rodziców, czy też jest po prostu modą, odmienną formą ślicznych jak nigdzie w literaturze angielskiej obrazków dziecinnych? Trzebaby się wżyć w społeczeństwo angielskie, by módz dać na to odpowiedź. W każdym razie czytanie takich opowiadań może niekiedy źle podziałać na bardzo młode umysły: są to zazwyczaj książki o dzieciach, ale nie dla dzieci. Co do

Jack'a Raymond, ten już absolutnie się nie kwalifikuje dla młodych rąk. Rzecz napisana barwnie, z wielkim zasobem życia i niemałym talentem, ale miejscami w sposób brutalny. Są szczegóły, które dawniej napotykało się w sprawozdaniach sądowych, ale nigdy w uczciwej powieści; dziś ludzie nazywają wszystko po imieniu, ze szczerością, której mogliby czytelnikom oszczędzić.

Jack Raymond jest zapoznanym chłopcem, nie jest jednak wcale ideałem. Sierota, wraz z młodszą siostrą wychowany u stryja, wśród gallijskiej nadmorskiej wioski stał się postrachem jednych, przedmiotem oburzenia drugich, a zgorszenia wszystkich. Wdał się fizycznie i, jak mniemano, moralnie w matkę, węgierską aktorkę czy też cygankę; ojciec, kapitan okrętu, utonął, ratując jakąś łódź ginącą. Stryj był pastorem i trudno było o człowieka surowszej cnoty, bardziej dbałego o zbawienie swoich owieczek, bardziej bezwzględnego w wykorzenianiu wszelkiego zepsucia. Trudno było pojąć, iż jegoto właśnie niebo pokarało takim hultajskim synowcem. Jack chodził do szkoły, a poza szkołą rozbijał się po okolicy na czele bandy młodocianych urwiszów; wracał do domu obdarty, zabłocony, często skrwawiony, przyjmowany głośnym lamentem stryjenki i kamiennem obliczem stryja, którego ręka zbrojna w nahajkę lub trzcinę regularnie i długo pracowała nad grzbietem synowca. Chłopiec przywykł do bicia, wolał je od stryjowskich kazań, zacinał zęby i milczał. Czasem tylko zaśmiał się dziko lub błysnął nienawiścią z głębi swych czarnych oczu cygańskich. Niktby nie domyślił się wtedy, iż ten mały zbój, ten niecnota był w gruncie dzieckiem niewinnem, nieświadomem złego, odwracającem się instynktownie od wszelkiej ciekawości, wszelkiej myśli nieczystej, że ten zawadyaka był przyjacielem każdego zwierzątka, że wreszcie nigdy nie kłamał. Jack w domu stryjowskim znajdował zaopatrzenie wszelkich swych potrzeb fizycznych, znajdował troskliwość o swoje nauki; natomiast nie znajdował ufności ni serca.

Pastor Raymond karał go z zasady, z przekonaniem, iż spełnia obowiązek, a równocześnie... z radością. Życie abnegacyi i pracy stłumiło w nim wszelką chuć krom jednej, w którą wszystkie inne zdawały się spływać, a która od czasu do czasu jak gad piekielny wypełzała mu z serca. Zbyt często czytamy w dziennikach o zbrodniarzach, torturujących na śmierć niewinne dzieci; pastor Raymond nieznacznie wchodził na tę drogę, zasłonięty przed własnem sumieniem koniecznością karania winnego. Trapił się przytem zepsuciem, jakie mniemał, że Jack może wśród towarzyszy rozsiewa, gdy istotnie ci, choć

pokorni wobec pięści swojego wodza, drwili poza plecami z jego naiwności dziecięcej. Wkrótce też mieli z niej skorzystać. Jack w przystępie złości na stryja zabrał mu przez zemstę nóż pamiątkowy i schował, a zanim zgubę odkryto, oddał go nieopatrznie jednemu z kolegów w zamian za ptaka, którego tenże chciał oślepić i sprzedać. Jack oddał wolność ptaszynie i później dopiero zmiarkował, że ten dobry uczynek spełnił zapomocą kradzieży. Odtąd żył w strachu, aż grom padł stokroć gorszy, niż się mógł spodziewać. Nóż został w sąsiedniem miasteczku sprzedany, a raczej zamieniony na gorszącą książkę i sprośne obrazki, przyczem wyszedł na jaw cały rząd brzydkich spraw, które wszystkie spadły na karb biednego Jacka. Rozpoczęły się indagacye; Jack przyznał się co do noża, ale resztę oskarżeń odepchnął, nie rozumiejąc ich prawie. Pastor jednak zaciął się i zamknął chłopca na poddaszu o chlebie i wodzie. Tu co dnia wieczorem odbywały się „konfessaty“ w dawnem słowa znaczeniu, próby wymuszenia na dziecku zeznań groźbą i męczarnią, przeplataną napomnieniami i cytatami z Biblii. W Jacku zdała się zamierać ludzka natura; wśród piekła nienawiści, bólu i strachu zamieniał się w dzikiego, szczwanego zwierza. Raz rzucił się na stryja, by go zabić, lecz zwyciężony i skatowany przestał się bronić lub skarżyć; gdy stryj odchodził, czołgał się po Biblię i nabrzmiałemi od sznurów rękami wyszukiwał przekleństw zawartych w ustępie z Deuteronomu i uczył się ich na pamięć... Po tygodniu zabrakło mu sił, wśród nocy w gorączce i bólu usiłował spuścić się z okna, by się iść utopić, ale spadł i złamał rękę. Z rana stryj znalazł go pomiędzy stosami drew; nie wiedząc, że ranny, jął go łajać, a gdy Jack odpowiedział mu groźbą, podniósł nań dłoń i powalił bez zmysłów na ziemię. Dopiero widząc zbielałą twarz chłopca, nagle oprzytomniał, zawołał o pomoc, sprowadził lekarzy, drżąc na myśl, iż śmierć dziecka może zaważyć na jego sumieniu. Jack nie umarł, ale chorował długo, a lekarze, obejrzawszy skatowane ciało, domyślili się prawdy. Wieść o okrucieństwie pastora rozbiegła się, zebrała się komisya dla zbadania sprawy, a choć do poważniejszych skutków nie przyszło, bo Mr. Raymond wymówił się zbytkiem gorliwości dla ratowania duszy chłopca i moralności parafian, przecież ludzie nie przestali gadać, a szanowany dotąd pastor poczuł dokoła siebie atmosferę nagany.

Po tem, co zaszło, Jack nie mógł dłużej pozostać we wsi, gdzie go za zbrodniarza miano, ni w domu, gdzie każde spojrzenie wzmagało uczucie grozy, jaką zobopólnie w sobie ze stryjem wzbudzali. Posłano go do dalekiej szkoły pod groźbą kryminału za najlżejszem przestę-

pstwem; on zaś nawzajem zapowiedział stryjowi, że jeżeli włos spadnie z głowy jego siostrzyczki, powróci i zabije go.

W szkole dobrzy byli ludzie, ale Jack, zdziczały i zgnębiony, trzymał się osobno. On, dawniej zuchwale dzielny, żył teraz w ciągłym strachu; dniem i nocą ciężyła nad nim myśl, że jest zhańbionym, iż każdej chwili stryj może rzucone nań potwarze odsłonić. Obecnie już rozumiał je: w głowie dotąd psotami zajętej odbył się powolny proces nawiązywania luźnych wyrazów, widzianych faktów, nawet niezauważonych długo ustępów z Biblii. Im lepiej zaś rozumiał, tem głębiej cierń w serce jego się wżerał. Pewnego dnia dyrektor wprowadził do szkoły ślicznego chłopczyka o złotych, rozwianych włosach i anielskiej twarzy, napominając uczniów o życzliwość dla małego cudzoziemca sieroty. Był to Polak, Theo, czyli Teodor Mirski, syn zmarłego na Sybirze wygnańca. Pierwszy raz oddalony od matki, stał wylękniony, przyciskając do piersi ukochane skrzypki. Jack nie uważał nań zrazu, nie bronił, gdy mimo słów dyrektora, koledzy jęli gnębić nowicyusza; aż raz, gdy zoczył, że jeden ze starszych namawiał chłopca do złego, a wzbraniającego się przezywał z gniewem: *Jou jailbird!* [1], czyniąc alluzyę do jego ojca, zmarłego w katordze — w Jacku nagle wzbudziło się serce, stanął mu w pamięci biedny ptak niegdyś wypuszczony z klatki i w jednej chwili napastnik znalazł się powalonym, charczącym pod silnemi rękami wyrostka Odtąd Theo zapałał uwielbieniem dla swego obrońcy, a choć Jack odpychał go i gromił, nie przestawał znosić mu kwiatów i tysiącznych drobnych oddawać usług. Co więcej, miłością swą natchnął matkę, którą długi pobyt wśród skazańców winnych i niewinnych nauczył czytać w duszach i sercach cierpiących. Śliczny jest typ tej Heleny Mirskiej, wyidealizowana postać Polki, ale nie teraźniejszej — raczej z czasów romantyzmu i emigracyi po r. 1830. Pełna wyobraźni, poezyi i wdzięku, a zarazem gorącego serca, przyciąga do siebie biednego chłopczynę, budzi w nim napowrót wiarę w siebie i w ludzi, wskrzesza w nim odwagę do życia. Uwiadomiona o wszystkich potwarzach, wierzy w jego niewinność, powierza mu opiekę nad synem i tak powoli wytwarza się stosunek, o jakim sierota nigdy w życiu nie marzył. Jack nazywa ją matką i mógłby zapomnieć o przeszłości i o stryju, gdyby nie regularnie dochodzące go listy z napomnieniami i pieniędzmi. Naprożno p. Mirska chce i w tem rolę matki odegrać; pastor uważa utrzymanie synowca za ścisły obowiązek i wykonywa go stale, tylko

[1] Więzienny ptaszek.

obecność Jacka w domu zdaje mu się wręcz niepotrzebną. Jack też radby zapomnieć, ale nie może, zaród nienawiści i trwogi zostaje w sercu. Chłopcy wyrastają, Theo na genialnego muzyka, Jack na lekarza. Modli się o powołanie do tego stanu, aby, lecząc choroby dziecinne, módz i bóle dusz dziecięcych wyleczyć. P. Mirska kocha go coraz bardziej; syn jej, powiewny artysta, „wpół anioł, wpół dziecko", zbyt jest wiotkim, by na nim moralnie oprzeć się mogła, Jack przeciwnie urzeczywistnia ideał siły, o jakim marzyła dla swego syna, dla synów swojej ojczyzny. Czasem jednak wpatruje się w pięknego Theo jak w jakie nadziemskie widzenie: „Ona w nim widzi Polskę — mówi sobie Jack — a on dba o Polskę tyle, co ja o El Dorado..." Helena Mirska umiera przedwcześnie na raka, pielęgnowana dniem i nocą przez przybranego syna, ukrywając prawie do końca chorobę swoją przed własnym. Po jej zgonie Jack pozostaje sam, zachowując jako święty legat obowiązek opieki nad młodym artystą. Theo, płynąc z jednego tryumfu w drugi, wpada co chwila w awantury, z których go ratować trzeba i Jack spełnia wiernie swą rolę Neufundlandera nawet wtedy, gdy słyszy wyznanie z ust siostry, że jej piękny Polak złamał życie na zawsze. Pastor Raymond ukazuje nam się raz jeszcze przy końcu, niosący pomoc nieszczęsnym biedakom wśród epidemii, narażający dniem i nocą swe życie.

Jak już mówiliśmy, powieść skreślona z talentem, ale bardzo przykra. W postaci pastora razi niemal zwykła jego pobożność i cnota wobec chwilowych napadów zwierzęcości, które autor zwie jego „chorobą". Radzibyśmy też w drugiej połowie książki widzieć imię Pana Boga zamiast wyrazu „bogowie"; taki zwrot, parękroć powtarzany, miewa zazwyczaj głębsze motywa i smutno zadziwia wśród książki angielskiej. Czy jednak autor jest rodowitym Anglikiem? Nazwisko o południowo-słowiańskiem brzmieniu zdawałoby się świadczyć przeczqco, a bardziej jeszcze sympatyczny opis polskich postaci, występujących w powieści. Jesteśmy już tak do zapomnienia przywykli... Chyba, że nas Sienkiewicz wskrzesił w ludzkiej pamięci.

T. W.

Les Saints: Collection Lecoffre: Sainte Thérèse par *Henri Joly;* Sainte Gertrude par *Gabriel Ledos;* Sainte Odile par *Henri Welschinger.*

Niejednokrotnie już zwracaliśmy uwagę naszych czytelników na rosnący zbiór monografii świętych Pańskich w paryskiem wydawnictwie

katolickiej księgarni Lecoffre. Wskazaliśmy na ewolucyę samejże hagiografii, za dni naszych zmodernizowanej, rządzonej surowym krytycyzmem, unikającej wszelkiej egzaltacyi, wszelkiego też rygoryzmu, badającej „psychologię świętych", jak opiewał tytuł wstępnego tomu tego przedziwnego a podręcznego księgozbioru. Z czasem w tej galeryi wizerunków przyszła kolej i na święte niewiasty, które w rocznikach chrześcijańskich tak poczesne zajmują miejsce.

Znamienici pisarze, jak Joly, Ledos i Welschinger, sięgnęli w daleką przeszłość, w przeszłość legendową dla biografii świętej Odyli. mistyczną dla wizerunków świętej Gertrudy i św. Teresy. Jak pogodzić legendę z krytycyzmem, mistycyzm z pozytywnym, roztrzeźwionym duchem czasu? zadanie istotnie nie musiało być łatwem. Wielka sumienność i ścisłość wszystkich trzech biografów przezwyciężyła trudności.

Najgłębiej, bo aż w VII wiek sięgnął biograf świętej Odyli, patronki jego rodzonej i rodzinnej Alzacyi. Henryk Welschinger należy dziś do rzędu najściślejszych i najpoważniejszych we Francyi historyków. Pociągnięty rycerskiem spółczuciem dla ofiar losu, z kolei opowiedział nam dzieje rozstrzelanego w fosach Vincennes księcia d'Enghien, młodej latorośli domu Kondeuszów, wskrzesił postać orlęcia, syna Napoleona, któremu nie przyniosło szczęścia samozwańcze miano króla rzymskiego, przejrzał proces Neya i przedłożył nam akty tej wielkiej historycznej zbrodni. Krwawiąca się w duszy jego patryotyczna rana zwróciła jego oczy ku postaci patronki Alzacyi i postanowił jej oddać hołd swego pióra i pracy. Wziął na przetak krytyki legendy i podania, zbadał stare rękopisy, aż wkońcu stanęła przed nami św. dziewica w całym uroku prawdy.

W owychto zamierzchłych czasach rządził Alzacyą udzielny jej książę Adalryk. Gdy mu żona powiła dziecię niewidome, upokorzony tem kalectwem rodzic, chciał córeczkę zgładzić. Wyproszono zachowanie jej życia, lecz ojciec widzieć dziecka nie chciał, i oddana służebnica małą Odylę wyniosła daleko, do klasztoru, zwanego Palmą. Tam po niejakim czasie przybył świątobliwy biskup Ratyzbony i wygnanej dzieweczce udzielił Sakramentu chrztu św. Odrodziwszy się w łasce, Odyla przejrzała. Pobożny biskup dał wówczas dzieweczce pocałunek pokoju, mówiąc: „Daj nam Boże oglądać się nawzajem w wiekuistej przystani" — zaczem odszedł do ojczyzny swojej.

Na wieść o cudzie, brat Odyli sprowadził siostrę do rodzicielskiego dworu. Atoli mściwy Adalryk za nieposłuszeństwo własnego

zabił syna. Nie oddalił wszakże córki i pozwolił jej żyć dalej jako zakonnicy na łonie własnej rodziny. Cnota świętej dzieweczki zwalczyła ojcowski opór i gwałtowność. Nawrócony, zapragnął dać wyraz jawny swej pokucie. Darował tedy córce zamek swój, zwan Hohenburg i modlitwy dziewic Bogu poświęconych napełniły komnaty, kędy dotąd rozbrzmiewały same tylko bluźnierstwa i hulatyki.

Odtąd na świętej górze, skąd oko obejmuje alzacką równinę, rwane w niebo smukłą, daleką wieżycą strasburskiego minsteru, Odyla zbudowała cały szereg kaplic, osad klasztornych, pielgrzymich ochron. Nie wiadomo, czy benedyktyńską przyjęła regułę, czy też własnemi ustawami rządziła swym zakonnym światkiem. Dość, że za życia i po zgonie cisnęli się do niej pątnicy. Umarła około r. 700. Wraz z rychłym kanonizacyjnym wyrokiem Alzacya niebawem obrała sobie świętą Odylę za patronkę. Rozrastała się przywilejami monarszymi klasztorna osada, a jednocześnie wrogie napady niszczyły ją wielokrotnie. Z kolei siedm razy wysoki zamek spłonął do szczętu, później rewolucya rozproszyła zakonnice, wyprzedała własność opactwa. Ale zaledwie burza przycichła, wróciły tu tłumy pątników, powróciły święte dziewice, spełniające straż pobożną dokoła zwłok alzackiej księżniczki. Po dziś dzień wysoki jej zamek pozostał sercem Alzacyi, kędy silniej biją tętna patryotycznego bólu, a gorętsze płyną modlitwy. Dość wspomnieć niezrównany opis pielgrzymki na świętą górę w rzewnem opowiadaniu R. Bazina: „Rodzina Oberle". Zwycięstwo i zabór nie potrafiły wyrwać z duszy alzackiej tkliwego nabożeństwa do św. Odyli, która w osobie p. Welschingera doczekała się najlepszego biografa, a z rąk jego najpiękniejszego hołdu.

Z świętą Gertrudą przechodzimy w ten wiek XIII, wiek świętych, nie w samych tylko granicach Umbryi. Pan Ledos zabrał się do dzieła z uczonością Benedyktyna, z biegłością paleografa, umiejącego wyzyskać każdy stary rękopis, każdy odłam przeszłości. Z wyczerpującą znajomością przedmiotu odmalował nam licznie w Niemczech rozsiane monastery, kędy zbożne niewiasty uprawiały te same nauki, co kler i gdzie pokój duszy szedł w parze z trudem i pracą ducha. Pisząc życie istoty, przez lat dwadzieścia zachwytami i objawieniami wyrywanej z warunków powszednich, autor musiał oprzeć się o powagę najprzedniejszych teologów. Głównie uczony Goerres był mu przewodnikiem co do mistycznych objawów. Nie dość, że postarał się o wskrzeszenie samejże naczelnej postaci swej bohaterki, ale nadto biegłą ręką zbadał prądy pobożne, przebiegające w danej chwili świat

chrześcijański. Za czasów świętej Gertrudy męka Pańska głównie pociąga serca; wiek to Piętn św. Franciszka, wiek ostatniej krucyaty, podjętej przez św. Ludwika dla odbicia gwoździ ukrzyżowania i korony cierniowej. Przebite serce Zbawiciela pociąga ku sobie Gertrudę, onato w swych „Gońcach miłości“ kreśli teologiczną podstawę nabożeństwa, które w naszych czasach ostatecznego doczekało się rozwoju, ona przesłanką tej czci Najświętszego Serca, dziś upowszechnionej aż do ostatnich kresów ziemi. Święta Gertruda i jej żywot cudowny mogły znaleźć cieplejszego biografa, nie mogły wzbudzić sumienniejszego. Owszem, ta jego miara i równowaga w ocenianiu nadprzyrodzonych objawów dodaje jeszcze powagi i znaczenia życiorysowi, cofającemu nas o sześć wieków wstecz, aż do właściwej kolebki mistycznego uczczenia Bożej miłości, której siedliskiem najświętsze Zbawiciela Serce.

Najbliższą nas to trzecia święta, której nazwisko wypisaliśmy powyżej, to wielka reformatorka Karmelu, która się doczekała w niniejszem wydawnictwie nie tyle biografii, ile charakterystyki. Autor „Psychologii świętych“, p. H. Joly, przystąpił poniekąd i do ściślejszej analizy i zbadania psychologii Teresy de Ahumada. Ktoby nie znał skądinąd jej dziejów, możeby znalazł w niniejszem studyum pewne braki i niedostatki. Lecz życie to powszechnie znane pod względem dzieł dokonanych i łask odebranych; na tej kanwie filozof chrześcijański osnuwa moralny wizerunek hiszpańskiej świętej. Nie była ona uwidocznioną w właściwem oświetleniu aż po dni nasze. Wydawcy jej pism ze źle zrozumianego uszanowania dowolnie listy jej przykrawali i tylko w ułamkach podawali. Wydanie całej korespondencyi świeżo obrzuciło pełnią światła tę nadzwyczajną postać, łączącą w sobie najwyższy mistycyzm z najprzedziwniejszą prostotą. Ta dusza płomienna, krocząca szlakami łask nadzwyczajnych, w gruncie była bardzo prostą, pozytywną, ścisłą w rozumowaniach i postanowieniach swoich. Nie dawała się porywać chwilowym wrażeniom i rozkołysaniu wyobraźni. I tak np. przez lat trzy badała własne powołanie, zanim się zdecydowała iść za niem. Przez lat dziesięć nosiła się z myślą reformy zakonu swojego i namyślała się, czy ma doń przystąpić. Zawsze w niej prześwieca honor kastylski, nawet w wierności regule zakonnej tkwi poczucie danego słowa i złożonego ślubu, któremu sprzeniewierzyć się nie pozwala honor, nietylko cnota. Ta dusza pełna mistycyzmu nie daje się ukołysać życiu kontemplatywnemu, jest ona przedewszystkiem niewiastą czynu i mężnych postanowień. Nawet w doborze książek, dostarczających jej „najmilszych rozkoszy“, nie uprawia marzycielstwa; lubuje

się przedewszystkiem w wyznaniach św. Augustyna, w listach św. Hieronima, w dziełach Kassyana lub Grzegorza Wielkiego, słowem, karmi się najjędrniejszą strawą duchowną. Ta istota, oddana kontemplacyjnemu życiu, umie jednocześnie być bardzo czynną, bardzo pracowitą, ciągle działającą. Brzydzi się przedewszystkiem marnowaniem czasu, stratą godzin, bezczynnością i lenistwem. Nawet w modlitwie upatruje głównie narzędzie czynu. Najwyżej tę stawia, która najlepsze odnosi skutki, która najbujniejsze wydaje owoce czynienia dobrze.

M.

Diary of an idle woman in Constantinople by *Frances Elliot.* Tauchnitz edition Leipzig. 1893 (Str. 344).

Książka niebardzo nowa, bo na okładce czytamy rok 1893, a zatem datą już z przeszłego wieku — i gdyby nie należała do obcej literatury, trudnoby zdobyć się na odwagę, by ją czytelnikom przedstawić. Jest to jednak rzecz u nas mało znana a zasługująca, aby być poznaną; nie romans, nie klasyczny opis podróży, ale obrazki z obecnej stolicy Islamu z wskrzeszeniem wspomnień dawnego Bizancyum. Autorka błądzi po brudnym, krzykliwym i jaskrawym Stambule, trąca o ruiny murów i odłamy kolumn, ogląda ciemne ściany Jedykuły, resztki Hippodromu, zbezczeszczoną katedrę św. Zofii i w myśli odtwarza dawne cesarskie pałace i gmachy, ową orgię marmurów, klejnotów i złota, jaką był niegdyś Carogród, ożywia wielkie lub barwne postacie imperatorów, ich wodzów, dworzan i ludu, ukazuje świetność „miasta strzeżonego przez Boga", jak wonczas przed tureckim zaborem pisano. Co prawda, świetność ta dziwnie zmalała, odkąd greckie cesarstwo z zazdrości przed potęgą nie tyle Rzymu, co zachodniego, niemieckiego cesarstwa dało się odciąć od Stolicy św., lecz mimo to, co za porównanie z dzisiejszą turecką stolicą! Niektórzy dziś żałują kolorytu wschodniego, zacierającego się pod blichtrem zachodniej cywilizacyi, a nie pamiętają, że ten koloryt jest tylko pokładem farby, zawierającym dawne barwy rodzime. Opisy F. Elliot nie są wyczerpujące i nie silą się na to; miejscami możnaby z dziejów przeszłości drobną pomyłkę zaznaczyć.

I wogóle jednak więcej się z pod jej pióra dowiedzieć można o dawnej postaci miasta, o życiu dzisiejszej ludności i historyi ostatnich sułtanów, niż z niejednego poważnego dzieła. Nazwisko jej zresztą jest szeroko znane, gdyż podobnie jak o Konstantynopolu, pisała o Hiszpanii, o starym Rzymie, o Włoszech i o Włochach, o dwor-

skiem życiu we Francyi — gdyby wszystkie „bezczynne“ *(idle)* turystki dały nam tyle świetnych opisów, co ona, zabrakłoby chyba pola działania dla podróżujących „pracowitych“ autorów.

T. W.

Z pism czasowych.

Alte und Neue Welt. Illustriertes Familienblatt zur Unterhaltung und Belehrung. Benzinger und Co. Einsiedeln. 12 zeszytów, 764 str.

Przeglądałem przed kilku dniami spis czasopism, wypożyczanych w jednej z wybitniejszych agencyi krakowskich; zastanowił mnie fakt, że wielki procent tych pism tworzą tygodniki lub miesięczniki niemieckie protestanckie, podkopujące zasady moralności i odznaczające się wogóle wcale nieżyczliwym duchem względem wszystkiego, co polskie. Bez pism niemieckich pewno się nie obejdziemy, umieją one robić propagandę i u nas; ale dlatego właśnie mają czytelnicy prawo domagać się pism wartościowych wprawdzie, któreby jednak nie obrażały uczuć religijnych czy też narodowych. Do takich pism należy wymieniony w nagłówku miesięcznik: *Alte und Neue Welt.* Miesięcznik ten postawił sobie za zadanie wytrącić z rąk katolików pisma protestanckie, które często z katolickich pieniędzy się utrzymują, a mimo to na każdym prawie kroku ducha katolickiego obrażają. Dlatego też może się wspomniany miesięcznik w każdym szczerze katolickim domu bez obawy znaleźć.

Wobec Polaków stała *Alte und Neue Welt* na stanowisku zawsze szczerze życzliwem. Pismo to zapoznało Sienkiewicza z niemieckimi czytelnikami; w jego numerach pojawiły się: „Rodzina Połanieckich“, „Quo vadis?“, „Niewola Tatarska“, „Za chlebem“, „Pójdźmy za Nim“, „Na Olimpie“ i inne sienkiewiczowskie utwory, które nakładem wydawnictwa wyszły później osobno a bardzo gustownie. W tłumaczach pracujących dla *Alte und Neue Welt* znalazł Sienkiewicz ludzi odczuwających piękno jego utworów, znających dobrze ducha języka polskiego i przejętych głęboko swem zadaniem. To też te tłumaczenia są chyba z niemieckich najlepsze i nieskończenie się różnią od innych [1]. Nowy rocznik XXXV przynosi nam na naczelnem miejscu

[1] Pruski bukaresztеński dziennik *Bukarester Tagblatt* drukował także

„Krzyżaków"; redaktor K. Muth wprowadza czytelników w krótkim sympatycznym artykule w samą powieść.

Tak „Krzyżacy", jak i pięknie napisany artykuł, omawiający obszernie dzieło hr. Potockiego: „Notatki myśliwskie z Somali", są ozdobione rycinami, z których szczególnie ryciny do „Krzyżaków" posiadają pewną wartość, choć zwykle illustracye romansów są słabe. Pożarowi Częstochowy poświęcony maleńki, również illustrowany artykuł. Z tego i z umieszczonych ulotnie tu i owdzie notatek o polskich sprawach łatwo zrozumieć, że redaktorowie względnie dużo a zawsze sympatycznie Polską się zajmują.

Rozmaitość tematów może naprawdę każdego zadowolnić. Poezye, powieści, artykuły literackie i krytyczne, historya, geografia, nauki przyrodnicze, podróże, biografie, sprawy domowe, jednem słowem artykuły z dziedziny nauki i sztuk zmieniają się ciągle, dając nam w przeciągu roku dość dokładny obraz współczesnego świata naukowego, literackiego i artystycznego; oprócz tego każdy numer przynosi obszerniejsze omówienie spraw bieżących i politycznych. Jest to tem większą zasługą, że żadne pismo miesięczne nie może dzisiaj pominąć powieści; nie pomija ich więc i *Alte und Neue Welt,* ale nie daje ich wyłącznie i daje zawsze dobre pod względem moralnym i względnie doskonałe pod względem artystycznym. Same nazwiska autorów świadczą o naszych twierdzeniach; są to nazwiska chlubnie znane na polu nauki i piśmiennictwa, a niektóre z nich należą już do całego świata.

W roku bieżącym czasopismo przemieniło się w dwutygodnik. Redaktorzy sądzili, że przez to *Alte und Neue Welt* się podniesie; nam się jednak zdaje, o ile z dotychczasowych numerów sądzić możemy, że zmiana ta nie jest korzystna.

Cena dwudziestu czterech zeszytów rocznych wynosi dla Austryi 10 koron 80 hal., zważywszy, że dają one przeszło 700 stron druku *in folio* i kilkaset pod wielu względami udatnych illustracyi, jest to cena istotnie nizka, dająca się jedynie tłumaczyć wielkiem rozszerzeniem się pisma.

Ks. Wiktor Wiecki.

---

niedawno *Quo vadis?*, ale pożal się Boże takiego tłumaczenia! Sienkiewicz samby się tam nie był poznał, tyle scen charakterystycznych dla niego, jako chrześcijańskiego pisarza, opuszczono.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Odrodzenie filozofii scholastycznej przez *ks. prof. I. Radziszewskiego.* Warsz. 1901 (Str. 65).

Mówiąc o filozofii scholastycznej, słusznie rozpoczyna szan. autor pracę swoją tą uwagą, że „uprzedzenie to potęga". Dodać można było, że jeżeli gdzie jest potęgą, to u nas i jeżeli na jakiem polu, to na polu filozofii. Systemy, które na zachodzie od dawna zbankrutowały, u nas jeszcze bywają w pełnej sile; nowe prądy, które za granicą zdobyły już powszechne prawo obywatelstwa — u nas albo są nieznane, albo napiętnowane pustym frazesem „nienaukowości, bezprzedmiotowości", wykluczone są z przybytku wiedzy. Podobnie ma się rzecz z rozwijającą się tak żywo, tak potężnie filozofią neoscholastyczną.

Tu i ówdzie, zwłaszcza ostatnimi czasy w Warszawie, pojawiały się próby zwalczenia zastarzałych a bezpodstawnych co do filozofii neoscholastycznej panujących uprzedzeń.

Usunięcie tych uprzedzeń przynajmniej na kilku ważniejszych punktach — oto cel, jaki sobie szan. autor w niniejszej rozprawce założył. W pierwszej części zajmuje się scholastyką wieków średnich, jej należytem określeniem, podziałem i rozwojem historycznym; w drugiej omawia filozofię scholastyczną odrodzoną od połowy mniej więcej XIX w., określa jej stosunek do nauk ścisłych, do powagi średniowiecznych doktorów szkoły, do religijnych dogmatów i do władzy kościelnej; w trzeciej wreszcie części przedstawia ten żywy ruch neoscholastyczny, jaki pod wpływem encykliki *Aeterni Patris* rozpoczął się we wszystkich niemal krajach Europy. Rzecz cała napisana jest żywo, jędrnie, z erudycyą prawdziwie ogromną. Znać w każdem słowie, że szan. autorowi nic nie jest obcem, co dzisiaj na polu filozoficznem się dzieje.

Z całej wybornej rozprawy ks. Radziszewskiego głównie zasługuje na pochwałę doskonale przedstawiony stosunek filozofii neoscholastycznej do nauk ścisłych.

Zarzuty natomiast, jakie dałyby się zrobić, są bardzo nieznaczne. I tak np. (str. 9) nazwanie Abelarda „inicyatorem metody scholastycznej" jest co najmniej przesadą. Należało raczej wspomnieć o Piotrze z Lombardyi lub Hugonie od św. Wiktora, których szanowny autor zupełnie pominął milczeniem. Ta pomyłka jest niewątpliwie wypływem bardzo jednostronnej pracy Picavet'a: *Abélard et Alexandre de Halés, créateurs de la méthode scolastique* (Por. Portallié. art. Abélard: *Dictionnaire de Théologie.* fasc. 1. Paris. 1899 i *Pierre Abélard critique.* Kaiser. Fribourg. 1901). Dalej wydaje nam się, że nie całkiem dokładnie traktowana jest scholastyka XVI i początku XVII w. Bądź co bądź, należy przyznać, że okres Suareza, Varqueza, Grzegorza z Walencyi, kardynała Toledo, jest to jeszcze bardzo świetna dla scholastyki doba, owszem epoka jej odrodzenia po latach upadku w XV wieku.

I ta scholastyka bynajmniej jeszcze nie odgradzała się „chińskim murem od postępu naukowego" (str. 20), opór, jaki wywołał najpierw Kopernik a potem Galileusz nie pochodził z metody filozoficznej schola-

styki, ale z błędnego przekonania, że te systemy sprzeciwiają się dogmatom wiary. Łatwo może się o tem przekonać każdy, kto zna istotny przebieg rozpraw trybunału św. Inkwizycyi przeciw tym uczonym. Nakoniec sądzimy, że w przedstawieniu rozwoju scholastyki nowoczesnej czy nie zbyt dominującem stanowiskiem obdarzył szan. autor Lovanium? Natomiast wśród mnóstwa innych ognisk nowej scholastycznej filozofii pominięty został zupełnie uniwersytet innsbrucki.

Co się tyczy formy, wogóle używa szan. autor wielu bardzo obrazów obcych, niektórych nawet dość rażących. Tak np., str. 13: „solidność", str. 17: „symplista", str. 50: „personel" i t. d. Oryginalną pisownię, nie wiem, czy w zupełności usprawiedliwia dodana na końcu uwaga, że „w niniejszej rozprawie zachowano pisownię *Przeglądu filozoficznego*", z którego praca ta jest odbitką.

J. R.

Anneksya w dawnej Polsce (Unia Polski z Litwą). *Julian Klaczko.* Tłumaczył *Karol Scipio.* Z przedmową *prof. hr. Tarnowskiego.*

Broszura francuska Klaczki p. n.: *Une annexion d'autrefois*, to nie nowość literacka. Wyszła już w roku 1869. Ale ogół, jak żali się prof. Tarnowski w przedmowie, prawie jej nie znał. tak, że ukazanie się jej w polskiem tłumaczeniu dopiero może ją wprowadzić między czytającą publiczność. Cel jej, jak zauważa prof. Tarnowski, polityczno-polemiczny: przeciwstawienie gwałtownej zaborczej polityce Prus sposobu złączenia politycznego dwóch państw nie przez podbój i przemoc, lecz drogą pokojową, połączenie, sprowadzone poznaniem obopólnej korzyści politycznej i wspólnej misyi dziejowej. Wykazuje to autor na każdej prawie stronicy, wciąż do niej powraca, wykazując obfite owoce takiej pokojowej polityki Główną, co prawda, osnowę stanowi przedstawienie starań Jagiełły o rękę Jadwigi, chrztu Litwy, starcia z Krzyżakami i zespolenia się politycznego obu państw w Horodle, a sięga nawet aż do Unii Lubelskiej. Mimo to zdaje się nam, że część historyczna to dla autora tylko środek do celu, bo zresztą po Szajnosze nic nowego prawie nie przynosi, celu politycznego i polemicznego zarazem, żywotnego spółcześnie z wyjściem broszury i dziś może po latach 30 jeszcze więcej.

A. B.

Powstanie polskie 1863 i 1864 r. *M. W. Berg.* Z rosyjskiego przełożył *K. J.* Tomów 3. Kraków. 1900.

Z pewnem niedowierzaniem, z pewną nawet obawą bierze się do rąk dzieło powyższe, dzieło Rosyanina o wypadkach nam tak blizkich, tak nas dotykających; boi się, czy Rosyanin, opisując dzieje te, nie dotknie naszych uczuć przedstawieniem rzeczy subjektywnie przeinaczonem, jak to nieraz czynili obcy, pisząc o nas i o naszych dziejach. W miarę czytania obawa ta znika. Autor miał wstęp i korzystał z zamkniętych dla ogółu tajnych aktów urzędowych rosyjskich, skąd wziął wiele szczegółów zupełnie nieznanych dotąd. Szczegóły te przyjmujemy na odpowiedzialność autora, sprawdzenie ich ze względu na źródła jest niemożliwe. Przypuszczamy po sumienności, jaka widnieje ze sposobu przedstawienia i opracowania, że przedstawia i podaje szczegóły zgodnie z prawdą. Zajmujące jest szczególnie podanie i zobrazowanie stosunku namiestników Kró-

lestwa polskiego z Petersburgiem, z organami namiestnikom podwładnymi, wogóle ruch całej machiny administracyjnej owoczesnej. Zaczyna autor opowiadanie od śmierci Paszkiewicza, kończy upadkiem Wielopolskiego. Kreśli obok obrazu administracyi jako tła urzędowego, że się tak wyrazimy, głównie działalność Rządu Narodowego, podając wiele ciekawych dat z rządowych aktów śledczych.

Działania wojenne powstańców przedstawia pobieżnie, w wielu faktach niedokładnie lub nawet mylnie. Obok tych niedokładności spostrzedz zdołaliśmy pewną nietrafność w ocenie wypadków, systemu administracyi Królestwa polskiego, ocenie i charakterystyce osób, np. Wielopolskiego i t d., niezgodności usprawiedliwione częściowo stanowiskiem i punktem widzenia autora - Rosyanina i stojącego do tego blizko sfer rządowych. Całość robi dodatnie wrażenie sumiennością i widocznem staraniem się o objektywność przedstawienia i, obok możności zapoznania się z wielu niedokładnie dotąd znanymi faktami, daje poznać usposobienie i zapatrywanie się lepiej myślących Rosyan na powstanie styczniowe. *A.B.*

Rok 1863 na Rusi Czerwonej. *Fr. Rawita Gawroński.*

Daje tu autor krótki treściwy obraz stanowiska, jakie zajęła wschodnia Galicya, na czele Lwów, wobec ruchu z 1863. Przedstawia ścieranie się prądów, opinii, działalność komitetów organizacyjnych, działalność i zatargi z Głównym Rządem Narodowym w Warszawie, paraliżujące wszelką dodatnią działalność. Charakteryzuje główne osoby działające, zaczepia o stosunki wschodnie i czynności Miłkowskiego na Mołdawii i w Turcyi. Dziełem swem daje autor cenny dodatek do obrazu powstania r. 1863, znanego nam dobrze z tradycyi jeszcze żywej, ale źródłowo dotąd wyczerpująco nie opracowanego. *A. B.*

Mapa Królestwa Polskiego. *P. A. Barącz.* Warszawa-Kraków. 1901.

Mapa p. Barącza przedstawia nam dziesięć gubernii Królestwa Polskiego z oznaczeniem dróg żelaznych, bitych i zwyczajnych, w skali 1:840000 = 20 wiorst w calu angielskim. Mapa ta pięknie i czysto wykonana, mogłaby przynieść zaszczyt naszej kartografii i żal prawdziwie się robi, że niestety musimy odmówić jej zalet dokładności geograficznej. Na niedokładność tę w jednym kierunku pozwolimy sobie zwrócić uwagę. Rzućmy okiem na sieć kolei żelaznych. Wyraźnie zarysowuje się na mapie czerwoną farbą odznaczona sposobem dotychczas przyjętym, rozróżnione mamy linie otwarte, w budowie i podjazdowe; autor znaczy nawet poza granicami swej mapy linie kolejowe drobne, kilku nawet kilometrowe. Tem bardziej więc nie możemy pojąć, dlaczego nie oznaczono zupełnie na mapie znanej od dawna odnogi kolejowej drogi warszawsko-bydgoskiej, z Aleksandrowa do Ciechocinka? dlaczego w szkicowaniu sieci kolejowej ościennej Galicyi, gdy naznaczono koleje, które kiedyś powstać mają, zapomniano o już istniejących, jak kolei Bolęcin-Jaworzno; linia nadgraniczna Kraków-Kocmyrzów; linię Skawce-Siersza Wodna doprowadzono tylko do Spytkowic; zapomniano zupełnie o linii kolejowej z Rozwadowa do Przeworska; gorzej jeszcze, bo naznaczono kolej Lwów-Jaworów jako już otwar-

tą, gdy do dziś dnia dochodzi ona tylko do Janowa. Żadnej zaś z powyżej wymienionych przez nas linii, jako opuszczonych na mapie, nawet nie oznaczono, żeby były w budowie. Nie mielibyśmy może autorowi za złe takiego opuszczenia, gdyby nie był tak dokładnie oznaczał mniejszych i mniej ważnych linii jak np. odnogi do Niepołomic lub linii dopiero w projekcie.

Tak mapa p. Barącza, choć wydana zeszłego roku dopiero, stała się przestarzałą.

J. R.

Adama Mickiewicza Dziady, sceny dramatyczne. Tak jak były grane w teatrze krakowskim dnia 31 października 1901. (Na ostatniej stronie: Wydał St Wyspiański nakładem własnym. Kraków. Listop. 1901. W drukarni Uniw. Jag. Skład główny w księgarni Gebethnera) [1].

Comparaison n'est pas raison, to prawda, ale nieraz dużo objaśni. Stąd pozwolimy sobie zrobić małe porównanie. Przed kilku miesiącami grali w Bochni amatorzy kawałek „Wesela". Ciekawe, coby też Wyspiański powiedział, gdyby tak po pewnym czasie ukazało się w Bochni, z drukarni Pisza, dziełko pod tytułem: Stanisław Wyspiański Wesele, sceny dramatyczne, tak jak były grane w teatrze amatorskim w Bochni w październiku 1901. Mickiewicz wprawdzie nic nie może powiedzieć, nie może wystąpić przeciw tego rodzaju obchodzeniu się z jego utworem, ale też zadanie to spada na krytykę, która przeciw tego rodzaju rzeczom powinna się zastrzedz stanowczo. Jeżeli się wydaje dzieła wielkich mistrzów w przeróbkach dla młodzieży, można to wybaczyć ze względu na cele pedagogiczne, chociaż jeszcze pytanie, czy to najlepsza droga. Ale jaki cel miał wydawca w wydaniu „Dziadów", pokiereszowanych *ad usum* teatru? Że chcąc przedstawić „Dziady" na scenie, musiało się je przerobić, to rzecz naturalna i nikt przeciw temu nic nie powie, ale nie było najmniejszego powodu tej przeróbki uwieczniać drukiem. *Cui bono?* czy dla teatrów, któreby chciały „Dziady" za przykładem krakowskiego wystawiać? Pytanie, czy one je zechcą wystawiać właśnie w tem przerobieniu.

Jak Wyspiański poemat Mickiewicza przerobił, o tem wydano sądy zaraz po ich przedstawieniu. Sądy te były przeważnie bardzo niepochlebne, choć w formie swojej wstrzemięźliwe. „Dziady" nie są poematem scenicznym, to jest z pewnością fakt. Chcąc je takim zrobić, Wyspiański poskracał miejsca, które są w nich najwspanialszemi perłami — i powychodziły dziwolągi (tyrada: „Kobieto, puchu marny!", wywożenie kibitek; improwizacya i wiele innych). W szczegółowe ocenianie tego przerobienia wdawać się nie będziemy; odsyłamy czytelnika np. do fejletonu prof. Tretiaka w *Czasie*. Nas tu obchodzą dwie rzeczy. Nie usprawiedliwiając drukowania „Dziadów" tak, jak były grane w teatrze krakowskim, pragniemy sobie ten fakt wyjaśnić, jego genezę i pobudki. Powtóre warto się przypatrzyć, jakie są owe uzupełnienia i uwagi Wyspiańskiego (a nie jakiem jest sceniczne przerobienie).

Pierwsze tłumaczę sobie tą dążnością, wrodzoną artystom, aby utrwalić wszystko, cokolwiek się zrobiło, czegokolwiek dotknęło; wszy-

[1] Interpunkcyę musieliśmy dodać sami, bo wydawca tego nie zrobił. Czy postąpiliśmy w myśl jego intencyi? — nie wiemy.

stko to jest duchową własnością artysty, wszędzie on cząstkę swej duszy zostawił, a więc ma on — tak sobie tłumaczy — prawo i obowiązek zaliczać to do swoich utworów. Chyba tylko tym procesem psychologicznym można wyrozumieć fakt wydania „Dziadów“ tak, jak były grane w teatrze krakowskim. Ale czy tutaj wydawca, myśląc o sobie, nie powinien pamiętać, że utwory obce są własnością obcą i nic w nich nikomu naruszać nie wolno? czyby pozwolił na podobne przerabianie swoich utworów przez innego poetę?

Niepodzielną własnością Wyspiańskiego jest jego komentarz. Jest on oczywiście natchniony samym poematem, jest z nim w ścisłym związku, z niego bierze początek, ale z niego wyszedłszy, jest czemś samodzielnem, jest utworem oryginalnym. Można go więc oceniać jako utwór Wyspiańskiego. Tym komentarzem zaś jest scenaryusz.

Jest to właściwością dramatów Wyspiańskiego i jedną z ich wielkich ozdób, że są zaopatrzone dokładnymi a niezwykle oryginalnymi scenaryuszami. Stanowią one same dla siebie przepiękne obrazy, pełne plastyki lub malowniczości, napisane oryginalnym językiem. Ich zaś zadaniem nie jest jak w dawnych dramatach ułatwienie pracy reżyserowi lub ułatwienie oryentacyi czytelnikowi, nie są czemś, co z dramatem ściśle związane nie jest, czemś zewnętrznem i podrzędnem, ale są z nim w najściślejszym związku, są składową częścią poematu, mają dla czytelnika być skończonymi obrazami i wprowadzić go w nastrój; przypominam tu zwłaszcza „Protesilasa i Laodamię“ albo „Wesele“. To zadanie osiągają one w zupełności. Otóż tak samo postępuje Wyspiański w „Dziadach“, a te jego uwagi, jego wstępy do scen są istotnie świetne. Duchowi poematu odpowiadają doskonale, a same w sobie są małymi poematami opisowo-nastrojowymi. Tak zaraz pierwszy:

„Po brzozach cmentarnych i po konarach dębu gasnąca zorza zachodu; cmentarz cały już w zmierzchu zamroczony. Przez otwartą bramę w głębi wchodzi Starzec, mąż potężny, niewidomy; wiedzie go Pacholę; idą pomiędzy groby i głogów zarost i chróśniaki a jakby strumień szemrze z pod ich stóp liści gąszcz zeschłych, zwarzonych i spadłych jesienią“ (str. 6).

Albo ze scenaryusza drugiej części „Dziadów“ (scena druga u Wyspiańskiego):

„Noc. Scena jest pusta. Wiatr gałęzią uderzy o szyby i wiechą cieniów zachwieje; — księżycowa światłość bije z okien w głębi ku przodowi sceny, która jest mroczną. Od zewnątrz słychać mruczenie modlitew przyciszone“ (str. 16).

Są to ustępy przeniknione na wskróś poezyą, pełne malowniczości, doskonale przytem z poematem sharmonizowane. Dwa pierwsze są najpiękniejsze, prawie tak samo piękne są przy scenie trzeciej (plebania) i czwartej (cela Konrada), więcej już prozaiczne w następnych. W tych następnych (sypialnia Senatora, bal, zakończenie) Wyspiański dodaje swych uwag już daleko mniej, — najwidoczniej dlatego, że mu nie nastręczały takiego pola do obrazowania.

Oprócz tych scenaryuszów głównych, wstępnych, dziełem Wyspiańskiego są uwagi w czasie akcyi, objaśniające poruszenia i uczucia działających osób. Jest to niejako podkreślenie, zaakcentowanie myśli poety. Jak wiadomo, Mickiewicz w „Dzia-

dach“ mało dał tych drobnych scenicznych przepisów, jak się gromada ma ustawiać, jakie ruchy mają wykonywać osoby. Otóż to za niego wykonywa wydawca. I znowu w pierwszych trzech scenach więcej, w następnych mniej. Z pierwszych zaś szczególnie świetne są uwagi w scenie drugiej (w kaplicy, obrzęd Dziadów). Są one znowu przepojone taką plastyką, że w czytelniku powstają w jednej chwili najzupełniejsze, najwyraźniejsze wyobrażenia ruchu i akcyi. Powstają one wprawdzie i podczas czytania samego Mickiewicza, ale może nie tyle wyraźne; zachwycony pięknością słowa, czytelnik z pewnego rodzaju lenistwem nie myśli o tem, jak się ten obraz układa; tę pracę ułatwia mu i czyni niemal zbędną komentarz Wyspiańskiego, dając od razu obrazy bardzo wyraźne i prawdziwe. Tak na przykład przy zjawieniu się dzieci:

„Ruch się jakiś poczyna w gromadzie, bo oto niektórzy dostrzegli zjawisko; dają znaki Guślarzowi; ten schodzi ze swego miejsca za trumną, postępuje ku przodowi, za nim „Chór cały i wszyscy już teraz widzą“ (str 19).

Jak wyraźnie rysuje się przed nami dziecko-aniołek: „Z góry, z ołtarza, ku ziemi rączęta chyląc i kogoś jakby upatrując; a główka w otoku gwiazd światłem rozświecona dziwnem“ (str. 20). Albo zjawienie się dziedzica: „I naraz za oknem wiatr łamie gałęzie i wicher szyby podrywa; a już paru blizkich okna dostrzegło dziwo, które poza oknem do szyb się tłucze i woła; — i już wszyscy patrzą do okien... przez chwilę pojawia się w oknie głowa i postaci część we świetle księżycowem“ (str. 25).

Tak komentowana jest cała część druga „Dziadów“, a zwłaszcza doskonale wszystkie poruszenia gromady.

Cały ten komentarz pisany jest właściwym Wyspiańskiemu językiem. Bardzo piękny i oryginalny, ma ten język odrębny, wdzięk i urok. Ale ma i właściwości, które są nieuchronnym poprzednikiem maniery. Zwracamy szczególniej uwagę na szyk wyrazów w przydawce: liści gąszcz zeschłych, w zbroję przyodziany zerdzałą, mruczenia modlitew przyciszone, ganek dworku oszklony. Nie mamy wcale zamiaru wyławiać „błędów językowych“, przypominamy tylko, że odrębność i nowość szyku jest rzeczą czysto gramatyczną, nie stylistyczną i nie daje językowi poety cechy oryginalności lecz maniery. Nowe i śmiałe zwroty, nowe obrazy, nowe zestawienia wyrazów dały „Sonetom krymskim“ cechę i urok oryginalności; ale oryginalny szyk wyrazów nadał dziełom Krasińskiego pozór maniery.

Dr. St. D.

Podróż poślubna, utwór poetycki. *Kazimierz Lubecki.* Kraków. 1902 (Str. 95).

Młody poeta, który przed rokiem wydał zbiorek swych pieśni, podróżował wiele po Europie. Podziwiał południe, zwiedził Szwajcaryę i Paryż, poznał też miasta niemieckie, napatrzył się do syta i pomnikom Pragi. Poetyczną prozą opisał swe wrażenia, aby zaś urok ich poetycki podnieść, wprowadził w swe opowiadanie parę nowożeńców, złączonych miłością czystą i idealną.

Po każdym krótkim opisie okolicy czy gmachu (najczęściej świątyni starej), zwraca się poeta do swej lubej. Ona mu zawsze piękniejszą nad opisane wspaniałości, droższą nad

ujrzane skarby. Ale czasem rozmodlony przed obrazem Tycyana lub innego mistrza, zapomina o ziemskiej kochance i zwraca się z modłami do „Matki naszej“. To znów pogodzić chce miłość ziemską z niebieską i ze swą niewiastą modlą się do niebieskiej Królowej i z miłością swą uciekają się pod Jej obronę.

Opisy niektóre są istotnie bardzo ładne. Szczególnie pięknie opisany kościół św. Piotra i grób Rybaka, którego „prochy niebiańskie“ są kamieniem węgielnym dla tego przybytku, co kościołem wszystkich narodów jest, hymnem ich niedzielnym i całego chrześcijaństwa *votum*. Uczucie religijne podróżnika oburza się w Certosie, gdzie na miejscu domu Bożego stoi *Monumento Nazionale*, gdzie z kościoła i cmentarza uczynili bezbożni „sklep biletów wstępu i interes“. Piękne jest jego westchnienie na cichem ustroniu cmentarnem w Dreźnie nad grobami Brodzińskiego, Olizara i tylu mogiłami polskiemi.

Całość zaleca się przyjemną treścią, ładnym językiem, bogatym w obrazy poetyckie (światło leje się przez witraże, zmierzch jak mgła czarna włóczy się po szarych ścianach...), a nawet forma zewnętrzna nader mile bawi oko czytelnika.

J. F. M.

Von Emile Zola bis Gerhart Hauptmann. Erinnerungen zur Geschichte der Moderne. *Michael Georg Conrad.* Hermann Seemann Nachfolger. Leipzig. 1902.

Jest to cykl szkiców literackich, cennych przedewszystkiem dla tego, że ich autor, M. G. Conrad, odegrał ważną rolę w dziejach niemieckiego naturalizmu około r. 1885. Dodajmy, że Conrad jest może jeszcze najsympatyczniejszym z całej tej rzeszy naturalistów, bo ma istotną samodzielność, świeżość i pragnienie wielkiej poezyi. Z tego powodu mimo uwielbienia dla doskonałej techniki Hauptmanna, wyraża żal, że poeta użył jej do przedstawienia „marnych indywiduów“, tak samo nie zarzeka się idealizmu w sztuce, a tylko sądzi, że idealizm wtedy dopiero znowu opanuje umysły, gdy powstanie nowy wielki geniusz idealistyczny. O Zoli mówi niby z czcią, a przecież jakby temperament i uczucie odpychało go od niego; nasi domorośli wielbiciele Zoli nie ucieszą się, przeczytawszy, że mistrz za największe arcydzieło niemieckiego naturalizmu uważał Sacher-Marocha nowelkę *Don Juan von Kolomea*, jedno z licznych ogniw łańcucha paszkwilów antypolskich osławionego Niemca. O początkach naturalizmu Conrad podaje wiele anegdotycznych, ale bardzo ciekawych szczegółów, a w ostatnich szkicach omawia także i modernizm w architekturze (Kolonia artystów w Darmstadt), bardzo uszczypliwie charakteryzując kokieteryę i pozę rozgłośnego wiedeńskiego budowniczego Olbricha.

J. F.

Shakespeare-Realien. Alt-Englands Kulturleben im Spiegel von Shakespeares Dichtungen von *dr. Clemens Klöpper.* Dresden. Verlag von Gerhard Kühtmann. 1902 (Str. 182).

Książka niniejsza jest owocem przygotowań do encyklopedyi szekspirowskich realiów. Były już — zwłaszcza w rocznikach niemieckiego Towarzystwa Szekspira — rozprawy o medycynie, prawodawstwie, szkole i t. d. w dramatach wielkiego poety, lecz pan Klöpper pierwszy łączy te poszczególne poszukiwania. Praca jego ma oczywiście charakter kom-

pilatorski, ale jest pożyteczną, bo z zestawienia wszystkich odnośnych miejsc u Szekspira wynika jasny obraz roli, jaką pewien stan, instytucya lub rzecz odgrywała za czasów Elżbiety. Ciekawym jest np. fakt, że Szekspir o katolickich duchownych wyraża się daleko przychylniej, niż o protestanckich; zajmą czytelnika także np. szczegóły o urządzeniu mieszkań w onej epoce, albo spis zwierząt i roślin u Szekspira zanotowanych. Niewłaściwem wydaje nam się jednak korzystanie ze starożytnych dramatów, jak „Juliusz Cezar", bo chociaż nie mają one, jak wiadomo, historycznego kolorytu, to z drugiej strony nie można z nich bezpiecznie czerpać wiadomości o Anglii koło r. 1600. Dość bałamutnym jest układ rozdziałów, należało je raczej ułożyć systemem słownikowym. *J. F.*

Goethes Romantechnik. Von *dr. Robert Riemann*. Hermann Seemann, Nachfolger. Leipzig. 1902.

Można w tem dziele widzieć wzór sumienności i pracowitości niemieckich uczonych. Autor postanowił sobie podać szczegóły techniki powieściowej, opierając się przedewszystkiem na trzech wielkich utworach: *Werther, Wilhelm Meister* i *Wahlverwandschaften* i dzieląc materyał na trzy grupy: kompozycya, charakterystyka osób, dyalog; szkoda, że, uwzględniając i drobniejsze nowelle Goethego, pominął zupełnie *Wahrheit und Dichtung*, autobiografię poety, mającą jednak w wielu miejscach charakter wybitnie powieściowy. I tak jednak książka odsłania wiele na pozór drobnych, a przecież niezmiernie ważnych tajników powieściowej techniki Goethego, a wartość jej jest tem większą, że Riemann wprowadza powieści Goethego w związek z poprzedzającemi je utworami Thürmula, Hallera i innych, zwłaszcza zaś Wielanda, który w wielu razach był w technice wzorem dla Goethego. Ponieważ zaś Riemann przy ważniejszych szczegółach korzysta ze znajomości ogólno europejskiej literatury powieściowej 18-go wieku, więc rzecz niesłychanie cenna dla germanisty, przyda się bardzo każdemu, kto chce bliżej poznać romans tych czasów. *J. F.*

Maeterlinck. *Monty Jacobs.* Leipzig. Eugen Diederichs. 1902.

Nasza znajomość belgijskiego symbolisty jest bardzo jednostronną, bo tyczy się kilku znanych ze sceny (a bynajmniej dla niej nie napisanych) ponurych dramatów, które autor niniejszej książki, choć zwolennik Maeterlincka, surowo osądza, jako fatalistyczną „sztukę śmierci". Lecz monografia Jacobsa poucza i o ewolucyi, jaka od owych, dość już dawnych czasów dokonała się lub dokonywa się w umyśle Maeterlincka i w tych właśnie ustępach książka jest szczególnie zajmującą. Autor wykazuje, jak Maeterlinck w prozaicznych dziełach: *La sagesse et la Destinée*, oraz najnowszem *La vie des abcilles* pozbywa się ciemnego, mistycznego fatalizmu i ze stanowiska absolutnie egotycznego przechodzi do affirmacyi szczęścia osobistego w szczęściu wielu. Prawda, że tym filozoficznym i społecznym przekonaniom Maeterlincka nie odpowiada jeszcze na razie twórczość poetycka.

W omawianiu dramatów Jacobs często podaje nieznane przyczynki do genezy ich; tak np. udowadnia, że w *Princesse Maleine* Maeterlinck korzystał w nazwiskach i sytuacyach z baśni ludowej niemieckiej, zawar-

tej w znanym zbiorze braci Grimmów, a i „Siostra Beatrycza“ opartą jest na opracowanym już raz motywie.

J. F.

Goethes Lebenskunst. Von *dr. Wilhelm Bode.* Berlin. 1902. E. S. Mittler und Sohn.

O „Filozofii Goethego“ tego samego autora mówiliśmy niedawno obszerniej. Tą samą metodą autor posługuje się i tutaj w zestawieniu z korespondencyi poety jego autobiograficznych pism, oraz wspomnień Eckermanna i innych obrazów życia Goethego i jego poglądu na życie. W trzynastu rozdziałach patrzymy na mieszkanie poety, jego codzienne życie, zachowanie się wobec obcych, wobec wyższych i niższych, wobec przyjaciół, jego pożycie małżeńskie, miłostki i t. d. Końcowy, najobszerniejszy ustęp, poświęcony jest religijnym przekonaniom Goethego. Cytować trudno, bo materyał zbyt jest obfity, a wszystko prawie równoznaczące.

J. F.

Die Geschichte des Messopfers-Begriffs, oder der alte Glaube und die neuen Theorien über das Wesen des unblutigen Opfers. Von *Franz Ser. Renz,* bischöfl. Seminar-Inspector zu Dillingen a. D. 1 Band. Freising. 1901. Im Selbstverlage des Verfassers. In Commission bei Datterer & Co. (Str. XVI, 816).

Pod zmienionym tytułem i w odmiennej formie podaje autor w niniejszej książce dalsze wyniki swych badań nad kwestyą ofiary Mszy św., ogłoszone już w pewnej części poprzednio w dziele p. t.: *Der Opfercharakter der Eucharistie nach der Lehre der Väter und Kirchenschriftsteller der ersten drei Jahrhunderte* (Paderb. 1892), obecnie zaś doprowadzone aż do końca wieków średnich. Sam rozmiar wskazuje, że to już nie pobieżne studyum, ale formalne dzieło — co do zawartości: prawdziwa aurifodina doborowych tekstów i cytatów z najcenniejszych dokumentów kościelnych, dla nas tem bardziej wartościowa, iż nie ogranicza się do samego zestawienia zdań, ale sięgająca głębiej do myśli przewodniej i punktu widzenia przytoczonego Ojca lub pisarza. Przytem sam przedmiot omawiany: istota i pojęcie ofiary w stosunku do Najświętszej tajemnicy ołtarza, bez wątpienia niepośledni urok nadają tym mrówczym zabiegom ks. Renza. Dodać nadto wypada, że autor występuje w tej pracy nader samodzielnie, gdyż nawet samo pojęcie ofiary przybiera u niego zupełnie nowe kształty. Wyklucza bowiem zupełnie wszelki charakter destrukcyi w ofierze eucharystycznej, a zato wprowadza jako element istotny: charakter „uczty“ *(Mahl)* mistycznej, w sposób realny, konkretny (reprezentujący), uzmysławiający ofiarę krwawą na krzyżu.

Rzecz jasna, że przy takiem rzeczy pojęciu, tłumaczenie tekstów, wyjętych z dzieł Ojców, a zwłaszcza z liturgii kościelnej, musiało niekiedy wypaść kulawo, zwłaszcza tam, gdzie te źródła wyraźniej nieco mówią o ciągłej ofierze krzyża, o formalnem uznawaniu ofiary kalwaryjskiej i t. d. Wszakże pominąwszy to, również i inne drobne usterki, jak np. niezupełną dokładność w rozróżnianiu dzieł autentycznych od podrzuconych, zbytnią rozwlekłość w analizie niektórych cytatów i t. p., całość przedstawia się jako owoc kolosalnej pracy i bez wątpienia przyczyni się niemało do wyświecenia zawilszych problematów dogmatu o Eucharystyi. Z tem większem przeto zainteresowaniem powitamy tom II niniejszej pracy,

który ma rzucić nowe światło na epokę soboru trydenckiego i najnowsze poglądy teologów katolickich w tej kwestyi. *G. F.*

Stonyhurst, its past history and life in the present by the *Rev. George Gruggin S. I.* and the *Rev. Joseph Keating S. I.* Kegan Paul and Co.

Kollegium jezuickie w Stonyhurst już po raz wtóry wzbudza umiejętnych dziejopisów. Ojciec Gerard przed kilkoma laty spisał kronikę zakładu, istniejącego już cztery wieki, z których przeszło sto lat na ziemi angielskiej, Założone pierwotnie w r. 1592 r. w St. Omer dla synów rodzin katolickich, żądnych zawarowania dzieciom swym katolickiego wychowania, przez całe trzy wieki niebywałego sumień ucisku kollegium to było ogniskiem wiary, szkołą przygotowawczą ofiary, aż z nastaniem dni swobodniejszych przeniesione zostało z francuskich na ojczyste wybrzeża. Niniejsza praca, mniej wyczerpująca historycznie od pracy O. Gerarda, bardziej jest pouczającą pedagogicznie, dowodem stałego dostrajania się do potrzeb czasu i wymagań postępu. Tylokrotnie wznawiane zarzuty zmartwiałości i zacofania, czynione przez wrogów Kościoła szkołom chrześcijańskim, upadają wobec uznawanego przez samychże innowierców rozwoju takiej np. instytucyi, jak Stonyhurst. Już przed pół wiekiem zrównany nauką zakład z państwowemi ogniskami wiedzy, odtąd coraz poważniejsze zdobywa sobie stanowisko w zakresie narodowego wykształcenia. Znikają dawne metody nauczania, znikają ślady zagranicznego obyczaju, wszystkie postępy cywilizacyi, komfortu, nie wykluczającego zahartowania, nowoczesne ćwiczenia umysłu i ciała znajdują tu dostęp i szybkie przystosowanie. I oto w krainie, słynącej ze znakomitych zakładów wychowawczych, kollegium w Stonyhurst pierwszorzędnego dobiło się znaczenia. Niniejsza książka służyć może nie tylko za cenny podręcznik dla poznania studyów i porządku domowego, lecz i jako przewodnik po wspaniałych gmachach kollegialnych, niegdyś zamkowej rezydencyi starego rodu Shirburnsów, po olbrzymiej bibliotece, zawierającej cenne rękopisy, oraz rzadki zbiór inkunabułów, po ogrodach i cieplarniach, po słynnem miejscowem obserwatoryum astronomicznem. *M.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

PRECZ Z RZYMEM OPIEKUKEM SŁOWIAN W AUSTRYI!

Na powyższy okrzyk przerabiają Wszechniemcy swoje hasło walki przeciwkościelnej. Jako Słowian, obchodzić nas może ten zwrot Wszechniemców ku stanowisku, podwójnie już wrogiemu nam: i jako synom Kościoła i jako jednemu z konarów pnia słowiańskiego.

W imię pogańskiego bożka Wotana, w imię przeróżnych odcieni niedowiarstwa prowadzona walka teutońska przeciw Rzymowi przestała obiecywać długi jeszcze ciąg zwycięstw. Po pierwszych najazdach hufca wszechniemieckiego Kościół stracił tysiące wyznawców; następne miesiące przestały chełpliwie wynosić liczbę odstępców: jedni z nich Kościołowi nie chlubę przynosili, póki w nim żyli, nie wstyd, kiedy odpadli; inni z pośpiechem wracali na łona Kościoła, ledwo spostrzegli, że wpadli w łapkę chytrych oszustów. Ruch przeciw Rzymowi potrzebował nowej podniety i w imię nie już niedowiarstwa, ale właśnie katolickiej wiary rozpoczął nowe podboje.

Narodowe stosunki w Czechach zwabiły obóz teutoński nadzieją płonów obfitych. Członkowie tego obozu, znani od lat z pogardy dla „pociech religijnych“, nagle podnieśli hałas, iż tych pociech nie mogą znaleźć po kościołach czeskich, bo sły-

szą nabożeństwo w obcej gwarze: więc wszczęli krzyk, że potrzebują księży osobnych dla siebie: Niemców. Na tem tle zaczęły stosunki Kościoła w koronie świętego Wacława przybierać nowy obrót, którego nic jeszcze nie zapowiadało w tym kraju, kiedy Przegląd ostatnimi razy o nim donosił [1]. Nie wypada dłużej zwlekać z opisem stosunków, w których pobratymcy nasi cierpią niemało i dużo nas uczą.

Okrzyk o potrzebie księży niemieckich w Czechach, powtarzany w porę i nie w porę, przyzwyczajał do siebie umysły i nabierał powagi, jakoby żywotna potrzeba Niemców katolickich. Z początku krzyczeli najobojętniejsi dla Kościoła krzewiciele alldajtszerstwa; potem uwierzyli w tę potrzebę katolicy widywani w kościele, nakoniec część pierwszorzędnych przedstawicieli niemieckiego żywiołu katolickiego zaliczyła walkę o księży Niemców do swoich praw pierwszorzędnej wagi i toczy ją z nieposkromionym zapałem.

Walka ta zaczęła tak szkodliwie rozdwajać obóz katolicki, że na poważne niebezpieczeństwo w ostatnich miesiącach bacznie zwrócili uwagę biskupi i dziennikarze. Najdokładniej sprawę przedstawia ks. dr. Brynych, biskup z Kralowego Hradca, w liście pasterskim, którego niektóre szczegóły dla nas w Polsce wyglądałyby mniej zrozumiale bez uwag, jakiemi objaśniają sprawę pisma katolickie i zachowawcze. Czytamy tedy, że w wielkiej części parafii czeskich mieszka znaczna liczba Niemców, dotychczas zadowolona z posługi duchownej, jaką w Czechach znajdowali u księży Czechów. Od paru lat hasła wszechniemieckie zakłóciły spokój: czescy księża zaczęli uchodzić za wtrętów wszędzie, gdzie nie sami Czesi mieszkają. Nie można Niemcom brać za złe, że wolą proboszczów rodaków; i Czesi woleliby swoich księży nie widzieć po parafiach, gdzie cudzoziemczeją między obcymi. Ale bez duchowieństwa czeskiego niemieckie parafie chyba pozamykałyby najpotrzebniejsze kościoły. Niemcy osiedleni w królestwie czeskiem należą wogóle do rodzaju mniej dbałego o nabożeństwo; stan kapłański przedstawia dla

[1] Rok 1897 t. LV str. 303 i rok 1899 t. LXI str. 286.

nich mało uroku; młodzież ich coraz powszechniej obiera świeckie zawody; w dyecezyi n. p. kralovo-hradeckiej od dwóch lat sami Czesi wstępują na teologię. Naród czeski posiada także to znamię podobieństwa z naszym, że wiele rodzin upatruje dla siebie zaszczyt, jeśli mają członka w stanie duchownym. Stąd zawsze seminarya teologiczne mieszczą przeważną liczbę Czechów. Nadto parafii, dobrze zaopatrzonych, mało Niemcy pozakładali dla swoich księży, którym też Czesi ustępują niemieckie probostwa posażne i skromnie twierdzą o sobie, że im łatwiej przywykać do niewygód na ubogich posadach. Stąd pozbawione dochodów wioski witały zawsze chętnie Czechów, nie zrażonych brakiem doczesnym i towarzystwem obcem, wśród którego zapominali nieraz własnego języka, oddani jedynie posługom dla przybranej trzody duchownej.

Tymto księżom rozpanoszony obecnie teutonizm zatruwa pobyt nawet w mieszanej parafii, gdzie dawniej Niemcy wśród czeskiej przewagi żyli w pracy bez troski o chorągiew narodową. Dziś ją podnieśli wysoko. Porwany tym prądem Niemiec, już nie zagadnie proboszcza Czecha inaczej, jak po niemiecku i oczywiście nie ścierpi ani w odpowiedzi czeskiego języka ani w słowach powitalnych: przyjąłby je jako zaczepkę, za którą grzmiałby przeciwko *čechische Fanatiker*. W podróży po czeskiej okolicy ksiądz Czech może jeszcze przez wieś jechać swobodnie, ale już w miasteczku może znaleźć osadę niemiecką: niech ostrożnie mówi na poczcie, w sklepie, nawet ze służbą kościelną, bo gdyby zagadnął Niemca po czesku, zapóźno spostrzeże pomyłkę, kiedy usłyszy wrzawę z powodu takiej *„unerhoerte Herausforderung“*. Dawniej wszędzie witany w biednej parafii niemieckiej, kiedy przychodził do niej na służbę o chlebie bez masła, dziś przyjeżdża do niechętnych, a gdyby do zabłąkanego Czecha w jego języku przemówił na ulicy, usłyszy od przechodniów porządnie ubranych surową przestrogę: *„Hier darf nicht čechisch gesprochen werden“*. Nawet kiedy o łaskę, o zapomogę przyjdzie Niemiec prosić proboszcza Czecha, choć zna jego język, nie śmie w nim mówić, aby przypadkiem Alldajtsz nie podsłuchał. W parafii o kilku tysiącach dusz czeskich a paru

setkach Niemców proboszcz Czech ledwo przy rannej Mszy przemawia po czesku, a przy wszystkich uroczystych nabożeństwach, wielkopostnych i t. d. każe po niemiecku do ścian prawie pustych; nawet powyższa odsetka Niemców wystarczy im dzisiaj, aby ogłosili parafię za mieszaną i żądali od proboszcza swojego języka w urzędowych godzinach a przy chrzcie zbiorowym nie odpowiadali na pytania, jeżeli proboszcz, przechodząc od czeskiego dziecka do niemieckiego, nie zauważy, że ma użyć innego języka.

Takich szczegółów możnaby dodać mnóstwo, aby ukazać, jak ksiądz Czech, kochany przed najazdem Wszechniemców, uchodzi teraz za nienawistnego natręta. Jego parafia, zarzucona ulotnemi pismami przeciw duchowieństwu czeskiemu, jątrzona przez wysłańców z obcego kraju, słyszy i czyta, czego sama o sobie nie wiedziała, że nie ufa czeskiemu pasterzowi i że wymaga nowego podziału okręgów kościelnych na zasadzie różnicy szczepowej między Niemcem a Czechem.

Szczerze poświęcone pracy swojej duchowieństwo obojga narodów, wyższe i nisze, odrzuca myśl o podziale Kościoła na niemiecki i czeski, jako obcą jego duchowi powszechnemu i jako początek drogi bardzo podejrzanej. Wiedzą, że dzisiaj Wszechniemcy wmawiają w swoich rodaków, jakoby w nich ustało zaufanie do czeskich zwierzchników Kościoła, wiedzą, że jutro Wszechniemcy zaczną wmawiać w swoich rodaków, jakoby u nich ustało zaufanie do włoskich kardynałów, którzy obierają papieża: więc Niemcom nie wystarczy tylko dyecezya własna z rodakiem na czele, im trzeba będzie odrębnego Kościoła pod rządami Niemca.

Że ta właśnie myśl tkwi we wszystkich wycieczkach przeciw księżom czeskim, poznać to można wyraźnie z uwag, któremi na wspomniany list biskupa z Koenigraetz odpowiedział nieskalany organ Wolfa, *Ostdeutsche Rundschau*. Biskup zakończył swój list odezwą do rodziców niemieckich, aby popierali u swoich synów chęć do stanu duchownego, jeżeli ją spostrzegą. „Kto narzeka na zbyteczną liczbę księży Czechów, niech mi

przysyła niemiecką młodzież na teologię, jeżeli może, bo jej nie mam w podostatku": napisał biskup. Temi słowami uradowane pismo Wolfa zawołało: „Czech biskup prosi o księży Niemców" i dumnie ciągnęło dalej: „Otóż, panie biskupie Brynychu, długo i dobrze naczekasz się na tę młodzież niemiecką. Nieszczęściem dla ciebie już naród niemiecki nie może korzystać z uprzejmych zaprosin, żeby posyłał swoich synów niemieckich do seminaryów czeskich, rządzonych w każdym razie w duchu rzymskim, aby zostawali zdrajcami własnego narodu. Jednak ta odezwa biskupa czesko-rzymskiego zasługuje na to, abyśmy ją pokazywali w oczy tym rodakom, którzy jeszcze od czasu do czasu mniemają, że ruch *Los von Rom* zaszkodził niemieckiemu narodowi. Bez tego ruchu któreż stronnictwo, czy postępowe, czy niemiecko-ludowe, dokazałoby kiedybądź, żeby jakiś biskup czesko-rzymski, jako spotęgowany duch przeciwniemiecki, zeszedł z wyżyn do świeckich katolików i, zamiast im kneblować usta w sprawach kościelnych, błagał ich wyraźnie: przysyłajcie mi Niemców na teologię! Za późno! Bo dawno już przywykł naród niemiecki żądać od stanu duchownego nie tylko pochodzenia i zapatrywań zdrowych, ale także moralności:

Der Deutsche thut's nicht mehr allein,
'S darf auch kein eheloser sein!"

Słusznie zauważyła *Politik*, że o tym prostackiem szyderstwie z księży, związanych ślubem czystości, powinniby pamiętać wszyscy księża, spragnieni podziału dyecezyi po myśli Wszechniemców. Nadto przypomina *Politik*, że biskupi w Czechach nie czekali na prąd odstępczy, aby spostrzedz brak Niemców na teologii i ułatwiać im wstęp do seminaryum. W Budweis n. p. już od lat dwudziestu z górą seminaryum wymagało świadectwa matury z odznaczeniem od kandydata Czecha, a dla Niemców stało otworem nawet bez matury, byle ich przyjąć, a pomimo takich żądań, ciągle miało gotowych Czechów, Niemca ledwo kiedy. Więc nie dopiero Wolfowi zawdzięczają Niemcy, że biskup Czech zaprasza ich na teologię. Pomimo tego, pismo

Wolfa wywodzi dalej: „może jeszcze przed piętnastoma laty Niemcy jako tako przystaliby na księży, wychowanych w rzymskim duchu, byle biegłych w języku niemieckim i do zgody skłonnych choćby przez połowę. Dzisiaj Rzym pokutuje za grzechy własnej polityki. Kościół za dużo pozwolił sobie sprzyjać Słowiańszczyźnie w ciągu walk narodowych: więc teraz narody obracają kota ogonem i po daremnych wysiłkach, żeby odświeżyć Kościół, po szyderskiej pogardzie, jaka spotkała lud z jego prośbą o księży Niemców, Niemcy zgoła zrywają z Kościołem i oglądają się za innemi wyznaniami, które lepiej, niż rzymsko-katolickie, odpowiedziałyby ich wielu poglądom narodowym na swobodę sumienia, na moralność księży, na ducha narodowego i t. d. Ostatecznie zesłowiańszczenie się rzymskiego Kościoła w Austryi stanowi tylko ostanią kroplę, która przepełniła miarkę Rzymu, *„und jezt wird radikal reiner Tisch gemacht.* Nie pomoże już biskupom złapać paru Niemczątek do seminaryum!“

Czy po tych słowach można jeszcze wierzyć, że Wszechniemcy toczą walkę nie przeciw księżom uległym Rzymowi, tylko przeciw Czechom? — A jednak wrogowie księży czeskich znaleźli spólników nawet wśród tej części duchowieństwa niemieckiego, która wierzy, że, szerząc surową niemczyznę, założy tamę przeciw Wszechniemcom w ich ruchu *Los von Rom.*

Z żalem wymieniają pisma czeskie nazwisko znanego dostojnika, jako wodza tego obozu. Aby uśmierzyć jego zapał, zwracają uwagę na nędzne skutki pracy, nad którą od lat wytęża siły we własnej parafii. Przez swój zapał niemiecki usiłował dla Kościoła pozyskać umysły zobojętniałe dla wiary, a właśnie cała okolica, w której rozwinął swój wpływ niemiecki, najśpiesznej dążyła pod chorągiew starokatolicką, ledwo usłyszała głos wysłanników Herzoga. Przed sześciu laty ksiądz ten zdobył krzesło poselskie w sejmie praskim i na tem stanowisku najwięcej popierał niemieckie zapędy stronnictwa wolnomyślnego; zasłużony w obec tego obozu, mógł przecie oczekiwać z ich strony objawów czci dla Kościoła, którego sługa z takim zapałem nie-

sie ich godła narodowe. Ale opuszczony przez nich przy ostatnich wyborach, słyszał z ich strony najotwartsze okrzyki, że muszą na nim jego suknię klerykalną upokorzyć przez klęskę wyborczą: więc przeprowadzili wybór jego przeciwnika. Czechów nie zdziwił ten wynik walki: wiedzieli zapewne, że ów dostojnik z gronem swoich zwolenników duchownych walczy przeciw hasłu *Los von Rom,* chociaż gorąco rozwija patryotyzm niemiecki, więc jako ksiądz katolicki potępia wrogów Kościoła, a kiedy spełni ten swój obowiązek, nie zostanie wcale w oczach Schoenerera bohaterem godnym wieńca, tylko klechą skazanym na pośmiewisko.

Zamęt w pojęciach przybrał takie rozmiary, że zaniepokoił biskupów i skłonił jednego z nich do kroku stanowczego: prosił papieża o głos najwyższej powagi, któraby uspokoiła wzburzone umysły. Leon XIII pośpieszył z listem do duchowieństwa obojga narodów w Czechach, aby zapobiedz między nimi sporom, na razie językowym, a w następstwie coraz donioślejszym wobec ruchu *Los von Rom.* W liście tym papież wystąpił jako obrońca prawa wrodzonego, żeby każdy naród chwalił Pana Boga swoim językiem i według tej zasady wytknął jasną drogę, na której duchowieństwo w posłudze kościelnej nie znajduje żadnego powodu do narodowej waśni. Ale ta waśń pędzi wodę na młyn wrogów Kościoła: za ich pracą powstała i nie ustaje dotychczas pomimo nauki papieskiej. Nawet tę naukę przekręcają po swojej myśli zapalczywi nieprzyjaciele księży Czechów w piśmie *Reichspost,* gotowem zawsze dla Czechów, Polaków i wszelkiego imienia Słowian znaleźć miejsce na docinek z pod pióra ludzi skądinąd godnych czci i przyjaźni.

Przeciwko tej garstce ruchliwej, ale ani powagą ani liczbą nie potężnej, widzimy silną tamę, wznoszoną rękoma księży, Niemców wprawdzie, ale głębiej przejętych miłością bliźniego, niż dumą narodową. Ci słudzy przedewszystkiem Kościoła, zwłaszcza zakonnicy, zebrali wkoło siebie potężny zastęp katolików, którzy pocieszają czeskie duchowieństwo w ich ucisku ze strony Wszechniemców.

ZWIĄZKI KATOLICKIE I RZĄD WOBEC RUCHU ODSTĘPCZEGO W AUSTRYI.

Katoliccy Niemcy w Austryi znaleźli niedawno stosowną chwilę, aby zabrać głos przeciwko kusicielom, którzy chcą ich pchnąć w domową wojnę z Kościołem i z innymi mieszkańcami państwa, jakoby w imię zagrożonej niemczyzny. Chwilę tę znaleźli w Solnogrodzie, gdzie sprawa wszechnicy katolickiej zgromadziła członków Wydziału przygotowawczego na ósmy zjazd pod przewodnictwem księdza arcybiskupa d-ra Katschthalera. Jego mowa powitalna naprzód ucieszyła zgromadzonych zapewnieniem, że ostatni zjazd zgodnych zupełnie biskupów austryackich, wszystkich obrządków i narodów, posunął sprawę bardzo daleko naprzód. Następnie przemówił pierwszy zastępca przewodniczącego, książę Edward Lichtenstein, aby zdać sprawę z prac Wydziału w ostatnim roku: Wykazał, że fundusz zakładowy wynosi już 1 023 813 K., nadto przyrósł w ostatnim roku o 112000 koron, otrzymanych datkami i o 19300 koron, zebranych wkładkami od członków[1]. Książę dalej przemawiał słowami: Choćby jutro miała mdłości dostać *Neue Freie Presse*, choćby dziennikarskie żydowstwo miało na najwymowniejszych dowodach prawniczych oprzeć wniosek, że nie trzeba ani nie można zakładać katolickiej wszechnicy w Austryi, a nawet choćby jeszcze dziesięciu profesorów na wszechnicach wykładać miało, że uczelnia katolicka istnieć nie może; jednak twierdzę, że myśl o katolickiej wszechnicy niewstrzymanym krokiem postępuje naprzód i nic już nie zdoła jej przeszkodzić... W katolickiej wszechnicy austryackiej widzę najlepszą zaporę przeciw prądowi „Precz z Rzymem“, albo — jak Następca tronu wyjaśnił to hasło: — „Precz z Austryą!“ Teraźniejsze uczelnie austryackie wychowują młodzież, zaślepioną — mimo najnowszych wypadków — we Wolfie, jakoby w rycerzu niemieckiego narodu i obrońcy jego praw. Katolicka wszechnica dowiedzie, że nie można dzielić Niemców i katolików na przeciwne obozy, zwłaszcza w Austryi. Śmielej jeszcze wyraził tę myśl następny mowca, ks. Freund, kiedy podniósł, że „w obecnej chwili prawa narodowe stanowią najżywotniejszą

[1] Potem nadesłał książę arcybiskup Kohn 50.000 koron.

sprawę. Nigdy przeciwieństwa nie występowały tak ostro. Dla owych panów narodowość stanowi wszystko, po za nią nie dbają o nic. Dla nas narodowość jest wielkiem dobrem, ale nie najwyższem! Największe dobro to wiara; kiedy ona w niebezpieczeństwie, trzeba wszystko poświęcić, nawet choć narodowość przy tem cierpi. Kościół Powszechny doznaje szkody ze strony wszechnicy nowożytnej; musimy wszyscy, lud, duchowieństwo i szlachta starać się razem, aby otworzyć katolicką wszechnicę, Nie dla pożytku niemczyzny obraliśmy na wszechnicę Solnogród raczej, niż Tryest, Riekę albo Hradec; zabezpieczyliśmy inną drogą prawa niemieckie bez uszczerbku dla prawa innych narodów. Ostatnia godzina dla Austryi jeszcze nie wybiła, jeżeli katolicy stoją razem".

Stanowisko, tak otwarcie zajęte przeciw rozkładowej pracy „precz z Rzymem" przez wysokich przedstawicieli Kościoła i Austryi, nie w smak musiało pojść panu Koerberowi, który świeżo w jednem z amerykańskich pism ogłosił obronę tego ruchu, jakoby nie ledwie igraszki dziecinnej, Dawno już obozy katolickie żądały, żeby rząd austryacki przestał lekceważyć szerzycieli haseł przeciwkościelnych i zastosował przeciw nim środki prawne; ale poglądy pana Koerbera niezmiennie świadczyły, że Kościół nie mógł oczekiwać po nim obrońcy przeciw robocie burzycielskiej. Nakoniec *Neuer Wiener Journal* doniósł, że kardynał Gruscha stanął przed samym Tronem z *memorandum* o ruchu odstępczym, w którem prosił o opiekę Kościoła skuteczniejszą ze strony rządu. Monarcha miał przyjąć *memorandum* bardzo uprzejmie i odpowiedzieć, że pan Koerber nie zasługuje na zarzuty, jakoby opieszale bronił praw, poręczonych Kościołowi przez ustawy zasadnicze, bo szerzyciele ruchu *Los von Rom* nie przekraczają miary, dozwolonej mocą ustawy. Zaraz *Vaterland* wystąpił przeciwko tej nowinie, aby ją sprostować o tyle, że po pierwsze kardynał podał adres całego episkopatu, a nie swoje własne *memorandum*, że po wtóre co do treści tego adresu edakcya *Vaterlandu* nie zna szczegółów, więc nie może twierdzić, że *Neuer Wiener Journal* wiernie ją powtórzył, że po trzecie *Vaterland* może i powinien napiętnować jako czysty wymysł tę

odpowiedź, którą według *N. W. J.* monarcha miał dać kardynałowi.

Jednak owo memorandum, czy też adres podług *Vaterlandu,* nie należy do oderwanych objawów ducha, którym ożywione wysokie warstwy katolików austryackich prą do czynów w obronie Kościoła. Innym objawem tego ducha i to bardzo śmiałym pocieszył nas związek kanizyański budowy kościołów, który pod koniec stycznia odbył walną naradę wobec swojej wysokiej opiekunki, arcyksiężnej Maryi Józefy, i pod przewodnictwem dziedzicznego księcia Jana na Schwarzenbergu. Wydział umyślił przy tej naradzie dać katolikom usłyszeć słowa prawdy, wypowiedzianej bez ogródki: zaprosił posła z Moguncyi, członka Centrum, Nikolę Rackego z mową. Usłyszała Austrya ogniste słowa, które powinnyby znaleźć odgłos we wszystkich pismach katolickich pod berłem rakuskiem. Między innemi mowca powiedział: „Jeżeli w Austryi stosunki doszły do takiego rozstroju, że najdzielniejsi myśliciele tracą wątek myśli, wtedy muszę sobie pozwolić na pytanie: czy można tak zupełnie rozgrzeszyć z wszelkiej winy chrześcijańskie żywioły, nawet katolików? Postawcie rządowi dzisiaj większość silną, świadomą obowiązku, przejętą państwowemi potrzebami monarchii, odpowiednią przeważnej liczbie katolików w krajach koronnych, a jutro już burzyciele odśpiewają śpiew łabędzi i do niemożebnych bajek należeć będzie taki wybór, jak ów w Trutnowie, owo szyderstwo z wszelkiej obyczajności, z wszelkiego poczucia przyzwoitości, które szczególnie Niemcowi musi powlec twarz szkarłatem wstydu, taką hańbę przyniosło imieniowi niemieckiemu. Ale jakże ma się sprawa, mili przyjaciele, z przygotowawczą pracą do tego dzieła? Czy katolicy w monarchii zaprowadzili między sobą jakibądź ustrój, którego potrzebują, żeby wywierać wpływ na tok wypadków w państwie? Czy mają prasę, odpowiednią ich liczbie i powadze? A jak stoi sprawa, omawiana poważnie i z naciskiem co do poprawy szkolnych stosunków, smutnych pod tyloma względami?... Katolicy w krajach rakuskich! Jakże długo jeszcze zamyślacie nosić jarzmo lekkomyślnej prasy, która dzień po dniu obrzuca błotem wszystko, co wam święte? Jak długo je-

szcze kraje tej korony posłużą za widownię zamętu wśród dzikich namiętności stronniczych? Jak długo jeszcze nieszczęsna rozterka między braćmi toczyć ma do szpiku ludy tej korony? Jak długo jeszcze ma garstka przybłędów wychwalać zdradę i trząść posadami tego mocarstwa? Jak długo jeszcze czekać, żeby wasz sędziwy monarcha oglądał spełnione życzenia najgorętsze i żeby przeciw naporowi wrogów ze wszystkich stron wszystkie żywioły szczerze chrześcijańskie podały sobie ręce, aby stanowczo ruszyć do dzieła? Katolicy krajów rakuskich! Długoż to jeszcze wszystko i kiedyż temu koniec już raz?"

Nie tylko do zgody i pracy wzywają nas usilnie nasi przyjaciele z Rzeszy Niemieckiej: pokazują nam także dość dokładnie różne drogi do obrony Kościoła. Więc *Germania* i *Köln. Volks-Zeitung* przypominają nam, że ustawy zasadnicze austryackie dają nam broń przeciw nasłańcom Związków przeciwkościelnych i szerzycielom prądów odstępczych. Wszak w Austryi nie wolno urządzać nadzwyczajnych zgromadzeń religijnych bez wiedzy i zgody władzy świeckiej; na mocy tej ustawy proboszcz nie może na kazalnicę puścić misyonarzy, nie oznajmionych pierwej w starostwie; nawet każdemu księdzu obcokrajowcowi mógłby ostatecznie żandarm austryacki przeszkodzić, żeby głosił naukę albo uczył katechizmu w miejscu publicznem. Taką ustawę uchwalili wolnomyślni mężowie stanu w Austryi, — widocznie tylko przeciw Kościołowi Powszechnemu i jego nauczycielom wiary, bo przeciw szerzycielom odstępstwa od wiary żadna władza nie stosuje tej ustawy, kiedy słyszy ich nauki głoszone po miejscach publicznych.

Również w prywatnych mieszkaniach nie może nikt urządzać wykładów bez wiedzy i zgody świeckich władz, chyba że gospodarz osobiście zaprosi swoich znajomych i w danym razie może przedstawicielowi władzy każdego gościa przedstawić imiennie. Na mocy tej ustawy władze nieraz już przeszkadzały odczytom socyalistów, zebranych jakoby prywatni goście, kiedy gospodarz nie znał ich imiennie: czemuż na tej samej zasadzie nie przeszkadzają odczytom na tle *Los von Rom,* odbywanym

jakoby przed prywatnymi gośćmi gospodarza, który przecie ich nie zna? Tak nas zapytują katolicy z Rzeszy Niemieckiej... nie znają pewnych powodów, dla których lepiej nie przypominać ustaw, zwróconych przedewszystkiem przeciw Kościołowi...

POSEŁ EISENKOLB I MINISTER HARTEL.

Wszechniemcy znaleźli przy rozprawach budżetowych porę do silnych wycieczek przeciw Kościołowi, które wywołały silny gniew między *Centrum* a oklaski ze strony wolnomyślnej. Eisenkolb zaczął mowę od uwagi, że naród niemiecki idzie najlepszą drogą pod wodzą przesławnego rodu Hohenzollernów do władzy nad światem. Za tę uwagę nagrodzony gromkimi okrzykami *Heil!* mowca wywodził dalej, że naród we wschodniej Marchii stanowi część owego plemienia niemieckiego, więc ma prawo do udziału w owej władzy nad światem. Ale w Austryi i na całym okręgu ziemskim szlachta połączona z duchowieństwem dąży do władzy nad światem podług wskazówek wysyłanych z Watykanu. Stądto pochodzi ów duch jezuicki, który opanował ministra von Hartla. Więc mowca poucza ministra o niebezpiecznym ustroju Kościoła, o posłuszeństwie, którem zaślepione dwory, ludy i rządy słuchają rzymskich rozkazów jak najkarniejsze wojsko i tracą wszelki wpływ na duchowieństwo. Niechże austryaccy ministrowie strącą ze siebie to jarzmo i poprą w tej myśli ruch przeciw Rzymowi; niech minister oświaty okiełzna Kościół w jego wpływie na szkołę i uwolni kraje rakuskie od jarzma, w jakiem je trzymają okrutne prawa kościelne. Zwłaszcza okrucieństwem mowca mieni nierozerwalne małżeństwo katolickie, a następnie narzeka na przeszkody stawiane w Austryi ruchowi „Precz z Rzymem“. Takie przeszkody nie wstrzymają onego hasła w zwycięskim pochodzie, tylko drażnią wyznawców Ewangelii. Tymto obywatelom rakuskim rząd winien podać rękę i nie szczędzić wydatków na naukę dla teologów protestanckich i starokatolickich. Na szkoły niech minister zwróci baczniejsze oko, rozwija je w duchu nowoczesnym i zabroni w nich księżom dawać rekollekcyi wielkanocnych. Na tę drogę niech minister zwróci postęp oświaty, — która niemiecką być musi, albo jej nie będzie.

Minister w odpowiedzi swobodnie w śmiech obrócił straszne zarzuty. Z tej strony załączony do Jezuitów, z tamtej dostaje cięgi, jakoby oddał duszę farmazonom, ale między młotem a kowadłem przejść myśli torem raz obranym i zasad nie zmieni. Co dotyczy duchownych ćwiczeń wielkanocnych, minister stać musi na stanowisku praw, które przed rokiem 1849-ym zaprowadziły te ćwiczenia i w r. 1870 określiły miarę niezbędnych obowiązków religijnych, spowiedzi i t. d., bez żadnej zmiany w poprzedniej ustawie o ćwiczeniach wielkanocnych. Na mocy tych praw ćwiczenia owe pozostały corocznym zwyczajem w przeróżnych krajach rakuskich. Gdzieniegdzie zaczęto wątpić, przez ile dni dyrektorom gimnazyalnym wolno zawieszać naukę, aby młodzież odbywała ćwiczenia. Ministeryum z tego powodu zarządziło w r. 1899-m, że dyrektorzy mają na ćwiczenia przeznaczać dnie, w których mocą ustawy mogą uwalniać młodzież od szkoły i tak urządzać ćwiczenia, aby te nie trwały za krótko, przeładowane zbytnią liczbą nauk, które natężają młodzież. Słowem, — ciągnie minister — tyle rząd okazał względów dla Kościoła, ile świadczy żydom i protestantom, którym nie odmawia czasu na obowiązki religijne, jakich wymagają rabini i pastorzy.

Co dotyczy innych wyznań, ich członków i ich nauczycieli, rząd nie odmawia im nic na słuszne prośby, jednak dla zrozumiałych powodów mógł i musiał w niektórych wypadkach działać z namysłem, bo niestety ruch odstępczy nie odbywa się bez politycznych myśli ukrytych i bez ukrytych zamiarów, co w sposób otwarty wyznali już ci sami, który teraz oskarżają rząd.

Zręczna ta odpowiedź potwierdziła, że austryacki minister umie przejść między młotem a kowadłem i musi uchodzić u tych za Jezuitę, u tamtych za farmazona. Inaczej wrogom Kościoła odpowiadają ministrowie w Belgii i dobrze na tem wychodzą.

Ks. K. Czaykowski.

Z Ameryki.

Chicago Ill. Marzec — Kwiecień 1902.

Treść: 1. O Komitecie Wykonawczym. — 2. O szkołach parafialnych. — 3. O chórach. — 4. O wizycie księcia Henryka. — 5. Pomnik dla Pułaskiego. — 6. Bil emigracyjny.

W ostatniej mojej korespondencyi, tyczącej się uwzględnienia kleru polskiego w hierarchii kościelnej, przyrzekłem napisać coś więcej o pracach Komitetu Wykonawczego Kongresowego. Winienem na wstępie zaznaczyć, że niemałej on się podjął roboty wobec stanowiska, nieodczuwających należycie naszych potrzeb, władz miejscowych — to też Komitet Wykonawczy musiał się podjąć pracy, wymagającej nader wielkiej czynności i politycznego sprytu, jeżeli zabiegi te tak nazwać wolno. W wstępnych pracach swoich musiał Komitet Wykonawczy rozpocząć swoją działalność od wysłania prośby na zjazd amerykańskich arcybiskupów, który się 16-go grudnia z. r. odbył w Washingtonie. Prośbę odczytano i zadecydowano, że uwzględnienie jej zależy od tych biskupów, którzy w swoich dyecezyach mają dużo Polaków.

Pierwszy ten krok ze strony Komitetu Wykonawczego wpłynął o tyle pomyślnie na dalsze zabiegi nasze, że zainteresował kilku biskupów, a najwięcej arcybiskupa Katzera w Milwaukee, gdzie jest ośm parafii i gdzie mieszka przeszło 60 tysięcy Polaków.

Ten przyrzekł Komitetowi Wykonawczemu nie tylko w naszej sprawie, t. j. uzyskanie biskupów sufraganów, wstawić się za nami u Propagandy, lecz wybiera się w towarzystwie ks. kanonika Golskiego w osobnej deputacyi do Rzymu na jubileusz Ojca św. i w celu poczynienia pewnych kroków o uwzględnienie naszego kleru. W tym celu polecono Komitetowi zebrać statystyczne dane, odnoszące się do naszych szkół i parafii. Odnośne kwestyonaryusze, z których jeden załączam, zostały już rozesłane do wszystkich proboszczów.

Deputacya, wyjeżdżająca do Rzymu, będzie miała wiele trudności do zwalczenia, ale Komitet Wykonawczy ma tak wielką liczbę dowodów naszego upośledzenia po parafiach mieszanych, że, gdy te przedłoży jednemu z wysłańców z Rzymu dla zbadania istniejącego stanu rzeczy, Ojciec św. niezawodnie poweźmie coś stanowczego.

Nasze szkoły parafialne z bardzo małymi wyjątkami w opłakanym

znajdują się stanie. Te twierdze naszych skarbów wiary i języka polskiego stałyby o wiele wyżej, gdyby Polacy mieli „człowieka“, któryby mocą swego moralnego wpływu i znajomością potrzeb naszych nakazał zaprowadzenie reformy, która pod względem podniesienia moralnego ich poziomu nie pociąga żadnych znacznych kosztów; tymczasem dla braku należytego zrozumienia jej znaczenia dla naszej przyszłości nie osiągają tego celu, jaki dla potrzeb naszych i ze względu na szkoły publiczne osiągać powinny.

Poziom większej części szkół jest nizki i nie imponuje Amerykanom. Zauważyć tu muszę, że pomimo to szkoły nasze już dlatego, że kształcą w języku polskim, spełniają ważną rolę w dziejach wychodźctwa naszego, lecz w dzisiejszych czasach, gdzie w szkołach rządowych z każdym rokiem większe stawiają wymagania, jestto za mało.

Ostatni *Kraj* zamieścił korespondencyę o naszych stosunkach i pisze, że „wyćwiczeni na głosy“ umieją tutejsi Polacy i „Krakowiaka“ zaśpiewać. Takiemu przedstawianiu rzeczy muszę stanowczo zaprzeczyć. Ze śpiewem kościelnym ma się tu u nas inaczej. Każda parafia, mniejsza czy większa, posiada organistę, a są między nimi i zdolni ludzie. Przy większych kościołach jest po kilka chórów, których, śmiało powiedzieć mogę, nie powstydziłyby się i krajowe katedry. Biorą one często udział w publicznych występach pomiędzy Amerykanami, którzy zdolnych sił nam zazdroszczą. Mamy przy parafialnych chórach śpiewaczki i śpiewaków, którzy chlubnie pokończyli szkoły śpiewu i cieszą się wielkim mirem wśród obconarodowców.

Zaznaczam to dlatego, że podobne korespondencye, wyśmiewające nasze towarzystwa, łatwo przechodzą na szpalty pism rewolwerowych i burzą lud, który, rzec można, dopiero tu poznał, że jest polskim i żywy udział bierze w każdej pracy i sprawie narodowej. Trzeba pomiędzy nasz lud wejść i bliżej jego działalności się przyjrzeć, aby módz wydać o nim sąd sprawiedliwy. Tu jest pole obszerne do działania, grunt dobry, ale niestety, mało takich, którzy uprawy jego podejmują się dla dobra ogółu.

Odwiedził też nasze Chicago książę Henyk, z którego zaraz po wyjeździe z Ameryki poczęła ta prasa szydzić, która podczas jego bytności całe szpalty o nim pisała. We wszystkich osadach polskich odbyły się krótko przed jego przyjazdem zebrania Polaków, na których amerykańscy mowcy przeważnie w sprawie wrzesińskiej przemawiali. Komitet Wykonawczy dokładał wszelkich starań, aby o tem prasa angielska pisała i zabiegi jego dobrym skutkiem zostały uwieńczone,

lecz w żadnem mieście, w którem książę gościł, Polacy nie brali udziału ani w przyjmowaniu go ani też przeciw niemu nie urządzali żadnych nieprzyjaznych demonstracyi. W Chicago mianował wprawdzie major miasta radnego miejskiego, p. Jana Smolskiego, członkiem komitetu recepcyjnego, lecz ten, jak i prof. dr Kaflewski, członek zarządu biblioteki miejskiej, zaszczytu tego nie przyjęli, uzasadniając odmowę swą tem, że, jako Polacy, nie mogą przyjmować księcia, którego rząd prześladuje Polaków. To samo uczynili i czescy radni miejscy.

Z innych wiadomości zaznaczenia godną jest i ta, że cała Polonia amerykańska stara się w Washingtonie o wystawienie pomnika Pułaskiemu, na co czasu swego wyznaczył był kongres 50.000, lecz z powodu że nie czyniono starań, rząd sprawy zaniechał. Obecnie omawianą ona jest w Kongresie i niema dziś najmniejszej wątpliwości, że pomnik stanie.

Wysłali też Polacy do Kongresu protest przeciw bilowi, ograniczającemu wolność emigracyi. Bil ten wyłącznie skierowany jest przeciw Polakom, Włochom i Słowakom. O rezultacie starań, podjętych w tym celu przez Komitet Wykonawczy, nie omieszkam przysłać wiadomości.

Nakoniec dodać muszę słowo o ustroju parafii i towarzystw polsko-katolickich w Ameryce.

Liczebny wzrost ludności w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki a z nim wiernych Kościoła św. przeraża liczne sekty tu zagnieżdżone.

Polacy, których emigracya sięga zaledwie lat trzydziestu, grają tu niepoślednią rolę. Trudno bowiem znaleźć dziś w Ameryce jakąś osadę, w którejby nie było Polaków. W bardzo wielu miastach tworzą oni osobne osady, po farmach wioski, a gdzie liczba rodzin dojdzie do 80, tam składają ostatni cent na kościół i szkołę, to też łatwo zrozumieć, skąd się wzięło w Ameryce blizko 300 kościołów z 400 przeszło polskimi księżmi. W bardzo wielu miejscach przewyższają Polacy liczbą innonarodowców katolików, a że ksiądz nie jest Polakiem, więc nie pozwala Polakom na budowę własnego kościoła, bo szczupła liczba jego członków nie byłaby w stanie utrzymać księdza. Z tej przyczyny giną dla nas i dzieci, które w szkole słowa polskiego nie słyszą. Gdyby Polaków uwzględniano, mielibyśmy dziś przeszło 500 kościołów.

Jak wszystkie te parafie powstały, wyjaśnię w ciągu dalszym niniejszej korespondencyi, tu winienem zaznaczyć, że wartość pewnych kościołów przechodzi poważną cyfrę $1^1/_2$ miliona dolarów, a kościoły, wartające do 150 tysięcy dolarów i więcej, nie są pośród nas rzadko-

ścią. Rozpocznę od Chicago. Największą wartość przedstawia parafia św. Stanisława Kostki, następnie św. Jana Kantego, potem św. Jadwigi i dwie mniejsze pod zarządem OO. Zmartwychwstańców. Prócz tych pięciu parafii mamy w Chicago wpaniały kościół św. Józafata, gdzie proboszczem jest konsultor arcybiskupi, Wiel. ks. Lange; potem kościół Najśw. M. Panny Nieustającej Pomocy, ks St. Nawrocki, który już zupełnie dług parafialny spłacił: dalej kościół Najśw. M. Panny N. Poczęcia, ks. Fr. Wajtalewicz; kościół św. Michała Archanioła, ks. Rhode: kościół św. Józefa, ks. Pyplotz; kościół św. Wojciecha, ks. J. Radziejewski; kościół N. M. Panny Anielskiej, ks. Fr. Gordon; kościół Trójcy św., ks. K. Sztuczko; kościół św. Salomei, ks. K. Gorzkowski i pięć mniejszych parafii. Wyżej wymienione kościoły, jak wszystkie inne w Ameryce, powstały drogą składek i bywają utrzymywane z ofiar i opłat za ławki w kościele.

Nie dałoby się tego wszystkiego uskutecznić, gdyby nie było zorganizowanych towarzystw. Gdzie znalazła się na ustroniu miasta liczba familii, mogących utrzymać księdza, tam przystępowano do zorganizowania towarzystwa, zazwyczaj pod wezwaniem jakiegoś świętego.

Z łona tego towarzystwa wybierano osobny komitet, któremu powierzono kolektowanie ofiar na kościół. Skoro starczyło pieniędzy na zakupno lot (gruntu pod kościół), proszono o księdza, a ten, przejąwszy ciężar kolektowania na siebie, rozpoczął budowę za dług. Towarzystwo już istniejące, aby powiększyć i swoją liczbę i liczbę parafian, rozpoczyna agitacyę za zyskaniem nowych członków i w tym celu ustanawia dla siebie prawo (konstytucyę), wedle którego, za opłatą 25 f. miesięcznego podatku, uprawnia członka w razie choroby do pobierania wsparcia dol. 5.00—6.00 tygodniowo, a dol. 50.00 na koszta pogrzebowe wdowie, a dol. 25.00 wdowcowi. W miarę wzrostu towarzystwa w liczbę członków, powiększa się i liczba parafian, którzy następnie nowe tworzą towarzystwa, biorąc innych świętych za patronów. Mało też jest parafian nienależących do towarzystw kościelnych, a wszystko to zdziałała konkurencya, bo każde towarzystwo dla siebie werbuje nowych członków. Na barkach tych towarzystw spoczywa też cały ciężar parafialny. One urządzają przedstawienia amatorskie, koncerty, pikniki (w lecie wycieczki), bale, loterye fantowe i t. p., z których wszystkie czyste zyski spływają na rzecz kościołów i szkół. Każdy członek zobowiązany pod karą brać w zabawach i t. p. występach czynny udział. Istniejące przy parafiach towarzystwa żyją ze sobą w dobrej harmonii, biorą, prócz w zabawach, udział w procesyach kościelnych i publi-

cznych, w zebraniach narodowych i częściowo udział w pogrzebach zmarłych członków. Drogą składek i zysków, osiąganych przez urządzanie zabaw na wyłączną korzyść, doszły niektóre towarzystwa do majątku, wynoszącego w wielu miejscach dol. 30000.

Mamy obecnie przy parafiach zorganizowane chóry, zobowiązane regułami chodzić na lekcye śpiewu i w dni świąteczne śpiewać w kościele, a podczas uroczystości narodowych na scenie. Są też zorganizowane kółka dramatyczne, literackie, w których młodzież uczy się po całodziennej pracy dziejów ojczystych, literatury polskiej i muzyki na różnych instrumentach. Nie brak po parafiach gniazd sokolich i dobrze zaopatrzonych w dzieła polskie bibliotek i otwartych czytelni.

Tak zorganizowane towarzystwa przyczyniły i przyczyniają się do rozwoju parafii polskich. Z czasem okazała się potrzeba utworzenia większych organizacyi, któreby w razie śmierci pozostałym większe wypłacały zapomogi i ratowały biedne wdowy i sieroty od nędzy i biedy, w którą z braku familii tu zamieszkałej popadły.

Dzięki zasługom ś. p. ks. Wincentego Basujeskiego powstało „Zjednoczenie Pol. Rz. K.“, istniejące już 28 rok. Z biegiem lat przeszło pod opiekę księży świeckich i od trzech lat na silnych stanęło fundamentach. Posiada ono blizko 13.000 członków i dol. 58000 w kasie. Na wypadek śmierci męża lub żony, jeżeli byli członkami, wypłaca Zjednoczenie taką sumę, na jaką zmarły lub zmarła byli zabezpieczeni. Rządcy poszczególnych stanów kontrolują nasze książki i publikują w sprawozdaniach rocznych stan naszej kasy. Roczny obrót w Zjednoczeniu przechodzi dol. 125000. Co drugi rok odbywają się tak zwane sejmy, gdzie delegaci poszczególnych towarzystw, bo członków pojedynczych nie wolno przyjmować, a towarzystwo liczyć musi najmniej 25 członków, aby uzyskać mogło prawo wstępu do Zjednoczenia, zmieniają, uzupełniają, tworzą nowe prawa i kontrolują stan kasy. Na tych sejmach wyglądało dawniej jak obecnie w Radzie Państwa w Wiedniu. Dziś lud dosyć dojrzał, zachowuje się spokojnie i z godnością, to też sejmy nasze odwiedzają zawsze dygnitarze miejscy, senatorowie i biskupi irlandzcy i niemieccy.

Z postępem cywilizacyi w tym nowym świecie postąpiło znacznie uświadomienie i ludu naszego. Obecnie wychodzą w Ameryce następujące gazety polskie:

Dzienniki: *Polak w Ameryce, Kuryer Polski, Dziennik Milwaucki, Dziennik Chicagoski, Dziennik Narodowy.*

Tygodniówki: *Gazeta Katolicka* 31 rok, *Gazeta Polska* 30 rok,

Naród Polski, Zgoda, Wielkopolanin, Polonia, Gazeta Wisconsińska, Polonia w Ameryce, Prawda, Przewodnik Polski, Górnik, Orędownik, Kuryer Clevelandzki, Niedziela, Niezapominajki, Tygodnik Katolicki, Echo, Gazeta Buffalowska, Ameryka, Ziarno (dla śpiewaków), *Sokół, Sierota* i kilka mniejszych rewolwerowych i niezależnych.

Wielkiem dobrodziejstwem dla nas są nasze budowniczo-pożyczkowe banki, urządzone na wzór reiffeisenowskich. Tym bankom zawdzięcza większa część Polaków to, że ma własny dach nad głową. Po wyjeździe Jerzmanowskiego nie mamy tu polskich milionerów, ale posiadamy pokaźną liczbę Polaków, którzy — jak to mówią — są warci od 20—60.000. Są to ludzie, którzy przeważnie ciężką pracą rąk dorobili się tego majątku, a którzy prócz dziesięciu palców, zdrowia i silnej woli, nic nie posiadali. Obecnie zwiedza nader sympatyczny Bandrowski z żoną osady polskie w Chicago. Podejmowaliśmy ich tu gościnnie i serdecznie. On i Paderewski, to jedyni polscy artyści, którzy do nas się zbliżają, reszta nie chce o nas nic wiedzieć. Opera Paderewskiego nie zrobiła tutaj wielkiego wrażenia. Pisma angielskie krytykują Noskowskiego za libretto i czynią Paderewskiemu z tego powodu cierpkie zarzuty.

Z powyższych szczegółów wynika, że Polacy w Ameryce *de facto* tworzą czwartą dzielnicę Polski, która zasługuje, żeby ją inne poznały ze stron dodatnich i zawiązały z nią bliższe stosunki dla wspólnego pożytku.

Na tem kończę niniejszą korespondencyę. Przy sposobności podam więcej szczegółów z życia naszego.

Ign. Kowalski.

Konkurs fryburgski.

Teologiczny fakultet uniwersytetu fryburgskiego (Szwajcarya) ustanawia następującą nagrodę:

Nagroda 500 franków za pracę z polskiej hagiografii XIII stulecia.

Warunki następujące:

Autor powinien najpierw rozstrząsnąć starannie źródła, na których ma się oprzeć praca, ustalając krytycznie ich wartość historyczną. Powinien następnie przedstawić wypadki, mające związek z życiem

Świętego, oznaczając z możliwą dokładnością czas i miejsce jego działalności; powinien dalej określić wpływ, jaki Święty na swoich współczesnych pod religijnym, politycznym lub jakimkolwiek innym względem wywarł; wreszcie, o ile na to istniejące dokumenty pozwolą, powinien nakreślić obraz wewnętrznego życia Świętego, formy tego życia i rozwoju. Cuda i nadnaturalne wypadki powinny być roztrząsane ze stanowiska historycznej ich wartości. Studyum to o osobie i działalności Świętego powinno być wstawione w historyczne otoczenie, jakie wówczas Polska przedstawiała.

Pracę należy doręczyć fakultetowi teologicznemu po dzień 15 października 1904 roku, w dwu językach, z których jeden może być niemiecki, francuski, albo łaciński, drugi musi być polski.

Można także do konkursu nadsyłać dzieła drukowane od 1901 r.

Sądzimy, że tak sympatyczny dla nas konkurs znajdzie odgłos w naszym kraju i chętnych pracowników.

R.

Druk ukończono 28 maja 1902 r.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Na lata Piotrowe Leona XIII. Przez *ks. St. Załęskiego T. J.*	1
O liryce religijnej Mickiewicza. (Dok.) Przez *Walerego Gostomskiego*	15
Na wzbronionych szlakach. Podróż i przygody w Tybecie Henryka S. Landora. (Dok.) Przez *Teresę Wodzicką*	38 193
Mistyczne Ciało Chrystusa a charaktery sakramentalne. (Dokończenie). Przez *ks. Włodzimierza Piątkiewicza T. J.*	58
Święty Stanisław biskup w świetle źródeł wcześniejszych. (Dok.). Przez *prof. d-ra Kazimierza Krotoskiego.*	66
Zawodowa organizacya rolników. Przez *d-ra Leopolda Caro*	151
Dzieło Wojciechowskiego o katedrze na Wawelu. (Dok.) Przez *Leonarda Lepszego*	177
Święty Stanisław biskup, w świetle źródeł późniejszych. Przez *prof. d-ra Kazimierza Krotoskiego*	216 381
Okólnik Rampolli i katolicki ruch społeczny we Włoszech. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	228
Z Iliady. (Pieśń XXIV). Przez *Lucyana Rydla*	315
Zasadniczy charakter etyki jako nauki. Przez *prof. d-ra Henryka Struveyo*	335
Konwent Lip Trzynastu. Przez *ks Maksymiliana Kohlsdorfera T. J.*	353
Łaciński stronnik teologii greckiej. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	366

Str.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

STUDYA FILOLOGICZNE NAD ROZWOJEM OŚWIATY GRECKIEJ W V WIEKU PRZED CHRYSTUSEM. Stanisław Schneider. *(Ks. dr. Aleksander Pechnik)* 84

TRAGEDYA MOSKIEWSKA. Dr. Aleksander Brückner. *(Prof. dr. Stanisław Dobrzycki)*. 91

KORNEL UJEJSKI (1823 — 1893). Kazimierz Wróblewski. *(Stanisław Zdziarski)* 95

ZARYS APOLOGETYKI. Ks. dr. Aleksander Pechnik. *(Ks. S. Kobyłecki T. J.)* 97

KWESTYONARYUSZ MAŁŻEŃSKI. K. Bartoszewicz. *(A. S.)*. 99

Z WYDAWNICTW DLA MŁODZIEŻY. „Arcydzieła polskich i obcych pisarzy: Tom I, II i III. „Bóg się rodzi". H. Sł. „Dwie mogiły". F. Popławska". „Obrona Częstochowy". S. J. „Podróż naokoło Warszawy". Wł. Umiński. „Opowiadanie o wojnie chocimskiej". J. Laskarys. *(Ks. R. Koppens T. J.)* 244

MIKOŁAJ REJ'S „WIZERUNEK" UND DESSEN VERHÄLTNISS ZUM „ZODIACUS VITAE" DES MARCELLUS PALINGENIUS. Johannes Pyszkowski. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 253

ROZPRAWY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI. Ser. II, tom XVII. *(A. Bielecki)* . 255

SŁOWACY. Dr. Stanisław Grabski. *(H. Ułaszyn)* 258

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA. (Mapa fizyczna ziem polskich). Stanisław Majerski *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 260

ANTONI VAN DYCK * 1599 † 1641. Dr. Jerzy Mycielski, *(Leonard Lepszy)* 392

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.. Antoni Potocki. STANISŁAW WYSPIAŃSKI. Piotr Chmielowski. *(Dr. Stanisław Dobrzycki)* 398

PIENIĄDZ I PRZEWRÓT CEN W XVI I XVII WIEKU W POLSCE. Adam Szelągowski. *(A. Bielecki)* 405

W MROKU GWIAZD. Poezye. Tadeusz Miciński. *(St. Zdziarski)* 407

Z piśmiennictw obcych.

GESCHICHTE DER PÄPSTE SEIT DEM AUSGANG DES MITTELALTERS. Dr. Ludwik Pastor. *(Ks. dr. A. Gerstmann)* 100

DIPLOMATIE UND HOCHFINANZ IN DER RUMÄNISCHEN JUDENFRAGE. Dehn Paul. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 107

FOUR-LEAVED CLOVER. Maxwell Gray. *(T. W.)* 108

NOWE PRACE O MALARZACH WŁOSKIEGO ODRODZENIA: THE CENTRAL ITALIAN PAINTERS OF THE RENAISSANCE. Bernhard Bernson. THE FLORENTINE PAINTERS OF THE RENAISSANCE. Tenże. *(M. T. S.)* . 262

MONIQUE. LES GESTES RECONNAISSANCE. TROIS RÉCITS DE GUERRE. Paul Bourget. *(T. W.)* 408

CONTES CHRÉTIENS. T. de Wyzewa. *(M.)* 410

L'ANGOISSE ET AUTRES NOUVELLES. Maxime Gorkij. *(T. W.)* 412

DE LA HAINE À L'AMOUR. Ernest Daudet. *(T. W.)* 414

LE BRASSEUR D'AFFAIRES. Georges Ohnet. *(T. W.)* 416

JACK RAYMOND by E. L. Voynich. *(T. W.)*. 418

LES SAINTS: Sainte Thérèse par Henri Joly; Sainte Gertrude par Gabriel Ledos; Sainte Odile par Henri Welschinger. *(M.)* 422

DIARY OF AN IDLE WOMAN IN CONSTANTINOPLE by Frances Elliot. *(T. W.)* 426

Str.

Z pism czasowych.

Przegląd pięciu roczników „Dwutygodnika katechetyczno-duszpasterskiego. *(Ks. T. Bzowski T. J.)* 110
Osvěta, listy pro rozhled v umění, vědě a politice. Redaktor a vydavatel Václav Vlček. *(Jan Fr. Magiera)* 278
Alte und Neue Welt. Illustriertes Familienblatt zur Unterhaltung und Belehrung. *(Ks. Wiktor Wiecki T. T.)* 427

Zapiski bibliograficzne.

O naśladowaniu Chrystusa. Przełożył ks. Ksawery Sforski. *(K.)* . 114
Duch święty i skutki Jego obecności w naszych sercach. Ks. Ksawery Sforski. *(K.)*. 115
La Vie d'intimité avec le bon Sauveur. L'abbé F. Maucourent. *(T. W.)* 115
Die künstlerische und christlich-apologetische Bedeutung des Romans „Quo vadis". P. Giovanni Semeria. *(W. Rylski)* 115
Marya Konopnicka. Ivan Prijatelj. *(W. Rylski)* 117
Szkice literackie. Józef Tretiak. *(St. Zdz.)* . . . . . W 118
Poezya krakowska z czasów wolnego miasta. Kazimierz Sosnowski. *(St. Zdz.)* 118
Słowniczek czeskopolski kieszonkowy. Fr. A. Hora. *(Jan F. Magiera)* 119
Výlet na Krym. S. S. Machar. *(W. Rylski)* 120
Stanisława Orzechowskiego, Opowiadanie upadku przyszłego polskiego z r. 1560. Teodor Wierzbowski. *(St. Zdz.)* 121
Via Crucis F. Marion Crawford. *(T. W.)* 121
Giuseppina Faro. L'abbé Couturier. *(M.)* 123
Kto zwycięży? Blanka Halicka. *(H. H.)* 280
Szkice z życia wiejskiego. Mieczysław hr. Piniński. *(H. H.)* 280
Pociągnięcia pędzlem. Jan Augustynowicz. *(H. H.)* 280
Pas rycerski. St. Nałęcz Ostrowski. *(H. H.)* 181
Na strażnicy. Anatol Krzyżanowski. *(H. H.)* 281
Nea. Abgar Sołtan. *(J. H.)* 292
Z minionych dni. G. Daniłowski. *(H. H.)* 283
Panny. Alfred Konar. *(H. H.)* 283
W szponach. Wanda Grot-Bęczkowska. *(H. H.)* 283
Powstanie i upadek Konstytucyi 3 Maja. Paweł Popiel. *(A. B.)* . 284
L'Allemagne contemporaine illustrée. *(J. M.)* 285
Elementares Lehrbuch der Physik. Ludwig Dressel S. J. *(W. S.)* . 285
Lebensbilder aus der Geschichte der Sternkunde. Dr. phil. B. Krembs. Kurze Biographie berühmter Physiker. C. Musmacher. *(W. S.)* 297
Akten des fünften internationalen Kongresses kathol. Gelehrten zu München. *(S. N.)* 287
L'origine de l'épiscopat. l'abbé A. Michiels. *(G. F.)* 298
Handbuch der Pastoralmedizin. Dr. August Stöhr. *(P. K.)* 288
Institutiones philosophiae moralis et socialis. A. Caselein S. J. *(G. F.)* 289
Die Geschichte der kirchlichen Leichenfeier L. Ruland. *(P. K.)* . 289
Quo vadis. Die Kreuzritter. Die Familie Połaniecki. Heinrich Sienkiewicz. *(A. Bielecki)* 290
Odrodzenie filozofii scholastycznej. Ks. prof. I. Radziszewski. *(J. R.)* 428
Anneksye w dawnej Polsce. Julian Klaczko. *(A. B.)* 439
Powstanie polskie 1863 i 1864 r. M. W. Berg. *(A. B.)* 430
Rok 1863 na Rusi Czerwonej. Fr. Rawita Gawroński. *(A. B.)* . . . 431
Mapa Królestwa Polskiego. P. A. Barącz. *(J. R.)* 431

Str.

Adama Mickiewicza Dziady, sceny dramatyczne. Tak jak były grane w teatrze krak. d. 31 paźdź. Wydał S. Wyspiański. *(Dr. St. D.)* 432
Podróż poślubna, utwór poetycki. Kazimierz Lubecki. *(J. F. M.)* . 434
Von Emile Zola bis Gerhart Hauptmann. M. G. Conrad. *(J. F.)* . 435
Shakespeare-Realien. Dr. Cl. Klöpper. *(J. F.)* 435
Goethes Romantechnik. Dr. R. Riemann. *(J. F.)* 436
Maeterlinck. Monty Jacobs. *(J. F.)* 436
Goethes Lebenskunst. Dr. W. Bode. *(J. P.)*. 437
Die Geschichte des Messopfers-Begriffs. Franz Ser. Renz. *(G. F.)* . 437
Stonyhurst, its past history and life in the present by the Rev. G. Gruggin S. I. and the Rev. J. Keating S. I. *(M.)* 438

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła: Jubileusz papieski. — Obchody jubileuszowe w Rzymie. — Okólnik do duchowieństwa dyecezyi wileńskiej. Przez *ks. S. Kobyłeckiego T. J.* 123
My i oni. (Kilka słów o naszym stosunku do innych Słowian). Przez *prof. Romana Zawilińskiego* 132
Pogadanka artystyczna o polskiej sztuce stosowanej. Przez *Leonarda Lepszego.* 136
List do redakcyi w sprawie „Legend". Przez *Wacława Anczyca* . . 149

MAJ.

Sprawy Kościoła: Ruch przeciwkościelny w Polsce. — Nowo odkryte we Lwowie źródło potęgi chrześcijaństwa. — Hejże na Polaków, bo za nimi Rzym. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 292
„Pan Wołodyjowski", dramat muzyczny H. Skirmuntta wysnuty z powieści Sienkiewicza. Przez *Walerego Gostomskiego* 303
Ś. p. O. Antoni Langer T. J. Wspomnienie pośmiertne. Przez *ks. Eugeniusza Hełczyńskiego T. J.* 311

CZERWIEC.

Sprawy Kościoła: Precz z Rzymem, opiekunem Słowian w Austryi.— Związki katolickie i rząd wobec ruchu odstępczego w Austryi.— Poseł Eisenkolb i minister Hartel. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 439
Z Ameryki. Przez *Ign. Kowalskiego* 452
Konkurs fryburgski. Przez *R.* 457

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: X. Stanisław Kobyłecki.